

**Barbara Wood**  
**Kamień Przeznaczenia**

*(The Blessing Stone)*

*Przełożyła Małgorzata Hesco-Kłodzińska*

*Tę książkę dedykuję wraz z miłością mojemu mężowi George'owi.*

## Prolog

Trzy miliony lat temu

Kamień Przeznaczenia narodził się wiele lat świetlnych od Ziemi, po drugiej stronie gwiazd.

Powstał, kiedy gigantyczny wybuch rozproszył odłamki ciał niebieskich w przestrzeni międzygwiazdowej. Niczym lśniący statek, rozpalony fragment materii pokonywał nieskończoną próżnię, zmierzając ku nieuchronnej zgubie na młodej, dzikiej planecie.

Mastodonty i mamuty przerwały żerowanie, by spojrzeć na rozbłysłe nagle niebo, skąd nadciągał płonący w ziemskiej atmosferze żelazny meteor. Rozjarzona kula przeraziła rodzinę hominidów, niewielkich stworzeń przypominających mały człekokształtne, od których różniły je tylko mniej wydatne łuki brwiowe oraz tendencja do poruszania się na dwóch nogach, w pozycji wyprostowanej. Grupa zamarła nagle na żerowisku na skraju pierwotnego lasu. Chwilę później meteor runął na ziemię. Fala uderzeniowa dosłownie ścięła hominidy z nog.

Rozgrzane w wyniku uderzenia skały rozpadły się na miliony odłamków. W piekielnym ogniu gwiazdny pył meteoru stopił się w jedno z kryształkami ziemskiego kwarcu. Stopniowo jednak krater, powstały w miejscu, gdzie spadł meteor, ostygł, a padające deszcze wypełniły go wodą. Przez dwa miliony lat do utworzonego w ten sposób jeziora spływały z pobliskich wulkanów strumienie, niosąc piaszczyste osady, które przykrywały kosmiczne szczątki. Wstrząs geologiczny sprawił, że wschodnia ściana zbiornika rozsunęła się i woda, płynąc wartkim strumieniem, wyłobila wąwóz. W dalekiej przyszłości, miał on otrzymać nazwę Olduvai. Jezioro z czasem się opróżniło, a wiatry zwiały warstwy osadu, spod którego ponownie wyjrzały fragmenty meteoru – gdzieś tam tylko połyskujące, twarde, nieładne, grudki. Ale jeden z tych okruchów okazał się wyjątkowy. Powstał przypadkiem lub za sprawą przeznaczenia. Zrodzony z siły i energii, całe tysiąclecie polerowany przez wodę, piasek i wiatr, był teraz gładki i owalny. Połyskiwał błękitem niczym niebo, z którego przybył. Przelatujące ptaki rozsiewały nasiona, z nich wyrastała bujna roślinność: dzięki niej kamień spoczywał w bezpiecznym cieniu i tylko przypadkowe błyski światła, odbijające się od kryształowej powierzchni, wskazywały na obecność cennego przedmiotu.

Minęło jeszcze tysiąclecie, i jeszcze jedno, a kamień czekał... Aż pewnego dnia uznano go za magiczny i przerażający, przeklęty i błogosławiony.

Księga pierwsza  
**AFRYKA**  
Sto tysięcy lat temu

Polująca tygrysica przyczała się w trawie, napięta, gotowa do skoku.

Nieopodal grupka ludzi szukała korzeni i nasion, nieświadoma, że wpatrują się w nią bursztynowe oczy. Choć masywna i umięśniona, kocica była jednak dosyć powolnym zwierzęciem. W przeciwieństwie do swoich rywali, lwów i lampartów, rzucających się w błyskawiczną pogoń za ofiarą, szablatozębna tygrysica musiała chwycić zdobycz z zaskoczenia.

Warowała zatem w płowej trawie, obserwując i czekając, aż niczego niepodejrzewające ofiary podejść bliżej.

Popołudniowe słońce rozpałało afrykańską równinę. Ludzie parli przed siebie w niekończącym się poszukiwaniu żywności, wpychali w usta orzechy i larwy, zakłócając ciszę odgłosami żucia i chrupania, z rzadka mruknięciem albo wypowiedzianym słowem. Kocica nie odrywała do nich wzroku. Najważniejsza była cierpliwość.

W końcu doczekała się dziecka. Malutkie i niezbyt pewnie trzymające się jeszcze na nogach, odeszło od matki. Skok był szybki i zwinny. Maluch krzyknął przeraźliwie – i już drapieźnik odbiegał z delikatnym ciałkiem w śmiertelnie groźnych zębach. Ludzie natychmiast ruszyli w pogoń, wrzeszcząc i wymachując włóczniami.

Zwierzę zniknęło w kryjówce w spletanym poszyciu. Dziecko darło się rozpaczliwie i wilo w zębach kocicy. Oszalali z przerażenia ludzie podskakiwali i młócili ziemię prymitywnymi maczugami, a ich krzyki wznosiły się w niebo, gdzie już krążyły sępy. Matka dziecka, młoda samica zwana Osą, biegała wokół jamy, w której zniknęła kocica.

Nagle jeden z samców krzyknął. Gestem ręki nakazał pozostałym iść za sobą. Oddalili się od ciernistych krzewów. Osa tkwiła w miejscu, mimo że dwie inne samice usiłowały ją odciągnąć. Runęła na ziemię i skowyczała jak zranione zwierzę. W końcu towarzysze, z obawy, że drapieźnik powróci, zostawili ją i pobiegli ku najbliższej kępie drzew. Pośpiesznie ukryli się w gałęziach.

Pozostali tam, aż słońce zaczęło znikać za horyzontem, a cienie stawały się coraz dłuższe. Jęków oszalałej matki nie słyszeli już od dawna. W popołudniowej ciszy dotarł do nich tylko jeden gwałtowny okrzyk bólu i trwogi. Puste żołądki i pragnienie nakazały ludziom dalszą wędrówkę. Zeszli z drzew, zerknęli na zakrwawioną ziemię w miejscu, w którym ostatnio widzieli Osę, i w poszukiwaniu jedzenia ruszyli na zachód.

Wysocy, długonodzy ludzie wędrowali po afrykańskiej sawannie. Poruszali się z płynną, niemal zwierzęcą gracją. Nie nosili ubrań ani ozdób; w dłoniach ściskali proste włócznie i topory. Grupa liczyła siedemdziesiąt siedem osób, od niemowląt po starców. Dziewięć samic było

w ciąży. Maszerując bez wytchnienia w nieustannej pogoni za żywnością, żaden z pierwszych ludzi nie miał pojęcia, że za sto tysięcy lat, w świecie, którego nie potrafiłby sobie wyobrazić, potomkowie nazwą go *homo sapiens* – człowiekiem myślącym.

Niebezpieczeństwo.

Chłonąc odgłosy i zapachy świtu, Wysoka leżała nieruchomo na legowisku, które dzieliła ze Starą Matką. Dym z dogasającego ogniska. Ostra woń spalonego drewna. Lodowate powietrze. Ptaki w gałęziach nad głowami, ledwie przebudzone, kakofonia ptasich śpiewów. Nie słyszała ryku lwa, szczekania hieny ani syku węża, typowych oznak niebezpieczeństwa.

Mimo to Wysoka nawet nie drgnęła. Choć było jej zimno i marzyła, żeby rozgrzać się przy ognisku, które próbowała rozpalić Stara Matka, nie wstała z legowiska. Niebezpieczeństwo czaiło się w pobliżu. Wyczuwała je wyraźnie.

Powoli uniosła głowę i zamrugała. Rodzina już się przebudziła. Wysoka słyszała świszczący oddech Rybiej Ości. Nazwano go tak po tym, jak zakrztusił się niemal na śmierć. Nozdrze uratował mu życie, z całej siły uderzając go w plecy, aż ość przeleciała nad ogniskiem. Od tego czasu Rybia Ość miał kłopoty z oddychaniem. Stara Matka podsycalał nikły płomień trawą, Nozdrze zaś kuczał obok niej i przyglądał się brzydkiej ranie na mosznie, tam gdzie ugryzł go jakiś owad. Rozpalaczka Ognia zajmowała się dzieckiem. Głodny i Guz chrapali na legowiskach, a Skorpion oddawał mocz pod drzewem. W półmroku dostrzegła sylwetkę Lwa, – kopulował ze Zbieraczką Miodu i jęczał z rozkoszy.

Nic niezwykłego.

Wysoka usiadła i przetarła oczy. Nocą sen Rodziny zakłóciły rozpaczliwe krzyki jednego z dzieci Myszy. Chłopiec ułożył się do snu zbyt blisko ognia: sturlał się w żar i mocno poparzył. Tę lekcję przerabiał niemal każde dziecko. Wysoka też miała bliznę po oparzeniu, biegnącą przez całą długość uda: w dzieciństwie również zasnęła tuż obok ogniska. Chłopcu nic się nie stało, ale pochlipywał, gdy matka przykładła wilgotne błoto na oparzenie. Wysoka przyjrzała się członkom Rodziny, którzy, powłócząc nogami, szli do wodopoju. Nie wydawali się przestraszeni ani zdenerwowani.

A jednak coś było nie tak. Młoda samica wyczuwała zagrożenie, choć niczego nie dostrzegła ani nie usłyszała. Wysokiej brakowało jednak wiedzy, by pojąć, co to jest, oraz słów, by podzielić się obawami z resztą grupy. „Uwaga!”, słyszała w swojej głowie. Gdyby powiedziała to na głos, inni zaczęliby szukać w okolicy jadowitych węży, dzikich psów albo szablatozębnych tygrysów. Niczego by nie znaleźli i nie mieliby pojęcia, przed czym Wysoka ich ostrzega.

To nie jest ostrzeżenie na dzisiaj, podpowiadał jej umysł, gdy w końcu opuściła legowisko. To ostrzeżenie na jutro.

Młoda samica z pierwotnej Rodziny nie umiała jednak wyrazić tej myśli. Nie wiedziała,

czym jest przyszłość, uświadamiała sobie jedynie bezpośrednie zagrożenie. Na sawannie ludzie żyli tak, jak otaczające ich zwierzęta – żerując, szukając padliny i wody, uciekając przed drapieżnikami, zaspokajając potrzeby seksualne i śpiąc po posiłku w najgorętszej porze dnia.

Gdy wyszło poranne słońce, Rodzina opuściła bezpieczną kryjówkę w sitowiu i trzinach i ruszyła na otwartą równinę. Kiedy nadchodził dzień, czuła się bezpieczna. Wysoka, pełna nieznanych obaw, wraz z innymi opuściła obozowisko, by wyruszyć na codzienne poszukiwanie żywności.

Co pewien czas przystawała, rozglądając się wokół w nadziei, że ujrzy przeczuwane zagrożenie. Wokoło było jednak tylko morze płowej trawy, gdzieniegdzie liściaste drzewa i pagórki ciągnące się aż do odległych wzgórz. Żaden drapieżnik nie podążał za grupą spragnionych ludzi ani nie fruwał po lekko zamglonym niebie. Wysoka dostrzegła stado pasących się antylop, skubiące trawę żyrafy, zebry wymachujące ogonami. Nic niezwykłego, nic, czego by nie знаła.

Tylko ta góra na horyzoncie... Do tej pory spokojna, teraz wypluwała w niebo dym i popiół. To było coś nowego.

Nikt jednak nie zwracał na to uwagi. Nozdrze złapał konika polnego i wpakował go sobie do ust. Zbieraczka Miodu wyrwała kępę kwiatów, żeby sprawdzić, czy mają jadalne korzenie. Głodny wypatrywał sępów na zasnutym chmurami niebie – kręciły się zwykle nad padliną. Nieświadomi zagrożenia, które stwarza wulkan, wędrowali boso po spieczonej ziemi i kłującej trawie, po świecie pełnym jezior i bagnisk, lasów i łąk, zamieszkanym przez krokodyle, nosorożce, pawiany, słonie, żyrafy, zające, żuki, antylopy, sępy i węże.

Rodzina Wysokiej rzadko spotykała innych ludzi, choć co pewien czas ktoś z grupy dostrzegał ślady ich obecności poza granicami swojego niewielkiego terytorium. Nie zapuszczali się raczej na dalsze tereny, odgródzone naturalnymi barierami: stromą skarpą z jednej strony, głęboką i szeroką rzeką z drugiej oraz niedostępnym bagnem z trzeciej.

Podróżowali zwartą grupą: starcy i samice z dziećmi w środku, samce, uzbrojone w maczugi i topory, wypatrujące drapieżników, po bokach. Dzikie bestie zawsze bezbłędnie namierzały najsłabszych, a teraz ci ludzie nie mieli siły: od wczoraj nic nie pili. Wlekli się we wschodzącym słońcu ze spierzchniętymi wargami, marząc o czystej rzece, przy której znaleźliby bulwy, żółwie jaja i kępy jadalnej roślinności. Może gdzieś w łądogach papirusa uwiązał smakowity flaming? Imiona członków grupy zmieniały się zależnie od okoliczności, gdyż służyły jedynie do porozumiewania się. Dzięki nim członkowie Rodziny mogli się nawoływać albo rozmawiać o sobie. Zbieraczka Miodu otrzymała imię w dniu, w którym znalazła gniazdo pszczół i Rodzina po raz pierwszy po długiej przerwie jadła miód. Guz wszedł kiedyś na drzewo, by uciec przed lampartem, a potem spadł i tak się uderzył w głowę, że nabił sobie guza, który już mu został. Jednooki stracił prawe oko, kiedy razem z Lwem usiłował odstraszyć stado sępów żerujące na martwym nosorożcu – zaatakował go jeden z ptaków. Żaba zrećźnie łapał te płazy; odwracał uwagę ofiary,

machając jedną ręką, a chwytając drugą. Wysoka była najwyższą samicą w Rodzinie.

Ludźmi kierowały impulsy, instynkt i zwierzęca intuicja. Niewielu zastanawiało się nad otaczającą ich rzeczywistością. Brak przemyśleń oznaczał brak pytań, a co za tym idzie, brak potrzeby odpowiedzi. Nic ich nie dziwiło, niczego nie podawali w wątpliwość. Świat składał się jedynie z tego, co mogli zobaczyć, usłyszeć, powąchać, co dało się dotknąć i spróbować. Tajemnica nie istniała. Szablatozębny tygrys był jedynie szablatozębnym tygrysem – drapieżnikiem za życia, żywnością po śmierci. Ludzie jeszcze nie stworzyli zabobonów, magii, nie wierzyli w duchy ani niewidzialne moce. Nie próbowali tłumaczyć, czym jest wiatr, bo nie zadawali sobie tego pytania. Rozpalaczka Ognia nie łamała sobie głowy nad tym, skąd się biorą iskry ani po co jej przodkowi sprzed tysięcy lat potrzebny był płomień. Po prostu nauczyła się tej sztuki, obserwując matkę, która opanowała tę umiejętność dzięki swojej matce. Jedli wszystko, co zdołali znaleźć, a nie umiając się porozumieć i współdziałać, polowali jedynie na najmniejsze stworzenia – jaszczurki, ptaki, ryby i króliki. Członkowie Rodziny Wysokiej nie zastanawiali się, czym lub kim są. Nie mieli pojęcia, że właśnie dotarli do kresu długiej drogi ewolucji i że przez następnych sto tysięcy lat fizycznie się nie zmieniają.

Byli również nieświadomi tego, że oto nadchodzi kolejna Wielka Zmiana, a rozpoczyna ją Wysoka, która przewidziała niebezpieczeństwo grożące im w przyszłości.

Wysoka szukała jadalnych roślin i owadów, ale przez cały czas prześladowało ją wspomnienie wodopoju, nad którym obudzili się tego ranka. Ku konsternacji Rodziny, nocą źródło pokryła tak gruba warstwa pyłu wulkanicznego i popiołu, że woda nie nadawała się do picia. Pragnienie wypędziło grupę z miejsca, w którym w innych okolicznościach pozostałaby dłużej. Z determinacją podążali na zachód za Lwem: wiedział, gdzie znajduje się następny wodopój. Wśród wysokich traw widzieli stada gnu, które także wyruszyły na poszukiwanie wody. Niebo przybrało dziwną barwę, powietrze pachniało ostro i cierpko. Przed nimi, na horyzoncie, góra zionęła ogniem, jak nigdy dotąd.

Wysoką, zmagającą się z nierozwiązaną zagadką, dręczyło jeszcze jedno wspomnienie – strachu, który ich dopadł dwie noce wcześniej.

Noce na afrykańskiej równinie nigdy nie były spokojne; lwy ryczały nad świeżą zdobyczą, a hieny wydawały z siebie przeraźliwe krzyki, zwołując towarzyszy do jedzenia. Ludzie spali głębokim snem na skraju lasu, a w ciemnościach płonęły ogniska, dające światło i ciepło oraz odstraszające zwierzęta. Tym razem jednak było inaczej. Mimo że przyzwyczajeni byli do życia w ciągłym zagrożeniu, czuli większy lęk niż zwykle, usiłowali przeniknąć ciemności i nasłuchiwali bicia własnych serc. Coś dziwnego i strasznego działo się ze światem wokół nich. Nie potrafili tego nazwać, sformułować myśli, które niosłyby wytłumaczenie, a więc i pociechę. Przerażeni mogli jedynie tulić się do siebie w bezzasadnym strachu.

Nie wiedzieli, bo i skąd, że trzęsienia ziemi już wiele razy wstrząsały tym rejonem ani że gó-

ra na horyzoncie od tysiącleci pluje lawą w niebo, uspokajając się tylko na pewien czas – ostatnio na kilkaset lat. Teraz jednak góra ożyła. Rzuciła groźną czerwoną poświatę na nocne niebo, ziemia zaś drżała, wyjąc niczym żywe stworzenie.

Jedynie Wysoka pamiętała tamten strach. Inni członkowie jej grupy rozglądali się bacznie, szukając kopczyków termitów, roślin pełnych nasion i kwaśnych jagód.

Kiedy Wysoka kopnęła gnijącą kłodę, pod którą wiły się larwy, ludzie natychmiast zaczęli wpychać je sobie do ust. Nigdy nie dzielili się żywnością. Jedli najsilniejsi, najślabi głodowali. Lew, dominujący samiec w grupie, przepchnął się przed innymi i całymi garściami pożerał białe smakołyki.

W młodości Lew natrafił na świeże zwłoki starej lwicy i jeszcze przed przybyciem sępów obdarł ją ze skóry, którą zarzucił sobie na plecy. Przybrała jego kształt, cuchnęła, zaległo się w niej robactwo, aż w końcu wyszła, a ponieważ nigdy jej nie ściągał, stała się częścią jego ciała. Długie włosy Lwa wrosły w nią, skrzybiała przy każdym ruchu.

Lwa nikt nie wybierał przywódcą Rodziny, nie było żadnego głosowania ani uzgodnień. Pewnego dnia zwyczajnie uznał, że poprowadzi pozostałych, oni zaś podążyli za nim. Jego obecna partnerka, Zbieraczka Miodu, dominowała wśród samic, gdyż była duża, silna i pozbawiona skrupułów. Podczas posiłków odpychała słabsze towarzyski, by zdobyć żywność dla własnych młodych, kradła innym i zjadała więcej, niż się jej należało. Lew i Zbieraczka Miodu obiema rękami wyciągali z gnijącego drzewa blade, tłuste larwy, a kiedy już zaspokoiли głód i samica upewniła się, że piątka jej młodych też jest najedzona, odeszli, by słabsi członkowie Rodziny mogli zebrać resztki.

Wysoka przeżuła garść robaków i wypluła papkę na dłoń. Wyciągnęła rękę do Starej Matki, która nie miała zębów. Samica z wdzięcznością przyjęła pożywienie.

Po posiłku ludzie odpoczywali w południowym słońcu. Silniejsze samce wypatrywały drapieżników, reszta zaś zajęła się karmieniem niemowląt, czesaniem, drzemką oraz seksem. Kopulacja zwykle przebiegała szybko i natychmiast o niej zapomniano, pary łączyło jedynie przelotne uczucie. Długotrwałe związki nie istniały, potrzeby seksualne zaspokajano przy każdej nadarżającej się sposobności. Skorpion wąchał samice, podświadomie szukając zapachu świadczącego o owulacji. Czasem to samica starała się znaleźć partnera, jak teraz Dziecina, spragniona pośpiesznego zbliżenia. Skorpion już zajął się Myszą, więc Dziecina wybrała Głodnego i choć początkowo nie był zainteresowany, podnieciła go i usiadła na nim okrakiem.

Odległa góra zaś wciąż pluła ogniem i gazem. Wysoka nie przestawała rozglądać się dokoła w nadziei, że zauważy jakiś cień nowego niebezpieczeństwa. Niczego jednak nie dostrzegła.

Po południu ruszyli dalej. Z pragnienia zaschło im w gardle, matki uspokajały płaczące dzieci, a samce, osłaniając oczy, usiłowały wypatrzeć na równinie strumień lub staw. Tropili elandy



i gnu w nadziei, że stada tych zwierząt doprowadzą ich do wody. Obserwowali, dokąd lecą ptaki, zwłaszcza te brodzące: czaple, bociany i egrety. Wypatrywali też słoni, gdyż te stworzenia najczęściej czasu spędzały przy wodopoju. Tarzały się w błocie, by ochłodzić wysuszoną słońcem skórę, albo kryły się pod powierzchnią wody, wystawiając jedynie koniec trąby. Ludzie nie ujrzeli jednak żadnych elandów, bocianów ani słoni.

Kiedy natrafili na kości zebry, na krótką chwilę zapanowała radość. Po chwili spostrzegli jednak, że długie kości są już połamane i nie została w nich nawet odrobina szpiku. Bardzo ich to rozczarowało. Nie musieli oglądać śladów wokół trupa, by wiedzieć, że to hieny pozbawiły ich uczty.

Wciąż szli. Nieopodal trawiastego wzgórza Lew nagłym gestem uciszył grupę. Nasłuchiwali, i po chwili dobiegło ich niesione wiatrem, wyraźne miauczenie, jakie wydawały gepardy, porozumiewając się z młodymi. Ludzie zawrócili ostrożnie i ruszyli pod wiatr, żeby koty nie pochwyciły ich zapachu.

Samice i dzieci szukały jadalnej roślinności oraz owadów, samce uzbrojone w drewniane włócznie wypatrywały zwierzyny. Nie potrafiły jeszcze zorganizować polowań, wiedziały jednak, że żyrafę najłatwiej dopaść przy wodopoju – żeby sięgnąć do wody, musiała szeroko rozstawić nogi, i w tej pozycji stanowiła pewną zdobycz dla zwinnych ludzi z ostrymi włóczniami.

Nagle Nozdrze zakrzyknął z radości. Opadł na kolana i wskazał ślady szakala na ziemi. Szakale miały zwyczaj zakopywać martwe ofiary i wracać po nie później. Gorączkowe poszukiwania spełzły jednak na niczym.

Szli zatem dalej, złani potem, głodni, spragnieni, aż w końcu podążający w przodzie Lew krzyknął. Znalazł wodę! Reszta puściła się pędem. Wysoka objęła Starą Matkę, by jej pomóc.

Lew nie zawsze był przywódcą Rodziny. Wcześniej w grupie dominował samiec o imieniu Rzecka; zjadał najlepsze kąski, zazdrośnie strzegł samic przed rywalami, decydował, gdzie Rodzina spędzi noc. Swoje imię zawdzięczał niebezpiecznemu spotkaniu z gwałtowną powodzią. Rodzina zdążyła w porę dotrzeć na ląd, ale Rzekę porwał nurt. Ocaliło go przepływające drzewo. Kilka dni później wylądował na piasku, poraniony i wyczerpany, lecz żywy. Rodzina nazwała go tak na cześć nowej rzeki, która przecięła ich terytorium. Na pewien czas objął przywództwo, dopóki Lew nie stanął z nim do walki o samicę.

Walczyli na śmierć i życie, okładając się maczugami przy akompaniamencie krzyków i pisków Rodziny. Gdy zakrwawiony Rzecka w końcu uciekł, Lew wyrzucił pięści w powietrze, a potem od razu posiadał Zbieraczkę Miodu. Rzecka już nigdy się nie pokazał.

Po tym wydarzeniu Rodzina posłusznie i bez zbędnych pytań podążała za Lwem. W tej prymitywnej społeczności nie istniała równość – członkowie grupy nie potrafili o siebie zadbać. Jak stada pasące się na sawannie albo małpy zamieszkujące odległe lasy tropikalne, potrzebowali przywódcy, by przetrwać. Jeden osobnik zawsze górował nad resztą albo dzięki fizycznej sile,

albo przewadze intelektualnej. Nie musiał to być samiec. Przed Rzeką przywódczynią była dominująca samica, nazywana ze względu na swój śmiech Hieną, i to ona prowadziła Rodzinę na odwieczne, niezmiennie poszukiwania i łowy. Hiena знаła granice terytorium, potrafiła znaleźć dobrą wodę i jagody, wiedziała, Idedy dojrzewają orzechy i nasiona. Pewnej nocy oddzieliła się od pozostałych i, jak na ironię, stado hien rozszarpało ją na strzępy, a Rodzina wlokła się bez celu, dopóki po powodzi Rzeką nie został jej nowym przywódcą.

Teraz Lew zaprowadził grupę do zbiornika wodnego, który zapamiętał sprzed czterech pór – do źródła artezyjskiego pod nawisem skalnym. Wszyscy uklękli nad wodą i pili chciwie. Zaspokoili pragnienie, ale kiedy rozejrzeli się wokół, nie znaleźli żadnej żywności. Ani jaj żółwi, ani słodkowodnych skorupiaków, kwiatów o delikatnych korzeniach, ani roślin o smacznych nasionach. Lew przyjrzał się okolicy z niesmakiem – wcześniej z pewnością była tu roślinność – i w końcu chrząknięciem dał do zrozumienia, że powinni iść dalej.

Wysoka popatrzyła na wodę, którą właśnie pili. Zerknęła na czystą taflę i zadymione niebo, potem spojrzała na skalny nawis. Zmarszczyła brwi. Woda, nad którą obudzili się rankiem, nie nadawała się do picia. Ta była czysta i słodka. Wysoka z trudem usiłowała to połączyć. Zadymione niebo, nawis, czysta woda.

I wtedy w jej głowie narodziła się ta myśl: ta woda była osłonięta.

Spojrzała na odchodzącą Rodzinę: Lwa-przywódcę o włochatym, przykrytym skórą grzbiecie, Zbieraczkę Miodu z niemowlęciem na ręku i małym dzieckiem na ramionach oraz starszym u boku. Szli, powłócząc nogami albo sadząc wielkie susy. Ugasili pragnienie, ale głód doskwierał im coraz bardziej. Wysoka chciała ich przywołać, przed czymś przestrzec, ale nie wiedziała przed czym. Miało to coś wspólnego z nowym, nienazwanym niebezpieczeństwem. Teraz rozumiała już, że łączy się ono z wodą – pokrytym popiołem wodopojem, z którego próbowali napić się rano, z tym czystym artezyjskim źródłem i ze stawem, do którego wiódł ich Lew.

Poczuła, że ktoś ciągnie ją za ramię. Stara Matka odwróciła ku niej pomarszczoną drobną twarz i patrzyła z niepokojem. Nie powinny zostawać z tyłu.

Rodzina doszła do baobabu. Kto miał jeszcze trochę siły, potrząsał gałęziami, z których spadały mięsiste owoce. Dla wygłodniałych ludzi była to prawdziwa uczta. Jedli na siedząco lub w kucki; niektórzy stali, obserwując okolicę, by nie dać się zaskoczyć drapieżnikom. Potem ucięli sobie drzemkę w cieniu drzewa, rozleniwieni popołudniowym upałem. Matki karmiły piersią niemowlęta, starsze dzieci baraszkowały w trawie. Jednooki miał ochotę na samicę. Obserwował Dziecinę. Jeszcze nienajedzona, przeszukiwała puste owocnie, a kiedy ją połaskotał i pogłaskał, zachichotała i przykucnęła na czworakach, by łatwiej mu było w nią wejść. Zbieraczka Miodu wyskubywała wszy z potarganych kudłów Lwa, Stara Matka smarowała śliną oparzenie chłopca, a Wysoka, oparta o drzewo, patrzyła na odległą, rozzłoszczoną górę. Po drzemce, znowu gnani głodem, ruszyli na zachód. Zanim zapadł zmrok, dotarli do szerokiego strumienia, w którym bro-

dziły słońce i z lubością polewały się wodą. Ludzie ostrożnie podeszli do brzegu. Wypatrywali krokodyli. Łatwo było je pomylić z pływającymi kłodami – nad powierzchnię wody wystawały jedynie ich oczy, nozdrza i fragment grzbietu. Krokodyle zazwyczaj polowały nocą, potrafiły jednak zaatakować także za dnia, zwłaszcza słabe ofiary. Zdarzało się, że w mgnieniu oka porwały z brzegu rzeki człowieka. Ku swojemu zaskoczeniu Rodzina zauważyła, że powierzchnię wody pokrywa warstwa sadzy i popiołu, ale na brzegu gniazduje wiele gatunków ptaków – siewki, ibisy, gęsi i brodzie – co oznaczało, że najbliższy posiłek będzie się składał z jaj. Słońce zniknęło już za horyzontem, cienie się wydłużyły, ludzie postanowili więc spędzić tu noc.

Podczas gdy część samic i dzieci gromadziła długie trawy i giętkie liście na legowiska, Stara Matka i Wysoka wraz z kilkoma jeszcze towarzyszkami szukały skorupiaków na piaszczystym brzegu strumienia. Żaba i jego bracia zajęli się tropieniem żab ryczących. W czasie pory suchej płazy te drzemały w podziemnych norach, wychodziły dopiero, gdy pierwsze krople deszczu zwilżyły ziemię. Tu nie padało już od wielu tygodni, więc chłopcy liczyli na obfity połów. Rozpalaczka Ognia wysłała dzieci po wyschnięte łajno stada, które ostatnio się tu pasło, po czym za pomocą kamieni i suchych gałązek skrzesała ogień. Podsyciły go odchody gnu i zebr. Samce rozstawiły wokół obozowiska prowizoryczne pochodnie z gałęzi, żeby odpędzić drapieżniki. Znalezione liście dzikiej cykorii, migdały ziemne i zwłoki tłustej mangusty, jeszcze niezaatakowane przez robactwo. Ludzie jedli łapczywie, pożerali wszystko, nie zostawiając nawet jajka ani ziarenka na następny dzień.

Wreszcie zasiedli spokojnie pod osłoną zasieków z ciernistych krzewów i gałęzi akacji. Samce zebrały się po jednej stronie ogniska, samice po drugiej. Nadeszła pora na zabiegi pielęgnacyjne, wieczorny rytuał wynikający z pierwotnej potrzeby towarzystwa i dotyku, który w pewien subtelny sposób świadczył o załączkach porządku społecznego.

Oстрыm toporkiem, który Głodny wyłupał jej z kwarcu, Dziecina obcięła włosy swoim dzieciom. Długie włosy stanowiły zagrożenie. Dziecina wiedziała o tym najlepiej. W młodości uciekała od matki, bo nienawidziła czesania. Nosiła włosy do pasa, sztywne od brudu i sterczące na wszystkie strony. Aż pewnego dnia zaplątała się w ciernistych krzakach i uwięzła. Kiedy Rodzina w końcu uwolniła rozhisteryzowaną małą z pułapki, kępki włosów zostały na gałęziach, a jej czaszka krwawiła. Właśnie wtedy Dziecina dostała swoje imię, bo całymi dniami nie mogła powstrzymać się od płaczu, jak małe dziecko. Teraz jej czaszkę pokrywały pełne blizn tyse placki, a włosy rosły w odrażających kępach.

Inne samice iskały swoje dzieci, miażdżyły wszy zębami, a później okładały maluchy i swoje koleżanki wilgotnym błotem znad strumienia. Ich śmiech strzelał w niebo niczym iskierki z ogniska, od czasu do czasu padało ostrzejsze słowo lub ostrzeżenie. Choć kobiety były zajęte, nie spuszczały oka z Jałowej, która nie miała dzieci. Jałowa wciąż chodziła krok w krok za ciężarną Łasicą. Wszyscy pamiętali, jak Dziecina urodziła piąte dziecko, a Jałowa je porwała razem

z łożyskiem i uciekła. Ścigali ją i w końcu dopadli, a noworodek zginął podczas awantury, gdy samice niemal zatłukły Jałową na śmierć. Po tym zdarzeniu trzymała się w pewnej odległości od Rodziny, sypiając z dala od ognia i niczym cień snując się na skraju obozu. Ostatnio jednak nabrała odwagi i zaczęła krążyć wokół Łasicy. Łasica bała się jej. Straciła już trójkę dzieci: jedno ukąsił wąż, drugie runęło w przepaść, a trzecie porwał lampart, który pewnej nocy zakradł się do obozowiska.

Po drugiej stronie ognia zgromadziły się samce. Kiedy chłopiec dorastał na tyle, że nie mógł spać z samicami i dziećmi, przechodził na stronę samców. Tam obserwował, jak dorośli wyłupują narzędzia z krzemienia i ostrzą długie kije, by zrobić z nich włócznie. Tu młodzieńcy, wyzwoleni spod kurateli matek, uczyli się męskich zachowań: jak przerabiać drewno na broń i kamień na narzędzia, – jak odróżniać ślady zwierząt; jak wachać wiatr i wyczuwać zwierzynę. Poznawali kilka słów, dźwięków i gestów niezbędnych do porozumiewania się. I, podobnie jak samice, czyścili się nawzajem, okładali błotem i wyciągali robactwo ze splecionych włosów. Błoto, jako ochrona przed słońcem, ukąszeniami owadów i trującą roślinnością, musiało być nakładane codziennie; stanowiło to ważną część wieczornego rytuału. Młodzi walczyli o przywilej zajmowania się Lwem i starszymi samcami.

Ślimak, zwany tak ze względu na swoją powolność, protestował przeciwko objęciu warty. Kiedy nie pomogły okrzyki i wymachiwanie pięściami, Lew złamał włócznię na głowie Ślimaka i tak rozstrzygnął spór. Pokonany powłókł się na swoje stanowisko, ocierając krew z czoła. Stary Skorpion masował sobie lewą rękę i nogę, które dziwnie drętwiały. Guz usiłował podrapać się w plecy. W końcu podszedł do najbliższego drzewa i czochrał się o szorstką korę, aż skóra zaczęła mu krwawić. Co pewien czas samce zerkały nad ogniem na zajęte samice. Czują przed nimi respekt, gdyż tylko one rodziły dzieci, natomiast samce nie zdawały sobie sprawy ze swojego udziału w tym procesie. Samice wydawały się nieprzewidywalne. Niezainteresowane kopulacją, potrafiły gwałtownie zareagować na próbę wzięcia siłą. Biedny Warg, niegdyś zwany Ptasim Nosem, zyskał sobie nowe imię po starciu z Wysoką. Gdy usiłował w nią wejść wbrew jej woli, broniła się jak lwica i odgryzła mu część dolnej wargi. Rana krwawiła przez wiele dni, a potem ciekła z niej ropa. W wardze samca została wystrzępiona dziura, przez którą widać było dolne zęby. Od tamtego czasu nie zbliżał się do Wysokiej, podobnie jak większość samców. Nieliczni, którzy usiłowali ją osiąść, po wyczerpującej walce dochodzili do wniosku, że nie warto, skoro w pobliżu jest tyle chętnych samic.

Żaba siedział samotnie w posepnym nastroju. Od roku on i młoda samica o imieniu Mrówkojad – wprost uwielbiała mrówki – byli sobie szczególnie bliscy, podobnie jak Dziecina i Jednooki, którzy właśnie przytulali się i pieścili w radosnym seksualnym zespoleniu. Teraz jednak Mrówkojad nosiła w brzuchu dziecko i nie chciała mieć nic wspólnego z Żabą, na jego awanse odpowiadała razami i wściekłym syczeniem. Wiedział, jak to jest. Po urodzeniu dziecka

samica zawsze wolała towarzystwo innych matek. Razem śmiały się i gawędziły podczas karmienia niemowląt, pilnowały maluchów, odtrąconym samcom zaś pozostawało szukanie narzędzi i struganie broni.

Więź między matką i dzieckiem była jedyną prawdziwą więzią w Rodzinie. Samce i samice rzadko łączyły się na dłużej, ich związki trwały tyle, ile namiętność, która z czasem słabła. Obok Żaby przykucnął jego przyjaciel Skorpion i poklepał go ze współczuciem. On także pozostawał w bliskim związku z samicą, aż powiła dziecko i przestał ją interesować dotychczasowy partner. Rzecz jasna, pewne samice, na przykład Zbieraczka Miodu, darzyły uczuciem tylko jednego samca, zwłaszcza jeśli tolerował ich potomstwo, jak Lew dzieci Zbieraczki Miodu. Skorpionowi i Żabie brakowało jednak cierpliwości do maluchów, woleli partnerki nieobarczone dziećmi.

Żaba czuł narastające napięcie. Popatrzył zazdrośnie na Jednookiego i Dziecinę. Pieścili się i głaskali. Jednooki mógł kopulować, gdy tylko zechciał, Dziecina zawsze go do siebie dopuszczała. Obecnie byli jedyną parą sypiającą we wspólnym legowisku, okazywali sobie uczucie. Poza tym Jednooki tolerował potomstwo Dzieciny, co się rzadko zdarzało.

W końcu Żaba postanowił zainteresować sobą samice. Zademonstrował im swoją erekcję, rzucając pełne nadziei spojrzenia. Ignorowały go jednak albo wręcz przeganiały. Wrócił do ognia i pogrzebał wśród węgla. Z zadowoleniem odkrył cebulę, przypaloną, ale jeszcze całkiem niezłą. Zaniósł ją Rozpalaczce Ognia, która natychmiast złapała kasek, opadła na kolana i podparła się łokciem, jednocześnie pożerając jarzynę. Żaba nie zwlekał. Szybko zaspokoił pożądanie i powlókł się do legowiska.

Gdy Lew skończył jeść, jego wzrok padł na Starą Matkę, która wysysała korzeń. Lwa i Starą Matkę powiła ta sama samica, ssali tę samą pierś i bawili się razem w dzieciństwie. Stara Matka urodziła dwunastkę dzieci i Lew bardzo ją za to podziwiał. Teraz jednak robiła się coraz słabsza. Przyszło mu do głowy, że marnują na nią jedzenie. Podeszedł do niej i zanim zdążyła zareagować, wyrwał jej korzeń i wetknął go sobie do ust.

Wysoka podbiegła do zaskoczonej Starej Matki i, wydając z siebie uspokajające pomruki, pogłaskała ją po głowie. Stara Matka była najstarsza w grupie, choć nikt nie znał dokładnie jej wieku – członkowie Rodziny nie liczyli lat ani pór roku. Gdyby znali współczesny system miar, wiedzieliby, że osiągnęła dojrzały wiek pięćdziesięciu pięciu lat. Wysoka z kolei żyła od piętnastu pór letnich i pamiętała niejasno, że jest córką samicy urodzonej przez Starą Matkę.

Obserwując Lwa, który okrążył obozowisko przed udaniem się na spoczynek, Wysoka poczuła nieokreślony niepokój. Martwiła ją bezbronność Starej Matki. W umyśle dziewczyny pojawiło się pewne wspomnienie: matka Wysokiej złamała nogę, a grupa opuściła ją, gdy samica nie mogła iść dalej. Oczami duszy Wysoka widziała samotną sylwetkę opartą o pień kolczastego drzewa, wpatrzoną w odchodzącą Rodzinę. Grupa nie mogła tracić sił przez słabą jednostkę ze względu na drapieżniki czające się w wysokiej trawie. Kiedy znowu przechodzili tamtą drogą,

nigdzie nie było nawet śladu matki Wysokiej.

Wszyscy ułożyli się do snu, dzieci przytulone do matek, mężczyźni plecami do siebie, by nie zmarznąć. Rzucali się w legowiskach, gdy z ciemności dobiegały ich ryki i poszczekiwanie nawzajem. Wysoka nie mogła zasnąć. Wyszła z legowiska, które dzieliła ze Starą Matką, i ostrożnie ruszyła w stronę wody. Koczujące nieopodal niewielkie stadko słoń – tylko samice z młodymi – już spało w charakterystyczny dla tych zwierząt sposób: oparte o pień drzewa albo o siebie nawzajem. Wysoka popatrzyła na pokrytą wulkanicznym pyłem tafelę wody. Potem spojrziała na gwiazdy, które zasnuwał coraz gęstszy dym, i raz jeszcze spróbowała uporządkować myśli.

To miało coś wspólnego z nowym niebezpieczeństwem.

W obozowisku spędzało noc siedemdziesiąt kilka osób. Już słychać było chrapanie, pomruki i jęki. Jakaś para kopulowała. Zapłakało któreś z dzieci; szybko je uciszono. Ktoś beknął, niewątpliwie Nozdrze. Samce strzegące granic obozowiska, by Rodzina przeżyła noc, uzbrojone we włócznie i pochodnie, co pewien czas pokrzykiwały głośno. Nikt nie okazywał strachu; dla nich wszystko biegło zwykłym trybem. Wysoka jednak była zaniepokojona. Tylko ona wyczuwała, że coś się stało ze światem.

Ale co? Lew prowadził Rodzinę do miejsc, w których bywała od wielu pokoleń. Znaleźli pożywienie takie jak zawsze; nawet woda, choć pokryta pyłem, była na swoim miejscu. Powtarzalność oznaczała bezpieczeństwo i przetrwanie. Zmiany przerażały. Pomysł, żeby coś zmieniać, nigdy nawet nie przemknął im przez głowę.

Aż do teraz, gdy pojawił się w umyśle jednej młodej samicy.

Ciemnobrązowe oczy Wysokiej wpatrywały się w noc, wyczuwane na najmniejszy ruch. Zawsze czujna, zawsze uważna, żyła, tak jak pozostali, dzięki rozumowi, instynktowi i silnej woli przetrwania. Dziś jednak było inaczej, tak jak przez kilka ostatnich nocy, odkąd pojawiło się przeczucie nowego zagrożenia. Zagrożenia, którego nie potrafiła dostrzec ani nazwać. Zagrożenia, które nie pozostawiało tropów ani śladów, nie warczało ani nie syczało, nie miało kłów ani pazurów, a jednak ze strachu przed nim jeżyły się jej włosy na karku.

Przyglądała się gwiazdom i widziała, jak nikną w gęstym dymie. Dostrzegła spadający z nieba popiół. Obejrzała pokrytą sadzą wodę, wyczuła zapach siarki z odległego wulkanu. Patrzyła na trawę uginającą się na nocnym wietrze, pochylone drzewa, spadające zeschnięte liście. Nagle jej serce zabiło mocniej. Wszystko stało się jasne.

Wysoka wstrzymała oddech i zamarła, kiedy nieznane zagrożenie nabrało w jej umyśle kształtów, i w jednej chwili pojęła to, czego nie zrozumiał żaden inny członek Rodziny: że jutro wodopój – wbrew wieloletnim doświadczeniom – będzie pokryty popiołem.

Krzyk rozdarł nocną ciszę.

Zaczął się poród Łasicy. Samice szybko wyprowadziły ją za teren obozowiska, pomiędzy drzewa. Samce nie poszły za nimi, ale podrygiwały nerwowo na skraju obozu, ściskając w dłoniach prymitywne włócznie i zbierając kamienie, by ciskać nimi w drapieźniki. Wiedzieli, że gdy tylko wielkie koty i hieny usłyszą krzyk bezbronego człowieka i wyczują krew, pojawią się natychmiast. Samice otoczyły Łasicę kołem, plecami do rodzącej, krzycząc i tupiąc, by Zagłuszyć jej pełne bólu okrzyki.

Nikt jej nie pomógł. Przytuliła się do pnia akacji, przykucnęła i parła z całej siły, sparaliżowana strachem. Wydawało jej się, że poza krzykami swoich towarzyszek słyszy triumfalny ryk lwa. Czy lada chwila stado kotów wyskoczy zza drzew, obnażając kły, wystawiając pazury i świecąc żółtymi oczami, by rozerwać ją na strzępy?

W końcu dziecko pojawiło się na świecie, a Łasica natychmiast przycisnęła je do piersi, potrząsając nim i głaszcząc je, aż zapłakało. Stara Matka uklękła obok dziewczyny i masowała jej brzuch, jak wiele razy sobie i swoim córkom, żeby przyspieszyć wydalenie łożyska. Kiedy wyszło, kobiety pośpiesznie zakopały je i przysypały krew ziemią, a Rodzina zebrała się wokół matki i przyglądała się ciekawie ruchliwemu stworzeniu u jej piersi.

Nagle Jałowa przepchnęła się między pozostałymi i wyrwała dziecko z objęć Łasicy. Samice pobiegły za uciekinierką, ciskając w nią kamieniami. Jałowa upuściła noworodka, ale samice ścigały ją nadal i w końcu dopadły. Wyrwały gałęzie z drzew i tłukły bezlitośnie, aż krwawy kształt u ich stóp przestał przypominać człowieka. Upewniwszy się, że Jałowa nie oddycha, wrócili do obozu z dzieckiem, które, o dziwo, przeżyło pogoń.

Lew postanowił, że Rodzina musi szybko wyruszyć w drogę. Trup Jałowej i krew poporodowa mogły zwabić niebezpieczne drapieźniki, zwłaszcza sępy, zawsze bezwzględnie i odważnie walczące o żer. Ludzie opuścili obozowisko, mimo że wciąż była noc, i uzbrojeni w pochodnie ruszyli równiną. Nad nimi świecił księżyc w pełni, za sobą słyszeli groźne pomruki zwierząt, które rozrywały na strzępy trupa Jałowej.

Świtało. Z nieba wciąż sypał popiół.

Ludzie kręcili się w legowiskach; zbudziły ich ptasie trele i skrzeczenie małp na drzewach. Pochodnie już zgasły. Czujnie rozglądając się wokół, ruszyli do wodopoju. Tłoczyły się już tu zebry i gazy, próbując zaspokoić pragnienie. Niestety, tafłę jeziora przykrywała gruba warstwa sadzy. Ktoś rozgarnął ją rękami. Woda nie nadawała się do picia – była mętna i obrzydliwa w smaku. Szukali na brzegu jaj, skorupiaków, żab, żółwi i korzeni lili. Wysoka patrzyła na zachód, gdzie dymiąca góra rysowała się wyraźnie na tle wciąż ciemnego nieba.

Chmury gęstego dymu, kłębiące się na coraz większej połaci nieba, przesłaniały gwiazdy. Wysoka odwróciła się i spojrzała na horyzont po wschodniej stronie, blade w miejscu, w którym wkrótce miało pojawić się słońce. Tam niebo było czyste, ostatnie gwiazdy migotały jasno. Zno-

wu skierowała wzrok ku plującej dymem górze i znowu, jak poprzedniej nocy, doznała objawienia. Jako pierwsza w historii swojego ludu dopasowała do siebie dwie strony równania i znalazła rozwiązanie: z góry unosi się dym... wiatr wieje na wschód... a więc zatruwa wodopoje na swojej drodze.

Usiłowała przekazać to innym, znaleźć słowa i gesty, którymi mogłaby określić istotę nowego zagrożenia. Jednak Lew kierował się tylko instynktem i pamięcią przodków. Nie wiedział nic o związkach przyczynowo-skutkowych, postrzegał świat jako przewidywalny i niezmienny – teraz i na zawsze. Nie dorósł jeszcze do tego, aby wykonać kolejny krok na drodze intelektualnego rozwoju. Co góra i wiatr miały wspólnego z wodą? Wziął włócznię i zarządził natychmiastowy wymarsz.

Wysoka nie rezygnowała.

– Źle! – powiedziała z rozpaczą, wskazując na zachód. – Źle! – Potem zaczęła machać rękami ku wschodowi, gdzie niebo było jasne i gdzie spodziewała się znaleźć czystą wodę. – Dobrze! Tam!

Lew spojrział na towarzyszy. Ich twarze pozostały obojętne. Nie mieli pojęcia, co Wysoka próbuje powiedzieć. Po co zmieniać coś, co robili od zawsze?

Raz jeszcze porzucili obozowisko i szli przed siebie, wypatrując na niebie sępów, których obecność oznaczałaby bliskość padliny i kości pełnych smacznego szpiku. Lew i silniejsze samce potrząsali drzewami, na których rosły orzechy, owoce i strąki, świetne po upieczeniu. Kobiety kucaly nad kopcami termitów, wsuwając w nie gałązki i wyciągając tłuste owady. Dzieci zajęły się mrowiskiem – odgryzały wypełnione nektarem brzuchy mrówek, unikając ich ostrych żuchw. Jedzenia było mało, więc wędrówka praktycznie nie miała końca. Rzadko natrafiali na świeżą padlinę, nieodkrytą jeszcze przez hieny ani sępy. Obdzierali ją wtedy ze skóry i napychali się mięsem.

Wysoka szła niechętnie: wiedziała już, że woda będzie coraz gorsza.

Około południa wspięła się na niewielki pagórek i zasłoniwszy oczy, omiotła spojrzeniem płową sawannę. Nagle zaczęła nawoływać i machać rękami. Znalazła strusie gniazdo. Podeszli ostrożnie, wpatrzni w wielkiego ptaka. Czarno-białe pióra świadczyły, że to, o dziwo, samiec. Zazwyczaj za dnia gniazda pilnowały samice, samce zaś nocą. Ten wydawał się olbrzymi i niebezpieczny. Rozglądali się w poszukiwaniu jego partnerki, która z pewnością była gdzieś w pobliżu, gotowa do zawziętej obrony gniazda.

Na okrzyk Lwa Głodny, Guz, Skorpion, Nozdrze i pozostali, uzbrojeni w kije i maczugi, ruszyli ku strusowi, wyjąc i wrzeszcząc. Olbrzymi ptak zeskoczył z gniazda i stanął przed napastnikami. Zjeżył pióra na piersi, wyciągnął szyję i zaatakował dziobem, kopiąc jednocześnie potężnymi nogami. Po równinie ile sił w nogach, z rozpostartymi skrzydłami i wygiętą szyją, skrzecząc głośno i chrapliwie, pędziła wielka, brązowa samica.



Lew z towarzyszami ściągał na siebie uwagę ptaka, a przez ten czas Wysoka i pozostałe samice zgromadziły jak najwięcej jaj i pobiegły do kępy drzew. Rozbijały gigantyczne jajka i pochłaniały ich zawartość. Lew i reszta samców odbiegli od strusi nad zniszczonym gniazdem i dołączyli do grupy. Tłukli grube skorupy, a następnie palcami wybierali białko i żółtko. Kilku szczęśliwców znalazło w jajach strusiątko i żywcem pożarło wijące się z bólu i trzepoczące stworzenia. Wysoka zaniósła jajo Starej Matce. Zanim włożyła je w rękę staruszki, stłukła skorupę na czubku. Kiedy Stara Matka zaspokoila głód, Wysoka usiadła, by zjeść ostatnie jajo. W tej samej chwili pojawił się Lew. Wyrwał jej jajo i jednym haustem połknął ogromne żółtko. Odrzucił pustą skorupę i chwycił Wysoką. Cisnął ją na ziemię, przytrzymał nadgarstki jedną ręką, a drugą przygiął jej kark do ziemi, po czym w nią wszedł, a ona wyła na znak protestu, bezsilna i bezbronna.

Gdy skończył, odszedł, by zdrzemnąć się w cieniu, w miejscu, które sobie upatrzył. Okazało się, że siedzi tam Skorpion oparty o drzewo. Lew uniósł pięść, ryknął i Skorpion musiał ustąpić.

W południe, gdy na sawannie panował spokój, spali. Nieopodał w słońcu odpoczywała grupa lwów. Resztkami ich ofiary zajęły się teraz sępy – nie interesowała chwilowo sytych ludzi. Najedzone koty nie stanowiły zagrożenia. Wysoka się nie kładła. Oglądała potłuczone skorupy w nadziei, że pozostało w nich choć trochę białka lub żółtka. Gorsze od głodu było jednak pragnienie. Raz jeszcze przyjrzała się kłębowi dymu na niebie. Zdawała sobie sprawę, że im dalej na zachód, tym woda będzie gorsza.

Dymiąca góra przysnęła, wypluwała mniej dymu i popiołu, więc powietrze stało się nieco czystsze. Po wielu dniach jedzenia korzeni, dzikich bulw i z rzadka jaj ludzie nabrali ochoty na mięso. Szli za stadem antylop i zebr, świadomi, że wielkie koty robią to samo. Kiedy zwierzęta przystanąły na żerowisku, Nozdrze wszedł na trawiasty pagórek i czatował w ukryciu.

Przez cały spokojny, coraz bardziej upalny poranek ludzie czekali. W końcu ich cierpliwość została nagrodzona. Ujrzeni lwicę skradającą się wśród traw. Wiedzieli, w jaki sposób zwykle poluje: idzie pod wiatr, niewykryta, i podchodzi jak najbliżej pasących się stworzeń, by dopaść ofiarę.

Wysoka, Stara Matka, Dziecina, Głodny i cała reszta kucali bez ruchu, wpatrzeni w Nozdrze, który pokazywał, co robi zwierzę. Nagle lwica skoczyła do przodu, a zaniepokojone ptaki wzbiły się w niebo. Stado runęło przed siebie, ale kocica była szybka, już po chwili złapała chromą zebra. Drapieżnik potężną łapą uderzył ofiarę w bok, rozcinając jej skórę ostrymi pazurami. Raniona zebra upadła. Gdy usiłowała wstać, lwica rzuciła się na nią, zacisnęła mocne szczęki na jej pysku i przytrzymała, dusząc powoli nieszczęsne stworzenie. Zaciągnęła łup w cień baobabu, a za nią podążyli ludzie. Zachowywali się cicho i szli cały czas pod wiatr. Znowu przykucnęli, widząc stado samców i młodych biegnących na ucztę. Okolica wypełniła się dzikim rykiem

i powariowaniem, kiedy lwy walczyły ze sobą, zanim zabrały się do jedzenia. Po niebie krążyły już sępy.

Z burczącymi brzuchami i śliną ciekącą z ust na myśl o mięsie Rodzina Wysokiej cierpliwie czekała w ukryciu. Nawet dzieci rozumiały, że najważniejsza jest cisza, że to właśnie od niej zależy, czy będzie się myśliwym, czy ofiarą. Popołudnie ciągnęło się w nieskończoność, cienie się wydłużyły, słychać było jedynie żarłoczne mlaskanie wielkich kotów. Nozdrze czuł ból w nogach i grzbiecie. Głodny miał nieprzepartą ochotę podrapać się pod pachami. Muchy przysiadły na nagiej skórze ludzi i gryzły niemilosiernie. Oni jednak nawet nie drgnęli. Wiedzieli, że wkrótce nadejdzie ich kolej.

Słońce skryło się za horyzontem. Niektóre dzieci zaczęły narzekać i popłakiwać, ale lwy były już zbyt najedzone, by zwrócić na to uwagę, gdy odchodziły od strzępów zebry na długą drzemkę. Ludzie patrzyli, jak samce o czarnych grzywach, ziewając, odchodzą leniwie, a za nimi idą tłuste młode z usmarowanymi krwią pyskami. Lwy ułożyły się pod baobabem. Teraz nadleciały sępy. Nozdrze i Głodny wpatrywali się w Lwa w oczekiwaniu na sygnał. Na znak ruszyli przed siebie, wrzeszcząc i ciskając w ptaki kamieniami. Olbrzymie ptaszyska, także bardzo głodne, nie chciały ustąpić. Rozpostarły masywne skrzydła, dziobami i szponami broniły swojej własności, raniąc niektórych samców.

Ludzie, głodni i zmęczeni, musieli się wycofać.

Znowu przycupnęli w trawie, nasłuchując hien i dzikich psów. Wiedzieli, że z pewnością się pojawią. Po krótkim zmierzchu zapadła noc, a sępy wciąż ucztowały. Wysoka przesunęła palcami po spieczonych wargach. Brzuch rozbolał ją z głodu. Dzieci Zbieraczki Miodu rozpaczliwie płakały. Ludzie wciąż czekali.

Wreszcie, gdy nad horyzontem pojawił się jasny księżyc i spowił okolicę mleczną poświatą, najedzone sępy odleciały. Wymachując włóczniami i wrzeszcząc ile sił w płucach, ludzie zdołali odpędzić hieny od resztek zebry – niestety, zostały już tylko skóra i kości. Ostrymi toporkami szybko odcięli nogi zwierzęcia. Unosząc trofea wysoko nad głowami, odbiegli, a hieny rzuciły się do pożerania ścięgien, wiązań i sierści.

Pod osłoną drzew Rozpalaczka Ognia zabrała się do rozniecania ogniska, by odstraszyć dra piezniki. Lew i inni silni mężczyźni zdarli skórę z nóg zebry, a następnie połamali kości, by dostać się do cennego jasnorożowego szpiku. Oblizując wargi, ludzie pojękiwali i wzdychali na ten widok. Natychmiast zapomnieli o długim czuwaniu w trawie, obolałych stawach i nogach. Nikt nie rzucał się w pośpiechu na jedzenie. Lew rozdał tłusty przysmak, i tym razem otrzymali go wszyscy, nawet Stara Matka.

Wysoka znowu próbowała zaprotestować przeciwko kierunkowi, który obrali, ale Lew uderzył ją tak mocno, że upadła na ziemię. Zebrałszy dzieci, niemowlęta i skromny dobytek, Ro-

dzina ruszyła na zachód. Stara Matka podeszła do Wysokiej. Wydając krzepiące pomruki, głaskała rozszoszczoną wnuczkę po policzku.

Wędrowali w zadymionym, wulkanicznym powietrzu. Nagle Stara Matka jęknęła i złapała się za pierś. Z trudem chwytając oddech. Wysoka wzięła ją pod rękę. Przeszły jeszcze kilka kroków, zanim Stara Matka krzyknęła i upadła. Inni popatrzyli na nią, ale szli dalej, ich myśli zaprzętało jedynie jedzenie. Szukali kopców termitów i kęp jagód, drzew orzechowych oraz najrzadszego ze wszystkich przysmaków – miodu. Starej Matce, która urodziła połowę ich matek, nie poświęcili ani krzty uwagi. Jedynie Wysoka starała się pomóc staruszce. Zarzuciła ją sobie na plecy i poniosła. Równikowe słońce paliło, ciężar stawał się coraz bardziej nieznośny. W końcu, mimo swojej postury i siły, Wysoka nie mogła już dłużej dźwigać Starej Matki.

Osunęły się na ziemię, a Rodzina, zmuszona do postoj, niezdecydowanie dreptała w kółko. Lew przykleknął obok nieprzytomnej samicy. Obwąchał ją, poklepał po policzkach i zajrzał w usta. Popatrzył na zamknięte oczy i sine wargi.

– Hm – mruknął. – Martwa. – Miało to oznaczać, że wprawdzie Stara Matka jeszcze żyje, ale już nic z niej nie będzie. Wstał. – Idziemy.

Niektóre samice zaczęły zawodzić, inne szlochały ze strachu. Zbieraczka Miodu tupiała, wymachując rękami i wydając żalosne dźwięki. Duży Nos przytulił nieprzytomną matkę i zaszlochał. Guz usiadł u boku staruszki i pociągnął ją za rękę. Małe dzieci, przerażone zachowaniem dorosłych, wybuchnęły płaczem. Lew wziął jednak włócznię i maczugę, odwrócił się plecami do reszty i ruszył na zachód. Jedno po drugim podążali za nim, aż zniknęła cała grupa, tylko maruderzy oglądali się na Wysoką, która została ze Starą Matką.

Darzyła staruszkę uczuciem, którego nie potrafiła nazwać. Kiedy stado opuściło matkę Wysokiej, dziewczynka płakała całymi dniami. To Stara Matka otoczyła ją troskliwą opieką, to ona ją karmiła i z nią spała. Matka mojej matki, myślała Wysoka, niejasno rozumiejąc swoją więź z tą kobietą, choć wychowała się w Rodzinie, która nie znała pojęcia pokrewieństwa.

Wkrótce zostały same na bezkresnej sawannie, tylko sępy krążyły nad ich głowami. Wysoka zaciągnęła Starą Matkę do kryjówki wśród drzew i oparła ją o pień. Dzień dobiegał końca, dziewczyna wiedziała, że noc sprowadzi złotookie mięsożerne bestie.

Znalazła dwa kamienie i przykucnięta nad stertą suchych liści zaczęła uderzać jednym o drugi. Skrzesanie iskry wymagało niezwyklej cierpliwości i silnej woli, wkrótce z wysiłku rozboleły ją plecy i ramiona. Wiele razy patrzyła, jak ta sztuka udaje się Rozpalaczce Ognia, a teraz sama musiała to zrobić. Niebo ciemniało, a gwiazdy usiłowały wyrzeć zza wulkanicznego dymu. Wysoka uderzała raz za razem kamieniem o kamień i w końcu zatlił się niewielki płomień. Dmuchięła delikatnie i dorzuciła nieco suchych liści. Potem ułożyła wokół ogniska kamienie, na górę cisnęła gałęzie. Widząc płomień rozjaśniające nocną ciemność, czuła się pokrzepiona.

Stara Matka, wciąż nieprzytomna, oddychała z trudnością. Miała zamknięte oczy i twarz wy-

krzywioną bólem. Wysoka usiadła obok niej i czekała. Już wcześniej widziała śmierć. Przycho-  
dziła do zwierząt na sawannie, czasem do członków Rodziny. Ich ciała zostawiano, Rodzina  
mówiła o nich jeszcze jakiś czas, a potem zapominała. Myśl, że i ona umrze, nigdy nie przyszła  
Wysokiej do głowy. Pojęcie własnej śmiertelności, samoświadomość były jej bardziej obce niż  
dalekie gwiazdy.

Po pewnym czasie Wysoka uznała, że Starą Matkę trzeba napoić. Niedaleko dostrzegła kępę  
roślin, niemal równie wysokich jak ona sama, o nakrapianych kwiatach w kształcie dzwonek  
i mechatych liściach. Na pewno rosły blisko wody! Zaczęła grzebać w ziemi z nadzieją, że natrafi  
na wilgoć. Nagle dobiegło ją szczekanie hien. Włoski zjeżyły się jej na karku. Widziała już hieny  
atakujące i pożerające ludzi wrzeszczących z bólu i przerażenia. Tylko ogień mógł powstrzymać  
drapieżniki – musiała szybko do niego wrócić, zanim zgaśnie.

Kopała coraz bardziej gorączkowo. Woda tu jest, skoro rosną tak wielkie rośliny! Wrywała  
twardą ziemię palcami, aż zaczęły krwawić.

W końcu usiadła, zniechęcona, znużona i potwornie śpiąca. Musiała jednak znaleźć wodę  
i pilnować ognia! Musiała chronić Starą Matkę przed drapieżnikami czającymi się w ciemności!

Wtem dostrzegła na ziemi jakiś błysk. Woda! Jasna i czysta, a na niej łodyga kwiatu. Kiedy  
jednak sięgnęła ręką, stwierdziła, że to, co wzięła za wodę, jest twarde i wcale nie przypomina  
maleńkiej kałuży. Ściskając tajemniczy przedmiot w dłoni, ze zdumieniem wpatrywała się  
w odrobinę niebieskiej wody, oblepionej zeschniętymi liśćmi naparstnicy. Jak woda mogła być  
twarda? Musiał to jednak być płyn, przezroczysty i gładki, a w każdym razie wyglądał tak, jakby  
lada chwila miał zamienić się w ciecz.

Zaniosła kamień, okruch meteorytu sprzed trzech milionów lat, do Starej Matki. Wzięła ko-  
bietę w ramiona i wsunęła kryształ między jej spierzchnięte wargi. Stara Matka natychmiast za-  
częła ssać, w kącikach jej ust pojawiła się ślina i Wysoka zrozumiała, że twarda woda znów jest  
płynna.

Po chwili jednak, ku jej zaskoczeniu, kamień wysunął się z ust Starej Matki. Był twardy  
i lśniący, gdyż liście staruszka zlizwała.

Kryształ pasował do dłoni Wysokiej jak jajo do gniazda, i miał powierzchnię gładką niczym  
woda. Światło księżycy odbijało się w nim jak w jeziorze albo strumieniu. Kiedy go obróciła  
i spojrzała pod światło, dostrzegła, że w głębi jest ciemniejszy i bardziej lśniący.

Westchnienie Starej Matki odwróciło uwagę Wysokiej od kryształu. Ze zdumieniem zoba-  
czyła, że usta chorej nie są już sine, ale na nowo się zaróżowiły, i że staruszka oddycha  
z mniejszym wysiłkiem. Po chwili otworzyła oczy i uśmiechnęła się. Potem usiadła, ostrożnie  
dotykając pomarszczonej piersi. Ból minął.

Obie wpatrywały się w przezroczysty kamień. Nieświadome leczniczych właściwości na-  
parstnicy doszły do wniosku, że to woda w kamieniu wyleczyła staruszkę.

Kiedy o poranku dołączyły do Rodziny, pozostali patrzyli na nie z łagodnym zdumieniem. Powoli zaczęli zapominać o Wysokiej i jej babce. Za pomocą gestów i kilku słów Stara Matka wyjaśniła, że to wodny kamień sprowadził ją z martwych. Wysoka podała go spragnionym członkom grupy. Po kolei ssali kryształ, aż pociekła im ślina. Na chwilę pragnienie zostało ugaszone. Wszyscy patrzyli na Wysoką ze zdziwieniem i lekkim strachem.

Natrafiała na obcego przypadkiem. W gęstych krzakach nad jeziorem na zachodzie szukała jaj salamandry i wtedy go dostrzegła. Wcześniej nigdy nie widziała tego wysokiego młodzieńca o szerokich ramionach i muskularnych udach. Zastanawiała się, skąd przyszedł.

Rodzina pojawiła się nad jeziorem dzień wcześniej. Wodę pokrywała warstwa popiołu, martwe ryby już gniły. Jaj żółwi i gadów nie było, roślinność wzdłuż brzegu przysypał pył tak gruby, że szerniałe korzenie nie nadawały się do jedzenia. Ptaki odleciały, gniazda żurawi i pelikanów były puste. Wśród usychającego sitowia zostało tylko małe stado kaczek walczących o przeżycie. Wszyscy sprawni członkowie Rodziny ruszyli na poszukiwanie żywności, starsi i dzieci pozostali w obozowisku na względnie bezpiecznej półce skalnej. Wysoka zauważyła stadko zebr, klęczących nad brzegiem rzeki i usiłujących wypić choć parę kropli. Wtedy właśnie pojawił się nieznajomy. Robił coś bardzo dziwnego.

Trzymał w ręku pętlę ze zwierzęcego ścięgna z wpasowanym w nią kamieniem. Drugą ręką cisnął w wodę inny kamyk i wypłoszył stado kaczek. Teraz zakręcił ścięgnem nad głową i puścił kamień. Na oczach zdumionej Wysokiej pocisk wyleciał w powietrze i trafił w jednego z ptaków, który runął do jeziora. Młodzieniec wbiegł do płytkiej wody i wyciągnął martwą kaczkę.

Wysoka westchnęła z zachwytem, a wtedy nieznajomy znieruchomiał. Odwrócił się w jej stronę i wpatrywał w morze trawy, aż Wysoka, czując dziwny przyptyw odwagi, wynurzyła się z gąszczy.

Nie bała się – na szyi nosiła wodny kamień zawieszony na źdźble trawy. Spoczywał między jej piersiami jak gigantyczna kropla wody, a jego zamglony środek, powstały trzy miliony lat wcześniej, kiedy kosmiczny diamentowy pył zmieszał się z ziemskim kwarcem, połyskiwał niczym serce.

Oboje, ona i nieznajomy, przypatrywali się sobie nieufnie.

Obcy różnił się wyglądem od członków Rodziny: miał inny kształt nosa, mocniejszą szczękę, oczy o intrygującej barwie mchu. Jego włosy, podobnie jak włosy ludu Wysokiej, były długie, splecione i matowe od czerwonego błota, ale ozdobił je kawałkami muszli i kamieni, co dziewczyna uznała za bardzo twarzowe. Najbardziej niezwykle wydały się jej strusie jaja, które zwisały mu u paska z plecionej trzciny. W jajach były dziury, zatkałe błotem.

Mimo że mówili różnymi językami, młody samiec zdołał wyjaśnić Wysokiej, że ma na imię Kolec i jest członkiem rodziny zamieszkującej dolinę, której Wysoka nigdy nie widziała. Za pomocą gestów i dźwięków opowiedział dziewczynie, skąd się wzięło jego imię. Podskakiwał, uda-

jąc, że wyje z bólu, i trąc pośladki. Wysoka szybko zrozumiała, że zyskał imię po upadku na kolczasty krzew. Śmiała się do rozpuku, a Kolec, zachwycony jej reakcją, wyciągnął ku niej martwego ptaka.

Spowaźniała. W jej umyśle pojawiło się pewne wspomnienie: dawno, dawno temu, zanim Lew został przywódcą, jeszcze przed Rzeką, kiedy Wysoka była bardzo mała, do Rodziny przyszli dwaj obcy. Na początku traktowano ich nieufnie, ale wkrótce zostali przez grupę zaakceptowani. Potem jednak coś się stało – doszło do walki. Wysoka pamiętała krew i zwłoki przywódcy Rodziny leżące na ziemi. Jeden z obcych zajął jego miejsce, od tamtego czasu wszyscy podążali za nim.

Czy nieznajomy zamierzał zabić Lwa i zostać nowym przywódcą?

Milcząc, przypatrywała mu się ciekawie. Tymczasem Kolec zabił jeszcze kilka kaczek i wspólnie zanieśli je do obozowiska Wysokiej.

Rodzina zakrzyknęła z radości na widok ptactwa. Nie jadła mięsa od wielu dni. Z zainteresowaniem przyglądano się nieznajomemu. Dzieci zerkały nieśmiało spomiędzy nóg matek, starsze dziewczęta bezczelnie się w niego wpatrywały. Zbieraczka Miodu wyciągnęła rękę i połaskotała go po przyrodzeniu, ale odskoczył ze śmiechem, nie spuszczać wzroku z Wysokiej. Lew wskazał strusie jaja przytroczone do pasa obcego. Kolec odwiązał jedno i podał je przywódcy. Lew ze zdumieniem przyjrzał się zatkanemu otworowi, pomyślał chwilę i wetknął palec do dziury, ale zamiast żółtka znalazł w jajku wodę. Kolec odwrócił jajo do góry nogami i wlał jej trochę do ust. Potem znów podał jajo Lwu. Ludzie osłupieli. Który ptak składa jaja z wodą? Wysoka jednak zrozumiała: Kolec wlewał wodę do pustych skorup. Domyśliła się, po co, choć jeszcze nie umiała ubrać tego w słowa. Kolec nosił wodę na wypadek, gdyby zachciało mu się pić.

Wrzucili kaczki do ognia, żeby opalić pióra i podpiec mięso. Tego wieczoru odbyła się prawdziwa uczta, zakończona beztróskim obrzucaniem się kośćmi. Stara Matka z rozkoszą wysysała szpik i popijała *świeżą* wodą ze strusich jaj. Wszystkie samice patrzyły na młodego nieznajomego, podniecone jego siłą i figlami. Nawet samce nie miały nic przeciwko jego obecności – do czasu.

Rodzina pozostała nad jeziorem, żywiąc się kaczkami Kolca, dopóki ich nie zabrakło. Kolec nie zasiadał przy ogniu jak inne samce, nie wylupywał kamiennych narzędzi i nie strugał włóczni. Miał w sobie jakiś niepokój, potrzebę bycia w centrum uwagi. Wysokiej przypominał duże dziecko, skore do rozśmieszania innych. Hasał i dokazywał, skakał i robił miny bez żadnego istotnego powodu. Ale po kilku wieczorach Wysoka, a za nią reszta Rodziny, zrozumiała, że figle nieznajomego mają coś znaczyć.

Snuł opowieści.

W przyszłości nazwano by go błaznem, ale Rodzinę fascynowały jego występy. Nie wiedzieli, co to rozrywka, nigdy nie wspominali minionych wydarzeń. Kiedy jednak zaczęli rozumieć jego miny, gesty oraz dźwięki, które z siebie wydawał, pojmowali, co chciał im opowiedzieć. Były to proste historie, w których Kolec prezentował polowanie i ludzi zmierzających z zabitym żyrafą do obozowiska albo odgrywał wydobywanie z wody dziecka, które o mały włos by się utopiło, lub gwałtowną walkę z krokodylem, zakończoną śmiercią człowieka. Słuchacze wybuchali śmiechem, uderzając się po udach, płakali, ocierając łzy, jęczyli ze strachu lub pomrukiwali ze zdumieniem. Nad jeziorem brakowało jedzenia, woda była niesmaczna i słonawa, ginęły w niej nawet ryby, ale dzięki Kolcowi ludzie zapominali o pragnieniu i głodzie. Nigdy nie mieli dość oglądania, jak wpada w kolczasty krzew i cierpi z powodu ran na pośladkach.

Pewnego wieczoru zadziwił ich jeszcze bardziej. Nagle stał się kimś zupełnie innym.

Podniósł się z miejsca i zaczął dziwnie krążyć wokół ognia – skulił lewą rękę na piersi, powłóczył lewą nogą. Najpierw spoglądali na niego ze zdumieniem, a potem jęknęli. Wyglądał jak Skorpion! Ze strachem rozejrzeli się wokół, żeby sprawdzić, czy wciąż tu jest – a może jakimś sposobem wszedł w ciało Kolca? Był jednak na swoim miejscu, wpatrzony z przerażeniem w obcego. Skorpion stopniowo tracił czucie w lewej stronie ciała, jego ręka i noga stały się niemal bezużyteczne.

Wtem Kolec znów się zmienił: kręcił biodrami i udawał, że wpycha sobie coś do ust. Zbierraczka Miodu!

Nozdrze krzyknął ze złości i strachu, ale niektóre dzieci wybuchnęły śmiechem. Kiedy zaś Kolec nastroszył długie, matowe włosy i zaczął drobić w miejscu – natychmiast rozpoznali Dziecinę – śmiali się już wszyscy.

Spodobała im się nowa zabawa. Kolec powłóczył nogami, poruszał się niezdarnie, a oni wołali: Ślimak! Pocierał grzbietem o drzewo, a wszyscy krzyczeli: Guz! Zarzucił sobie małego chłopca na plecy, skrzyżował mu ręce pod swoją brodą, a nogi w pasie, na podobieństwo gnijącej skóry okrywającej Lwa – trzymając się za brzuchy, ryczeli z radości.

Kolec chętnie ich rozśmieszał. Ta Rodzina przypominała jego własną: to samo jedli, poruszali się po znanych sobie ścieżkach, żyli według identycznych zasad. Samice i dzieci tworzyły jedną grupę, samce drugą, a jednak wspólnie walczyli o przetrwanie. I tu samice zajmowały się dziećmi, samce zaś strugały włócznie i ciosały z kamienia topory. Gniew pojawiał się nagle i równie szybko znikał. Zdarzały się przypadki zazdrości i zawiści, byli przyjaciele i wrogowie. Stara Matka podobna była do Wierzby z jego rodziny, o krzywych nogach, zniszczonych piersiach i bezzębnych dziąsłach. Nozdrze i Guz kojarzyli mu się z braćmi, wspominał wspólne zabawy w dzieciństwie.

I była jeszcze Wysoka.

Wyróżniała się na tle innych nie tylko wzrostem, ale również inteligencją. Dostrzegł, z jaką

powagą obserwuje dymiącą górę na horyzoncie, jak jej czoło marszczy się na widok czarnych chmur pędzących po niebie. Także czuł niepokój. Bardziej niż inteligencję cenił jednak w Wysokiej jej silne ciało, długie nogi i pewny krok. Lubił jej śmiech i cieszyło go, że zawsze dobrze traktowała słabsze samice, pilnowała, by wszyscy mieli co jeść. To ona sprawiła, że przypominał sobie samice z własnej rodziny, choć to wspomnienie stawało się już coraz słabsze.

Nie wiedział, dlaczego opuścił swoją grupę. Pewnego ranka poczuł dziwny niepokój. Zabrał toporek, nóż i odszedł. Inne samce przed nim też tak postępowały: brat matki Krótka Ręka i starszy brat Kolca, Jednouchy. Większość zostawała. Żądza wędrówki dopadała kilku osobników w każdym pokoleniu. Odchodzili i nigdy już nie wracali.

Jeszcze przez pewien czas pamiętał tę, która dała mu życie, oraz swoje siostry. Teraz patrzył na wysoką, kuszącą dziewczynę, nieświadomy, że o jego odejściu zdecydował niedobór samic w rodzinie, że do ucieczki pchnął go instynkt. Od czasu do czasu zdarzało się też, że do jego rodziny dołączali młodzi mężczyźni z innych grup. Kolec z nikim się nie pożegnał. Z czasem rodzina miała go zapomnieć, podobnie jak on ją.

Jezioro w końcu stało się tak brudne, że zniknęły ostatnie kaczki. Rodzina musiała wyruszyć w dalszą drogę.

Sytuacja była coraz gorsza. Co krok trafiali na martwe zwierzęta. Początkowo cieszyła ich obfitość mięsa, z czasem jednak setki i tysiące śmierdzących ciał elandów i gnu, słoni i nosorożców były zbyt zepsute, by je zjeść. Powietrze cuchnęło zgnilizną, wokół krążyły chmury czarnych much.

Wysoka zdawała sobie sprawę, że zwierzęta umierają, bo roślinność pokryta jest sadzą i popiołem. Tylko padlinożercy mogli się najeść, więc szakale, hieny i sępy mocno przybrały na wadze. Wysoka i Kolec zgodnie twierdzili, że istnieje związek między wulkanem a śmiercią zwierząt. Lew jednak upierał się, żeby Rodzina nadal szła na zachód, bo tam znajdzie wodę i pożywienie.

Z każdym dniem wodopoje stawały się coraz bardziej zanieczyszczone. Żywność trafiała się rzadko – małe zwierzęta zniknęły, a rośliny pokrywała sadza. Niebo pociemniało, ziemia drżała raz po raz. Każdego dnia o zmierzchu Wysoka obserwowała górę i była coraz bardziej pewna, że Lew wiedzie ich na pewną zgubę.

Matkom brakowało mleka, niemowlęta umierały. Łasica kilka dni dźwigała martwe dziecko. W końcu usiadła obok kopca termitów, który niegdyś zapewniłby Rodzinie prawdziwą ucztę, teraz jednak był całkiem pusty. Pochyliła głowę ku niemowlęciu i już tu została, podczas gdy reszta ruszyła przed siebie.

Pewnej nocy Wysoka spała niespokojnie. Śniło jej się, że śmieje się z błazeństw Kolca. Pragnęła czegoś całkiem nowego; czuła tęsknotę przypominającą głód, ale to nie jedzenia pożądała.



Obudziło ją wycie psa w oddali. Ujrzała jakąś postać skradającą się po obozowisku. Rozpoznała Kolca. Zamierzał opróżnić pęcherz, czy też postanowił przyjść do niej? Kolec minął jednak granice obozowiska i wyszedł na równinę. Wysoka podążyła za nim, ale tylko do pochodni i zasieków z akacji, gdzie na warcie stali Ślimak i Skorpion. Czekwała na Kolca. Do rana nie wrócił i Rodzina wyruszyła w dalszą drogę.

Przez następne cztery noce Wysoka bezgłośnie płakała w swoim legowisku, przekonana, że uroczy nieznajomy zginął. Dlaczego odszedł, skoro Rodzina go zaakceptowała? Uczucie, którym zaczynała go darzyć, zastąpiły ból i żal, emocje dotychczas jej nieznane.

Nagle jednak znowu się pojawił; stał na pagórku w świetle zachodzącego słońca, wymachiwał rękami i podskakiwał. Rodzina pobiegła w jego kierunku. Gestem nakazał, by szli za nim, i poprowadził ich wzdłuż krętego łożyska wyschniętego strumienia, na wzgórzu obok wąskiego skalistego kanionu. Dumnie wskazał im swoje znalezisko.

Gaj tamaryndowców. I wszystkie ich części nadawały się do jedzenia.

Ludzie niczym szarańcza dopadli wysokich, gęsto rosnących drzew. Szukali mięsistych owocni, rwali liście, obdzierali drzewa z kory i wpychali do ust co popadło. Owoce ugasiły pragnienie, korą się najedli. Rozpalaczka Ognia zajęła się ogniskiem. Nasiona tamaryndowca wrzucili na gorące kamienie – przydadzą się na później.

Teraz Wysoka płakała z radości i podziwu. Wszyscy myśleli, że Kolec uciekł z głodu i pragnienia, a okazało się, że poszedł szukać pożywienia dla Rodziny – i że je znalazł.

Rozkład sił w grupie zmienił się momentalnie. Kolec dostał największy owoc tamaryndowca. Lwu przypadły w udziale resztki.

Kiedy ogołoco tamaryndowce z owoców, kory i liści, Rodzina ruszyła w dalszą wędrówkę. Tym razem mieli co pić. Kolec pokazał im, jak wycisnąć sok z owoców do pustych jaj strusia.

Nadal natrafiali na gnijące trupy, ale szpik kostny był dobry i pożywny. Przez pewien czas wulkan odpoczywał, na niebie na krótko pojawiły się gwiazdy. Kolec poprowadził Rodzinę do źródła artezyjskiego, w którym znaleźli świeżą wodę. Oznajmił, że tu zatrzymają się na noc.

Nikt nie pytał Lwa o zdanie.

Żądza, którą Wysoka poczuła tej nocy, gdy Kolec poszedł szukać pożywienia, narastała, aż w końcu myśli o młodym samcu wypełniały jej umysł dniem i nocą. Pragnęła jego ciała, jego dotyku. Kiedy Rodzina zajmowała się przy ognisku pielęgnacją, Wysoka marzyła, by to Kolec okładał ją błotem. Zerknęła wstydliwie na drugą stronę obozowiska, gdzie pokazywał towarzyszom, jak się robi procę, i śmiał się razem z nimi. Spojrzał na nią i poczuła przyływ pożądania.

Nie mogąc usiedzieć na miejscu, opuściła grupę i podeszła do odsoniętej skały, gdzie kilka pokrytych sadzą czapli brodziło w wodzie ze źródła. Niejasno uświadamiała sobie, że cieszą ją gwiazdy i księżyc na wciąż nieco zamglonym niebie, i to, że ziemia nie zdrząła od wielu dni.

Może by ją to zastanowiło, gdyby nie znalazła się w mocy dziwnego zaklęcia.

Kiedy usłyszała kroki w wysokiej trawie, nie poczuła niepokoju. Instykt podpowiedział jej, kto idzie i po co. Odwróciła się i w świetle księżyca ujrzała uśmiech Kolca.

Tyle razy widziała, jak robią to inni, i dziwiło ją, po co to całe dotykanie i pieszczoty, smakowanie i wączanie. Teraz jednak sprawiało jej to przyjemność. Kolec przycisnął usta do jej policzków i szyi, potarł nosem o nos; ręce Wysokiej dotykały jego ciała, aż zaczął jęczeć z rozkoszy. Uśmiechnął się, a ona zachichotała. Połaskotał ją, a Wysoka, zanosząc się śmiechem, rzuciła się do ucieczki. Kolec popędził za nią, pohukując i machając rękami. Pilnowała, żeby za daleko nie uciec, choć mogłaby umknąć mu bez trudu na swoich długich nogach. Kiedy ją złapał, oboje ryczeli ze śmiechu, a Wysoka opadła na kolana i pozwoliła mu w siebie wejść. Zanim skończyli, wyrwała się i, chichocząc, przetoczyła na plecy, pociągając go na siebie. Znów w nią wszedł, a ona przytuliła go mocno. Jej okrzyki rozkoszy słyhać było w całej okolicy.

Całe dni poświęcali wyłącznie sobie. Wączali ją, a ona zlizywała sól z jego pach. Kolec podskakiwał i tańczył, prostował się i wypinał pierś, by pokazać jej, jaki jest wielki. Wstydliwie odwracała wzrok, udając, że nie robi to na niej wrażenia. Chociaż mógł przebierać w samicach, upodobał sobie właśnie ją. Troszczyli się o siebie i, przytuleni, kładli się spać w tym samym legowisku. Wysoka nigdy nie darzyła nikogo takim uczuciem, nawet Starej Matki. W ramionach Kolca nie czuła strachu, a kiedy ją pieścił i w nią wchodził, przywierała do niego z niemal bolesną namiętnością. Poza tym już nie była osamotniona w lęku przed nowym niebezpieczeństwem – Kolec także spoglądał w niebo i obserwował, jak wiatr rozwiewa dym. Wiedział, że zbliża się zagrożenie.

Stara Matka w końcu zmarła. Zamknęła oczy, opierając głowę o ciężarny brzuch Wysokiej. Rodzina wyła i uderzała patykami o ziemię, a potem zostawiła ciało Starej Matki w trawie i ruszyła przed siebie.

Pewnego ranka, kiedy niebo zasnuło się dymem, a ziemia zadrżała, najstarsza córka Zbierraczki Miodu, która weszła właśnie w wiek dojrzewania i odkryła podniecające nowe pragnienia, obserwowała, jak Kolec robi procę ze ścięgni elanda. Przyglądała się szerokim ramionom i silnym rękóm mężczyzny, a potem do niego podeszła. Chichocząc, wypięła nagie pośladki. Kolec natychmiast się podniecił. To nie jej jednak pożądał. Podskoczył i rozejrzał się za Wysoką, która wyłuskiwała nasiona ze strąka baobabu. Podbiegł do niej, połaskotał, potargał włosy, zaczął podrygiwać i wydawać komiczne dźwięki. Roześmiała się i pociągnęła go między krzaki, gdzie kopulowali w palącym słońcu.

Lew przyglądał im się z zimną obojętnością, od przybycia obcego samice przestały mu się oddawać. Dzieci chodziły krok w krok za Kolcem, samce patrzyły na niego z podziwem. Za pomocą zabójczych kamieni mężczyzna strącał z nieba ptaki. Wieczorami zabawiał wszystkich

komicznymi występami. Kochali Kolca.

To był pomysł Zbieraczki Miodu, ją też martwiło zachwianie równowagi w Rodzinie. Kiedy Lew stracił swoją pozycję, ją spotkał taki sam los: brzemienna Wysoka zajęła miejsce dominującej samicy.

Podeszli do Kolca z uśmiechem, przyjaźnie – Guz, Głodny, Nozdrze, Zbieraczka Miodu, lojalni poplecznicy Lwa. Kolec siedział w cieniu akacji, robiąc proce ze sztywnych ścięgien wyciągniętych z rozkładającego się trupa żyrafy. Teraz je żuł i tłukł kamieniami, aż były wystarczająco elastyczne, by nadać się na broń.

Popatrzył na uśmiechniętą twarz Zbieraczki Miodu. Podała mu garść małych pomarszczonych jabłuszek. Kolec był zachwycony. Ta silna kobieta darzyła go niechęcią, odkąd dołączył do Rodziny. Ucieszyło go, że w końcu go zaakceptowała. Wstał i sięgnął po jabłka. Nagle zbliżył się do nich Lew w towarzystwie innych samców. Nieśli maczugi, włócznie i wielkie kamienie.

Kolec popatrzył na nich zdziwiony, a potem z uśmiechem ofiarował im część jabłek. Lew odtrącił owoce. Mężczyzna nadal wyglądał tak, jakby niczego nie rozumiał. Wtem rzuciło się na niego pięć potężnych, uzbrojonych samców.

Wyciągając ręce w obronnym geście, Kolec stracił równowagę i runął na drzewo. Posypały się ciosy. Za wszelką cenę usiłował zrozumieć, o co chodzi. Opadł na kolana i zaczął szukać proc leżących w trawie. Podniósł je, ale Lew maczugą uderzył go po rękach. Kolec próbował zrobić coś zabawnego, rozśmieszyć ich, ale krew ciekła mu z nosa i czaszki. Wyciągnął przed siebie ręce w niemym pytaniu: dlaczego? Lew wymierzył mu potężny cios maczugą. Kolec skulił się; próbował się zasłaniać, krzycząc z bólu pod gradem ciosów i kopniaków. Zanim stracił przytomność, w jego umyśle pojawiły się rozmaite obrazy: samicy, która go urodziła, obozowiska w dolinie, gdzie dorastał, zabaw z rodzeństwem, rozległej sawanny pod gorącym niebem. Nagle poczuł przenikliwy ból. Tuż przed śmiercią pomyślał o Wysokiej.

Słyszając krzyki, Wysoka i inni wypadli zza krzewów. Na widok zmaltretowanego ciała Kolca młoda samica wrzasnęła przeraźliwie. Rzuciła się na ziemię obok niego, wyjąc z rozpacz. Złapała Kolca za ramiona, jakby usiłowała go obudzić; lizała jego rany, przełykała krew. Ujęła spuchniętą twarz ukochanego w swoje ręce, a jej łzy spływały na posiniaczone ciało. On jednak nie ruszał się ani nie oddychał. Rodzina obserwowała w milczeniu, jak Wysoka wyje i tłucze pięściami w ziemię. W końcu umilkła. Kiedy wstała, wszyscy się cofnęli.

Była uosobieniem mocy – wysoka, brzemienna, z kamieniem błyskającym między pełnymi piersiami. Patrzyła w oczy zabójcom Kolca, jednemu po drugim, i wszyscy poza Lwem i Zbieraczką Miodu odwrócili ze wstydem wzrok.

Ciszę przerywało tylko brzęczenie owadów i daleki pogłos drżącej ziemi. Cała Rodzina przyglądała się w milczeniu – umilkły nawet dzieci – jak Wysoka przeszywa spojrzeniem swoich

nieprzyjaciół.

Po chwili pochyliła się wolno i podniosła z trawy jedną z proc Kolca oraz kamień. Lew czujnie zacisnął palce na trzonku maczugi. Wysoka jednak poruszała się błyskawicznie. W mgnieniu oka umieściła kamień w procy, wycelowała i strzeliła prosto w czaszkę Zbieraczki Miodu.

Zaskoczona starsza samica zachwiała się niepewnie. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, zanim Lew uniósł maczugę, Wysoka znów trafiła Zbieraczkę Miodu między oczy. Samica krzyknęła i upadła, a Wysoka stała już nad nią i z całej siły smagała ją procą, raz za razem, aż twarz Zbieraczki Miodu spuchła tak, że nie dało się już rozpoznać rysów.

Kiedy było po wszystkim, Wysoka odwróciła się do Lwa i z pogardą splunęła mu pod nogi.

Lew nawet nie drgnął. Gorący wiatr rozwiewał pył wulkaniczny i popiół. Wysoka nie spuszczała wzroku z przywódcy, przygważdżała go spojrzeniem, chociaż był od niej większy i silniejszy, uzbrojony we włócznię i maczugę.

Rodzina bez tchu czekała, co stanie się teraz, a oni toczyli ten Pojedynek na spojrzenia i wzajemna nienawiść niczym iskry z wulkanu wypełniała powietrze. Ziemia zadrżała nagle, gwałtowniej niż dotąd, tak że ludzie zachwiali się na nogach.

Rodzina instynktownie pobiegła ku pobliskim drzewom, lecz Wysoka nie ruszyła się z miejsca. Za lasem majaczyła płomienna góra. Z nieba spadał popiół, gorące kamienie i rozżarzony żużel. Górne gałęzie drzew zajęły się ogniem.

Nagle Wysoka zrozumiała nienazwane zagrożenie, które od dawna ją prześladowało, narastające poczucie lęku, świadomość, że coś jest nie tak. Teraz pojawiła się nowa myśl: „To miejsce nie jest dobre”. I choć jej lud żył tu od niepamiętnych czasów, nadeszła pora, by odejść.

Popatrzyła na wodny kamień między swoimi piersiami. Uniosła go i położyła na dłoni niczym jajko. Węższy koniec niebieskiego kamienia celował na wschód. W jego przejrzystym sercu zobaczyła wodę.

Uniesioną ręką wskazała na zachód, gdzie niebo pełne było czarnego wulkanicznego dymu, i krzyknęła:

– Źle! Umrzemy!

Drugą ręką pokazała czyste niebo na wschodzie.

– Tam! Chodźmy!

Jej głos był silny, przebijał się przez odgłosy grzmotów. Członkowie Rodziny wymieniali nerwowe spojrzenia; ich gesty podpowiedziały Wysokiej, że wielu chce się do niej przyłączyć. Ciągle jednak bali się Lwa.

– Idziemy – powtórzyła stanowczo.

Lew zwrócił się ku dymiącemu wulkanowi, demonstrując niezależność i odwagę, a kiedy ruszył, podążyli za nim Głodny, Guz i Skorpion.

Wysoka znowu z pogardą splunęła na ziemię. Po raz ostatni spojrziała na biedne, zmasakro-

wane ciało Kolca, już pokryte warstwą pyłu. Popatrzyła na pozostałych – Dziecinę, Nozdrze, Rozpalaczkę Ognia, Ość – i zrozumiała, że zostaną przy niej. Zostawiła za plecami ciemną chmurę zasnuwającą niebo na zachodzie i pewnym krokiem ruszyła na wschód, drogą, którą tu przyszli.

Nie obejrzeliby się nawet na Lwa i jego niewielką grupkę zmierzającą w przeciwnym kierunku; szli obok Wysokiej. Z trudem dotrzymywali jej kroku. Po drodze przystanęli, by zebrać strusie jaja i napełnić je świeżą wodą, a kiedy znaleźli pożywienie, Wysoka nie pozwoliła im zjadać wszystkiego, tylko kazała zabrać ze sobą nasiona i orzechy – na później.

Ziemia wciąż drżała, aż w końcu góra wybuchła. Wysoka i jej ludzie odwrócili się i ujrzeli ogromną czarną chmurę szybko rozpełzającą się po niebie. Zasłoniła słońce, rozpełtała istne piekło. Była to potężna erupcja wulkanu, który w dalekiej przyszłości nazwano Kilimandżaro. W mgnieniu oka pochłonęła Lwa i grupkę jego upartych popleczników.

### Przejście

Smutna po śmierci młodzieńca, który ją oczarował, i zdecydowana nigdy o nim nie zapomnieć, Wysoka porzuciła ogród, który niegdyś był jej światem. Uzbrojona w wodny kamień i wiarę, iż moc, dzięki której ludzie podążają za nią, pochodzi właśnie z niego, wiodła członków Rodziny na wschód, gdzie, jak przewidywała, znaleźli świeżą wodę. Zatrzymali się, a ona powiła pierwsze dziecko, nie zdając sobie sprawy, że to potomek młodego samca o imieniu Kolec. Potem znowu szli, aż dotarli na brzeg morza pełen skorupiaków i bogaty w wodę. Odkryli nowy rodzaj drzewa, które dawało jedzenie, wodę i cień: palmę kokosową, obficie porastającą te rejonny. Tu Rodzina pozostała na następnych tysiąc lat, aż stała się zbyt liczna i znów musiała się rozdzielić. Część jej ruszyła wzdłuż wybrzeża i zaludniła południową Afrykę, ale większość poszła na północ, ku granicy krain, które pewnego dnia nazwano Kenią, Etiopią i Egiptem. Ludzie zatrzymywali się w jakimś miejscu na kilka stuleci, a potem szli dalej, zawsze w poszukiwaniu nowych źródeł pożywienia i ziemi nietkniętej stopą człowieka. Wraz z nimi wędrował niebieski kamień, przekazywany z pokolenia na pokolenie.

Mijały tysiąclecia. Potomkowie Wysokiej pojawiali się nad rzekami i w dolinach, w górach i w lasach, podbijając nowe terytoria odległe od ich ojczystych ziem, ucząc się budować kryjówki lub żyjąc w jaskiniach, tworząc słowa i nowe sposoby komunikacji, „Wymyślając nowe narzędzia i broń, doskonaląc techniki łowieckie.

Wraz z rozwojem języka wytworzyła się organizacja społeczna, dzięki czemu możliwe stały się prawdziwe polowania. Ludzie z padlinożerców zamienili się w myśliwych. Zaczęli myśleć i, co za tym idzie, stawiać pytania i szukać odpowiedzi. Przyszły duchy, tabu, świadomość dobra i zła, widma i magia. Teraz niebieski kamień, lśniący okruch dawnego meteorytu, podróżujący

z ludźmi, czczony i traktowany z wielką powagą, nie miał już siły sam w sobie, lecz dysponował mocą ducha, który go zamieszkiwał.

Kiedy potomkowie Wysokiej dotarli do Nilu, znów się rozdzielili. Niektórzy pozostali na miejscu, reszta poszła dalej i niebieski kamień trafił na północ, gdzie lodowce pokrywały świat oślepiająco białym lodem. Lud Wysokiej napotkał rasę, która pochodziła od innych przodków i dlatego wyglądała odmiennie: ludzie byli ciężsi, mocniej zbudowani i silniej owłosieni. Nie dało się uniknąć walki o terytorium. Magiczny kamień wpadł w ręce obcego klanu, który czcił wilki. Szamanka Klanu Wilków zajrzała głęboko w serce kryształu i uświadomiła sobie, że tkwi w nim magiczna moc, kazała go więc umieścić w brzuchu kamiennej figurki.

I tak oto wodny kamień stał się symbolem płodności i kobiecej potęgi.

## *Księga druga*

### Bliski Wschód

Trzydzieści pięć tysięcy lat temu

Nigdy jeszcze nie widziały mgły.

Przestraszone kobiety, całkiem zagubione, daleko od domu, myślały, że biała mgła to skradający się w lesie zły duch, który odciął je od reszty świata i uwięził w swoim cichym, bezkształtnym królestwie. Po południu opary podniosły się na tyle, że widać było najbliższą okolicę, a potem, gdy wyszły gwiazdy, znów spowiły wszystko wokół.

Mgła nie była jedynym zagrożeniem w dziwnym nowym miejscu, po którym plemię Laliari błądziło od wielu tygodni. Wszędzie czaiły się duchy – ukryte, nienazwane, przerażające. Zagubione kobiety trzymały się jak najbliżej siebie, chodząc po tym wrogim świecie. Drżały z zimna – nosiły jedynie spódnice z trawy, odpowiednie w ciepłej dolinie, która była ich domem, ale zbyt liche w tym osobliwym kraju, dokąd musiały uciekać.

– Czy umarliśmy? – wyszeptwała Keeka i przytuliła śpiące dziecko do piersi. – Czy zniknęliśmy jak mężczyźni w rozgniewanym morzu, a teraz jesteśmy duchami? Czy tak jest po śmierci?

Nic nie widziały w gęstej mgle, dziwne echo towarzyszyło ich słowom, stopy głucho dudniły o ziemię przy każdym kroku. Miały wrażenie, że poruszają się po królestwie nie z tego świata. Keeka Pomyślała, że przypominają duchy – tak przynajmniej wyglądały jej towarzyszki, gdy szły ostrożnie przez gęsty biały tuman: kobiety o nagich piersiach, z włosami do pasa, w ozdobach z muszli, kości słońca i innych zwierząt, okryte skórą, ściskające w dłoniach włócznie o kamiennych ostrzach. Nie miały jednak twarzy duchów. Ich oczy, pełne strachu i zdumienia, z pewnością były ludzkie.

– Czy umarliśmy? – powtórzyła szeptem.

Nie doczekała się odpowiedzi. Jej kuzynka Laliari była zbyt smutna, by rozmawiać. Gorsza od złowróznej mgły, zimna i niewidzialnych duchów była utrata mężczyzn.

Ciemna głowa Dorona znikająca w zburzonych wodach.

Usiłowała wyobrazić sobie ukochanego takim, jakim był przed tragedią – młody, bez zarostu, wysmukły. Dzielny myśliwy najbardziej lubił siadać wieczorem przy ognisku i rzeźbić w kości słoniowej. Chętnie się śmiał i opowiadał ciekawe historie, miał też niespotykaną cierpliwość do dzieci. W przeciwieństwie do innych mężczyzn w klanie, którzy nie tolerowali maluchów, Doron pozwalał im wchodzić sobie na kolana i nawet sprawiało mu to przyjemność (choć raz rumienił się z zakłopotania, gdy ktoś go na tym przyłapał). Przede wszystkim jednak Laliari pamiętała jego uścisk nocą, gdy zasypiali przytuleni, gdy czuła na szyi jego oddech.

Stłumiła szloch. Nie powinna o nim myśleć. Wspominanie zmarłych przynosiło pecha.

Atak ich zaskoczył. Plemię Laliari żyło już w nadrzecznej dolinie od niezliczonych pokoleń, kiedy na trawiastej równinie pojawili się obcy z zachodu. Przybyli całymi tysiącami. Twierdzili, że ich ziemia wysycha i zmienia się w pustynię. Spoglądali zachłannie na trawiastą przestrzeń po obu stronach rzeki, na pasące się stada, nieprzeliczone ryby i ptaki. Żywności było tu pod dostatkiem, jednak chcieli dla siebie wszystkiego. Walka o terytorium okazała się długa i krwawa. Silniejsi i bardziej liczni przybysze zepchnęli klan Laliari na północ, zmuszając ludzi do ucieczki z całym dobytkiem na plecach – z grubymi słoniowymi kośćmi służącymi jako szkielet przenośnych namiotów oraz skórami, które po rozciągnięciu na kościach tworzyły ściany domostw. W delcie rzeki napotkali lud podobny do siebie, lecz niechętny do dzielenia się zapasami. Wybuchła następna walka o ziemię i plemię Laliari znowu musiało odejść, tym razem na wschód.

Z liczącego kilkaset osób klanu została osiemdziesięciodziewięciosobowa grupka. Kobiety, dzieci i starcy szli z przodu, mężczyźni osłaniali tyły, by chronić plemię przed atakami mieszkańców delty. W końcu dotarli na pełne trzcin moczary. Pierwsza grupa stała już bezpieczna po drugiej stronie, ale niczego niepodejrzewający mężczyźni byli dopiero w połowie drogi, gdy na potężne moczary napłynęła nie wiadomo skąd olbrzymia ściana wody i połknęła ich w jednej chwili.

Kobiety patrzyły z przerażeniem, jak myśliwi znikają we wzburzonych odmętach. Krzyki ucichły, zdławione przez wodę wypełniającą płuca tonących. Potem tafla wygładziła się i kobiety były pewne, że stoją na brzegu nowego morza. Nie wiedziały, że przyływy morskie zmieniają ten teren w rozlewisko, a podczas odpływów tworzy się na nim bagno.

Oszołomiona i zszokowana bezbronna grupka ruszyła wschodnim brzegiem akwenu ku północy, aż dotarła do jeszcze większego zbiornika wodnego – szerszego od ich rzeki, szerszego nawet niż to nowe morze, które zalało moczary wraz z trzcinami i ciałami mężczyzn. Woda sięgała horyzontu, ludzie nie widzieli ani ziemi, ani drzew po drugiej stronie. Po raz pierwszy w życiu zobaczyli fale rozbijające się o brzeg i krzyczeli ze strachu, gdy woda toczyła się ku nim, cofała, by za chwilę znowu ruszyć przed siebie niczym atakujące zwierzę. Choć w basenikach odpływowych znaleźli mnóstwo jedzenia – skałoczepy, pobrażki i małże – rozbitkowie rzucili się do ucieczki w głąb lądu, jak najdalej od morza, które całe wieki później nazwano Śródziemnym. Tak trafili do mglistej doliny, która w niczym nie przypominała ich rodzinnych stron.

Gromadka złożona z dziewiętnastu kobiet, dwojga starszków i dwadzieściorga dwojga dzieci daleko od swojej ziemi i wszystkiego to znane, bez mężczyzn, rozpoczęła wędrówkę w poszukiwaniu nowego domu.

Po kolejnej bezksiężycowej, pełnej strachów nocy nastał mglisty poranek. Z nadzieją wypatrywali gazeli, opiekuńczego ducha klanu. Nie spotkali ani jednej od opuszczenia rzecznej doliny. Czy w tej dziwnej krainie nie było gazeli? Czy klan zginie bez swojego ducha? Laliari przesła-dowała okropna myśl: zdarzają się rzeczy gorsze niż utrata ducha klanu. Nawet gorsze niż śmierć



mężczyzn. W tym pogrążonym we mgle świecie nie widzieli księżycy, i to od wielu tygodni.

Laliari nie była osamotniona w swoim strachu. Inne kobiety też opłakiwały mężczyzn, ale jeszcze bardziej rozpaczały nad utratą księżycy. Nie pokazał swojego oblicza od wielu dni i obawiały się, że może zniknąć na zawsze. Bez księżycy nie będzie dzieci, a brak dzieci oznaczał śmierć klanu. Już pojawiły się problemy: odkąd wędrowały samotnie, żadna z nich nie zaszła w ciążę.

Laliari poprawiła ciężar na ramionach. Spojrzała na dwoje starców, którzy wiedli niewielką gromadkę przez mgłę. Próbowwała pocieszać się myślą, że Alawa i Bellek dzięki swoim nadprzyrodzonym zdolnościom i znajomości magii odnajdą księżyc.

Laliari nie miała jednak pojęcia, że Alawa też się boi i że ukrywa straszliwy sekret.

Stara Alawa była Strażniczką Rogów Gazeli, a tym samym strażniczką dziejów klanu. Jej imię oznaczało Ta, Której Poszukują, bo w dzieciństwie zaginęła i klan szukał jej przez kilka dni. To jej przypadł przywilej noszenia na głowie gazeli rogów, związanych pod brodą ścięgnem zwierzęcia. Płatki jej uszu rozciągnęły się przez lata pod ciężarem ozdób, teraz dotykały kości starych ramion. Między jej pomarszczonymi piersiami wisały naszyjniki z muszli, kości słoniowej i kostek innych zwierząt. Całe ciało pokrywały amulety – nie służyły ozdobie, tylko magicznym rytuałom. Ludzie z plemienia Alawy wiedzieli, że aby przeżyć, muszą strzec każdego otworu w ciele przed Wtargnięciem złych duchów. W dzieciństwie przegrodę nosową dziurawiono piórem strusia, dorośli nosili tam igłę z kości słoniowej. To zapobiegało wejściu złych duchów przez nozdrza. Przekłuwano uszy na górze i na dole, podobnie usta. Magiczne amulety wiszące u pasa kryły pośladki i łono, gdyż duchy czasem wchodziły w człowieka przez odbyt albo pochwę.

Drugim mędrcom był Bellek, szaman i Strażnik Grzybów. Podobnie jak Alawa, miał długie, siwe włosy, pełne paciorków, które cicho postukiwały przy każdym ruchu. Ubrany był tylko w przepaskę na lędźwia z miękkiej gazelej skóry, ciało przystroił amuletami. Bellek nosił suszone grzyby w skórzanym woreczku, ale także szukał świeżych w lesie na brzegu tej nieznannej rzeki. Mimo że grzybów nie brakowało i grupa sporo ich zjadła podczas wędrowki po dziwnym świecie mgły i duchów, Bellek szukał pewnego specjalnego gatunku, o długim korzeniu i charakterystycznym kapeluszu, który jego zdaniem przypominał kobiecy sutek. Te grzyby przenosiły człowieka w metafizyczny świat, zamieszkały przez nadprzyrodzone istoty.

Laliari cieszyła się, że klan nadal ma Belleka i Alawę. Z pewnością wspólnymi siłami odnajdą księżyc.

Jakby wyczuwając na sobie spojrzenie dziewczyny, Alawa nagle się zatrzymała i spojrzała na nią przez mgłę. Inni także znieruchomieli i z niepokojem popatrzyli na Strażniczkę. Cisza ich przerażała – właśnie w takiej ciszy złe moce szykowały się do ciosu. Kobiety mocno przytuliły dzieci do siebie. Ta chwila zdawała się trwać w nieskończoność. Laliari wstrzymała oddech, wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Wreszcie Alawa odwróciła się i podjęła wędrowkę.

Doszła do wniosku, że jeszcze nie nadszedł czas, by podzielić się z innymi nową wiedzą, która legła jej ciężarem na sercu. Alawa odczytała, co mówią magiczne kamienie i przypomniała sobie swoje sny, patrzyła na ogień w obozowisku, śledząc drogę iskier, a wszystko to odkryło przed nią straszliwą prawdę.

Aby klan przetrwał, musiały zginąć dzieci.

Po południu mgła się podniosła i wędrowcy ujrzeli nieznaną las i piaszczysty brzeg rzeki, zanim słońce zanurkowało za horyzont. Pozbawiając ich światła.

Zatrzymali się na odpoczynek. Keeka i inne młode matki usiadły, żeby nakarmić piersią niemowlęta, dziewczęta poszły po wodę. Laliari wyjęła ostatnie daktyle i rozdała je grupie. Znaleźli je kilka dni wcześniej, w małym gaju nad rzeką. Rzucali kamieniami w mięsiste owoce, udało im się zbierać całkiem sporo. Urządzili sobie ucztę, a resztę włożyli do koszy dzwiganym na plecach.

Alawa oddzieliła się od grupy. Znalazła nasłonecznione miejsce, gdzie postanowiła powrócić z magicznych kamieni. Zgarbiony Bellek badał tymczasem z bliska każdą gałązkę i konar, każdy krzew i źdźbło trawy, żeby ustalić, czy to miejsce nie ściągnie na nich nieszczęścia. Jak dotąd niewiele było tu dobrej magii.

Sześćdziesiąt pięć tysięcy lat wcześniej mężczyźni imieniem Lew i jego ludziom nie przyszło do głowy, że mogą cokolwiek zmienić. Pojęła to dziewczyna nazwana Wysoką, dzięki czemu jej rasa przetrwała. Świadomość, że ludzie nie są zdani na łaskę losu, była darem Wysokiej dla przyszłych pokoleń. Przez tysiąclecia, rozmnażając się i poszerzając granice swojego świata, potomkowie Wysokiej wykształcili w sobie świadomość dążenia do zmiany i zachowanie kontroli. Obecnie próbowali zapanować nad wszystkim, co ich otaczało, uspokajając bogów i oddając im cześć. Musieli zachowywać nieustanną czujność, żeby utrzymać swój świat w równowadze. Najmniejsze potknięcie mogło rozgniewać duchy i ściągnąć na ludzi nieszczęście. Zanim przeszli przez strumień, mówili: „Duchu tego strumienia, pragniemy przejść w pokoju”. Gdy zabijali zwierzę, prosili je o wybaczenie. Bezustannie odczytywali swój świat. Ich przodkowie sprzed sześćdziesięciu pięciu tysięcy lat nie zwrócili uwagi na dymiący wulkan – Laliari i jej rodzina widzieli znaki w najmniejszej iskiecce. Alawa, wpatrując się w rozrzucone magiczne kamienie, zachodziła w głowę, co złego zrobili Morzu Trzcina, że połknęło myśliwych. Rzecz jasna, nie wiedzieli, że powstanie morze, jak zatem mogli użyć odpowiednich słów? Nawet nie znali jego nazwy, jak więc mieli przemówić do jego duchów? Z pewnością jednak pojawiły się znaki, które dałoby się odczytać – znaki pojawiały się zawsze. Czy przegapili coś, co zdołałoby zapobiec katastrofie?

A jakie znaki, pomyślała ponuro Alawa, zbierając kamienie, zapobiegają nadciągającej katastrofie? Raz jeszcze zbiór kamyków i niewielkich okruchów skalnych, przekazywany z pokolenia

na pokolenie od czasów pierwszej Strażniczki Rogów Gazeli, powiedział to samo: dzieci muszą umrzeć.

Zerknęła zza drzewa na żalostną gromadkę kobiet i dzieci. Były wyczerpane brakiem snu. Dręczyły je koszmary, straszne majaki. A wszystko, zdaniem Alawy, dlatego, że zmarli nie doczekali się cichego czuwania. Gdyby odprawiono czuwanie, nieszczęśliwe duchy nie nawiedzałyby teraz żywych we snach.

...Jej córka biegnie, napastnik depta jej po piętach, chwyta ją za rozwiane włosy, szarpie, przewraca na grzbiet, a jego maczuga wznosi się raz za razem...

Początkowo wrogów było tylko kilku, Doron i inni myśliwi zdołali ich odpędzić. Potem jednak pojawiło się więcej obcych, którzy usłyszeli o żyznej, zielonej, tętniącej życiem sawannie, a później jeszcze więcej, roili się jak mrówki na zachodnich wzgórzach, aż pokonali lud Alawy. Zepchnięty na północ, mijał osady krewnych, których widywali na Dorocznym Zgromadzeniu: Klanu Krokodyla, skąd wiele pór temu przywędrował Bellek, Klanu Białej Czapli – dawnej rodziny Dorona. Z ich pomocą lud Alawy próbował walczyć. Najeźdźcy jednak, silniejsi i bardziej liczni, nie chcieli dzielić się żyzną doliną.

.. Mały Hinto, dziecko córki Alawy, pochwycony czyjaś ręką i wyrzucony w powietrze, a po chwili nadziany na włócznię najeźdźcy... Istaqa, Strażniczka Księżycowej Chaty, odwraca się, by rzucić włócznią w napastnika... Dostaje kamieniem w twarz z taką siłą, że pęka jej czaszka. Krew ścieka na ziemię. Krzyki rannych. Jęki umierających. Ślepy strach i panika... Stara Alawa biegnie ile sił w nogach, w rytm szybko bijącego serca. Doron i myśliwi zostają z tyłu, żeby chronić kobiety i starców...

Może teraz powinniśmy odprawić ciche czuwanie? – pomyślała Alawa, wstając. – Może to uspokoiłoby nieszczęśliwe duchy, które nawiedzały ich we snach? Ale to nie takie proste: odprawienie rytuału wiązało się z wypowiedzeniem imion zmarłych, a to oznaczało naruszenie najpotężniejszego tabu klanu.

Spojrzała na dzieci i poczuła wszechogarniający smutek. Tak wiele spośród nich było sierotami, ich matki zginęły w bitwach z obcymi. Mały Gowron, syn córki jej córki, bawił się ze znaną żabą. Alawa własnoręcznie przebiła jego nosek kością egrety, żeby złe duchy nie weszły przez nozdrza chłopca. Ścisnęło się jej serce na myśl, że chłopiec musi umrzeć.

Skupiła uwagę na Belleku, przygarbionym i rzęzącym. Badał otaczające ich krzewy tamaryszkę w poszukiwaniu znaków. Koniecznie należało znaleźć księżyc. Musiał natężyć całą uwagę, żeby nie pominąć najdrobniejszego szczegółu. Jeden błąd mógł ściągnąć na nich nieszczęście.

Także na ziemi swoich przodków ludzie żyli w nieustającym strachu przed otaczającym ich światem. Śmierć była powszechna, szybka i brutalna, nawet wśród znajomych skał i drzew, nad bliską sercu rzeką, mieli się wciąż czego obawiać. Czujni, by nie obrazić żadnych duchów, wciąż odmawiali zaklęcia, nosili odpowiednie amulety, czynili gesty wyuczone już we wczesnym dzie-

ciństwie. W tym osobliwym miejscu kłopot sprawiała im nieznajomość nazw. Widzieli obce kwiaty i drzewa, ptaki o dziwnym upierzeniu, ryby, z którymi nigdy dotąd się nie zetknęli. Jak je określać? Co zrobić, by żadne nieszczęście nie spotkało niedobitków z Klanu Gazeli?

Alawa patrzyła na starego szamana, który odczytywał znaki, przyklękał, by przyjrzeć się kamieniowi, powąchać kwiat, rozetrzeć w palcach ziemię i zastanawiała się, jak zareaguje na okrutną wieść. Pomyślała, że Bellekowi może nie spodobać się zabijanie dzieci, nawet jeśli oznaczało to przetrwanie klanu.

Przyszło jej także do głowy, że Bellek jest już nieprzydatny.

Alawa zawsze czuła pogardę wobec mężczyzn, bo nie dawali życia, i często się dziwiła, po co księżyc stworzył chłopców. W dolinie mężczyźni przydawali się do zabijania nosorożców i hipopotamów, pracy zbyt ciężkiej dla kobiet; dzięki nim klan miał co jeść przez wiele tygodni. Ale to nowe miejsce pełne było jadalnych roślin. Myśliwi przestali być potrzebni. Czy dlatego sny i magiczne kamienie nakazywały poświęcić dzieci płci męskiej? Żeby oczyścić klan?

Alawa znów skupiła uwagę na dzieciach, które jadły, bawiły się lub ssały piersi matek. Najbardziej interesowali ją chłopcy, od niemowlaków do młodzieńców u progu dojrzałości. Starsi odeszli od matek i przystali do gromady myśliwych, by tak jak oni pograżyć się w odmętach Morza Trzcina. Nie spuszczać wzroku z chłopców, znowu pomyślała o zmarłych myśliwych, zaginionym księżycu i koszmarach, które nawiedzały kobiety, a przerażająca myśl, która powstała w jej głowie kilka dni temu, przemówiła jeszcze wyraźniej: utopieni mężczyźni są nieszczęśliwi i zazdrośni. Dlatego nawiedzają kobiety w snach. Jak mogłoby być inaczej, skoro nie odprawiono rytuału czuwania? Wszyscy wiedzieli, że zmarli zazdrozczą żywym, dlatego właśnie duchy budziły tyle obaw. I czyż zmarli myśliwi nie zazdrościli najbardziej małym chłopcom, którzy dorosną i zajmą ich miejsce?

I choć cała jej dusza burzyła się przeciw temu, Alawa trwała w swoim postanowieniu. Wiedziała, że dopóki myśliwi będą zazdrośni o chłopców i nie przestaną nawiedzać kobiety, księżyc nie wyjdzie, a bez księżyca klan umrze. Należało zatem złożyć ofiarę, by przepędzić duchy. Wtedy księżyc powróci, włoży dzieci w łona kobiet, i klan przetrwa.

Podczas następnego postoju kobiety usiadły, opierając się plecami o drzewa, by nakarmić niemowlęta i utulić starsze dzieci. Niektóre, całkiem wyczerpane, zaczęły płakać.

Wszystkie kobiety straciły bliskich w Morzu Trzcina – synów, braci, siostrzeńców, wujów, partnerów od łoża. Bellek widział, jak giną jego młodszy bracia; Keeka była świadkiem śmierci synów sióstr swojej matki; Alawa pięciu własnych synów i dwunastu synów swoich córek; Laliari – braci i ukochanego Dorona. Była to strata wykraczająca poza granice zrozumienia, niepoliczalna. Kiedy fala połknęła gromadę myśliwych, kobiety biegały po brzegu, jęcząc i krzycząc, w nadziei, że ujrzą ocalonych. Dwie rzuciły się w odmęty i zniknęły w nich na zawsze. Reszta

rozbiła obóz na brzegu i czekała kilka dni, aż Bellek, po zjedzeniu magicznych grzybów i wędrówce do podziemnego królestwa, oświadczył, że to miejsce przynosi nieszczęście, muszą więc odejść. Właśnie wtedy ruszyli na północ, gdzie napotkali ogromne, groźne morze, a następnie skręcili w głąb lądu, by szukać księżyca.

Nie znaleźli go i popadali w coraz większe przygnębienie.

Na widok łez spływających po twarzy Keeki Laliari sięgnęła do woreczka, który zwisał jej u pasa, i wyciągnęła garść orzechów.

Przed przybyciem najeźdźców Keeka była pulchna, bo uwielbiała jeść. Mieszkała w chacie wraz z matką, matką swojej matki oraz szóstką dzieci, i każdego wieczoru po wspólnym posiłku biegła do chaty, by ukryć jedzenie schowane pod spódnicą z trawy. Keeka lubiła także kochać się z mężczyznami i nigdy nie kazała się długo prosić. Myśliwi, którzy często odwiedzali jej chatę, przynosili jej w prezencie rozmaite smakołyki. Z dachu Keeki zawsze zwisały suszone ryby, króliki, cebule, daktyle i kolby kukurydzy. Nikomu to jednak nie przeszkadzało. Nikt w klanie nie głodował.

Keeka schwyciła orzeszki i natychmiast je pożarła, Laliari zerknęła pomiędzy drzewa i ujrzała samotną sylwetkę czającą się we mgle. Ta Bez Imienia. Laliari była zdumiona, że biedne stworzenie wciąż żyje, wykluczone z klanu i zmuszone do błądzenia za resztą w gęstej mgle. Laliari było jej żal. Ludzie bali się bezdzietnych kobiet, wierzono, że owładnął nimi zły duch. Bo jak inaczej wytłumaczyć, że księżyc nie obdarza ich dziećmi? Przed przybyciem najeźdźców Ta Bez Imienia żyła na skraju obozowiska, traktowana jak niewidzialna, zjadała resztki. Nie wolno jej było dotykać jedzenia, którym posilali się inni, ani wody, ani cudzej chaty. Żaden mężczyzna nie chciał jej pojąć, nawet bardzo spragniony seksualnego spełnienia.

Ta Bez Imienia nie urodziła się wyklęta. Początkowo nic nie różniło jej od innych dziewcząt. Laliari pamiętała, jak uroczyście klan uczcił pierwszą miesiączkę Tej Bez Imienia – zgodnie z tradycją wszyscy radośnie wymawiali jej imię, rozpieszczali ją, zarzucili darami i jedzeniem. Jeszcze wspanialsze ceremonie urządzano na cześć kobiet zachodzących po raz pierwszy w ciążę, gdy ich status w klanie wzrastał. Miesiączka Tej Bez Imienia pojawiała się regularnie, mijały pory roku, a ona nie wydała na świat ani jednego dziecka, i ludzie zaczęli krzywo na nią patrzeć, aż w końcu została wyklęta, odebrano jej imię i pozycję w klanie.

I choć Laliari przywykła do biednego stworzenia, które wlokło się za nimi od Morza Trzciny, teraz obecność Tej Bez Imienia wzbudziła w niej zaniepokojenie. Czy bez księżyca wszystkie skończą tak jak ona?

Laliari niespokojnie zacisnęła palce na magicznym amulecie, który nosiła na szyi. Był to talizman z kości słoniowej, wyrzeźbiony, gdy księżyc rósł do pełni. Miała też naszyjnik z przeszło setki ususzonych szerszeni. Podobne do maleńkich orzechów, przy każdym jej ruchu cicho klekotały. Nie nosiła ich dla ozdoby, ale ze względu na moc duchów szerszeni, które miały chronić

ją i klan, gdyż szerszenie zażarcie broniły swoich gniazd. W maleńkim woreczku, który zwisał z pasa jej trawiastej spódnicy, kryły się cenne nasiona i zasuszone płatki kwiatu lotosu, jej osobistego dobrego ducha.

Teraz jednak Laliari czerpała niewielką pociechę z amuletów i naszyjników. Ona, jej siostry i krewne utraciły ziemię, mężczyzn i księżyc. Nawet nie wolno jej było wymówić imienia ukochanego Dorona.

Imiona miały w sobie potężną magię, nie wypowiadano ich przy byle okazji, imię bowiem odzwierciedlało istotę człowieka. Decydowało o losie właściciela, nie nadawano go ot, tak sobie, lecz po długich przemyśleniach i odczytaniu znaków. Czasem imię zmieniano po osiągnięciu dojrzałości albo ważnym wydarzeniu. Niekiedy zależało od wykonywanego zajęcia, jak imię Belleka, znaczące tyle co Tłumacz Znaków. Laliari, czyli Urodzona Wśród Lotosów, dostała takie imię, bo jej matka czerpała wodę z rzeki, kiedy zaczęły się bóle porodowe. Przez resztę życia Laliari strzegł kwiat lotosu. Keeka, Dziecko Zachodzącego Słońca, urodziła się pod wieczór. Freer, Jastrząb Rozpościera Skrzydła, był najlepszym myśliwym. Imienia raz nadanego więcej nie używano. Wypowiedzenie imienia zmarłego sprowadzało pecha – przywoływało nieszczęśliwego ducha. Dlatego Laliari nie mogła wypowiadać imienia Dorona, a on sam musiał zostać zapomniany.

Otuliła się szczelnie skórą gazeli. Kiedy grupa doszła do wniosku, że dłużej nie znieśnie zimna, wszyscy odwiązali z pleców zwierzęce skóry, z których miały powstać prowizoryczne szałas-y. W domu żyli nad brzegiem rzeki, ale kiedy wzburzona woda wylewała, rozbierali chaty, przenosili je wyżej i budowali nowe domostwa ze zwierzęcych skór i ciosów słońca. Podczas ucieczki przed najeźdźcami kobiety powiązały cenne skóry w tobołki i niosły je na plecach. Teraz zrobiły z nich okrycia chroniące przed chłodem tej nieznannej krainy.

Drżąc z zimna, Laliari znowu pomyślała o Doronie, o tym, jak rozgrzewał ją nocą w chacie matki. Łzy napłynęły jej do oczu. Laliari kochała Dorona, był dla niej łagodny i współczujący, kiedy zmarło jej dziecko. Choć większość mężczyzn oplakiwała śmierć każdego dziecka, gdyż była to strata dla całego klanu, szybko przechodzili nad tym do porządku dziennego i nie rozumieli rozpacz-y matki. Przecież księżyc dawał kobietom wciąż nowe potomstwo! Doron rozumiał. Mimo że sam nie wiedział, jak to jest mieć syna lub córkę, a jedyne dzieci w rodzinie były potomstwem jego siostry, pojmował, że dziecko Laliari to krew z jej krwi i że będzie rozpaczała tak, jak on sam po śmierci syna siostry. Ale Doron nie żył. Połknęło go nowo narodzone morze.

Alawa krzyknęła z trwogi. Drzewa płakały!

Mgła była tak gęsta, że wilgoć, zebrana na gałęziach i liściach, skapywała jak deszcz. Alawa wiedziała jednak, co to oznacza: duchy drzew były nieszczęśliwe.

Ręką uczyniła znak, który miał ją chronić, i pośpiesznie się wycofała. Jej strach rósł z dnia na

dzień. Choć Bellek twierdził, że dalej na północ będą mieli więcej szans na znalezienie księżyca, Alawę ogarnęły wątpliwości. Wszystko było obce i zdumiewające, począwszy od morza wśród łądu, w którym nie było ryb ani nawet śladu jakiegokolwiek życia. Kiedy grupa, wędrując na wschód od bezbrzeżnej wody, znalazła morze, w którym nie pływały ryby, nie rosły algi, a na słonym brzegu nie było małży i trzciny – przeraziła się na dobre. Nawet Alawa przysięgała, że nigdy dotąd nie widziała takich dziwów. Kobiety ruszyły słonym wybrzeżem – i natrafiły na rzekę, która płynęła do tyłu!

Zbyt przestraszone, by zrobić choćby jeden krok dalej, rozbiły obozowisko na brzegu płynącej wstecz rzeki, podczas gdy Bellek, zjadłszy magiczne grzyby, wędrował po krainie wizji. Po przebudzeniu oświadczył, że nowa rzeka jest bezpieczna, mimo odwrotnego prądu, i muszą podążać wzdłuż niej, bo księżyc kryje się za mgłą, na północy.

Poszli zatem przez suchą ziemię, kamienistą i ubogą w roślinność, aż dotarli do miejsca, gdzie rosły wierzyby, oleandry i tamaryszki. Brnęli dalej na północ. Rzeka się zwężała i płynęła zakolami wokół wzgórz, niespodziewanie wyrastających na jej brzegach. W niczym nie przypominała ich własnej, szerokiej i płytkiej rzeki w dolinie. Wiła się niczym wąż, tworząc pętle, tak że czasem grupa Alawy szła na zachód, potem na północ, a jeszcze później na wschód, jakby rzeka nie potrafiła się zdecydować.

Widzieli jeszcze dziwniejsze rzeczy. Na północ od martwego morza natrafili na otwartą równinę, porośniętą bujną trawą. Ale gdzie się podziały zwierzęta? Bellek badał grunt i znalazł zaschnięte odchody, zatem kiedyś przechodziły tędy stada. Gdzie były teraz? Czy dziwna nocna mgła porwała je, tak jak księżyc?

A teraz natrafili na płaczące drzewa. Z każdą bezksiężycową nocą, z każdym dniem, w którym żadna z kobiet nie zachodziła w ciążę, niepokój Alawy narastał. Należało jak najszybciej poświęcić chłopców, w przeciwnym razie księżyc mógł zniknąć na zawsze.

O zachodzie słońca natrafili na widok, który wprowadził ich w osłupienie. Kobiety i dzieci zamilkły i tylko patrzyły, początkowo nic nie rozumiejąc. U podstawy urwiska wznosiła się góra szkieletów – setki antylop, jedna na drugiej, o zmiażdżonych czaszkach i połamanych kościach. Alawa spojrzała w górę i zobaczyła skalną ścianę, wznoszącą się nad trupami. Te zwierzęta zginęły, spadając z płaskowyżu. Dlaczego? Co je tak przeraziło?

Kobiety podążyły naprzód, chcąc jak najszybciej zostawić za sobą duchy zwierząt.

Wreszcie doszli do brzegu jeziora, które przyszłe pokolenia nazwą Galilejskim. Otoczone gęsto rosnącymi drzewami i krzewami, tamaryszkiem i rododendronem, roiło się od ryb, przy brzegu fruwały rozmaite ptaki. Mgła ustąpiła, popołudniowe słońce wciąż ogrzewało ziemię. Węsząc na wietrze i obserwując chmury, Bellek wyciągnął laskę ozdobioną magicznymi amuletami i ogonami gazeli i oświadczył, że tu magia jest dobra, więc rozbijają obozowisko i zostaną na noc.

Podczas gdy on i stara Alawa odprawiali codzienny rytuał chroniący obóz przed złymi duchami, rysując ochronne symbole na drzewach i układając kamienie, kobiety zdjęły skóry, by ustawić z nich parawany. Słoniowe ciosy zatoneły wraz z myśliwymi, kobiety nie mogły więc zbudować porządných chat. Wykorzystały pnie drzew, młode drzewka i mocne gałęzie wbite w ziemię. Ludzie z Klanu Gazeli żyli w komunach – chaty nie były przeznaczone dla rodzin, ale dla grup i do celów rytualnych. W większych chatach sypiali mężczyźni, z dala od kobiet; w małych szałasach cieszący się szacunkiem starcy; w innych młode, bezdzietne dziewczyny; była też chata dla miesiączkujących kobiet, chata szamana, chata do inicjacji młodych myśliwych i kilka domostw małych matriarchalnych grup, złożonych z babki, matki, sióstr i dzieci. Te szalasy zawsze były okrągłe, żeby w rogach nie kryły się żadne duchy.

Tego wieczoru, kiedy pośpiesznie rozstawiali obozowisko przed zachodem słońca, zaczęli od chaty Alawy i szałasu dla miesiączkujących.

Podczas menstruacji kobiety były bezbronne i wymagały ochrony przed złymi albo nieszczęśliwymi duchami, które zawsze czyhały na okazję, by wstąpić w człowieka. Był to czas potężnej magii, wtedy rozstrzygało się, czy w ciele kobiety zagnieździ się nowe życie. Kobieta patrzyła na księżyc i z nikim się nie kontaktowała. Gromadziła magiczne amulety i specjalne pokarmy, a następnie czekała, obserwując znaki: jeśli pojawiała się menstruacja, w łonie nie było dziecka. Jeśli jednak nie przychodziła, kobieta była w ciąży. Dlatego właśnie najpierw wzniesiono tę chatę, Alawa zaś intonowała ochronne zaklęcia wokół wejścia, wieszając muszle monetek, potężnego symbolu żeńskich narządów płciowych, i malując na ziemi magiczne znaki czerwoną ochrą, naśladowującą cenną krew miesiączkową.

Druga chata przeznaczona była dla Alawy. Niewiele kobiet dożywało menopauzy, te, którym się to udało, były traktowane z największym szacunkiem, wierzono bowiem, że posiadły całą wiedzę o księżycu.

W poszukiwaniu jedzenia grupa natrafiła na nieznaną sobie roślinę: wysoką do kolan, liściastą, pełną strąków o białych mięsistych ziarnach. Najpierw kobiety sprawdziły, czy ziarna nie są trujące, a potem zaczęły zrywać ciecierzycę. Tymczasem Bellek podszedł na skraj wody i, choć miał kiepski wzrok, zauważył, że na płyciźnie roi się od ryb. Aż cmoknął na myśl o gotowanej rybie. Dzieci wyruszyły na poszukiwanie jagód i jaj, mając przykazane przestrzeganie wszelkich miejscowych tabu i szacunek dla duchów.

Alawa wyznaczyła jedną z kobiet do wypatrywania księżyca i kazała jej obudzić wszystkich, gdyby się pojawił. Przy odrobinie szczęścia tej nocy księżyc mógł wzejść, zanim wróci mgła.

Ludzie zgromadzili się wokół ognia, by zjeść i odpocząć, naprawić kosze, naostrzyć włócznie, nakarmić dzieci i zapomnieć o lęku. Alawa poszła nad wodę. Jeśli dziś nie pojawi się księżyc, musi działać. Jutro mali chłopcy umrą.

Keeka karmiła szóstkę swoich dzieci i jednocześnie zerkała, jak stara kobieta, powłócząc no-



gami, odchodzi od obozu, a jej niegdyś krzepkie ciało ugina się pod ciężarem rogów gazeli. Keeka już dawno wyczuła, że Alawę gnębi jakiś sekret. Domyślała się, o co chodzi: Alawa przygotowywała się do wyboru następczyni.

Strażniczka Rogów Gazeli była najważniejszą osobą w klanie, dostawała najlepszą chatę i najsmaczniejsze jedzenie. Keeka chciała zostać następczynią Alawy, ale nie mogła tego tak po prostu zażądać. O wyborze stanowiły wróżby, znaki i interpretacja snów. Kiedy już Alawa wybierze następczynię, będzie ona musiała przez cały czas przebywać u boku strażniczki, poznać historię klanu, wysłuchać wszystkich opowieści i nauczyć się ich na pamięć, jak to robiła za młodu sama Alawa. A teraz do dziejów klanu dojdzie nowa opowieść – najazd ludu z zachodu, walka w dolinie nad rzeką, utonięcie mężczyzn w nowym morzu, utrata księżyca i wędrówka w poszukiwaniu nowego domu.

Keeka patrzyła, jak Alawa znika za krzewami nad jeziorem. Nagle usłyszała piskliwy chichot. Kuzynka Keeki, Laliari, łaskotała właśnie jedną z sierot, siedzącą jej na kolanach. Dobry nastrój Keeki prysł. Podejrzewała, że Alawa może wybrać Laliari.

Keeka poczuła nienawiść do kuzynki dwa lata wcześniej, gdy do Klanu Gazeli dołączył przystojny Doron. Robiła, co w jej mocy, by zwabić go do swojej chaty, lecz jego interesowała jedynie Laliari. To należało do rzadkości. Współżycie seksualne mężczyzn i kobiet było zazwyczaj przypadkowe i częste, bez zobowiązań, rządziło nim jedynie kilka zasad. Między Doronem i Laliari zakwitło jednak uczucie wyjątkowe, inni dla nich nie istnieli. Ten związek przypominał małżeństwo i łączenie się w pary aż do śmierci: formy współżycia, które pojawiły się dopiero za dwadzieścia pięć tysięcy lat.

Im mniej uwagi przystojny myśliwy poświęcał Keece, tym silniejsze narastało w niej pożądanie, aż w końcu przemieniło się w obsesję. Gdy Doron zatonął w Morzu Trzcina, Keeka radowała się w duchu, że Laliari go straciła. Jej triumf był tym większy, że Laliari nie miała dziecka, jej niemowlę zmarło wkrótce po urodzeniu. A skoro w tej nowej krainie nie było księżyca, który obdarzyłby Laliari następnym potomkiem, Keeka, ze swoją szóstką, czuła się o niebo lepsza od kuzynki.

Z nienawiścią myślała, że Alawa być może wybierze Laliari na swoją następczynię.

Posiłek i czynności pielęgnacyjne dobiegły końca, nadszedł czas na opowieści. Kobiety czekały, aż w świetle ogniska pojawi się Alawa i rozpocznie wieczorne recytacje. Ludzie z plemienia Laliari pragnęli opowieści, gdyż łączyły ich one z przeszłością, – to dzięki nim czuli się częścią zdumiewającego i przerażającego kosmosu. Opowieści zbliżały ich do natury; znane od lat mity i legendy niosły pociechę i wyjaśniały tajemnice. Kobiety i dzieci zawsze milkły, gdy Alawa zaczynała mówić słabym, drżącym głosem: „Dawno, dawno temu... zanim powstał Klan Gazeli, zanim powstał lud, zanim powstała rzeka... nasze matki przyszły z południa. Urodziła je Pierwsza Matka, która wysłała je na północ, żeby znalazły dom. Przyniosły ze sobą rzekę. Przy

każdym pojawieniu się księżyca kazały rzece płynąć, aż przybyły do naszej doliny i wiedziały już, że wędrówka dobiegła końca...”.

Nieobecność Alawy przedłużała się. Kobiety starały się zapanować nad strachem. Wiedziały, że strażniczka szuka księżyca. Ale zapadła noc, mgła zakradła się do doliny i wydawało się, że Alawa znowu nie zdoła go zobaczyć.

Laliari uniosła wzrok i usiłowała dojrzeć coś za zasłoną mgły. Księżyc nie tylko był dawcą dzieci i regulatorem ciała kobiety. Zapewniał też cenne światło nocą, gdy było ono potrzebne, w przeciwieństwie do słońca, które świeciło bezużytecznie za dnia, choć przecież i tak było jasno. Poza tym tarcza słońca była zbyt jaskrawa, by na nią spojrzeć, a w księżyc człowiek mógł się wpatrywać godzinami. W zależności od fazy księżyc sprawiał, że nocą otwierały się kwiaty, koty szły na polowanie, występowały przypiływy i odpływy. Był przewidywalny, krzepiący, jak matka. Co miesiąc, po strasznych dniach nowiu, klan zbierał się w świętym miejscu na rzece i obserwował pojawienie się nowego księżyca – cienkiego sierpa na horyzoncie. Ludzie wzdychali z ulgą, a potem wznosili radosne okrzyki i tańczyli, gdy rósł na niebie, bo oznaczało to, że życie wciąż trwa.

Laliari tuliła jedną z sierot w ramionach, a jej myśli odpłynęły do dziecka, które nie tak dawno urodziła. Księżyc ofiarował je dziewczynie wkrótce po przybyciu Dorona. Dziecko jednak nie pożyło długo, Laliari musiała zanieść niemowlę na urwiste wzgórze na wschodzie i tam pozostawić. Później wielokrotnie patrzyła na wschodzące słońce, wyobrażając sobie maleństwo. Zastanawiała się, czy jego duch jest nieszczęśliwy. Pragnęła odwiedzić tamto miejsce, ale przebywanie w pobliżu zmarłych przynosiło nieszczęście. Jeśli ktoś umierał w chacie, palono ją, a klan wędrował z biegiem rzeki, by nieco dalej założyć następne obozowisko.

Laliari mogła obwiniać o chorobę i śmierć dziecka jedynie siebie – najwyraźniej nieświadomie obraziła jakiegoś ducha, który ukarał ją śmiercią potomka. Zawsze jednak starannie przestrzegała wszystkich zasad i praw magii. A dlaczego ich terytorium najechali obcy, a potem myśliwi zginęli w Morzu Trzciny? Czy cały klan czegoś nie dopatrywał? Jaką więc mogli mieć nadzieję na przetrwanie w tym nowym miejscu, skoro nie znali żadnych obowiązujących tu zasad?

Wiedziała, że myślenie o zmarłych przynosi nieszczęście, ale wspomnianie Dorona sprawiało jej ulgę. Na przykład myślała o tym, jak się poznali. Doroczne Zgromadzenie Klanów odbywało się w czasie, gdy rzeka występowała z brzegów. Tysiące ludzi ściągały z całej doliny, wznosząc okrągłe chaty i ustawiając symbole klanów. Łagodzone spory, zacieśniano więzy krwi, zawierano i odnawiano sojusze, opowiadano nowiny i plotki, płacono długi, wymierzano sprawiedliwość. Najważniejsza jednak była wymiana członków rodzin. Klany z niewielką liczbą kobiet dostawały je od tych, które miały ich w nadmiarze. Podobnie działo się z mężczyznami. Był to długi i skomplikowany proces, w spornych kwestiach interweniowali starsi. Dorona i jeszcze jednego młodego mężczyznę wymieniono na dwie młode kobiety z klanu Laliari. Laliari miała

wtedy szesnaście lat. Ona i Doron przez tydzień uważnie się obserwowali. Był to czas zawstydzienia i podniety, budzenia się instynktów. Laliari nigdy dotąd nie dostrzegła, że mężczyźni mają cudownie mocne ramiona, dziewiętnastoletni Doron zaś rumienił się na widok wąskiej talii i rozłożystych bioder dziewczyny. Kiedy zgromadzenie się zakończyło, Doron powędrował z Laliari i jej klanem. Odtąd spędzali razem wszystkie noce.

Nagle posmutniała Laliari oparła czoło na kolanach i zaczęła bezgłośnie szlochać.

Na brzegu jeziora jeszcze jedna dusza pogrążona była w smutku. Wpatrując się w wielką wodę, Alawa podjęła bolesną decyzję: tak właśnie muszą umrzeć chłopcy – przez utonięcie, jak myśliwi.

Odwróciła się na odgłos kroków. Spośród wysokich trzciny wyłoniła się znajoma sylwetka Belleka. Stał obok niej przez dłuższy czas, a jego pierś wznosiła się i opadała w ciężkim oddechu. Był pewny, że Alawa zamierza podjąć ważną decyzję. Jest gotowa wybrać następczynię, myślał.

Chciałby mieć coś do powiedzenia w tej sprawie, ale tylko Strażniczka Rogów Gazeli wiedziała, kto ją zastąpi. Nie miało to nic wspólnego z głosowaniem, zależało jedynie od duchów i opiekunki klanu, gazeli. Tylko Alawa znała swoje sny i mowę magicznych kamieni.

– Czy to będzie Keeka? – zapytał cicho, mając nadzieję, że Alawa zaprzeczy. Zauważył łakomstwo Keeki i obawiał się, że może być wielce szkodliwe dla ldanu. Gdyby on miał decydować, wybrałby Laliari, bo strażniczka opowieści klanu powinna być pozbawiona egoizmu.

Alawa powoli pokręciła głową, ciążyły jej rogi gazeli. Gdy była młodsza, wydawały się lekko jak piórko, ale z wiekiem było jej coraz trudniej, szyja ugiwała się pod ich ciężarem.

– Chłopcy muszą jutro umrzeć – powiedziała skrzekliwie. Popatrzył na nią, jakby nie dosłyszał.

– Co mówiłaś?

– Chłopcy muszą umrzeć. Duchy myśliwych są o nich zazdrosne i dlatego księżyc się nie pokazuje. Jeśli chłopcy nie umrą, zginie cały klan.

Bellek ze świstem wciągnął powietrze i machnął ręką w obronnym geście.

– Zrobimy to w jeziorze – powiedziała rzeczowo Alawa. – Myśliwi utonęli, więc i chłopcy powinni utonąć. – Popatrzyła na niego przenikliwie. – Belleku, ty także musisz umrzeć.

– Ja? – Zbladł. – Ale klan mnie potrzebuje.

– Klan będzie miał mnie. A jeśli księżyc zapragnie mężczyzn w naszym ldanie, da nam nowych.

– Ale jakie ze mnie zagrożenie? Chłopcy, owszem, dorosną, by zostać myśliwymi. Ja jednak jestem stary.

– Ale myśliwi zazdroszczą ci, że żyjesz! – oznajmiła głośniejszym głosem. – Samolub! Narazisz życie klanu, nie poświęcając siebie w ofierze?

– Czy na pewno się nie mylisz? – Bellek trzął się jak listek.

– Jak śmiesz! – wykrzyknęła. – Nie wierzysz w moje sny! W słowa duchów! Swoimi wątpliwościami sprowadzisz na nas wszystkich nieszczęście! – Zamachała dłońmi przed oczami, jakby chciała przepłoszyć złe moce. – Zaprzecz temu, co właśnie powiedziałeś, albo stanie się coś strasznego!

– Przepraszam – oznajmił cienkim głosem. – Nie zwątpiłem. Duchy przemówiły. Chłopcy... – ledwie zdołał to wykrztusić – chłopcy umrą.

Laliari czuwała przy pogrążonej we śnie Alawie. Zdziwiła się, kiedy stara kobieta zaprosiła właśnie ją do swojej chaty. Podziw i zazdrość na twarzach innych, zwłaszcza Keeki, nie uszły uwagi dziewczyny. Wszyscy wiedzieli, co oznacza to zaproszenie: Alawa widzi w Laliari swoją następczynię.

W chacie było ciepło i przytulnie, staruszka natychmiast zasnęła. Laliari podciągnęła kolana do piersi, skrzyżowała ramiona i oparła na nich głowę. Zamierzała czuwać, ale po chwili zapadła w sen. Kiedy się ocknęła, już świtało. Nawet nie patrząc na starą kobietę, Laliari zrozumiała, że Alawa nie żyje.

Wybiegła z szałas, ze strachu włosy stanęły jej dęba. Nigdy dotąd nie była aż tak blisko człowieka w chwili jego śmierci. Dokąd powędrował duch Alawy? Laliari przypomniała sobie, jak jeszcze w dolinie nad rzeką pewien człowiek spędził noc z kobietą, a rano ona już nie żyła. Bellek odczytywał znaki i oznajmił, że duch zmarłej wstąpił w mężczyznę. Klan wypędził nieszczęśnika z obozowiska i nie pozwolił mu wrócić. Nikt go więcej nie widział.

Przerażona Laliari ścisnęła nozdrza palcami, ponieważ próbując nie dopuścić, by duch zmarłej staruszki wszedł w jej ciało. Zawrodość dziewczyny przebudziło innych. Od razu rozebrali chatę Alawy i przygotowali się do czuwania. Bellek uważnie zbadał Laliari, zajrzał jej w uszy, oczy i pochwę, i zadowolony z oględzin oznajmił stanowczo:

– Nie ma ducha!

Może Alawa była zbyt stara, żeby jej duch szybko opuścił ciało, może nadal w nim tkwił. Bellek zarządził porządne czuwanie. Inaczej Alawa pójdzie za nimi krok w krok.

Opłakiwanie zmarłych było rytuałem równie starym jak czas, przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Bellek narysował na ziemi krąg wokół ciała Alawy i zaintonował magiczną pieśń. W tym czasie kobiety jadły i piły do syta przed całodziennym postem. Nawet dzieci musiały siedzieć cichutko obok matek, mogły opuszczać krąg tylko z pełnym pęcherzem. Należało zachować absolutną ciszę, nikomu nie wolno było jeść ani pić, bo to przygnębiłoby ducha zmarłej osoby i wzbudziło jego zazdrość. Wszyscy wiedzieli, że duchy czują się nieszczęśliwe – w końcu nikt nie chce umierać. Dlatego pragną ludzkiej biedy i prześladowają żywych. Ciche czuwanie miało przekonać ducha, że wśród żyjących jest nudno, brakuje jedzenia i picia, nikt się nie śmieje, lepiej więc poszukać sobie ciekawszego miejsca.

Bellek nakrył trupa skórą gazeli. Powiedział przygnębionym kobietom, że dzięki temu duch Alawy w nikogo nie wstąpi. Naprawdę jednak zrobił to z innego powodu. Nikt oprócz niego nie zauważył śladów na gardle starej kobiety i strachu na jej obliczu – dowodów na to, że Alawa błędnie odczytała swoje sny i myliła się, twierdząc, że myśliwi żądają ofiary z chłopców. No bo z czyjej ręki zginęła, jeśli nie duchów myśliwych, które zakradły się do namiotu i ją udusiły?

Na szczęście Alawa nie zdradziła nikomu swoich planów, a Bellek trzymał język za zębami. Wiedział, że dopóki będzie żył, chłopcom – i jemu samemu – nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Zasmucone kobiety siedziały w milczącym kręgu przez cały dzień i całą noc. W brzuchach burczało im z głodu, usta wyschły z pragnienia, zdrętwiały z bezruchu. Dzieci były niespokojne i rozdrażnione. Kiedy czuwanie się skończyło, kobiety rozdzieliły między siebie rzeczy Alawy. Rogi gazeli przypadły Bellekowi. Zostawili ciało w opuszczonym obozie i powędrowali na północ.

Noce były coraz chłodniejsze, wokół kłębiły się wilgotne opary, a kobiety z Klanu Gazeli, nieprzyzwyczajone do jesiennej pogody i nieświadome, że zbliżają się zimowe ulewy, były przekonane, że mgła uwięziła je już na zawsze. Nie mogły spać, drżąc z zimna w nędznych szałasach. Pewnej nocy przebudziła je gwałtowna burza, gorsza niż wszystko, czego dotychczas doświadczyły – burza, która nadciągnęła z zachodu, huczała nad pobliskimi górami i chlustała na prowizoryczne obozowisko lodowatym deszczem, kłującym niczym włócznie. Kobiety dzielnie walczyły z wiatrem, ale złowroga wichura, wyjąc niczym ranna bestia, porwała skóry gazeli i zaniósła je aż nad wzburzone jezioro. Powyrywała też drzewa i krzewy z korzeniami. Nad głowami przerażonych kobiet, które przywarły do siebie, usiłując chronić dzieci, przelatywały nagie gałęzie.

Rano burza ucichła. Oczom kobiet ukazała się w świetle dnia spustoszona okolica i widok, który je zadziwił: góry, jeszcze wczoraj zielone, teraz były całkiem białe.

– Co to? – spytała Keeka, tuląc do siebie dzieci, podczas gdy inne kobiety płakały i zawodziły. Laliari wpatrywała się w odległe szczyty i czuła w gardle lodowaty ucisk. Co to ma znaczyć? Czy teraz góry są duchami? Czy nadchodzi koniec świata?

Drżący i przemoczony stary Bellek, obolały z zimna, spoglądał ze smutkiem na jezioro, po którym pływały skóry gazeli. Nie bał się białych gór – dawno temu, jeszcze w dzieciństwie, słyszał opowieści o zjawisku zwanym śniegiem. Nie nadchodził koniec świata, zmieniła się pogoda. Bellek wiedział, że aby przeżyć, grupa musi poszukać jakiegoś schronienia.

Odwrócił głowę ku zachodowi i patrzył na urwiska, które wznosiły się jak strome ściany nad pofałdowaną równiną. Urwiska były naszpikowane jaskiniami. Bellek podejrzewał, że wewnątrz jest ciepło i sucho, ale bał się tych jam. Jego lud nigdy w nich nie mieszkał, nigdy ich nawet nie odwiedzał. W jaskiniach żyły nietoperze i szakale; gorzej, gnieździły się tam duchy nieszczęśliwych zmarłych. A jednak – myślał, rozcierając zmarznięte ręce – jak mieli zbudować sobie so-

lidne szałaszy bez słońowych ciosów i bez skór gazeli?

Kiedy oznajmił, że zamierza obejrzeć jaskinie, usłyszał chór protestów. Tylko Laliari doceniła mądrość tej decyzji i zaproponowała, że pójdzie razem z nim. Dziewczyna jednak mieszkała właśnie w księżycowej chacie, musieli więc poczekać, aż przestanie krwawić.

Trzeciego dnia mogła już podróżować. Przygotowali zapas jedzenia i wody, a potem odprawili rytualne obrzędy. Wyszli uzbrojeni w potężne amulety i wymalowani w mistyczne symbole, które miały ich chronić przed duchami i istotami nadprzyrodzonymi. Kobiety i dzieci szlochały, gdy dzielna para ruszała na zachód.

Dotarli do wzgórz w południe i zatrzymali się na posiłek złożony z daktyli i jaj siewek. Przed jedzeniem wypowiedzieli zaklęcia, by ułagodzić wrogie duchy. Laliari szła pierwsza, szukając najłatwiejszej drogi wśród głazów i zatrzymując się, by pomóc Bellekowi. Znaleźli wyboisty szlak prowadzący do jaskiń i wystających półek skalnych, szlak pełen zwierzęcych kości i kamiennych narzędzi. To znaczyło, że ktoś tu kiedyś mieszkał.

Laliari głośno recytowała zaklęcia, raczej by dać znać, że nadchodzą, niż by uspokoić duchy. Jeśli rzeczywiście mieszkało tu jakieś plemię, nie chciała go straszyć ani zaskakiwać. Lepiej, żeby wiedziano o ich obecności – to, że się nie kryją, świadczyło o ich przyjaznych zamiarach.

Nie napotkali jednak nikogo.

Jaskinie z wapienia były głębokie i ciemne, z ich dna wyrastały olbrzymie stalagmity. W każdej na ziemi leżały kamienne narzędzia – toporki, skrobaczki i tasaki – oraz kości koni, nosorożców i jeleni. Na pewno mieszkali tu niegdyś ludzie, a do tego nie chodzili głodni. Laliari i Bellek mogli jedynie zgadywać, co się stało z tymi, którzy zostawili po sobie popioły, połamane narzędzia i gdzieś tam niepokojące symbole wymalowane na ścianach z wapienia.

Laliari i Bellek oglądali jaskinie dzień i noc i powoli tracili nadzieję. Były to znakomite kryjówki, ale kiedyś żyli w nich inni ludzie. Bellek nie mógł tu sprowadzić swojego klanu. Jaskinia dla nich musiała być nietknięta przez człowieka czy ducha, inaczej ściągliby sobie na głowę prawdziwe nieszczęście.

Drugiego wieczoru zaczął siąpić lekki deszcz. Skały zrobiły się śliskie. Idąc wzdłuż urwiska do kolejnej jaskini, Bellek potknął się i upadł, kalecząc się boleśnie w łydkę o ostrą krawędź, zanim Laliari go złapała. Dziewczyna z trudem doprowadziła go do ciepłej, suchej jaskini.

Tu znajdowały się nie tylko dawne ślady ludzkiej obecności, ale i dopiero co zagasłe ognisko. Kiedy poczuli zapach pieczonego mięsa, dojmujący głód wziął górę nad strachem przed obcymi. Rozejrzeli się, czy na pewno nikogo nie ma – jaskinia wydawała się opuszczona – i zaczęli szukać jedzenia. Laliari zauważyła, że w jednym miejscu ziemia była najwyraźniej niedawno poruszona. Przypomniała sobie, że jej lud przechowywał albo „sezonował” mięso, zakopując je. Opadła na kolana i zaczęła odgarniać ziemię. Jej palce natrafiły na coś, co przypominało zwierzę. Z uśmiechem popatrzyła na Belleka. Przy odrobinie szczęścia zaraz się najedzą. Kiedy jednak

odsunęła resztę ziemi i zobaczyła, co zakopano, krzyknęła i rzuciła się do tyłu.

Bellek pokuśtykał ku niej i zajrzał do dołu.

Na boku, z kolanami przyciągniętymi do piersi, leżał tam mały chłopiec. Wokół niego ułożono kamienne narzędzia i kozie rogi, ciało posypano płatkami hiacyntów i malw, a także gałązkami sosny. Bellek szybko nakreślił w powietrzu ochronny znak i zrobił krok do tyłu. Znaleźli się w pobliżu niedawno zmarłego dziecka!

Laliari obróciła przerażone oczy na starego człowieka, lecz zanim zdążyła zapytać, co może ich ocalić, do jaskini wpadła nagle czarna postać, olbrzymia i włochata. Rzuciła się na dziewczynę, przewracając ją na ziemię.

Laliari szamotała się z wrogiem, tłukąc na oślep pięściami i gryząc. Zdołała na chwilę stanąć na nogi, ale bestia chwyciła ją za kostkę i pociągnęła. Pochwyciła dziewczynę w tali, uniosła w górę i, wrzeszcząc dziko, z nadludzką siłą cisnęła przez całą długość jaskini. Laliari runęła na ścianę i uderzyła się w głowę. Nie zwracając uwagi na Belleka, który stał zdrętwiały ze strachu, potwór pobiegł do dołu i pośpiesznie zaczął przysypywać ziemią zmarłe dziecko.

Po chwili Laliari odzyskała przytomność. Zobaczyła, że siedzi oparta o ścianę, obok zaś kuca Bellek, trzymając się za chorą nogę. Na środku jaskini działo się coś zdumiewającego.

Przyodziany w futra dzikus, który ją zaatakował, kucał teraz nad jamą ze zmarłym dzieckiem. Wydawał niesamowite dźwięki i wymachiwał rękami niczym człowiek opętany przez ducha. Laliari się przerażyła. Chciała uciec jak najdalej od trupa, ale noga Belleka bardzo krwawiła, starzec mocno pobladł. Przynęła się do niego, objęła go za ramiona i zastanawiała się gorączkowo, co powinni zrobić.

Tymczasem człowiek w futrach, nadal nie patrząc na intruzów, skończył modły i rozsypał na grobie resztki płatków. Rozpalił na nowo ognisko, a dym wił się w powietrzu i znikał w niewidzialnej szczelinie w sklepieniu jaskini. Nieznajomy zerknął na obcych i ujrzał wpatrzone w siebie wielkie oczy dziewczyny.

Wcześniej polował. Teraz zdarł skórę z dwóch królików i wrzucił je do ognia. Kiedy jeden się przysmażył, mężczyzna wyciągnął go z popiołu i zaczął szarpać mięso zębami. Miał na imię Zant i był ostatnim w tej dolinie członkiem swojego ludu.

Jedząc, spoglądał ponuro na dwie przytulone do ściany postaci. Starzec jęczał z bólu, krew skapywała mu z rany, dziewczyna obejmowała go z lękiem w oczach. Zant pomyślał, że powinien ich zabić za zbezczeszczenie grobu. Zastanawiał się, czy nie zrobić tego teraz.

Mijały godziny. Mężczyzna wciąż kucał przy ciepłym ogniu, płomienie rzucały blask na jego twarz. Laliari nigdy nie spotkała człowieka odzianego w skóry. Doszła do wniosku, że jest brzydki – miał wypukłe czoło i olbrzymi nos – przez co bardziej przypomina zwierzę niż istotę rozumną. Najbardziej niepokoił ją kolor jego oczu, dostrzegała go nawet z takiej odległości: były błękitne jak niebo. Laliari nie widziała dotąd niebieskich tęczy; zastanawiała się, czy duchy

mają oczy o takiej barwie. Może dlatego obcy nie bał się przebywać w pobliżu trupa?

Bellek jęczał coraz głośniejsze. Nieznajomy wstał i ruszył ku intruzom. Laliari zerwała się i zasłoniła sobą szamana. Obcy odepchnął ją i przykucnął, – a Laliari patrzyła nieufnie, jak przygląda się ranie. Postanowiła wszystkimi siłami bronić Belleka. Mężczyzna jednak wyjął coś z woreczka zawieszzonego u pasa i przyłożył do rany. Bellek się skrzywił, Laliari była gotowa do ataku. Ale po chwili ból najwyraźniej zaczął ustępować, a obcy powrócił do ogniska. Laliari natychmiast znalazła się u boku szamana, uważnie obejrzała poszarpaną ranę na jego łydce i powąchała ją, by się zorientować, co takiego zastosował obcy. Popatrzyła pytająco na Belleka, ale nie wyglądał na zaniepokojonego. Po chwili nieznajomy wrócił do nich z bukłakiem wody i upieczonym królikiem. Wyciągnął jedno i drugie do Laliari.

Choć umierała z głodu, nie od razu przyjęła dar. Rozdzielaniem jedzenia w klanie rządziły skomplikowane zasady, spożywanie mięsa zależało od bardzo wielu warunków: który myśliwy złapał zwierzę i w jakich okolicznościach, kim były matka i matka matki łowcy, kto ze starszyzny miał prawo jeść pierwszy, w której fazie znajdował się księżyc. Skąd Laliari mogła mieć pewność, że nieznajomy wypowiedział odpowiednie zaklęcia, zabijając królika? Z całą pewnością nie odprawił należytych rytuałów, obdzierając go ze skóry i wrzucając do ognia.

Myśl o zjedzeniu zakazanego pokarmu napełniła ją niejasnym niepokojem, obawą przed świętokradztwem, ale mięso było przypieczone i różowe, ociekało tłuszczem i sokiem, pachniało nadzwyczajnie. Biedny Bellek oblizywał wargi. Głód zwyciężył. Laliari przyjęła dar.

Miała ochotę pożreć go natychmiast, ale prawa klanu nakazywały, by to Bellek posiłkował się pierwszy. Odgryzła kawałek mięsa, przeżuła, a papkę podała na dłoni starcowi. Był to powolny i męczący proces. Przez cały czas nieznajomy klęczał nieopodal, przyglądając się im z uwagą.

Najwyraźniej zdumiewała go zrobiona z trawy spódnica dziewczyny, bo co chwila przechylał głowę i dźgał palcem długie, suche włókna. Skubał tkany z trawy pas, odciągając go od jej talii, jak gdyby zastanawiał się, czy zdźbła wyrastają ze skóry. Potem długo i uważnie wpatrywał się w igłę z kości słoniowej w nosie Laliari, ale kiedy uniósł rękę, by dotknąć ozdoby, dziewczyna odtrąciła jego dłoń.

Kiedy starzec zjadł już swoją porcję i zamknął oczy, Laliari pożarła resztę królika, wysysając kości i zlizując tłuszcz z palców. Nie spuszczała wzroku z brzydkiego nieznajomego.

W końcu obcy znużył się i wrócił do ognia. W jaskini było ciepło. Wkrótce wszyscy zasnęli. Laliari przebudziła się w nocy i ujrzała, że nieznajomy leży tuż obok grobu i szlocha. Była zdumiona. Rozumiała jego smutek, ale czyżby ten człowiek nie wiedział, jakiego pecha ściąga na siebie, przebywając tak blisko zwłok? Żałowała, że nie może uciec z jaskini. Na zewnątrz jednak padał gęsty deszcz, a rana Belleka uniemożliwiała mu chodzenie. Laliari prześladowało wspomnienie nieżywego dziecka w jamie, a myśl o duchu zaczajonym w cieniu nie pozwalała jej zasnąć.



Obcy usiadł. Chwilę się zastanowił, po czym skinął ręką na Laliari.

Długo się wahała, ale ciekawość wzięła górę. Spojrzała na pogrążonego w głębokim śnie Belleka, a potem, szerokim łukiem omijając grób dziecka, podeszła do ognia.

Skrzyżowała nogi i usiadła. Zerknęła na rzeczy nieznanego, spiętrzone obok postania z futer: włócznię o kamiennym ostrzu i toporki, małe skórzane torby wypełnione osobliwymi substancjami, wydrążone kamienne naczynie pełne orzechów i nasion. Wyciągnęła przed siebie ręce, by je ogrzać. Z pochyloną głową obserwowała mężczyznę spod rzęs. Na owłosionej piersi nosił kości zawieszane na zwierzęcych ścięgnach. Włosy, długie i poplątane, pełne były paciorków i muszli, niewielkie fioletowe tatuaże zdobiły jego ręce i nogi. Innymi słowy, gdyby nie grube rysy twarzy, wyglądałby jak człowiek z jej klanu.

Zastanawiała się, czemu jest tu zupełnie sam, dokąd poszedł jego lud. W końcu popatrzyła mu prosto w twarz i zapytała:

– Kim jesteś?

Potrząsnął głową. Nie zrozumiał.

Powtarzając raz za razem te same gesty, wskazując na siebie i na niego, w końcu zdołała zadać to pytanie. Uderzył się w pierś, a z jego ust wydobyło się słowo, które zabrzmiało jak „Ts’ank’t”. Próbując to powtórzyć, zdołała jedynie wykrztusić „Zant”. On z kolei nie umiał powiedzieć „Laliari”, mimo że uważnie obserwował jej usta i nos, gdy to wymawiała; wychodziło mu tylko „Lali”, została więc Lali.

Próbowali rozmawiać. Zant wskazywał na rozmaite rzeczy – jaskinię, ogień, deszcz, Belleka – i nazywał je we własnym języku. Laliari jednak nie potrafiła powtórzyć jego słów. Kiedy ona mówiła po swojemu, Zant starał się ją naśladować, ale po pewnym czasie zrezygnował. Wreszcie zamilkli i tylko wpatrywali się w płomienie, dumając nad cudem spotkania z istotą z innego świata. Jedno pytanie nurtowało Laliari, i w końcu, nie mogąc się opanować, wskazała na kopczyk na środku jaskini i popatrzyła pytająco na Zanta.

Poruszona, dostrzegła łzy w jego oczach. Niewielu mężczyzn z jej klanu płakało tak otwarcie. Kiedy łzy nie przestawały spływać po policzkach Zanta, zaniepokoiła się. We łzach była moc, tak jak w krwi, moczu i ślinie. On jednak je otarł i wymamrotał jakieś niezrozumiałe słowo. Spojrzała na niego zdziwiona, a on powtarzał je raz za razem, wskazując na kopczyk, aż uświadomiła sobie, że wymawia imię dziecka.

Z przerażeniem skoczyła na równe nogi i, wypatrując w jaskini ducha, wykonywała gwałtowne gesty, które miały ją przed nim ochronić.

Zant nie rozumiał. Lubił powtarzać imię chłopca. To mu przynosiło ukojenie. Dlaczego się przerażiła? Wstał z miejsca, powłókł się do grobu, ukląkł i z czułością poklepał świeżo usypany kopczyk. Laliari ze strachem kręciła głową.

Zant pomyślał chwilę. Wrócił do ognia. Przykucnąwszy, sięgnął pod skórę, która zakrywała

jego tors, i wydobył spod niej mały szary kamień. Wyciągnął go ku Laliari.

Kiedy nie przyjęła kamienia, wymamrotał jakieś słowo, i, ku jej olbrzymiemu zdumieniu, uśmiechnął się. Ten uśmiech odmienił jego twarz. Zniknęła cała dzikość, wydawał się teraz równie zwyczajny jak mężczyźni z jej plemienia. Ciągłe wyciągał ku niej kamień, więc w końcu go wzięła. Zaciśnęła na nim palce i zmarszczyła czoło, nic nie rozumiejąc.

Szary kamień, z pewnością wyciosany za pomocą narzędzi, wypełnił jej dłoń. Dół i góra były spiczaste, środek zaś składał się z gładkich, zaokrąglonych wybrzuszeń. Laliari nie miała pojęcia, co to takiego, dopóki Zant nie dotknął palcem jej nagiej piersi, a potem jednej z wypukłości na kamieniu. Wpatrzyła się uważniej w posążek i po chwili rozpoznała kształt. Była to ciężarna kobieta.

Laliari jęknęła. Nie widziała jeszcze wizerunku człowieka. Jaka magia się w tym kryła, skoro mogła trzymać w dłoni małą kobietę?

Płomień z ogniska zamigotał na figurce. Laliari ujrzała, że w brzuchu posążka umieszczono najpiękniejszy niebieski kamień, jaki kiedykolwiek widziała. Wyglądał jak zamrożona woda albo jak fragment letniego nieba. Jak niebieskie oczy Zanta. Kamień skrzył się w blasku płomieni, a Laliari wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana.

Zbliżyła kamień do oczu i spojrzała uważnie w jego przezroczyste serce. Ogień trzaskał, Bellek chrapał w kącie. Laliari patrzyła na krystaliczny błękit, aż ujrzała... Krzyknęła głośno.

W niebieskim kamieniu widniało dziecko w łonie matki!

Zant usiłował jej wytłumaczyć, że dawno temu jego przodkowie zabrali niebieski kamień na jeźdźcom z południa i szamanka z jego plemienia kazała wprawić kryształ w brzuch kamiennej figurki. Laliari nie mogła jednak wiedzieć, że kiedy przodkowie Zanta podążyli za stadami zwierząt na południe, tam, gdzie panował klimat znacznie cieplejszy niż w ich ojczyźnie, zanieśli niebieski kamień z powrotem na terytorium jego poprzednich właścicieli, potomków Wysokiej, czyli przodków Laliari.

Teraz Zant próbował objaśnić związek między ciężarną figurką a zmarłym dzieckiem w jamie. Laliari, choć bardzo się starała, nic nie rozumiała.

Nagle w jaskini rozległ się głośny jęk; to Bellek wołał dziewczynę. Leżał zwinięty na boku i drżał. Rozcierała zmarznięte ciało starca i usiłowała ogrzać go oddechem, ale trząś się coraz gwałtowniej, a wargi mu zsiniały. Zant odsunął ją delikatnie, podniósł Belleka i położył obok ognia, po czym wziął jedno z własnych futer z łęgowiska i owinał nim zziębniętego szamana. Po chwili stary się uspokoił i zasnął. Zant położył niezgrabnie olbrzymią rękę na jego pomarszczonym czole i wymamrotał słowa, których zafascynowana Laliari nie pojęła.

Stan Belleka się pogorszył. Rana gnęła, starzec dostał wysokiej gorączki. Zant troskliwie się nim zajął. Mimo ulewnego deszczu każdego dnia opuszczał jaskinię i wracał z pokarmem dla

szamana – były to miękkie korzenie, jaja i orzechy, z których przyrządzał łątwą do zjedzenia papkę – oraz z lekarstwami: aloesem na ranę, korą wierzyby wymoczoną w gorącej wodzie przeciwko gorączce. Gdy Laliari patrzyła, jak sprawnie Zant zajmuje się starcem, podtrzymując głowę Belleka w potężnych rękach, kiedy go poił, i śpiewając cicho w nieznanym języku, wyzbywała się nieufności i odrazy.

Wciąż jednak stanowił dla niej zagadkę.

Dlaczego był sam? Gdzie się podział jego lud? Czy klan Zanta wyginął, bo zabrakło księżyca? Czy dziecko w jamie było ostatnim z jego ludzi?

Co się stało ze stadami zwierząt w dolinie, dokąd poszły?

Poza tym była jeszcze mała ciężarna kobieta z niemowlęciem z niebieskiego kamienia w brzuchu. Co to oznaczało?

Laliari martwiła się też o swoje towarzyszki w obozowisku nad jeziorem. Bez mocy Alawy i Belleka były bezbronne. I z pewnością przerażone – dotąd nigdy nie widziały takiej niekończącej się ulewy. Popatrzyła na wyjście z jaskini i deszcz, pomyślała o zaginionym księżycu, nieobecnych zwierzętach, osamotnionym Zancie, i znów zaczęła się zastanawiać, czy nadchodzi koniec świata.

Zant zajmował się Bellekiem i próbował go wyleczyć; jednocześnie Poznawał kobietę innej rasy, a ona jego. Pokazał Laliari lecznicze rośliny w dolinie, ona zaś zbierała korzenie i warzywa, demonstrując, jak się je gotuje. To jednak nie interesowało Zanta – jego lud żywił się wyłącznie mięsem, warzyw nie jadał.

– Dla koni – powiedział. – Nie dla ludzi.

Wyjaśnił, że jest członkiem Klanu Wilków i je tylko mięso. Laliari nigdy nie widziała wilka.

W jaskini znajdowały się dziwne kamienne misy z resztkami spalonego tłuszczu. Zant przyłożył ogień do jednej z mis i wręczył ją Laliari. Patrzyła ze zdumieniem. Jej lud nie mieszkał w jaskiniach, tylko w szałasach bez dachów, gdzie wystarczająco jasno świeciły gwiazdy i księżyc, nie wynalazł więc lamp. I choć ludzie nosili ze sobą żar, by rozpalać ogniska, samego ognia nie potrafili przenosić.

Zant dźwigał rzeczy w workach ze zwierzęcych pęcherzy, żołądków i skór. Laliari, mieszkanka nadrzecznej doliny pełnej wysokich traw i trzcin, chodziła z koszem, co zdumiało Zanta, który nigdy dotąd nie widział plecionej trawy.

Jego lud był mięsożerny i nieszczególnie radził sobie z połowem ryb. Po co miałby to robić, skoro okolica obfitowała w zwierzyne? Teraz jednak zwierzęta zniknęły, zresztą polowanie w deszczu było trudne, więc Laliari nauczyła Zanta łowić ryby siatką z włókien roślin i zwierzęcych ścięgien. Pewnego dnia, kiedy deszcz nieco zelżał, a słońce przebiło się przez chmury, poszli razem nad strumień. Laliari rozłożyła sieć, by po chwili obciążyć ją kamieniami

i zarzucić. Zant, przejęty widokiem tyłu ryb trzepoczących w sieci, skoczył do wody, by ją wyciągnąć. Potknął się jednak i przewrócił, a Laliari wybuchnęła śmiechem, gdy wdrapał się z powrotem na brzeg i zaczął komicznie otrząsać. Jego futra były przemoczone, więc je ściągnął i rozłożył do wyschnięcia. Na widok nagiego torsu mężczyzny Laliari przestała się śmiać.

Miał skórę białą jak letnie obłoki, ale porośniętą delikatnymi czarnymi włosami, które lśniły teraz od wody. Jego klatka piersiowa była szeroka, barki i ramiona umięśnione. Miękka przepaska zakrywała męskość, ale nie twarde pośladki, które pokryły się gęsią skórą, kiedy słońce zaszło za chmurę. Zant uniósł ręce, by wyjąć długie włosy, a Laliari ujrzała mięśnie i ściągnęła pod moką skórą i na chwilę zabrakło jej tchu.

Po chwili słońce znów się pokazało. Zant obrócił ku niemu twarz, aby padały na nią ciepłe promienie. Stał całkiem nieruchomo, nagi, skąpany w słońcu i cieniu, długie czarne włosy spływały mu na plecy. Laliari patrzyła na jego profil, na potężny tors, wypukłe czoło i duży nos i zastanawiała się, oczarowana i zdumiona, czy właśnie tak wyglądają willa.

Chmury zakryły słońce i znów zrobiło się zimno. Czar prysł, ale zauroczenie Laliari nie minęło. Patrzyła, jak Zant schyla się po przemoczone futra, i myślała o jego sile i tajemniczości. Poczwała, jak zaczyna w niej płonąć nowy, dziwny żar. Kiedy nagle odwrócił głowę i ich spojrzenia się skrzyżowały, serce Laliari zabiło jakoś inaczej niż zwykle. Była niczym gazela – radosna, szczęśliwa, pełna życia.

Natychmiast jednak posmutniała na myśl o jego samotności.

Codziennie Laliari widziała, jak Zant opuszcza jaskinię z włócznią i toporkiem w ręce i znika w deszczu. Wracał dużo później, zawsze ze zdobyczą, lecz zmarznięty i drżący, bez słowa ściągał skórę ze zwierzęcia i wrzucał ją do ognia. Patrzyła, jak kuca i wbija wzrok w płomień, ze smutkiem na twarzy, i zastanawiała się nad jego przyczyną. Dlaczego został? Czemu nie odszedł? Co pewien czas Zant podnosił wzrok, jakby domyślał się, że Laliari go obserwuje. Krzyżowały się ich spojrzenia, a dziewczyna czuła, że coś – nie wiedziała co – wkrótce się wydarzy w ciepłej, zadymionej jaskini. Po pewnym czasie Zant przynosił jej i Bellekowi przyrządzone mięso. Sam jadł dopiero, kiedy zaspokoili głód, choć to on zdobywał żywność. Jedząc, czuła, że Zant się jej przygląda, patrzy wzrokiem Pełnym samotności, pytań i tęsknoty.

Całe dni spędzali na poszukiwaniu żywności, wieczory na niezręcznych próbach rozmowy, nocami zaś spali niespokojnie. Brakowało im słów, żeby opisać, co się dzieje, nie potrafili wyjaśnić dziwnych emocji, które ich opanowały. Laliari i Zant opiekowali się Bellekiem, pomagali mu wrócić do zdrowia, ale ich myśli krążyły wokół jednego tematu. Laliari zastanawiała się, jak lud Zanta sprawia sobie rozkosz, a Zant – jak kobiety i mężczyźni z jej plemienia łączą się w pary. Stały między nimi nieznanne tabu i strach przed ich złamaniem.

Kiedy pewnego dnia Laliari wyszła z jaskini ze swoimi rzeczami i zapasem jedzenia, mamrocząc krzepiące słowa do starca, Zant zrozumiał. Kobiety z jego klanu też separowały się od reszty podczas miesiączki.

Pięć dni później wróciła do jaskini, a wtedy Zant pokazał jej widok, dzięki któremu pojęła, co się stało z jego ludem.

Deszcz osłabł, słońce przeświecało przez chmury. Upewniając się, że Bellekowi jest ciepło i wygodnie, Zant wziął Laliari za rękę i poprowadził ją z jaskini po wąskim szlaku, wiodącym na szczyt urwiska. Tam, stojąc pod ciągnącym się w nieskończoność niebem, Laliari czuła, jak wiatr wchodzi w jej duszę i unosi ją coraz wyżej. W dole rozciągały się rozległe niziny i wzgórza, powoli zieleniejące na wiosnę, a w oddali widniało olbrzymie jezioro, nad którym obozował jej lud. Nigdy jeszcze nie stała tak wysoko, nie widziała świata aż tak dobrze.

Zant bez słowa poprowadził ją przez płaskowyż ku jego ostremu brzegowi. Bała się podejść tak blisko przepaści, ale Zant trzymał ją za rękę i uśmiechał się zachęcająco. Ruszyła ku krawędzi, przerażona, że porwie ją wiatr, i spojrzała w dół.

To, co zobaczyła, sprawiło, że oddech uwiązł jej w piersi.

Pod nimi, na dnie głębokiego wąwozu, wznosiła się góra końskich trupów. Zwierzęta miały otwarte brzuchy, reszta była nietknięta. Straszliwie cuchnęło – zwłoki gniły. Gestami i mimiką Zant opowiedział Laliari okropną rzecz: on i jego ludzie wytępilli stado. Tak właśnie polowali. Przypomniała sobie stos martwych antylop, który jej lud napotkał wiele tygodni temu. Wtedy zdziwiło ich, że zwierzęta rzuciły się z urwiska, by zginąć. Teraz rozumiała, że stało się tak za sprawą ludzi, którzy postanowili je zamordować.

Uświadomiła sobie z przerażeniem, że łowcy wykorzystali jedynie fragmenty ciał koni. Gesty i niezręczne słowa pomogły jej wyobrazić sobie rzeź: lud Zanta rozcinał brzuchy zwierząt, wielu wciąż żywych, i wyciągał z nich wnętrzności, pożerał bijące serca i dymiące wątroby, malując się krwią i dodając sobie mocy dzięki duchom koni.

Laliari była wstrząśnięta tym marnotrawstwem. Jej klan zużyłby każdy organ i ścięgno, nawet końskie grzywy. Tutaj złamano najpotężniejsze tabu: większość z tych zwierząt stanowiły samice. Kiedy polował jej lud, zabijał jedynie samce – niezdolne do rozrodu, zbędne do przetrwania gatunku. Zabijanie samic oznaczało zabijanie ich przyszłego potomstwa i ostateczne wybicie stada. Patrzyła z przerażeniem na bezsensowną rzeź – część samic była ciężarna – i uświadomiła sobie, że podczas wędrówki znad Morza Trzciny nie widzieli żadnych koni. Gdzie się podziała reszta?

Spojrzała na mężczyznę, który jednocześnie ją podniecał i ciekawił, a teraz także przerażał i budził odrazę. Ten człowiek delikatnie przemywał gnijącą ranę kruchego starca, a setki koni skazał na bezsensowną śmierć, nie zdając sobie sprawy z marnotrawstwa. Kiedy wciąż mówił, wyciągając rękę na północ, waląc się w pierś, demonstrując dumę i brawurę, jego oczy zdradzały

ponurą samotność. Nagle ją olśniło: Zant wcale nie był ostatni ze swojego ludu. Jego ziomkowie, zabiwszy zwierzęta w tej dolinie, musieli powędrować na północ w poszukiwaniu nowych stad. Byli Klanem Wilka, wyjaśnił jej, podążali za wilkami tropiącymi stada. Jego ludzie rozbili obóz zaledwie o kilka dni drogi stąd, za jeziorem, bliżej gór, i czekali na niego.

W końcu Bellek wyzdrowiał i Zant oznajmił, że rusza w drogę. Zebrał swoje rzeczy i zaczęli się żegnać. Teraz, przy rozstaniu, mogli się wreszcie dotknąć.

– Lali. – Rozpacz w jego głosie ją wzruszyła. Szorstkie palce Zanta na jej policzkach sprawiły, że żar rozlał się po ciele dziewczyny. Nakryła jego dłoń swoją i przycisnęła ją do twarzy, odwracając głowę tak, że jej usta dotknęły twardej ręki w długim, pełnym bólu pocałunku.

Łzy zalsniły w jego błękitnych oczach pod grubymi brwiami. Bezgłośnie wypowiedział jej imię. Poczwała, jak wzbierają w niej nienazwane, nieokreślone emocje. Dotychczas nic jeszcze tak jej nie wzruszyło – ani pierwszy uścisk Dorona, ani jego śmierć. Ten ponury i niepokojący mężczyzna z innego świata odkrył w niej uczucia, których istnienia nawet nie przeczuwała, i przebudził nowego ducha, który płonął i wierzył, że umrze bez Zanta.

Przyciągnął ją do siebie, musnęła ustami jego policzek. Czuła gorący oddech na swoim karku, jego męskość wbijała się w jej brzuch. Ułożył ją na ziemi, a ona przyciągnęła go do siebie. Nazwał ją Lali i gorączkowo pieścił jej ciało. Szepcząc jego imię, otworzyła się przed nim. Był większy od Dorona, pod każdym względem, a jego dotyk sprawił, że zabrakło jej tchu.

Bellek, czekający przed jaskinią na półce skalnej, rozumiał te sprawy. Przykucnął i zaczął wyciągać gnidy z włosów.

Zant spędził z Laliari siedem nocy i siedem dni. W tym czasie poznawali się nawzajem, w dzień wędkując i polując, nocami zaś tonąc w namiętnych uściskach. Wreszcie Zant odszedł. Oboje wiedzieli, że nigdy więcej już się nie spotkają. Miejsce Laliari było wśród jej ludu. Choć jeszcze tego nie wiedziała, pewnego dnia miała założyć rogi gazeli. Zant musiał podążyć na północ, by dołączyć do swego klanu, który podczas polowań zrzucił z urwiska całe stada mamutów, koni, reniferów i kozłów. Nie wiedział, że Klan Wilków wytępi w ten sposób ostatecznie wiele gatunków zwierząt. Zant i jego współplemieńcy, zwani później neandertalczykami, powędrowali na północ, nieświadomi, że grozi im wyginięcie z powodów, które nawet po trzydziestu pięciu tysiącach lat będą stanowiły zagadkę.

Po odejściu Zanta Laliari ze smutkiem zaczęła się pakować. W jednym z koszy znalazła małą figurkę z niebieskim kamieniem-dzieckiem w brzuchu. Pożegnalny dar od Zanta.

Kiedy wlekli się po równinie, a Laliari wspierała kulejącego Belleka, oboje mieli wątpliwości, czy znajdą obóz na swoim miejscu. Nie było ich tak długo. Nagle jednak dostrzegli dym z ognisk, dobiegł ich śmiech dzieci. Podeszli bliżej i ujrzeli...

Duchy!

Bellek znieruchomiał i wydał z siebie dziwny, zduszony dźwięk. Laliari jednak miała lepszy wzrok. Dostrzegła, że mężczyźni w obozowisku to nie duchy, tylko ich myśliwi, niegdyś zaginieni w morzu, teraz jak najbardziej żywi. Wędrowcy przyspieszyli kroku, Laliari biegła, rozpaczliwie szukając w tłumie znajomej twarzy. Wtedy go zobaczyła.

Doron i inni nie utonęli w odmętach.

Przepełnęli wiele kilometrów z prądem i wylądowali na brzegu – przeciwnym niż one. Musieli czekać na odpływ, by pokonać Morze Trzcina, gdy wreszcie się cofnie. Nie mieli pojęcia, gdzie zniknęły kobiety. Dopiero po wielu dniach trafili na ślady grupy, a potem po prostu szli tropem magicznych symboli Belleka, które wydłubał na drzewach podczas wędrówki rzeczną doliną. Wreszcie członkowie klanu ponownie się połączyli. Laliari ze łzami radości w oczach patrzyła na Dorona, ale myślała o Zancie...

Tej nocy, gdy Bellek uraczył wszystkich opowieścią o pobycie w jaskini – choć przecież większość czasu przespał – a Laliari puściła w obieg figurkę ciężarnej kobiety, by wszyscy mogli ją podziwiać, ze skraju obozowiska dobiegł krzyk. Myśliwy, który miał wypatrywać księżycy, podbiegł do ognia, wymachując rękami. Zerwali się i popędzili między drzewa, a potem na polanę, gdzie ujrzeni...

Ze wszystkich gardeł wydobył się stłumiony okrzyk.

Na obsypanym gwiazdami niebie królował wielki, okrągły księżyc.

Tej nocy Klan Gazeli obchodził wielkie święto. Bellek rozdał magiczne grzyby. Wkrótce uczujący przeżywali radosne halucynacje, widzieli świat w pięknych, intensywnych barwach, odczuwali błogie zadowolenie. Ich serca wypełniła miłość do wszystkiego co żyje, puls przyspieszył pod wpływem pożądania. Rozeszli się. Doron zaprowadził Laliari w odludne miejsce wśród trzcina. Bellek trafił w ramiona dwóch pełnych entuzjazmu młodych kobiet. Freer, przyjaciel Dorona, poszukał ukojenia między rozpalonymi i gościnnymi nogami Tej Bez Imienia, machnąwszy ręką na jej status wyklętej.

Następnego ranka wszyscy przyznali, że pojawienie się księżycy tuż po powrocie Laliari i Belleka to z pewnością nie przypadek. Laliari z kolei doszła do wniosku, że księżyc przybył wraz z niebieskim kamieniem, podarowanym jej przez nieznanego z jaskiń.

Innych nie przekonało to wyjaśnienie, uznali, że Laliari się myli. Przy następnej pełni zmienili jednak zdanie, gdyż większość kobiet w klanie okazała się ciężarna, nawet Ta Bez Imienia. Uważnie przyjrzeni się posążkowi. Nie było mowy o pomyłce: zobaczyli piersi i brzuch brzemienniej kobiety, a w środku niebieskiego kryształu bez trudu dostrzegli dziecko.

Kamień z powrotem sprowadził do klanu księżyc – a zatem życie.

Wobec tego znowu urządzono święto, wszyscy śpiewali ku chwale Laliari. Gdy skromnie przyjmowała te hołdy, myśląc ze smutkiem o Zancie, ale z radością o Doronie, nie zauważyła, że

po drugiej stronie kręgu obserwują ją czyjeś oczy. Oczy Keeki, której wcale nie uszczęśliwił powrót kuzynki z jaskiń.

Keeka myślała o zemście.

Cieszyło ją, że nieobecność Laliari się przedłuża. Wprawdzie jak wszyscy czuła strach, że Bellek zginął i zabraknie tego, kto mógłby odczytywać znaki i prowadzić grupę, miała jednak cichą nadzieję, że kuzynka nigdy już nie powróci. Kiedy pojawił się Doron wraz z resztą myśliwych, Keece wydawało się, że ma szansę go zdobyć. Prawie się udało. Zaczął siadywać obok niej podczas wieczornego posiłku, okazywał zainteresowanie sypianiem z nią – i właśnie wtedy Bellek i Laliari wyszli z mgły!

Przez następnych siedem lat znaczenie Laliari w klanie wzrosło, wszyscy wierzyli bowiem, że to jej kamień płodności wywabił księżyc z kryjówki. Niebieski kamień był tak potężny, że nawet jałowa Ta Bez Imienia urodziła dziecko, dzięki czemu odzyskała dawne imię i darzono ją szacunkiem, jak wszystkie matki. Klan wybrał Laliari na nową Strażniczkę Rogów Gazeli. Teraz miała troje dzieci, Doron sypiał w jej chacie, a nie z myśliwymi, i wszyscy ją kochali. Zazdrosna Keeka nie była już w stanie tego znieść.

Musiała jednak starannie przemyśleć zemstę. Laliari nie mogła się dowiedzieć, że to Keeka ją zabiła – duch kuzynki prześladowałby ją do końca życia. Ale jak zabić kogoś, ukrywając swoją tożsamość? Wszystkie sposoby, o których myślała – użycie włóczni albo maczugi, zepchnięcie Laliari z urwiska – musiały zdradzić zabójczynię. Nie uda się jej przechytrzyć kuzynki tak, jak przechytrzyła Alawę. Zanim Keeka zakradła się do chaty starej kobiety, by ją udusić – nie miała wyjścia, podsłuchiwała, jak Alawa mówi Bellekowi, że trzeba zabić małych chłopców, w tym synów Keeki! – wysmarowała błotem twarz i nakryła włosy liśćmi, by stara kobieta wzięła ją za ducha. Laliari była jednak znacznie bardziej bystra, rozpoznałaby morderczynię.

Kobiety poszły zbierać wiosenne rośliny. Na nowym miejscu klan przystosował się do rytmu pór roku. Już nie trzeba było podporządkowywać się corocznym wylewom rzeki, jak w dolinie na zachód od Morza Trzcina. Teraz rządził nimi cykl jesiennej mgły, zimowego śniegu, kwiecistej wiosny i letnich upałów. Musieli zapamiętać terminy wędrówek zwierzyny i ptaków, nauczyć się szukać jadalnych dzikich owoców i ziaren. Trawiaste spódniczki nie zabezpieczały przed zimowym chłodem, nosili więc okrycia i ochraniacze na nogi ze zwierzęcych skór. Zimą wycofywali się do ciepłych, suchych jaskiń na urwiskach, wiosną je opuszczali, by budować szałas z trawy na brzegu jeziora.

Keeka wraz z innymi kobietami szukała pożywienia, kiedy natrafiła na nieznaną sobie roślinę. Pochodziła z dalekiej północy, z gór kraju pewnego dnia nazwanego Turcją. Przez stulecia nasionko tej rośliny podróżowało z wiatrem i na skrzydłach ptaków, aż wreszcie trafiło nad Jezioro Galilejskie i tam się zakorzeniło. Keeka przystanęła, by popatrzeć na wysokie czerwone



łodygi i szerokie zielone liście. Klan znajdował mnóstwo nowych roślin w dolinie, więc i ta jej nie zdumiała. Gdy się jednak pochyliła, by ją zerwać – zamarła.

Wokół rośliny leżały zdechłe gryzonie.

Keeka jęknęła i odskoczyła. W tym miejscu były złe duchy! Szybko nakreśliła ochronny znak w powietrzu, pośpiesznie mamrocząc zaklęcie. W następnej chwili coś sprawiło, że znieruchomiała i przykucnęła nad martwymi zwierzętami.

Zanim zdechły, gryzonie z pewnością skubały liście nowej rośliny. Jedno stworzenie jeszcze wiło się w konwulsjach. Moment później zeszywniało. Keeka nie dotknęła rośliny w obawie przed trującym duchem, który ją zamieszkiwał, ale nie uciekła, bo w jej głowie pojawiła się nieoczekiwana wizja: Laliari leżąca na ziemi jak te gryzonie, zabita przez złego ducha rośliny.

Znalazła narzędzie zemsty.

Radośnie pobiegła na brzeg i oblepiła dłonie świeżym błotem. Potem odmówiła ochronne zaklęcia i ostrożnie wyrwała roślinę z ziemi. Wrzuciła ją do kosza i wróciła do wody, by dokładnie umyć ręce. Była dumna ze swojego sprytu – to nie ona zabije, tylko niegodziwy duch w roślinie. Już wyobrażała sobie, jak będzie żyła, kiedy Laliari umrze, i uśmiechnęła się szeroko na myśl o zwabieniu przystojnego Dorona do swojej chaty.

Pierwsze próby sporządzania okrycia z futer zakończyły się sromotną porażką – skóry kóz, które znaleźli, były twarde, sztywne i niemożliwe do ukształtowania – pierwszą więc zimą lud Laliari trząś się z zimna w jaskiniach. Laliari pamiętała jednak, jak miękkie i elastyczne były futra Zanta. Ona i pozostałe kobiety eksperymentowały przez całe lato, rozciągając i skrobiąc skóry zwierzęce, aż po wyschnięciu osiągnęły one odpowiednią miękkość. Potem igłami z kości robiła dziury, przez które przeciągnęła włókna trawy. Stała teraz na wietrznym wzgórzu, ubrana w długą tunikę z ciepłej i miękkiej koziej skóry oraz buty z futra. W woreczku ze skóry owczej na plecach kobiety spała ośmiomiesięczna dziewczynka. Mali synkowie Laliari, Vivek i Josu, ganiali za polnymi konikami, otuleni w peleryny i ochraniacze na nogi z miękkiej skóry gazeli.

Laliari odróżniała się od reszty, kiedy tak stała na wzgórzu, patrząc na pierwsze owoce wiosny – nosiła na głowie gazele rogi klanu, związane pod brodą zwierzęcym ścięgnem. Myślała o czosnku, który rósł nad strumieniem, niestety było jeszcze za wcześnie na zbiór. Czosnek musiał poczekać do połowy lata – niedobrze, bo klan bardzo w nim zasmakował. Zerknęła na stary, potężny figowiec na wzgórzu i przyjrzała się zielonym owocom. Niedojrzałe. Musiał minąć jeszcze jeden pełny cykl księżyca, zanim klan posmakuje słodczy fig. W końcu zauważyła krzew morwy, który pamiętała sprzed roku, i z radością zobaczyła, że można już zrywać pierwsze jagody.

Zebrała owoce morwy do koszyka. Wraz z wiatrem dobiegł ją delikatny aromat – to niebieskie hiacynty masowo kwitły na wzgórzach i łąkach. Zakwitły, też niemal z dnia na dzień, oślepiająco białe narcyzy. Po smutnych miesiącach w zadymionych jaskiniach Klan Gazeli radował

się nadejściem wiosny.

Laliari też przepełniała niewypowiedziana radość. Maleńka dziewczynka spała na jej plecach, a nieopodal, w wysokiej słodkiej trawie, hasali jej dwaj ukochani synowie.

Starszy syn, Vivek, miał sześć lat i grube brwi, i mimo młodego wieku dosyć potężną szczękę. Podobieństwo chłopca do Zanta nie dziwiło Laliari, w końcu to posążek od niego, brzemienna kobieta z niebieskim kamieniem w brzuchu, ofiarował Laliari potomka. Drugi syn Laliari, Josu, był bystrym, pulchnym czterolatkiem o złocistych lokach. Dziś czekało go przekłuwanie nosa. Po uroczystej ceremonii Josu miał dostać własny toporek i naszyjnik z muszli, służących jako talizmany.

Teraz już niemal nie pamiętała przerażenia, które niegdyś czuła w tej krainie, ani tego, że byli tu obcy. Klan pokochał ziemię nad jeziorem. Laliari wystawiła twarz do wiatru i pomyślała o Zancie. Miała nadzieję, że odnalazł swój lud, że jest teraz szczęśliwy i poluje. Kobieta nigdy nie wróciła do miejsca, w którym się spotkali, był tam bowiem grób dziecka i Bellek oświadczył, że na jaskini ciąży tabu.

Słyszając wysoki gwizd, Laliari odwróciła głowę i ujrzała nadchodzącą Keekę. Kobieta mimo chłodu miała nagie piersi i z dumą prezentowała piękny naszyjnik z muszli monetek, подарowany jej przez jednego z myśliwych. Przybrała na wadze przez te wszystkie lata od ucieczki przez Morze Trzciny; odkąd klan osiedlił się nad jeziorem, wróciła do dawnych zwyczajów gromadzenia żywności.

Ku zdumieniu Laliari, tym razem Keeka przyszła, aby się podzielić. Wyciągnęła kosz pełen szerokich zielonych liści i pokazała nową przepyszną roślinę, którą właśnie odkryła. Laliari z wdzięcznością przyjęła dar i w zamian podarowała Keece koszyk pełen owoców morwy. Gdy Keeka odeszła z uśmiechem, wpychając sobie garście owoców do ust, Laliari ugryzła nową roślinę i uznała, że nie wyróżnia się ona niczym nadzwyczajnym.

– Mamo?

Spojrzała w dół i zobaczyła wyciągnięte rączki małego Josu, więc podała mu liść, drugi wręczyła starszemu chłopcu. Vivek spróbował nowej rośliny, skrzywił się i ją wypluł, jednak Josu radośnie żuł swój kawałek.

Napełniwszy dwa duże kosze morwą, Laliari zawołała chłopców i podążyli do obozowiska nad brzegiem jeziora. Inne kobiety także już wróciły ze swoimi zdobyczami: liśćmi mniszka lekarskiego i dzikim ogórkiem, nasionami kolendry i jajami gołębi, a także z zapasem liści papirusu na koszyki, zbieranego też ze względu na jadalny miękisz. Mężczyźni przynieśli sieci pełne ryb, kosze skałoczepów i dwie obdarte ze skóry kozy. Wszyscy mieli najeść się do syta.

Wypowiadając rytualne zaklęcia, mięso podzielono, a po upieczeniu rozdano, najpierw matkom myśliwych, następnie starszyźnie, w końcu reszcie. Myśliwi otrzymali jedzenie ostatni. Laliari nakarmiła piersią córeczkę i sprawdziła, czy synowie mają żywności pod dostatkiem. Vivek

radośnie wysysał żółtko z jajka, a mały Josu wciąż ogryzał liść. Ktoś odkrył wczesną pszenicę i chętnie się nią podzielił. Każdy z uczestników uczył opiekę pęk zboża nad ogniskiem, aż do wypalenia plew. Potem rozcierali kłosa w dłoniach, żeby oddzielić ziarna, i wrzucali je do ust.

Po posiłku było gwarno jak zawsze, kobiety zajęły się szcietkowaniem włosów i wyplataniem koszyków, mężczyźni ostrzyli kamienne noże i rozmawiali o dzisiejszym polowaniu. Laliari dopiero po jakimś czasie zauważyła, że Josu źle się czuje. Miał dziwne rany na policzkach i wokół ust. Zaniepokoiła się. Czyżby wstąpił w niego zły duch? Josu nie miał jeszcze przekłutych warg ani nosa.

– Tu też. – Przycisnął dłonie do brzucha.

– Tu cię boli? Skinął głową.

Serce Laliari biło jak oszalałe. Duch wszedł przez usta, a teraz był w żołądku.

Myślała gorączkowo, co robić. Josu zaczął się trząść. Przytuliła go do siebie.

– Zimno ci, skarbie?

Wielkie, okrągłe oczy wpatrywały się w nią. Drżał coraz bardziej.

Podeszły inne kobiety, obejrzały dokładnie chłopca, dotykając go i szepcząc zatroskane.

Laliari tuliła go mocno i kołysała. Nagle zaczął rzeźić i łapczywie chwytać powietrze. Zawołała Belleka. Starzec nadszedł ze swymi amuletami, otoczyła go reszta klanu. Zbadał chłopca i natychmiast zabrał się do przyrządzania lekarstwa. Gdy płomienie z ognisk tańczyły pod gwiazdami, Bellek położył potężne talizmany na ciele Josu, mamrocząc magiczne zaklęcia. Po chwili zanurzył palce w naczyniach z pigmentem i wymalował lecznicze symbole na czole, piersi i stopach chłopca.

Josu oddychał coraz ciężiej.

Na skraju grupy stała Keeka, obojętnie wrzucając orzeszki do ust. Nie przyszło jej do głowy, że Laliari najpierw da liście dzieciom, i teraz zły duch wstąpił w chłopca zamiast w jego matkę. Keeka była dość inteligentna, by zrozumieć, że druga okazja już się nie nadarzy i Doron nigdy nie będzie do niej należał. Mimo to cieszyło ją przerażenie na twarzy kuzynki i łzy ściekające po jej policzkach.

Josu był już nieprzytomny, cały klan wpatrywał się w niego bez słowa.

Nagle ciałem chłopca znów wstrząsnęły konwulsje.

– Ocal go! – krzyknęła Laliari.

Stary Bellek zadrżał, niezdecydowany. Konwulsje ustały.

– Josu? – szepnęła Laliari z nagłą nadzieją.

Pierś chłopca rozszerzyła się w głębokim oddechu. Dziecko wypuściło powietrze z płuc, drgnęło i znieruchomiło.

To ciche czuwanie było chyba najsmutniejsze w historii klanu. Nawet kiedy już zaczęli roz-

bierać obozowisko – musieli się przenieść i zostawić ciało małego Josu na pastwę żywiołów – nikt nic nie mówił. Poruszali się wolno, na twarzach malował się smutek.

Po odprawieniu rytuału należało odejść jak najszybciej. Wszyscy zarzucali na ramiona ciężary, gotowi ruszyć wzdłuż brzegu. Laliari jednak nawet nie drgnęła. Wciąż siedziała przy zwłokach syna, z twarzą bielszą niż resztki śniegów w odległych górach. Członkowie klanu nerwowo przestępowali z nogi na nogę – mogła przecież na nich ściągnąć wielkiego pecha.

Przerazili się, kiedy nagle przygarnęła do siebie sztywne ciało i zawyla. Niektórzy chcieli ją zostawić. Laliari nosi jednak rogi gazeli, argumentowali inni. Doron przykucnął koło niej z niepewną miną. Wyciągnął rękę, ale nie ośmielił się dotknąć kobiety.

Wreszcie szlochy Laliari ustały. Działo się z nią coś dziwnego. Ogarnął ją śmiertelny spokój, jej oczy wpatrywały się w przestrzeń, wreszcie utkwiała wzrok w niezbyt odległej jaskini. Nagle pomyślała o miejscu, w którym spotkała Zanta, i o pochowanym tam dziecku. Sięgnęła do niewielkiej torby u pasa i wyjęła z niej kamienną figurkę z niebieskim kryształem w brzuchu. Wpatrując się w posązek, przypomniała sobie, jak Zant pokazał jej figurkę po raz pierwszy, wtedy gdy pochował dziecko. Wtedy nie zrozumiała, co chciał powiedzieć, teraz jednak ją olśniło: kryształ nie symbolizował łona ciężarnej kobiety – to był grób dziecka.

Nie zostawię tu syna na pastwę dzikich zwierząt – pomyślała. – Na pastwę wiatru i duchów. Nie zostanie zapomniany.

Wszyscy patrzyli na nią ze zdumieniem. Laliari upewniła się, że jej maleńka córeczka bezpiecznie śpi w worku na plecach, a następnie podniosła ciało Josu, przykazała Vivekowi, aby trzymał się jej spodnicy, i zaczęła oddalać się od obozowiska.

Bellek pokuśtykał za Laliari. Inni poszli za nim z ciekawością, trzymali się jednak w bezpiecznej odległości. Czy szaman nakaze jej zostawić zwłoki i wrócić? Dokąd zmierzała Laliari?

Poznali odpowiedź, gdy dotarła do stóp gór i z trudem zaczęła piąć się po skalistym szlaku, którym chodzili przez siedem ostatnich lat. Kilka razy musiała się zatrzymać, by poczekać na starszego syna **lub** poprawić ciężar w ramionach. Czasem kładła ciało Josu na ziemi i przenosiła Viveka nad rozpadlinami.

Nie obejrzała się ani razu.

Jaskini, którą wybrała, nie używali ze względu na jej niewielkie rozmiary i niski strop. Dobrze jednak chroniła przed żywiołami, było w niej cicho i sucho. Laliari ostrożnie położyła Josu, po czym wzięła do ręki kijek, który zawsze nosiła za paskiem, i zaczęła kopać ziemię.

Stłoczyli się na progu, patrząc i szepcząc, lecz nikt nie odważył się wejść do środka. Córeczka Laliari zaczęła płakać. Kobieta odwiązała nosidło z pleców i nakarmiła dziecko piersią. Gdy ponownie zasnęło, położyła je w bezpiecznym miejscu i wróciła do przerwanej czynności.

Jama była gotowa. Laliari uniosła ciało Josu i ostrożnie złożyła je w dole, w wygodnej pozycji, jakby chłopiec tylko zasnął. Po chwili wstała i wyszła z jaskini. Ludzie patrzyli, jak chodzi między głazami i krzewami, zbierając kwiaty i pachnące gałązki. Gdy miała ich już pełne ręce, zniosła je do jaskini i rozsypała na ciele Josu. Potem nakryła go piaskiem, wypełniając jamę i uklepując ziemię, aż zrobiła się twarda.

Podeszła do wejścia jaskini, gdzie jej sześćioletni syn stał u boku Dorona. Wzięła Viveka za rękę i zaprowadziła go do grobu.

– Nie bój się – powiedziała. – Teraz twój brat śpi. Jest bezpieczny, nie skrzywdzą go duchy. A on nie skrzywdzi ciebie. Ma na imię Josu i zawsze będziesz go pamiętał.

Jęknęli. Laliari wypowiedziała imię zmarłego!

Nie obchodziło jej, co myślą inni, ani to, że Bellek straszliwie pobladł. Laliari czuła tylko wielką ulgę, która ją ogarnęła na myśl, że jej dziecko będzie w tej jaskini bezpieczne, blisko swojej rodziny.

Kiedy w końcu wyszła i znieruchomiała w świetle księżyca, z niemowlęciem na plecach i starszym synem u boku, wyciągnęła przed siebie figurkę z niebieskim kamieniem, by wszyscy mogli ją zobaczyć. Milczeli, w końcu była Strażniczką Rogów Gazeli.

– Matka daje życie i do Matki ono powraca – oznajmiła. – Nie możemy zapominać o jej darze. Od dziś imiona zmarłych nie są już tabu.

Laliari wiedziała, że jej ludowi niełatwo będzie pokonać odwieczne przesady, ale postanowiła nie rezygnować. Zdecydowała, że jej klan nie może rozpaczać po bliskich, nie wypowiadając ich imion. Zmarli nie zostaną zapomniani. Teraz rozumiała, że tak właśnie trzeba. Tej mądrości nauczył ją nieznanomy imieniem Zant.

### Przejście

Po tym wydarzeniu wszyscy bali się Laliari – przynajmniej przez pewien czas. Wkrótce jednak przekonali się, że wypowiadając imię zmarłego dziecka, wcale nie ściągnęła na klan nieszczęścia. A kiedy wiosną w dolinie pojawiło się mnóstwo jedzenia, zaczęli się zastanawiać, czy Laliari przypadkiem nie zyskała nowej mocy. Rok później zmarł Bellek, a Laliari wypowiedziała jego imię podczas cichego czuwania. Snuła opowieść o uczynkach i długim życiu szamana. Spoczął w jaskini, obok Josu. Kiedy i tym razem nie stało się nic złego, przestali obawiać się zazdrości zmarłych. Nazywali po imieniu dawno utraconych bliskich – synów i braci poległych z rąk najeźdźców.

Duchy nie prześladowały żywych, jedzenia było w bród. W końcu mówienie o zmarłych stało się częścią rytuału czuwania. Laliari chwaliła zmarłego i opowiadała o jego czynach, a słuchający, siedząc wokół niej, podawali sobie figurkę ze zdumiewającym niebieskim kamieniem. To przecież właśnie ona kazała Laliari ustanowić nowe prawa.

Wiele lat później Laliari spoczęła w jaskini obok syna. A wśród członków klanu narodziła się nowa legenda – o Strażniczce Rogów Gazeli, która dawno, dawno temu przywróciła swojemu ludowi księżyc i płodność, i nauczyła go wspominać zmarłych.

Kiedy ludzie, którzy polując, tępili całe stada, odeszli z tych stron, dzikie zwierzęta stopniowo wracały w dolinę rzeki Jordan. Ludzie z Klanu Gazeli wędrowali za stadami. Lato spędzali przy chłodnych źródłach na południu, zimę w ciepłych jaskiniach na północy. I zawsze towarzyszyła im brzemienna figurka.

Cudowność niebieskiego kamienia kryła się w jego pięknie. Gdyby był skromny jak jaspis lub matowy i chropowaty jak karneol, pewnie dawno zostałby zgubiony albo zapomniany. Ale jego olśniewający błysk fascynował, każde pokolenie na nowo zachwycało się lśniącem odpryskiem kosmicznego meteorytu, więc wciąż go strzegło, czcząc i podziwiając.

W końcu przestano traktować go jak zwykły amulet. Kobiecie z kamienia, w której brzuchu tkwił, zbudowano maleńką chatę z drewna i gliny, którą zajmował się specjalny opiekun. Teraz do Strażniczki Rogów Gazeli i Strażnika Grzybów dołączył Strażnik Kamienia.

Tysiąc lat po tym, jak Laliari i Zant spoczywali w swoich ramionach, nad dolinę nadciągnęła wyjątkowo mroźna zima. Galileę pokrył śnieg. Ludzie z Klanu Gazeli kulili się w jaskiniach, a Strażnik Kamienia miał sen. W tym śnie przemówił do niego niebieski kamień. Skarżył się, że męczy go życie w takim małym ciele. Starsi po naradach i sporach zdecydowali, że kamień należy umieścić w nowym ciele, większym i lepszym, odpowiednim do jego mocy. Artyści wyrzeźbili posąg zupełnie jak żywy, z twarzą kobiety i długimi włosami. Kamień umieszczono w jego brzuchu – kryształ był przecież duchem posągu. Figura otrzymała też nowy dom, obszerny i solidny. Dwóch ludzi dźwigało go na platformie na kijach. Dokądkolwiek udawał się Klan Gazeli, towarzyszył mu posąg. Mężczyźni walczyli o przywilej jego noszenia.

Błękitnemu kamieniowi przypisywano coraz większą moc. Dwadzieścia tysięcy lat po tym, jak Laliari pochowała syna, ludzie z Klanu Gazeli nadal wierzyli, że między nimi mieszka bogini. Żyje w kryształowym łonie kamiennej kobiety z kamiennego domu.

Klan się rozrastał, aż stał się zbyt liczny, by nawet najbardziej żyzna okolica mogła go wykarmić. Małe grupy śmiazków ruszyły więc na podbój innych terytoriów. Pozostały jednak częścią tego samego plemienia, czciły tych samych przodków i tę samą Boginię. Co roku przybywali na Zgromadzenie Klanów nad wieczne źródło, na północ od martwego morza i na zachód od doliny Jordanu.

Najważniejsze klany, zachodni i północny, tworzyły dwie rodziny. Rodzina Talithy pochodziła od Klanu Gazeli z północy, a rodzina Serophii od Klanu Kruka z zachodu. Bogini przez rok przebywała u jednej z rodzin, która przekazywała ją drugiej podczas spotkania w oazie. Następne

pokolenia orzekły, że nie przypadkiem Talitha odkryła magiczny sok z winogron tego lata, kiedy jej klan opiekował się Boginią.

Wtedy też pojawiły się kłopoty.

Legenda jednak mówi, że kłopoty zaczęły się o wiele wcześniej, gdy Talitha i Serophia były młode, a Many obozowały na północ od martwego morza, próbując jakoś przetrwać bezlitosne upały. Zdarzało się, że na Zgromadzenia przybywali obcy – myśliwi, którzy woleli żyć i polować samotnie, zamiast wiązać się z rodziną czy klanem. Wyłaniali się z za wzgórz ze świeżą zdobyczą i szukali ogniska, przy którym mogliby spożywać posiłek wraz z tym, kto by oprawił zwierzynę i przyrządził mięso. Pulchna Talitha, matka piątki dzieci, słynęła z tego, że jej ogień nigdy nie wygasa, a kamienie do pieczenia zawsze są rozgrzane. Ponadto znała sekretne przyprawy i, obdarzona kuszącym ciałem, lubiła zabawiać się z mężczyznami. Nieznajomy, który przybył tamtego lata z dorodną owcą na barkach, silny myśliwy imieniem Bazel, trafił do namiotu Talithy i został w nim przez tydzień, dzieląc z nią łożę i posiłki. Potem zaczął zbierać się do odejścia, bo miał naturę wędrowca, ale Talitha postanowiła go zatrzymać. Kusila mężczyznę smakowitymi prażonymi ziarnami i sokiem wyciśniętym z winogron. Sekretów przyrządzania obu tych potraw nie znał nikt prócz niej.

Bazel został z Talitha na kolejny tydzień. Pewnego ranka wyruszył na wzgórze, by upolować gazelę. Nie wrócił jednak do Talithy, lecz poszedł do chaty z trawy po drugiej stronie źródła. Tam obozował inny klan. W szałasie mieszkała kobieta o imieniu Serophia, młodsza i szczuplejsza od Talithy, z mniejszą liczbą dzieci. Tu Bazel spędził następne dwa rozkoszne tygodnie, dopóki jego niespokojny wzrok nie powędrował ku horyzontowi. Mężczyźni z klanów byliby zachwyceni jego odejściem, w przeciwieństwie do obu kobiet. Każda z nich chciała zatrzymać myśliwego dla siebie, i to na zawsze.

Rywalizacja między nimi stała się główną rozrywką tego lata, długo ją wspominano. Talitha i Serophia rozpoczęły kampanię, którą myśliwi zgodnie uznali za równie przemyślną, jak taktyka polowania lub bitwy. Zadowolony Bazel dzielił swój czas pomiędzy namiot i chatę tak sprawiedliwie, jak potrafił. Nigdy dotąd tak dobrze nie jadł ani tyle nie używał sobie z kobietami. Nie zapomniał tego lata.

Nadszedł dzień, w którym mędrcy ogłosili, że czas kończyć Zgromadzenie i wrócić do zimowych siedzib. Talitha i Serophia rozpaczaly, bo Bazel na nic się dotąd nie zdecydował.

Nikt nie potrafił powiedzieć, co się właściwie stało. Oskarżenia padały ze wszystkich stron: niektórzy twierdzili, że Talitha rzuciła zły urok na Serophię, inni, że Serophia sprowadziła na Talithę złe czary. Obie kobiety dostały krwawych upławów, utrudniających oddawanie moczu, i nie mogły uprawiać seksu. Wyzdrowiały dopiero zimą. Ani mędrcy, ani szamanka nie umieli powiedzieć, co im dolega, nie pomagało żadne lekarstwo. Było jednak jasne, że w obie kobiety wstąpił zły duch. Pewnej bezksiężycowej nocy Bazel uznał, że lepiej odejść, zanim oskarżą go

o to nieszczęście. Wziął włócznię i wymknął się z obozu. Nigdy nie wrócił.

Klany powędrowały na ziemię przodków. Obie kobiety czuły się bardzo źle, a każda obwiniała tę drugą i pielęgnowała w sobie niechęć tak głęboką, że jej skutki miały trwać przez wieki.

– Powróćmy do Lata Winogron – zwykle rozpoczynali opowieść gawędziarze. – Do lata, w którym zaczęły się wszystkie kłopoty.

Myśliwego Bazela wkrótce zapomniano, ale wzajemna nienawiść pozostała. Z biegiem czasu obie kobiety zyskały w swoich klanach wysoką pozycję. Urodziły mnóstwo dzieci, zostały szacownymi babkami, posiadały moc wynikającą z menopauzy. Talitha była grubokoścista i krzepka, w jej żyłach płynęła krew Zanta. Serophia była bardzo szczupła, choć z pewnością nie krucha. Żadnej nie brakowało siły i charakteru. Mijały lata, ale na każdym Zgromadzeniu wojna wybuchwała na nowo.

– Fuj! Ciecierzycy Serophii smakuje jak świńskie łajno! – mamrotała Talitha do kobiet z innych klanów.

– Wszystkie jaja, których dotknie Talitha, są zepsute – mówiła Serophia każdemu, kto chciał jej słuchać.

Ich rywalizacja obrosła legendą i stała się źródłem uciechy dla klanowych plotkarzy. Między rywalkami wciąż kursowali szpiedzy.

– Talitha zasypia, gdy między jej nogami leży mężczyzna – twierdziła Serophia.

– Mężczyzna zasypia, leżąc między nogami Serophii – odgryzała się Talitha.

Nawet mężczyźni, którzy zbierali się przed wspólnym namiotem myśliwych, nie angażując się zwykle w kobiece sprawy, zostali wciągnięci do sporu. Jednej lub drugiej stronie przyznawano punkty, obstawiano zakłady. Na każdym letnim Zgromadzeniu wieści z frontu walki między Talitha a Serophia były wieczorną rozrywką przy ogniskach.

Zbieg okoliczności sprawił, że sprawy ruszyły z miejsca w czasie Lata Winogron.

Klan Talithy z północy zatrzymała w jaskiniach gorączka, która wczesną wiosną rozprze-strzeniła się wśród dzieci, i dlatego klan Serophii pierwszy pojawił się przy źródle. Wiedząc, że Talitha uwielbia winogrona, Serophia nakazała swoim ludziom ogołocić wszystkie winorośle. Gdy przybyły mniejsze klany, Serophia chętnie wymieniała winogrona na inne dobra – len z południa, sól ze wschodu. Kiedy jednak pojawiła się ze swą rodziną Talitha, winogron na handel już zabrakło, a gałęzie winorośli były całkiem nagie. Na wieść o tym, co zaszło, Talitha wpadła we wściekłość.

Wtargnęła do namiotu Serophii. Ujrawszy świeże plamy po soku z winogron na sporządzonej z kozłej skóry spódnicy rywalki, wybuchła.

– Kozioł cię dosiadł! – wrzasnęła.

– Skorpiony uciekają na twój widok! – odcięła się Serophia.

– Sępy nie tknęłyby twojego ścierwa!



– Wąż, który cię ukąsi, zdechnie!

Rodziny musiały je rozdzielać. Serophia rozkoszowała się zwycięstwem, ale Talitha poprzysięgła zemstę.

Następnego lata dopilnowała, by to jej klan pierwszy dotarł do źródła i zebrał wszystkie winogrona. Część zjedzono, część wymieniono na inne dobra. To, co zostało, ludzie Talithy włożyli do szczelnych koszy, które ukryli w pobliskiej wapiennej jaskini. Talitha cieszyła się, że następnego lata, niezależnie od knowań Serophii, jej rodzina będzie miała winogron pod dostatkiem.

Po roku klany znów zebrały się przy źródle. Rozbito namioty i zbudowano chaty, rozpalono ogniska. Przystąpiono do ubijania interesów, zawierano sojusze, osądzano przestępców. Lud Talithy wydobyl z ciemnej jaskini koszyki wypełnione winogronami i zdumiał się. Ich zawartość przeszła dziwną przemianę.

Owoce popękały, a ich skórki, miąższ i sok utworzyły gęstą papkę. Pachniało to dość nieprzyjemnie. Jeden z mędrców wsadził palec do soku i go oblizał. Uznał, że dziwna substancja ma oryginalny i intrygujący smak.

Talitha zatem także zaczerpnęła dłonią odrobinę purpurowej cieczy i popróbowowała. Wszyscy czekali, podczas gdy ona z niezdecydowaną miną mlaskała, oblizując językiem wargi.

– Co o tym myślisz, Talitho? – spytał Janka, obecny Strażnik Bogini, masywny, poważny mężczyzna, który miał o sobie bardzo wysokie mniemanie.

Talitha zlizwała z dłoni resztki płynu i spróbowała raz jeszcze. Nie mogła się zdecydować, czy jej smakuje, czy nie. Było w nim coś, czego nie umiała określić...

Przełknęła jeszcze trochę i poczuła się radośnie i beztrosko. Orzekła, że rozmiękłe winogrona nadają się do picia, i poleciła mężczyznom zanieść ciężkie, spuchnięte kosze do obozu, który był częścią olbrzymiego obozowiska. Setki namiotów i szałasów otaczały spienione źródło. Kiedy grupa Talithy wróciła z koszami, płonęły już liczne ogniska, słychać było śmiech i krzyki, a rodziny krzątały się wokół swoich spraw. Ludzie z Klanu Gazeli zasiedli, żeby zastanowić się nad nową zagadką.

Talitha usiadła na szerokim stołku, łokcie wsparła na grubych udach. Zanurzyła drewniany kubek w jednym z koszy z jaskini i wypila tajemniczy płyn. Wszyscy patrzyli i czekali. Pomyślała, że napój ma smak dziwny, ale całkiem znośny. Nie był słodki jak zwykły sok z winogron, tylko cierpki. Na jej znak wszyscy zanurzyli kubki w pulpie i spróbowali, niektórzy z obawą, inni śmiało. Głośno cmokano, wymieniano uwagi. Wszyscy raz za razem sięgali po coraz to nowe porcje.

Zgodzili się co do jednego: nie mieli pojęcia, co piją.

Po chwili jednak pojawiły się dziwne objawy: niewyraźna mowa, zataczanie się, czkawka i wybuchy śmiechu bez żadnej przyczyny. Talitha nieco się zaniepokoiła. Czyżby w ludzi wstąpiły złe duchy? Jej dwaj bracia wciąż się potykali. Jedna z siostr chichotała, druga wybuchnęła płą-

czem. Jej samej było dziwnie ciepło. Zazwyczaj opanowany Janka puścił bąka i wszyscy ryknęli śmiechem. Zachwycony ich reakcją, zrobił to raz jeszcze, a oni rechotali, jakby była to najzabawniejsza rzecz pod słońcem, zaczął więc wydawać nieprzystojne odgłosy, aż cała grupa trzymała się ze śmiechu za brzuchy. Talitha im zawtórowała, ale ogarnął ją strach. Zazwyczaj jej ludzie zachowywali się zupełnie inaczej. Co w nich wstąpiło? Niestety, nie była w stanie skupić myśli. Wypiła jeszcze trochę soku z winogron i już nie mogła sobie przypomnieć, nad czym się zastanawiała. A kiedy Janka, nudny i dostojny Strażnik Bogini, zamiast się zgorszyć, złapał ją nagle i zaczął całować – Talitha z pewnością nie dawała mu do zrozumienia, że ma ochotę na seks – ku swojemu wielkiemu zdumieniu, chichocząc, zadarła spódnice.

Janka szybko skończył i po chwili chrapał u jej boku. Talitha wypiła jeszcze trochę soku i zaskoczona uświadomiła sobie, że wcale nie bola ją kolana.

A przecież od miesięcy nie dawały jej spokoju, stawy puchły tak, że trzeba ją było nosić. Nawet krótka wędrówka do wapiennej jaskini przysporzyła Talicie tyle bólu, że w drodze powrotnej dźwigało ją dwóch silnych mężczyzn. Teraz jednak, o dziwo, kolana nie bolały, wręcz miała wrażenie, że należą do młodej kobiety!

To ją uradowało. Doszła do wniosku, że z winogron powstał magiczny napój. Napój wypełniony duchem szczęścia i zdrowia. Błogosławieństwo Bogini!

Ale gdy wypiła jeszcze trochę, radość jej przeszła i Talitha się rozkleiła. Po kolejnym wzmacniającym kubku wstała i chwiejnym krokiem ruszyła przez obozy innych klanów, wpadając na ludzi i niemal przewracając namioty, aż doszła do siedziby Serophii, gdzie wszyscy spojrzeli na nią niebotycznie zdumieni.

Talitha wybuchnęła płaczem i z całej siły uderzyła się w piersi.

– Jesteśmy krewniaczkami, Serophio! Płynie w nas jedna krew! Powinnyśmy się kochać, zamiast nienawidzić! To moja wina. Jestem chciwa i samolubna. – Padła na kolana. – Czy możesz mi przebaczyć, najdroższa kuzynko?

Serophia była do tego stopnia zaszokowana, że tylko patrzyła na niespodziewanego gościa, szeroko otworzywszy usta. Dwaj siostrzeńcy Talithy, którzy wybrali się na jej poszukiwania, widząc ciotkę w tym stanie, chwycili ją za łokcie, podnieśli i odholowali. Serophia i jej ziomkowie spoglądali za nimi w niemym zdumieniu.

Siostrzeńcy doprowadzili Talithę do namiotu. Nie dało się z nią już dogadać, podobnie jak z resztą rodziny. Położyli starą kobietę na legowisku. Natychmiast zapadła w sen, a jej chrapanie wypełniło nocną ciszę.

Następny ranek był zupełnie inny.

Wczorajsi biesiadnicy czuli się koszmarnie. Demony waliły ich pięściami w głowę i burczały w brzuchu, złe duchy ścisnęły wnętrzności, powodując biegunkę. Ludziom drżały ręce, ćmiło się

w oczach.

Kilku jęczało, że umiera. Ogarnęło ich okropne zażenowanie, gdy zaczęli przypominać sobie błazeństwa wczorajszego wieczoru. Co gorsza, nie wszystko pamiętali.

Talitha z trudem wyszła ze swojego namiotu. Ściskając głowę, zmrużyła oczy i w porannym świetle ujrzała, jak Ari, na czworakach, gwałtownie wymiotuje, a Janka chłepcze wodę z tykwy, jakby wszystkie rzeki świata nie mogły zaspokoić jego pragnienia. Ludzie trzymali się za głowy i jęczeli. Kilka kobiet ze zdumieniem odkryło ślady po odbyтым stosunku, którego nie mogły sobie przypomnieć.

Talitha była zaskoczona i przestraszona. Dlaczego wczoraj byli tacy radośni, a dziś czują się, jakby mieli za chwilę umrzeć? Najwyraźniej opanowały ich duchy, które najpierw dały im szczęście i radość, a potem mdłości i smutek – złe, psotne duchy!

Talitha nie pamiętała swoich odwiedzin w obozowisku Serophii, dopóki nie zobaczyła wyrazu zażenowania na obliczach siostrzeńców, którzy jako jedyni nie pili wczoraj soku z winogron. Zastanawiała się, dlaczego nie patrzą jej w oczy i wyglądają jak dzieci, które lada chwila dostaną baty, i nagle przypomniała sobie tę straszną rzecz. Na kolanach błagała Serophię o wybaczenie!

– Na piersi Bogini! – wyskrzeczwała. – Czyżby w nich wszystkich wstąpiły złe duchy?

Mimo to Talitha nie chciała rezygnować z nowego napoju. W końcu dał im sporo radości. Kazała mędrcom oraz Strażnikowi Bogini odczytać znaki i wróżby, pomedytować nad wydarzeniami ubiegłego wieczoru i pomodlić się do Bogini o wskazówki. Spędziwszy dzień w odosobnieniu na modlitwie, poście i spożywaniu magicznych grzybów, wróże klanu obwieścili, że magiczny płyn stworzyła Bogini i ofiarowała w darze wybranym dzieciom. W końcu mędracy i Strażnik Bogini również pamiętali dobry nastrój poprzedniej nocy. Wobec tego podeszli do sprawy z należytą starannością i stwierdzili, że przemieniony sok to święty napój, którego nie należy traktować niefrasobliwie, lecz z wielką powagą.

Wieści szybko rozeszły się po olbrzymim obozowisku, wkrótce wszyscy mówili tylko o magicznym soku z winogron. Talitha zaprosiła starszych klanu, by spróbowali soku i wyrazili swoją opinię. Celowo pominęła Serophię. Przywódcy przekazywali sobie naczynie, próbując napoju. Czuli szybsze pulsowanie krwi i przyjemny szum w uszach. Głowy klanów i mędracy dyskutowali, pili coraz więcej i w końcu doszli do wniosku, że zaczarowany sok nie jest zły. Rozwesela, usuwa ból i obdarza spokojnym snem. Z pewnością jest to święty napój, dzięki Bogini napełniony duchem życia.

Klan Gazeli spędził zimę w jaskiniach na północy, a następnej wiosny znów pierwszy pojawił się na Zgromadzeniu. Ludzie Talithy zerwali winne grona i przenieśli je prosto do tajemnych jaskiń nad martwym morzem. Wrócili po tygodniu, by spróbować soku, znaleźli jednak tylko winogrona. Poczekali jeszcze tydzień, ale magiczny napój nadal się nie pojawiał. W końcu Talitha doszła do wniosku, że przemiana musi trwać rok, więc nie zbliżali się do jaskini i nie infor-

mowali o niczym innych klanów. Rok później pierwsze kroki skierowali do swoich zapasów i z wielką ostrożnością skosztowali soku. Został odmieniony! Tym razem Talitha podzieliła się wyjątkowym trunkiem z innymi klanami i przyjęła w zamian rozmaite przedmioty.

Kiedy kolejne Zgromadzenie miało się ku końcowi, Talitha postanowiła nie wracać do jaskiń na zimę. Lepiej zbudować solidne szałas, zostać na miejscu i strzec winogron, niż odchodzić i ryzykować ich utratę.

Odwieczna tradycja głosiła, że cokolwiek było, jest, a cokolwiek jest, będzie zawsze. Co roku szli z północy na południe i wracali tylko dlatego, że ich klan robił tak od niepamiętnych czasów. Dawno temu jednak Wysoka postanowiła, że jej ludzie muszą odejść, by przeżyć. Teraz Talitha zdecydowała, że jej lud zostanie tutaj. Obawiali się tego, ale jednocześnie odkryli, że lubią mieszkać nad źródłem. Bali się też, że jeśli odejdą, być może nigdy już nie spróbują magicznego napoju. Wobec tego Talitha wysłała na północ ekipę, żeby wykopała kości zmarłych i sprowadziła je na powtórny pogrzeb. Uznała, że jeśli spoczną tu szczątki przodków, będzie to ziemia klanu.

Zbudowali zatem solidne szałas i nadali sobie nazwę Strażników Radosnej Winorośli. Następnego lata, gdy owoce dojrzały, Talitha nadzorowała zbiory, wyciskanie soku i zmagazynowanie magicznego trunku. Ani ona, ani jej lud nie wiedzieli nic o drożdżach, które w sposób naturalny pojawiają się na skórkach winogron, ani o ich chemicznym wpływie na cukier, który przemienia się w alkohol, czyli o fermentacji. Wierzyli, że to dzięki Bogini niewinny owoc potrafi rozweselić mężczyzn i czyni kobiety brzemiennymi.

Rodzina Talithy zazdrośnie strzegła sekretu wytwarzania wina, ale chętnie wymieniała je na przedmioty oferowane przez inne klany. Z tego handlu wykluczyła rodzinę Serophii, przyznając sobie zwycięstwo w walce z kuzynką. Nie spodziewała się, że ta dokona innego, równie tajemniczego odkrycia.

Nieopodal źródła rósł jęczmień. Każdego lata wszyscy jedli go do syta, opiekając kłosa nad ogniem i wydłubując ziarna. Serophia postanowiła, że ona i jej klan sami zajmą się zbiorami tej rośliny i będą handlować ze wszystkimi – poza klanem Talithy. Zdecydowała również, że podobnie jak lud znienawidzonej kuzynki, także i jej rodzina zostanie przy źródle, by potwierdzić swoje prawo do jęczmienia. Nie przechowywano go jednak w jaskini; ziarna jęczmienia trzymano w koszach w jednym z namiotów Serophii.

Minęło jeszcze kilka lat. Klan Talithy wymieniał wino na inne towary po jednej stronie źródła, klan Serophii ziarna jęczmienia po drugiej, aż nadeszło Lato Deszczu i nastąpił następny cud.

Deszcz rzadko padał w dolinie rzeki Jordan, zwłaszcza latem. Kiedy przyszła kilkudniowa burza, która zalała obóz, okazało się, że namioty są dziurawe. Przemokły nie tylko posłania i stroje, deszcz wypełnił również kosze z ziarnem jęczmienia, które zepsuło się ze szczeniem.

Dumna Serophia nie pozwoliła opróżnić koszy. Trzymała informację o swojej klęsce

w tajemnicy, w końcu jednak wieść ta dotarła do Talithy i niezmiernie ją ucieszyła. Pewnego jesiennego dnia siostrzeniec Serophii zauważył, że z namiotu, w którym trzymano zepsute ziarno, dochodzi dziwny zapach. Podczas inspekcji rodzina odkryła, że koszyki spuchły i się rozděły, a w nich, zamiast rozmiękłych ziaren jęczmienia, jest gęsty płyn o drażniącej woni. Serophia i jej klan, podobnie jak Talitha, nie mieli pojęcia o istnieniu drożdży i ich wpływie na mokry jęczmień ani o fermentacji. Wiedzieli jedynie, że dzięki nowemu napojowi ludzie również czują się radośni i szczęśliwi.

Z czasem potomkowie Serophii nauczyli się warzyć piwo i zyskali nowy cenny towar na wymianę.

Klany przestały wędrować. Ludzie mieli więc teraz coraz więcej czasu. Mogli go poświęcić na wyrób biżuterii, narzędzi, instrumentów muzycznych, doskonalenie metod garbowania skór. Pokarmy też stały się bardziej wyszukane. Kobiety odkryły, że zamiast jeść ziarna dzikich zbóż wprost z kłosów, można zemleć je między kamieniami, wymieszać z wodą i ugotować pożywną papkę. Pewnego jesiennego dnia ktoś zawołał kobietę o imieniu Fara, akurat wtedy, kiedy gotowała posiłek. W pośpiechu wylała przygotowaną mieszaninę wody i ziaren na gorące kamienie. Po powrocie zastała potrawę smaczniejszą od papki i łatwą do przechowania. I tak oto trzecia rodzina postanowiła na dobre osiedlić się nad źródłem i zająć wypiekami chleba.

Przybyło więcej rodzin, a kiedy ludzie zaczęli uprawiać warzywa na poletkach nawadnianych przez spienione źródło, nie musieli już wędrować w poszukiwaniu żywności. Wznosili trwałe domostwa, a to oznaczało, że ich dobytek przestał składać się tylko z tego, co człowiek zdołał przenieść. Lepianki pełne były wszelakich dóbr oraz osobistych przedmiotów, świecidełek i błyskotek. Po raz pierwszy ludzie podzielili się na dwie grupy: bogaczy i biedaków.

Bogini zaś, strzegąca niezwykłego niebieskiego kamienia, który zmienił sok winogronowy w wino, a jęczmień w piwo, wysłuchiwała teraz błagań innego rodzaju. Już nie modlono się o spokój zmarłych, płodność i zdrowie. Ludzie prosili o deszcz niezbędny do uprawy roślin, obfite zbiory i jak najwięcej klientów.

Biedni modlili się o bogactwo, bogaci – o to, żeby mieć jeszcze więcej.

Księga trzecia  
***Dolina rzeki jordan***  
Dziesięć tysięcy lat temu

Awram nie zauważyłby nawet, gdyby tej nocy pojawiły się wróżebne znaki i zjawy, komety i zaćmienie księżyca, gdyby noc była złowieszcza, przerażająca i zwiastowała zagładę i koniec świata. Mogła też niczym nie różnić się od innych. Awram tego nie wiedział – zatonął we własnym świecie.

Miał taki wspaniały sen! Trzymał w ramionach Mark, a ona, apetyczna i gibka, ciepła i szczodra, nachylała się nad nim. Ten sen był tak namiętny, że nawet teraz, idąc przez winnicę w zimnym świetle poranka, Awram wciąż się pocił. Wchodził po drewnianej drabinie na wieżę obserwacyjną, szczebel po szczeblu, ze sznurkiem bochnów jęczmiennego chleba na jednym ramieniu i bukłakiem z rozcieńczonym piwem na drugim – miał spędzić cały dzień na wieży, wypatrując wrogów – i czuł, jak na nowo zaczyna płonąć. Awram nigdy, w całym swoim życiu, nie był tak zakochany ani tak nieszczęśliwy.

Miał dopiero szesnaście lat.

Obiektem jego miłości była czternastolatka o pączkujących piersiach i oczach gazeli. Miała długie nogi, mnóstwo wdzięku i łagodne usposobienie. Niestety, Marit pochodziła z rodu Serophii, on zaś z rodu Talithy. Te rodziny rywalizowały od dwóch stuleci, ich wzajemna nienawiść przeszła do legendy. Gdyby ktokolwiek wiedział o miłości Awrama do niedostępnej Marit, chłopak zostałby publicznie upokorzony i wyklęty, zбитy i uwięziony bez jedzenia, może nawet wykastrowany. Przynajmniej jego młody umysł tak sobie wyobrażał karę.

Nie mógł jednak przestać myśleć o tym, co jego *abba*, Yubal, powiedział kilka lat wcześniej, gdy Awram zauważył, że jego ciało zaczyna się zmieniać.

– Życie jest ciężkie, młodzieńcze. To codzienna harówka pełna bólu i cierpienia. Dlatego Bogini w swojej mądrości ofiarowała nam dar rozkoszy, by zrównoważyć to nieszczęście. Mężczyźni i kobiety mogą sobie dawać rozkosz i dzięki temu na chwilę zapomnieć o swoim losie. Więc kiedy najdzie cię potrzeba, młodzieńcze, czerp przyjemność, skąd się da, bo właśnie tego życzy sobie nasza Matka.

Najwyraźniej Yubal miał rację. Awram odnosił wrażenie, że mieszkańcy Osady Wiecznego Źródła nieustannie usiłują zadowolić Boginię pod tym względem. Tradycyjną rozrywką był niekończący się cykl zakochiwania, tworzenia rodzin i rozstań. Szlachetni obywatele, którzy uwielbiali plotki, siadywali nad kadziami piwa i zakładali się, jak długo wytrzyma ze sobą nowa para albo kto wymyka się z czyjej chaty. Czasem obie strony zgodnie zrywały związek, ale częściej jeden z partnerów nudził się i odchodził. Wtedy wybuchały walki, zwłaszcza jeśli zdrajca przenoślił się do kogoś innego. Wszyscy nadal mówili o dniu, w którym akuszerka Lea przyłapała

łuczniaka Uriasza z jedną z Cebulowych Sióstr. Lea oskalpowała kobietę i wylała wrzątek na Uriasza. Mężczyzna uciekł z osady i nigdy nie wrócił. Zdarzały się jednak wyjątki, ludzie, którzy spędzali ze sobą całe życie – tak jak jego matka i *abba* – i tak właśnie myślał o sobie i uroczej Marit, jako o kochankach na całą wieczność.

Awram stał pod ocienioną platformą na szczycie wieży – baldachim z trawy był niezbędny, nastało lato i robiło się coraz upalniej – i głęboko wdychał poranne powietrze w nadziei, że ochłonie i zdoła się skoncentrować na wypatrywaniu wśród wzgórz i wąwozów ewentualnych napastników. Zamierzał dobrze się spisać. Rok wcześniej wrogowie nadciągnęli ze wschodu bez żadnego ostrzeżenia. Zamordowali matkę Awrama i uprowadzili dwie jego siostry. Wybudowano *zatem* wieżę, a Awram siadywał tu jako wartownik.

Napastnicy nie pojawiali się każdego roku, nie sposób więc było uprzedzić ich atak. Ta dzika rasa, żyjąca z polowań i kradzieży, mieszkała po drugiej stronie gór na wschodzie. Nikt nie wiedział, kim są obcy, bo nikt nie miał odwagi za nimi podążyć. Krążyły jednak plotki. Mówiło się, że jedzą skały i piją piasek, że nie mają swoich kobiet, ale porywają niewiasty z innych plemion. Ich dusze wychodziły z ciała podczas snu. Potrafili zmieniać postać i często przebywali wśród ludzi nad źródłem, przebrani za wrony lub szczury. Zjadali swoich zmarłych.

Czułość była *zatem* niezbędna. Ciągła jednak obserwacja horyzontu i przyglądanie się rzędom winorośli okazały się niełatwe, zwłaszcza że Awram nie mógł zapomnieć o Marit i cudownym śnie. Z pewnością żaden mężczyzna nigdy nie odczuwał aż takiego pożądania. Nawet jego *abba*, Yubal, który nie krył łez po śmierci matki Awrama i twierdził, że była jedyną kobietą, którą kiedykolwiek kochał.

Chłopak wyprostował ramiona i rozpoczął obserwację.

Niebo różowiło się nad górami na wschodzie, a Osada Wiecznego Źródła – pół dnia na zachód od rzeki nazwanej Jordan, co oznaczało „opadająca”, gdyż płynęła z północy na południe – budziła się w porannej mgle. Zapłonęły paleniska, w powietrzu unosił się zapach pieczonego chleba i mięsa, słychać było głosy pełne gniewu, radości, zdumienia i zniecierpliwienia. Z miejsca, w którym stał, Awram dostrzegał nie tylko winnice swojego *abby* i pola jęczmienia Serophii, gaje oliwne, sady granatów i palm daktylowych, ale również całą osadę, wielkie obozowisko złożone z lepierek, chat z trawy, namiotów z kozlich skór, zamieszkane przez jakieś dwa tysiące ludzi. Niektórzy spali bezpośrednio na ziemi, otuleni futrami, z całym dobytkiem pod głową.

Wiele osób mieszkało tu na stałe, byli jednak tacy, którzy zjawili się wczoraj i odchodzili dzisiaj, inni zaś przyszli dziś, by jutro udać się w dalszą drogę. Ludzie przybywali do Osady Wiecznego Źródła, żeby wymienić obsydian na sól, muszle monetek na olej lniany, zielone malachity na lnianą przędzę, piwo na wino i mięso na chleb. W centrum tego wielkiego ludzkiego łańcucha o długich kanałach nawadniających, które rozchodziły się promieniście jak nogi pająka, bul-

gotało stale bijące źródło, w którym teraz, o poranku, kobiety i dziewczęta moczyły kosze i tykwy.

Awram westchnął niespokojnie. Tyle kobiet, a żadna nie była tak piękna ani pociągająca jak jego ukochana Marit.

Jak większość chłopców w jego wieku, Awram miał już pewne doświadczenie w sprawach seksu. Sprowadzało się to głównie do chodzenia z przyjaciółmi na wzgórze, gdzie łapali dziką owcę, by po kolei z nią kopulować; przeżył też niewinne przygody z dziewczętami, ale *nie* z Marit. Mimo że mieszkała nieopodal, nigdy nie zamienili ze sobą ani słowa. Awram był pewien, że babka zabiłaby go, gdyby odezwał się do Marit.

Żałował, że nie żyje w Dawnych Czasach, które, jak sobie wyobrażał, były o wiele ciekawsze. Uwielbiał opowieści o przodkach – nie o Talicie i Serophii, lecz o bardzo odległych przodkach, kiedy jego lud prowadził koczowniczy tryb życia, mieszkał w jednym wielkim plemienu, a kobiety i mężczyźni dogadawali sobie z każdym, kto im odpowiadał. Teraz jednak nie podróżowali już wszyscy razem, tylko osiedli na tej ziemi i podzielili się na niewielkie rodziny. Z jakichś powodów ci, którzy mieszkali w danym miejscu, uważali się za lepszych od mieszkańców innych okolic.

– Wino Yubala smakuje jak ośle szczyny – mawiał Molok, *abba* Marit.

– Piwo Moloka wyciśnięto z jąder wieprza – odpowiadał Yubal, *abba* Awrama.

Nie mówili sobie tego w oczy. Członkowie rodów Talithy i Sero-Phii od wielu pokoleń w ogóle ze sobą nie rozmawiali.

Nie było zatem możliwości, by dziewczyna z jednego rodu mogła trafić w ramiona chłopca z drugiego.

Awram uważał, że to niesprawiedliwe. Konflikt był problemem przodków, nie jego. Tamte czasy już minęły, teraz nadeszły czasy Awrama. Fantazjował o ucieczce z Marit (kiedy już by ją do niej przekonał), daleko od jego winnicy i jej pola jęczmienia, daleko od szałasów, namiotów i lepianek, marzył o wspólnym poznawaniu świata. Awram urodził się marzycielem i wędrownikiem o niespokojnej duszy, jego umysł wciąż pytał i domagał się odpowiedzi. W innych czasach zostałby astronomem albo badaczem, wynalazcą lub uczonym. Wtedy jednak nie śniono jeszcze o teleskopie ani o statkach, metalurgii, alfabecie, o kole ani o udomowionych zwierzętach.

Odwiązał bochenek jęczmiennego chleba, ułamał kawałek i zaczął przeżuwać, wpatrując się w skupisko skromnych lepianek na skraju pola jęczmienia Serophii – chatę z młocarnią, szope, w której fermentowały ziarna jęczmienia, zamieniając się w piwo, i dom, gdzie żyła rodzina Marit – po czym westchnął tęsknie. Pożądanie zaczęło mu doskwierać jeszcze bardziej, a do tego nie miał pojęcia, co czuje do niego ukochana.

Czasem wydawało mu się, że go obserwuje. Kilka miesięcy temu, podczas święta Zrównania



Wiosennego, nagle odwróciła wzrok, a na jej policzkach wykwitł rumieniec. Czy to był dobry znak? Czy podzielała jego uczucia? Gdyby tylko wiedział!

Kiedy słońce wyłaniało się spoza odległych gór, Awram wypatrywał Marit – uznałby jej widok o tak wczesnej porze za dobrą wróżbę na resztę dnia. Zobaczył jednak tylko tłustą Kochawę, biegnącą z różgą za swoimi dziećmi; dwóch murarzy pogrążonych w głośniejszej kłótni nad kadzią piwa (najwyraźniej pili przez całą noc); wrywacza zębów Enocha i akuszerkę Leę, zwartych w miłosnym uścisku w cieniu drzew. W oddali ujrzał rybaka Dagona, jak z nosem na kwintę wychodzi z chaty Mahalii, a za nim szybują jego rzeczy, jakby ciśnięte ze złością czyją ręką. Miesiąc wcześniej Dagan mieszkał z Ziwą, a jeszcze wcześniej z Anath. Awram zastanawiał się, co takiego ma w sobie Dagan, że kobiety tak szybko mają go dość i wyrzucają z domu. Biedny Dagan – jak miał żyć bez kobiety i jej paleniska?

Nagle Awram ujrzał widok, który bardzo go rozbawił. Drogą szedł stuknięty Namir ze swoimi doświadczalnymi kozami! Dwa lata wcześniej Namir wbił sobie do głowy, że zamiast biegać za kozami po wzgórzach, zabijać tyle, ile mu potrzeba, i wracać do osady, mógłby zaoszczędzić czas i sprowadzić do domu żywe zwierzęta, trzymać je w zagrodzie i zarzynać w zależności od potrzeby lub wymieniać. Poszedł wraz z siostrzeńcami na wzgórze, gdzie schwyтали sporo kóz. Namir chciał, żeby stado się rozmnażało, więc łapał tylko samice, samce zostawił. Po roku jednak kozy przestały rodzić młode i wkrótce stadko zniknęło. Sąsiedzi Namira ryczeli ze śmiechu, ale on poprzysiął sobie, że jego plan się powiedzie.

– Przecież kozy rozmnażają się na wzgórzach, dlaczego nie miałyby się rozmnażać w mojej zagrodzie? – powtarzał przyjaciółom nad kadzią piwa.

Znowu złapał kilka kóz, sprowadził je do zagrody otoczonej płotem z kijów, gałęzi i krzewów. Tym razem żadna z samic nie urodziła młodych, stado zniknęło jeszcze szybciej niż poprzednie. Teraz próbował ponownie, bo uparł się, żeby mieć stado kóz, i wiódł zawstydzonych siostrzeńców przez budzącą się osadę. Nieśli wrywające się, beczące kozy przywiązane do długich kijów. Awram słyszał, jak czterej mężczyźni siedzący nad kadzią piwa w altanie obrzucają Namira obelgami i obstawiają zakłady, jak długo przetrwa to stado.

Awram pomyślał, że wszyscy w tej osadzie mają jakieś plany, niekoniecznie tak idiotyczne jak Namir. Pamiętał, że ludzie wyśmiewali niejakiego Yasapa, który przybył tu dziesięć lat temu i obsadził pole kwiatami. To śmieszyło wszystkich, bo jaki pożytek z kwiatów? Przestali się śmiać, kiedy na polach zaroilo się od pszczoł, Yasap zbudował ule i zbierał miód. Odtąd ludzie mieli miód przez cały rok, a zapotrzebowanie na ten smakołyk było tak wielkie, że Yasap stał się trzecim co do zamożności człowiekiem w osadzie.

Coraz więcej osób przybywających do Osady Wiecznego Źródła decydowało się spędzić w niej życie. Ludzie budowali tu szałas i już nie ruszali w dalszą drogę. Ci obdarzeni wyjątkowymi umiejętnościami – golibrody, tatuatorzy, wróżbici i astrolodzy, rzeźbiarze kości

i polerownicy, rybacy i garbarze, akuszerki i uzdrawiacze, traperzy i myśliwi – wymieniali usługi na jedzenie, ubranie i biżuterię. Większość z nich zostawała w osadzie na zawsze.

Gdybym był wolny i niezależny, nie starałbym się tu pozostać – pomyślał Awram. – Spakowałbym chleb i piwo, wziął włócznie i sprawdził, co jest po drugiej stronie gór.

Usłyszał piskliwe głosy. Spojrzał w dół. To jego młodszy bracia biegali między krzewami winorośli i płoszyli ptaki. Dla trzynastolatka, jedenastolatka i dziesięciolatka winnica była całym światem. Podczas zbiorów w przyszłym tygodniu mieli napełniać kosze dojrzałymi owocami jak dorośli mężczyźni, a potem, gdy wszystkie grona zostaną już zebrane, chłopcy ugniotą je drobnymi stopami, by z miążdżonych owoców wycisnąć sok.

Awram już miał pomachać Kalebowi, najstarszemu z trójki, kiedy nagle zmarł. Starsza kobieta, naga do pasa, w długiej spódnicy ze skóry łani, z włosami o siwych odrostach pod farbą z henny, związanymi w warkocze, szła z trudem po ścieżce, uginając się pod ciężarem naszyjników z kamienia i muszli. Musiała je nosić, bo była bogata i miała obowiązek demonstrować zaможność rodziny.

Oczy Awrama o mało nie wyskoczyły z orbit. Po co babka zmierzała do Kaplicy Bogini? To go zaniepokoiło. Co robiła na tej ścieżce o tak wczesnej porze? Na pewno coś pilnego wywabiło ją z domu. Czyżby dowiedziała się o jego zakazanym uczuciu do Marit? Zamierzała poprosić Boginię, by rzuciła na niego zaklęcie? Jak większość chłopców, Awram bardzo bał się swojej babki. Stare kobiety miały niewyobrażalną moc.

Instynktownie sięgnął po amulet zawieszony na skórzanym rzemieniu na szyi. Tradycyjnie, gdy dziecko kończyło siedem lat i wydawało się dość silne, by dorosnąć – wiele maluchów umierało w dzieciństwie – dostawało imię i mały woreczek na cenne talizmany: swoją pępownię, zaschniętą i skurczoną, pierwszy ząb, kosmyk włosów matki. Czasem jakiś drobny zwierzęcy fetysz, kilka zasuszonych liści mającej go chronić rośliny, wszystko po to, by zapewnić zdrowie i oddalić nieszczęście. Ściskając woreczek pełen magicznych kamyczków, fragmentów kości i gałązek, Awram zastanawiał się, czy uchronią go one przed jego własną babką.

Patrzył, jak stara kobieta mija chaty i szałas, okrąża stosy odpadków i wnętrzności, przyspieszając ze względu na smród przy garbarni, gdzie na słońcu suszyły się zakrwawione skóry, i w końcu wchodzi na ścieżkę prowadzącą do niewielkiej lepianki, w której mieściła się Kaplica Bogini. Reina, kapłanka, wyszła ze swojego małego domku na powitanie gościa.

Nawet z wieży Awram widział wspaniały biust Reiny. Latem wszystkie kobiety z osady obnażały piersi, więc mężczyźni mogli nacieszyć oczy ich widokiem. To właśnie obudziło jego pożądanie do Marit: kiedy zdążyła zamienić się z dziecka w kobietę? Piersi Reiny były sterczące i jędrne, zupełnie inne od piersi kobiet w jej wieku, a to dlatego, że Reina nie urodziła ani jednego dziecka. Kiedy wybrano ją na kapłankę, ofiarowała swoje dziewictwo Bogini. Nie stała się przez to mniej kobieca. Barwiła sutki czerwoną ochrą i perfumowała włosy wonnymi olejkami.

Miała szerokie biodra, a spódnica ze skóry łani odsłaniała pępek tuż nad cudownym trójkątem, ziemią niczyją.

Awram znowu westchnął z pożądania i zdumienia. Zastanawiał się, po co Bogini stworzyła to dziwaczne przyciąganie między mężczyzną i kobietą. Żaden mężczyzna nie mógł mieć Reiny i dlatego wszyscy pragnęli jej jeszcze bardziej. On nie mógł mieć Marit, choć zawładnęła jego sercem. I to miała być przyjemność?

Po kilku minutach babka wyłoniła się z Kaplicy Bogini, gdzie stał święty posąg z sercem z niebieskiego kryształu. Zdziwił się, że starsza kobieta tak pośpiesznie zmierza do ich domu, jakby miała do przekazania ważną nowinę. Chwilę później usłyszał podniesione głosy. Babka i *abba* kłócili się!

Nagle *abba* wybiegł wściekły z domu i ruszył po ścieżce prowadzącej na pola jęczmienia i do chaty, w której mieszkała Marit.

Widok zdenerwowanego Yubala sprawił Awramowi przykrość. Przywołał pewne wspomnienie: Yubal trzyma go na ramionach, wielkimi dłońmi obejmuje kostki chłopca. Sadzi susy po łąkach, omija strumienie. Awram czuł się wtedy jak olbrzym, wcale nie chciał schodzić.

Nie znał ani jednego chłopca, którego łączyłaby taka zażyłość z *abbą*.

Nie wszyscy mężczyźni zasługiwali na to miano, które oznaczało pana albo władcę – zazwyczaj dobrze prosperującego interesu, czasem domu i dzieci kobiety, z którą się wiązał. Niezbyt wielu zostawało na długo przy jednej kobiecie, zwłaszcza po przyjściu na świat dzieci. Yubal stanowił szlachetny wyjątek, otwarcie okazywał uczucie matce Awrama i mieszkał w jej domu przez dwadzieścia lat.

Awram obserwował, jak Yubal – przystojny, ubrany w kozle skóry, z brodą i długimi włosami nasączonymi olejkiem, co podkreślało jego wysoką pozycję – robi jeszcze parę kroków i nagle nieruchomieje, pociera szczękę i wraca drogą, którą przyszedł. Za chwilę spoczął w cienistej altanie kupca piwnego Juktana, gdzie nad kadzią piwa siedzieli już czterej mężczyźni. Powitali go radośnie – był jednym z najbardziej lubianych i podziwianych członków osady. Skinął na Juktana, a ten przyniósł trzcinę długą na dwa łokcie. Yubal zanurzył jej koniec w wysokiej kadzi, poniżej warstwy szumowin powstających podczas procesu warzenia, i zaczął ssać płyn. Piwo Juktana było gorsze od piwa Moloka, ale Yubal poprzysiągł sobie, że prędzej wypije węzowe szczyny niż piwo krewniaka Serophii.

Awram jeszcze uważniej zaczął wpatrywać się w horyzont. To dla swojego *abby* chciał dobrze pracować. Pragnął, by Yubal był z niego dumny. Ale mimo wysiłku jego myśli wciąż powracały do Marit i seksu.

Damskie narządy płciowe, świeżo namalowane na drzwiach domu polerownika, lśniły jaszkrawo w porannym słońcu. Starzec miał nadzieję, że dzięki temu jego córki zajdą w ciążę. Wiele rodzin malowało takie symbole na drzwiach – zazwyczaj piersi i przyrodzenie – żeby Bogini

obdarzyła ich dom swoim błogosławieństwem. Kobiety chodziły do kapłanki Reiny po magiczne talizmany, napoje wzmagające płodność i zioła o niezwykłych właściwościach.

Mężczyźni nie brali w tym udziału, lud Awrama nie wiedział jeszcze, że odgrywają jakąś rolę w prokreacji. Poczęcie było tajemnicą dotyczącą wyłącznie kobiet i zależną od mocy Bogini.

Krzyk przyciągnął uwagę Awrama z powrotem do obozowiska. Jeden z przestępców przywiązanych do pala nieopodal źródła wrzeszczał na dzieci, które ciskały w niego ekskrementami i zgniłymi owocami. Zazwyczaj do pali przywiązywano oszustów i kłamców, ludzi bez pozwolenia wchodzących na cudzą ziemię i niegodziwych wichrzycieli. Ten człowiek, nagi teraz i bezbronny, upił się piwem, wszedł na dach i oddał mocz na nic niepodejrzewających przechodniów. Pewnie ukarano by go łagodniej, gdyby jedną z ofiar nie była babka Awrama. Do pali przywiązano też dwóch mężczyzn, którzy zgwałcili córkę z rodu Edry. Z rąk żądnych krwi kobiet leciały na nich kamienie i odchody. Grupa gapiów zakładała się, czy gwałciciele dożyją zachodu słońca.

Kary w tutejszej społeczności wymierzano szybko i surowo. Złodziejom odcinano rękę, morderców zabijano. Ze swojego punktu obserwacyjnego na wieży Awram widział ciało mordercy powieszono na drzewie po drugiej stronie pola pszenicy. Egzekucja odbyła się niedawno, kruki wciąż wydziobywały mu oczy.

Awram zamarł, potem osłonił ręką twarz i wbił wzrok w horyzont. Na północnym zachodzie ujrzał kolumnę kurzu. Poczul ucisk w gardle. Najeżdźcy!

Po chwili jednak odetchnął z ulgą. To wcale nie byli napastnicy, tylko karawana Hadadezera.

– Błogosławiona matko! – zakrzyknął i tak szybko próbował zbiec z drabiny, że spadł z ostatnich kilku szczebli.

Podniósł się, wrzeszcząc i machając rękami – przybyli handlarze obsydianem! Dziś wieczorem odbędzie się wielka uczta. I czy w tym radosnym zamieszaniu, gdy tylu ludzi będzie piło i oddawało się rozkoszom, ktokolwiek zauważy, że dwoje młodych spojrzy na siebie raz czy drugi, choćby wbrew zakazom?

Karawana zawsze przyciągała gapiów: żywa rzeka, mijająca góry, łąki i strumienie, tysiąc ludzi sunących niczym rząd mrówek, uginających się pod ciężarem towarów i zapasów. Niektórzy dźwigali na ramionach drewniane jarzma z workami po obu stronach; inni nieśli na plecach kosze zawieszono na skórzanych opaskach otaczających czoło; cięższe dobra ciągnięto na platformach z płozami. Przebycie tylu kilometrów przez gęstwiny i skały, w piekącym słońcu lub ulewnym deszczu, pokonanie górskich przełęczy i pustyni, stanowiło wyczyn nie lada. Ale tak być musiało. Ludzie na południu pragnęli tego, co mieli do zaoferowania ludzom z północy, i odwrotnie. Kilku śmiałków w północnych górach eksperymentowało wprawdzie z bydłem – usiłowali je oswoić i wytresować na zwierzęta pociągowe – ale bez skutku. Ludzie więc dźwigali

na grzbietach malachit i lazuryt, ochrę i cynamon; przedmioty z alabastru, marmuru i kamienia, – zwierzęce skóry, futra i poroża, a także piękne drewniane zastawy stołowe, z których słyęła północna kraina – sosjerki i kieliszki do jaj, półmiski o rzeźbionych uchwytach. Zmierzali z tymi towarami na południe, gdzie zamierzali wymienić je na papirus, olejki, przyprawy i pszenicę, turkusy i muszle, i na własnych plecach zanieść zdobycz na północ.

W karawanie były również kobiety. Niosły maty, namioty, ptactwo i garnki – szły za swoimi mężczyznami albo przyłączały się po drodze. Nie brakowało tu także dzieci, kilkoro urodziło się podczas marszu na południe. Niektóre z kobiet odłączały się od towarzyszy, dotarłszy do Osady Wiecznego Źródła, a miejscowe niewiasty, z sobie tylko znanych powodów, uciekały z przybyszami.

Na czele tego olbrzymiego konwoju podążał jego przywódca, Hadadezer, handlarz obsydianem. Nie chodził piechotą – nigdy i nigdzie, a już na pewno nie trzy tysiące kilometrów w karawanie. Jego budząca podziw lektyka z gałęzi i trzciny opierała się na dwóch drągach, niesionych przez ośmiu silnych mężczyzn. I tak jechał w chwale, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na tkanych matach, wsparty na miękkich poduszkach ze skóry łani, wypełnionych gęsim pierzem. Wszyscy wiedzieli, że im ktoś grubszy, tym bogatszy. Pokażny brzuch Hadadezera wskazywał, że kupiec to chyba najbogatszy człowiek na świecie.

Miał długie czarne włosy, solidnie namaszczone olejkami i splecione w sięgający do pasa warkocz, a także długą brodę, nie dość że nasączoną olejkiem i misternie utrefioną, to jeszcze pełną paciorków i muszli. Nosił skórzaną tunikę do kolan, pokrytą muszlami monetek od góry do dołu. Był to strój tak przepyszny, że gapiono się nań z podziwem. Sześć tysięcy lat później potomkowie Hadadezera stroili się w złoto i srebro, diamenty i szmaragdy, ale w czasach gdy cenne kruszce i kamienie jeszcze nie zostały odkryte, za ozdobę, a także środek płatniczy, służyły właśnie muszle monetek.

Hadadezer słynął ze swojej mądrości. Kiedy był młodszy, zajmował się handlem żywicą olibanową, zbieraną z drzewa o nazwie *lebonah* – co znaczyło „biały” – rosnącego na północy. Podpalona żywica roztaczała wokół piękną woń, natychmiast więc zyskała sobie olbrzymią popularność w obu dolinach rzeki. Hadadezer kazał sobie za nią słono płacić, ale zarabiał skromnie – zbieracze żywicy też żądali sporo. Pewnego razu, przemierzając północne lasy, zauważył, że pospolite cedry i sosny pachną podobnie jak *lebonah*. Stąd już tylko krok dzielił go od ważnego odkrycia: żywica olibanową, do której domiesza się sproszkowanego drewna, tak dobrze udaje czystą, drogocenną substancję, że nikt się nie połapie w oszustwie. W ten sposób zwiększył obrót żywicą; żądał za nią tej samej ceny, ale zarabiał o wiele więcej.

Hadadezer był bardzo skrupulatny. Osiągnął sukces między innymi dzięki temu, że prowadził skomplikowaną księgowość, której nikt poza nim nie rozumiał. Do wynalezienia papieru i pisma pozostały jeszcze cztery tysiące lat, handlarz opracował więc cały system sobie tylko

znanych symboli wyrytych na żetonach z wypalanej gliny, zawieszonych na rozmaitych rzemykach i sznurkach u jego pasa.

Ludzie z osady ruszyli na powitanie karawany, już ciesząc się na wieczorną uroczystość, kiedy to odnowią się dawne przyjaźnie, spotkają kochankowie, będzie okazja do załatwienia starych porachunków. Niektórzy zawrą umowy i wypełnią zaległe zobowiązania, poza tym będzie kwitł handel wszystkimi możliwymi dobrami. Słońce wspięło się po niebie i nastał upalny dzień. Przybysze wzniesli namioty, rozpalili ogniska i otwarli bukłaki z winem oraz kadzie z piwem. Podczas gdy mieszkańcy osady zażywali rozrywek i przyjemności na terenie obozowiska, zmęczeni pracą przybysze udali się do osady w poszukiwaniu chleba, piwa, hazardu i seksu. Hadadezer zamierzał zostać w Osadzie Wiecznego Źródła przez pięć dni. Później jego ludzie zwiną namioty, zarzucą ładunek na plecy i ruszą dalej na południe, do doliny rzeki Nil, gdzie też będą obozowali, dopóki nie zawrócą na północ, do domu. Licząca ponad trzy tysiące kilometrów trasa z gór do delty Nilu na południe i z powrotem zajmowała im rok, a ich wizyty w Osadzie Wiecznego Źródła wypadały w czasie letniego i zimowego przesilenia.

Każdy, kto mógł chodzić, czołgać się albo znalazł chętnych, by go zanieśli, zamierzał uczestniczyć w wieczornej uczcie. Zapracowani mieszkańcy Osady Wiecznego Źródła zawsze czekali niecierpliwie na przybycie karawany Hadadezera. Dziś zamierzali dobrze się bawić.

Z jednym wyjątkiem.

Awram szedł z pochodnią wzdłuż rzędów winorośli. Przypominał sobie opowieści ludzi z karawany – o polowaniach i niebezpiecznych morzach, o kobietach z ogniem między nogami i olbrzymach wysokich niczym drzewa. O podróżach po Nilu, gdzie widzieli ludzi o skórze czarnej jak noc. Na dalekiej północy napotkali zwierzę – ni to konia, ni to antylopę – które miało dwa garby na grzbiecie. Awram marzył, żeby zostać kupcem. Nie chciał przez resztę życia miażdżyć stopami winogron.

Wiedział, że gdzieś w tym radosnym tłumie będzie Marit, może kupi hennę albo z zachwytem spojrzy na naszyjnik z muszli. Może odejdzie od swojej matki i sióstr, by zerknąć na sztuczki tresowanej małpki albo nabyć smakołyk z pikantnego mięsa, specjalność kobiet z gór. A kiedy już znajdzie się poza zasięgiem czujnego oka rodziny, pod księżycem i gwiazdami, wśród odgłosów śmiechu, bijatyki i hulanki, spowita mocnym aromatem dymu, perfum i gotowanego jedzenia, może nie będzie miała nic przeciwko temu, że pewien chłopiec stanie w pobliżu i niby niechcący dotknie jej ramienia.

Namiętność była silniejsza od posłuszeństwa. Awram nie mógł tego dłużej znieść. Wręczył pochodnię swojemu bratu Kalebowi i wymamrotał jakąś wymówkę, a następnie niczym cień wysliznął się z winnicy.

Obozowisko leżało na nizinie za polami kukurydzy i jęczmienia i rozciągało się niemal do rzeki Jordan. Dym z setek palenisk wznosił się aż do gwiazd. Tyle się działo, tyle można było

zobaczyć, że kiedy Awram wmieszał się w tłum biesiadników, niemal zapomniał o swojej obsesji. Występowali akrobaci i magicy, tancerze i żonglerzy, zaklinacze węży i sztukmistrze – wszyscy mieli jeden cel: oskubać łatwowiernego gapia z jego muszli monetek.

W którąkolwiek stronę Awram się obrócił, oferowano jedzenie. Na olbrzymich rożnach piekły się świnię i kozy, trzciniowe maty pełne były płaskiego chleba z jęczmienia i mis miodu, stały nieprzeliczone kadzie z piwem, pełne długich słomek. Awram wciąż szukał Marit.

Napotkał tłum obserwujący tancerkę, która nie miała na sobie nic poza naszyjnikiem z paciorków i pasem z muszelek. Była piękna i kusząca, jędrna i apetycznie zaokrąglona. Wyginała się uwodzicielsko w rytm bębnow i Maszczących dłoni. Awram nie wiedział, kim jest ta kobieta, ale pragnął w niej zatonać, wejść w nią jak najgłębiej.

To było pożądanie gorętsze od tysięcy słońc. Zaszło mu w gardle, miał obrzmiały język. Spojrzał na uda kobiety. Pomyślał o Marit i poczuł bolesne pragnienie.

Odwrócił się od tancerki i zobaczył nieopodal *abbę* Marit, który zapamiętałe targował się z handlarzem kością słoniową. Molok był niskim, krępy *mężczyzną* o krzywych nogach i wielkim brzuchu, świadczącym o bogactwie i miłości do własnego piwa. Obdarzony gorącym temperamentem, pewnie obciąłby jądra każdemu potomkowi Talithy, który odważyłby się choć tylko spojrzeć na kobietę z rodu Serophii.

Awramowi serce podeszło do gardła. Co to za szaleństwo? Czemu upierał się przy namiętności, która z pewnością nie przyniesie nic dobrego?

Pomyślał, że poszukiwanie Marit tylko ściągnie na niego nieszczęście i że lepiej wróci, by wraz z braćmi pilnować winnicy, kiedy zauważył grupę kobiet stłoczoną wokół handlarza henną. Właściwie najpierw usłyszał ich głosy, zwłaszcza dziewczęcy śmiech, wysoki i śpiewny, jak ćwierkanie małego ptaszka, który mieszkał w gałęziach wierzby na brzegach rzeki.

Nagle obozowisko zniknęło. Ziemia pod stopami Awrama się rozstąpiła, niebo zamieniło w nicość. Widział tylko słodką Marit i słyszał jej uroczy śmiech.

– Z drogi, chłopcze! – wrzasnął rzeźnik, który ciągnął za sobą martwą owcę.

Awram jednak był jak z drewna – niemy i nieruchomy. Uczucie spadło na niego niczym ciepły letni deszcz. Ledwie oddychał. Zastanawiał się, czy można umrzeć z miłości.

Wtedy Marit odwróciła głowę i spojrzała na niego. Zdarzył się cud.

Noc nagle powróciła, z księżycem i gwiazdami, świecącymi najjaśniej od wielu tysięcy lat, a ziemia zmaterializowała się pod stopami Awrama, twarda i pełna obietnic, – znów był w obozowisku pełnym roześmianych ludzi, muzyki i tancerzy wirujących radośnie w zadymionym powietrzu. Serce Awrama wróciło na swoje miejsce, żar rozlał się po całym jego ciele. Marit patrzyła na niego – wprost na niego, jej ciemne oczy utkwili w jego oczach, przyciągały jego spojrzenie, przyjmowały go, tak jak wiele razy w snach. Przełknął ślinę. To spojrzenie nie kłamało.

Dolina Kruków była korytem rzeki, pełnym rozszalałej wody podczas zimowych burzy, zaś latem wyschniętym na popiół. W blasku księżyca cień Awrama, widoczny na skalistych ścianach wąskiego kanionu, sunął za nim jak współnik. Chłopiec w milczeniu nasłuchiwał wycia szakali i wiatru wiejącego w skalistym wąwozie. W nocnym powietrzu czaił się chłód, lecz skóra Awrama płonęła. Obserwował księżyc, pełny i jasny, jak przemierza swą odwieczną trasę po niebie.

Nie bardzo wierzył, że Marit przyjdzie. Intryga była prosta: namówił przyjaciela, żeby przekazał dziewczynie wiadomość przy studni. Miał powiedzieć, że Awram znalazł w Dolinie Kruków rzadki kwiat i chce go jej pokazać. Marit domyśli się, że to kłamstwo, ale może uzna je za niezły pretekst, by przyjść.

Awram skulił się i czekał. Kiedy powiał wiatr, chłopak usłyszał w oddali muzykę i śmiech, poczuł apetyczny zapach pieczonego mięsiwa. Zaburczało mu w brzuchu, choć nie czuł głodu. Jego zniecierpliwienie i niepokój rosły z każdą chwilą.

Czas mijał. Księżyc nadal wędrował po niebie. Awram zerwał się z miejsca i zaczął nerwowo chodzić w tę i z powrotem. W końcu uznał, że Marit nie przyjdzie. Był głupcem, licząc na spotkanie.

A jednak tu stała, zjawiła się bezszelestnie, zupełnie jakby ześliznęła się po promieniu księżyca.

Patrzyli na siebie z bliska. Po raz pierwszy w życiu byli sam na sam – zawsze towarzyszyli im jego bracia lub jej siostry, albo inni ludzie z osady. Teraz jednak byli sami pod gwiazdami.

Awram uświadomił sobie, że drży – z podniecenia i ze strachu. W swoich fantazjach nie bał się ani trochę. Nagle, nieco zbyt późno, przyszło mu do głowy, że w tym kanionie będą im towarzyszyły duchy Talithy i Serophii, by sprawdzić, czy ich potomkowie nie łamią tabu. Poczuł, jak zimny pot spływa mu po plecach. Był pewien, że gdyby szybko odwrócił głowę, ujrzałby za sobą Talithę, rozwścieczoną, gotową urwać mu głowę.

Marit rozcierała ramiona i rzucała lękliwe spojrzenia na prawo i lewo, jakby i ona spodziewała się, że widmo jej antenatki lada moment zada jej śmiertelny cios.

Cisza się przeciągała, słyszeli jedynie wiatr szepczący między skałami, widzieli cienie, księżyc i siebie. Awram odchrząknął. W jego uszach zabrzmiało to jak grzmot.

Marit opuściła wzrok.

– Kwiat – powiedziała cicho. – Czy ty...

– Ja... – Przełknął ślinę. Czekala.

– Ja... – znowu zaczął. Wyleciały mu z głowy wszystkie fantazje na temat ich pierwszej rozmowy. Nagle wydało mu się, że czuje na sobie wzrok babki i *abby*, i wszystkich przodków, aż do Talithy. Ogarnął go strach. Zimny pot studził jego rozgorączkowane ciało, Awram trząsł się jak listek. Co ja robię? – pomyślał. Łamał najpotężniejsze rodzinne tabu.



Wtedy ujrzał, że i ona drży, i zrozumiał, jak bardzo ryzykowała, przychodząc tutaj, jakie to dla niej niebezpieczne. Molok przyłożyłby jej pasem na gołą skórę, gdyby tylko wiedział.

Mogli się jeszcze wycofać i ocalić głowy. Powinien uciec na wzgórze i pozwolić Marit wrócić do domu. Tak byłoby najrozsądniej.

Żadne z nich jednak nawet nie drgnęło. Byli więźniami księżycowego światła i pożądania, ta czternastoletnia dziewczyna i szesnastoletni chłopiec, więźniami swojej ledwie budzącej się dorosłości.

Później nie potrafili powiedzieć, kto zrobił pierwszy krok, potem następny, a potem nie w głowie już im były dawne rodzinne waśnie i wpadli sobie w ramiona. Awram przywarł ustami do warg dziewczyny, Marit zarzuciła mu ręce na szyję. Całowali się rozpaczliwie, pośpiesznie i bardzo niezręcznie. Mieli wrażenie, że ściany kanionu się rozstępują i porywa ich lawina, że słyszą krzyki rozwścieczonych przodków i czują na sobie zimny oddech śmierci.

Wkrótce jednak byli tylko oni – Awram i Marit. Przytuleni, płonący z pożądania, zapomnieli o obserwujących ich duchach, obojętni na tabu i grożące im konsekwencje, na więzy krwi i zemstę. A kiedy już mogli odetchnąć i coś powiedzieć, oboje wybrali słowo „kocham”.

Następnego ranka Awram wypatrywał znaków. Był pewien, że sprowadził nieszczęście na rodzinę. Spodziewał się, że znajdzie dom w ruinie, dach w ogniu albo krosty na swojej skórze. Poranek jednak był spokojny, babka jak zwykle sączyła piwo. Nie narzekała na złe sny, nic nie wskazywało na to, że coś jest nie tak. Yubał tylko wydawał się bardziej zamyślony niż zwykle, ale Awram przypuszczał, że ma to związek z nadchodzącym winobranieniem.

Nerwowo, w milczeniu wypił piwo i zjadł chleb, a zanim wyszedł z domu, staranniej niż zwykle pokłonił się przodkom, zostawiając im większe porcje śniadania i modląc się, by nie nawiedzili domu, niszcząc się za jego występek.

Żył w ciągłej obawie przed karą, przed nagle rozstępującą się ziemią albo piorunem, który mógłby go razić z letniego nieba, ale dni mijały, a na dom nie spadło żadne nieszczęście. Awram powoli odzyskiwał pewność siebie i zorganizował następne spotkanie z Marit w Dolinie Kruków. Ona również nie zauważyła w swoim domu niczego niezwykłego – żadnych duchów, żadnego pecha – więc pewnie przodkowie nie mieli nic przeciwko ich miłości.

– Bogini pragnie, żebyśmy dawali sobie rozkosz – rozumował Awram, biorąc ją w ramiona.  
– Jak przodkowie mogliby sprzeciwiać się Bogini?

To, że udawało się im utrzymywać schadzki w sekrecie, było cudem. Młodzi uwierzyli, że Bogini stoi po ich stronie. W następnych tygodniach i miesiącach, w dni pełne skradzionych pocałunków i noce zakazanych uścisków nikt niczego nie podejrzewał. Awram udawał, że idzie na ryby, a zachowanie Marit nie wzbudzało niczyich podejrzeń, bo rozmarzone dziewczęta w jej wieku często spacerują w świetle księżyca. Matka nawet zachęcała ją do tego, jako że takie spa-

cery często kończyły się ciążą.

Awram i Marit kochali się niezmiennie, obojętni na resztę świata, wpatrzeni w siebie. Chłopak bardzo się zmienił. Przy Marit czuł się pełny, zupełnie jakby byli jedną duszą w dwóch ciałach. Gdy znajdowali się z dala od siebie, był pusty, błąkał się bez celu. Najgorzej znosił pięć dni w miesiącu, które spędzała w księżycowej chacie, łącząc się z Boginią – wtedy Marit oddalała się od niego nie tylko fizycznie, ale i duchowo, gdyż te dni poświęcone były modlitwie, odprawianiu rytuałów i bezpośredniemu kontaktowi z Boginią.

Awram i Marit dzielili nie tylko miłość i rozkosz, ale również marzenia. Powiedział jej, że pragnie być kupcem, jak Hadadezer. Nie zamierzał przez resztę życia ugniatać winogron. Marzenie to kłóciło się jednak z jego uczuciami – jako kupiec wciąż byłby w podróży i przez bardzo długi czas nie widywałby Marit. Jak miał to pogodzić?

Marit myślała o czymś innym:

– Cudownie być częścią długiego łańcucha życia, wiedzieć, że wyszłam ze swojej matki, która wyszła ze swojej matki i tak dalej, poprzez Serophię do samej Bogini Al-Iari. Bardzo mnie cieszy i zdumiewa zarazem, że moje córki też będą kiedyś ciągnęły ten łańcuch.

Awrama nagle uderzyła ta niesprawiedliwość. Następstwo pokoleń kobiety trwało, mężczyzny – nie, chyba że przez jego siostry.

Minęło pół roku, zbliżał się czas zimowego przesilenia i powrotu karawany Hadadezera. Awram i Marit byli dumni, że udało im się utrzymać ich miłość w sekrecie. Nawet udawali przed innymi, że nie czują do siebie sympatii. W swojej młodzieńczej naiwności wierzyli, że tak będzie zawsze.

Nie istniał lepszy dowód na przynależną Bogini moc tworzenia życia niż wyrób wina. Czyż jaskinia nie była łonem Matki Ziemi? Czy sok z winogron z winnicy Yubala nie był jak miesięczna krew kobiety? Wszyscy wiedzieli, że kiedy ta krew nie wydostaje się z łona, zaczyna w nim rosnać dziecko. Tak też przebiegał cud z winem: niesiono sok z winogron do jaskin-łona i tam, pod osłoną ciemności, czekał przez pół roku, a kiedy mężczyźni wracali do jaskini, sok zmieniał się cudownie w napój życia.

Zatem próbowanie wina było w Osadzie Wiecznego Źródła najważniejszym i pełnym powagi religijnym rytuałem. Sama Bogini, niesiona na ramionach przez czterech krzepkich mężczyzn, z błękitnym sercem pobłyskującym w pierwszych promieniach słońca, prowadziła pochód do świętej jaskini na południu. Posąg wykonano sto lat wcześniej z jednego kawałka wapienia. Miał metr wysokości i był wspaniały w każdym szczególe, od wielkich mądrych oczu do delikatnych sandałów na stopach. Kryształ, wiekowy, magiczny, obdarzony wszechpotężną mocą, spoczywał między nagimi pierśmi Bogini.

Poranne powietrze było rześkie i chłodne, do zimowego przesilenia zostało tylko kilka dni, gdy parada maszerowała uroczyście przez równinę nad rzekę i dalej na południe, do martwego

morza, gdzie znajdowały się jaskinie ze świętym winem. Dotarli tam w środku dnia. Na znak Reiny zatrzymali się. Kiedy Bogini stała już na kamiennym tronie, Reina odmówiła modlitwę. Złożono owcę w ofierze. Dopiero wtedy babka, *abba*, Awram i jego trzej młodszy bracia ruszyli wąską ścieżką do wejścia jaskini.

Słoczony tłum milczał w pełnym napięciu oczekiwaniu, gdyż pierwszy łyk nowego wina miał powiedzieć ludziom, jak potoczy się ten rok.

Babka Awrama zatrzymała się w wejściu i unosząc ręce, pomodliła się głośno do Bogini oraz duchów, które mogły znajdować się w okolicy. Wypowiedziała słowa, które przekazywano z pokolenia na pokolenie od czasów Talithy, kiedy w tej jaskini powstało pierwsze wino, a potem posypała próg jaskini żywicą olibanową i liśćmi wawrzynu, mieszanką, która miała uświęcić to miejsce. Weszła pierwsza i za pomocą krzemienia zapaliła lampy olejne, które pozostawiono tu w lecie. Stąpała jak najciszej, żeby nie zakłócić pełnej powagi atmosfery jaskini.

Nietknięte bukłaki świadczyły o tym, że podczas fermentacji nie popełniono żadnego świętokradztwa – każdemu, kto wszedł do świętej jaskini wina, groziła śmierć. Babka skinęła na Yubal. To on był *abbą* domu, a także winnicy, pierwszy więc musiał skosztować wina.

Ku zdumieniu Awrama, Yubal dotknął jego ramienia, zachęcając chłopca, by do nich dołączył. Awram nigdy nie przestąpił progu świętej jaskini. Był pełen niepokoju, gdy wchodził z Yubalem w ciemność i czuł wokół siebie moc Bogini. Pomyślał o Marit wśród tłumu gapiów i o tym, jaka musi być z niego dumna.

Yubal zatrzymał się między bukłakami stojącymi na półkach z wapienia, wyłupanych w ścianach jaskini, i popatrzył na chłopca – wysokiego i przystojnego, z pierwszymi śladami zarostu. Yubal nie potrafił wytłumaczyć, skąd się wzięły jego uczucia do Awrama. Narodziły się podczas ciąży matki chłopca. Leżeli razem na macie, a Yubal patrzył ze zdumieniem na wydęty brzuch kobiety, który falował, gdy dziecko kopało w środku. Wtedy Yubal kładł dłoń na tym cudownym wzniesieniu i czuł, jak dziecko porusza się pod jego palcami, i miał zdumiewające wrażenie, że to dziecko wierci się w nim samym.

– Zanim przystąpimy do próby, Awramie – rzekł Yubal cichym, dźwięcznym głosem, który z pewnością nie wychodził poza próg jaskini – chcę ci coś powiedzieć. – Uśmiechnął się. – To wspaniała nowina.

Popatrzył w pełne oczekiwania oczy Awrama i spoważniał. W przeszłości łatwo mu się rozmawiało z chłopcem. Byli sobie bliscy, nigdy nie czuli się niezręcznie w swojej obecności. Nawet wtedy, gdy Awram skończył trzynaście lat i Yubal musiał wyjaśnić mu zasady i tabu dotyczące bycia z kobietami, a także funkcję specjalnego namiotu, do którego udawały się one raz w miesiącu, oraz miesięcznej łowi, która tworzyła nowe życie i była wyłącznym przywilejem niewiast. Sama moc kobiecej tajemnicy niemal zamykała wtedy Yubalowi usta.

Mimo swojego bogactwa Yubal był prostym człowiekiem. Znał się na winnicy i winie, ale

kobiety wprawiały go w zdumienie. Była w nich niezgłębiona tajemnica... To sekretne miejsce – tam skąd mężczyzna czerpał rozkosz i gdzie zaczynało się życie, gdzie mieszkała Bogini. Jak większość mężczyzn, czuł lęk przed krwią menstruacyjną. Mówiono, że sam kontakt z nią grozi śmiercią, bo krew miesięczna miała moc Bogini, moc życia i śmierci. Kiedy krew przestawała płynąć, oznaczało to, że powstało nowe dziecko. Kiedy wracała – był to znak, że życie umarło.

– W naszym domu powitamy nową osobę – powiedział teraz Yubal wśród migoczących lamp.

Awram spojrzał na niego ze zdumieniem. W swoim oczarowaniu Marit był ślepy na wszystko i nawet nie zauważył, iż *abba* zamierza połączyć swoją rodzinę z inną. Choć można było się tego spodziewać.

Tradycje i prawa rodzinnych sojuszy zostały wprowadzone przez pierwsze rodziny w osadzie, wiele pokoleń wstecz, kiedy przybyli najeźdźcy i spłądowali zbiory i domy. Pradkowie uznali, że jeśli osada ma przetrwać, rodziny muszą strzec się wzajemnie. Po pewnym czasie odkryto, że najlepszym sposobem, by służyć sobie pomocą na wypadek najazdu obcych lub katastrofy, jest czasowa wymiana córek i żon. Rodzina Awrama miała zbyt mało mężczyzn do pracy w winnicy i strzeżenia zbiorów. Yubal często zatrudniał pomocników, ale zazwyczaj tylko objadali się winogronami, na widok intruzów zaś salwowali się ucieczką. W rodzinie Talithy brakowało też kobiet, została tylko wiekowa babka. Gdyby Yubal, Awram i jego trzej bracia zostali sami, rodzina by wymarła. Należało przyjąć do niej kobietę, najlepiej mającą wielu braci i wujów, którzy chętnie będą strzegli winnicy i nie okradną sojuszniczej rodziny.

– Kto to? – spytał Awram. Przyszło mu do głowy kilka kandydatek – córka hodowcy kuku rydzy Sola, siostrzenice lampiarza Guriego, najmłodsza z Cebulowych Sióstr.

Yubal odchrząknął i przestąpił z nogi na nogę.

– Do naszej rodziny wejdzie dziewczyna z rodu Serophii. Awram wpatrywał się w niego.

– Serophii – powtórzył bezmyślnie. Yubal wyciągnął rękę.

– Wiem, to dla ciebie szok. Ale zwróciliśmy się o radę do Bogini, przemówiła przez Reinę. Radzili nam też mędrcy i astrolog. Wszyscy twierdzą, że rodzina tak stara i szacowna jak nasza może zawrzeć sojusz jedynie z rodziną o podobnej pozycji. A więc z którą, jeśli nie z rodziną Serophii?

Yubal nie był zbyt zadowolony z tego pomysłu i pokłócił się o to z babką. Twierdził, że Edra to również dobry ród, podobnie jak potomkowie Abigail, babka jednak i Bogini się uparły. Żaden inny ród nie wchodził w grę. I tak, przez pośrednika (rywalizujący *abbowie* nie rozmawiali ze sobą), Yubal zwrócił się do Moloka w sprawie zawarcia sojuszu między dwiema rodzinami. Yubal miał przewagę. Słyszał od kupca Hadadezera, że Molok martwi się o przyszłość swojego piwa. Coraz więcej ludzi warzyło je na własną rękę – wystarczyło tylko kupić jęczmienny chleb, wkruszyć go do wody, rozrobić papkę i pozostawić ją, aż sfermentuje, nie zwracając sobie gło-

wy uprawą jęczmienia, żniwami ani ochroną przed szarańczę i kradzieżą. Krążyły plotki, że interes Moloka podupada, a sam Molok chce zająć się czymś innym, by nie stracić majątku. Molok był jednak bogaty pod innym względem – miał wielu silnych synów – i Yubal uznał, że ochrona w zamian za tłocznię do winogron i część zbiorów to dobra okazja. Po latach rywalizacji uzgodniono warunki sojuszu.

– Mimo że synowie Serophii wciąż mogą nas nienawidzić – ciągnął Yubal – będą bronić swojej siostry w wypadku najazdu, a przy okazji nas i naszej winnicy.

– O którą siostrę chodzi, *abba*? – spytał szeptem Awram.

– O najmłodszą, Marit.

Awram poczuł się tak, jakby jednocześnie trafił go piorun i zalał miód. Szok i radość odebrały mu mowę. Yubal błędnie odczytał zdumienie na twarzy Awrama.

– Nie winię cię za ten gniew – powiedział pośpiesznie. – Ale to dla przodków i naszej krwi. Za to mam jeszcze lepszą nowinę!

Awram usiłował przemówić, powiedzieć: „Cóż może być lepsze niż moja ukochana Marit pod naszym dachem?”, lecz Yubal nie dopuścił go do głosu:

– Zawarłem też umowę z Parthalanem z rodu Edry. Połączymy się z nimi, wysyłając ciebie do ich domu. Pomyśl, Awramie. Będziesz mieszkał z muszlarzami! Tylko pozazdrościć – gdyż ich praca jest łatwa, żadnego potu, żadnych odcisków, zawsze mają czyste i miękkie ręce. Jest tam kilka pięknych córek, z którymi możesz zażywać uciechy.

Yubal był dumny z własnej mądrości – wystarczyło spojrzeć na minę chłopca. Omal nie zemdlął na wieść o cudownym zrządzeniu losu. Awram zawsze był marzycielem, zawsze zachodził w głowę, co znajduje się po drugiej stronie wzgórz, nie interesowała go winnica ani wyrób wina, Yubal znalazł więc doskonale rozwiązanie, wysyłając chłopca do Parthalana, który wraz z córkami co roku podróżował nad Wielkie Morze, gdzie zbierali monetki, konchy, małże, przegrzebki i muszle uchowca i rzeźbili z nich biżuterię, fetysze, amulety i magiczne ozdoby. Był bogaty i szukał nowego zamożnego mężczyzny do rodziny. Zatem Yubal zawarł umowę z Parthalanem: Awram dołączy do rodu Edry, a w zamian za to Parthalan będzie wypłacał rodowi Talithy roczną pensję w muszlach uchowca.

Twarz Yubala rozjaśniła się radością.

– W końcu zobaczysz, co jest po drugiej stronie wzgórz! Czy mógłbyś marzyć o czymś wspanialszym?

– Och, *abba*! – krzyknął Awram, a jego głos echem odbił się od ścian jaskini. – To straszna wiadomość.

– Jak to? – Yubalowi zrzędnęła mina. – Powinieneś się cieszyć. Przecież nigdy nie lubiłeś pracy w winnicy ani przy tłoczni. Teraz masz okazję przekonać się, co jest po drugiej stronie horyzontu. Ofiarowałem ci twoje marzenie, a ty jesteś zły?

– Moje marzenie to Marit! – wykrztusił Awram.

– O czym ty mówisz? – Yubal wpatrywał się w niego ze zdumieniem.

– O Marit. Kocham Marit.

– Darzysz tę dziewczynę namiętnością? Nie miałem pojęcia. Dobrze to ukryłeś.

Awram zwiesił głowę.

– *Abba*, nie mogę jej opuścić.

– Musisz.

– Nie mogę rozstać się z Marit.

– Jesteś jeszcze młody, chłopcze. Gdy położysz dłonie na kuszących udach córek Parthala-  
na...

– Nie chcę córek muszlarza. Chcę Marit!

Oblicze Yubala się zachmurzyło. Kochał chłopca, ale on pozwalał sobie na zbyt wiele.

– Nie możesz jej mieć, Awramie, i serce mi pęka na myśl o tym, co narobiłem. Ale umowy już zostały zawarte. Przysięgaliśmy przed Boginią. Nie możemy złamać obietnicy. – Położył ciężką dłoń na jego ramieniu. – Pomyśl jednak, że Marit będzie w naszym domu, bezpieczna i pilnie strzeżona, kiedy wrócisz tu z Wielkiego Morza.

Awram czuł się bezgranicznie nieszczęśliwy.

– Poławiaczy uchowców bardzo długo nie ma w domu.

– Ale potem wracają, żeby rzeźbić i sprzedawać muszle. I znowu będziesz z Marit.

– Umrę na Wielkim Morzu.

Yubal westchnął. Wszystko potoczyło się inaczej, niż zaplanował. Nic jednak nie mógł porządzić. Awram był młody, przejdzie mu. Nadszedł czas zająć się tym, po co przyszli do jaskini. Ale najpierw Yubal musiał zrobić jeszcze coś.

Nosił na szyi kiel wilka. Polował kiedyś na wzgórzach i zaatakowała go ta groźna bestia. Yubal omal wtedy nie zginął, wciąż miał blizny na ciele. Mężczyźni, którzy przynieśli go do domu zalanego krwią, przydźwigali również martwego wilka z nożem w piersi. Później Yubal wyrwał zwierzęciu kiel i nosił trofeum na szyi: wielki żółty ząb z plamkami krwi. Była to potężna ochrona przed złem, amulet miał w sobie ducha wilka.

Teraz zdjął rzemień i zawiesił go na szyi Awrama.

– Żeby cię strzegł, gdy będziesz podróżował po Wielkim Morzu – wyjaśnił.

Młodzieniec nie mógł wydobyć z siebie głosu. Popatrzył na talizman i poczuł ucisk w gardle. Dopiero po chwili rzekł:

– Przysięgam uszanować rodzinę i twoją umowę z Parthalanem, *abba*. – Oczami duszy ujrzał Marit, machającą mu na pożegnanie. Jej sylwetka robiła się coraz mniejsza, aż w końcu znikła mu z oczu.

Trzeba być ślepcem – pomyślał cynicznie Hadadezer – żeby nie widzieć, iż Yubal popełnił straszliwy błąd.

Kupiec obgryzał baranią kość, co pewien czas wycierając wysmarowane tłuszczem palce w obfitą brodę. Według niego ta uczta bardziej przypominała stypę niż radosną ceremonię. Bracia dziewczyny z rodu Serophii interesowali się tylko posagiem. Molok zbyt dużo pił. Matka Marit zachowywała się za głośno, co chwila wybuchała nieszczerym śmiechem, a włożyła tyle biżuterii z muszli i kości, że wyglądała, jakby lada moment miała załamać się pod jej ciężarem. Babka z rodu Talithy robiła nieznośnie słodkie miny i skakała przy gościach. Było zbyt wiele jedzenia, nawet jak na tak bogate rodziny. Czego się spodziewali? Że kilka rytualnych gestów, śluby przed Boginią wystarczą, żeby nienawiść zaszczerpiona im od urodzenia nagle zniknęła? Wielki Stwórco, tej uczcie od początku towarzyszył pech. Po raz pierwszy podczas uroczystości w Osadzie Wiecznego Źródła Hadadezer chciał jak najszybciej uciec do własnego namiotu.

Niestety, był gościem honorowym – jego karawana odjeżdżała jutro na północ – nie mógł więc wyjść. Musiał siedzieć na tej męczącej uczcie, a potem przejść w orszaku z domu dziewczyny do jej nowej siedziby. Oba domostwa dzieliła niewielka odległość, Hadadezer obawiał się jednak, że potrwa to całe wieki. Westchnął. Przynajmniej nie oczekiwano od niego, że opóźni wyjazd, by przyłączyć się do procesji, która miała Awrama, smutnego chłopaka z rodu Talithy, odprowadzić do muszlarzy.

Dziewczyna wydawała się szczęśliwa, siedząc w wieńcu z liści laurowych na małym tronie ozdobionym zimowymi kwiatami. Jej pierś wznosiła się i opadała pod ciężarem naszyjników z muszli monetek, darów od rodziny i przyjaciół. Za to przygnębienie jej nowych krewnych, Yubala i Awrama, było aż nadto widoczne. I za dużo pili, nawet jak na przyzwyczajenia Hadadezera.

Uczta trwała. Wreszcie kapłanka Reina dała znak, że nadeszła pora na ostatni etap zjednoczenia obu rodów. Hadadezer beknął z ulgą i skinął na tragarzy, którzy natychmiast skoczyli na równe nogi i zarzucili sobie platformę na ramiona. W odpowiedniej odległości ruszyli za dziewczyną i jej krewniakami, a potem handlarz dał kolejny sygnał. Tragarze oderwali się od korowodu i zanieśli swojego pana do obozowiska karawany, gdzie już czekały na niego dwie piękne dziewczyny.

Yubal ledwo szedł. Bardzo żałował umowy zawartej z poławiaczami muszli – naprawdę sądził, że Awram będzie zachwycony tą nowiną – i wypił o wiele więcej wina niż zwykle. Gnębiło go coś jeszcze, i tego bólu nie mógł ukoić żaden sfermentowany napój: to on musiał poprosić Moloka o zawarcie sojuszu. Początkowo był nawet zadowolony, widząc, jak rozpaczliwie próbuje on ocalić swój podupadający interes. Bądź co bądź, wyświadczał wrogowi przysługę. Teraz jednak świadomość tego, co się stało, łamała mu serce. I nie pomagały błogosławieństwa Bogini, i życzenia przyjaciół, zapewnienia mędrców ani astrologów, że postąpił właściwie. Wciąż niena-

widził rodu Serophii, przede wszystkim Moloka, i żałował, że nie znalazł innego sposobu, żeby chronić swoją winnicę.

Także Awram był nieszczęśliwy – wyjeżdżał, już za tydzień, i to na cały rok. I on wypił więcej wina niż zwykle.

Korowód dotarł do domu rodu Talithy. Reina poprosiła Boginię o błogosławieństwo, a zebrani wiwatowali i życzyli obu rodzinom wszystkiego najlepszego. Mołok i jego siostra ucałowali Marit na pożegnanie, a nadąsani bracia dziewczyny popatrzyli wilkiem na Yubalę, milcząco dając mu do zrozumienia, że zamierzają bacznie śledzić, jak traktuje dziewczynę. Potem Yubal i Awram zwalili się na posłania, a babka zabrała Marit na żeńską stronę domu.

Niebo wydawało się raczej wiosenne niż zimowe. Księżyc, okrągły i żółty, zbliżał się do pełni i przeszywał tysiącem promieni słomiany dach. Światło wpadało również przez okienko w glinianej ścianie, oświetlając Marit, która leżała z szeroko otwartymi oczami na nowym posłaniu. Czekwała na Awrama. Uzgodnili, że przyjdzie do niej, kiedy wszyscy już zasną.

Gdzie on się podział?

W domu panowała cisza, przerywana jedynie chrapaniem starej kobiety i młodszych braci Awrama. Marit nie chciała dłużej czekać. Wyśliznęła się nago z łóżka i na paluszkach przemknęła na drugą stronę domu.

Yubalowi śniło się, że jego ukochana kobieta, matka Awrama, przyszła do niego i powiedziała, że wciąż żyje. Kiedy jednak wziął ją w ramiona i zaczęli się kochać, obudził się raptownie i zamrugał w pijackim oszołomieniu. Czy to sen, czy jawa. Dokąd ona poszła?

Usłyszał jakiś dźwięk, spojrzął w tę stronę i ujrzał ją – matkę Awrama, młodą, smukłą i nagą. Stąpała na palcach przez izbę, przyszła na męską stronę domu, do niego.

Yubal wstał, z trudem zbliżył się do niej chwiejnym krokiem i wziął ją w ramiona.

Krzyki Marit obudziły Awrama. Zamrugał w ciemności. Zamajaczyły mu dwie sylwetki oświetlone blaskiem księżyca. Najwyraźniej widział podwójnie. Przetarł oczy i spojrzął ponownie. Dwoje ludzi, nagich, splecionych w uścisku.

Wstał, ale zaraz osunął się na kolana. Nie, z pewnością spał. To była halucynacja.

Raz jeszcze na nich popatrzył. Obraz pływał mu przed oczami, jakby dom pogrążył się w wiecznym źródle. Widział blade ramiona wijące się niczym węże i dwie głowy w dziwnym pląsie, potykające się nogi i splecione ciała. Kochankowie w podwodnym tańcu.

Nagle doświadczył jednej z tych chwil absolutnej jasności umysłu w pijackim otępieniu. Marit! W ramionach Yubalę!

Raz jeszcze spróbował wstać, ale podłoga pod nim kołysała się jak wieża obserwacyjna podczas burzy. Żołądek podszedł mu do gardła i Awram poczuł, że zaraz zwymiotuje.

W ostatniej chwili wypadł przed dom i zwrócił wino na grządki kapusty babki. Łykał nocne powietrze. Chciał wejść do środka, ale znowu zrobiło mu się niedobrze.



Dłonie Yubala na ciele Marit.

Znów spróbował wejść do domu, ale mdłości, silniejsze niż te spowodowane winem, pokonały go. Yubal i Marit! Bezladne myśli przelatywały mu przez głowę, niespójna mieszanina nieokreślonych pojęć i uczuć.

Odwrócił się i pobiegł. Spocony i słaby, wpadł do winnicy. W jego pijanym umyśle rodziły się najdziksze przypuszczenia. Yubal od początku wszystko zaplanował, żeby dostać Marit!

– Nie – wyszeptał, padając na ziemię. – To niemożliwe.

Usiłował wytłumaczyć sobie to, co widziały jego oczy, ale wypił za dużo, myślom brakowało logiki. Czuł gniew i zazdrość. Wznosząc pięść ku niebu, zakrzyknął:

– Zdradziłeś mnie! – Krztusił się łzami i chwiały na niepewnych nogach. – Zaplanowałaś to! Sprowadziłaś do domu moją ukochaną i odesłałaś mnie na Wielkie Morze. Od początku pragnęłaś jej dla siebie! Przeklinam cię, Yubalu. Życzę ci tysiąca okropnych śmierci!

Plącząc, Awram ruszył przed siebie, a świat wokół niego wirował. Przedzierał się przez winorośle, oślepiiony łzami, chory na duszy i ciele, aż w końcu pochłonęła go ciemność.

Jaskrawe światło. Jęk.

Awram leżał całkiem nieruchomo, zastanawiając się, dlaczego czuje się tak okropnie. Dudniło mu w głowie, burczało w brzuchu. W wyschniętych na pieprz ustach czuł kwaśny posmak.

Znowu jęk. Uświadomił sobie, że wydobywa się z jego gardła.

Powoli uniośł powieki, przyzwyczajając się do światła. Promienie słońca wpadały przez wejście do namiotu.

Skąd się wziął w namiocie?

Spróbował usiąść, ale mdłości przetoczyły się przez niego tak potężną falą, że znowu opadł na posłanie. Leżał na futrach. Nie we własnym łóżku.

Czyj to był namiot? Dlaczego się w nim znalazł? Jak tu dotarł? Próbował sobie przypomnieć, ale jego umysł był równie mroczny jak błotnista sadzawka. Pamiętał jedynie fragmenty zdarzeń: ucztę na cześć sojuszu obu rodów, orszak, babkę prowadzącą Marit na żeńską stronę domu, siebie i Yubala padających na maty.

I już nic.

Usłyszał nucenie. Odwrócił głowę i zobaczył kobietę o smagłej cerze wkładającą naczynia do koszyka. Usiłował coś powiedzieć, a ona podała mu bukłak z wodą. Wyjaśniła przy tym, że ona i siostry znalazły go przed namiotem, leżał we własnych wymiocinach. Przyniosły go tu i umyły, a potem dały mu spokój, żeby mógł się wyspać.

Usiadł i objął rękami głowę pełną wściekłych demonów. W całym swoim szesnastoletnim życiu nigdy nie czuł się aż tak fatalnie. Było mi niedobrze? – pytał sam siebie. – Wymiotowałem? Ale dlaczego tu, w obozowisku karawany, a nie w domu?

Kucnął, a potem wstał, ale kołysał się niepewnie i niemiłosiernie łupało mu w głowie. Patrzył na smagłą kobietę, która wynosiła rozmaite rzeczy z namiotu. Wkrótce zostało tylko postanie, na którym spał. Wtedy sobie przypomniał: tego ranka karawana Hadadezera opuszczała osadę.

Pomyślał, że musi wrócić do domu, zanim zauważą jego zniknięcie.

Gdy jednak stanął w wejściu do namiotu, zatrzymało go oślepiające światło. Przysłonił oczy dłonią, walcząc z mdłościami, i usiłował wziąć się w garść. Miał pełny pęcherz, musiał jak najszybciej sobie ulżyć.

Za namiotem znalazł ustronne miejsce. Oddając mocz, patrzył, jak obozowisko się zwija. Potem odwrócił głowę ku osadzie, skąd dobiegało donośne zawodzenie i płacz, dźwięki towarzyszące zwykle śmierci kogoś ważnego.

Awram obszedł namiot i zbliżył się do śniadej kobiety, która usuwała paliki z ziemi. Zapytał ją, co zaszło w osadzie. Wy tłumaczyła, że winiarz kochał się z dziewczyną i zmarł w jej ramionach.

Awram zamrugał oczami. Winiarz? Kochał się z dziewczyną?

Wszystko wróciło: Yubal całujący Marit. Ucieczka do ogrodu, wzniesiona pięść i klątwa wykrzyczana w niebo. A potem...

Teraz już pamiętał, co widział i słyszał, kryjąc się między krzakami winorośli: krzyk, Marit wybiegająca z domu. Za nią babka, zawodząca i bijąca się w piersi. Bracia Awrama, potykający się jak pijani. Zbiegowisko. Krzyki sąsiadów. „Yubal nie żyje! *Abba* z rodu Talithy odszedł do przodków”.

Awram pamiętał, że był wstrząśnięty i zaskoczony, gdy tak tkwił wśród winorośli. Yubal zmarł?

I znowu wspomnienie: wznosi pięść do nieba. „Życzę ci tysiąca okropnych śmierci!”.

Uciekł na oślep z winnicy, nękany mdłościami i przerażony, aż dotarł do kaplicy.

To pamiętał słabiej. Dom Al-Iari, mały, o niskim stropie, ciemne wnętrze oświetlone lampami olejnymi, które rzucały cień na półki pełne magicznych amuletów, uzdrawiających ziół, napojów, proszków i talizmanów na płodność. A na ołtarzu...

Posąg.

I lśniący w świetle lamp niebieski kamień. Serce Bogini. Jej miłosierne serce. Awram w pijackiej rozpaczy gwałtownie objął kamienne nogi Al-Iari, stracił równowagę i runął na ziemię wraz z posągiem. Usłyszał łomot.

Zatoczył się na namiot jak rażony piorunem. Strzaskana Bogini leżała na ziemi.

To nie mogła być prawda! To jakiś potworny, pogmatwany koszmar.

Kiedy usłyszał, że ktoś zadaje mu pytanie, spojrzał oszołomiony.

– Znałeś winiarza? – powtórzyła smagła kobieta.

Mógł jednak myśleć tylko o rozbitym posągu Al-Iari. To nie był senny koszmar, tylko rze-

czywistość. Zabił Boginię!

I jeszcze jedno wspomnienie: niebieski kryształ, po który sięga jego ręka, zaciskające się palce, kamień w miękkim skórzanym woreczku.

Oniemiały Awram uniósł rękę i położył ją na piersi. Namacał pod tuniką woreczek pełen magicznych przedmiotów. Teraz był jednak grubszy i zawierał coś twardego.

Niebieski kamień, serce Bogini.

Usiłował się poruszyć, krzyknąć albo zapłakać, dać upust wściekłości i żalowi. Nawet jednak nie drgnął, ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Jak zaczarowany wpatrywał się w kobiety, które zwinęły namiot i zapakowały go na płozy, a kiedy dołączyły do reszty wędrowców, opuszczających Osadę Wiecznego Źródła, Awram bez wahania ruszył za nimi.

Kobiety były z jednej rodziny: babka, matka, trzy córki i dwie kuzynki. Zajmowały się wytwarzaniem przedmiotów z piór. Zaproponowały mu, żeby im towarzyszył. Szedł zatem, niemy chłopak bez imienia, któremu pewnie by nie zaufały, gdyby nie jego miła powierzchowność i niewątpliwie szlachetne pochodzenie.

Dni i tygodnie mijały jak we mgle. Za dnia Awram ciężko pracował, nocami kobiety pieściły go i całowały, mówiły, że jest bardzo ładnym chłopcem i oferowały mu swoje bujne ciała. Po pewnym czasie otępienie minęło i do Awrama dotarło, jaki z niego łotr. Zabił swojego *abbę*, zhańbił bliskich, zerwał umowę z Parthalanem, opuścił Marit i kradnąc serce Bogini, zamordował ją. Nowe towarzyski nie znały szczegółów tej tragedii. Przyjęły go do siebie, a on pozwalał im się pocieszać.

Nie wiedziały, że chłopiec, który z nimi podróżuje, to cień człowieka, pusta skorupa pozbawiona celu i sensu życia. Robił to, co nakazywał mu instynkt – spał, jadł, oddawał mocz. Kiedy stawiano przed nim kubek, wypijał jego zawartość, a kiedy kobiety nocą kładły się na jego macie, reagował jak mężczyzna. Nie odczuwał jednak rozkoszy, głodu ani gniewu. Egzystował w krainie, która nie należała ani do żywych, ani do martwych.

Karawana, powolna rzeka obładowanych towarami ludzi, zmierzała na północ, zatrzymując się w niewielkich osadach. Minęła jezioro i jaskinię Al-Iari, i weszła w bujny las, gdzie rosły drzewa *lebonah*. Awram ciągnął sanie i rozstawiał namiot na noc, a kobiety karmiły go, zachwycając się jego młodością i niewinnością. I choć zupełnie nie dbał o swoje bezpieczeństwo, trzymał się z dala od Hadadezera, który był przyjacielem Yubala.

Obojętny na wszystko obserwował mistrzynię przy pracy. Od gór na dalekiej północy aż do delty Nilu sływały one z wrodzonego talentu mocowania piór do skóry tak, jak rosły na ptaku. Ponadto umiejętnie dobierały kolory, tak że za ich wachlarze, peleryny, pasy i nakrycia głowy płacono najwyższe ceny.

Widząc, że Awrama opanował zły duch choroby, najstarsza z rodziny podawała mu lecznicze

mikstury na odpędzenie demonów.

Nuciła nad nim, próbowała leczyć dotykiem. Córki i siostrzenice otaczały go kręgiem i śpiewały. Zwłaszcza gdy budził się ze złych snów, w których biegł za Yubalem, wzywając go do powrotu.

Kiedy nic nie pomagało, babka zdecydowała, że może to nie zły duch. Może to duch chłopca umarł i nie mógł ożyć.

Wiosną karawana minęła wreszcie przełęcz i doszła do ogromnego, porośniętego trawą płaskowyżu, gdzie niektóre rodziny rozbiły namioty nad płytkim jeziorem. Kobiety zaproponowały Awramowi, żeby towarzyszył im do wioski kamiennych domów o dzień drogi od jeziora. Tam mógłby odpocząć czas jakiś, zanim ponownie dołączą do karawany Hadadezera. On jednak czuł, że musi iść dalej; zachodzące słońce kusiło go, sam nie wiedział dlaczego. Powiedziano mu, że to obóz zimowy i że gdy ustaną deszcze, rodziny tu obozujące zwiną namioty i ruszą za stadami szukającymi wiosennych traw. Wędrował więc wśród namiotów i proponował swoje usługi w zamian za pozwolenie na wspólną podróż.

Nadal chciał uciekać jak najdalej od Osady Wiecznego Źródła. Dotychczasowe towarzyski pożegnały się z nim wśród łez i podarowały mu pelerynę podbitą pierzem gęsi. W towarzystwie nowej rodziny ruszył przez Wyżynę Anatolijską, łagodną okolicę pełną niewysokich traw i skarłowaciałych wierzb, dzikich tulipanów i peonii. Szli za wielkimi stadami koni, dzikich osłów i antylop. Awram widział wielbłądy o dwóch garbach, tłuste świstaki wygrzewające się na słońcu, wielotysięczne stada połyskujących różowawo szpaków i żurawie, które budowały gniazda na ziemi. Wszystkie jednak te cuda zupełnie go nie poruszały. Nie wyjawiał nomadom swojego imienia ani nie opowiedział, co wyгнаło go z rodzinnych stron, ale pracował dla nich ciężko i zachowywał się spokojnie. Kiedy kobiety wślizgiwały się na jego posłanie, reagował automatycznie, jak przy swoich pierwszych opiekunkach. Dawał im rozkosz, ale nie dzielił się sercem.

Dotarli do zachodniego krańca płaskowyżu. Pożegnał się z rodziną i ruszył wzdłuż wybrzeża. Doszedł do wąskiego zbiornika wodnego, który omyłkowo wziął za rzekę. W rzeczywistości była to cieśnina łącząca dwa duże morza i rozdzielająca dwa lądy. Awram nie miał również pojęcia o lodowcach topniejących na kontynencie europejskim i o tym, że podnosi się poziom morza, które za kilka tysięcy lat zamieni ten mały przesmyk w ważną drogę handlową zwaną Bosforem.

Tu po raz pierwszy ujrzał łodzie i znalazł człowieka, który zabrał go na drugą stronę. Awram skończył właśnie osiemnaście lat i uważał, że życie ma już za sobą.

Podróżował sam.

Kiedy napotykał ślady ludzi, zadawał sobie sporo trudu, by ich uniknąć. Szedł na zachód, wciąż dalej, zdany tylko na siebie. Marzyciel Awram stopniowo zmieniał się w myśliwego, traperę, rybaka. Zastawiał sidła na króliki, włócznią łowił łososie. Na plażach wykopywał skorupia-

ki, sypiał obok rozpalonego ogniska. Pierzasta peleryna chroniła go przed wiatrem i deszczem, a podczas gorącego lata rozpinął ją na palach i chronił się w jej cieniu. Jego szczupłe, chłopięce ciało obrosło mięśniami, zapuścił brodę. Wciąż kierował się na zachód, gdy jednak stawał nad bezkresnym morzem, skręcał na północ, nie mając pojęcia, że osiem tysięcy lat później tę samą drogę przemierzać będą Aleksander Wielki i święty Piotr.

Przy ujściu rzeki na wschodnim wybrzeżu, w przyszłości zwanym Italią, natrafił na wioskę, której mieszkańcy zjadali niezwykle dużo małży-sercówek; mieli nawet specjalne narzędzie do ich otwierania. Mieszkali w szałasach z trawy, które rozlatywały się podczas każdej burzy. Awram był już bardzo wyczerpany podróżą i potrzebował odpoczynku, został więc z nimi na jakiś czas, a potem ruszył w dalszą drogę. Nie zdradził im swojego imienia, nie opowiedział swojej historii, nie nauczył się ich języka, bo uważał, że życie to tylko przelotna chwila, a znajomość imion i losów nie ma znaczenia. Czasami tęsknił za domem w Osadzie Wiecznego Źródła, czasami ciepło ją wspominał. Ale zaraz tężało jego młode serce, gdy przypominał sobie zbrodnię, którą popełnił, i hańbę, którą ściągnął na rodzinę. Był przeklęty i nie mógł już nigdy wrócić do swoich bliskich.

Horyzont wciąż kusił, jak w dzieciństwie, tyle że teraz Awram nie chciał sprawdzić, co jest po drugiej stronie, po prostu nie miał dokąd pójść. W bezmyślnym pragnieniu, by pokonać jak największą odległość, nie spotkał osady podobnej do tej nad wiecznie bijącym źródłem. Myślał kiedyś, że wszyscy ludzie mieszkają w lepiankach i mają własne sady, ale teraz, podczas tej podróży na północ, mijając nienazwane rzeki i łąki, wspinając się na wzgórza i pagórki, zrozumiał, że mieszkańcy jego osady są niezwykli.

Wiedział coś jeszcze: dzięki wilczemu kłowi, który podarował mu Yubał w świętej jaskini, nic nie mogło mu się stać. Ani w trakcie podróży do źródła rzeki Jordan i dalej, ani podczas wędrówki po Azji Mniejszej, ani wreszcie w czasie przeprawy w wątlej łódeczce nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Amatorzy sercówek przyjęli go z otwartymi ramionami, inni traktowali go nieufnie. Zwierzęta nie czyniły mu żadnej krzywdy. Był pewien, że chroni go moc ducha wilka.

Wcale jednak go to nie cieszyło. Była jakaś okrutna ironia w tym, że to Yubał dał mu talizman. Gdyby zachował go dla siebie, kłątwa Awrama może by go nie zabiła.

Wciąż zmierzał na północ. Mijał potężne rzeki, obozował w górach wyższych niż te, które już znał. Odkrył gęste bory pełne brzoź, sosen i dębów, gdzie mieszkwały jelenie szlachetne i dzikie bydło. Napotkał myśliwych polujących na bizona. Wymienił pierzastą pelerynę, która świetność miała już za sobą, ale wciąż budziła zainteresowanie, na futra, buty i przyzwoitą włócznię. Przyłączał się do grup myśliwych, towarzyszył im przez pewien czas, a potem odchodził. Nigdy nie opowiadał o sobie. Dobrze jednak polował, zawsze się dzielił zdobyczą, przestrzegał obowiązujących tabu i nigdy nie kładł się z kobietą bez jej przyzwolenia.

Przez cały ten czas trzymał na piersi niebieski kamień, ukryty dowód jego zbrodni i niesławy. Od ucieczki z Osady Wiecznego Źródła nie wyjął go z woreczka, ale wciąż był świadom jego obecności. Kamień był zimny, obojętny – i oskarżał. Nocami nawiedzały go sny – Marit szukała go w Dolinie Kruków, Yubał kazał mu zejść z wieży. Nie opowiadał jednak towarzyszom o swojej męce.

Pewnego dnia znowu poczuł niepokój. Spoglądając na północ, zapytał myśliwych, co tam jest, a oni odparli:

– Duchy.

Zatem Awram pożegnał się z myśliwymi i ruszył na północ, do krainy duchów.

Okutany w futra, w śnieżnych butach od myśliwych, z włóczniami i strzałami na plecach, Awram stanął w końcu na brzegu wielkiej białej pustki. Było tu więcej śniegu niż kiedykolwiek widział, nieskończonego śniegu bez żadnego wzniesienia na horyzoncie, wręcz bez horyzontu, a wiatry wiały gwałtowniej, niż można było sobie wyobrazić. Wycie wichury przypominało krzyki tysięcy demonów, które smagały mu ciało, by zmrozić go od środka. Dotarłem na koniec świata – pomyślał. – To moje przeznaczenie.

Ruszył przed siebie. Wiatr zwiewał mu futrzany kaptur i smagał twarz lodowatym oddechem. Przytrzymując kaptur pod brodą, Awram brnął przed siebie. Nie wiedział, że zszedł z lądu i kroczy po zamrożonym morzu. Nie miał pojęcia, co leży u kresu tej wędrówki, przeczuwał jedynie, że wkroczył do krainy zmarłych. Przyszło mu także do głowy, że być może sam już umarł, a ta droga to złudzenie. Nagle lód pod jego stopami się załamał, a Awram wpadł do lodowatej wody.

Gorączkowo usiłował chwycić się kry, ale pękała w jego futrzanych rękawicach. Rozpaczliwie miotał się w wodzie. Nagle trafił w coś nogą. Po chwili ujrzał obok siebie wielkiego brązowego potwora. Poczł przerażenie. Już nie pragnął śmierci, chciał żyć. Powoli jednak drętwiały mu nogi, a potem całe ciało. Kiedy ostatni odłamek lodu pękł i woda zamknęła się nad głową Awrama, pomyślał o Marit i ciepłych promieniach słońca.

Awram leciał. Nie jak ptak, bo na wpół siedział, na wpół leżał, a ręce spoczywały wygodnie na piersiach pod stertą futer. Zastanawiał się, czy właśnie tak podróżują zmarli do krainy przodków.

Spod otulającego twarz futra patrzył na biały krajobraz prześlizgujący się mu przed oczami. Zmarszczył brwi. Nie leciał, ale i nie biegł. Widział swoje wyciągnięte nogi, także opatulone ciepłymi futrami. Ciągnęło go stadko wilków. Zjedzą mnie – pomyślał. Może była to zemsta za zwierzę zabite przed laty przez Yubała. A więc kieł nie zdał się na nic.

No to mnie zjedzcie – zakrzyknął w myślach. – Tylko na to zasłużyłem. Awram ponownie

stracił przytomność.

Gdy się ocknął, już nie miał wrażenia, że leci, a po chwili ujrzał, że zbliża się do białych wzgórz. Ponownie zerknął na ciągnące go zwierzęta i tym razem uświadomił sobie, że nie są to zwykłe wilki i że powiązane je razem skórzanymi pasami. Usłyszał okrzyk. Zrozumiał, że ktoś stoi za jego głową, pochyla się nad nim, wydaje polecenia wilkom. Awram usiłował dojrzeć twarz nieznanego, ale była ukryta w futrzanym kapturze.

Nie był pewien, czy podoba mu się bycie martwym, i znowu zemdlał. Kiedy doszedł do siebie, leżał w niewielkim ciemnym pomieszczeniu, które czuć było palącym się olejem i ludzkim potem. Zamrugał i usiłował dostrzec coś więcej. Sufit był z lodu. Czyżby znalazł się w lodowej jaskini? Jednak nie, wyraźnie widział spojenia na styku bloków lodu. To był dom – zbudowany z lodu. A on leżał na jakimś pośłaniu, pod futrami był nagi! Ktoś zdjął mu ubranie. Usiłował sięgnąć po amulet, ale coś się stało z jego rękami. Nie mógł nimi poruszać.

Usłyszał głos, a później ujrzał cień na ścianie. Ponownie zamrugał i zobaczył przed sobą twarz, starą, pomarszczoną i uśmiechniętą. Kobieta przemówiła – przynajmniej wydawało mu się, że to kobieta. Nagle, ku przerażeniu Awrama, zdarła z niego nakrycie i został nagi.

– Ty bezwstydną kobieto! – zakrzyknął i zdał sobie sprawę, że ten krzyk rozległ się tylko w jego głowie.

Nie mógł poruszyć szczęką. Gdy tak leżał, pozbawiony czucia i bezradny, starucha otworzyła mu usta i zajrzała do środka, a potem obejrzała uważnie jego pepek i dźgnęła jądra. W końcu szorstkimi dłońmi zaczęła masować zamrożone ciało chłopaka, najpierw ściskając mu palce, a potem delikatnie je rozcierając, aż wróciło im życie. Uniosła dłonie Awrama do ust i ogrzewała je oddechem. Nie czuł ani ciepła, ani jej dotyku. Kiedy zajmowała się resztą jego ciała, także nic nie czuł.

Znieruchomiła i rzuciła mu zatroskane spojrzenie. Wymamrotawszy kilka niezrozumiałych słów, wypelzła z kryjówki przez otwór, którego Awram wcześniej nie zauważył.

– Nie przykryłaś mnie! – próbował krzyknąć, ale usta i język nie chciały go słuchać.

Nie zostawiła go na długo, wróciła z towarzyszem, wysokim, o szerokich ramionach. Awram przyglądał się ze zdumieniem, jak nowo przybyła osoba zdjęła ubranie, spod którego ukazały się pełne piersi, smukła talia i kuszące biodra. Kobieta położyła się obok Awrama i wzięła go w ramiona. Starucha przykryła ich i wyszła z lodowej chaty.

Nim Awram oprzytomniał na dobre, mdlał i powracał do przytomności jeszcze wiele razy. W końcu zauważył złociste rzęsy nad bladymi policzkami, wąski, długi nos i szerokie różowe usta. Później się dowiedział, że ta kobieta, Frida, ocaliła mu życie, wyciągając go spod lodu.

Powrót do zdrowia trwał wiele tygodni. Awramem zajmowały się głównie Frida i starucha. Masowały go, karmiły rybą i zupą, podawały lecznicze zioła. Przychodzili mężczyźni, by na nie-

go popatrzeć, kucali przed lodowym domem, zadawali pytania, których nie rozumiał. Każdej nocy zasypiał w ramionach Fridy, a rano widział jej rozrzucone płowe włosy na swojej piersi. Gdy pewnego ranka obudził się z erekcją, starucha oznajmiła, że jest zdrowy, i odtąd Frida już z nim nie spała.

Wkrótce dowiedział się, dlaczego uratowali mu życie i podzielili się z nim skromnymi zapasami żywności. Zanim lód się pod nim załamał, zanim Awram rozpoczął wędrówkę przez zamrożone morze, wiatr zwiął mu kaptur z głowy, a Frida była tego świadkiem. Nieświadomy obecności ludzi w pobliżu, naciągnął kaptur i ruszył w mroźną pustkę, ale Frida zdążyła zauważyć czarne włosy i smagłą skórę chłopaka. Gdy już Awram nauczył się ich języka, wyjaśniła mu, że wśród ich bogów były czarnowłose istoty, które strzegły lasów i jaskiń i miały nadnaturalną moc.

Pewnego ranka starucha położyła przed nim jego ubranie, suche i miękkie. Włożył je bez zwłoki. Z radością ujrzał woreczek pełen amuletów, najprawdopodobniej nietknięty. Otworzył go, by się upewnić, że nie stracił nic cennego podczas niefortunnej przygody na lodzie. Starucha patrzyła z ciekawością na przedmioty, które wypadły z woreczka – zeschniętą pępownię, mleczny ząb, kiel wilka Yubala. Krzyknęła dopiero na widok niebieskiego kryształu.

Ku zdumieniu Awrama pośpiesznie wyczołgała się z lodowego domu i zaczęła nawoływać pozostałych. Po chwili przez otwór wcisnął się największy człowiek, jakiego kiedykolwiek Awram widział. Przez moment chłopak myślał, że nieznajomy odbierze mu kamień, mężczyzna jednak przykucnął na lodowej podłodze i ze zdumieniem wpatrywał się w kryształ. Zerknął też na Awrama i zadał mu pytanie.

– Nie rozumiem twojego języka – odparł chłopak.

Nieznajomy skinął głową i zaczął zbierać się do wyjścia. Nagle znieruchomiał i skinął ręką na Awrama.

Z woreczkiem na szyi, ukrytym pod tuniką z futra, Awram po raz pierwszy wyszedł przed dom. Przekonał się, że „ranek” istniał jedynie w jego wyobraźni – przebywali w krainie wiecznej ciemności, gdzie nigdy nie wstawało słońce.

Ludzie zgromadzili się wokół Awrama, okazując nieznajomemu nieśmiałe zainteresowanie. Mieli na sobie kurtki z kapturem, spodnie i buty z nieprzemakalnej skóry foki. Wyglądali tak podobnie, że zachodził w głowę, jak kobiety i mężczyźni dobierają się w pary, by oddawać się cielesnym uciechom. Przypominali duchy, mieli skórę białą jak dym i włosy o barwie pszenicy. I byli wysocy. Nawet kobiety przewyższały chłopca wzrostem. Wydawali się zaintrygowani jego drobną posturą, czarnymi włosami i oliwkową karnacją.

Przywódcą klanu przedstawił się jako Bodolf.

W podróży przez kontynent Awram napotkał niedźwiedzie. Bodolf przypominał mu to zwierzę – olbrzymiego, bladego niedźwiedzia o tubalnym śmiechu. Nie namaszczał sobie brody oliwą jak ludzie w klanie Awrama, spletał jednak długie jasne włosy w warkocze. Nie było w nich



muszli ani paciorków, lecz kości z ludzkich palców.

– Wyrwane z trupów naszych wrogów – przechwalał się później.

Awram został przedstawiony mężczyźnie imieniem Eskil, którego wziął za brata Bodolfa, tak bardzo byli podobni. Potem jednak uświadomił sobie, że Eskil jest znacznie młodszy – może był jego siostrzeńcem? Wszystko się wyjaśniło, gdy Bodolf oznajmił:

– Eskila i mnie nie łączą więzy krwi. To syn mojej towarzyszki, kobiety, z którą spędzam zimy. – Bodolf też był z tych, którzy nie szukają zmian, ale znajdują radość u boku jednej kobiety.

Tej nocy klan wydał ucztę na cześć gościa, który nosił ze sobą kawałek nieba. Awram po raz pierwszy w życiu jadł fokę, tłuszcz wielorybi i mięso niedźwiedzia o futrze białym jak śnieg. Gospodarze postanowili uraczyć go swoim specjałem – pieczoną gęsią, którą karmiono jedynie zepsutymi rybami, co rzekomo miało nadać mięsu oryginalny smak, ale Awram uznał potrawę za okropną. Mimo to cieszył się, że żyje i przebywa w towarzystwie tak gościnnej grupy ludzi, zwłaszcza że kobiety o włosach jasnych jak wasy kukurydzy i skórze gładkiej jak owoc uznały go osobę intrygującą.

Nadal mieszkał w lodowym domu starej kobiety i zarabiał na utrzymanie zabawianiem klanu tym, co nazywali kłamstwami: opowieściami o palmach i piaszczystych pustyniach, żyrafach i hipopotamach, i latach tak gorących, że woda, która upadła na skałę, skwiercząc, wyparowywała.

Z pierwszymi oznakami wiosny klan Bodolfa, zwany Ludem Renifera, opuścił lodowe domy i psimi zaprzęgami udał się w góry, tam gdzie na sosnach i brzozech stopniał już śnieg. Ludzie od razu zabrali się do rąbania drewna. Praca trwała dniem i nocą, aż wzniesli potężny drewniany dom. Awram pomagał im, nauczył się władać siekierą i rozsmarowywał smołę, jadał z nimi posiłki, ale noce spędzał sam, nie we wspólnym domu. Nie chciał nauczyć się ich języka, nie chciał znać ich imion.

Kiedy miał chwilę czasu, obserwował budzącą się do życia przyrodę i myśląc o wiosnie w Osadzie Wiecznego Źródła, spoglądał na południe. Nie mógł już iść na północ ani na zachód – dotarł do krawędzi świata – więc może nadszedł czas powrotu?

Ale dokąd? Do źródła, gdzie tak się zhańbił? Był tylko jeden powód, dla którego mógłby wrócić: dla Marit, mieszkającej z jego babką i braćmi.

– Zostań z nami – powiedział kiedyś Bodolf, obejmując młodego człowieka. – Opowiemy ci nasze historie, a ty nam swoją. Będziemy razem pić i radować serca naszych przodków.

Poczęstowali go napojem ze sfermentowanego miodu, który latem pili w olbrzymich ilościach. Kiedy Awram spróbował trunku i ujrzał, jak pięknie ogień odbija się we włosach Fridy, uznał, że nie musi się śpieszyć z odejściem.

Patrzył, jak polują, jak rozmawiają, i stopniowo, wbrew sobie, dobrze opanował ich język.

– Dlaczego wasz lud zamieszkał w tym rejonie? – spytał pewnego dnia, myśląc przy tym, że jego słoneczna ojczyzna to o wiele przyjemniejsze miejsce.

– Nasi przodkowie żyli niegdyś na południu. To renifery usłyszały głosy, które kazały im zmierzać na północ, a nasi przodkowie podążyli za nimi. – Bodolf wskazał na góry sterczące nad ziemią jak ostrza noży i na wielkie jezory lodu pomiędzy nimi. – Głosy przysły z tych lodowców. Cofały się na północ i zostawiły za sobą porosty i mchy, ulubiony przysmak naszych reniferów. Można powiedzieć, że sprowadziły nas tu lodowce.

– Dlaczego się wycofują? Bodolf wzruszył ramionami.

– Może niebo je wzywa.

– Wrócą tu? – Awram usiłował wyobrazić sobie świat całkiem pokryty lodem.

– To zależy od bogów. Może. Kiedyś.

Awram popatrzył na zagrodę, w której trzymano dziwne wilki. Ku jego zdumieniu, ludzie karmili je, a one nie atakowały.

– Jak to możliwe? – zapytał.

– Czy tam, skąd pochodzisz, nie macie psów?

– Co to są psy?

– Kuzyni wilków.

– Oswoiliście je?

– One nas oswoiły – odparł z uśmiechem Bodolf. – Dawno temu podeszły do naszych przodków i powiedziały: „Jeśli będziecie nas karmić, my będziemy dla was pracować i towarzyszyć wam ciemną nocą”.

Awram dowiedział się również, że lud Bodolfa czci renifera, bo zapewnia on żywność i schronienie, a także jest twórcą życia.

Potężne zwierzęta trzymano w olbrzymiej zagrodzie, gdzie się pasły. Były to piękne stworzenia o długim ciemnym futrze i rogach tak rozłożystych, że przypominały korony drzew. To, że ludzie oswoili takie zwierzę, zdumiewało Awrama, a jeszcze bardziej fakt, że renifery dało się doić. Pomyślał o Namirze i jego eksperymentach, i nagle nabrał szacunku do tego, którego uważano za szaleńca. Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że oswojenie zwierząt jest możliwe.

Bodolf opowiadał mu o czasach, gdy przodkowie przeganiali stada reniferów po lodzie. Jeden z myśliwych odłączył się od reszty. Leżał w śniegu, niemal zamrożony i bliski śmierci z głodu, aż nagle pojawiła się samica renifera. Rozgrzała go swoim wielkim ciałem i napiła mlekiem. Kiedy dzięki niej powracał do życia, powiedziała: „Nie ścigajcie nas i nie polujcie. Pozwólcie niektórym z nas ze sobą zamieszkać, będziemy was karmić i rozgrzewać. Ale niech moje stada biegają wolno”. Złapali zatem samice i wzięli je ze sobą. Przez pewien czas mieli mleko, ale jedna z nich przyszła we śnie do przodka i rzekła: „Nie możecie oddzielać samic od

samców, bo tak jak mężczyźni i kobiety, renifery potrzebują rozkoszy”. Przodkowie sprowadzili więc samca, by zamieszkał z samicami, i od tego czasu ludzie zawsze mieli mleko.

Awram zmarszczył brwi.

– Ale jak zwierzęta mogą przeżywać rozkosz? – spytał, usiłując to sobie wyobrazić.

Bodolf wybuchnął śmiechem i zamachał rękami.

– Tak samo jak ludzie! Zwierzęta są takie same!

Awram widywał je tylko na wzgórzach, gdy polował na nie z włócznią i łukiem, nigdy więc nie był świadkiem takiego zachowania. Uznał, że to ma sens. Bogini podarowała rozkosz ludziom, więc niby czemu nie zwierzętom?

– Na wiosnę urodzą się młode – stwierdził z zadowoleniem Bodolf.

Awram uniósł brwi.

– Skąd wiesz? To księżyc decyduje, kiedy urodzą się młode. Ludzie nie mogą tego przewidzieć.

Bodolf rzucił mu zniecierpliwione stworzenie.

– Nie macie zwierząt w swoim klanie?

– Mamy wiele zwierząt.

– I nie rodzą młodych?

– Kiedy polujemy na wiosnę, widzimy małe w stadzie.

– A więc to się da przewidzieć! Bo w ten sposób – Bodolf gestem pokazał akt kopulacji – duch Renifera daje potomstwo samicom. To samo robi z ludźmi. Kiedy kobieta śni o reniferze albo wdycha dym z jego smażonego mięsa, albo nosi na szyi amulet renifera, zajdzie w ciążę. Renifer daje życie wszystkim istotom. Czy nie jest tak samo wśród twojego ludu?

– W mojej krainie to księżyc daje kobiecie dziecko – odparł Awram, wciąż niezbyt przekonany.

Bardziej jednak niż zagadka renifera interesowali Awrama sami ludzie. Zauważył wśród Ludu Renifera większą skłonność do stałych związków niż we własnym klanie. Nie tworzone sojuszy między rodzinami, lecz raczej między dwojgiem ludzi: kobieta odpowiadała za ognisko domowe i schronienie, a mężczyzna za pożywienie i ochronę. Może z powodu długich i srogich zim życie tu było trudniejsze, a przetrwanie zależało od współpracy. Mężczyzna nie może błąkać się w poszukiwaniu kobiety, jak podczas gorących, parnych nocy w Osadzie Wiecznego Źródła, i kochać się z tą, którą napotyka pod gwiazdami – myślał Awram.

Lato odeszło, zbliżała się zima. Bodolf zaproponował, by gość wybrał sobie partnerkę. Chłopak odparł, że przywykł do sypiania z mężczyznami, a Bodolf i inni ryknęli śmiechem.

– Weź kobietę – powiedział Bodolf. – Jak się lepiej rozgrzać?

Awram pomyślał o Fridzie i dowiedział się, że jeszcze nie wybrała partnera na zimę. By jednak zasłużyć na wstęp do domu kobiety, mężczyzna musiał najpierw udowodnić, że jest dobrym

żywcielem. Zatem Bodolf i Eskil zabrali Awrama na jego pierwsze polowanie. Myśliwi mknęli przez mroźne pustkowia na nartach i saniach ciągniętych przez psy. Tropili niedźwiedzia polarnego i łosia. Awram odrzucił kaptur i wznosił twarz do nieba. Co za szybkość! Co za wolność! Krzyknął do innych, a oni mu pomachali, i przez chwilę zapomniał o swoim nędznym, przeklętym łosie, o tym, że jest mordercą, który złamał obietnicę, opuścił ukochaną i splamił honor rodziny. Przez tych kilka godzin był czysty i wolny. Wspominał swoich trzech braci. Jak bardzo podobałaby im się ta przygoda na lodzie!

Kiedy jednak ujrzał Bodolfa i Eskila i pomyślał o łączącej ich wyjątkowej więzi, przypomniał sobie swój związek z *abbą* i jego serce znowu ścisnął żal. Mógł zdradzić tym ludziom pewien sekret: że czasem człowiek ginie od klątwy.

Dni robiły się coraz krótsze. Lud Renifera opuścił lasy i ruszył na mroźne pustkowie, by wybudować na nim domy z lodu. Bodolf sprawdzał śnieg nożem w kilku miejscach, zanim znalazł taki o odpowiedniej wadze i fakturze.

– Śnieg jest tu bardzo kiepski, zbyt miękki na górze i zbyt twardy na dole, ale lepszego nie znajdziemy – oznajmił.

Wraz z Eskilem wycięli pierwszy blok. Awram pomógł im przewrócić wielką bryłę, potem Bodolf wyciął z niej następny blok. Układano je, warstwa po warstwie, spiralnie, a kiedy kopała była gotowa, Bodolf sporządził legowisko, wydłubując wgłębienie w podłodze i wyrzucając śnieg przez otwór wejściowy u podstawy.

Teraz Bodolf i Eskil wraz z Awramem postanowili zapolować na foki pod oceanicznym lodem. Bodolf wyjaśnił, że zwierzęta te muszą oddychać, więc wydrapują dziury w lodzie, gdy zaczyna zamarzać, i wracają do nich, by zaczerpnąć oddechu. Awram patrzył, jak pół-wilki znajdują otwory, a potem myśliwi wsuwają w każdy cienką kość wieloryba. Kiedy kość drżała, oznaczało to, że foka zamierza wynurzyć się na powierzchnię, i wtedy myśliwy szybko rzucał harpunem. Takie polowanie wymagało wielogodzinnego nieruchomego stania, z czym Awram nie miał problemów – pamiętał długie warty na wieży obserwacyjnej Yubala.

Śmieszyły ich nieporadne poczynania gościa, ale pomogli mu upolować zwierzę, żeby nie musiał spać przez całą zimę wśród chrapiących starców. Zwyczaj nakazywał zanieść martwą fokę wprost do kobiety, ona zaś ofiarowywała jej wodę na znak gościnności, by w ten sposób przebłagać ducha zwierzęcia. Awram zaniósł fokę Fridzie. Dała jej wody i zaprosiła chłopaka do swojego domu.

Zebrali się w lodowym domu Bodolfa i jego wieloletniej towarzyszkii. Przybył Thornhild z Eskilem i nieśmiało uśmiechniętą dziewczyną, a także Awram i Frida, którzy trzymali się za ręce. Słuchali wycia wilków i opowieści Bodolfa.

– Nikt nie wie, czemu wilki wyją. Może widzą duchy, może są opętane przez duchy ludzi,

których zabijają. Może lubią dźwięk własnych głosów – mówił Bodolf z uśmiechem. Raczyli się resztkami letniego miodu, rozkoszując się ciepłem płynącym z dymiącego piecyka w przytulnym lodowym domku i miękkością futer. – Stada wilków chętnie wyją razem. Widziałem, jak to robią, witają się ze sobą po polowaniu.

– Zupełnie jak ludzie – stwierdził Awram.

Coraz lepiej mu było wśród Ludu Renifera, choć uważał, że nad nimi góruje, ale wiedział też, że oni z kolei uważają się za lepszych od niego. Była to rywalizacja pozbawiona nienawiści. Kiedy usiłował opisać swój dom, Bodolf spytał:

– Mieszkasz w tym samym domu przez cały rok?

– Przez wiele lat.

Jego towarzysze wyglądali na zaszokowanych. Skubali się w nosy i robili miny.

– Odkurzamy je – pośpieszył z wyjaśnieniem. – Jest czysto.

– Dlaczego mieszkacie w jednym domu?

– Żeby strzec winnicy.

– Musicie strzec winnicy?

– Musimy.

– Gdybyście jej nie strzegli, winogrona by nie wyrosły?

– Och, wyrosłyby z pewnością.

– To po co musicie strzec winnicy?

– Żeby inni nie zabrali winogron.

– Dlaczego nie chcecie, żeby inni je zabrali?

– Bo są nasze.

Bodolf zerknął na innych.

– Więc kiedy przyjdą obcy, nie dostaną owoców?

– Właśnie.

– Dlaczego nie? Przecież rosną na winorośli.

– Ale to mój *abba* uprawia winorośl i winogrona są jego. Eskil zmarszczył brwi.

– Czy jeśli *abba* umiera, winorośl umiera wraz z nim?

– Nie.

– No to jak może być jego?

Z wielką powagą opowiedział im historię Talithy i Serophii. Ku jego oburzeniu wszyscy ryknęli śmiechem. Kiedy wypił trochę sfermentowanego miodu, też wydało mu się to zabawne i po chwili trzymał się za brzuch i śmiał z błazeństw tych niemożliwych kobiet sprzed wielu lat.

W końcu, mimo różnic, Awram i Lud Renifera zgadzali się w jednej kwestii: sfermentowane napoje są cudowne.

Chcieli poznać dzieje przybysza, więc im je opowiedział, a zakończył słowami:

– Nie wiem, dlaczego uciekłem i dlaczego wciąż zmierzałem przed siebie. Mogłem zostać z kobietami robiącymi przedmioty z piór i żyć wygodnie. Gnało mnie na zachód i wygląda na to, że dotarłem na koniec świata.

– Może poszukujesz wizji – rzekł Bodolf, a inni przytaknęli mu z powagą.

I tak Awram spędził drugą zimę wśród Ludu Renifera, polując na foki i przynosząc je Fridzie, śpiąc nocą w jej ramionach, śmiejąc się z nią za dnia choć dni niczym się od nocy nie różniły. Pokazała mu światła na północnym niebie, tańczące widma o cudownych barwach. Opowiedział jej o pustyni i słonym morzu, w którym nie było żadnych stworzeń. Kochali się w kokonie z futra i lodu i w objęciach Fridy Awram na chwilę zapominał o hańbie, która go tu przywiodła, i o swojej zbrodni. Ukrywał twarz w jasnych, jedwabistych włosach kobiety i twierdził, że jest miłością jego życia, ale ona tylko się śmiała i kpiła z niego, bo we śnie przywoływał Marit, i Frida czuła, że ciemnowłosa kobieta ze snów to jej rywalka.

Awram nauczył się regulować rytm życia światłem i ciemnością. Najjaśniej było od wiosny do późnego lata, najciemniej od jesieni do zimy. Przez trzy miesiące słońce w ogóle nie zachodziło za horyzont, przez inne trzy w ogóle się zza niego nie wyłaniało. Cykl pór roku wyznaczało pojawianie się i znikanie lodu na morzu. Awram poznał bogów Bodolfa oraz wierzenia jego ludu, i darzył je szacunkiem. Zasmakował w foczym mięsie, latem towarzyszył Fridzie w wędrówkach na pokryte śniegiem szczyty, skąd widzieli cały świat. Lud Renifera tatuował ciała za pomocą cienkiej kościanej igły, którą wprowadzano poczernioną sadzą nitkę pod skórę, i pewnej wiosny Awram dzielnie zniósł tę operację na swoim czole. Osada Wiecznego Źródła stała się snem, Marit i inni byli jak postacie z jego fantazji. Ziemia ciepła i słońca, tak odległa od tej krainy zimna i śniegu, z pewnością nie istniała.

Kiedy pewna suka urodziła szczenięta, Awram polubił jednego malucha bardziej od innych i zaczął odwiedzać kojec, gdzie je trzymano. Uczucie to zapewne było odwzajemnione, bo psiak wył za każdym razem, gdy chłopiec odchodził, aż w końcu wyskoczył z kojca i poszedł za mężczyzną do drewnianego domu. Awram nazwał maleńką suczkę Psem.; została jego wierną towarzyszką.

Piątego lata członków Ludu Renifera nawiedziły sny. Dotyczyły Yubala i Marit, kapłanki Reiny, braci Awrama, nawet Hadadezera. Były to ciepłe, uwodzicielskie sny, pełne wiosennej zieleni nad rzeką Jordan. Pograżony w marzeniach umysł Awrama zmierzał jak dziecko ku ciepłu, jego palce sięgały po czerwone maki i różowe peonie, po słodkie daktyle i soczyste granaty. Były to sny niezwykle realistyczne. Po przebudzeniu z trudem uświadamiał sobie, że wciąż znajduje się na lodowatej północy, i rozmyślał, jak jego dusza przebyła tak wielką odległość w tak krótkim czasie.

Częstotliwość i intensywność snów nasilała się, aż zaczął szlochać i rozpaczać jak chory pies. Bodolf i Frida, mocno zaniepokojeni, posłali po wróżbiarkę.

Kobieta, która zajmowała się wrózeniem z kamieni, była drobna i stara, jej ciało wyglądało jak skurczony orzech w skorupce z futra foki i renifera, [jej oczy jednak, bystre jak Gwiazda Polarna, błyszczały tak intensywnie, że Awram uwierzył, iż owa niewiasta zna odpowiedzi na wszystkie pytania.

Wszyscy usiedli w kręgu i patrzyli, jak wróżbiarka dmucha w skórzaną torbę, a potem rozsypuje kamienie na płacie miękkiej wielorybiej skóry. Wskazała sękatym palcem.

– Ten kamień przedstawia twoje nadzieje i lęki – powiedziała skrzekliwie. – Ten jest tym, czego nie można zmienić, pozostaje tylko czekać. Ten mówi o twojej obecnej sytuacji. – Popatrzyła na Awrama. – Chcesz zostać. Chcesz odejść. To twój problem.

– Czy kamienie powiedzą mi, co mam robić?

Oddychała cicho, spokojnie.

– U twego boku jest duch zwierzęcia. Nie znam go. To małe zwierzę z rogami, które skręcają się jak dym. Ma sierść koloru miodu, czarne pasy po obu stronach białego brzucha. – Uniosła wzrok. – To duch twojego klanu.

– Gazela – potwierdził ze zdumieniem. Jak mogła ją tak dobrze opisać, skoro nie widziała ani jednej? – Co każe mi zrobić?

Kobieta potrząsnęła głową.

– Nie chodzi o to, co każe ci zrobić. – Patrzyła na niego przez chwilę, a jej błyszczące oczy wyglądały jak dwa punkciki światła w pomarszczonej twarzy. – Jest jeszcze jeden kamień – dodała w końcu. – Nie jeden z tych. Tam. – Wskazała woreczek na jego piersi. – Błękitny jak niebo, przejrzysty jak morze. Ten kamień zna odpowiedź.

Awram wydobyl woreczek spod futrzanej kurtki i ostrożnie go otworzył. Wyjął kryształ i położył na dłoni kamień, który jego lud otrzymał od samej Al-Iari jeszcze przed powstaniem czasu. Kiedy zerknął w jego serce, ujrzał kosmiczny pył i uświadomił sobie, że to spienione źródło, które było sercem jego domu. Kryształ jest sercem Bogini, należy do kaplicy w Osadzie Wiecznego Źródła – pomyślał.

Tam było też jego serce, wśród członków klanu. Teraz to rozumiał. Przebywając tutaj, Awram nie zdawał sobie sprawy ze zmiany, która się w nim powoli dokonywała. Żal mijał, za to pojawiło się coś nowego: tęsknota za domem.

Zanim pożegnał się z Ludem Renifera, podarował wilczy kiel Bodolfowi, bo wilk był wrogiem jego rodziny. W zamian za to Bodolf ofiarował mu figurkę polarnego niedźwiedzia wyrzeźbionego w bursztynie. Awram ucałował Fridę, będącą w zaawansowanej ciąży, i życzył jej szczęścia. Potem zarzucił sobie tobolek na plecy, chwycił włócznię i łuk, i z Psem u boku ruszył na południe ku lodowemu mostowi. Zamierzał przejść po nim na drugą stronę morza i wrócić na drogę, którą przybył tu przed pięcioma laty.

Awram dotarł do górskiej wioski, gdzie mieszkał Hadadezer, rok po rozstaniu z Bodolfem

i jego ludem, i po przeszło dziewięciu latach od ucieczki z Osady Wiecznego Źródła. Podróżował razem z Psem wracali przez góry i rzeki, które zapamiętał z poprzedniej wędrówki. Lubili swoje towarzystwo, spali razem, by się ogrzać, a Pies szczekała, gdy nadciągało niebezpieczeństwo. Pan dzielił się upolowaną zdobyczą z wierną towarzyszką. Zawdzięczali sobie życie – niedźwiedź zaatakował sukę i pewnością by ją zabił, gdyby chłopiec nie rzucił celnie włócznią, a gdyby nie silne szczęki Psa dziki kot po skoku na człowieka rozszarpałby go na strzępy. Dla Awrama był to także czas nowych odkryć. Przedtem traktował zwierzęta jedynie jako źródło pożywienia, nadawały się też na ubranie. Przyjaźń z Psem przyniosła mu zadowolenie, jakiego dotąd nie odczuwał. Gdy dotarli do kamiennej fortecy w górach, suka wywołała zamieszanie, a wartownicy chcieli zabić „wilka”. Awram jednak, powołując się na znajomość z Hadadezerem, skłonił ich, by oszczędzili zwierzę. Poprowadzono ich wśród labiryntu wysokich murów i tuneli, a ludzie otwierali usta ze zdumienia, mamrocząc coś o dzikiej bestii. Forteca była dziwnym zbiorowiskiem domów tak stłoczonych, że miały wspólne ściany. Wyglądała jak plaster miodu pełen budowli bez okien i drzwi – wychodziło się przez otwory w dachu. Awram trafił na podwórze tak ocienione przez ściany domów i szczyty górskie, że na płyty chodnikowe nie padał ani jeden promień słońca. Tu Hadadezer żył sobie wygodnie, na wspaniałej platformie pełnej poduszek i futer, otoczony służbą, która spełniała wszystkie jego zachcianki. Twarz handlarza, lśniąca od potu, była okrągła jak księżyc w pełni, ciało zaś olbrzymie i ciężkie, o spuchniętych stopach, które wyglądały, jakby od lat nie dotknęły ziemi. Na widok gościa oczy niemal wyszły mu z orbit.

– Wielki Stwórco, przecież to mój stary przyjaciel Yubal! Awram znieruchomiał, zastanawiając się, czy handlarz widzi duchy. Nagle uświadomił sobie, że Hadadezer patrzy na niego.

– Mylisz się, jestem Awram, syn Chany z rodu Talithy. Nie pamiętasz mnie...

– Oczywiście, że cię pamiętam! – rozpromienił się starzec. – Wielki Stwórco, dziękuję, że w tym błogosławnym dniu widzę syna mojego drogiego przyjaciela, niech spoczywa w spokoju!

– Syna? – spytał Awram.

Hadadezer pomachał rękami wielkimi jak nogi owcy.

– To przerośnięta, mężczyzna nie może mieć dzieci. Twoje jednak podobieństwo do Yubala, niech odpoczywa z Boginią, to dowód, że duch drogiego zmarłego ma na ciebie wielki wpływ!

Warknął coś do służby i po chwili na podwórzu pojawił się zadziwiający przedmiot: kawał obsydianu wysoki i szeroki jak człowiek, cienki jak ostrze i płaski jak martwe morze, oprawiony w muszlę. Pod odpowiednim kątem w wulkanicznym szkłe zmaterializował się duch Yubala. Awram podskoczył i nakreślił ochronny znak w powietrzu.

– Nie obawiaj się, młodzieńcze! – roześmiał się Hadadezer. – To tylko ty, to twoje odbicie!

Zaintrygowany Awram odwrócił głowę i uniósł najpierw jedną, a potem drugą nogę. Pojął,



że rzeczywiście widzi swój wizerunek.

To go zaniepokoiło. Człowiek mógł zobaczyć siebie jedynie w wodzie, a wpatrywanie się w nią przynosiło pecha, bo czasem kradła duszę. Teraz patrzył zafascynowany na brodatego mężczyznę, który przyglądał mu się ze zwierciadła z ciemnego szkła. Był to Yubal, od stóp do głów.

– Chodź, siadaj – zachęcił go Hadadezer. – Zjemy i wypijemy, i porozmawiamy o dawnych czasach, lepszych niż obecne. Od początku świata to one były zawsze najlepsze.

Słudzy gospodarza przynieśli olbrzymią kadź piwa z dwiema długimi słómkami. Awram opowiadał o swojej długiej, niezwyklej wędrówce, pominawszy jedynie przyczynę odejścia.

– A co to jest? – spytał Hadadezer, gdy wreszcie zauważył Psa. Suka zwinęła się u stóp Awrama i oparła głowę na łapach.

– To moja wierna towarzysza.

– Podróżujesz z wilkiem? A ja sądziłem, że widziałem już wszystko! I jaki jest świat? – spytał Hadadezer, gdy wypił już sporo piwa.

– Tak różny, jak ludzie są różni. Niektórzy żyją jak niedźwiedzie, inni mieszkają na lodzie, jeszcze inni wczołgują się do jaskiń na brzuchach i malują tam zwierzęta, które upolowali.

– A miasta? Widziałeś miasta?

– Tylko tu i w Osadzie Wiecznego Źródła. – Nagle poczuł pragnienie, by porozmawiać o miejscu swojego urodzenia i znowu znaleźć się w towarzystwie kogoś z przeszłości. Powróciły wspomnienia, smutek ścisnął mu gardło.

Może Hadadezer zauważył mgłę, która zasnuła oczy Awrama, gdyż odezwał się cicho:

– Wszyscy się zastanawialiśmy, dokąd poszedłeś. Większość uważała, że nie żyjesz. Albo uciekłeś, bo umarł Yubal. Tak, właśnie tak pomyślałem. Byłeś młody i przerażony. To zrozumiałe. Po śmierci Yubala i twoim zniknięciu wszyscy zrozumieli, że łączenie obu rodów było olbrzymim błędem. Najwyraźniej Mątwą Talithy i Serophii dotknęła wszystkich.

Postawiono przed nimi półmiski z jedzeniem: nadziewany drób, warzywa w oleju, chleb, małe misy z solą i odrażającą mieszankę zwaną jogurtem.

– Tak, to pewnie był dla ciebie straszliwy szok, biedny chłopcze – ciągnął Hadadezer, częstując się pieczonym gołębiem nadziewanym grzybami i czosnkiem. – Ta śmierć Yubala. Chociaż mnie wcale nie zdumiała. Ani trochę.

Awram, trzymając w dłoni marynowany orzech, zamarł.

– Jak to?

– Yubal od dawna narzekał na głowę. Nie mówił ci? Pewnie nie chciał cię martwić. Kiedy się zdenerwował albo przepracował, czuł bolesne dudnienie w skroniach. Pytał mnie, czy mam na to lekarstwo, zaprzeczyłem. Ostrzegałem go jednak, żeby nie męczył głowy i ciała, bo widziałem tę przypadłość u wielu młodszych mężczyzn. Mówią, że umarł, wysilając się przy dziewczy-

nie. – Hadadezer pokiwał głową. – To możliwe.

Awram wpatrywał się ze zdumieniem w olbrzymiego mężczyznę z brodą upstrzoną resztkami wczorajszej kolacji. Czy Yubal cierpiał na chorobę, która go zabiła? Czy nie dokonała tego jego klątwa?

Czuł się jak rażony piorunem. Przez wszystkie lata dźwigał brzemię winy, a teraz nagle zniknęło...

– Yubal miał już śmierć w sobie.

Nie zabiłem ukochanego *abby* – pomyślał Awram. Ledwie powstrzymywał łzy radości. Był w ekstazie, pragnął natychmiast złożyć ofiarę Bogini i wszystkim miejscowym bogom. Miał ochotę skakać i uściskać potężnego kupca. Chciał tańczyć i mówić wszystkim, jak piękny jest świat. Zamiast tego pociągnął przez słomkę potężny łyk piwa i mlasnął ze smakiem.

Hadadezer poprawił się na platformie, która była nie tylko jego lektyką, ale i łóżem, i powiedział:

– Od tamtego czasu wiele się wydarzyło, chłopcze. Dwa lata po śmierci Yubala zjawili się najeźdźcy. Tym razem liczniejsi. Zginęło wielu ludzi. A rok później przyleciała szarańcza.

Awram nagle spoważniał.

– Czy babka żyje? – wypytywał z przejęciem. – Co z moimi braćmi?

– W noc śmierci Yubala ostatni raz widziałem waszą osadę. Po powrocie w góry zrozumiałem, że dni podróży dobiegły końca. Przekazałem karawanę synom mojej siostry, żeby rozkoszować się czasem, który mi jeszcze pozostał. Siostrzeńcy przekazywali mi tylko ogólne nowiny: najeźdźcy, szarańcza, wyschnięte zbiory. Ale kto umarł, kto żyje... – Rozłożył potężne ręce. Zaczął tłumaczyć, jak ciężkie czasy przysły dla jego karawany, częściowo przez kłopoty Osady Wiecznego Źródła. – Już nie sprzedają wina – powiedział – i tego naprawdę mi brak.

Słomka wypadła z dłoni Awrama.

– Co się stało z winem? Hadadezer wzruszył ramionami.

– Robią je tylko dla siebie.

Awram wyobraził sobie swoich braci mozolnie pracujących w winnicy, już nie chłopców, lecz dorosłych mężczyzn – jak uprawiają winorośl, zrywają winogrona, wypełniają tłocznię, a potem zanoszą skórki do świętej jaskini. I to wszystko bez mądrego i nieustannego nadzoru Yubala.

– Mówisz, że wracasz? – spytał Hadadezer, dyskretnie wsuwając pusty bukłak z koziej skóry pod tunikę i oddając do niego mocz. Młodzieniec zastanowił się, jak jego rozmówca opróżnia jelita. Wolął jednak tego nie wiedzieć.

– Tak, wracam do domu. Minęło mnóstwo czasu.

Hadadezer skinął głową, wręczając bukłak służącemu i wycierając ręce o brodę.

– Tak sobie myślę, mój młody przyjacielu, że moglibyśmy ubić interes. – I chytry handlarz

wyłuszczył swój plan. Awram musiał przyznać, że jest on korzystny dla nich obu. Kiedy karawana wyruszy, jak co roku, na południe, on stanie na jej czele.

Spędził lato w osobliwym górskim mieście Hadadezera, ciesząc się gościnnością handlarza i jego siostrzenic, które chętnie przyjmowały Awrama w swoich łóżach. Ujrzał wiele nowych cudów, gdyż tutejsi ludzie byli ludem pracowitym i pomysłowym: wypalane w piecu naczynia z gliny, bryłki miedzi, rozpuszczone i uformowane w narzędzia, ludzi zmuszających bydło do ciągnięcia pługa. Zdumiał go widok kobiety karmiącej piersią jagnię. Hadadezer wyjaśnił:

– Zauważyliśmy, że małe kozłę albo jagnię od razu przywiązuje się do matki. Odłączone od stada przy narodzinach i karmione przez mamkę, wiąże się ze swoją ludzką matką i żyje wśród jej rodziny. Odkryliśmy to przez przypadek. Kobieta, która straciła dziecko, z żalu wzięła dzikie kozłę i je wykarmiła, a potem wszędzie za nią chodziło. Teraz mamy oswojone kozy. Nie musimy już polować – dodał Hadadezer. Wiele czasu spędzał na znajdowaniu sposobów zaoszczędzenia energii.

Awrama zaprowadzono do kamiennych budowli, gdzie trzymano bydło, które nie urodziło się w dziczy, ale tu, w górskich oborach. Krowy dawały mleko, jak renifery Bodolfa.

– Zauważyłeś, że czcimy byka – powiedział Hadadezer, przeniesiony do obory w lektyce. – Byk to stworzyciel. Nasze kobiety kąpią się w krwi byka, by zająć w ciążę.

Awram zauważył w wielu obejściach rogi i symbole byka. Wpatrywał się ze zdumieniem w spokojne zwierzęta, które pozwalały się człowiekowi prowadzić. Jaką magię posiadał ten lud, że zdołał oswoić dzikie stworzenia?

– W czasach naszych przodków – zaczął Hadadezer, podając Awramowi naczynie z jogurtem – zanim wybudowaliśmy to górskie miasto, gdy jeszcze mieszkaliśmy w namiotach, wędrując równiną, oddawaliśmy cześć ziemi i niebu, bo nie wiedzieliśmy, jak byk daje samicy młode. Bógowie nakazali naszym przodkom zaprzestać wędrowki i zbudować tę osadę, a potem sprowadzić z równin zwierzęta i trzymać je tutaj, by duch Wielkiego Byka uczynił nas płodnymi. To właśnie dzięki niemu, Awramie, mój lud jest tak silny, twoi ludzie zaś zrodzili się z księżycy, przez co są słabi. Nie chcę nikogo obrażać, mówię prawdę. Sam zobaczysz, jak teraz wygląda życie w Osadzie Wiecznego Źródła, pozbawione energii i wigoru. Chętnie wysłałbym z tobą byka, ale nie sposób nad nimi zapanować.

Awram zauważył, że Hadadezer mówi o bykach tak, jak Bodolf o reniferach, i zastanawiał się, czy za rozmnażanie każdej rasy odpowiada inny bóg. To by wyjaśniło, czemu ludzie na świecie różnią się wyglądem i zachowaniem – Lud Renifera miał jasne włosy i skórę od picia mleka tego zwierzęcia; ludzie Hadadezera czerwonawe twarze od krwi byka. Ludzie Awrama zaś byli drobni i smagli, gdyż zrodzili się z księżycy, którego królestwem jest noc.

Gdy mieszkał między kamiennymi murami, wśród ludzi o ogorziałych obliczach, opanowując ich umiejętności i sypiając z ich kobietami, przyzwyczajając żołądek do jogurtu, sera i mleka,

dopadła go dziwna choroba. Nie poprzedziły jej żadne znaki ani symptomy, nie było to schorzenie ciała, lecz raczej nieuporządkowanie duszy. Przychodziła w snach, poważnych i niepokojących; wróciły wspomnienia, ponure i mroczne, skupione na jednym: na śmierci Yubala. We śnie Awram musiał raz za razem przeżywać tę noc, budzić się, dostrzegać przytulone w ciemnościach dwa nagie ciała, uświadamiać sobie, że Yubal zaplanował to wszystko, by mieć Marit dla siebie. Ból związany z tym odkryciem z nową siłą powracał każdego ranka, gdy Awram budził się, zlany potem. Podczas włości przez obce i nieznanne krainy niewiele myślał o obłudzie Yubala, o powodzie, dla którego przeklął *abbę*. Teraz jednak, gdy już wiedział, że to nie kłątwa go *zabiła*, gdy mógł myśleć o tej feralnej nocy, prześladowała go nieznośna i wstrząsająca prawda: człowiek, którego kochał i podziwiał, chciał zabrać mu Marit.

Wreszcie letni upał zelżał. Hadadezer zasięgnął rady miejscowego wróżbity, który uznał, że karawana powinna wyruszyć właśnie teraz. Ostatniej nocy handlarz zwierzył się Awramowi, że wolałby nie powierzać dowodzenia karawaną swoim siostrzeńcom. Uważał ich za leniwe niedorajdy, zupełnie pozbawione handlowej żyłki, w dodatku nie całkiem uczciwe. Niestety, tradycja nakazywała, iż fortuna musi pozostać w rodzinie.

– Nie znaczy to jednak, że nie mogę posłać z karawaną swoich ludzi, w których lojalność nie wątpię.

Awram miał zostać przedstawicielem Hadadezera w Osadzie Wiecznego Źródła. Pozostali czterej agenci byli synami kobiet, z którymi kupiec mieszkał przez wiele lat. Najstarszy tak bardzo go przypominał, że Awram pomyślał o Yubalu i sobie oraz o Bodolfie i Eskilu. Hadadezer ufał tym młodym ludziom. Kochali go i darzyli szacunkiem, i uczciwie prowadzili interesy w osadach, w których mieszkali: w krainie drzew *lebonah*, na wybrzeżu Wielkiego Morza, w delcie Nilu i w świetnie prosperującej wiosce na południu. Hadadezer ofiarował gościowi upominki, a Awram postanowił obdarować nimi Parthalana, Reinę i Marit, by choć trochę odkupić swoją winę. W zamian sprezentował handlarzowi bursztynowego niedźwiedzia od Bodolfa. Starzec cieszył się jak dziecko.

Rankiem, w dniu wymarszu, Awram ujrzał jeszcze jedną zadziwiającą rzecz: osły wyćwiczone w dźwiganiu ciężarów. Lud Renifera na wpeł oswoił renifery, by dawały mleko, i psy, by ciągnęły sanie, niczym jednak nie objuczał zwierząt. To była nowość.

– Są pewne granice – przestrzegł go Hadadezer. – Jeśli dobrze traktujesz osły i obficie je karmisz, będą nosić twoje ciężary. Nie próbuj jednak sam na nich jeździć – natychmiast wylądujesz na ziemi, co nie jest przyjemnym przeżyciem.

Awram wybuchnął śmiechem. Kto słyszał o ujeżdżaniu zwierząt? Stary handlarz z pewnością jest pijany. Karawana Hadadezera wyruszyła objuczona towarami – były tam nasiona do uprawy, obsydian do wyrobu narzędzi i broni – a także zapasami jedzenia: soloną rybą, piwem i chlebem.

– To inwestycja. Choć ani razu nie opuścił lektyki, kupiec dyszał z wysiłku po wydaniu tak wielu poleceń. – Przywróć świetność osadzie nad źródłem, Awramie. Niech znowu będzie bogata, a moja karawana niech handluje z nią z pożytkiem dla obu stron.

Awram ucałował na pożegnanie pulchne siostrzenice Hadadezera i wyprowadził karawanę przez główną bramę miasta za mury, na południe, ku przełęczy. Szedł śmiało i pewnie. Był gotów błagać braci o wybaczenie, rzucić się na kolana przed Parthalanem i zmasać plamę na honorze; wybłagać u Marit łaskę i znów oddać jej swoje serce. Ale nie zamierzał prosić o wybaczenie ducha Yubala, to *abba* powinien przeprosić jego.

Karawana wędrowała na południe tą samą drogą, którą dziesięć lat wcześniej podążał w odwrotnym kierunku. Tym razem Awram przyglądał się okolicy. Dawniej, w towarzystwie kobiet produkujących przedmioty z piór, gdy był jeszcze chłopcem pozbawionym duszy, patrzył przed siebie i nic nie widział. Teraz dostrzegał lasy pełne wspaniałych, aromatycznych cedrów, jaskinię Al-Iari i ziemię swoich przodków oraz rzekę – tak znajomą, że padł na kolana i szlochał w pełnej skruchy radości.

Niebo było szare, padał drobny zimowy deszcz, gdy karawana pojawiła się w Osadzie Wiecznego Źródła. Na wzgórzu witał ją tłum mniejszy niż kiedyś, a Awram zastanawiał się, czy to dlatego też nie ma wież obserwacyjnych i nikt nie zawiadomił mieszkańców o przybyciu gości. Kiedy jednak podszedł bliżej, ciągnąc obładowanego osła, ujrzał, że sama osada jest sporo mniejsza niż wtedy, gdy widział ją po raz ostatni. Nie było już lepianek ani nawet domu, w którym dorastał. W człowieku, który wybiegł na powitanie rozpoznał Namira, łowcę kóz, starszego teraz i posiwiatego, w dodatku mocno utykającego. Za nim szli ludzie nieznani Awramowi. Czyżby przez te dziesięć lat w osadzie nie pozostał nikt ze starych mieszkańców? Namir nagle przystanął, zamrugał kilkakrotnie i wykrzyknął: – To duch! – I odbiegł ku osadzie, zanim Awram zdołał otworzyć usta. Na pewno pomyślał, że stoi przed nim zmartwychwstały Yubal.

Inni też stawali jak wryci i gapili się na przybysza z twarzami pobladyłymi ze strachu. Tylko młodszy przyglądali się podejrzliwie Psu i obładowanym osłom – nigdy nie widzieli takich stworzeń.

Awram dał znak karawanie, że tu się zatrzymają. Zmęczeni mężczyźni zdjęli ciężary, głośno przy tym narzekając, rozpalono ogniska – choć zawilgotniałe w lekkiej mżawce gałązki i nawóz dawały więcej dymu niż płomieni – i rozbito namioty. Awram pomyślał, że gdzie im tam do karawany, która przybywała do osady w dniach chwały Hadadezera. Humor mu jednak dopisywał. Niecierpliwie wypatrywał w rosnącym tłumie znajomych twarzy. Czy rozpozna swoich braci? Babka pewnie umarła. A Marit, wciąż dziewczęca w jego wyobraźni, czy tu była?

Wreszcie, krocząc dumnie jak kogut, przed tłum wyszedł niewysoki mężczyzna z imponującą łaską w dłoni. Awram rozpoznał Moloka, *abbę* Marit.

– Witaj, witaj! – wykrzyknął Molok z entuzjazmem, ale na jego obliczu malowało się zdumienie. Starzec wpatrywał się w Awrama ze zmarszczonymi brwiami, jakby usiłował coś sobie przypomnieć.

Robiło się coraz gwarniej, wieść o przybyciu karawany rozeszła się po osadzie.

Przybiegło trzech mężczyzn z motykami w dłoniach. Awram ledwie ich rozpoznał. Przez wszystkie lata wędrówki wciąż myślał o braciach jak o chłopcach, nie wyobrażał ich sobie jako dorosłych mężczyzn. Byli jednak dojrzałymi ludźmi, krzepkimi i przystojnymi. Ku zdumieniu Awrama Kaleb padł na kolana i objął jego nogi.

– Błogosławiony niech będzie dzień, w którym nasz brat wrócił do domu! Myśleliśmy, że nie żyjesz!

– Wstań, bracie. – Awram podniósł Kaleba. – To ja powinienem paść do twoich stóp.

Uścisnęli się, roniąc łzy, a dwaj młodszy bracia powitali go, otwarcie płacząc z radości.

– Czy ja cię znam, człowieku? – Molok zmrużył zasnutą kataraktą oczy. – Wyglądasz znajomo.

– *Abbo* Moloku – powiedział z szacunkiem. – Jestem Awram, syn Chany z rodu Talithy.

– Co? Awram? Mówili, że nie żyjesz. Na ducha jesteś zbyt krzepki!

Molok z powagą uniósł ręce i obwieścił początek święta, całkiem niepotrzebnie, bo już pojawiły się kadzie z piwem, świeżo zarżnięte kozy i owce, płaski jęczmienny chleb, miód, solona ryba i mnóstwo owoców. Powietrze wypełniły dźwięki fletów i grzechotek, zanim jeszcze wzniesiono wszystkie namioty. Ludzie z karawany wmieszali się w tłum z osady, zabrzmiały radosne okrzyki i śmiech.

I, mimo wszystko, było tak jak za dawnych czasów.

Do zachodu słońca dotarła tu chyba cała osada. Przy ogniskach częstowano się jedzeniem, wymieniano plotki i nowiny. Nie pojawiły się jednak dwie osoby, których Awram z niecierpliwością wypatrywał. Bał się spytać braci, co się stało z Marit i kapłanką Reina.

Choć w osadzie był jego dom, pozostał w obozowisku, wciąż niepewny, jak przyjmą go dawni ziomkowie. Nie czuł się już winny śmierci Yubala, pozostawała kwestia plamy na honorze. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Bracia przynosili kaczkę, by piec je przy ogniu, kosze pełne chleba i bukłaki z winem. Mieli mnóstwo do powiedzenia, ale też bardzo chcieli poznać dzieje Awrama. Skąd wziął się tatuaż na jego czole? Gdzie przebywał przez te wszystkie lata?

Awram przyglądał się, jak jego dawni przyjaciele i sąsiedzi radośnie bawią się na tej zaimprovizowanej uczcie, na chwilę zapominając o swoich problemach, a ich troska o jutro odlatuje niczym ptak. Nagle przyszło mu do głowy coś, o czym nawet nie pomyślał przez te wszystkie lata: nikt nie wie, że to on ukradł niebieskie serce Bogini! Co więcej, nikt nie wie również, że uciekł ze strachu, że celowo zerwał umowę, którą Yubal zawarł z poławiaczami uchowców.

Awram tylko wyobrażał sobie, że w osadzie czeka go wstyd i hańba. Hadadezer się nie mylił – ludzie nie mieli pojęcia, co się z nim działo. „Myśleli, że zostałem zabity, porwany albo odszedłem z rozpacz i zginąłem. Jak mogę prosić ich o wybaczenie, skoro niewiedzą, że zawiniłem?”.

Wtedy ujrzał w ich pełnych nadziei oczach coś jeszcze: że wcale nie zależy im na prawdzie. Uświadomił sobie w jednej wstrząsającej chwili, jak wiele mieli zmartwień, ile nieszczęść ich spotkało; byłoby prawdziwym okrucieństwem obarczać ich własną hańbą, wstydem i poczuciem winy. Wobec tego wymyślił zajmującą historię: opowiadał, jak wpadł w rozpacz, zablądził, stracił pamięć, trafił do niewoli i uciekł, by teraz powrócić. Nieprawdopodobna opowieść o bogach i potworach, pełna lubieżnych kobiet i heroicznych wyczynów, spodobała się – była taka ciekawa! Bukłaki z winem krążyły i nikt już nie obwinał Awrama za to, co działo się dziesięć lat wcześniej. Było, minęło. Teraz chcieli się tylko upić na wesoło.

Bracia opowiedzieli mu własną smutną historię.

Pod jego nieobecność zdarzyło się wiele: przybyli najeźdźcy, potem przyszły chude lata, a wreszcie szarańcza pożarła zbiory, wiele rodzin wzięło więc kije w dłonie i wróciło do życia nomadów. Osada, niegdyś wielka i tętniąca życiem, liczy teraz tylko kilka rodzin.

– Po co siał i uprawiać zboża, skoro i tak je ukradną?

Spytał o letnie zbiory winogron. Zbliżał się czas zimowego przesilenia i wkrótce powinni wyruszyć do świętej jaskini, by spróbować wina z nowego rocznika. Kaleb tylko ze smutkiem pokręcił głową. Zbiory były żalosne, winogron wystarczyło jedynie na rodzynki, którymi handlowano z podróżnymi.

– Przybywają nomadzi, rozbijają tu obozowiska i częstują się naszymi winogronami. Jak mamy ich powstrzymać? Nie możemy czuwać dniem i nocą.

– A synowie Serophii?

– Po śmierci Yubala Marit wróciła do rodziny – odparł z goryczą Kaleb. – Jej bracia już nam nie pomagali. Udało im się uratować przed najeźdźcami zbiory jęczmienia, ale naszą winnicę splądrowano. Dwa lata czekaliśmy na porządne plony, a wtedy pojawiła się szarańcza i znów byliśmy zrujnowani. Od tamtego czasu ledwie starcza nam wina dla siebie, niewiele mamy na handel.

Były to niepokojące wieści. Osada żyła głównie z wina, dzięki niemu ludziom dobrze się powodziło, dla niego porzucili koczowniczy tryb życia i zamieszkali w jednym miejscu.

– To się teraz zmieni – zapewnił brata Awram. – Nasza winnica znowu wyda plon, a gdy następnym razem pojawią się najeźdźcy, będziemy przygotowani. – Miał już plan: zaproponuje miejscowym mężczyznom bukłak wina za nocną straż w winnicy.

– Gdzie jest kapłanka Reina? – spytał w końcu ostrożnie, bojąc się tego, co może usłyszeć.

Reina nadal opiekowała się kaplicą. Bogini nie wychodziła już do ludu, procesje skończyły się przed dziesięcioma laty, ale kapłanka nie odeszła.

Awram zachęcił braci, by jedli i pili przy jego ognisku, po czym stanął na niepewnych nogach i ruszył ku osadzie. Najpierw poszedł do winnicy Talithy. Był wstrząśnięty – w zamierającym świetle dnia ujrzał, jak bardzo podupadła. Bracia wzniesli prowizoryczne zabezpieczenia wokół niewielkiej działki winorośli, ale reszta niegdyś rozległych i żyznych pól leżała odłogiem, porośnięta chwastami. Nie było śladu po drewnianej wieży, a na miejscu lepianki stał wielki namiot z kozłich skór.

Wędrował po osadzie, teraz opustoszałej, bo większość mieszkańców bawiła się w obozowisku. Było gorzej, niż myślał. Dom lampiarza Guriego, namiot sześciu braci tkaczy, szałas Cebulowych Sióstr, dom wrywacza zębów Enocha i akuszerki Lei, lepianka Namira i dom pszczelarza Yasapa – wszystko zniknęło. Osada wyglądała jak prowizoryczne, nędzne obozowisko, w każdej chwili gotowe do rozebrania, jak za czasów przodków.

Na widok muszlarza Parthalana niemal się załamał. Starzec mieszkał sam w szałasie z trawy i, prawie ślepy, ledwie dawał sobie radę. Rzeźbił nieliczne muszle, które przypadkiem wpadły mu w ręce. Zapłakał, widząc Awrama, i nie winił go wcale za swoje niepowodzenia.

– Życie to klątwa – powiedział. – Śmierć to błogosławieństwo.

Awram pomyślał o darach, które przyniósł dla Parthalana: były to piękne muszle, które i tak się zmarnują w drżących dłoniach ślepcy.

Czuł narastającą gorycz. Wiedział, że nic nie dzieje się bez powodu, wszystko ma swą przyczynę. Rozglądał się po zbiedniałej osadzie. To wina Yubala! Gdyby nie jego obłuda, niepotrzebne sojusze zawarte po to, by dostać Marit, może by nie umarł i dziś winnica by kwitła, podobnie jak cała osada.

Z sercem przepelnionym smutkiem Awram podążył do domu Serophii. Do Marit.

I tu zniknęła lepianka, jej ruiny widać było na obrzeżach namiotu. Marit stała w progu, dorzucając trawy do ognia, płaski chleb jęczmienny rumienił się na gorących kamieniach. Nie podniosła wzroku, ale Awram wyczuł, że kobieta zdaje sobie sprawę z jego obecności.

Pięknie się zaokrągliła. Nie była już smukła, lecz kobieca, miała kształty, które mogły wypełnić ramiona mężczyzny. Nie moje – pomyślał, i choć serce wciąż go bolało z miłości i tęsknił za jej dotykiem, wspomnienie tej ostatniej nocy – Marit w objęciach Yubala – było bardziej bolesne niż tysiące zadanych nożem ran. Nie mógłby na nią spojrzeć, nie pamiętając o zdradzie Yubala, nie mógłby dotknąć jej skóry, nie widząc ich razem nagich, splecionych w gorączkowym uścisku.

– Po co przyszedłeś? – spytała bezbarwnym głosem.

Awram nie wiedział, co powiedzieć. Myślał, że Marit ucieszy się na jego widok albo przynajmniej będzie zadowolona, że nie umarł.

Odwróciła głowę, przyglądając go kamiennym spojrzeniem. Jej twarz, wciąż krągła i piękna, była poorana zmarszczkami, kąciki ust opuszczone po wielu latach ciężkiej pracy



i rozczarowań.

– Wierzyłam, że żyjesz, Awramie. Wszyscy mówili, że na pewno zginąłeś, ale ja w głębi serca czułam, co się stało. Widziałeś nas tamtej nocy, Yubala i mnie. Obudziłeś się, ujrzałeś nas i uciekłeś. Czekałam, aż wrócisz, ale mijały dni i tygodnie. Zrozumiałam, że odszedłeś i domyśliłam się, dlaczego to zrobiłeś.

– A czy nie miałem prawa?

– Nie miałeś żadnego prawa! Zazdrość cię zaślepiła, nawet nie wiesz, co widziałeś. Wyciągnąłeś pochopne wnioski i osądziłeś nas oboje. Myślałeś, że Yubal i ja zażywamy rozkoszy.

– To właśnie widziałem.

– Awramie, czyżbyś zbyt długo wpatrywał się w księżyc? Gdybyś poczekał jeszcze chwilę, ujrzałbyś, jak wyrwam się z uścisku Yubala, i usłyszałbyś, jak on nazywa mnie imieniem twojej matki. Zobaczyłbyś, jak zawstydzony przeprosza, jak wraca na swoje posłanie, a po chwili łapie się za głowę i pada na ziemię. Dlaczego nam nie zaufałeś? Swojemu *abbie* i swojej ukochanej?

Awram zamrugął.

– Myślałem...

– No właśnie! Za dużo myślisz! – Otarła łzę z policzka.

Wpatrywał się w nią, zbyt oniemiały, by cokolwiek powiedzieć.

– Potem nie chciał mnie już żaden mężczyzna. Stałam się nietykalna, bo uznano, że jestem przeklęta i mężczyźni umierają od mojego dotyku. Nikt mnie nigdy nie przytulił.

– Dlaczego nie wyjaśniłaś, co się stało? – krzyknął.

– Jak można walczyć z plotką, Awramie? Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć, nieważne, czy to prawda, czy nie. Tak jak ty – dodała z goryczą.

– Przez te wszystkie lata... – wyszeptał – jak bardzo musiałaś mnie nienawidzić przez te wszystkie lata!

– Początkowo cię nienawidziłam. Potem czułam już tylko pogardę. Wszyscy mówili, że na pewno nie żyjesz, i modlili się za ciebie, ja wiedziałam swoje. Kto by mnie wysłuchał? Przeklętej kobiety?

– Oparła ręce na biodrach, wysunęła brodę i powiedziała zaczepnie:

– Jesteś jedynym mężczyzną, z którym żyłam. A ty, Awramie? Przez tych dziesięć lat, z iloma kobietami spałeś?

Patrzył na nią z głupią miną, i w duchu liczył te kobiety: swoje pierwsze opiekunki, potem nomadki, amatorki sercówek, kobiety myśliwych, Frida, siostrzenice Hadadezera...

Odwróciła się do niego plecami i dorzuciła trawy do ognia.

– Dziesięć zmarnowanych lat. Połowa życia już za nami, Awramie. Twoja babka dożyła późnego wieku, ale była błogosławiona. Nikt nie żyje aż tak długo. Teraz możemy jedynie liczyć na jeszcze kilka lat zdrowia, zanim staniemy się ciężarem dla naszych rodzin. Ja z pewnością nim

będę, gdyż Bogini nie zechciała obdarzyć mnie dzieckiem. Jestem jałowa, Awramie, nikt nie zasługuje na jedzenie i dach nad głową mniej niż jałowa kobieta. A teraz odejdz. Roztkliwiaj się nad sobą gdzie indziej. Tu nie znajdziesz współczucia.

Wpadł w noc, oszołomiony i zmieszany. Wielka Bogini! – krzyczał w duchu. – Co ja narobiłem?

Nogi same zaprowadziły go tam, dokąd powinien iść już dawno. Kaplica Bogini była mniejsza i skromniejsza niż lepianka, którą zapamiętał, zrobiono ją z drewna i trawy. Do jednej ze ścian przylegała chata, w której mieszkała Reina. Słyszał od braci, że ciężko się jej teraz żyło, choć pozostała kapłanką Al-Iari. Zgwałcili ją najeźdźcy, po tym doświadczeniu podobno zgorzkniała. Poza tym niebieski kamień zniknął i wielu odwróciło się od Bogini – zwłaszcza po spustoszeniu osady, pladze szarańczy i fatalnych zbiorach. Ludzie obwiniali kapłankę o błędne odczytanie znaków, Reina przestała więc otrzymywać hojne dary i ledwie wiązała koniec z końcem.

Kiedy nadszedł, mieszała w garnku kleik, dodając do niego odrobinę ziół. Teraz miała siwe włosy, starannie uczesane i zaplecione w warkocze. Nie nosiła już sukni z cienkiego płótna: jej szczupłe ciało okrywała poplamiona skóra łani. Reina wydawała się zmęczona i zrezygnowana. Awram nagle poczuł się całkiem zagubiony. Przyszedł do niej po pociechę, bo chciał, żeby jego życie znowu wróciło do normy, wyglądało jednak na to, że kapłanka jeszcze bardziej potrzebuje pokrzepienia niż on. Nie wiedział, co zrobić, więc dreptał w miejscu i czekał, aż go zauważy.

Uniosła wzrok. Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Yubal!

– Spokojnie, kapłanko – powiedział szybko. – Nie jestem Yubalem i nie jestem duchem. To ja, Awram.

– Awram. – Wzięła lampę i przysunęła ją do jego twarzy. Zauważył podkrążone oczy i zapadnięte policzki. To go zaniepokoiło. W tym miejscu pech nie omijał nawet kapłanki.

Jej oczy były pełne łez, gdy przyglądała się twarzy Awrama, jego długim splecionym włosom, brodzie, siwiźnie na skroniach. Najwyraźniej nie mogła się nacieszyć jego widokiem. Przeniosła spojrzenie na szerokie ramiona i potężną pierś, a potem znowu na twarz. Przez chwilę przyglądała się tatuażowi na czole.

– Tak, to ty, Awram. – Uśmiechnęła się. – Teraz to widzę. Jesteś bardzo podobny do Yubala! Słyszałam o przybyciu karawany, ale nikt mi nie mówił, że przyszedłeś wraz z nią. Chodź, napijemy się i powspominamy, podziękujemy Bogini za twój bezpieczny powrót.

Nie zapytała go, dlaczego odszedł, gdzie był i po co wrócił. Zupełnie jakby opuściła ją cała ciekawość. A może dziesięć lat biedy nauczyło ją brać rzeczy jakie są, bez zbędnych pytań. Nie miała wina, a piwo było rozcieńczone i zwietrzałe, ale przyjął je z wdzięcznością i usiadł obok niej przy dymiącym piecyku.

Reina upiła piwa. Zdziwił się, że nie odlała najpierw kielicha dla Bogini.

– Dobrze cię znowu widzieć, Awramie – powiedziała ciepło. – Zupełnie jakby wrócił Yubal. Wiesz, byłam w nim zakochana.

– Nie wiedziałem.

– Dobrze się z tym kryłam. Nigdy nie zaznałam z nim rozkoszy, ale nosiłam pożądanie w sercu. Bogini ukarała mnie chyba za złamanie ślubu czystości. Kiedy przybyli najeźdźcy i zgwałcili mnie, zabili całe moje pożądanie. Nauczyli mnie, że to, co się dzieje między mężczyzną a kobietą, to wcale nie rozkosz, a ból.

Spojrzał w swój drewniany kubek, na którego dnie zostało trochę mętnego piwa. Serce ścisnęło mu się w piersi.

– Tak mi przykro – wyszeptał, czując się równie pusty, jak mroźne ziemie ludu Bodolfa. – Dlaczego taki pech prześladowuje nasz lud?

Reina pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia, nie wiem nawet, kiedy to się zaczęło. Może od jakiegoś drobiazgu, może ktoś nastąpił na czyjś cień albo służąca rozbiła naczynie, albo obrażono czyjś przodka.

– Uciekłem – powiedział.

Skinęła głową ze wzrokiem utkwionym w płomieniu olejnej lampy.

– Zobaczyłem coś, co opacznie zrozumiałem, i jak tchórz...

Reina uniosła stwardniałą od ciężkiej pracy dłoń.

– Przeszłość już minęła. Przyszłość być może wcale nie nadejdzie. Musimy żyć chwilą obecną, Awramie.

– Wróciłem, by szukać wybaczenia.

– Nie mam czego ci wybaczać.

– Chodzi mi o Boginię.

Rzuciła mu niespokojne spojrzenie.

– Nie wiedziałeś? Bogini nas opuściła.

Mówiła łagodnie, bez nienawiści, jakby uszła z niej cała złość. To zaniepokoiło go bardziej, niż gdyby zaatakowała go z furią, jak Marit.

Nagle uświadomił sobie ogrom swojego występku. To nie stłuczone naczynie ani nie zde-nerwowany przodek ściągnęli pech na to miejsce. To była jego wina. Awrama, syna Chany, z rodu Talithy. To on spowodował to nieszczęście.

– Wielka Bogini – wymamrotał, gdy ujrzał przed oczami przerażający obraz: błędny osąd, kradzież kryształu, tchórzliwa ucieczka na północ.

Wydobył woreczek spod tuniki, otworzył go i wytrząsnął niebieski kamień na dłoń. Wyciągnął ją do Reiny. Światło lampy błysnęło w kamieniu, odbijając się w nim niczym tysiące gwiazd.

Kapłanka jęknęła.

– Sprowadziłeś Boginię do domu!

– Nie – zaprzeczył. – To ona mnie sprowadziła. Musisz pokazać kamień ludziom, niech wiedzą, że Bogini do nich wróciła.

Reina przez chwilę szlochała z twarzą ukrytą w dłoniach, a potem delikatnie wyjęła kamień z jego rąk, jak kruchą skorupkę jaja.

– Nie powiem im tego teraz. Są wśród nich tacy, którzy pamiętają, że kamień zniknął tej samej nocy co ty, i szybko skojarzą, że powrócił wraz z tobą. W odpowiedniej chwili odkryję przed nimi sekret w taki sposób, żeby nie padł na ciebie nawet cień podejrzenia. Zbuduję Bogini większą kaplicę, lepszą od starej. Wydam olbrzymią ucztę i oznajmię ludziom, że Al-Iari do nich wróciła.

– Myślałem, że zdobyłem mądrość, bo widziałem szeroki świat i wiele różnych ludów – powiedział Awram. – Widzę jednak, że nie ma we mnie żadnej mądrości i jestem równie głupi jak wtedy, gdy kobiety robiące różne rzeczy z piór zabrały mnie na północ. Całe to nieszczęście wydarzyło się z mojego powodu. Co mam zrobić, żeby odpokutować i sprowadzić powodzenie na swój lud?

Reina położyła rękę na jego ramieniu.

– Czy po powrocie oddałeś cześć Yubalowi? Musisz to zrobić, Awramie. Okaż mu szacunek, pomódl się do niego. Yubal był mądry. Wskaże ci drogę. I – dodała drżącym głosem – bądź błogosławiony za to, że sprowadziłeś tu ducha Bogini, ona obdarzy szczęściem swoje dzieci.

Zaczął zbierać się do wyjścia, ale przystanął w proggu.

– Marit nie ma dzieci. Możesz jej pomóc?

– Przyszła do mnie i próbowałyśmy, rok po roku. Wręczyłam jej amulety i napoje, przygotowałam modlitwy i zaklęcia. Jadła łożysko i wdychała dym. Ale krew zjawiała się miesiąc po miesiącu. – Reina przytuliła niebieski kryształ do piersi i na jej twarzy zagościł uśmiech, jak za dawnych lat. – Ale teraz jest nadzieja, Marit może jeszcze urodzi dzieci.

Awram wrócił do namiotu braci i odszukał wnękę, w której mieszkały małe posążki przodków. Yubal został tu przedstawiony jako wilk i Awram przypomniał sobie wilczy kiel, który otrzymał od *abby*.

– Przez te wszystkie dni i noce, kiedy wędrowałem na zachód, po obcych i nieprzyjaznych miejscach, myślałem, że chroni mnie duch wilka – powiedział. – Teraz wiem, że to byłeś ty, *abba*, siedłeś obok mnie, prowadziłeś bezpiecznie. – Uniósł małego wilka z kamienia i ucałował. – Przysięgam, *abba*, na twego ducha i duchy naszych przodków, że odwrócę pecha, którego sprowadziłem na nasz lud.

Miał sen, w którym Yubal do niego przemówił. *Abba* trzymał niebieski kamień Bogini.

– Musisz zbudować wały obronne. Wały i wieżę – powiedział.

- Zaraz zetnę drzewa – odparł we śnie Awram.
- Nie drzewa. Wały nie mogą być z drzewa, gdyż ono płonie.
- To z gliny i słomy. Od razu zabiorę się do pracy. Yubał pokręcił głową.
- Glina rozpułynie się w deszczu. – Wręczył niebieski kamień Awramowi. – Tak masz budować. Wały muszą być równie trwałe jak serce bogini.

Gdy Awram się obudził, wiedział już, co robić.

Po śniadaniu złożonym z chleba i piwa włożył futrzane spodnie i buty, ale nic poza tym. Zanim słońce wyłoniło się zza wschodnich szczytów, wziął osły Hadadezera i powędrował na pobliskie wzgórze. Choć niebo zasnuło się chmurami i powiał zimny wiatr, nie przerywał pracy. Gołymi rękami grzebał w ziemi i wyciągał z niej skały i kamienie tak ciężkie, że aż dyszał z wysiłku. Godzina po godzinie wydobywał je i ładował do koszy zawieszonych na grzbietach osłów, a kiedy wrócił do osady, poszedł prosto do źródła i wyładował zawartość koszy na ziemię. Nie mówiąc ani słowa zdumionym obserwatorom, zawrócił i z powrotem ruszył na wzgórze.

I tak krążył w tę i z powrotem, pracując pod szarym niebem, bez słowa zwalając kamienie nieopodal źródła, mieszkańcy osady zaś tylko go obserwowali. Pracował jeszcze dobrze po zachodzie słońca. Nie odzywał się do nikogo, wyprowadzał osły z osady i wracał z kamieniami. Towarzyszył mu tylko Pies, wiernie dreptał u boku swego pana.

Tej nocy Awram runął na posłanie całkiem wyczerpany. Spał niewiele. Zbudził się przed świtem, by nakarmić zwierzęta. Pogłaskał je i szepnął im na ucho kilka słów, po czym znów zaprowadził je na wzgórze.

Widownię miał coraz liczniejszą. Ktoś przydźwigał kadz z piwem i sprzedawał słomki. Mężczyźni zakładali się, jakie to szaleństwo planuje. Stos kamieni obok źródła rósł. Czyżby Awram zwariował?

W końcu ktoś odważył się spytać, co robi. Awram nie odpowiedział. Pracował z zaciętą determinacją, przerywał tylko po to, by opłukać w źródle dłonie, otarte i krwawiące. Nie rozmawiał nawet z braćmi. Wierzył, że dopiero gdy zbuduje mur i wieżę, winy zostaną mu odpuszczone.

Pracował do wyczerpania, nie odpoczywał, ledwie jadł, aż w końcu upadł tuż przy źródle, obok stosu kamieni.

Obserwatorzy bali się go dotknąć, myśleli, że jest opętany. Przybiegła Marit. Widząc go nieprzytomnego na ziemi, odwróciła się i syknęła:

- Nie macie dumy? Nie macie honoru? Nie pomożecie przyjacielowi?

Pojawił się Kaleb i razem przenieśli Awrama do namiotu Marit, po czym ułożyli go na posłaniu w żeńskiej części. Bracia Marit, którzy wrócili z pola jęczmienia na posiłek, z pogardą spoglądali na dawnego wroga, ale wściekłe spojrzenie siostry zamknęło im usta.

- Bierzcie swój chleb i wracajcie do pracy – powiedziała, a oni posłuchali, bo od śmierci

matki i dzieciennienia Moloka to właśnie Marit była głową rodziny.

Obmyła dłonie Awrama i posmarowała je leczniczą maścią, a potem owinęła pasami płótna. Wytarła mu twarz i ciało, roniąc łzy na jego bladą skórę. Przeklinała go, mówiła, że zbyt długo wpatrywał się w księżyc, ale był wyczerpany i całkiem siny, i wiedziała, że to demony kazały mu wykopywać kamienie na wzgórzach. Pies zwinął się u jego stóp, Marit nie miała serca wyrzucić zwierzęcia z namiotu.

Kiedy Awram się ocknął, Marit głaskała go po czole.

– Awramie, zupełnie nie rozumiem, co się stało z nami wszystkimi ani dlaczego Bogini ściągnęła na nas taki, a nie inny los. Jestem tylko prostą kobietą. Ale jedno jest pewne: moja miłość do ciebie.

Położyła się obok niego, a wyczerpany Awram wziął ją w ramiona. Już czuł, że szczęście powraca do osady. Obudziły go radosne okrzyki.

– Co się stało?

Marit czesała włosy, splatając je w warkocze. Uśmiechnęła się do Awrama. Znow wyglądała jak młoda dziewczyna.

– Reina mówi, że wróciło serce Bogini. – I z radości padła mu w ramiona.

Ledwo Awram odzyskał siły, znow przystąpił do gromadzenia kamieni na mur i wieżę. Marit wzięła dwa kosze i przyłączyła się do niego. W południe Kaleb i dwaj pozostali bracia też zaczęli nosić kamienie. Inni wciąż tylko patrzyli.

Trzeciego dnia Namir przyszedł z koszem i czterema siostrzeńcami. Wieczorem stos kamieni wyglądał imponująco.

Następnego ranka Awram ujrzał mężczyzn i chłopców przy pracy: zrzucali głązy i znow szli na wzgórze. Widok niebieskiego kamienia w piersi Bogini podniósł na duchu mieszkańców osady i podarował im nadzieję.

Awram kazał wykopać rów – miał być podstawą muru. Zajął się tym kobiety. Zakasały rąbki spódnic i zatknęły je za pas, aby wygodniej było się schylać z kijami do kopania i koszami. Rów zataczał szeroki łuk wokół źródła. Mężczyźni postanowili, że mur będzie otaczał ich nowe domostwa, powstał więc cały przemysł ceglarski, aż osada, gruntownie przebudowywana, znow tętniła życiem. Jej mieszkańcy pracowali całą zimę i wiosnę, chłopcy na drewnianych wieżach wypatrywali najeźdźców. Ułożono pierwszą warstwę kamieni.

Tymczasem Awram zatrudnił ludzi, by strzegli winnic w zamian za wino. Jego bracia doglądali winorośli, które teraz uginały się pod ciężarem owoców. Pomagali im sąsiedzi, odchwaszczali winorośl i przycinali gałęzie, nawozili ją i podlewali – wszystkim brakowało wina. Złodziei przepędzano kijami i maczugami.

Wtedy też wydarzyły się dwa cuda, na które Awram w ogóle nie był przygotowany.

Pierwszy cud nastąpił po zniknięciu Psa. Awram martwił się kilka dni, aż suka, z sierścią pełną igieł z pobliskich wzgórz, wróciła i upadła wyczerpana u jego stóp. Jakiś czas później zauważył, że rośnie jej brzuch, a kiedy potem urodziła szczenięta, wiedział już, że psy zamieszkają na stałe w Osadzie Wiecznego Źródła.

Potem przyszedł drugi cud.

– Będę miała dziecko – oświadczyła Marit z takim zdumieniem w głosie, że można by pomyśleć, iż widziała oblicze samej Bogini.

To rzeczywiście był cud, znak, że Bogini znów pobłogosławiła ludzi z osady. Tej nocy Awram kochał się z Marit jeszcze czulej niż zwykle. Niczym przezroczystry motyl trzepotała na obrzeżach jego świadomości nowa myśl, denerwująca i drażniąca, nie umiał jej jednak sformułować.

Latem przybyły kolejne warstwy muru obronnego, wewnątrz wzniesiono lepianki. Masywna wieża rosła w oczach, winnica Awrama dała piękne zbiory. Wszyscy oderwali się od innych zajęć, by wyciskać owoce w tłoczni.

Reina i Al-Iari poprowadziły procesję do świętej jaskini. Zerwał się wiatr, łagodny i kojący, pełen orzeźwiającej słodyczy. Awram przystanął, by popatrzeć na równinę, która ciągnęła się aż do martwego morza. Miał dziwne wrażenie, że czuje na sobie czyjś wonny oddech. Letni wietrzyk targał mu włosy i brodę, złociste promienie słońca padały na powierzchnię wody. Wszystko wokół wydawało się jakieś nierzeczywiste. Nagle brzęczenie owadów stało się głośniejsze, kolory bardziej wyraziste niż zwykle, zupełnie jakby przyroda usiłowała przekazać ludziom coś ważnego.

Awram zatrzymał procesję u stóp urwiska i zerknął na pogrążone w półmroku wejście do jaskini. Zdumiało go, tak jak wielu jego przodków, że grota tak bardzo przypomina macicę. Właśnie do macicy Matki Ziemi miał trafić sok z winogron, na wyłupane w skale półki, by leżeć tam w ciemności, podczas gdy Bogini dzięki swej magicznej mocy natchnie go życiem i zamieni w wino.

Awram zaglądał do jaskini, a nieuchwytna myśl powróciła: dopiero czekała na sformułowanie, była ideą na granicy poznania.

Wnieśli bukłaki do jaskini, a potem wrócili do osady i nadal pracowali przy murze i lepiankach. Awram jednak nie mógł się skupić. Pomagał mieszać słomę z gliną na cegły, nadzorował postępy przy budowie muru i wraz z innymi kładł schody na nową wieżę, ale jakaś część jego umysłu nie przestawała gonić tłącego się w głowie błędnego ognika.

Pewnego wieczoru usiadł w altance i pił piwo, a Marit rozgniatła ciecierzycę i cebulę na kolację. Popatrzył na sukę doglądającą młode. Uderzyło go coś, czego nie zauważył wcześniej: cztery szczeniaki były białe jak ich matka, ale dwa szare, jak dzikie wilki na pobliskich wzgórzach.

Awram po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, jak suka zaszła w ciążę. Pochodziła z krainy odległej od królestwa księżycy. Jej terytorium rządził renifer. Czy aż tu sięgała jego moc zapładniania stworzeń? Poza tym jak do brzucha Psa dostał się duch wilka?

Z dumą przyjrzał się Marit, teraz w zaawansowanej ciąży, i zadawał sobie pytanie: jak powstaje życie? Bodolf i jego lud wierzyli, że tworzy je duch renifera. Hadadezer czcił ducha byka. Ludzie w Osadzie Wiecznego Źródła wiedzieli, że to księżyc tworzy ludzi. Ale może istnieje większa, wszechobecna moc? Znowu pomyślał o jaskini i pozostawionym w jej płodnej ciemności soku, zmieniającym się w wino, obdarowanym „życiem” przez Boginię. Po raz kolejny nie zdołał sformułować wniosków.

Od tej pory chadzał często po łąkach i opuszczonych kanionach, sam na sam ze swoimi przemyśleniami. Nocą przewracał się z boku na bok, śniąc o Bodolfie i Eskilu, Yubalu i sobie, Hadadezerze i synach kobiet, z którymi handlarz żył przez wiele lat. Po przebudzeniu sens tych majaków natychmiast mu umykał, aż pewnego jesiennego popołudnia znów oddalił się od osady i w towarzystwie Psa dotarł do stawu. Przykucnął, spojrział w wodę i zobaczył twarz Yubała. I zrozumiał znaczenie swoich snów: młodszy mężczyźni przypominali starszych.

Tak jak dzieci Psa przypominały swoją matkę, ale również wilki na wzgórzach.

Odwiedził Namira, który z niezadowoleniem mamrotał coś nad kołczanem strzał, usiłując bez powodzenia je wyprostować. Awram ofiarował starym bukłak wina i zasiadł w cieniu.

– Widziałeś, jak robią to kozy? – Rękami wykonał odpowiedni gest.

Namir wzruszył ramionami.

– Widziałem, jak robią różne rzeczy. Biegają, bawią się i walczą, jak ludzie.

– Ale czy robiły to? – Powtórzył gest.

Namir przybliżył do oczu strzałę i popatrzył na nią z niezadowoleniem.

– Tak, chyba tak.

– Dlaczego one to robią?

– A skąd mam wiedzieć?

– Czy robi to samiec z samicą?

W końcu starzec oderwał się od pracy.

– Awramie, czyś ty przypadkiem za długo nie spoglądał w księżyc?

– Kiedy łapałeś żywe kozy, wybierałeś tylko samice?

– Jasne! Samce są bezużyteczne. Chyba że do zjedzenia.

Awram opowiedział mu o reniferach Bodolfa i bykach Hadadezera.

Namir podrapał się po głowie.

– Chcesz powiedzieć, że zwierzęta czerpią z tego rozkosz jak my? Czy kopnął cię w głowę któryś z twoich osłów?

– Kiedy polujemy, zwierzęta się płoszą. Czują nasz zapach i uciekają, nie myślą o uciekach.



Skąd mamy wiedzieć, co robią, kiedy nas nie ma?

– Co? – Namir zmarszczył nos.

– Zwierzęta w zagrodach, karmione i oszwajane, nie uciekają. Namirze, na własne oczy widziałem jak zażywają rozkoszy tak jak ludzie.

– Szaleństwo! – roześmiał się starzec, ale Awram ujrzał ciekawość w jego oczach.

Ta myśl nie dawała mu spokoju. Przypomnił sobie zagrodę reniferów i samca dosiadającego samice. Wtedy nie wiedział jeszcze, że zwierzęta też to robią. Wspominał początki swojej podróży, gdy wędrował z nomadami przez Anatolie. Rozbijali obozowiska wśród dzikich stworzeń, czasem widywał kopulujące zwierzęta. Sądził, że walczą albo się bawią. Potem pomyślał o byku Hadadezera, zadowolającym krowy. I o Psie, o tym, jak zniknęła na wzgórzach, a po powrocie urodziła półwilki, półpsy.

Czy to ten akt tworzył nowe życie? Nie duch, lecz samiec i samica, mężczyzna i kobieta? Ale jak? Przecież nie zdarzało się to za każdym razem. Lampiarz Guri lubił zażywać rozkoszy z młodymi dziewczętami, a nigdy nie zachodziły w ciążę. Najstarsza z Cebulowych Sióstr sypiała z wieloma mężczyznami i nie urodziła dziecka. Dziewczynkom i starszym kobietom nie płynie krew – pomyślał nagle.

Zakręciło mu się w głowie. Czy o to chodzi? Wszyscy wiedzieli, że to właśnie z miesięcznej krwi Bogini tworzyła niemowlęta. A jeśli ta krew przypominała sok z winogron? To była tajemnica życia: winogrona nie fermentowały na winorośli ani też sok winogronowy nie fermentował w drewnianym kubku. Winogrona były winogronami, sok sokiem. Bez interwencji Bogini nie zmieniłyby się w wino.

Ale to mężczyźni zanoszą sok z winogron do jaskini.

Awram poczuł się jak rażony piorunem. Wystawił twarz do wiatru i spoglądał w dal. Na lekko pofałdowanej nizinie otaczającej źródło widział mieszkańców osady, którzy orali nowe pola. Widział także coś, czego nie dostrzegał wcześniej: jak bruzdy w ziemi przypominają intymne miejsce kobiety. Wyobraził sobie ziarno zasiane ręką mężczyzny.

Czy mężczyźni i kobiety wspólnie tworzyli życie?

Nie – poprawił sam siebie. – To Bogini tworzy życie, tylko ona ma taką moc. Ale kształt tego nowego życia zależy od mężczyzny i kobiety.

Byłby upadł pod ciężarem tego objawienia.

Wino powstaje tak samo jak dzieci, dzięki mocy Bogini. Ale tak jak winogrona pozostawione w jaskini nie przemienia się same w święty napój, lecz wymagają wysiłku człowieka, by stać się winem, sama miesięczna krew też nie zamieni się w dziecko bez udziału mężczyzny. Ziarna rzucone bez potrzeby na nieprzygotowaną glebę rzadziej kiełkują niż te zasiane na zaoranym polu. Jaskinia, pole i kobieta: oto matki. Każda tworzy życie, ale potrzebuje do tego mężczyzny.

I wtedy uświadomił sobie coś bardzo ważnego: Marit, która od jedenastu lat nie spała

z mężczyzną, była teraz ciężarna.

Awram udał się do kaplicy po radę. Modlił się i pytał w duchu: „Czy bluźnię?”. Na widok Reiny przypomniał sobie dawne młodzieńcze chucie i to, jak pytał sam siebie, dlaczego Bogini stworzyła to dziwne pożądanie między kobietą a mężczyzną. Teraz uważał, podobnie jak w czasach burzliwej młodości, że w akcie między mężczyzną a kobietą nie chodzi tylko o rozrywkę, jak wmawiał mu Yubal.

– Bogini dała nam tę rozkosz, byśmy łatwiej zapomnieli o bólu – powiedział jego *abba* dawno temu.

Zdaniem Awrama nie miało to sensu. Zbyt często poszukiwaniu seksualnej rozkoszy towarzyszył ból, nieraz powodowało ono tragedię. Czemu zatem Bogini stworzyła ten magnetyzm między kobietą a mężczyzną?

I wtedy Bogini do niego przemówiła: „Żeby powstało nowe życie, Awramie”.

Zadrzał z przejęcia. Następne pytanie zadał ze strachem: a więc to wspólne dzieło mężczyzny i kobiety, samca i samicy? – spytał Boginię o sercu z kawałka meteorytu.

Wydawało mu się, że w odpowiedzi niebieski kryształ zaśnił i zamigotał. Awram wpatrywał się w mistyczny kamień, zajrzał głęboko w jego serce. I doznał objawienia: tam gdzie kiedyś w mlecznej esencji w sercu kryształu dostrzegał stale bijące źródło, teraz widział płyn, który wydobywał się z mężczyzny podczas aktu z kobietą. Miesięczna krew i męski płyn, razem w jaskini kobiety, umożliwiają Bogini czynienie cudu.

Nagle wszystko było tak jak trzeba. Czuł, że dotąd patrzył na świat zamglonymi oczami, a teraz jego wzrok się wyostrzył. Wszystko miało sens, cały ten cud. Był wszędzie: ptaki wspólnie budowały gniazda, by składać jaja i karmić młode; ryby pływały w potokach, samice składały jaja, samce przepływały nad nimi i błogosławiły je swoją życiodajną esencją. Czuł związek z całym rodzajem ludzkim i z całą naturą, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył. Nie był już obserwatorem tworzenia, lecz jego nieodłączną częścią. Przypomniał sobie, co kiedyś powiedziała Marit o ogniwie w długim łańcuchu. Teraz i on stanowił część tego łańcucha, bez której następne ogniwa nie łączyłyby się z poprzednimi. Marit była w ciąży – nosiła jego potomka.

Miał wrażenie, że otworzyły się niebiosy. Od wczesnej młodości Awram zastanawiał się nad życiem i chciał zgłębiać tajemnice przyrody. Gdy teraz rozglądał się wokół siebie, wszystko nabrało sensu, wszystko zrozumiał.

Poszedł prosto do namiotu. Padł na ziemię przed posążkami przedstawiającymi przodków i przemówił do Yubala z głębi serca i duszy. Wyznał mu miłość i oddał cześć, roniąc łzy ulgi i radości, gdy nazywał go *abbą*, nadając nowe znaczenie temu słowu. Bo choć zawsze oznaczało „pana” i „gospodarza”, teraz znaczyło także „ojciec”.

Awram nie podzielił się z nikim swoim odkryciem. Był pewien, że ludzie wybuchnąliby

śmiechem i orzekli, że zbyt długo wpatrywał się w księżyc. W sekrecie doradził jednak Namirowi, by złapał także kozły, gdy następnym razem zaczai się na stado, a lampiarzowi Guriemu powiedział, że plan hodowli świń wcale nie jest szalony. Tylko Marit wyjawiał cudowną nowinę, a ona przyjęła ją, bo były to słowa Bogini. Awram wiedział, że kiedy ludzie zaczną hodować osły i psy, kozy i świnie, z czasem poczynią takie same obserwacje i dojdą do identycznych wniosków.

Wreszcie mur został ukończony.

Wszyscy zebrali się, by poświęcić nową wieżę, którą postanowili nazwać Jerycho, czyli błogosławiona przez księżyc. Awram wszedł po nowych kamiennych schodach, niemal równo dwadzieścia lat po tym, jak wspinał się po drewnianych szczeblach na wieżę swojego ojca w winnicy, tamtego brzemiennego w skutki dnia. Wtedy był gołowąsem, niepewnym przyszłości i bez wytyczonego celu, usiłującym zrozumieć otaczający go świat. Teraz stał się mężczyzną, przekonanym o własnej wartości i świadomym swojej roli w procesie tworzenia życia. Bez strachu stawiał stopy na kamiennych schodach.

Wśród dumnych obserwatorów była Marit, z dzieckiem na biodrze, dorodnym trzynastomiesięcznym chłopczykiem. Obok stała suka, znów z dużym brzuchem, otoczona nowym pokoleniem szczeniaków. Awram widział, jak pierwsze dzieci Psa dorastają, a potem dokazują, bawią się i parzą. Następne sukizaszły w ciążę, już trzecie pokolenie udomowionych psów miało zamieszkać w osadzie. Namir uśmiechał się w słońcu. Był teraz tłustym, bogatym i bardzo dumnym właścicielem wciąż rosnącego stada kóz – posłuchał rady Awrama. Lampiarz Guri znów eksperymentował ze świniami, a Cebulowe Siostry zbudowały na swoim skrawku ziemi zagrodę dla kaczek, odkrywając, jak poprzednio Awram, że w przyrodzie panuje większa harmonia niż się człowiekowi wydaje, cudowna wzajemna zależność, przypominająca piękną, lśniąca pajęczynę, ze zwierzętami, duchami i ludźmi złączonymi świętym przymierzem.

Awram dotarł na szczyt wieży, a potem wyłonił się w słońcu. Tłum zaczął wiwatować. Mieszkańcy Jerycha patrzyli z dumą na swoje dzieło. Czuli się bezpieczni, bo nigdzie na świecie nie było takich murów, zdolnych powstrzymać każdego wroga. Słuchając z radością ogłuszających krzyków, w zgodzie ze sobą, zmazawszy dawne grzechy, Awram pozwolił swym myślom pobiec daleko na północ, aż do Ludu Renifera – do Fridy i dziecka, które nosiła w brzuchu, gdy odchodził. Jego dziecka.

Awram zostawił swoją krew na zamrożonej północy, krew rodu Talithy, krew Yubala, a inni, daleko stąd, przekazywali ją sobie z pokolenia na pokolenie.

## Przejście

Awram nigdy nie zrozumiał, dlaczego to właśnie on poznał tajemnicę ojcostwa. Bogini miała

jednak swoje powody, by mu ją przekazać, i przez resztę życia dziękował jej dniem i nocą, a jego modły pełne były uwielbienia dla Matki Wszechrzeczy. Z czasem, choć nie za życia Awrama ani jego synów i wnuków, do Matki Wszechrzeczy dołączył Ojciec Wszechrzeczy, aż – w nie tak znów odległej przyszłości – Ojciec całkowicie zastąpił Matkę.

Jerycho rozkwitało. Awram i Marit doczekali się następnych synów, stado Namira rosło, potomstwo Psa rozmnażało się nieustannie, Guri porzucił wyrób lamp i został bogatym hodowcą świń. Siano więcej zbóż, bawełny i lnu, udomowiono zwierzęta i ptactwo i hodowano je dla mleka, wełny oraz jaj. Ludzie zaczęli składać ofiary Bogini. Jej kaplica się rozrosła, przybyło kapłanek. Mijały wieki, mur już nie przypominał tego, który zbudował Awram – przez lata mury Jerycha wielokrotnie burzono i trzeba je było odbudowywać.

W mieście rozwijało się tkactwo, poznano alfabet i pismo. Dwa tysiące lat po tym, jak Awram i Marit dołączyli do swoich przodków, mężczyzna imieniem Azizu siedział przy kole garncarskim i niechcący je przewrócił. Kiedy patrzył, jak się odtacza, przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Po wielu próbach i porażkach zdołał umieścić dwa koła na osi, a na wierzchu wózek. Dzięki temu mógł przewozić dziesięć razy więcej naczyń niż wcześniej. Natchnienie przypisał wizycie w kaplicy Bogini, gdzie ucałował na szczęście jej niebieskie serce. Cztery tysiące lat po tym, jak Hadadezer olśnił Awrama bryłkami miedzi wyciągniętymi z dna strumienia, ludzie wydobywali miedź i cynę, topili je razem i tak powstawał brąz. Tysiąc lat później odkryli żelazo, a gdy nauczyli się je wykorzystywać, świat zmienił się na zawsze.

Liczba ludzi rosła, osady zmieniały się w wioski, wioski w miasta. Na czele tłumów stawali przywódcy, królowie i królowe, i zarządzili ludem. Al-Iari miała coraz większą moc, jej domek zamienił się w tabernakulum, a potem w świątynię pełną kapłanów i kapłanek. Jej lud nazywał siebie Kananejczykami, wędrowcy z Babilonu i Sumeru uważali Boginię za swoją ukochaną Isztar lub Inanę. Wraz z Baalem czczono ją jako boginię płodności i choć jej oblicze zmieniało się przez lata, podobnie jak posąg, wciąż miała w sercu niebieski kryształ.

I tak trwała, chroniona i podziwiana, przez tysiące pokoleń od czasów Laliari i Zanta, aż przybyli najeźdźcy z doliny Nilu. Na ich czele stał okrutny faraon-zdobywca Amenhotep, który sprowadził na swoje ziemie nie tylko niewolników, ale i ich bogów i boginie. Wśród nich znalazła się Bogini Jerycha. Trafiła do kaplicy pomniejszej egipskiej bogini, gdzie kryształowe serce zwróciło na siebie uwagę pewnej królowej-cudzołożnicy.

Kiedy królowa spoczęła w grobowcu okazałym ponad wszelką miarę (króla, który ją otruł, ogarnęły wyrzuty sumienia), niebieski kryształ pochowano razem z nią. Spał w ciemnym, dusznym świecie, anonimowy i zapomniany. Tysiąc lat później rabusie, pijani, cuchnący moczem i zawszeni, wdarli się do grobowca i wydobyli niebieski kamień. Kropla meteorytu o barwie ciemnego nieba przechodziła z rąk do rąk, kupowana, sprzedawana, kradziona, zdobywana i przegrywana, aż wylądowała w Aleksandrii, u ważnego rzymskiego urzędnika, który kazał osa-

dzić kamień w pięknym złotym naszyjniku, prezencie dla żony.

Miała to być kara.

Księga czwarta  
Rzym  
64 rok po narodzeniu Chrystusa

Pani Amelia modliła się żarliwie o zdrowie dziecka.

Domowa kapliczka mieściła kilka rzymskich bóstw, pani Amelia wybrała najpotężniejsze z panteonu. Skoro jednak okoliczności wymagały wstawiennictwa bogini gotowej wysłuchać prośb matki, pani Amelia zdecydowała się na tę, która poczęła dziecko bez mężczyzny i nazywana była Błogosławioną Dziewicą. Znała ona cierpienie – jej syna powiesili na drzewie, by umarł, a on wstąpił do świata umarłych i zmartwychwstał. I właśnie do tej współczującej matki, Królowej Niebios, pani Amelia wznosiła modły.

– Proszę, niech dziecko urodzi się bez skazy lub wady. Niech mąż mojej córki przyjmie je do rodziny.

Jej szept zamarł w porannej ciszy. Zamarł, bo nie kryła się za nim wiara. Ta modlitwa była tylko pustymi słowami skierowanymi do kawałka marmuru. Pani Amelia udawała pobożność, bo tego od niej oczekiwano; jako przykładna rzymska matrona zawsze postępowała właściwie, dbała o pozory. W jej sercu jednak nie było wiary. Jak mogłaby wierzyć w jakąkolwiek boginię, skoro mężczyźni mieli prawo pozbywać się dzieci?

Gdy skończyła modlitwę, przeżegnała się, dotykając ramion, czoła i piersi; kiedyś wierzyła w Hermesa, dawnego boga zbawiciela znanego jako Słowo Stało się Ciałem. Czyniła znak krzyża od wielu lat, z przyzwyczajenia. Nie wierzyła już jednak w jego moc. Pamiętała czasy, kiedy modlitwy niosły pociechę, kiedy bogowie nieśli pociechę. Teraz bogowie zniknęli, świat przestał być przyjazny.

Krzyki wypełniły cały dom, odbijając się od ścian, kolumn i posągów. Córka Amelii rodziła już półtora dnia, bezradne akuszerki powoli traciły nadzieję na szczęśliwe rozwiązanie.

Pani Amelia odwróciła się od Błogosławionej Dziewicy Junony, matki boga-zbawiciela Marsa, i przeszła wzdłuż ocienionej kolumnady, która otaczała wewnętrzny ogród domu. Fontanna szumiała wesoło w ten ciepły wiosenny dzień. Pani Amelia nie zamierzała odwiedzać kaplicy przodków. Nie modliła się do nich od lat. Bez bogów nie istniało życie pozagrobowe, a skoro tak – nie istnieli też przodkowie.

Prześliznęła się cicho przez atrium, gdzie młodzi ludzie grali w kości, śmiejąc się bez troski, obojętni na krzyki przeszywające poranną ciszę. Byli to trzej synowie i dwaj zięciowie Amelii, a także bliscy przyjaciele młodzieńca, którego dziecko usiłowało przyjść na świat. Mijając próg, ujrzała męża córki, młodego człowieka, który wygodnie rozparty popijał wino i zabawiał się kośćmi, jakby nic innego go nie obchodziło.

Może i nie obchodzi, pomyślała z nietypową dla siebie goryczą. Dzieci były wyłącznym pro-

blemem kobiet.

Przez głowę Amelii przeleciała myśl, szybka i czarna jak kruk: „My, kobiety, nosimy dzieci w swoim łonie, karmimy je swym oddechem i krwią, nasze serca tłoczą w nie życie, i przez dziewięć miesięcy dziecko i matka tworzą jedność. Potem nadchodzi ból porodowy, rozdarcie ciała i upływ krwi, katusze związane z wydaniem nowego życia na świat. Ty, młody ojciec, nie znasz bólu ani krwi. Chwila rozkoszy, a dziewięć miesięcy później pijesz wino, rzucasz kości i decydujesz o losie nowo narodzonego”.

Amelia poczuła niechęć, nie tylko do zięcia, ale do wszystkich mężczyzn, którzy decydują o życiu i śmierci tak bez troski, jakby rzucali kości. Nie zawsze tak myślała. Żona potężnego i czcigodnego Korneliusza Gajusza Witeliusza niegdyś wierzyła w bogów i uważała, że życie jest dobre, a mężczyźni szlachetni. Cała jednak radość i wiara zniknęły w dniu, w którym śmierć zatriumfowała nad życiem.

W dniu podobnym do dzisiejszego.

Nagle na jej drodze stanął starzec. Był to augur, którego zatrudniła do odczytywania znaków. Staremu Grekowi wiodło się świetnie, Rzymianie bowiem byli przesądni, we wszystkim doszukiwali się wróżb i przepowiedni, przypisywali znaczenie każdej chmurze i piorunowi. Rzymianin nie rozpoczął dnia, nie ustalwszy przedtem, czy jest to odpowiednia pora na prowadzenie interesów, małżeństwo albo przyrządzenie sosu rybnego. Ze wszystkich wróżebnych znaków, od drobnych kostek po liście herbaty, najważniejszy był lot ptaków.

– Odczytałem wróżby, pani – zaczął augur. – Widzę mężczyznę. Ma rozłożone ramiona, gotowe cię przyjąć.

– Mnie? Z pewnością masz na myśli moją córkę. Albo jej dziecko.

– Znaki były jasne. W twoim życiu, pani, pojawi się mężczyzna, wyciąga ręce na powitanie.

Jedynym mężczyzną, który przyszedł Amelii do głowy, był jej mąż Korneliusz; lada dzień miał powrócić z Egiptu. Na pewno jednak nie chodziło o niego. Od lat nie witał jej z otwartymi ramionami.

– Co ptaki mówią o mojej córce?

Jasnowidz wzruszył ramionami i wyciągnął dłoń po zapłatę.

– Nic o niej nie mówią, pani, tylko o tobie.

Amelia wręczyła starcowi złotą monetę i ruszyła wzdłuż kolumnady do sypialni, gdzie jej córka miała wydać na świat nowe życie.

Pani Amelia podjęła wszelkie możliwe środki ostrożności, żeby pierwsza ciąża jej najmłodszej córki przebiegała pomyślnie. Gdy tylko Kornelia oświadczyła, że jest brzemienna, matka uparła się, żeby dziewczyna zamieszkała na czas ciąży w wiejskiej posiadłości, gdzie rodzina patrycjusza Witeliusza od wielu pokoleń produkowała wino i uprawiała drzewa oliwne. Amelia wolała ich miejski dom, ale przed każdym wyjazdem, jak choćby teraz do Egiptu, Korneliusz

nalegał, by domownicy przynosili się na wieś. Tylko Amelia znała powód tych nalegań. Tylko ona wiedziała, że to za karę.

Weszła do sypialni pełnej akuszerki i ich pomocnic oraz ciotek i kuzynek Kornelii. Były tu także starsza siostra dziewczyny, jej dwie szwagierki i astrolog, który siedział w kącie z tablicami i przyrządami, gotów zapisać moment narodzin dziecka. Zgodnie z wielowiekową tradycją arystokratycznych rodzin, córka otrzymywała imię po ojcu, podobnie jak najstarszy syn, co czasem prowadziło do nieporozumień. Amelia chciała dać córce swoje imię, ale nie było to możliwe.

Współczuła Kornelii. Dziewczyna miała tyle samo lat – siedemnaście – ile ona, gdy rodziła najstarsze dziecko, syna. Gdyby przeżył, liczyłby sobie teraz dwadzieścia sześć lat. Druga ciąża Amelii skończyła się poronieniem, ale trzecia, gdy miała dwadzieścia jeden lat, dała jej najstarszego syna Korneliusza, obecnie dwudziestodwuletniego studenta prawa, który zamierzał pójść w ślady znakomitego ojca. Potem Amelia zachodziła w ciążę jeszcze siedem razy. Dwadzieścia lat temu urodziła bliźniaki, potem Kornelię; dwoje dzieci zmarło w niemowlęctwie. Gajusz miał teraz trzynaście lat. Następnie znów poroniła. Ostatni raz była brzemienna sześć lat temu, gdy miała trzydzieści siedem lat. Właśnie to wydarzenie na zawsze zmieniło jej życie.

Podeszła do łóżka Kornelii i, spoglądając na nią ze współczuciem i troską, położyła dłoń na rozpalonym czole córki. Szczerze żałowała, że nie może wziąć na siebie jej cierpienia.

Młoda kobieta odtrąciła dłoń matki.

– Gdzie tata? – spytała płacząco. – Chcę do taty.

Amelia poczuła ukłucie bólu. Kornelia zgodziła się zamieszkać w wiejskiej willi nie dlatego, że chciała przebywać z matką, tylko żeby być na miejscu, kiedy ojciec wróci z Egiptu.

– Posłałam wiadomość do Ostii – wyjaśniła. – Gdy tylko przybędzie statek, twój ojciec dowie się o wszystkim.

Kornelia odwróciła głowę i wyciągnęła ręce do siostry i szwagierek. Młode kobiety tłoczyły się wokół łóżka, aż wypchnęły Amelię ze swego kręgu. Nie protestowała. Wypchnięto ją z rodzinnego kręgu wiele lat wcześniej, kiedy pogrążona w smutku popełniła niewybaczalny czyn. Małe dziewczynki, które niegdyś ją uwielbiały i chodziły za nią jak psiaki, odwróciły się plecami do kobiety niewartej ich miłości.

Tak! – chciała krzyknąć, jak wiele razy w ciągu ostatnich sześciu lat. – Cudzołożyłam. Szukałam pociechy w ramionach innego mężczyzny. Ale nie potrzebowałam rozkoszy ani miłości – poszłam do niego z żalu, bo moje dziecko urodziło się chrome, a mój mąż je wyrzucił!

Nie krzyknęła jednak, nigdy nie krzyczała – nikogo nie obchodziło, dlaczego Amelia zdradziła męża, liczył się fakt – i zacisnęła dłonie, obserwując akuszerkę przy pracy. Kobieta nawilżyła kanał rodny Kornelii gęsim smalcem, a kiedy dziecko wciąż nie wychodziło, wyciągnęła z torby długie białe piórko, weszła na łóżko, usiadła okrakiem na rodzącej i polaskotała nos Kornelii, prowokując ją do kichnięcia.



Pani Amelia zamknęła oczy, gdy w jej głowie pojawiło się bolesne wspomnienie. Myślała o ostatnim dziecku, tym, które Korneliusz kilka minut po porodzie kazał wynieść na stertę śmieci i tam zostawić. Amelia nigdy nie widziała maleństwa. Z jej łona trafiło prosto do męża, on zaś tylko rzucił okiem na zdeformowaną stopę i oznajmił, że nie uznaje tego dziecka. Amelia całymi latami usiłowała zrozumieć, co złego zrobiła, bo wina z pewnością leżała po jej stronie. Jak inaczej wytłumaczyć kalectwo dziecka? Z sercem przepełnionym żalem wielokrotnie przeżywała ciężę w myślach, miesiąc po miesiącu, usiłując wychwycić jeden błąd, jedną pomyłkę, przyczynę deformacji. W końcu przypomniawszy sobie dzień, w którym postanowiła odpocząć w ogrodzie ich miejskiego domu. Czytając poezje, nie poczuła, jak motyl przysiadł jej na stopie. Ujrzała go dopiero, gdy zerknęła w dół, ale tak ją zafascynowały jego piękno i bliskość, i zupełny brak strachu – siedział tam, wspaniałą w blasku słońca, trzepocząc cienkimi skrzydełkami – że go nie przepędziła. Nie wiedziała, ile czasu to trwało, ale z pewnością dość długo, żeby zostawić ślad na dziecku, które właśnie nabierało kształtu w macicy, bo trzy miesiące później urodziło się z wykręconą stopą, przez co wylądowało na stercie odpadków.

Dlatego właśnie pani Amelia tak się troszczyła o córkę w ostatnich miesiącach, kilka razy dziennie odczytywała auspicje, czyli wróżby z lotu ptaków, tropiła znaki, pilnowała, by nie łamać żadnych tabu ani nie sprowadzać do domu pecha. Kiedy w ogrodzie pojawił się czarny kot, natychmiast został zabity. Biały kot trafił jednak do domu i był rozpieszczany, by przyniósł szczęście. Pani Amelia nie zniósłaby, gdyby córka musiała przejść przez męczarnie, które przeżyła ona sama po urodzeniu ostatniego dziecka.

Piórko nie pomogło. Akuszerka znowu poszperała w torbie i wyciągnęła miarkę pieprzu, który wytrząsnęła na dłoń. Podstawiła ją pod nos Kornelii, mówiąc:

– Nabierz powietrza w płuca.

Dziewczyna kichnęła tak mocno, że dziecko wreszcie się ruszyło.

– Jest główka! – wykrzyknęła pomocnica akuszerki.

Po chwili noworodek wyśliznął się na koc. Akuszerka podwiązała i przecięła pępowinę, pani Amelia zaś niepewnie stała obok łóżka.

– Czy to chłopiec? – spytała Kornelia bez tchu. – Czy nic mu nie jest?

Amelia milczała. Dziecko się narodziło, teraz kobiety nie miały już nic do powiedzenia. Wszystko zależało od męża jej córki. Jeśli odrzuci potomka, najlepiej żeby Kornelia wiedziała o nim jak najmniej, bo trafi on na stertę odpadków i pozostanie tam, aż umrze z głodu i zimna.

Pani Amelia wyjęła owinięte w koc dziecko z rąk akuszerki i, delikatnie je kołysząc, pośpiesznie wyszła z pokoju. Usłyszała jeszcze, jak Kornelia pyta akuszerkę o płeć dziecka. Nauczona doświadczeniem kobieta milczała. Im mniej matka wiedziała o dziecku, tym lepiej, na wszelki wypadek.

Pani Amelia weszła do atrium. Zgromadzeni tam młodzi mężczyźni – jej najstarszy syn Kor-

neliusz, który już miał dwoje własnych dzieci; drugi syn, bliźniaczy brat córki Amelii, i jej młody mąż; najmłodszy Gajusz; kuzyni i liczni przyjaciele; i w końcu mąż Kornelii – zauważyli ją od razu. Ten ostatni wyprostował się z dumą, świadom powagi sytuacji.

Położyła dziecko u jego stóp i zrobiła krok do tyłu. Wszyscy zamarli w bezruchu, wstrzymali oddech, gdy młody mężczyzna pochylił się, by rozłożyć koc i sprawdzić płeć dziecka. Zdrową dziewczynkę uznałby za swoje dziecko i kazał niewolnicom zanieść je do mamki, jak nakazywał obyczaj. Chłopca bez wad powinien podnieść i uznać za syna w obecności rodziny i przyjaciół.

Czas mijał. Amelii było słabo ze strachu. Sześć lat wcześniej Korneliusz rozchylił koc, ujrzał, że dziecko jest dziewczynką i ma zdeformowaną nóżkę. Odwrócił się. Gniewnym gestem nakazał niewolnikowi zabrać noworodka jak niepotrzebny śmieć. A Kornelia, zaledwie jedena-stoletnia, wpadła do sypialni, krzycząc: „Mamo, tata kazał wyrzucić dziecko! Czy było potwo-rem?”.

A teraz to ona czekała na wyrok.

Noworodek był chłopcem, zdrowiutkim, bez żadnych wad. Młody ojciec uśmiechnął się i podniósł dziecko z podłogi.

– Mam syna! – wykrzyknął, a zgromadzeni wzniesli radosne okrzyki i ruszyli z gratulacjami.

Pani Ameliaomal nie zemdląła z ulgi. Kiedy jednak już miała pośpieszyć do córki z dobrą nowiną, na zewnątrz wybuchło jakieś poruszenie. Filo, najważniejszy sługa w domu, stanął w drzwiach, ściskając drewnianą laskę, i oświadczył z godnością:

– Pan wrócił.

Amelia zakryła dłonią usta. Na to nie była przygotowana!

Nie od razu wyszła na powitanie Korneliusza, ukryta w cieniu patrzyła, jak niewolnicy bie-gną witać pana winem i jadłem, zdejmują mu togę, krzątają się wokół niego z przejęciem: pod nieobecność Korneliusza życie na wsi było przeraźliwie nudne. Przyjmował ich pochlebstwa z wdziękiem króla. W wieku czterdziestu sześciu lat był dorodny i przystojny, jedynie z cieniem siwizny na skroniach. Amelia pamiętała, że kiedyś darzyła go uczuciem.

Było to, zanim jeszcze odkryła jego zimne, bezlitosne serce. Dowiedział się od przyjaciół o jej przelotnym romansie z wędrownym poetą. Błagała o wybaczenie, tłumaczyła, że zrobiła to z rozpaczypo stracie dziecka, a poeta nucił słowa, które tak pragnęła usłyszeć. Korneliusz oświadczył jednak, że nigdy jej nie wybaczy, i wszystko się zmieniło.

W milczeniu podążyła za nim wprost do sypialni młodej matki, gdzie pogratulował zięciowi i wziął noworodka od mamki, żeby się nim pozachwycać. Potem przysiadł na łóżku i pochylił się nad Kornelią. Była jego ulubienicą. W towarzystwie tych dwojga Amelia zawsze czuła się opuszczona. Jakie tajemnice powierzał jej teraz?

Nagle do komnaty wpadł mały chłopiec z okrzykiem:

– Tata! Tata!

Był to Lucjusz, pulchny, rozpieszczony dziewięciolatek, w towarzystwie starego ogara o imieniu Fido – „wierny”; tak zresztą nazywała się większość psów w Rzymie. Równie dobrze mogłoby być to imię chłopca, tak bardzo podziwiał ojca i wszędzie za nim chodził. Amelia patrzyła, jak Korneliusz z miłością ściska dziecko. Lucjusz był ich synem jedynie z mocy prawa. Mąż adoptował trzylatka, dziecko dalekich kuzynów, gdy zmarli rodzice malca. Ona usiłowała go pokochać, ale nie miała do niego serca. Nie była to wina Lucjusza. Amelia nie potrafiła zapomnieć o tym, że Korneliusz przygarnął obce dziecko, a odrzucił własne.

Amelia miała trzydzieści siedem lat, gdy poczęła ostatnie dziecko. Już zauważyła w swoim ciele zmiany, świadczące o tym, że jej płodność wkrótce przeminie. I dlatego, że była to ostatnia ciąża, Amelia pokochała nowe życie w swoim łonie bardziej niż poprzednie. To maleństwo miało stać się towarzyszem jej późnych lat, gdy inne dorosną i odejdą, miało być dzieckiem wyjątkowym, któremu dojrzała matka podaruje całą swą uwagę i mądrość.

A Korneliusz je wyrzucił.

Amelia powtarzała sobie, że powinna być wdzięczna: pięcioro żyjących potomków na dzieśnięć ciąży dowodziło przychylności bogów. Rzymskim dzieciom nawet nie nadawano imion przed pierwszymi urodzinami, gdyż masowo umierały. Czy to ostatnie, tak drogie, przeżyło na śmietniku? Czy gdzieś w Rzymie mieszka sierota z chromą nóżką? Ludzie, którzy przetrząsali wysypiska w poszukiwaniu potłuczonych garnków albo lamp, fragmentów papirusów lub ubrań, czasem brali żywe niemowlęta. Nie robili tego ze współczucia, ale dla zysku: małe dziecko wymagało minimalnej opieki i niewiele jadło, a jeśli dożyło trzecich lub czwartych urodzin, sprzedawano je na targu niewolników. Przy odrobinie szczęścia dziewczynka mogłaby trafić na służbę do dobrego pana. Bardziej prawdopodobne, że czekałaby ją ciężka praca, a jeśli mała byłaby ładna, służyłaby seksualnej rozrywce.

Patrząc na rodzinną sielankę oczami obcej osoby – wiedziała, że taka bliskość nigdy nie stanie się jej udziałem, choć była żoną i matką – Amelia poszła udzielić kucharzowi wskazówek dotyczących wieczornego posiłku. Poranne napięcie minęło, dom tętnił życiem. Szykowano ucztę na cześć nowego członka rodziny, ponadto pojawiła się podniecająca perspektywa powrotu do miasta.

Gdy Amelia oglądała świeżą dziczyznę i rozmawiała z kucharzem o sosach, ku jej wielkiemu zdumieniu Filo oznajmił, że mąż pragnie się z nią widzieć. Amelia nie ufała słudze. Czuła, że pod jego sennymi powiekami kryje się żywy intelekt. Podejrzewała, że Filo ją szpieguje i donosi o wszystkim Korneliuszowi.

Nie od razu poszła do prywatnych komnat męża, najpierw odwiedziła własny pokój, by sprawdzić włosy, suknię i użyć pachnidła. Nagle poczuła zdenerwowanie. Dlaczego po nią posłał? Amelia i jej mąż rzadko ze sobą rozmawiali, nawet po siedmiomiesięcznej rozłące.

Korneliusz Witeliusz, jeden z najpopularniejszych prawników i ulubieniec tłumów, pojechał

do Egiptu doglądać rodzinnych interesów. Był właścicielem kopalni miedzi na Sycylii, floty łośdzi transportowych i pól w Egipcie, Amelia zaś miała kilka domów czynszowych w sercu Rzymu.

Siedział przy małym biurku. Dopiero co powrócił z długiej podróży, a już zajął się korespondencją i nadrabianiem zaległości. Czekwała cierpliwie, wreszcie chrząknęła.

– Jak tam Egipt, mój panie? – ośmieliła się zapytać.

– Egipsko – odparł lekceważąco.

Amelia żałowała, że nie towarzyszyła mu w podróży. Od dzieciństwa pragnęła zwiedzić ruiny w Egipcie, ale, rzecz jasna, teraz nie miała na to szans. Czekając, aż mąż wyjawi, dlaczego ją wezwał, gorączkowo przebiegała myślą ostatnie siedem miesięcy. Czy choćby w najmniejszym stopniu pogwałciła zasady, które jej narzucił? Nic nie przychodziło jej do głowy. Korneliusz mógł potraktować najniewinniejsze słowo albo gest jako przejaw buntu. Co zamierzał zrobić jej tym razem? Zostawić ją na wsi i wrócić do Rzymu? Wątpiła, czy zniesie dłuższy pobyt na tym odludziu.

Karał ją zawsze bardzo subtelnie. Nigdy nie pozwalał żonie z niczego się wytłumaczyć. Osądzał ją i uważał sprawę za zamkniętą. Próbowwała go prosić: „Pozwól mi wyjaśnić, dlaczego to zrobiłam”, ale nie chciał słuchać. Korneliusz o nic nie pytał. Nie podnosił głosu ani jej nie wyzywał. Amelia często myślała, że gdyby stracił panowanie nad sobą, ukryty potwór wydostałby się na światło dzienne i może opuściłby ich na zawsze. Ale Korneliusz zamykał każdą furtkę, pilnował, żeby bezimienne widmo nie uciekło, żeby nadal żyło między nimi i tortuowało ją.

Amelia nie zamierzała go zdradzić. Czuła się niepokieszona po stracie dziecka. Romans trwał zaledwie tydzień, ale to wystarczyło. Zamiast jednak rozwieść się z żoną i ją przepędzić, do czego miał pełne prawo, Korneliusz pozostał jej mężem. Wtedy myślała, że jej przebaczył. W rzeczywistości było odwrotnie.

Obecnie całkowicie kontrolował jej życie, a co pewien czas, w ramach nieustającej kary, wysyłał ją na wieś. Amelia kochała miasto, tu byli wszyscy jej przyjaciele, ulubione księgarnie i teatry. Na wsi myślała o Julii, córce Augusta, którą zesłano na wyspę Pandatarie, nagą wulkaniczną skałą na oceanie, tak niewielką, że dało się ją przemierzyć wszcz i wzdłuż w niespełna godzinę. Julii nie pozwolono pić wina, jeść ulubionych potraw, trzymać psów, zażywać rozrywek ani kontaktować się z ludźmi – żadnych luksusów. Zanim umarła, przez wiele lat nie widziała żywej duszy poza starcem, który przywoził jej ryby. Taki los czekał niewierne żony, których nie uśmiercono za ich występki.

Korneliusz jednak wybrał powolniejszą i dotkliwszą karę. Zamiast skazać żonę na wygnanie, trzymał Amelię przy sobie, żeby ją bezustannie poniżyć, odbierać jej wiarę w siebie i dumę. W ogrodzie znajdował się posąg bogini, który, smagany wiatrem i deszczem, z każdym rokiem robił się coraz mniejszy, coraz bardziej zniszczony. Dawniej był to piękny, misternie wyrzeźbio-

ny doskonały posąg, teraz jednak nos, policzki i broda bogini się starły, a twarz tak się zdeformowała, że nie sposób było rozpoznać jej rysów. Tak właśnie Amelia postrzegała siebie: była posągiem wystawionym na niszczycielski żywioł humorów męża. I, jak posąg, nie mogła uciec. Bała się, że niedługo nawet ona nie będzie wiedziała, kim jest.

Korneliusz w końcu wstał od biurka i wyciągnął do niej małą szkatułkę z hebanu.

– Co to takiego? – Wpatrywała się w pudełeczko.

– Weź.

Czyżby przywiózł jej dar? W sercu Amelii rozbłysła nadzieja. Czy te miesiące w Egipcie, z dala od domu, pozwoliły mu przemyśleć pewne sprawy? Pomyślała o przepowiedni augura, o mężczyźnie witającym ją z otwartymi ramionami, i w podnieceniu zaczęła się zastanawiać, czy w końcu Korneliusz jej przebaczył.

Westchnęła, gdy otworzyła szkatułkę i ujrzała jej zawartość: najpiękniejszy naszyjnik, jaki kiedykolwiek widziała.

Kręciło się jej w głowie z radości i nadziei. Ostrożnie wyjęła złoty łańcuch i uniosła go do światła. W pięknie obrobionym złocie tkwił oszałamiający niebieski kamień, owalny i gładki, o barwie nieba, tęczy i jeziora. Kiedy zapięła naszyjnik, Korneliusz powiedział:

– Według legendy znaleziono go w grobowcu egipskiej królowej, która zdradzała męża i zapłaciła za to głową.

Radość i nadzieja prysły.

Nagle ujrzała swoje życie: była kobietą, której nie potrzebowały dzieci, której mąż był zimny i okrutny, którą nieliczne przyjaciółki obgadywały za plecami. Nieznośna sytuacja. Nie mogła jednak odejść – prawo dawało Korneliuszowi całkowitą władzę nad żoną. Poza tym postąpiła źle. Zasłużyła na karę.

Amelia przebudziła się zniemacka.

Zza otwartych okien dobiegał nieustający zgiełk miasta. Pojazdy kołowe nie mogły jeździć po ulicach w dzień, nocami więc zawsze słychać było stukot kopyt i skrzypienie wozów. Ale to nie odgłosy miasta ją przebudziły.

– Jest tu kto? – wyszeptała w ciemność.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, nadal leżała nieruchomo, wstrzymując oddech. Była pewna, że wyczuwa w pokoju czyjąś obecność.

– Korneliuszu? – powiedziała głośno, wiedząc, że to nie on.

Nagle przeszedł ją dreszcz, włosy zjeżyły się jej na karku. Pełna nienazwanej trwogi, usiadła. Sypialnię zalewało światło księżyca. Rozejrzała się wokół, nikogo jednak nie dostrzegła. Mimo to przysięgłaby, że ktoś tu jest.

Wyskoczyła z łóżka i przebiegła przez pokój. Wyjrzała na ulicę. Rzym spał. Księżyc

i gwiazdy oświetlały dachy domów, wieże, wzgórze i doliny. Ulicami ciągnęły wozy, dziwnie uroczyste i ciche, jakby powoziły nimi duchy.

Poczuła lodowaty oddech na karku. Odwróciła się szybko, raz jeszcze omiotła pokój spojrzeniem. W niezwykłym blasku księżycy meble przypominały dziwaczne płaskorzeźby. Nagle sypialnia nie wyglądała już znajomo. Kojarzyła się raczej z grobem i śmiercią.

Amelia przeszła po zimnej podłodze, dotarła do toaletki i zerknęła na hebanową szkatułkę, którą Korneliusz przywiózł z Egiptu. Już wiedziała, skąd płynie ten nienazwany niepokój. To przez znienawidzony niebieski kryształ, który tysiąc lat spoczywał na ciele martwej kobiety. Przerazał ją. Gdy Korneliusz jej go wręczył, długo wpatrywała się w niebieską głębię kamienia, a to, co tam dostrzegła, zatrwożyło ją tak bardzo, że odłożyła naszyjnik, przysięgając, że więcej nie wyjmie go ze szkatułki. Ujrzała w nim ducha zamordowanej królowej.

Poranne światło sączyło się przez okno. Amelia jak zwykle zasiadła przy toalecie. Zrobiła makijaż, przyjrzała się biżuterii, uczesała się – były to niezbędne rytuały. Utrzymywanie pozorów pomagało jej zachować normalność. Układając włosy, uspokajała emocje. Robiła to, czego od niej oczekiwano, dzięki czemu mogła nie myśleć i nie podejmować decyzji. Zajmowała wysoką pozycję społeczną i musiała postępować zgodnie z zasadami, trzymała się więc ich niemal obsesyjnie. Była jak mim w teatrze: mnóstwo gestów i żadnej treści. Kiedyś, dawno temu, kochała Korneliusza, ale od dawna nie pamiętała, co to miłość. Nie darzyła uczuciem swojego kochanka, mężczyzny, którego znała równo tydzień. Ledwie przypominała sobie jego twarz. Spoglądając wstecz, nie potrafiła powiedzieć, co popchnęło ją w jego ramiona. Ich przelotne, fizyczne zbliżenie nie pozostawiło po sobie żadnych śladów.

Cudzołóstwo było dziwne. Wszystko zależało od tego, kto cudzołoży i z kim. Wśród niższych klas małżeńską niewierność traktowano jako rozrywkę i znakomite źródło żartów dla autorów sztuk teatralnych. Arystokrację jednak obowiązywały inne normy, – żona, która zbłądziła, zdradzała nie tylko męża, ale i całą swoją klasę społeczną. Lucylla, piękna wdowa po znanym senatorze, zauważyła kiedyś ironicznie, że grzeszy nie ten, kto cudzołoży, lecz ten, kto da się przyłapać. Amelia zachowała się wyjątkowo głupio i właśnie dlatego rzymska szlachta nie mogła jej przebaczyć.

– Strzeż się liczby cztery, moja pani – usłyszała starczy głos astrologa, który czytał wróżbę z tablic gwiazdnych.

Pani Amelia oderwała spojrzenie od lustra. Nakładała właśnie puder ryżowy na ciemne sińce pod oczami. W nocy, gdy ponownie zasnęła, śniły się jej grobowce, sarkofagi i mściwe martwe królowe.

– Liczby cztery? – powtórzyła.

– Dziś to zła liczba – odparł starzec, który każdego dnia układał jej horoskop. – Za wszelką

cenę trzeba jej unikać.

Patrzyła na swoje odbicie. Jak miała ustrzec się tak popularnej liczby? Cały wszechświat stworzony był z czwórki: cztery żywioły, cztery wiatry, cztery fazy księżyca. I ludzie: cztery kończyny, cztery komory serca, cztery namiętności.

Niewolnice układały jej włosy na dzień. Robiły to wyjątkowo starannie, bo lubiły swoją panią. Amelia była łagodniejsza od wielu kobiet z jej sfery i nie kłuła sług spinkami, jeśli coś nie szło po jej myśli. Dwie młode kobiety ciężko pracowały, bo dama często zmieniała uczesanie: ta sama fryzura dzień po dniu po prostu nie uchodziła. Tego ranka długie loki Amelii, ufarbowane kryjącą siwizną henną, były ułożone na jej głowie niczym diadem. Jako żona patrycjusza zawsze musiała wyglądać jak najlepiej. Amelia nosiła suknie z chińskiego jedwabiu, naszyjnik z pereł z Oceanu Indyjskiego i biżuterię z hiszpańskiego srebra oraz dalmatyńskiego złota. Ktoś, kto jej nie znał, mógłby jej pozazdrościć.

– Czy w twoich tablicach jest coś o mężczyźnie witającym mnie z otwartymi ramionami? – spytała.

Stary wróżbita zmarszczył krzaczaste brwi.

– Z otwartymi ramionami, pani?

– Jakby chciał mnie przytulić lub powitać. Pokręcił głową i zabrał przyrządy.

– Nie, pani – odparł na odchodnym.

Przygryzła wargę. Augur z willi na wsi nigdy się nie mylił. Jego przepowiednie spełniały się niespotykanie często. Niestety, jasnowidz nie przyjechał z rodziną do miasta.

Amelia zadrżała, nie z zimna, tylko ze strachu. Naszyjnik. Przerazał ją nawet zamknięty w szkatułce. Niebieski kryształ, twardy i zimny, kojarzył się jej ze śmiercią. Miał barwę okrucieństwa i nieprzejednania. W kamieniu nie było litości, podobnie jak w jego ofiarodawcy. Cieszył oko, ale był zimny i twardy, z nieodgadnionym wnętrzem, jak sam Korneliusz.

Pomyślała o jego władzy, o władzy mężczyzn w ogóle. Co mogły kobiety? Dziewictwa Amelii strzegli ojciec i bracia. Wychodząc za mąż, trafiła z rąk ojca do męża. W żadnym momencie życia nie była panią samej siebie. Kiedy jej bracia przyjeżdżali z wizytą, witali ją tak, jak wszyscy rzymscy krewni witali kobiety ze swojego rodu, pocałunkami w policzki. Nie był to czuły gest, raczej dyskretny sposób na wykrycie wina w oddechu kobiety: picie alkoholu było źle widziane. Nie mam nic do powiedzenia nawet w sprawie tego, co trafia do mojego brzucha, pomyślała.

Ponownie drgnęła, niemal bojąc się spojrzeć w lustro z obawy przed tym, co mogłaby tam zobaczyć – widmo martwej królowej przed sobą. Ten okropny naszyjnik! Zupełnie jakby Korneliusz sprowadził do ich domu ducha. Gdyby tylko mogła się modlić! Dawniej modlitwa przynosiła jej ulgę. Tam jednak, gdzie niegdyś w Amelii kwitła wiara, teraz pozostała tylko duchowa pustynia.

Jak bardzo zazdrościła swojej przyjaciółce Racheli, tak pobożnej, tak aktywnie działającej w religijnej społeczności i tak pewnej swego miejsca w świecie! Rachela, świadoma, że Amelia utraciła wiarę, próbowała na swój łagodny sposób przekonać ją do judaizmu. Religia Racheli jednak zdumiewała ją i wprawiała w zakłopotanie. Skoro setka rzymskich bóstw nie potrafiła przywrócić jej wiary, jak miał to zrobić tylko jeden bóg?

Poprzedniego wieczoru Amelię zdumiało zaproszenie przyjaciółki. Zazwyczaj nie widywały się w tym dniu, bo dla Racheli był to dzień święty, zwany szabasem. Co dziwniejsze, Amelię zaproszono na posiłek. Prawo rabiniczne zabraniało żydom spożywania posiłków z innowiercami i mimo wieloletniej przyjaźni ani razu nie przełamały się chlebem. Amelia nie mogła się już doczekać. Musiała ukryć radość przed Korneliuszem – na pewno kazałby jej zostać w domu.

Amelia wiedziała, dlaczego Korneliusz pozwala jej na przyjaźń z Rachelą, mimo że pozbawił ją wszystkich innych przywilejów i wolności: chciał mieć w zanadru jedną rzecz, jedną cenną rzecz, którą mógł jej odebrać. Gdyby zabrał jej wszystkie przyjemności i uczynił z niej prawdziwą więźniarkę, nie miałby już jej czym straszyć, straciłby narzędzie kontroli. Odwiedziny u Racheli nieustannie przypominały Amelii o władzy męża. Pozwalały mu trzymać ją w niepewności. Nigdy nie wiedziała, aż do ostatniej chwili, czy dostanie pozwolenie na wyjście z domu. I choć cieszyła ją perspektywa spotkania z Rachelą, wisiała jej nad głową ciemna chmura: czy to ostatni raz?

To wspaniały dzień na przeprowadzenie twojej sprawy w sądzie, panie. – Osobisty astrolog z satysfakcją pokiwał głową nad swoimi wyliczeniami. – Najdoskonalszy. Powiedziałbym, że sprawa zostanie rozstrzygnięta przed południem.

Gdy trzech niewolnicy z wielką starannością układali togę pana, drapując ją i dokładnie odmierzając szerokość fałd, Korneliusz zerknął za próg. Wiedział, że Amelia gdzieś tu przemknęła, czujna i gotowa pierzchnąć jak wróbel.

Nie zawsze zachowywała się pokornie. Kiedyś była silną kobietą o osobowości pasującej do jej wysokiej pozycji w rzymskim społeczeństwie. Sama spowodowała swój smętny upadek. Rozwód i wygnanie byłyby odpowiednią karą, tylko jednak Korneliusz wiedział, dlaczego pozostał mężem Amelii. Rzymianie nie lubili kawalerów, zwłaszcza majątnych. Cesarz August posunął się do tego, że uczynił stan wolny niemal przestępstwem. Gdyby Korneliusz rozwiódł się z Amelią, każda matka niezamężnej córki, każda wdowa i rozwódka, każda kobieta myśląca o zamążpójściu zaczęłaby się za nim uganiać. Żona stanowiła jego tarczę. Właściwie cieszyło go, że tak dobrze ułożył sobie życie. Amelia nie była już wścibską żoną, w niczym nie mogła mu przeszkodzić, nie miał wobec niej żadnych obowiązków – mógł ją całkowicie ignorować – a jednak stanowiła zabezpieczenie przed chętnymi do ślubu kobietami. Bardzo wygodnie.

I ten naszyjnik! Przebłysk geniuszu, nie wahał się tego powiedzieć. W chwili gdy egipski



handlarz pokazał mu kamień ukradziony z grobowca, Korneliusz wiedział, że to doskonały prezent dla Amelii – tandetne świecidełko wiarołomnej żony. I pora też nie mogła być bardziej odpowiednia. Amelia miała romans sześć lat temu, ludzie zaczęli zapominać. Niebieski kryształ otoczony aurą skandalu doskonale odświeży ich pamięć oraz dyskretnie zmanifestuje rosnące wpływy Korneliusza. Kamień mówił: jeśli mogłem to zrobić własnej żonie, pomyślcie tylko, co zrobię wam.

W atrium czekała na niego niewielka grupka ludzi. Korneliusz zaledwie dwa dni wcześniej wrócił do Rzymu, a już rozeszła się wieść, że bogaty patron jest w mieście.

Zawsze pojawiali się o świcie, ci młodzi ludzie spragnieni wzglądów, protekcji, znajomości. Wybiegali ze skromnych mieszkań w domach czynszowych, żeby złożyć wyrazy szacunku człowiekowi, od którego zależało ich przetrwanie. W zamian za upominki i posiłki owi gorliwi klienci towarzyszyli mu na mieście. Była to rzymska tradycja: im większe zgromadzenie, tym ważniejszy patron. A Korneliusz Gajusz Witeliusz otaczał się jednym z największych dworów pochlebców w Rzymie.

Korneliusz był prawnikiem, dobrze prosperującym i wpływowym, miał wiele znajomości. Kiedy ogłaszano, że weźmie udział w procesie sądowym, przychodziły tłumy, by go posłuchać. Jego szczodrość również była powszechnie znana. Sponsorował darmowe dni w termach, jego nazwisko widniało na szyldzie wywieszonym nad wejściem. Na arenie jedna z markiz chroniących przed słońcem również nosiła imię Korneliusza, informując publiczność, że to on – za darmo – zapewnił jej ten cień. Wysyłał niewolników na ulicę, by grali na fletach i głosili jego wielkość, inni rozdawali bochny chleba. Miał ambicję zostać pewnego dnia konsulem, który władzą ustępował jedynie cesarzowi. Wtedy mógłby nazwać rok swoim imieniem i tak przejść do potomności. Bochenki chleba i markizy były niewielką ceną za taką sławę.

Pomyślał o Amelii, która czekała za drzwiami.

Wiedział, że tylko jedno się liczy: dobre imię. Jeśli nawet człowiekowi zabierze się ziemię, majątek i to, co osiągnął, nic mu się nie stanie, dopóki nie straci dobrego imienia. Tego właśnie musiał bronić za wszelką cenę. Nic gorszego nie mogło spotkać Rzymianina, niż zostać obiektem drwin. Niech inni staną się pośmiewiskiem, nie Korneliusz Gajusz Witeliusz, którego patrycjuszowska krew była czystsza niż krew samego cesarza (choć Korneliusz nie zamierzał wytykać tego Neronowi). Wygnanie wiarołomnej żony to zbyt proste, tak postąpiłby tchórz. On pokazał Rzymowi, jaki jest twardy, gdy ją zatrzymał ku przestrodze wszystkich innych żon.

Zaręczyny jedenastoletniego Korneliusza i ośmioletniej Amelii połączyły dwie wpływowe rodziny. Osiem lat później byli małżeństwem, po pięciu latach doczekali się potomka. Pierwszy syn nosił imię ojca. Kolejne ciąży kończyły się poronieniami, narodzinami martwych dzieci oraz zdrowych noworodków – nic nadzwyczajnego. Korneliusz umocnił swoją reputację mówcy i doskonałego prawnika, Amelia zaś była wzorową żoną. Człowiek nie mógł prosić o więcej.

A potem zaprzyjaźniła się z Agrypiną, matką Nerona i najpotężniejszą kobietą w imperium – kobietą, która raz przyszła na wyścigi w szacie utkanej ze złotej nici, niemal oślepiając widzów! Bogom dzięki, Agrypiną już nie żyła, ale on nie zapomniał upokorzenia sprzed sześciu lat, w cyrku, gdy wraz z ciężarną Amelią wszedł do cesarskiej łoży jako gość, a tłum z okrzykiem aprobaty zerwał się z miejsc. Korneliusz uniósł ręce, przyjmując hołd, a Agrypiną mruknęła do niego:

– Wiwatuję na cześć twojej żony, idioto, nie twoją.

Skąd miał wiedzieć, że Amelia osobiście przekonała ulubionego woźnicę Rzymu, by na ten jeden ostatni wyścig wrócił z emerytury? Mąż nie wtrącał się do zajęć żony, o ile dziecko było odpowiednio wychowywane, dom prawidłowo zarządzany, a reputacja męża nie narażona na szwank. Inne rozrywki żon – działalność charytatywna, przyjęcia, zakupy – nie interesowały małżonków. Skąd zatem Korneliusz miał wiedzieć, że Amelia stanęła na czele delegacji patrycjuszek, które pochlebstwem i prośbami przekonały aroganckiego woźnicę do powrotu? Odniosła sukces tam, gdzie inni zawiedli, a Rzym wielbił tego człowieka niemal jak bóstwo, Amelia więc stała się bohaterką tłumu.

A jej mąż nie miał o tym pojęcia.

Korneliusz na wiele miesięcy stał się obiektem drwin. Ludzie recytowali wierszyki i nucili przyspiewki, wypisywali hasła na murach budynków, a zwrot „Korneliusz Witeliusz” stał się synonimem bezmyślnego męża. Nic nie mógł zrobić, wyszedłby na jeszcze większego głupca. Upokorzenie i niechęć zżerały go jak rak, aż przyszedł mu do głowy plan zemsty. Nie mógł zrzucić Amelii z publicznego piedestału, ale z pewnością mógł zranić ją samą. Nawet gdyby to dziecko było idealnym chłopcem, ogłosiłby je kaleką i kazał wyrzucić. Na szczęście okazało się dziewczynką. Nikt nie przyglądał się dość dokładnie ani też nie miał odwagi zaprzeczyć, że ma zdeformowaną nóżkę. I tak, mimo histerycznych błagań Amelii, dziecko trafiło na wysypisko, gdzie padło łupem drapieżnych ptaków albo zimna i głodu, a Korneliusz odzyskał władzę.

A potem ta idiotka przespała się z innym mężczyzną – na dodatek z poetą! Do tego była na tyle głupia, że nie zachowała dyskrecji, i wkrótce jej zdrada wyszła na jaw. Raz jeszcze Korneliusz musiał działać. Nie zamierzał wygnać jej z Rzymu. Skoro była ulubienicą tłumu, niech ten sam tłum nieustannie przypomina jej, jaką jest dziwką.

Niewolnicy wreszcie ułożyli togę. Korneliusz odsunął się od nich i przyjrzał sobie w dużym lustrze z polerowanej miedzi.

– Pewnie chcesz iść do Żydówki? – Rzucił to pytanie w przestrzeń. Korneliusz nigdy nie nazywał Racheli jej imieniem. Nie lubił Żydów i sprzeciwiał się cesarskiej tolerancji dla nich samych i ich tajnej sekty. Zdążył również zapomnieć, że mąż Żydówki, medyk o imieniu Salomon, uratował życie jednego z ich dzieci. Amelia w końcu wyszła z cienia.

– Jeśli mogę.

Poprawiał togę, kręcił się przed lustrem, wydał jakieś polecenie, obejrzał swoje idealne paznokcie, a potem zapytał:

– Czy naprawdę tego pragniesz? Przygryzła wargę.

– Tak, Korneliuszu.

Rozpaczliwie chciała wyjść z domu. Po wizycie u Racheli miała nadzieję wstąpić do księgarni nieopodal Forum i sprawdzić, czy mają tam nowy tomik poezji. Musiała jednak działać szybko, no i dobrze ukryć książkę przed Korneliuszem.

Raczył na nią spojrzeć.

– Nie masz na sobie mojego daru. Jej serce biło jak oszalałe. Naszyjnik!

– Myślałam... Wydaje się zbyt kosztowny na...

– Żydówka jest twoją najlepszą przyjaciółką. Sądziłem, że będziesz chciała jej go pokazać.

– Tak, Korneliuszu. – Z trudem przełknęła ślinę. – Założę go, skoro sobie tego życzysz.

– Wobec tego możesz iść.

Usiłowała ukryć olbrzymią ulgę.

– Wróć do domu przed zachodem słońca – nakazał. – Dziś wieczorem mamy gości.

– Kto...

– Żadnego przystawiania w księgarniach przy Forum. Po wizycie u Żydówki masz wrócić prosto do domu. Dowiem się, jeśli nie posłuchasz.

Pochyliła głowę i wyszeptwała:

– Tak, Korneliuszu.

Odprawił ją. W sypialni wyciągnęła ze szkatułki złoty naszyjnik ze znienawidzonym niebieskim kryształem. Kiedy poczuła jego ciężar na piersi, przyszło jej na myśl, że otoczyły ją cienie. Nic nie mogła na to poradzić, musiała zabrać ze sobą ducha egipskiej królowej.

Jadąc ulicami w krytej lektyce, z radością powitała Rzym wraz z jego hałasem i zapachami. Przyzwyczajone do świeżego powietrza wsi nozdrza Amelii doznały szoku, jak zawsze podczas pierwszych dni w mieście, czując wyziewy metropolii, która cuchnęła niezależnie od pogody. Amelia nie musiała odsuwać zasłony, by wiedzieć, że są na ulicy Fuluszników, gdyż to właśnie oni używali moczu do folowania wełny i wystawiali przed sklepami urynały dla przechodniów. Odór był równie znajomy jak zapach pieczonego chleba. Na innych ulicach odchody zwierzęce i ludzkie prażyły się w słońcu, a ich fetor mieszał się z zapachem gotowanych potraw i smrodem ryb. Dla Amelii jednak najprzyjemniejsza była wszechobecna woń ludzi.

Na ulicach Rzymu tłoczyli się kupujący, sprzedający, szukający podniet i rozrywek, ci, którzy pragnęli być zauważeni albo kogoś zauważyć, skandaliści i plotkarki. Na każdym rogu wystawiali uliczni artyści – żonglerzy, klauni, wróżbici i zaklinacze węży. Drogę często blokował tłum przyglądający się połykaczowi mieczy albo akrobatom mającym nadzieję na zebranie kilku

monet. Magicy i ich tresowane gołębie konkurowali z karzełkami, którym towarzyszyły małpy. Pieśniarze i uliczni artyści, połykacze ognia i mimowie prezentowali swoje umiejętności. Oratorzy na skrzynkach mówili o wszystkim, od zalet nieprzyprawionego jedzenia do zgubnych skutków seksu. Papugi jednonogich żeglarzy wykrzykiwały obsceniczne słowa; nie brakowało poetów recytujących wiersze po grecku i po łacinie; przekupnie sprzedawali napoje, eliksiry i panacea. Na targowych placach, w parkach, na forach, ulicach szerokich i wąskich, rzymski tłum krążył niczym ławica niespokojnych ryb w poszukiwaniu nowych rozrywek. Ludzie wypełniali sklepy i tawerny, by zjeść mięso i napić się wina; plotkowali, flirtowali, walczyli i aranżowali miłosne schadzki w tysiącach barwnych miejsc. Ciemne zaułki oferowały mniej wyszukane rozrywki: walki dzikich psów, nagie tańczące dziewczęta, dziecięce prostytutki. Tanie kupowano seks, konsumpcja była szybka i pozbawiona sentymentów. Najuboższe kobiety oferowały siebie, swoje córki, nawet niemowlęta, za bochenek chleba. Popelniano też morderstwa, w afekcie lub starannie wykalkulowane.

Pani Amelia, płynąca przez tłum w lektyce dźwiganej przez czterech krzepkich niewolników, którzy krzyczeli na motłoch, namiętnie uwielbiała ten zgiełk. W Rzymie znowu czuła, że żyje, mogła zapomnieć o duchu, który podróżował wraz z nią.

Gdy lektyka zatrzymała się przed wysokim murem z masywną bramą, słońce stało w zenicie. Amelia pociągnęła za sznur i gdzieś w głębi usłyszała dzwonek. Brama się otwarła. Zanim ruszyła przed siebie, wyciągnęła rękę, muskając palcami gliniany futerał w kamiennym murze. Była to mezusa, zawierała zwitek papirusu z wypisanymi na nim świętymi słowami. Amelia dotknęła go automatycznie, podobnie jak od czasu do czasu czyniła znak krzyża, nie ze względu na wiarę w potęgę świętych słów, lecz z szacunku dla bogobojnej Racheli.

Amelia naprawdę odpoczywała przy Racheli. Przyjaciółka nie była jej rywalką ani plotkarą, ona sama nie czuła się oceniana ani krytykowana, jak wśród kobiet w swoim środowisku. Przy Racheli można było milczeć albo się rozgadać. Najbardziej lubiły spacerować we dwie brzegiem Tybru, przeglądać książki na straganach, obserwować uliczne rozrywki albo spędzać niezliczone godziny w ogrodzie Racheli na przyjacielskiej partyjce ogarów-i-szakali; wtedy często słychać było jedynie toczące się kości i stukot pionków. Nigdy jednak nie jadły wspólnie, Amelia z niecierpliwością czekała więc na nowe doświadczenie.

Przyjaciółka wyszła na ścieżkę, by ją powitać. Była starszą kobietą, pulchną, o okrągłej twarzy. Ciężkie srebrne naszyjniki lśniły na jej dekolcie.

– Najdroższa Amelio – powiedziała, obejmując ją serdecznie. – Tak bardzo za tobą tęskniłam! – Łzy zabłyśły w jej oczach. – I znowu zostałam babką!

– Mam zdrowego wnuka.

– Bogu niech będą dzięki. Kornelia dobrze sobie radzi?

– Kornelia i jej mąż zostali na wsi, za kilka dni wrócą do Rzymu. Ale ty, Rachelo, naprawdę

znakomicie wyglądasz!

Minęło siedem miesięcy, odkąd widziały się po raz ostatni, i choć Rachela zawsze wyglądała kwitnąco, teraz wręcz promieniała. Ubrana w kosztowny granatowy jedwab ozdobiony srebrnym haftem, wydawała się o wiele młodsza. Wzięła przyjaciółkę pod ramię. Ona i jej córka właśnie wrócili z synagogi i Amelia była ich pierwszym gościem.

– Dziś jest Szawuot, święto ku czci dnia, w którym Mojżesz otrzymał od Boga Dekalog i Torę na górze Synaj. W Jerozolimie ludzie zanoszą do świątyni dary ze swoich pierwszych zbiorów. Mój dom jest ozdobiony kwieciami i zielenią, aby nam przypominać, że to święto żniw. To dzień pielgrzymek, Salomon i ja od dawna pragniemy obchodzić Szawuot w Jerozolimie.

Złoty łańcuch na szyi Amelii błysnął w słońcu i Rachela przystanęła na ścieżce.

– Co to takiego? Co tam chowasz?

Amelia wydobyła wisior z niebieskim kryształem. Rachela chciała go dotknąć, ale Amelia pośpiesznie się cofnęła.

– Nie rób tego – rzekła.

– Dlaczego?

– Cięży na nim klątwa.

Oczy Racheli rozszerzyły się ze zdumienia.

– Ten kamień zabrano mumii egipskiej królowej – wyjaśniła Amelia.

Rachela położyła dłoń na piersi.

– Zrabowano go zmarłej? Boże, miej nas w swojej opiece. Amelio, czemu nosisz coś takiego?

– Korneliusz mi kazał.

Rachela milczała. Wszystko, co miała do powiedzenia na temat męża przyjaciółki, powiedziała już dawno temu.

– Czuję jej obecność.

– Kogo?

– Martwej królowej. Zupełnie, jakby Korneliusz sprowadził do domu jej ducha.

– W tym mieszkaniu nie ma duchów. – Rachela objęła Amelię ramieniem. – Będziesz tu bezpieczna.

Kiedy weszły do chłodnego atrium, Rachela przystanęła, ujęła dłoń Amelii i powiedziała ciepło:

– Nie mogę już dłużej ukrywać przed tobą dobrej nowiny. Moja najdroższa przyjaciółko, gdy byłaś na wsi, stało się coś cudownego! Wiesz, jakie ponure było moje życie po śmierci Salomona.

Mąż Racheli był medykiem z greckiej szkoły – medykiem hipokratejskim, a na takich było

wielkie zapotrzebowanie ze względu na ich umiejętności i uczciwość. Poznały się, kiedy jedno z dzieci Amelii zrobiło sobie krzywdę i posłano po Salomona. On i Rachela przyjechali do Rzymu z Koryntu. Ojciec i bracia Salomona praktykowali tam medycynę, a on nie chciał odbierać im pacjentów, przybył więc do Rzymu, bo tu brakowało dobrych lekarzy. Rachela i Salomon należeli do tych rzadkich małżeństw, które naprawdę darzyły się miłością. W Rzymie zażyłość między mężem i żoną była niemodna, publiczne okazywanie sobie uczuć zwyczajnie nie uchodziło. Amelia pamiętała, jaki szok przeżyła, gdy Salomon pocałował żonę w policzek. Rachela nie była sobą po jego śmierci, jakby odejście Salomona zostawiło w niej pustkę, której nie dawało się niczym wypełnić.

Teraz jednak tryskała radością.

– Marzyłam tylko o tym, by jeszcze zobaczyć Salomona – powiedziała do Amelii. – Teraz mam tę pewność.

Rachela opowiedziała jej o żydowskim bohaterze zwanym Odkupicielem i o królestwie, którego nadejście głosił, o obietnicy życia wiecznego.

– Chrystus pomaga nam osiągnąć duchowy spokój. Połączył żydów i gojów przez swoją śmierć, burząc stare prawo, które ich dzieliło, i tworząc nowe.

Na widok zdumionego spojrzenia Amelii roześmiała się i rzekła:

– To trochę pogmatwane, ale wkrótce się wyjaśni. Są tu także odpowiedzi dla ciebie, moja droga przyjaciółko.

Pojawili się inni goście. Amelię zdumiała ich różnorodność – kiedyś Rachela twierdziła, że tylko Amelia jest jej nieżydowską przyjaciółką, a teraz przyszli tu rozmaici innowiercy. Nie wszyscy pochodzili z wyższych sfer, jak Rachela. Byli tu nawet niewolnicy, witani, ku zdziwieniu Amelii, równie ciepło jak pozostali. Razem tworzyli hałaśliwe zbiorowisko. Judaizm stanowił zagadkę dla większości Rzymian, Amelia wyobrażała więc sobie, że religijne rytuały żydów są milczące i pełne skupienia, tak jak te w świątyniach Izis i Junony. Rachela wytłumaczyła przyjaciółce, że te zgromadzenia odbywają się po tygodniowych spotkaniach w synagodze, które organizowano zarówno dla celów towarzyskich, jak i duchowych.

Trzy stoły otaczało dziewięć kanap, na każdej siedziały trzy osoby. W ten sposób Rachela ujawniła talenty dobrej gospodyni; uważano za niestosowne gromadzenie mniej niż dziewięciu gości przy jednym stole oraz więcej niż dwudziestu siedmiu na ucztę. Ognie płonęły od poprzedniego wieczoru, nie wolno było rozpałać ich w szabas.

Wszyscy usiedli. Rachela powiedziała:

– Z radością witam wśród nas innowierców.

Stary człowiek w mycce i szalu z frędzlami zaprotestował głośno przeciwko obecności gojów i wyszedł. Rachela wysłała za nim młodą dziewczynę i wyjaśniła Amelii:

– Wielu z nas różni się wciąż w kwestiach praktycznych. Każde zgromadzenie ma własne za-

łożenia i zasady wiary. Starsi usiłują zjednoczyć te społeczności, ale świat jest wielki. Nasi braci i siostry w Koryncie trzymają się innych praktyk niż my, a ci w Efezie inaczej wyznają wiarę niż my z Rzymu i z Koryntu. Młody człowiek nakłaniał starca do powrotu:

– Pamiętaj słowa Pana. Powiedział: „Ustanowiłem cię światłością dla pogan, abyś był zbawieniem aż po krańce ziemi”.

Starszy człowiek zajął miejsce na kanapie, ale wciąż nie wydawał się przekonany ani zadowolony z obecności gojów. Rachela poprowadziła modlitwę. Zaśpiewała:

– *Szma Israel: Adonai Elohainu Adonai Ehad!* A reszta jej zawtórowała:

– *Baruch Szem Kewod Malchuto le-olam waed.*

Rachela uśmiechnęła się do nowych gości i powtórzyła dla nich modlitwę po łacinie:

– Słuchaj Izraelu, Pan jest naszym Bogiem, Panem jedynym! Niech będzie błogosławione imię wspaniałego Królestwa Jego na wieki wieków.

Spotkanie najwyraźniej polegało na czytaniu listów i snuciu opowieści. Amelia знаła niektóre z nich, zmartwychwstanie bogów nie było niczym nowym. Bóg Mars został zamęczony, na trzy dni wstąpił do piekieł i wrócił do świata żywych. Inni też tak postępowali w dawnych wiekach; nawet Romulus, pierwszy król Rzymu, ukazał się wyznawcom już po swojej śmierci i powiedział im, że trafił do panteonu bogów. Juliusz Cezar i August również zostali bogami i nie było to niczym nadzwyczajnym. A co do życia wiecznego, już Izis je obiecywała. Zebrani rozmawiali o ukrzyżowaniu swojego zbawiciela. To Amelii nic nie mówiło, każdego dnia krzyżowano przestępców. Krzyże ciągnęły się wzdłuż dróg prowadzących do Rzymu, rzadko który był pusty. W cudach Jezusa i uzdrawianiu chorych też nie było nic niezwykłego. W Rzymie codziennie widywano cuda, magicy zamieniali wodę w wino, uzdrowiacze sprawiali, że kulawi zaczęli chodzić. Słuchała jednak uprzejmie i obserwowała, jak przejęci są inni słuchacze.

Na spotkaniu pojawiła się kuzynka Racheli z Koryntu, przywiozła listy, które odczytano na głos.

– Nie mamy synagog ani świątyni, żadnych specjalnych miejsc kultu – tłumaczyła Amelii Rachela. – Zbieramy się w prywatnych domach. Moja kuzynka, podobnie jak ja, jest patronką nowej wiary i urządza uczyty w swoim domu w Koryncie. Jej szwagierka, mieszkanka Efezu, także jest bogatą patronką i organizuje spotkania u siebie. Różnią nas zasady i wiara. Pewna grupa w Aleksandrii na przykład składa się wyłącznie z innowierców, postanowili oni urządzać spotkania w niedzielę, święty dzień Mitry, zamiast w szabas. Nie jedzą koszernych potraw, ale to, co zawsze – wieprzowinę i małże, mleko i mięso. Ci, którzy znali Pana, ślą listy do rozmaitych społeczności, żebyśmy przyjęli jedną ideologię. Ale to trudne, imperium jest olbrzymie.

Wśród zebranych najwięcej było Żydów. Na stole ustawiono menorę, Rachela miała zakrytą głowę, podobnie jak mężczyźni, wielu nosiło szale z frędzlami i filakterie na czołach. Najpierw recytowali modlitwy po hebrajsku, a potem po łacinie. I choć dania były zróżnicowane, nie poda-

no wieprzowiny ani owoców morza, mleka ani sera. Na stół trafiła gotowana na parze ryba w smacznym sosie, gotowany kurczak i słodka, krucha cielęcina.

Pełniąca honory pani domu Rachela wyjaśniła nowo przybyłym, że to uczta na cześć Oczekiwanego, czyli Mesjasza, który przyniesie Żydom Boże Królestwo.

– Są dziś z nami nowi przyjaciele. – Przedstawiła ich. – Niektórzy z was protestują przeciwko obecności gojów w naszym gronie. Paweł powiedział jednak, że przed Bogiem nie jesteśmy żydami ani gojami, wszyscy jesteśmy równi.

Rachela połamala chleb na kawałki i rozdała je gościom.

– Błogosławieni cisi – zaśpiewała – albowiem to oni na własność posiadają ziemię. – I ciągnęła dalej tę piękną antyfonę.

Amelia zauważyła, że kierują modlitwy do kogoś zwanego *Abba*.

– Czy *Abba* to imię waszego boga? – spytała.

– Aramejski to język naszego pana, *abba* oznacza w nim ojca. Jezus tak zwracał się do Boga, my zatem też.

Choć nastrój był radosny, Amelia wyczuwała ukryte napięcie. W grupie panował dziwny niepokój, a kiedy słuchała ich opowieści, zaczęła rozumieć jego przyczyny: zbawiciela ukrzyżowano trzydzieści lat wcześniej, obecnie żyło niewiele jego pierwszych wyznawców. Wszyscy mówili, że właśnie dlatego Jezus wkrótce powróci.

– Już niebawem – zapewniała zgromadzonych Rachela.

Było to dla Amelii coś nowego, nie potrafiła przypomnieć sobie ani jednego boga-zbawiciela, który obiecał, że powróci, ani takiego, który naprawdę powrócił po zmartwychwstaniu. Rachela opowiadała o zamieszkujących krańce imperium plemionach buntujących się przeciwko Rzymowi, a potem wymieniała znaki i zwiastuny, które zapowiadały koniec świata.

Na koniec przemówił starzec, na którego mówili Piotr, co wydało się Amelii dziwne. Rozmawiali po łacinie, zatem nazywano go Skałą. Dotąd nigdy nie słyszała takiego imienia. Kiedy spytała, czemu tak go zwą, Rachela odparła:

– Ze względu na jego zdecydowanie oraz lojalność. Był pierwszym uczniem naszego Pana.

Piotr, mały, stary i kruchy, potrzebował pomocy, żeby usiąść na kanapie. Przemawiał głosem delikatnym jak piórko. Najpierw chwalił Boga, a potem mówił o świętości życia. Pani Amelia uprzejmie, choć obojętnie słuchała jego nawoływań: „Jesteście wybranym plemieniem, królewskim kapłaństwem, narodem świętym. Wy, którzy byliście nie-ludem, teraz jesteście ludem Bożym”, a potem: „Zbliży się koniec wszystkiego, życie więc jako obcy i przybysze w strachu”.

Na koniec zbierano pieniądze; część zamierzano podzielić między biedaków w Rzymie, a resztę wysłać do chrześcijańskich społeczności na terenie imperium. Wszyscy przygotowywali się do wyjścia. Rachela poprosiła Amelię, żeby została. Ciekawa była, co przyjaciółka myśli o nowej wierze. Ona jednak musiała przyznać, że nie rozumie tej wiary i nie potrafi przyjąć do



wiadomości, że świat się kończy.

– Dziękuję ci, droga przyjaciółko, że pozwoliłaś mi dzisiaj uczestniczyć w spotkaniu. Ale to nie dla mnie. Brak mi wiary. Nie wydaje mi się też, żeby wasz zbawiciel mógł się mną zainteresować... – Urwała nagle.

Kruchy, stary apostoł imieniem Piotr przygotowywał się do poprowadzenia ostatniej modlitwy. Na oczach zdumionej Amelii wstał, rozpostarł ramiona i zaczął recytować:

„Ojcze nasz, któryś jest w niebie...”

Wstrząśnięta, patrzyła na niego i przypomniwała sobie przepowiednię augura. Czy Piotr był mężczyzną, o którym wspominał starzec?

Letni upał dawał się im we znaki, gdy Rachela przygotowywała perystyl na szabasowe spotkanie. Grupa się rozrosła, nie wystarczały już trzy stoły z trzema kanapami każdy. Teraz goście siedzieli na ziemi albo na ławach, i jedli z desek do krojenia chleba, które roznosiła Rachela. Nie mieli oficjalnego miejsca spotkań, synagogi ani świątyni, ale spotykali się w prywatnych domach, nadali więc swojej grupie miano eklezji, od greckiego słowa *ekklesia*, oznaczającego zgromadzenie, które przyszłe pokolenia nazwały kościołem. Dom Racheli stał się teraz kościołem domowym, podobnie jak dom Chloe w Koryncie, Nymfy i w Laodicei i kilka innych. Wszystkie te rozrzucone po imperium kościoły domowe zaczęto nazywać Kościołem powszechnym.

Wiara chrześcijańska szerzyła się tak szybko, że Rachela niemal codziennie chrzczyła nowych wyznawców na perystylu, w fontannie zwieńczonej posązką Bachusa. Odprawiała ten rytuał tak, jak nauczyła ją kuzynka Chloe, która z kolei przejęła go od misjonarza Pawła, a ten od Piotra w Jerozolimie. Rytuał i jego niezmiennosc niosły pewną pociechę – sam Jezus został ochrzczony w taki sposób w rzece Jordan, a teraz, niemal czterdzieści lat później, wyznawcy szli w jego ślady. Rachela nie ochrzciła jednak jeszcze najlepszej przyjaciółki.

Popatrzyła na Amelię, która własnoręcznie piekła dla zgromadzenia małe bochenki chleba, ozdabiając je krzyżem Hermesa.

Amelia nie miała pojęcia, jak żarliwie modli się za nią Rachela. Nie chodziło już tylko o wprowadzenie przyjaciółki do radosnej trzódki Jezusa Chrystusa. Teraz Rachela pragnęła czegoś o wiele ważniejszego: ocalić nieśmiertelną duszę Amelii. Sama nawróciła się w styczniu, w pewien deszczowy dzień, którego nie zapomniała do końca życia, gdy doszła ją radosna wieść z Palestyny: oto długo oczekiwany zbawiciel Żydów wreszcie przyszedł. A kiedy przybędzie ponownie, żywi połączą się ze zmarłymi, bo, jak obiecywał Paweł, śmierć jest jedynie snem, „nocą między dwoma dniami”, i ci ochrzczeni w imię Pana znów będą żyli. Piotr położył sękatę dłoń na głowie Racheli i natychmiast poczuła, jak jej smutek mija. Życzyła Amelii takiej samej radości.

Po śmierci Salomona to właśnie Amelia była opoką i podporą Racheli, odwiedzała przyja-

ciólkę w każdą pogodę, mówiła albo milczała, w zależności od nastroju gospodyni, ale zawsze była na miejscu, dzieląc smutek Racheli i ciężar związany z jej nagłą samotnością w świecie. Wiele razy w tych ponurych dniach Rachela zastanawiała się, czy dałaby sobie radę bez przyjaciółki.

Potem jednak sytuacja się zmieniła.

– Czuję, że tracę duszę – wyznała Amelia pewnego wieczoru, kiedy zmierzch powoli zakradał się do ogrodu. – Korneliusz mnie dręczy i brak mi sił, by z nim walczyć.

Rachela żałowała, że nie może zerwać naszyjnika z szyi przyjaciółki i zmiażdżyć obcasem niebieskiego kamienia. Korneliusz jednak pilnował, żeby Amelia nigdzie się bez niego nie ruszała; co gorsza, i ona uważała, że zasłużyła na tę karę.

– Popeliłam cudzołóstwo – powiedziała ze smutkiem.

– Amelio, wysłuchaj mnie. Pewnego dnia Pan podszedł do grupy ludzi, która szykowałą się, by ukamienować kobietę przyłapaną na cudzołóstwie. Powstrzymał ich i zaoferował pierwszy kamień temu z tłumu, kto nigdy nie zgrzeszył. I, Amelio, nikt nie wziął kamienia! Czy Korneliusz jest bez grzechu?

– To co innego. Z mężczyznami jest inaczej.

Z tym Rachela nie mogła polemizować, nierówność mężczyzn i kobiet była obecna również w żydowskiej tradycji. W domu ojciec lub mąż zawsze stali wyżej w hierarchii niż kobiety. Jezus nauczał jednak, że wszyscy są równi, i czyż sama Rachela nie była tego dowodem? W synagodze musiała siedzieć na balkonie, ukryta za przepierzeniem, i nie brała udziału w nabożeństwie, ale podczas szabasowych uczt w swoim domu, odprawianych na cześć życia, śmierci i zmartwychwstania Pana, była diakonisą, to ona przewodniczyła mszy, modłom i łamaniu się chlebem. Kiedy Jezus powróci i nastanie nowe królestwo, przyjdzie nowa era, zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn.

Rachela nie dawała za wygraną. Po powtórnym przyjściu Jezusa tylko ochrzczeni wejdą do nowego królestwa, a miał on zjawić się już wkrótce. Piotr mówił wyraźnie, że Jezus obiecał wrócić jeszcze za życia swoich uczniów. Zmarł ponad trzydzieści lat temu, ci z jego wyznawców, którzy wciąż żyli, byli w podeszłym wieku, jak Piotr, tak kruchy, że wyglądał, jakby każdy jego oddech mógł być ostatni.

Rachela spróbowała gulaszu z kawałkami jagnięciny tak delikatnej, że wręcz rozpływała się w ustach, który gotował się powoli od poprzedniego dnia i przysięgła sobie, że niezależnie od tego, ile wysiłku będzie ją to kosztowało, ile siły i uporu, ocali duszę przyjaciółki.

Amelia nuciła pod nosem, układając małe bochenki chleba na półmiskach. Takie drobne prace sprawiały, że czuła się potrzebna. We własnym domu była zbędna. Korneliusz spędzał coraz więcej czasu w pałacu cesarza, należał do zaufanych Nerona, i choć Amelia miała pięcioro dzieci, dwóch zięciów, dwie synowe i czwórkę wnucząt, dom na Awentynie wydawał się dziwnie

cichym i opuszczonym miejscem. Zostało w nim tylko dwóch chłopców: Gajusz, który za dwa lata miał otrzymać togę i stać się mężczyzną, a teraz i tak spędzał całe dni z kolegami ze szkoły lub nauczycielami i brak mu było czasu dla matki, oraz mały Lucjusz, który tak naprawdę nie był jej synem, miał niańkę, nauczycieli i miłość Korneliusza, gdy jej mąż wracał do domu. Amelia chodziła wzdłuż kolumnad i ścieżek willi na wzgórzu, jakby czegoś szukała. Rachela twierdziła, że przyjaciółka szuka wiary, ale ona nie była tego taka pewna. Jeśli szukała wiary, to dlaczego nie znalazła jej w samej kolebce religijnej gorliwości? Na niektórych spotkaniach ludzie padali na ziemię w przypływie religijnej ekstazy, mówili coś niezrozumiale lub wieszczili koniec świata. Grupa modliła się, śpiewała i chrzczyła nawróconych, wszyscy uważali Pana za swojego zbawiciela, powierzali dusze Bogu. To jednak jak dotąd zupełnie nie wzruszało Amelii.

Zajęła się przygotowaniem specjalnych potraw dla biednego Jafeta, który miał trudności z jedzeniem. Pansadyta odciął mu język i Jafet dołączył do domowego kościoła Racheli, bo Bóg Żydów wysłuchiwał także niemych modłów. Kapłan w świątyni Jowisza zażądał pieniędzy za wyrecytowanie na głos modlitwy Jafeta:

– Jak bóg ma cię usłyszeć, skoro nie możesz mówić?

Amelia wręczyła talerz z chlebem Kleanderowi, młodemu niewolnikowi ze zniekształconą stopą, niedawno wyzwolonemu przez Rachelę. Pomyślała o swoim utraconym dziecku. Czy przeżyło na wysypisku? A może jest już w niebie i czeka na spotkanie z matką, jak obiecywał Jezus? Gdyby tylko mogła uwierzyć! Amelia przyłączyła się do grupy Racheli nie dla wiary, ale z przyjaźni. Znowu czuła się potrzebna, należała do rodziny. Innymi jej członkami byli Gaspar, jednoręki wyzwolenc; Jafet, niemowa bez języka; Chloe, ewangelistka z Koryntu; Febe, stara diakonisa mieszkająca w Rzymie. Dla Amelii nie liczyło się, że każde z nich uważało Jezusa za kogoś innego – mędrca, buntownika, nauczyciela, uzdrowiciela, odkupiciela, Syna Bożego – bo przecież opowiadał przypowieści i każdy mógł odczytywać ich przesłanie zgodnie z własną wiarą. Ona uważała Jezusa za nauczyciela moralnego życia. Nie dostrzegała w nim boskości, żadnych cudownych mocy, może poza jednym wyjątkiem: dzięki jego przesłaniu w jej życiu znów pojawiło się szczęście. I to był cud.

Zastanawiała się, czy Korneliusz zauważył w niej zmianę. A jeśli w ogóle o niej myślał, czego się spodziewał? Czy sądził, że Amelia i Rachela siedzą jak dwie zadowolone kwoki, porównując wnuki i krytykując modne fryzury? Nie byłby w stanie sobie wyobrazić cotygodniowych spotkań, na które uczęszczała żona, zwłaszcza przekroju społecznego gości. Zadrzała na myśl o jego reakcji na to, że dzieli się chlebem z ludźmi o niższym statusie, albo że oddała bransoletę otrzymaną od niego w prezencie ślubnym dwadzieścia siedem lat wcześniej, by pomóc uwolnić z więzienia Żyda z Tarsu.

Korneliusz. Po tylu latach nadal go nie rozumiała. Dlaczego wciąż ją karał, korzystał z każdej sposobności, by ją upokorzyć? Przez tyle lat powinien zapomnieć o tamtym wydarzeniu.

Nagle zaczęła dostrzegać ukradkowe spojrzenia i słyszeć szepty za plecami. Już po kilku dniach pobytu w Rzymie doszły ją plotki: Korneliusz zabrał ze sobą do Egiptu piękną wdowę Lucyllę. Amelia poczuła obrzydzenie. Niebieski kryształ miał przypominać wszystkim o jej dawnym grzechu, podczas gdy jemu zdrada uchodziła na sucho.

Po powrocie ze wsi Amelia i Korneliusz wpadli w wir życia towarzyskiego, późnych kolacji i uroczystych uczt. Rzymska elita nie miała wiele więcej do roboty. Korneliusz zawsze nalegał, żeby Amelia nosiła egipski naszyjnik, i choć ukrywała kamień pod szatą, kazał jej pokazywać go zebranym, a sam opowiadał historię cudzołożnej królowej. Żona Nerona, cesarzowa Poppea, zważyła ciężki naszyjnik w dłoni, zmrużyła oczy, patrząc na kryształ, i powiedziała z nieklamana radością:

– Skandal!

Nocą Amelię prześladowały koszmary. W dzień, zajmując się ogrodem, tkając albo doglądając domu, czuła za sobą cień egipskiej królowej, wrogie widmo, które przypominało jej o grzechu. Kiedy jednak przychodziła na radosne szabasowe uczyty do Racheli, gdzie goście byli hałaśliwi, pobożni i postępowali zgodnie z zasadami swojego boga, czuła lekkość w sercu. Żałowała, że nie może powiedzieć Racheli: „Wierzę”. Jak to się działo, jak przychodził cud wiary? Czy dotykał ludzi, którzy doświadczyli nagłych objawień, tu, w ogrodzie Racheli, kiedy rzucali się na kolana, przemawiając nieznanym językiem? Dlaczego ta cudowna moc jednych dotykała, a innych nie? Co tydzień zebrani śpiewali, klaszcząc w dłonie, krzyczeli: „Alleluja!”, i doprowadzali się do ekstazy. Niektórzy dostawali gorączki z pobożności, wielu przeżywało ataki religijnej histerii, inni zaś tylko patrzyli na to ze zdumieniem.

Byli tak pewni, że nadchodzi koniec świata – nie tylko grupa Racheli, ale także goście domowych kościołów w całym imperium – że część z nich rozdała cały swój dobytek. Nawet dom Racheli się zmienił: wyzwoliła niewolników, pozbyła się większości kosztownych mebli, jedwabne suknie zastąpiła szatami z samodziału. Ciągle zbierała pieniądze, żeby wysłać je biedniejszym braciom i siostram w Jerozolimie, i poświęciła swą niezwykłą kolekcję srebrnych naszyjników na sfinansowanie ewangelizacyjnych misji do Hiszpanii i Niemiec.

Amelia odkryła jednak, że różnice w wierze chrześcijan się pogłębiają. Dołączało do nich coraz więcej pogan, ludzie o różnym statusie społecznym przynosili ze sobą własne wierzenia, kiedy więc Racheli kończyła modlitwę *Ustysz Izraelu*, jedni czynili znak krzyża, a inni – święty znak Ozyrysa. Czasem przychodzili wyjątkowi goście, by przemówić do zebranych. Niektórzy z nich nawet znali Jezusa, ale byli to bardzo starzy ludzie, o drżących głosach, a ich greka bywała tak plebejska, że wymagała tłumacza także w grupach mówiących po grecku. Ku zdumieniu Amelii, nawet oni nie zgadzali się w kwestii tego, co się zdarzyło w Galilei ponad trzydzieści lat wcześniej. Byli wśród nich wyznawcy człowieka o imieniu Paweł, który nigdy nie poznał Jezusa osobiście, ale cieszył się olbrzymią popularnością. Uważano, że w myśl jego nauki przyjęcie

doktryny Chrystusa wystarczy, by żyć tak, jak się komu podoba. Paweł pisał listy, by wyjaśnić wyznawcom swoje poglądy, ale oni najwyraźniej nic z nich nie rozumieli. Inna grupa, złożona przede wszystkim z Greków, interpretowała chrześcijańskie przesłanie zgodnie z grecką filozofią. Uczniowie Piotra, najbardziej popularnej postaci chrześcijańskiego ruchu, głosili konieczność ścisłego przestrzegania żydowskiego prawa. Według nich poganie musieli nawrócić się na judaizm, zanim zostaną chrześcijanami. Byli jeszcze mistycy, ludzie wyznający tajemnicze religie, którzy twierdzili, że nowa sekta nie powinna przyjmować zwykłych członków, lecz rozwijać się przez mistyczny związek z Chrystusem. Każda grupa uważała, że ma rację i góruje nad pozostałymi.

Wyobrażenia poszczególnych wiernych także różniły się między sobą: choć nikt nie miał wątpliwości co do rychłego powrotu Chrystusa, jedni twierdzili, że nadjedzie on w rydwanie ze złota, drudzy – że przybędzie skromnie, na osiołku, – niektórzy upierali się, że z pewnością przyjdzie do Rzymu, inni – że najpierw do Jerozolimy. Nie zgadzali się też co do tego, gdzie jest i kiedy powstanie Królestwo Boże. Uważano Jezusa za księcia pokoju albo za proroka wojny.

Zamieszanie potęgowały rozmaite ewangelie, które krążyły na zwojach, w listach i księgach. Każda głosiła, że jest jedynym prawdziwym przesłaniem Chrystusa, choć żadnej nie napisano za jego życia. Sytuację gmatwało i to, że wciąż żyło kilka osób, które znały Jezusa. Nowe pokolenie, które nigdy nie słyszało jego kazań, odczytywało to, co działo się przed trzydziestu laty, na tle współczesnych wydarzeń i nastrojów. Debata nad nawróceniem pogan trwała: chrzest czy najpierw obrzezanie? Zwolennicy obrzezania twierdzili, że nawrócenie jest zbyt łatwe, że nowi członkowie nie rezygnują z dawnych bogów, tylko dodają Jezusa do panteonu. Chrześcijańskie zaczęli czcić imię Chrystusa dwudziestego piątego dnia grudnia, gdy przypadały urodziny Mitry, a wyznawcy Izis, królowej niebios, twierdzili, że matka Jezusa, Maria, to wcielenie Bogini. Każdy wierzył, że to nadejście królestwa jęgo boga przepowiedział Jezus.

Dochodził jeszcze spór o imię Pana. Był Jehuszą, Jeszą, Iesois albo Jezusem, w zależności od narodu i języka. Niektórzy zwali go Bar-Abbas, co oznaczało „syn ojca”, a inni upierali się, że Bar-Abbas, który także miał na imię Jezus, to zupełnie ktoś inny. A ci, którzy mówili nań Jezus bar-Józef, spotkali się ze sprzeciwem ze strony tych, którzy uważali, że jeśli Pan nazywał sam siebie Synem Bożym, to nie miał ziemskiego ojca, jak inni zbawiciele przed nim.

Amelii nie obchodziły jednak zasady ani ideologie, ani kto ma rację, a kto nie, ani jak naprawdę zwał się Pan. W przeciwieństwie do reszty nie wierzyła w Jezusa, jęgo Boga ani obietnice. Przychodziła na cotygodniowe spotkania z przyjaciółmi i dla towarzystwa, chciała przebywać wśród ludzi, którzy nie szepczą za jej plecami ani nie plotkują, którzy nie oceniają jej przez pryzmat dawnych błędów, którzy, trzymając się za ręce, wspólnie śpiewają i uczestniczą w wystawnej uczcie ku czci ukrzyżowanego męczennika. Przede wszystkim jednak przychodziła dlatego, iż Rachelę obiecała jej, że zły upiór mieszkający w niebieskim kryształce zostanie za

drzwiami – i popołudniami Amelia znajdowała spokój i miłość, i wolność od strachu.

Wszyscy już przysli i szabasowe spotkanie lada chwila miało się rozpocząć. Rachela przygotowywała się do czytania Tory. Wybrała fragment z Księgi Powtórzonego Prawa: „Bo któryż naród wielki ma bogów tak bliskich jak Pan, Bóg nasz, ilekroć go wzywamy?”<sup>1</sup>. Rachela w końcu zerwała z synagogą, gdzie kobieta nie mogła czytać zgromadzeniu fragmentów Tory. Kiedy rabin kazał jej zaprzestać tych praktyk, przypomniała mu, że Miriam była prorokinią i że pomogła wyprowadzić Izraelitów z Egiptu wraz ze swoim bratem Mojżeszem, jako równa mu, a nie podległa.

Zanim zdołała rozwinąć zwój, jeden z wyzwoleńców wpadł do ogrodu. Przybył spóźniony gość! I to jaki! Wśród zebranych wybuchło wielkie poruszenie.

Amelia odwróciła głowę do wiekowej Febe i zapytała:

– Któż to przybywa?

– Ma na imię Maria i znała Pana – odparła z czcią, ale i niedowierzaniem w głosie staruszka, zdumiona, że tak znakomita osobistość zaszczyli swoją obecnością ich skromne zgromadzenie. Maria była jego najbliższą towarzyszką, pierwszym apostołem. Po aresztowaniu Jezusa Piotr i inni mężczyźni wyparli się znajomości z Panem. Tylko kobiety szlochały u stóp krzyża. Zabrały jego ciało i złożyły je w grobie. To one czuwały przed zamkniętym grobem, piotr i reszta zniknęli. Gdy Jezus zmartwychwstał, najpierw ukazał się tej kobiecie. – Wierzę w ducha – dodała staruszka z błyskiem w oku – że kiedy Pan powróci, najpierw przyjdzie właśnie do tej kobiety, do Marii.

Nieznajoma wyglądała raczej niepozornie. Była bardzo stara, drobna, przygarbiona, miała na sobie szatę z samodziału. Chodziła o lasce, podpierana przez młodą kobietę, a gdy zaczęła mówić, jej głos okazał się cieniutki jak skrzydełko motyla. Posługiwała się potoczną odmianą greki z Palestyny, młoda towarzyszką tłumaczyła jej słowa na łacinę. Maria mówiła prosto, ale z serca.

Lipiec był bardzo upalny, muchy bzyczały w ogrodzie, pszczoły brzęczały. Wiał leciutki wietrzyk, ludzie ratowali się wachlowaniem. W kącie ogrodu jakiś starszy człowiek zapadł w drzemkę.

Maria poprosiła najpierw, by wszyscy się z nią pomodlili. Stali z rozłożonymi rękami i głowami odrzuconymi do tyłu, na podobieństwo Ukrzyżowanego. Szeroko otwartymi oczami patrzyli w niebo i głośno śpiewali. Potem kilkoro uczyniło znak krzyża. Po chwili Maria zaczęła opowiadać:

– Mój Pan był najłagodniejszym z ludzi. Kochał małe dzieci i ścisnęło mu się serce na widok choroby, biedy i niesprawiedliwości. Uzdrawiał, błogosławił i nauczał dobra.

---

<sup>1</sup> Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Księga Powtórzonego Prawa (4,7), Warszawa 1990.

W ogrodzie osiadł upał dnia, jak gość, który pragnie wysłuchać opowieści. Przyniósł ze sobą dziwne, senne ciepło, przez co słowa staruszki zamieniły się w hipnotyczną pieśń. Odurzona skwarem i monotonną recytacją Marii Amelia poczuła się tak, jakby wypła nierozcieńczone wino, i po chwili przestała słyszeć słowa, a zamiast tego zobaczyła obrazy. Ujrzała, jak spaceruje z Jezusem po zielonych wzgórzach Galilei; stoi na brzegu jeziora i obserwuje jego kazanie na łodzi rybaka; jak siedzi wśród skał na trawie, podczas gdy on naucza o miłosierdziu, dobroci i nadstawianiu drugiego policzka; jak próbuje jego wina na wzgórzach i czuje uśmiech przechodzącego Jezusa muskający jej twarz.

Maria mówiła o celnikach i kapłanach, o dziewczynce w śpiączce, człowieku o imieniu Łazarz. Amelia jadła rybę i chleb, czuła zapach kurzu na drogach i ścieżkach Palestyny, słyszała stukot kopyt pędzących koni rzymskich żołnierzy.

Ogród przeniósł się w inne czasy, inne miejsca, zabierając ze sobą Amelię. Drżący głos Marii malował żywe obrazy. I nagle...

Był tutaj! W ogrodzie Racheli! Żydowski buntownik i spokojny kaznodzieja, zbrojny fanatyk i Syn Boży... Wszystkie te wizje unosiły się nad rozgrzanymi płytami w ogrodzie, migocząc jak widma, aż w końcu zeszyły się i zamieniły w człowieka.

Amelia skamieniała ze strachu. Słowa Marii, unoszące się w ciężkim powietrzu wśród pszczoł i ważek, sprowadziły między nich człowieka z krwi i kości. Kiedy Maria opowiadała, jak Jezus pytał, czemu ojciec nałożył na niego to brzemie, Amelia widziała zwątpienie w jego oczach i pot na czole. Podczas opowiadania, jak się modlił, Amelia dostrzegła łaskę na jego obliczu. Wszyscy Jezusowie, o których słyszała, byli tu teraz, w zieleni rzymskiego perystylu, w postaci człowieka, nie mitu ani tajemnicy, lecz człowieka zrodzonego z matki, człowieka, którego obarczyły wszystkie nadzieje, wątpliwości i słabości ludzkości.

– A potem został zdradzony – ciągnęła Maria łamiącym się głosem. – Rzymscy żołnierze złorzeczyli mu i go wyśmiewali, poranili mu czoło kolcami i smagali plecy biczem. Potem mój Pan musiał nieść belki swojego krzyża przez Jerozolimę, a ludzie szydzili i rzucali w niego ziemią. Wbito mu gwoździe w nadgarstki i stopy i wzniesiono go na krzyżu. Mój drogi Pan wisiał tam jak żalosne zwierzę, krwawiący i bezradny, upokorzony i pełen wstydu. Gdy muchy zaczęły ciągnąć do jego ran, gdy powietrze opuszczało jego płuca i twarz wykrzywiła się od cierpienia, przemówił. Poprosił swego Ojca, by przebaczył ludziom, którzy mu to uczynili.

Niektórzy zebrani w ogrodzie zaczęli cicho szlochać, i było to bardziej przejmujące niż zawodzenie wszystkich hałaśliwych żałobników na ziemi. Inni byli zbyt zaszokowani, by choć głośniejszym odetchnąć. Amelia czuła wielkie poruszenie. Żadne nauki Piotra ani nawoływania Pawła, ani czytanie zwojów listów i kazań nie uczyniły tego, co te ciche słowa Marii: nie ożywiły Jezusa.

Amelia przyłożyła dłoń do piersi, tam, gdzie uwiązał jej oddech. Zdumiała się, czując coś

twardego pod tkaniną. Potem, gdy sobie przypomniała, co to, wyciągnęła naszyjnik i spojrzała na niebieski kamień. Ujrzała w nim biedaka torturowanego przez rzymskich żołnierzy, biedaka o ciele wyniszczonym po miesiącach wyrzeczeń i ofiar, o twarzy zalanej krwią, pełnej sińców i ran. Ślizgał się i chwiał na kamieniach jerozolimskiej ulicy. Amelia widziała wielu ukrzyżowanych przestępców, nigdy jednak nie dostrzegła w żadnym z nich człowieka, nigdy nie przystanęła, by pomyśleć o tym, co czuje, gdy torturują jego ciało. Jak wielu z nich, jak wielu z tych biedaków na belkach wzdłuż Via Appia było niewinnych? Jak wielu miało rodziny, ukochane kobiety, dzieci, z którymi wiązali wielkie plany? Jak wielu zawisło na krzyżu niezasłużenie, podczas gdy rodzina szlochała u ich stóp?

– Tak – powtórzyła Maria, a jej głos załamał się, gdy wspominała tragedię sprzed trzydziestu lat. – Po tym wszystkim, co wycierpiał, nasz Pan poprosił Boga, by przebaczył jego oprawcom.

Amelia poczuła ucisk w gardle. Przez łzy widziała niebieski kryształ; odniosła wrażenie, że topnieje w jej dłoni. „Jezus po tym, co mu uczyniono, zanim umarł, prosił swego boga, by przebaczył ludziom, którzy go tak potraktowali”. Nagle wyraźnie ujrzała serce kryształu. To wcale nie był duch egipskiej królowej ani Szymon Piotr podczas modlitwy, lecz Jezus na krzyżu, z rozpostartymi rękami, gotów ją przygarnąć. Tak jak przepowiedział augur!

Amelia krzyknęła. Przez tyle tygodni nosiła go na piersi – mężczyznę o rozpostartych ramionach – i nic o tym nie wiedziała.

Została ochrzczona.

Wszyscy pojawili się na ceremonii, a potem przyszła pora na ucztę. Odmawiali modlitwy, śmiejąc się i płacząc, gdy Rachela odprawiła chrzest w swojej fontannie. Po jej policzkach spływały łzy radości, tak jak woda spływała po głowie Amelii. Nie miało dla niej znaczenia, że jej rodzina nic nie wie o tym religijnym nawróceniu. Nie zrozumieliby, więc nawet nie próbowała im wyjaśniać. Pomyślała, że może kiedyś opowie bliskim o swoich doświadczeniach, może zdoła przekonać któreś z dzieci – albo wszystkie – do nowej wiary. Na to liczyła w sekrecie: że ujrzy Kornelię i innych, jak klęczą radośnie przy fontannie Racheli.

– Co to ma być? – usłyszała głos Korneliusza. Jak zwykle przemówił bez powitania.

Amelia doglądała kwiatów, zastanawiając się, czy letnie róże zawsze pachniały tak upojnie. Miała wrażenie, że widzi świat całkiem na nowo, jak podobno ewangelista Paweł, kiedy łuski opadły mu z oczu. Wszystko nabrało nowych barw, pojawiły się nowe brzmienia. Wszystko rozkwitło, jak te róże. Postanowiła, że przygotuje bukiet dla Febe, która się przeziębiła, i ją odwiedzi. Członkowie domowych kościołów musieli odwiedzać Bikur Cholim – wielką micwę, czyli dobry uczynek, polegający na odwiedzaniu chorych – ale Amelia nie traktowała tego jak obowiązku. Zaczęła uważać Febe za swoją siostrę.

Wiara Amelii nie była jeszcze tak ugruntowana jak wiara Racheli. Nadal czuła zakłopotanie.



Nie potrafiła tego nikomu wyjaśnić, nie znajdowała odpowiednich słów. Całkowita akceptacja nie przyszła od razu. Wiele trzeba było jeszcze przemyśleć. Na przykład koncepcję wszystko widzącego, ale niewidzialnego boga. Nie miał posągów, nie miał wizerunków. Amelia nigdy dotąd nie modliła się do ducha. Niebieski kryształ pomagał, widziała w nim ukrzyżowanego Odkupiciela. Inni członkowie domowego kościoła także wykorzystywali wizerunki bogów – ludzie uwielbiali znajome i krzepiące symbole i nie widzieli żadnych powodów, by z nich rezygnować: Gaspar modlił się do posążka Dionizosa, który sam był ukrzyżowanym bogiem-zbawicielem; Jafet nadal nosił dawny krzyż Hermesa; nowy przybysz z Babilonu, który kiedyś czcił Pasterza Tamuza, namalował niewielkie malowidło na murze w ogrodzie Racheli, przedstawiające Jezusa jako pasterza z jagnięciem na barkach. Także to, że istnieje tylko Bóg, bez Bogini, trudno było Amelii zaakceptować; przecież w przyrodzie występuje zarówno pierwiastek żeński, jak i męski. I podobnie jak ci chrześcijanie, którzy nadal modlili się do Izis, Amelia wciąż wierzyła w Błogosławioną Dziewicę Junonę. Wielu zasad nowej wiary jeszcze nie rozumiała, ale w jedno nie wątpiła: Jezus przebaczył jej grzechy i słabość, i czekało na nią nowe życie.

– Amelio – powtórzył niecierpliwie Korneliusz. – Co to ma znaczyć?

– Dzień dobry, Korneliuszu. – Nie odwróciła się.

– Chcę wiedzieć, co to ma być.

– Jest coś interesującego w letnich różach – powiedziała, zerkając na kruche płatki w swoich dłoniach. – Zawsze uczono mnie, że należy usuwać wszystkie zwiędłe pąki, żeby roślina ponownie rozkwitła. Ale nie wszystkie róże kwitną ponownie. Wiedziałaś to? Niektóre kwitną tylko na wiosnę, i nawet jeśli zerwiesz wszystkie stare pąki, nic to nie da. Ale wśród tych, które kwitną ponownie, takich jak te róże herbaciane, usuwanie starych kwiatów zdecydowanie pomaga rozkwitać nowym.

– Amelio – powtórzył ze złością. – Odwróć się, kiedy do ciebie mówię.

Posłuchała, a on zauważył błysk błękitu na jej dekolcie. Nie kryła naszyjnika pod suknią.

– Nie uważasz, że to interesujące, Korneliuszu? – zapytała. – Że usuwanie martwych kwiatów przyspiesza wzrost świeżych?

– Powiedz mi, co to jest. Popatrzyła na zwój w jego ręce.

– Wygląda jak zwój, Korneliuszu.

– To zestawienie rachunkowe czynszów zebranych w budynku w dziesiątej dzielnicy. Czy też raczej niezrebranych czynszów. Nie nalegałaś, by lokatorzy zapłacili. Dlaczego?

– Bo nie mogą. Są tam matki z dziećmi, których nie ma kto utrzymywać. Są wyzwolenicy bez pracy. Chorzy i starcy. Nie stać ich na czynsz.

– To już nie jest nasze zmartwienie. Chcę, aby natychmiast je zebrano.

– Budynek należy do mnie, Korneliuszu. Ja będę decydowała o czynszach.

Jej słowa, jej ton na chwilę odebrały mu mowę. Potem rzekł:

– Nigdy nie miałaś zmysłu do interesów, Amelio. Poślę tam Fila ze strażnikiem miejskim, by zebrali te pieniądze.

– Budynek należy do mnie – powtórzyła, tym razem bardziej stanowczo. – Ojciec zostawił go mnie. Jestem jego prawną właścicielką. Ja decyduję, kto płaci czynsz, a kto nie.

– Czy zdajesz sobie sprawę, ile pieniędzy tracimy?

Zmierzyła go wzrokiem, przyglądając się eleganckiej białe toczce, obramowanej fioletem i starannie ułożonej.

– Najwyraźniej od tego nie zgłodniałaś.

Jego oczy zabłyśły.

– Jak sobie chcesz. – Uderzył dłonią o zwój, jakby chciał podkreślić wagę swych słów. – Sam zbiorę czynsze.

Z pomocą rosnących i silnych strażników przez miesiąc wymuszał wygórowane opłaty od przestraszonych lokatorów, Amelia jednak w jedno popołudnie zwróciła im pieniądze.

– Wszyscy nasi przyjaciele o tym rozprawiają, Amelio. Zrobiłaś ze mnie pośmiewisko. – Znowu byli w ogrodzie. Korneliusz miał srogi wyraz twarzy.

– Korneliuszu... – Mówiła tonem, którym często strofowała małego Lucjusza. – Mówiłam ci, że nie zbiorę czynszu od tych ludzi. Nie zrobię tego, dopóki ich sytuacja się nie poprawi.

Zmrużył oczy i spojrzał na naszyjnik.

– Nie wiem, co w ciebie wstąpiło, ale myślę, że na pewien czas będziesz musiała pozostać w domu. Nie zobaczysz się ze swoją Żydówką. – Już miał wyjść, ale przystanął. – Amelio? Słyszałaś mnie?

– Tak, Korneliuszu. Słyszałam.

– Doskonale. Zatem wszystko jasne. Nie odwiedzisz Żydówki.

Kiedy patrzyła na Korneliusza, pomyślała o wierze Racheli w nadchodzący koniec świata. Większość chrześcijan podzielała to przekonanie i mnóstwo debat podczas szabasowych spotkań dotyczyło tego, co się wtedy stanie. Czy świat spłonie? Czy nastąpią trzęsienia ziemi i powodzie? Czy narody powstaną i zaczną walczyć, aż pozostaną tylko zbawieni? Wielu oczekiwało aniołów z trąbami, inni zarazy i śmierci. Amelia zastanawiała się, jak by zareagował Korneliusz w takiej sytuacji. Wyobraziła go sobie, krocącego dumnie niczym paw, jak w sądzie, i wrzeszczącego: „Chwileczkę, nie możecie tego zrobić!”. Powstrzymała uśmiech.

– Amelio? Słyszałaś mnie?

– Tak, Korneliuszu, słyszałam.

– Doskonale. Już nigdy nie pójdziesz do domu Żydówki. – Znowu skierował się do wyjścia, po czym znieruchomiał. – Amelio?

– Tak, Korneliuszu?

Jego oczy powędrowały do dekoltu żony, na którym dumnie spoczywał egipski naszyjnik,

a niebieski kryształ błyszczał w słońcu.

– Uważasz, że to ci przystoi? – zapytał, wskazując na kamień.

Spojrzała w dół.

– To dar od ciebie, Korneliuszu. Nie chcesz, żebym się nim chwaliła?

Tamtego pamiętnego dnia objawienia, po wyjściu Marii, Amelia spytała Rachelę, jak mogłaby otrzymać to przebaczenie, o które prosił Jezus dla swoich oprawców, i ze zdumieniem dowiedziała się, że nie trzeba wносить opłat świątynnych ani składać ofiary ze zwierząt. Niepotrzebny był jej pośrednik – ani kapłanka, ani kapłan.

– Po prostu przemów wprost do Boga – poradziła jej Rachelę. – Proś go o przebaczenie, szczerze, z serca, a je otrzymasz.

Kiedy wyszła od przyjaciółki, kłębiły się w niej rozmaite emocje. Zadowolona, że nikogo nie ma w domu, ruszyła prosto do swojego osobistego azylu, małego ogrodu z fontanną i posągami Izis, i długo rozmyślała nad tym, co się wydarzyło. Początkowo przepelniała ją Wściekłość na ludzi, którzy torturowali niewinnych. Potem jej gniew skoncentrował się na kimś konkretnym: na Korneliuszu, który nie chciał jej przebaczyć. Rankiem obudziła się, czując nową moc. Już nie była to furia, ból ani zmieszanie, opuściła ją słabość i bezradność. Dzień rozpoczęła jako całkiem nowa osoba. Nie ukryła naszyjnika pod suknią. Jeśli mam być napiętnowana, niech widzi to cały świat – pomyślała.

Korneliusz zmrużył oczy. Drażnienie się z nim nie było w stylu Amelii. Postanowił na razie nie poruszać kwestii naszyjnika.

– A więc to jasne – powiedział. – Więcej nie zobaczysz Żydówki. – Czekał. – Słyszałaś?

– Słyszałam.

– I będziesz posłuszna?

– Nie, Korneliuszu. Nadal zamierzam odwiedzać swoją przyjaciółkę Rachelę.

– Amelio!

– Słucham, Korneliuszu?

Po raz pierwszy zauważyła, że zaczesał włosy na czoło. W Rzymie łysinę uważano za oznakę słabości. Mężczyźni zadawali sobie wiele trudu, żeby ją zatuszować, ci sami mężczyźni, którzy wyśmiewali się z żon, że tyle czasu poświęcają fryzynom. To spostrzeżenie zdumiało Amelię, ale nie czuła pogardy dla męża, jedynie litość. Popiersia Juliusza Cezara dowodziły, że miał bardzo rzadkie włosy. Był jednak bohaterem, nikt nie myślał o łysinie, podziwiano człowieka. Chciała powiedzieć Korneliuszowi, który spędzał wiele godzin z grzebieniem i olejami: wypole-ruj sobie czaszkę, niech lśni, a potem spróbuj być wielkim człowiekiem.

– Zabraniam ci tam chodzić.

W milczeniu przyglądała się różom.

– Amelio, czy mnie słyszałaś?

– Nie jestem głucha, Korneliuszu.

– Zatem nie pójdziesz więcej do domu Racheli.

Wciąż obcinała kwiaty i kładła je do koszyka. Korneliusz zmarszczył brwi.

– Źle się czujesz?

– Czemu tak sądzisz, Korneliuszu?

– Masz gorączkę?

– Nie.

– No to dlaczego zachowujesz się tak dziwnie?

– Dziwnie?

– Co się z tobą dzieje? – ryknął i natychmiast tego pożałował. Korneliusz szczyił się tym, że nigdy nie traci zimnej krwi. Mimo wysiłków wyćwiczeni mówcy i zręczni prawnicy dotychczas nie zdołali wyprowadzić go z równowagi. A teraz udało się to jego żonie. Nie mógł tego znieść.

– Słyszałaś – powiedział na koniec. Obrócił się na pięcie i odmaszerował.

Ta zdumiewająca wymiana zdań nurtowała go przez całe popołudnie i wieczór, ale nie zamierzał dać się wciągnąć w jej gierki. Wiedział, że może być spokojny. Za nic na świecie Amelia nie odważyłaby się mu sprzeciwić.

A jednak następnego ranka właśnie to uczyniła.

– Gdzie pani Amelia? – spytał Fila.

– Wyszła, panie.

– Dokąd?

– Tam, gdzie zawsze, panie. Do domu Żydówki.

Korneliusz poczerwieniał. Ośmieliła się postąpić wbrew jego woli. Drugi raz jej się nie uda. Tego wieczoru czekał na jej powrót.

– Zdejmij ten naszyjnik – nakazał.

– Polubiłam go.

– Wiem, że to jakaś intryga, która ma mnie zmusić do przebaczenia ci...

– Nie, Korneliuszu, nie potrzebuję twojego przebaczenia. Przebaczył mi już ktoś o wiele ważniejszy od ciebie.

– Kto? – Roześmiał się z przekąsem. – Żydówka? Zdejmij go, Amelio.

– Jeśli jestem napiętnowana jako cudzołożnica, Korneliuszu, niech cały świat dowie się o mojej hańbie.

– Chcę, żebyś go zdjęła.

– Przecież pragniesz, żebym pamiętała o swoim grzechu, prawda?

– Chodzi o to przekłete dziecko, tak?

– Przekłete? – Amelia uniosła brwi. – Mówisz o naszej córce, naszym ostatnim dziecku?

Tak, myślę, że to, co dzieje się teraz, zaczęło się wtedy, przed sześciu laty. Staralam się być po-

słuszna, gdy wyrzuciłeś naszą córkę, ale byłam zrozpaczona. A ciebie to nic nie obeszło, Korneliuszu. Szukałam więc pociechy w ramionach innego mężczyzny. Może źle zrobiłam, nie wiem. Wiem jednak, że to, co uczyniłeś mojemu dziecku, z pewnością było złe.

– Prawo stanowi...

– Nie obchodzi mnie, co stanowi prawo. – Podniosła głowę. – To mężczyźni tworzą prawa. Dziecko należy do kobiety i do nikogo więcej. Nie wolno ci było wyrzucać mojego dziecka, by umarło.

– Ależ wolno było, oczywiście że wolno – odparł lekceważąco.

– Nie. To prawo mężczyzn, prawo wymyślone przez nich. Narodziny dziecka to prawo natury, żaden człowiek nie może tego zmienić.

Odwróciła się do wyjścia.

– Zostań, Amelio. Nie skończyłem jeszcze z tobą rozmawiać.

Ona jednak już odeszła.

Obnoszenie się Amelii z niebieskim kryształem stało się przedmiotem plotek w towarzystwie. Znowu zaczęły krążyć żarty o Korneliuszu. Wreszcie zażądał, by oddała mu naszyjnik, a ona odmówiła. Na wszelki wypadek każdej nocy ukrywała go pod poduszką, Korneliusz więc, chcąc go odebrać, musiałby ją zbudzić. Nigdy jednak nie próbował.

Gdy następnym razem mieli okazję porozmawiać, Korneliusz polecił niewolnikom, żeby spakowali rzeczy. Czekala ich przeprowadzka na wieś. Amelia doszła do wniosku, że Korneliusz znowu ją karze, ale zaprzeczył:

– Wybuchła epidemia malarii. Dopóki nie osuszą Pola Marsowego, nie jesteśmy bezpieczni.

Chyba mówił prawdę. Malaria trapiła miasto od wieków. Nikt nie wymyślił jeszcze, jak całkowicie zlikwidować zarazę, zauważono jednak, że kiedy błota na Polu Marsowym zostają osuszone, nie atakuje tak zawzięcie. Salomon, mąż Racheli, twierdził, że choroby nie powoduje złe powietrze, jak sugerowała jej nazwa, *mala aria* – lecz bagienne komary. Salomon był jednak Żydem i urzędnicy miejscy nie chcieli go słuchać.

Ostatecznie Amelia przekonała się, że przeprowadzka nie ma nic wspólnego z jej niedawnym oporem. Korneliusz nalegał, by reszta rodziny również przeniosła się na wieś – Kornelia z dzieckiem i młodym mężem, bliźnięta z rodzinami, Korneliusz Młodszy z żoną i dwójką potomków, Gajusz oraz Lucjusz, adoptowany syn, wraz z psem. W towarzystwie nianie i nauczycieli, osobistych służących i świty złożonej z niewolników i straży, klan Witeliuszów opuścił Rzym wczesnym czerwcowym porankiem. Większość z nich cieszyła się na myśl, że przez pewien czas odpoczną od upału, odoru i hałasów miasta.

Tylko Amelia miała złe przeczucia.

Mimo że w posiadłości Witeliuszów, jak we wszystkich bogatych rzymskich domach, specjalna grupa niewolników zajmowała się przędzeniem, tkaniem i szyciem ubrań dla rodziny, Amelia po staroświecku uważała, podobnie jak większość rzymskich matron, że to jej obowiązek.

Siedziała w cieniu sykomory w wiejskim ogrodzie, z torbą wełny u stóp, gręplując włókna przed przędzeniem. Nie była sama. Obie córki i synowe, każda z kołyską albo wrywającym się niemowlakiem, Gajusz, Lucjusz i inni mali chłopcy oraz dziewczęta, dzieci niewolników, zgromadzili się wokół niej, by posłuchać opowieści o człowieku imieniem Jezus i trzech magach, którzy przynieśli mu dary przy narodzinach.

To także różniło wyznawców nowej wiary. Żydowski chrześcijanie kładli nacisk na posłuszeństwo Bogu i bożym prawom, chrześcijanie-goje domagali się opowieści o swoim Zbawicielu. Niewiele było wiadomo o życiu Pana; zanim podjął swoją misję, żyła zaledwie garstka osób, które go znały, wyznawcy więc chętnie uzupełniali luki tym, co ich zdaniem pasowało do wizerunku Jezusa. Innych bogów-zbawicieli, na przykład Dionizosa, Mitrę, Krysznę, odwiedzali przy narodzinach magowie i pasterze, Jezusa więc na pewno też, to miało sens. Zresztą co za różnica, czy te opowieści były zgodne z prawdą, czy nie? Powszechnie znane, ułatwiały nowym wyznawcom zrozumienie i przyjęcie nauki Jezusa.

Amelia skończyła opowieść. Mały Lucjusz zerwał się na nogi i obejmując ją, zapytał:

– Czy Jezus kocha i mnie, matko?

– Dzieci, idźcie się bawić – warknęła nagle Kornelia i oznajmiła, że jest tu zbyt gorąco dla dzieci. Jej siostra i szwagierki, znudzone opowieściami i upałem, zabrały maluchy i odeszły ku domowi, bliżej fontann. Kornelia jednak pozostała pod drzewem. Kazała jednemu z niewolników przynieść więcej chłodnego wina, a drugiemu szybciej wymachiwać wachlarzem z piór strusia. Poruszając kołyską, w której wierciło się owinięte wilgotną szmatką dziecko, powiedziała:

– Miałam w nocy sen. Coś złego dzieje się w mieście.

To zaniepokoiło jej matkę. Sny były istotne, nie należało ich lekceważyć.

– To nie było nic konkretnego. – Kornelia zmrużyła oczy, zerkając na mur ogrodu, jakby widziała poza nim, wiele kilometrów i wzgórz dalej, Rzym nękany lipcowym upałem. – Szkoda, że nie ma z nami taty.

– Zatrzymały go obowiązki.

– Obowiązki! – prychnęła Kornelia. – Jest w Rzymie ze swoją kochanką. Wiedziałaś, matko, że tata ma kochankę, prawda?

Amelia to podejrzewała. Korneliusz był obdarzony zdrowym seksualnym apetytem, a ponieważ od lat nie odwiedził jej łoża, uznała, że gdzie indziej znajduje spełnienie. Znowu zaczęła gręplować wełnę.

– Jak możesz to znosić?

Amelia patrzyła na córkę. Kornelia zachowywała się jak skrzywdzona kobieta, zupełnie jakby to ją zdradzano.

– To, co robi twój ojciec, to jego sprawa.

– Wiesz, kto to, prawda? Lucylla. Zabrał ją ze sobą do Egiptu. Wiedziałaś?

Amelia nie chciała o tym rozmawiać. Po pierwsze, nie było to w dobrym tonie, po drugie, uważała, że Kornelii nic do tego. Kornelia przyjrzała się matce. Zmarszczyła brwi.

– Utyłaś – zauważyła.

Amelia spojrzała na swój brzuch. Rzeczywiście, była pulchna. Ale która kobieta po dziesięciu ciążach wyglądała inaczej?

– To przychodzi z wiekiem, Kornelio – powiedziała, dziwiąc się tej niespodziewanej krytyce.

– Tak czy owak, nie wygląda to dobrze. – Kornelia niecierpliwie machnęła na mamkę, żeby zabrała rozmarudzone dziecko. – I jeszcze ta nowa religia. Czczenie martwego Żyda. To niestosowne.

Amelia przerwała gręplowanie.

– Kornelio, dlaczego jesteś na mnie zła?

– Nie jestem na ciebie zła.

– Coś ci jednak popsło humor.

Kornelia, młodziutka dziewczyna nienawidząca monotonii wiejskiego życia, odpędziła pszczołę.

– Kochanka taty. Ty go do tego doprowadziłaś.

– To sprawa między twoim ojcem a mną.

– Dlaczego nosisz ten naszyjnik? Nie powinnaś się z nim afiszować.

Amelia stłumiła niecierpliwość.

– To dar od twojego ojca.

– Doprawdy, matko, nie jestem dzieckiem. Wiem, dlaczego ci go dał. Wszyscy w Rzymie wiedzą. Nie wypada, żebyś się z nim tak obnosiła.

Amelia przejechała ręką po gręplowanej wełnie, czując pod palcami pokrywający ją tłuszcz. Tego, co się wydarzyło sześć lat temu, nigdy nie poruszały w rozmowach. Miała nadzieję, że tak pozostanie.

– Cóрко, skarbie... – zaczęła.

– Nie próbuj się bronić – przerwała Kornelia. Odgarnęła zabłąkany lok z szyi, z powrotem wpychając go do koka. – Odsunęłaś od siebie tatę – burknęła kapryśnie. – To tylko mężczyzna. Swoją niewiernością popchnęłaś go w ramiona innej.

– Kornelio!

– To prawda. Inaczej tata nigdy nie popełniłby cudzołóstwa.

Wzburzona Amelia wpatrywała się w córkę.

– I nadal się z nią widuje – dodała ze złością Kornelia. – To wszystko twoja wina.

– To, co robi twój ojciec w wolnym czasie...

– Jest coś jeszcze. Ten chłopak, Lucjusz. – Mówiła o adoptowanym przez Korneliusza dziecku.

Amelia popatrzyła na chłopca, który rzucał psu patyki.

– O co chodzi?

– Nazywa cię matką.

– Bo jestem nią, przynajmniej wobec prawa – odparła Amelia i nagle ogarnęło ją bardzo złe przeczucie. – To krewny – dodała z trudem. – Jego rodzice pochodzili z rodu Witeliuszów.

– Matko, jak możesz być tak ślepa!

I nagle wszystko stało się jasne. Amelia przeczuwała to od pewnego czasu, choć usiłowała nie zwracać na to uwagi, powtarzając sobie, że podobieństwo chłopca do jej męża wynika z dalekiego pokrewieństwa. Teraz jednak domyśliła się, o co chodzi Kornelii: Lucjusz jest synem Korneliusza.

Zacisnęła palce na naszyjniku, czerpiąc pociechę z twardości niebieskiego kryształu pod palcami, i odmówiła niemą modlitwę: „Boże, daj mi siłę...”.

– Nie będziemy o tym rozmawiać – powiedziała łamiącym się głosem, sięgając po wełnę.

– Nie przeszkadza ci, że Lucjusz to syn Lucylli? Wszyscy w Rzymie wiedzą, że ojciec adoptował bękartą kochanki i wciąż się z nią widuje.

– Dość! – przerwała Amelia. Po raz pierwszy zauważyła wyraźne, aż nienaturalne podobieństwo Kornelii do ojca. Kiedyś dziewczyna miała łagodniejsze rysy, bardziej litościwą twarz. Z biegiem jednak lat nauczyła się rozdymać nozdrza i zaciskać usta w wiecznej dezaprobachie, zupełnie jak mąż. – Kornelio, co takiego uczyniłam, że mnie nienawidzisz?

Dziewczyna odwróciła wzrok.

– Zdradziłaś tatę.

– Po tym, jak wyrzucił moje dziecko. – I tego tematu nie uniknęły.

– Dobrze zrobił! Było kalekie! To ty musiałaś zrobić coś złego! Amelia ze zdumieniem spostrzegła, że jej córka jest bliska łez.

– To twoja wina. Dziecko... wszystko! – wykrztusiła Kornelia. W tej samej chwili z domu wypadł niewolnik, krzycząc:

– Pani! Pani! Miasto płonie!

Obserwowali ogień przez sześć dni, oczekując biegaczy, którzy dzień w dzień dostarczali wiadomości. W willi wrzało, codzienne czynności zamarły, gdy rodzina i niewolnicy wspięli się na dach i ujrzeli w oddali czerwone niebo. Płonący Rzym...



Czy to koniec świata? – zastanawiała się Amelia. Czy właśnie to wieszczyła Rachela i jej przyjaciele? Czy Jezus zamierza wkroczyć do Rzymu?

Korneliusz przysłał wiadomość, że nic mu nie jest. Pojechał do Ancjum, by przekazać nowinę cesarzowi. Amelia martwiła się jednak o swoich przyjaciół: o starą i niesprawną Febe, o niemowę Jafeta, który nie mógł wzywać pomocy, i o jednorękiego Gaspara. Czy zdołali uciec przed płomieniami?

Później dowiedzieli się, że ogień wybuchł w cyrku, skąd przeniósł się na Palatyn i Celius. Zajmował sklepy z łatwopalnymi towarami, rozniecany podmuchami wiatru. Pożoga nasilała się, nie powstrzymywały jej żadne otoczone murami posiadłości ani świątynie. Najpierw ogień rozprzestrzenił się po płaskiej powierzchni, potem wspiął na wzgórze, lekceważąc wysiłki ludzi usiłujących go stłumić. Wąskie, kręte uliczki miasta i stojące bezładnie budynki ułatwiały mu zadanie. Najgorsza jednak była panika; ulice i aleje tarasowały tłumy ludzi, którzy za wszelką cenę pragnęli uciec. Naoczni świadkowie donosili o panującym chaosie, przerażona tłuszcza za-deptywała na śmierć słabszych. Krzyczący ludzie biegali bezradnie po zadymionych ulicach, w końcu natrafiając na ścianę ognia. Wtedy uciekali do sąsiednich dzielnic, a ogień podążał za nimi, jak żywa istota. W końcu przerażone masy zablokowały wiejskie drogi, wylewając się na pola i farmy.

Dochodziły dziwne wieści o bandach uniemożliwiających strażakom zduszenie ognia. Niektórzy jawnie rzucali pochodnie, twierdząc, że działają na rozkaz. Poza tym rozpoczęło się odrażające i niepowstrzymane plądrowanie. Ludziom leżącym na ulicy, jeszcze żywym, zabierano ubrania i biżuterię. Tych, którzy próbowali bronić swoich domostw, zarzynały bandy rabusiów.

Kiedy Neron powrócił do płonącego miasta, głosząc wszem i wobec, że opuścił bezpieczną kryjówkę w Ancjum, ryzykując życie z miłości do ukochanego ludu, otworzył przed bezdomnymi masami Pole Marsowe, publiczne budynki Agrypy, a nawet własne ogrody. Kazał sprowadzić żywność z okolicznych miast, obniżono cenę zboża. Nie zyskał jednak poklasku. Wcześniej rozeszła się plotka, że podczas pożaru Neron występował przed swoimi przyjaciółmi, śpiewając o zagładzie Troi. I jeszcze gorsza wieść: że sam cesarz, pragnąc zbudować nowe miasto, kazał podłożyć ogień.

Szóstego dnia szalejące płomienie napotkały jałową ziemię i otwartą przestrzeń, i w końcu wygasły u stóp Eskwilinu. Z czternastu dzielnic Rzymu tylko cztery pozostały nietknięte. Trzy spłonęły doszczętnie. Policzenie spalonych posiadłości, domów i świątyń było niemożliwe, nie dało się też zliczyć bezdomnych, osieroconych dzieci, wdów i wdowców.

Przez tydzień Amelia czuła ucisk w gardle na myśl o swoich przyjaciółach, niecierpliwie czekała na jakąkolwiek wiadomość. Wróciłaby do Rzymu, ale musiała myśleć o własnej rodzinie. Strumień uchodźców z miasta tłoczył się na drogach i zebrał pod willami bogaczy. Otworzyłyby im drzwi, gdyby wśród poszkodowanych nie było przestępców, zbójców, którzy, korzystając

z tragedii, wędrowali na wieś, napadali na wędrowców i domy, aż wreszcie wysłano kohortę żołnierzy, by przywrócić porządek.

Amelia wiedziała, że dopóki nie dostanie wiadomości od Racheli, może tylko czekać, martwić się i modlić.

Korneliusz przyjechał, by ich zawiadomić, że większość wzgórze spłonęła, ale ich dom ocalał, choć też ucierpiał od dymu. Kazał natychmiast zbudować nową rezydencję. Tymczasem cała rodzina miała pozostać na wsi, gdzie powietrze i woda były świeże i czyste, a ludzie wolni od chorób szalejących w zniszczonym mieście.

Minął niemal rok, zanim wrócili, wcześniej jednak Amelia otrzymała list od Racheli. Jej dom też pozostał cały, a większość członków domowego kościoła, Bogu niech będą dzięki, nie ucierpiała w pożarze. Kontynuowali szabasowe spotkania i modlili się za Amelię. Rachela zdołała także przysyłać do przyjaciółki gości i listy od Pawła. Korneliusz większość czasu przebywał w mieście, Amelia mogła więc zorganizować niewielki domowy kościół i zaprosiła do niego rodzinę oraz niewolników. Kornelia nie chciała mieć nic wspólnego z działalnością matki. Brzemenna po raz wtóry, przeniosła się do letniego pawilonu dobudowanego do willi i tam podejmowała własnych przyjaciół.

Tymczasem Rzym odbudowano. Wielu na tym skorzystało. Neron zatrudnił prywatnych przedsiębiorców, żeby ich statki zbożowe wracające Tybrem usunęły gruzy na bagna Ostii. Nakazał, by część każdego nowego budynku zbudowano z ognioodpornego kamienia z Alby. Właściciele domów zobowiązano do trzymania w domu sprzętu przeciwpożarowego. Rzym dźwięczał pieniędzmi zmieniającymi właścicieli.

Amelię zaczął dziwić radosny nastrój Korneliusza. Za każdym razem gdy odwiedzał willę, oświadczał, że po odbudowie Rzymu będą niewiarygodnie bogaci. To jego statki zdobyły wyłączność na przywóz nowych materiałów budowlanych. Chwalił się, że miał wycucie, monopolizując rynek wydobycia i dostaw kamieni z kamieniołomów. Przypomniała sobie, jak nalegał, by cała rodzina wyjechała na wieś, w jakim pośpiechu się wynosili. Zaczęła prześladować ją straszna myśl: czyżby Korneliusz wiedział, że wybuchnie pożar?

Wreszcie nadszedł dzień powrotu do miasta. Nikt nie był szczęśliwszy od Amelii.

Mogli go ukraść. – Korneliusz zmarszczył brwi na widok niebieskiego kryształu, który lśnił bezwstydnie na piersi Amelii. – Jakiś złodziej mógł zerwać ci go z szyi. Powinnaś zostawić naszyjnik w domu, Amelio. Ona jednak jak zwykle odpowiedziała tylko:

– To dar od ciebie, zawsze będę go nosiła.

– Przynajmniej ukryj go pod suknią.

Nie uczyniła żadnego ruchu, by schować kryształ.

W lektyce przybyli do wielkiego cyrku na Watykanie. Dziś był ważny dzień dla cesarza, zgromadził się tu cały Rzym. Amelia nie chciała iść, ale wiedziała, że cesarska rodzina zauważy jej nieobecność. Poza tym Korneliusz był jednym ze sponsorów występów: nie mogła ich opuścić. Nigdy nie lubiła walk gladiatorów ani zabijania dzikich zwierząt. Postanowiła jakoś przez to przebrnąć: Korneliusz obiecał, że jutro będzie mogła iść do Racheli.

Przebywali w Rzymie od niespełna tygodnia, Amelia nie zdołała się jeszcze dowiedzieć, co z jej chrześcijańskimi przyjaciółmi. Jak obiecał Korneliusz, nowy dom na Awentynie był jeszcze bardziej przestronny i luksusowy od poprzedniego i Amelia miała pełne ręce roboty z wyborem mebli oraz malowideł ściennych i kupnem nowych niewolników. Potem Korneliusz oznajmił, że Neron urządza igrzyska w podzięcie bogom za ponowne narodziny miasta.

Nieprzebrane tłumy płynęły przez pochylnie i amfiteatralnie ustawione rzędy siedzeń, przepychając się i śpiesząc, by wypełnić górne miejsca z widokiem na wielką arenę. W podnieceniu i hałasie, lekceważąc dobre maniery, siedzieli tam stłoczeni ludzie. Wrzeszczeli, śmiali się i pocili, spragnieni rozrywki. Pierwsze rzędy wypełniali senatorzy, kapłani, urzędnicy i inni oficjalni goście. W następnych tłoczyli się bogaci i ważni. Tam klan Witeliuszów miał prywatną lożę.

Przybyła cała rodzina. Za Korneliuszem i Amelią siedziała Kornelia z mężem, Korneliusz Młodszy z żoną, bliźnięta z małżonkami, a także Gajusz i Lucjusz. Młode kobiety już plotkowały, kto przyszedł i z kim; kto ubrał się w szaty o niestosownych barwach, ma niemodną fryzurę, kto wygląda starzej, grubiej, mniej atrakcyjnie. Amelia usiłowała zignorować obecność pięknej wdowy Lucylli, która siedziała zaledwie dwie łóże dalej, jako gość senatora. Farbowane na blond włosy Lucylli lśniły w słońcu, podobnie jak jej oszałamiająca suknia i etola z różowego jedwabiu.

Od dnia, w którym wybuchł Wielki Pożar, Amelia i Kornelia nie rozmawiały o kochance Korneliusza, ale Amelia czuła, że ta sprawa nie pozwala im zbliżyć się do siebie.

Nieskazitelnie błękitne niebo wisiało nad ich głowami; później widownia schroniła się przed słońcem pod markizy. Nad tłumem płynęły apetyczne zapachy, kupcy przygotowywali potrawy na sprzedaż: wieprzowe kiełbaski i gorący chleb, pieczone gołębie i rybę gotowaną na parze, ciepłe placki owocowe i ciastka z miodem. Mimo hałasu słychać było ryk przestraszonych i niespokojnych zwierząt w klatkach. Tłum był bardzo podniecony. Rozeszła się pogłoska, że Neron przygotował na dzisiaj wyjątkową niespodziankę, którą zarówno on, jak i sponsorzy utrzymywali w tajemnicy. Nie było ani jednego wolnego miejsca, gdy fanfary oznajmiły przybycie rodziny cesarskiej. Spóźnialscy musieli stać na ostatniej kondygnacji stadionu, a i ona była przepelniona ludźmi. Przy wejściu na arenę wybuchły zamieszki, gdy rozwścieczony motłoch dowiedział się, że zabrakło miejsc. Strażnicy włóczniami i maczugami rozpedzili rozrabiaków, przy okazji kilka osób zdeptano. Normalny dzień w cyrku.

Igrzyska zaczęły się wielką pompą, od fanfar i religijnych ceremonii. Miały one korzenie w rytualnych ofiarach składanych przed wiekami bogom. Kapłani i kapłanki szlachtowali jagnięta i zabijali gołębie, poświęcając je Jowiszowi, Marsowi, Apollinowi i Wenus. W powietrzu unosił się zapach kadzideł, piach spryskano wodą święconą. Wszyscy widzowie zdawali sobie sprawę, że igrzyska to nie tylko rozrywka, że taki krwawy sport jest niezbędny dla zdrowia i powodzenia imperium.

Przybył Neron, uroczyście krocząc po piasku. Przywitał go dziki entuzjazm tłumu. Zasiadł w cesarskiej łoży i dał znak do rozpoczęcia igrzysk. Po sygnale trąb zaczęła się pantomima, po niej wystąpili iluzjoniści oraz magicy, akrobaci i klauni, tańczące niedźwiedzie i dzielni woltyżerzy, trupy tancerek w przepysznych strojach, maszerujące orkiestry i parady słoni, żyraf oraz wielbłądów. Wesole przedstawienie ze strusiami, które trzymano w zamknięciu tak długo, że po uwolnieniu biegały jak oszalałe wokół areny, okazało się wielkim sukcesem – nagle pojawili się łucznicy i dotąd strzelali z łuków do przestraszonych, komicznych ptaków, aż padły wszystkie. Przyszła kolej na bardziej krwawe rozrywki: walki gladiatorów, zabijanie dzikich zwierząt, odtworzenie bitew. Piach zabarwił się na karmazynowo. Między widowiskami niewolnicy z hakami i łańcuchami ściągali trupy z areny i rozsypywali świeży piach, a widzowie jedli, pili i opróżniali pęcherze.

Robiło się coraz upalniej. Przepelnione latryny zaczynały cuchnąć, odór krwi wypełnił cyrk, choć arenę przysypano piachem. Tłum zaczynał się denerwować. Zadęto w trąby i Neron oznajmił, że z woli bogów znalazł winnych pożaru, który zniszczył ukochane miasto i zabił oraz okaleczył tak wielu ich bliskich. Otworzyły się bramy i grupa ludzi w łachmanach wyszła na arenę, mrużąc oczy przed słońcem. Amelia spojrzała na nich ze zdumieniem. Oczekiwała widoku pewnych siebie zbirów, dezertersów z armii, którzy zawsze pojawiali się przy tego rodzaju egzekucjach. Ale ta grupa najwyraźniej składała się z kobiet, starców i dzieci.

– Korneliuszu – odezwała się ostro, ale szeptem, by nikt nie usłyszał – chyba Neron nie uważa, że to ci ludzie odpowiadają za Wielki Pożar?

– Ma dowody.

– Popatrz na nich. Przecież oni ledwo...

Nagle zmarszczyła brwi. Czyżby dostrzegła między nimi znajome twarze? Wychyliła się, przysłoniła dłonią oczy. Ten starzec... był bardzo podobny do Pawła, rybaka, który pojawiał się w domowym kościele Racheli.

Jęknęła. To był Paweł! Smagany biczem przez żołnierza, opadł na kolana, a tłum na widowni ryknął z aprobatą. I Priscilla! I Flawiusz, i stary Saul.

– Błogosławiona Matko Junono! – wyszeptła Amelia. – Korneliuszu, ja znam tych ludzi!

Nie odpowiedział. Z przerażeniem ujrzała zadowolony uśmiech na jego obliczu. Nie patrzył na nią, oglądał rozrywkę, którą pomógł zorganizować. Egzekucję rzekomych sprawców

Wielkiego Pożaru.

I wtedy Amelia dostrzegła coś, co sprawiło, że poczuła nudności i ucisk w gardle. Zakryła usta rękami i krzyknęła. Po zakrwawionym Piachu szła Rachel, szturchana końcem włóczni. Rozpuszczone włosy spływały jej na ramiona. Nawet z tej odległości Amelia widziała rany i siniaki. Jej przyjaciółkę torturowano.

Oniemiała patrzyła, jak potykając się, grupa zbliża się do leżących w piachu krzyży; strażnicy rzucili starców, kobiety i dzieci na kolana, potem kazali im czołgać się do drewnianych konstrukcji i leżeć na plecach, a dwieście pięćdziesiąt tysięcy widzów śmiało się i szydziło, krzyząc:

– Śmierć Żydom!

Amelia w końcu odzyskała głos.

– Korneliuszu, musisz to przerwać.

– Cicho! Cesarz.

Amelia spojrzała na Nerona, który akurat patrzył w jej stronę. Kiedy pomachał przyjaźnie i nie dostrzegła złośliwości w jego uśmiechu ani nienawiści w oczach, uświadomiła sobie, że cesarz nie ma pojęcia o jej związku z ludźmi, którzy lada chwila mieli umrzeć.

Znowu wbiła wzrok w Korneliusza, odwróconego do niej profilem niczym oblicze na monecie.

– Przerwij to – zażądała stanowczo. – Nie możesz na to pozwolić. Ci ludzie są niewinni. To moi przyjaciele.

W końcu spojrzał na nią z wyrazem twarzy, który zmroził ją aż do szpiku kości.

– Dlaczego miałbym cię posłuchać? Czy ty spełniłaś moje prośby?

– Jego znaczące spojrzenie powędrowało do naszyjnika na piersi Amelii.

Amelia poczuła narastające mdłości.

– Robisz to, żeby mnie ukarać? Zabijasz niewinnych ludzi, bo...

– było jej coraz bardziej niedobrze – bo jesteś na mnie zły? Na wszystko, co święte, Korneliuszu, co z ciebie za potwór?

– Taki, droga Amelio, który wie, jak zadowolić tłumy – odparł z uśmiechem.

Machnął ręką do widzów. Ryk aprobaty był ogłuszający.

Ze śmierci Racheli i innych zrobiono farsę. Nieskazanych na ukrzyżowanie, ubranych w zwierzęce skóry rzucono psom i lwom na pożarcie. Ukrzyżowania zostawiono na koniec, od zachodu słońca, żeby płonące ciała wyglądały bardziej widowiskowo. Prerażona Amelia patrzyła, jak chrześcijanie za pomocą sznurów ustawiają krzyże. Słyszała śpiewy, modły i jęki nieszczęśliwych ofiar wiszących na krzyżach, kiedy jeden po drugim stawali w ogniu. Widownia krzyczała z aprobatą, gdy skazani krzyczeli i wili się w płomieniach.

– Umierajcie! – wrzeszczeli Rzymianie. – Umierajcie, podpalacze miasta!

Amelia widziała pragnienie zemsty na ich twarzach – wielu potraciło w Wielkim Pożarze domy i bliskich. Po tym widowisku mieli wrócić do domu usatysfakcjonowani, nieco mniej rozżaleni, nieco mniej nieszczęśliwi z powodu straty. Plotki, że to sam Neron podpalił Rzym, stopniowo cichły.

– Muszę to przerwać! – Amelia usiłowała zerwać się z miejsca, ale Korneliusz uwięził jej ramię w mocnym uścisku.

– Zwariowałaś? – syknął. – Pomyśl o swojej rodzinie!

Spojrzała na Kornelię i jej siostrę, pochylone ku sobie i pokazujące kogoś w urzędowej łoży. Obaj chłopcy, Lucjusz i Gajusz, wyraźnie znudzeni, stali w ostatnim rzędzie i pluli na ludzi poniżej. Dorośli synowie i zięciowie Amelii odpoczywali z rękami na oparciach krzeseł, od czasu do czasu zerkając na widowisko i popijając wino z kielichów.

Amelia zaczęła szlochać. Dym i odór palonych ciał wdzierał się jej do gardła i przeszywał serce. Miała wrażenie, że jej dusza płonie razem z przyjaciółmi na arenie. Mdliło ją coraz bardziej, wszystko ją bolało. Rachelę nie przypominała już siebie, ale wciąż się poruszała. Amelia miała nadzieję, że to tylko złudzenie, że przyjaciółka nie żyje.

Nikt nie zapobiegł tej rzezi. Nikt nie pomyślał, że to Neron, chcąc położyć kres plotkom o swoim udziale w Wielkim Pożarze, postanowił oskarżyć o podpalenie innych. Nikt nie podał w wątpliwość winy zbuntowanych Żydów zwanych chrześcijanami; już mówiono o nich w Rzymie. Jedną z części miasta, które nie spłonęły, był region nad Tybrem, zamieszkanym przez społeczność żydowską. Wszyscy pamiętali, jak zaledwie piętnaście lat wcześniej cesarz Klaudiusz wypędził niektórych bogatych Żydów z Rzymu, za to, że swoimi dysputami na temat Chrystusa niemal wywołali zamieszki w synagogach.

Ból Amelii zmienił się w odrętwienie. Patrzyła na Korneliusza, a jej chrześcijańscy przyjaciele płonęli. Na jego twarzy malowała się czysta, nieklamana nienawiść, która ją przeraziła. Uświadomiła sobie, że nie po raz pierwszy widzi taką minę męża. Tak samo wyglądał tu, w tym cyrku, kiedy byli gośćmi w łoży cesarskiej, a tłum wiwatował na cześć Amelii. Korneliusz uniósł ręce, myśląc, że to uwielbienie przeznaczone jest dla niego, ale matka Nerona wyprowadziła go z błędu i nazwała idiotą, i Korneliusz właśnie tak popatrzył na Amelię...

Znała już prawdę.

Plakała tak strasznie, jak nigdy dotąd. Nawet kiedy Korneliusz wyrzucił jej dziecko, nie czuła takiej rozpacz. Dom był pogrążony we śnie, wszędzie panowała cisza, ona zaś leżała wyprostowana na łóżku, z twarzą ukrytą w poduszce, wstrząsana szlochem. Wiedziała, że do końca życia nie zdoła wyrzucić z pamięci śmierci Racheli. Chciała ją zapamiętać. Postanowiła, że będzie czcić drogą przyjaciółkę, codzienne wspominając jej męczeństwo.

Oprócz żalu czuła wściekłość, rozgoryczenie, nienawiść. Wypływały wraz ze łzami niczym

trucizna. Dopiero dobrze po północy Amelia przestała płakać. W jej sercu pojawiło się nowe, dotychczas nieznanе uczucie: wrogość. Nie była ona skierowana przeciwko cesarzowi Neronowi ani motlochowi w cyrku, tylko przeciwko jednej osobie: potworowi o imieniu Korneliusz.

Zakradła się do jego sypialni i stanęła nad łóżkiem, a w jej głowie kłębiły się pytania: „Dlaczego Neron ukarał chrześcijan? Jak się o nas dowiedział? W Rzymie jest tyle sekt, ile ulic. Chrześcijaństwo to tylko odłam judaizmu. Wiadomość o naszej gromadce nie doszłaby cesarskich uszu... gdyby ktoś mu o nas nie powiedział. Ktoś, kto chciał nas zniszczyć. Ty, Korneliuszu? To był twój sposób na ukaranie mnie? Co z ciebie za monstrum! Jezus na krzyżu zdołał wybaczyć swoim prześladowcom. Ja tobie nie wybaczę”.

Przyszło jej do głowy, że mogłaby go w tej chwili zabić. Dźgnąć nożem, a potem wszcząć alarm, porwać na sobie szatę i rzucić winę na nieznanego bandytę. Uszłoby jej to na sucho. Wiedziała jednak, że nigdy nie zabije Korneliusza. Nie zyskałaby dzięki temu wolności, a przecież już była wolna.

Uniosła do światła księżycyca niebieski kryształ. Duch egipskiej królowej zniknął. Zastąpił go Zbawiciel.

Wyszła z afrykańskim niewolnikiem, także chrześcijaninem. Oświetlał jej drogę i był dość silny, żeby odstraszyć grasujących nocą złodziei i bandytów. Dotarli do hałaśliwego domu czynszowego, jednego z niewielu oszczędzonych przez Wielki Pożar. Afrykanin ruszył pierwszy po wąskich schodach, śmierdzących zgnilizną i pełnych szczurów. Ściany zabazgrano napisami, nie było drzwi, jedynie szmaty miały zapewnić odrobinę prywatności.

Amelia nie czuła lęku. Była jak odmieniona. Zjawiała się tu po odpowiedzi.

Podeszła do drzwi, do których ją skierowano, odsunęła zasłonę i zajrzała do środka. Starucha zajmująca mieszkanie spojrzała na nią z niepokojem. Jadła kleik z drewnianej miski, oświetlał ją jedynie księżyc.

Amelia odsunęła welon i zbliżyła do twarzy lampę, żeby kobieta mogła ją zobaczyć.

– Znasz mnie, matko? – Posłużyła się tym pełnym szacunku tytułem.

Kobieta patrzyła na nią z lękiem i zdumieniem.

– Nie bój się. Nie zrobię ci krzywdy. – Amelia wyciągnęła kilka monet i położyła je na stole.

– Powiedz, czy mnie rozpoznajesz?

Akuszerka zerknęła na monety, a potem na dziwnego gościa. Odstawiła miskę, wytarła ręce o szatę i powiedziała:

– Pamiętam.

– Odbierałaś moje dziecko, siedem lat temu. Dziewczynkę.

Starucha skinęła głową.

– Czy dziecko było kalekie?

– Nie... – Akuszerka opuściła głowę.

Fragmety układanki nagle zaczęły do siebie pasować. Gniew Kornelii. Krzyk: „Wszystko przez ciebie. Dziecko... wszystko”. Kornelia miała jedenaście lat, gdy urodziło się maleństwo i położono je u stóp Korneliusza. Wpadła do sypialni matki ze strachem w oczach, chcąc wiedzieć, czemu ojciec odrzucił noworodka. Teraz Amelia rozumiała. Dziecko było zdrowe i mała Kornelia, wielbiąca ojca bez zastrzeżeń, nie rozumiała, jak mógł zrobić coś takiego.

Teraz Amelia poznała prawdę: to nie matki Kornelia nienawidziła.

Korneliusz wrócił do domu na Awentynie zupełnie zadowolony z życia. Właśnie wygrał sprawę w sądzie, tłum wiwatował. W domu zapanował spokój, Amelia zachowywała się jak należy. Odkąd była świadkiem ukarania chrześcijan na arenie, znów spokorniała. Nawet nie nosiła już tego przeklętego naszyjnika.

Wszedł do atrium. Gdzie się podzieli niewolnicy? Zawsze witał go najważniejszy sługa, teraz jednak Filo gdzieś zniknął. Korneliusz już miał go zawołać, gdy usłyszał śpiewy. Ruszył do ogrodu, skąd dobiegły go słowa:

– Ojcie nasz, któryś jest w niebie, święć się imię twoje. Przyjdź królestwo twoje. Bądź wola twoja... Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj, i odpuść nam nasze winy... I wybaw nas od złego.

Korneliusz minął próg i zajrzał do ogrodu. Grupa ludzi – głównie nieznajomi, ale i jego niewolnicy, w tym Filo – stała, rozkładając ręce, z głowami odrzuconymi do tyłu i zamkniętymi oczami. Nagle ujrzał Amelię, która przewodziła modlitwie.

Wreszcie każdy uczynił znak krzyża i powiedzieli: „Amen”. Amelia otworzyła oczy i spojrzała wprost na Korneliusza.

Oboje wiedzieli, że dotarli do miejsca, z którego nie ma już odwrotu.

Dom i dobra Racheli skonfiskował Neron, spotkanie szabasowe w tym tygodniu miało się więc odbyć w domu Febe. Staruszce dokuczał artretyzm, potrzebowała pomocy. Amelia poszła na targ po żywność na ucztę. Los Racheli i jej towarzyszy nie zniechęcał następców. Coraz więcej ludzi dołączało do chrześcijan, zwłaszcza po tym, jak Neron zabronił ich prześladować, spodziewano się więc całkiem sporego tłumu. Wybierając niedrogie wino, Amelia myślała o tych, którzy zginęli na arenie.

W mieście krążyły plotki. Wszyscy twierdzili, że Neron usiłuje przebłagać niebiosy za Wielki Pożar. Po konsultacji z sybilińską wyrocznią nadszedł czas na modły do Wulkanu, Ceres i Prozerpiny, nie zapomniano też o Junonie. Ani jednak ludzkie starania, ani cesarska szczodrość, ani przebłagiwanie bogów nie zdołały stłumić pogłosek, że to sam cesarz wzniecił ogień. Żeby uciąć plotki, władca potrzebował kozłów ofiarnych. Wybrał chrześcijan.

Nikt nie wiedział, dlaczego padło akurat na nich, choć Amelia miała swoje podejrzenia. Zda-



niem ludzi stało się tak, bo chrześcijanie byli zazwyczaj zamożni, a Rzymianie zawsze czuli zawiść wobec bogaczy i im zazdrościli. Krążyły wieści o czarnej magii i ofiarach z dzieci. O dziwo, po rzezi na arenie zaprzestano prześladowań. Plan Nerona przyniósł odwrotny skutek – większość ludzi żałowała chrześcijan, uważano, że niewinni padli ofiarą morderczych skłonności jednego człowieka, a nie zginęli dla dobra Rzymu. Poza tym nikogo nie obchodziła taka mało znacząca sekta, sam Neron o niej zapomniał, miał inne problemy *na głowie*. Chrześcijanie znowu byli bezpieczni.

– Pani Amelia, żona Korneliusza Gajusza Witeliusza?

Amelia uniosła wzrok i zobaczyła członka straży prefektury z twarzą ocienioną osłoną hełmu. Towarzyszyło mu sześciu roślących strażników.

– To ja – odparła.

– Proszę z nami.

Rzymska prefektura, w której mieściło się największe więzienie Rzymu, była olbrzymim budynkiem nieopodal Forum. Imponującą fasadę z białego marmuru zdobiły pięknie kanelowane kolumny i posągi otaczające otwarty plac, w środku jednak był to labirynt ciemnych, nieprzyjaznych korytarzy i cel.

– Dlaczego się tu znalazłam? – spytała Amelia, gdy sprowadzono ją do podziemi budynku. Eskortujący milczeli, kroczyli tylko u jej boku, a szcęk i pobrzękiwanie ich zbroi odbijały się echem od wilgotnych murów.

Zatrzymali się przed wielkimi drzwiami. Strażnik otworzył je i odsunął się na bok. Gestem nakazał Amelii wejść.

– Czy jestem więźniarką? – zapytała z niedowierzaniem. W świetle pochodni strażnika zobaczyła ponurą celę, małą i cuchnącą.

– Proszę, pani.

Amelia chciała zaprotestować, może nawet uciekać, wiedziała jednak, że to bezcelowe. Popełniono jakiś błąd i wkrótce wszystko się wyjaśni. Z wysoko uniesioną głową weszła do celi jak do oświetlonej słońcem świątyni.

Drzwi zatrzasnęły się za nią, usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Strażnicy odeszli, zabierając ze sobą pochodnię. Zapadły ciemności. Amelii zabrakło tchu z przerażenia. Podbiegła do drzwi i przywarła do nich. Nad jej głową znajdował się niewielki, zakratowany otwór. Nie zdołałaby go dosięgnąć, nawet wspiąwszy się na palce. Mdłe światło sączyło się z pochodni w korytarzu, jej wzrok szybko przywykł do ciemności.

Cela była mała, cuchnęła pleśnią i uryną, na ścianie wisiały łańcuchy, w kącie zaś leżała gnijąca słoma. Amelia dostrzegła plamy zaschniętej krwi na podłodze, dobiegły ją stłumione okrzyki innych więźniów. Walcząc ze strachem i paniką, usiłowała trzeźwo myśleć. Z pewnością to była pomyłka! Ale... Przecież strażnicy wiedzieli, gdzie jej szukać, od razu ją rozpoznali

i wypowiedzieli jej imię. To znaczyło, że mieli taki rozkaz. Ale od kogo? I, co bardziej zastanawiające, dlaczego?

Nagle ogarnęło ją straszliwe przecucie: czy mogli uwięzić ją tu na zawsze? Opadła na kamienną podłogę z uchem przyciśniętym do grubych drzwi i siedziała, podkurczywszy kolana. Otaczały ją ciemności, odór wypełniał nozdrza. Poczwała, jak coś przebiegło obok jej nogi, i krzyknęła. Z pewnością rodzina rozpocznie poszukiwania! Słyszała jednak o ludziach na zawsze zamkniętych w tych murach i zapomnianych.

Złożyła ręce i zaczęła się modlić.

Korneliusz Witeliusz przybył do więzienia w obramowanej fioletem todze, szacie noszonej jedynie przez garstkę uprzywilejowanych. Ubrał się w nią celowo, nie tyle, by zrobić wrażenie na strażach, ile by przypomnieć Amelii o swojej pozycji i wpływach.

– Jest tutaj? – spytał dowódcę zmiany.

– Od pierwszej warty, panie – odparł mężczyzna, salutując Korneliuszowi tak, jak żołnierze salutowali ważnym cywilom. – Dziesięć godzin.

– Bez wody i jedzenia?

– Ani odrobiny, jak kazałeś, panie. Daliśmy jej tylko wiadro na mocz. Jak długo mamy ją trzymać?

– Dam wam znać. Na razie nic jej nie mówcie.

Dowódca zmiany nauczył się przez lata służby, że milczenie jest złotem. Znany prawnik – strażnik niejedną raz popijał darmowe piwo Korneliusza Witeliusza – nie był pierwszym człowiekiem, który kazał aresztować niesforenego krewnego, by nauczyć go pokory. Mrugnął znacząco i wrócił do gry w kości.

Korneliusz podążył cuchnącym korytarzem za strażnikiem i przystanął przed metalowymi drzwiami. Chciał się wprowadzić w odpowiedni nastrój, jak przed procesem. Po chwili gestem ręki dał znać strażnikowi, by otworzył celę.

– Na bogów, Amelio! – zakrzyknął, wpadając do środka. Drzwi Zatrzasnęły się za nim.

– Korneliusz! – Rzuciła się w jego ramiona.

– Nie mogłem uwierzyć, kiedy mi powiedziano, że tu jesteś.

– Dlaczego się tutaj znalazłam? Czy jestem aresztowana? Nikt nie chce mi nic powiedzieć.

– Usiądź i uspokój się. Najwyraźniej ktoś zadenuncjował cię jako chrześcijankę.

Wpatrywała się w niego.

– Ależ Korneliuszu, moja wiara nie jest tajemnicą. Ani zbrodnią.

– Obawiam się, że Neron prowadzi wojnę z chrześcijanami, w sekrecie, ze względu na publiczną dezaprobatę. – Chyba mu uwierzyła, bo zbladła i wydawała się przestraszona, dodał więc: – Neron pozwolił mi z tobą porozmawiać, zanim zaczniesz się prawdziwie przesłuchiwać.

- Masz na myśli... tortury? – Jej usta były tak wyschnięte, że ledwie mogła mówić.
- Wyrzeknij się nowej wiary, Amelio. Podaj mi imiona członków sekty i będziesz wolna.
- A jeśli nie podam?

– Sprawa wymknie się z moich rąk. – Rozłożył je szeroko.

Pomyślała o ludziach, którzy byli jej tak drodzy – o Gasparze i Jafecie, Chloe, Febe... Zadrżała. Czy na torturach zdoła utrzymać ich tożsamość w tajemnicy?

- Jak daleko... – zaczęła. – Jak daleko posunie się Neron?

Zgarbił się, tak jak to robił często podczas procesów sądowych.

Ten gest mówił więcej niż słowa.

– Korneliuszu, pomóż mi! Chcę żyć! Chcę patrzeć, jak dorastają nasze wnuki. Chcę zobaczyć, jak Gajusz dostaje togę. – Życie nigdy jeszcze nie wydawało się takie piękne. I nigdy nie czuła się tak zrozpaczona. – Proszę, Korneliuszu! Błagam cię w imię naszych dzieci. Pomóż mi.

Ujął ją za ramiona.

– Chcę ci pomóc, Amelio. Na bogów, na wszystko, co było między nami, nigdy ci tego nie życzyłem. Ale Neron się uparł. Powiedz im, co chcą wiedzieć, a wyjdiesz stąd ze mną jeszcze dzisiaj.

Popatrzyła na niego wzrokiem pełnym przerażenia.

- Nie mogę.

– No to powiedz mnie, a ja powtórzę strażnikom. Przystaną na to. Kiedy i gdzie jest następne chrześcijańskie spotkanie? I kim oni są?

Amelia nie miała pojęcia, że Korneliusz wcale nie zamierza powtarzać jej zeznań strażnikom, jej przyjaciółom nic nie groziło. Sądziła, że narażeni są na niebezpieczeństwo, i milczała. Korneliusz postanowił zmienić taktykę.

– Zrezygnuj z nowej wiary, Amelio, i będzie tak jak kiedyś, gdy byliśmy szczęśliwi. Zabiorę cię do Egiptu. Chciałabyś?

W blasku pochodni, który wpadał przez okratowane okienko w drzwiach, wpatrywała się w twarz męża. Wydawał się szczerze przygnębiony. Wreszcie rzekła:

– Neron może zabić moje ciało, Korneliuszu, jak zabił ciała moich przyjaciół. Oni jednak wciąż żyją, Cezar nie ma władzy nad śmiercią. Gdy przyjdzie kres, co mu zostanie?

Wpatrywał się w nią przenikliwie. Czy mówiła o Neronie, czy też były to aluzje do niego? Nie, nie dostrzegł fałszu w jej oczach.

– Skoro na to pozwalasz, to widocznie nie kochasz mnie ani naszej rodziny. Nie myślisz o dzieciach!

- Ależ myślę! – wykrzyknęła. – Korneliuszu, robię to właśnie dla moich dzieci!

– Nie chcesz mnie słuchać, Amelio. Wobec tego nic nie mogę poradzić. – Odwrócił się do wyjścia.

– Nie! Nie zostawiaj mnie tutaj.

– W bardzo prosty sposób możesz odzyskać wolność, Amelio. Nawet dziecko by to zrozumiało.

Wpatrywała się w niego z przerażeniem.

– Naprawdę zamierzasz zostawić mnie w tym strasznym miejscu?

– Powiedziałem, że sprawa wymknie się z moich rąk. Korneliusz starał się wyglądać jak człowiek bezsilny i załamany, gdy zamykano drzwi celi, ale zirytował go jej upór. Kazał strażnikowi trzymać ją przez całą noc bez jedzenia i picia. Zastanawiał się przez chwilę.

– Możecie tak zorganizować, żeby słyszała odgłosy tortur?

– Mogę zrobić coś lepszego, mój panie – powiedział żołnierz, który często zabijał nudę sadystrycznymi rozrywkami. – Mogę wejść do jej celi z krwią na rękach. Działa za każdym razem.

Amelię obudził zgrzyt klucza przekręcanego w olbrzymim żelaznym zamku. Powoli usiadła, zdrętwiała po nocy spędzonej na gołej ziemi. Pogryzły ją insekty; niektóre ranki swędziały, inne były bolesne. Nigdy dotąd nie czuła tak strasznego pragnienia.

– Korneliuszu? – wyszeptała.

Ujrzała jednak Kornelię. Była zdumiona, że córka tak źle wygląda.

– Matko – jęknęła dziewczyna, ze szlochem przytulając się do Amelii. – Jakie to straszne!

– Czy ty... – zaczęła Amelia. Zaskoczyła ją własna słabość. – Mogłabym dostać odrobinę wody?

Kornelia załomotała w drzwi i zażądała wody. Chwilę później strażnik – nie ten z poprzedniego dnia – wrócił z dzbankiem, pochodnią i dwoma stołkami. Wydawał się niezadowolony.

– Dowiedziałam się od Korneliusza – zaczęła Kornelia. Mówiła o swoim bracie, nie o ojcu. – Był w więzieniu z wizytą u klienta i słyszał o twoim aresztowaniu. Och, matko, nie mogłam w to uwierzyć. Dlaczego tu trafiłaś?

Amelia najpierw musiała ugasić pragnienie. Piła prosto z dzbanka i rozkoszowała się wodą płynącą po jej dłoniach, ramionach i szyi. Pomyślała, że nawet tysiąc kąpielii nie zdoła zmyć z niej brudu. Po chwili streściła córce swoją rozmowę z mężem. A swoją drogą dlaczego jeszcze nie przyszedł?

– Ale ja nic nie słyszałam o nowych prześladowaniach – Kornelia zmarszczyła czoło. – Nerón zbyt martwi się o swoją głowę, żeby myśleć o zabijaniu innych.

Amelia rozumiała. Czuła w głębi serca, że to wszystko robota Korneliusza. Zmuszając żonę do wyrzeczenia się nowej wiary, znowu chciał nad nią zatriumfować.

Zrozumiała to również Kornelia.

– To tata, prawda? – wyszeptała. – Dlaczego? Dlaczego tak cię nienawidzi?

– To przez jego urażoną próżność. Zadałam wielki cios dumie twojego ojca. Nie zrobiłam tego celowo. Tłum w cyrku...

– Pamiętam to! Wszyscy mówili o tym całymi tygodniami. Tata myślał, że tłum oddaje cześć jemu, podczas gdy chodziło o ciebie. Czy dlatego...?

– Co, Kornelio?

Młoda kobieta pochyliła głowę.

– Widziałam dziecko. Było zdrowiuteńkie. Wcale nie miało zniekształconej nóżki. Tata jednak kazał je zabrać. Byłam przerażona. Nie wiedziałam, co o nim myśleć.

– Ojciec był twoim bohaterem, a nagle okazał się zwykłym człowiekiem.

– Ale on nie przestaje cię karać. Nie pozwalaj na to, matko. Daj mu to, czego pragnie, i będziesz wolna.

Amelia przecząco pokręciła głową.

– Jeśli dam Korneliuszowi to, czego pragnie, nigdy nie będę wolna.

– Owszem, będziesz. Pomogę ci. Nie może prześladować nas obu. Matko, przecież to nie Neron! – Kornelia mówiła coraz bardziej gorączkowo. – To ojciec ci to robi.

– Córko, wysłuchaj mnie. Nieważne, czy to Neron i stadion pełen ludzi, czy jeden człowiek. Nie wyprę się swej wiary.

Kornelia osunęła się na kolana i kładąc głowę na matczynym łonie, zaszlochała. Głaszcząc ją po włosach, Amelia pomyślała, że zaledwie dwa lata temu, gdy Kornelia urodziła pierwsze dziecko, ona sama była kobietą bez wiary. Teraz jednak miała jej pod dostatkiem, wręcz czuła żal, że nie może podzielić się nią z córką, ofiarowując jej wiarę niczym kielich pełen nadziei.

– Idź, dziecko – szepnęła. – Zajmij się rodziną w moim imieniu. Pilnuj, by dobrze im się działo. A małego Lucjusza traktuj jak brata, bo przecież nim jest.

Objęły się i ucałowały na pożegnanie. Kornelia obiecywała, że dopilnuje, by matkę wypuszczono. Amelia wiedziała jednak, że to niemożliwe – tu władzę sprawował Korneliusz.

Zaledwie kilka chwil po wyjściu Kornelii pojawił się jej ojciec. Amelia podejrzewała, że czekał, aż córka opuści celę.

– A więc, żono, czy wyrzekasz się tego szaleństwa raz na zawsze? – zapytał, a kiedy przecząco pokręciła głową, ujrzała prawdziwe zdumienie na jego twarzy.

– Korneliuszu, zabrałeś mnie do cyrku po to, żebym się wystraszyła – powiedziała. – Liczyłeś na to, że po śmierci Racheli odejdę od nowej wiary. Twoje działanie przyniosło jednak odwrotny skutek. Przez to, co widziałam, do czego oglądania mnie zmusiłeś, przez to, że zamordowałeś moich przyjaciół, jestem jeszcze bardziej zdecydowana. Nigdy nie ujawnię imion moich braci chrześcijan. I nigdy nie wyprę się swej wiary.

Pochylił się nad nią w swojej imponującej todze – dzięki tej szacie rozstępowały się przed nim tłumy – i ujrzała wściekłość w jego oczach. Bez słowa odwrócił się na pięcie i wyszedł. Kie-

dy drzwi się za nim zatrzasnęły, Amelia zrozumiała, że już po niej. Nieważne, czy Neron wiedział o jej aresztowaniu, nieważne, czy zarzuty wobec niej były prawdziwe – Korneliusz i tak się na niej zemści. Zamierzał ją ukarać tak jak Rachelę i jej towarzyszy. I nie będzie sama: ukrzyżuje również Jafeta i Chloe, i pozostałych, a ją zostawi na sam koniec, żeby widziała ich mękę.

Korneliusz kroczył wilgotnym korytarzem, a potem śliskimi schodami, które miały wzbudzić w jego żonie strach i zmusić ją do posłuszeństwa. Był wściekły. Przyszedł mu jednak do głowy nowy pomysł. Postanowił powiedzieć Amelii, że dzięki swoim politycznym wpływom i prestiżowi wybłagał dla niej łaskę. Ona powtórzy to przyjaciółom i w ten prosty sposób Korneliusz zostanie bohaterem.

Chciał zlecić dowódcy zmiany jak najszybsze uwolnienie Amelii, jak wcześniej uzgodnili, jednak nie było go. Wyszedł na chwilę i zabrał ze sobą klucze.

– Znajdź go natychmiast! – warknął Korneliusz do zastępcy.

Amelia, obolała, przerażona i drżąca, myślała o latach, które jej pozostały, o swojej rodzinie, dzieciach, domu w mieście. Nawet wiejska willa wydała jej się nagle niezwykle bliska. Chciała uczestniczyć w ceremonii wręczenia togi Gajuszowi i Lucjuszowi, patrzeć, jak najstarszy syn wygrywa pierwszą sprawę w sądzie, chciała kołysać nowe wnuki, zestarzeć się, nabrać doświadczenia i błogosławić każdy zachód słońca. Wszystko traktowała jak oczywistość – swoje życie, rodzinę, a przecież powinna chwalić każdy poranek, radować się każdym dniem!

Modliła się jak nigdy dotąd, kobieta niegdyś bez wiary, teraz tak jej pełna, że wznosiła błagania nie tylko do nowego Zbawiciela, ale i do Błogosławionej Matki Junony. Prosiła o znak. Co mam począć? – pytała.

Czekała na odpowiedź, ale masywne mury, które ją więziły, milczały. Jedynie w oddali więźniowie prosili o wolność, o pokarm, o wodę. Wsłuchiwała się w bicie swojego serca, we własny strach. Modliła się, aż w końcu, wyczerpana lękiem, głodem i pragnieniem, wyjęła spod sukni naszyjnik i popatrzyła w serce niebieskiego kryształu, zbitkę kosmicznego pyłu, który przybrał formę ukrzyżowanego Zbawiciela. I już знаła odpowiedź. To właśnie ten kamień ponownie obudził w niej wiarę w Boga, a teraz ją wzmocnił. Już wiedziała, co powinna zrobić.

Drżącymi rękami z trudem wyłuskała kryształ ze złotej oprawy i wyciągnęła go ku blademu światłu pochodni. Niemal krzyknęła na widok jego piękna. Złoto tłumilo cudowną przezroczystość i wyraźny obraz Jezusa w środku. Dziwne, że kiedyś uważała kamień za przeklęty, zamieszkały przez ducha. Ale to Korneliusz chciał, żeby tak myślała.

Potem skupiła się na bólu, którego się spodziewała, na torturach i agonii, i nieuniknionej śmierci na arenie. Wiedziała, że brak jej sił, by wytrzymać męczarnie. Serce Amelii biło jak oszalałe. Jej duch pragnął być silny, ale czuła, że ciało jest słabe. Liczyła na to, że starczy jej odwagi, zanim dojdzie do tortur.

Wróciła myślami do dnia sprzed ośmiu lat, kiedy Korneliusz, mogąc wybrać między życiem

a śmiercią, postawił na śmierć. Teraz Amelia stanęła przed takim samym wyborem. Myśląc o niewinnym dziecku pozostawionym na pastwę losu, wybrała życie: życie wieczne.

Gdy już podjęła tę decyzję, poczuła dziwny spokój i nagle wszystko stało się jasne. Pomyślała, że kiedy Jezus mówił o końcu świata, być może nie miał na myśli kresu istnienia dla wszystkich naraz, ale raczej dla każdego w swoim czasie – przecież w chwili śmierci zaczyna się nowe życie. Dla mnie świat kończy się dzisiaj – pomyślała.

Wstrzymała oddech, nasłuchując. Dobiegły ją ciche głosy na końcu korytarza. Musiała działać szybko, zanim po nią przyjdą.

Przełknięcie kamienia nie było łatwe. Gdy tylko położyła go na języku, oblała się potem i zrobiło się jej słabo. Raz jeszcze pomyślała o życiu, którego się wyrzekła, o pięknym domu i mężu, który znów chciał być dla niej dobry, chciał zacząć wszystko od początku, obrzucić ją darami. Amelia jednak myślała teraz tylko o człowieku na krzyżu, który wybaczył swoim prześladowcom, a ją oczyścił przez chrzest.

Wepchnęła kamień głębiej, ale wciąż nie mogła go połknąć. Zakrztusiła się. A co będzie, jeśli zwymiotuje albo zemdleje, a straż wydobędzie kryształ z jej ust?

Dławiąc się, skulona w przejmującym bólu, nie przestawała wpychać kamienia do ust, modląc się w duchu: „Boże, przebacz mi, że odbieram sobie życie, ale moje ciało jest słabe. Nie mogę poprowadzić ukochanych przyjaciół na arenę cyrkową, choć umarlibyśmy śmiercią męczenników”.

Chciała umrzeć, ale wiedzione instynktem samozachowawczym ciało walczyło. Poczuła przyływ paniki. Jej serce galopowało, dłońmi ścisnęła szyję. Płucom brakowało powietrza, szeroko otwartymi ustami próbowała złapać oddech. Straszliwy ból przeszywał jej pierś, Amelia czuła, że głowa zaraz jej pęknie. Upadła na ziemię i rzucała się jak ryba wyciągnięta z wody. Paliły ją płuca, dzwoniło w uszach. Dobry Boże, skróć moje cierpienia! – pomyślała.

Nagle ogarnął ją dziwny spokój. Życie opuszczało jej ciało powoli, jak płatki róży opadają z kwiatu. Niebieski kryształ, skrawek kosmosu – niezwykle w swej doskonałości tajemniczy kamień, który dawno temu wyprowadził dziewczynę imieniem Wysoka z Afryki, który sprawił, że Laliari pozbyła się lęku przed zmarłymi, a młody Awram odnalazł swoje miejsce w świecie – utkwiał w gardle kobiety wielkiej wiary. Spowijała ją ciemność, była już gotowa na śmierć i ponowne spotkanie z Rachelą, z drogimi przyjaciółmi, może również z dzieckiem, które jej odebrano. Przedmiot, którym mąż zamierzał ją ukarać, okazał się narzędziem jej odkupienia.

## Przejście

Strażnicy nie wiedzieli, jak umarła. Medyk więzienny orzekł, że pani Amelia z twarzą nabiegłą krwią i fioletowym językiem wystającym z ust wygląda jak ofiara ataku serca. Najwyraźniej

nie zniosła strachu przed torturami. Korneliusz przypomniał sobie, jak mówiła, że pomysł zabrania jej do cyrku przyniósł odwrotny skutek. Miała rację. Chciał ją nastraszyć, ale przecież nie zabić.

Nagle ujrzał coś, czego nie dostrzegli inni – w naszyjniku brakowało kamienia, i od razu zrozumiał, co się stało.

Nie chciał jednak, żeby jego żonę uznano za męczennicę. Najlepiej niech myślą, że umarła ze strachu! Zachował więc milczenie i udawał pogrążonego w żalu męża.

Kornelia niemal oszalała z rozpaczy. Obwiniała ojca o tę tragedię. Nie pozwoliła spalić zwłok, kazała pochować Amelię w pięknym grobowcu, wyglądającym jak mały domek w ogrodzie, i co tydzień składała tam matce wizytę, demonstracyjnie ją oplakując. Na złość ojcu przyjęła wiarę chrześcijańską, choć bez wewnętrznego przekonania, i zamieniła swój dom w kościół domowy. Mówiła o tym Wszystkim, aż pewnego dnia uświadomiła sobie, że naprawdę jest chrześcijanką. Żarliwie pielęgnowała pamięć o matce i nalegała, żeby chrześcijanie czcili męczeństwo Amelii w rocznicę jej śmierci. Tego dnia Kornelia zawsze wygłaszała mowę pochwalną na cześć matki, która sprzeciwiła się władzom i umarła za wiarę.

Pierworodny syn Kornelii – urodzony w dniu, w którym Korneliusz powrócił z Egiptu, przywożąc ze sobą niebieski kamień ukradziony z grobowca królowej – został gorliwym chrześcijaninem i kapłanem nowej wiary. Na jego polecenie doczesne szczątki Amelii spoczęły w srebrnym relikwiarzu. Złożono je w kapliczce, gdzie wszyscy mogli oddawać im cześć.

Kornelia tak jak matka została chrześcijańską męczennicą. Cesarz Domicjan kazał jej wyrwać język podczas przedstawienia w cyrku.

Korneliusz niezbyt cierpiał po stracie żony. Został wreszcie konsulem, nazwano rok na jego cześć, i wierzył, że dzięki temu zyska wieczną chwałę. Niestety, w imperium wkrótce zapanowały nowe rządy i lista konsulów popadła w zapomnienie. Podczas gdy Amelia zasłynęła z męczeństwa i doczekała się kościoła swojego imienia, Korneliusz Gajusz Witeliusz zniknął z kart historii.

Podczas złotej epoki cesarza Marka Aureliusza kości świętej Amelii przeniesiono z rodzinnej krypty do nowo wybudowanego kościoła, gdzie tysiące ludzi przychodziło prosić ją o wstawiennictwo u Boga. Spała tam spokojnym snem, wspominana przez swoich potomków, aż do ostatnich, ale i najbardziej krwawych prześladowań chrześcijan za cesarza Dioklecjana w roku 303.

Pierwszy edykt tego władcy zabraniał organizowania chrześcijańskich spotkań. Kościoły i święte księgi miały zostać zniszczone, wszystkim chrześcijanom zaś nakazano wyrzec się swojej wiary i czcić tylko oficjalnych bogów. Karą za sprzeciw była śmierć. Na tajnym spotkaniu biskupów i diakonów ustalono, że wprawdzie męczeńska śmierć zapewnia zjednoczenie się z Jezusem w niebiosach, ale część wyznawców musi przeżyć, by głosić słowo boże poza impe-



rium. Misjonarzy wybierano losowo. Relikwie, księgi i przedmioty kultu, w tym srebrną szkatułkę ze szczątkami świętej Amelii, zebrano i pewnej burzliwej nocy wywieziono z Rzymu. Trafiły na statek, który natychmiast wyruszył, mimo że morze było bardzo wzburzone.

Nocą czarną jak atrament pani Amelia, niegdyś żona Korneliusza Gajusza Witeliusza, dotarła do rzymskiej prowincji Brytanii, do osady zwanej Portus. Dawniej stacjonowało tu rzymskie wojsko, teraz tętniące życiem miasto słynęło z węgorzy.

## *Księga piąta*

ANGLIA

Rok 1022

Matka Winifreda, przeorysza klasztoru świętej Amelii, wyjrzała przez okno skryptorium i pomyślała: wiosna!

Och, błogosławione barwy natury, pędzel Boga w ruchu: blad różowe kwiaty wiśni, czerwone i czarne morwy, szkarłatne owoce głogu i żółte niczym słońce żonkile. Gdyby tylko jej paleta była tak bogata i zróżnicowana! Jakie iluminacje mogłaby stworzyć!

Wiosna niosła nadzieję. Może w tym roku opat pozwoli pomalować nastawę?

Entuzjazm Winifredy minął. Znowu miała ten sen, choć właściwie nie powinna nazywać go snem, bo nawiedzał ją, gdy była przytomna – wobec tego wizję, podczas modlitwy do świętej Amelii. Widziała to samo, co tyle razy przedtem: życie świętej, od wczesnej młodości do przejścia na chrześcijaństwo, aresztowanie przez rzymskich żołnierzy, męczeńską śmierć z rozkazu cesarza Nerona... Choć Winifreda nie miała pojęcia, jak wyglądali rzymscy żołnierze i ich cesarz, ani też jak ubierali się i żyli ludzie tysiąc lat temu – naturalnie wygląd Amelii też był tajemnicą, od wieków nie tykano jej kości – nie wątpiła, że wizja jest dokładna, gdyż pochodzi od Boga.

Problem polegał na przekonaniu opata. Walka o nastawę toczyła się od niepamiętnych czasów. Winifreda chciała popracować nad czymś bardziej ambitnym niż manuskrypt, a opat, tak jak i jego poprzednicy, uważał, że jej zamiary są nieprzystojne, na granicy grzechu pychy i ambicji. I choć Winifreda za każdym razem ulegała – złożyła przecież śluby posłuszeństwa – zbuntowana myślała: mężczyźni tworzą wspaniałe malowidła, kobiety nadają się tylko do ozdabiania wielkich liter.

Właśnie to robiły matka Winifreda i siostry z klasztoru świętej Amelii: malowały wielkie litery, znane jako iluminacje, z których słynęły na całą Anglię. Winifreda nie chciała ich tworzyć, wbrew temu, czego życzył sobie opat.

Westchnęła i upomniała samą siebie, że w życiu zakonnicy liczy się przede wszystkim posłuszeństwo.

Ukryła dłonie w obszernych rękawach habitu i już miała odwrócić się od okna, za którym tak pięknie rozkwitła wiosna, gdy ujrzała Andrew, starego dozorcę klasztoru. Biegł przez ogród i wymachiwał rękami. Widząc niepokój na jego twarzy, matka Winifreda wychyliła się z okna. Tak jak w innych, i w tym nie było szyby, mniszki nie mogły sobie pozwolić na taki wydatek.

Mierząc sobie siwe włosy, Andrew przeprosił przeoryszkę, że zakłóca jej spokój. Siedział oto na drzewie i odrąbał stare gałęzie na opał, kiedy zobaczył na drodze ojca Edmana, zmierzającego w tym kierunku.

– Pewnie za kwadrans już tu będzie.

Winifreda poczuła lekki niepokój. Czego chciał opat? Przyjeżdżał do klasztoru tylko raz w miesiącu, wysłuchać spowiedzi i zabrać manuskrypty. Dawniej odprawiał msze, ale teraz był zbyt zajęty i ważny, by tracić czas dla gromadki niemłodych zakonnice – do tego uciążliwego zajęcia przydzielano mniej znaczących księży.

– To chyba jakaś zła wiadomość, wielbna matko.

Winifreda zacisnęła usta. Opat nigdy nie zmieniał rozkładu zajęć, żeby obwieścić dobrą nowinę. Pomyślała jednak, że nie czas niepokoić pozostałe siostry.

– Może przybył, by nam oznajmić, że dach zostanie naprawiony jeszcze w tym roku.

– Byłaby to wspaniała wieść.

– Tymczasem nic nie mów siostron. Nie warto ich niepotrzebnie kłopotać.

Podziękowała dozorczy. Miał dać jej znać, gdy ojciec Edman dotrze do furty. Odeszła od okna i ruszyła wzdłuż rzędu zakonnice, które już pracowały w ten piękny wiosenny poranek w jedenastym stuleciu po narodzinach Pana.

Klasztorne skryptorium było obszernym pomieszczeniem. Pośrodku ustawiono długi stół, a pod ścianami biurka. Siostry od Świętej Amelii spędzały tu długie godziny. Okiennice odemknęto, by wpuścić poranne słońce. Mniszki pracowały w milczeniu, pochylając głowy w czarnych welonach. Winifreda odwiedziła kiedyś skryptorium w opactwie Portminster. Pracującym tam benedyktynom nie wolno było się odzywać, choć kopiowanie świętych tekstów nie wymagało zachowania ciszy. Kilku mnichów zaczęło eksperymentować z cichym czytaniem, ale większość czytała tak, jak ludzie od wieków: na głos.

Zakonnicy w opactwie Portminster kopiowali tekst, ale zostawiali miejsce na pierwszą literę na każdej stronie. Dodawano ją dopiero tu, w klasztorze Świętej Amelii. Choć jednak to właśnie iluminacje, a nie tekst, słynęły na całą Anglię, chwalono tylko mnichów. Matka Winifreda zaakceptowała to jako naturalny porządek rzeczy – była posłuszna Kościołowi, Bogu i ludziom. Tylko czasem przychodziło jej do głowy, że nie miałyby nic przeciwko temu, by choć raz doceniono umiejętności, talent i poświęcenie jej sióstr.

Jej myśli znów powędrowały do opata. Ostatnim razem wizja Winifredy była tak wyrazista, że mniszka zapragnęła o niej z nim porozmawiać. Naturalnie, musiała czekać, aż opat przyjedzie do niej. Przez czterdzieści lat życia w klasztorze Winifreda rzadko wypuszczała się za jego mury, a jeśli już, to niedaleko – gdy umierał ktoś z jej rodziny i chowano go na wiejskim cmentarzu. Wzięła też udział we wprowadzeniu ojca Edmana na urząd opata Portminster.

Opat... Jakie to dziwne, że postanowił złożyć im niezapowiedzianą wizytę właśnie dziś. Czy mogła mieć nadzieję, że jest w tym ręka boża? Czy był to znak, że opat w końcu ustąpi i spełni jej życzenie? Czy wreszcie zrozumiał, że chęć pomalowania nastawy to nie przejaw dumy ani rozrywka, tylko dar wdzięczności dla świętej za to, co Amelia zrobiła dla Winifredy?

Kiedy Winifreda była dzieckiem, przejawiała niespotykany talent do znajdowania zagubio-

nych rzeczy – szpilki, broszy, nawet mięsnego pasztecika porwanego przez psa. Babka powiedziała jej, że ma dar widzenia odziedziczony po celtyckich przodkach, ale przestrzegła dziewczynę, by nikomu o tym nie mówiła. A nuż uznano by ją za czarownicę? I tak Winifreda trzymała swój dar w sekrecie, aż pewnego dnia wyszedł na jaw przez przypadek. Całą posiadłość przetrząsnęto w poszukiwaniu zaginionej srebrnej łyżeczki. Czternastoletnia wówczas Winifreda „widziała” ją w spiżarni, za maselnicą. Rzeczywiście łyżeczka tam była, ojciec zażądał wyjaśnień. Dziewczyna nie potrafiła się wytłumaczyć i wzięto ją za sprawczynię zamieszania. Dostała lanie, a ojciec chłopca, któremu była obiecana, zerwał zaręczyny, jak twierdził, ze względu na słabość charakteru Winifredy. Poszła wtedy do kaplicy w klasztorze Świętej Amelii, by prosić ją o pomoc.

Matka i siostry odmawiały modlitwy w kaplicy, a ciekawska Winifreda ruszyła obejrzeć klasztor. Dotarła do skryptorium, gdzie siostry pochylały głowy nad swoją niezwykłą pracą. Widząc palety i pigmenty, pergaminy i pióra, zrozumiała, że właśnie tego pragnie.

Ojciec Winifredy był niezmiernie szczęśliwy i bez protestów przystał na wstąpienie córki do klasztoru. Mieszkała tu od tamtego czasu. Nie było dnia, w którym nie modliłaby się z wdzięcznością do świętej Amelii, która oddaliła od niej widmo godnej ubolewania przyszłości: niezamężnej, bezdziejnej córki, a po śmierci ojca – najbardziej znieawidzonego ze wszystkich bezwartościowych stworzeń, starej panny, którą rodzina musi utrzymywać i znosić, w zamian otrzymując kiepskie humory i równie kiepskie hafty.

Skryptorium u Świętej Amelii pachniało olejem i woskiem, sadzą i węglem, siarką i farbami roślinnymi. W powietrzu snuł się dym; lampki płonęły dniem i nocą, bo barwnik sadzowy potrzebny był do wyrobu atramentu. Mniszki wytwarzały własne pigmenty: najpiękniejszy głęboki lazur robiły z lapis lazuli, pochodzącego z Afganistanu; żeby stworzyć czerwony atrament, wykorzystywały minię ołowianą, cynober albo pokruszone czerwce; sporządzały rozmaite barwniki, których receptura była tajemnicą nigdy nieopuszczającą tych murów.

U szczytu centralnego stołu siedziała siostra Edith, specjalistka od złotego liścia, pierwszego etapu iluminacji. Trzeba było wyjątkowo zręcznej ręki, by nałożyć gips sztukatorski, a potem narysować na tym złoty liść; bystrego oka, by wiedzieć, kiedy podkład jest w sam raz, nie za suchy i nie za mokry. Potem należało delikatnie przyłożyć jedwabną szmatkę oraz precyzyjnie dodać gładki czterolistny ornament. Siostra Edith była niezastąpiona – ktoś inny stworzyłby dekorację ze złotego liścia zaledwie przeciętną.

Inna mniszka malowała Adama i Ewę w rajskim ogrodzie. Oboje nadzy, o zaokrąglonych biodrach i brzuchach, niewiele różnili się sylwetką – zakonnice nie miały pojęcia, jak wygląda nagi mężczyzna. Na szczęście intymne miejsca zakrywały liście figowe – siostry nie wiedziały również, co mężczyzna ma pod ubraniem. Matka Winifreda także była ignorantką w dziedzinie anatomii, nawet kobiecej, nigdy nie asystowała przy narodzinach dziecka ani nie widziała roze-

branej przedstawicielki własnej płci. Znała metafory: klucz mężczyzny i dziurka kobiety, jego miecz i jej pochwa, i tak dalej, ale współżycie seksualne i prokreacja były jej całkowicie obce.

Nigdy nie myślała o seksie, nie ciekawiło jej, co traci. Jak wynikało z opowieści dam-rezydentek, seks stworzono jako rozrywkę dla mężczyzn i utrapienie dla kobiet. Gdy jej starsza siostra wyszła za mąż, kuzynki, które przybyły, by pomóc pannie młodej spakować rzeczy na podróż, strasznie chichotały na widok *chemise cagoule*, obszernej nocnej koszuli z małą dziurką z przodu, umożliwiającą zapłodnienie przy minimalnym kontakcie cielesnym.

– Dlaczego nie odpoczniesz, siostrze? – spytała starszą mniszkę, która miała namalować wę-  
ża.

– Przepraszam, że to tyle trwa, matko przełożona, ale mój wzrok...

– Wszystkim nam się to zdarza. Odłóż pędzel i zamknij na chwilę oczy. Może przyda ci się kilka kropli wody.

– Opat twierdzi...

Winifreda zacisnęła wargi. Wolałaby, żeby podczas ostatniej wizyty ojciec Edman nie narze-  
kał tak głośno na coraz wolniejszą pracę. Nie musiał przygnębiać siostr swoim krytycyzmem. Zresztą i tak nic się nie dało poradzić na te dolegliwości. Agnes była coraz starsza, należało się liczyć z tym, że jej praca potrwa dłużej.

– Nieważne, co twierdzi opat – powiedziała łagodnie Winifreda. – Bóg nie chce, byśmy za-  
pracowały się do tego stopnia, by nie móc mu służyć. Zamknij oczy, później skończysz. –  
W myślach dodała jeszcze jedną pozycję do listy prośb, które zamierzała przedstawić opatowi:  
krople do przemywania oczu dla siostry Agnes.

Rozdzwoniły się dzwony. Wzywały mniszki na tercję, trzecią z siedmiu godzin kanonicz-  
nych, przeznaczoną na śpiewanie religijnych pieśni. Siostry odłożyły pędzle i pióra i szeptem  
odmówiły modlitwę nad niedokończoną pracą, przeżegnały się i w ciszy wyszły.

Po chwili zebrały się w prezbiterium, sercu ich kaplicy: na wschód od niego znajdował się  
ołtarz, gdzie odprawiały mszę, – na zachód, za drewnianym ekranem, była nawa, tam miejscowi,  
pielgrzymi i goście klasztoru uczestniczyli w nabożeństwie. Kaplica, niewielki budynek  
z kamienia, znajdowała się w centrum skromnych budowli tworzących zbudowany trzysta lat  
wcześniej klasztor Świętej Amelii. Siostry żyły zgodnie z regułą świętego Benedykta, która wy-  
magała milczenia, celibatu, abstynencji i ubóstwa, sypiały w dormitoriach i jadały w dużym re-  
fektarzu. Nieco bardziej okazałe dormitorium zajęły rezydentki: nie zakonnice, lecz damy  
z dobrych rodzin, które wybrały odosobnienie. Był tu także dom dla pielgrzymów i podróżnych;  
w tych dniach stał pusty. Obok niewielkiego kościoła znajdował się kapitułarz, w którym siostry  
gromadziły się, by czytać regułę i wyznawać grzechy, a także skrytorium, gdzie spędzały więk-  
szość czasu. Wszystkie te kamienne budowle otaczały wirydarz, prostokąt pomiędzy arkadowymi  
krużgankami. Właśnie z tych zimnych, szarych, milczących murów wychodziły najpiękniejsze

manuskrypty w całej Anglii.

Winifreda patrzyła na garstkę sióstr, które weszły na chór, by zaśpiewać. Kiedyś było ich dużo więcej, teraz jednak ubywało ich z roku na rok. Wśród wątych, starszych mniszek od dawna nie pojawiła się żadna nowicjuszka. Mimo to służbistka Winifreda każdego ranka przyglądała się swoim podwładnym, by mieć pewność, że ich strój jest nieskazitelny: czarna tunika, szkaplerz i welon; biały kornet, barbet i przepaska na głowę. W niepogodę albo podczas rzadkich wycieczek za teren klasztoru siostry nosiły czarne peleryny z kapturem. Z opasającego talię sznura zwisały różaniec i nóż. Mniszki zawsze chowały dłonie w rękawach, a ręce przyciskały do pasa, za szkaplerzem. Opuszczały wzrok na znak skromności i pokory. Wolno było im rozmawiać, ale cicho i jak najmniej.

Jak we wszystkich angielskich klasztorach, mniszkami mogły zostać jedynie szlachcianki. Mieszczanki raczej nie miały na to szans, nie mówiąc już o wieśniaczkach. Winifreda chętnie otwarłaby bramy klasztoru przed kobietami z klasy średniej, bogatymi i z powołaniem, a nawet przed niejedną cnotliwą chłopką. Istniały jednak pewne zasady i nie mogła ich zmienić. Klasztor był również gotów przyjmować uczennice – córki bogatych baronów – by poznały tu tajniki haftu i etykiety, a te, które miały ojców o otwartych umysłach, także czytania i pisanie po łacinie oraz prostych rachunków, przydatnych, gdy pewnego dnia zaczną prowadzić dom. Kiedyś przyjmowano tu też majątne wdowy, które nie miały gdzie się podziać, oraz kobiety szukające schronienia przed brutalnymi mężami lub ojcami, które stać było na pobyt w klasztorze, żeńskim rajem wolnym od mężczyzn i ich dominacji.

Dawniej było ich tu blisko sześćdziesiąt. Teraz zostało zaledwie jedenaście osób. Oprócz matki Winifredy w klasztorze przebywało siedem sióstr, dwie starsze szlachcianki, które mieszkaly tu zbyt długo, by je gdziekolwiek przenieść do nowego klasztoru, oraz stary dozorca Andrew, wychowany w zakonie od niemowlęctwa, kiedy to znaleziono go w koszyku przed furką.

Klasztor Świętej Amelii umierał, bo pięć lat temu, zaledwie kilkanaście kilometrów dalej, osiedliły się mniszki z innego zgromadzenia. Miały relikwie o wiele cenniejsze niż kości rzymskiej męczennicy. Ich klasztor pod wezwaniem Prawdziwego Krzyża przyciągał nowicjuszki, bogate damy, uczennice, pielgrzymów i podróżnych, którzy wypełniali szkatuły siostrzyczek brzęczącymi monetami. Winifreda usiłowała nie myśleć o pustych pulpitych w skryptorium, o wyschniętych kałamarzach oraz siostrach, które trudziły się nad iluminacjami i, podobnie jak ona, starzały. Klasztor Świętej Amelii stracił uczennice i nowicjuszki na rzecz klasztoru Prawdziwego Krzyża, chodziły bowiem słuchy o cudach, do jakich tam doszło: ciężko chorzy odzyskiwali siły, bezpłodne żony zachodziły w ciążę, baronowie zdobywali fortuny. Opat napomknął Winifredzie, że u Świętej Amelii od dawna nie zdarzył się żaden cud. Winifreda uważała jednak, że cuda dzieją się tu każdego dnia – wystarczyło popatrzeć na iluminacje!

Tak czy owak, pielgrzymi zniknęli. Jak ich skromna święta mogła konkurować

z Prawdziwym Krzyżem? Podróżnych w ogóle było jak na lekarstwo – a jeśli już ktoś wędruje przez wiele kilometrów po błogosławieństwo albo lekarstwo, z pewnością wybierze drzazgę z krzyża Chrystusa, a nie jakieś kości. I tak z roku na rok klasztor Świętej Amelii odwiedzany był coraz rzadziej.

Zwyciężały go także młodość i bogactwo. Winifreda liczyła sobie pięćdziesiąt lat z okładem, nie miała już żadnych krewnych. Gdy żył jej bogaty i wpływowy brat, nie musiała się martwić o swoją pozycję. Brat jednak zmarł, podobnie jak siostry i szwagrowie. Nowy klasztor był utrzymywany przez Oswalda z Mercji, ojca przeoryszy, zamożnego i szczodrego. Cieszył się też pełnym poparciem opactwa.

Wzniesione na wzgórzu nad małym miasteczkiem Portminster i rzeką Fenn na wschodnim wybrzeżu Anglii, opactwo powstało w miejscu, gdzie był założony w 84 roku n.e. rzymski garnizon. Garnizon przekształcił się w port nazwany zwyczajnie Portusem, słynący ze strzeżonej przystani i handlu węgorzami. W czwartym wieku chrześcijanie uciekający przed prześladowaniami cesarza Dioklecjana przywieźli tu z Rzymu szczątki świętej Amelii. Pustelnicy żyjący w klasztorze nieopodal miasteczka udzielili gościny świętej uciekinierce. Kiedy zbudowano nowy kościół, nazwano go Portus Mynster [*mynstei* to anglosaski odpowiednik słowa *monasterium*). W 822 roku Duńczycy ograbili i spalili Portminster. Szczątki świętej Amelii uratowano i ukryto w niewielkim zgromadzeniu mniszek, które mieszkały w klasztorze na końcu zapomnianej rzymskiej drogi, dwanaście kilometrów dalej.

Wiek później, kiedy pojawili się benedyktyni i zbudowali w Portminsterze opactwo, debatowano, co począć z kośćmi świętej Amelii. Postanowiono w końcu, że pozostaną w skromnym klasztorze, bo już wtedy chodziły słuchy o cudach dokonywanych przez świętą, co przyciągało pielgrzymów i gości z różnych stron. Amelia, patronka od dolegliwości piersiowych, podobno leczyła wszystko, od zapalenia płuc po choroby serca; niektórzy twierdzili nawet, iż pomaga też na inne sercowe przypadłości, zwłaszcza miłosne kłopoty. W rezultacie klasztor się rozrósł i zyskał na znaczeniu. W tym samym czasie zarządzające klasztorze opactwo Portminster zdobyło sławę dzięki przepięknie ilustrowanym manuskryptom.

Mniszki śpiewały religijną pieśń. Winifreda patrzyła na ołtarz, na którym stał niewielki relikwiarz z kośćmi świętej Amelii. Wyobraziła sobie wymarzoną nastawę: trzy drewniane panele o połączonych krawędziach, długie na cztery łokcie, szerokie na trzy. Na pierwszym namalowałyby nawrócenie się Amelii na chrześcijaństwo; na drugim jej wizyty u chorych i biednych; na ostatnim Amelię uderzającą się w pierś, gdy nakazała sercu stanąć, nim rzymscy żołnierze zdołali zmusić ją do wyrzeczenia się wiary.

Spojrzenie Winifredy powędrowało ku zakurzonemu rusztowaniu, które wznosiło się pod sufitem, nad ołtarzem. Rozporki i podpory stanęły tu pięć lat wcześniej, kiedy opat obiecał naprawić dach. Po otwarciu jednak nowego klasztoru, kiedy wszystkie pieniądze Oswalda zaczęły pły-

nać w tamtym kierunku, opat uznał naprawy za zbędne, więc je odwołano. Robotnicy pozostawili drewniane rusztowanie, które niepomrotnie irytowało przeoryszę.

Brzmiały właśnie wysokie tony pieśni *Salve Regina*, gdy Winifreda zauważyła cień po drugiej stronie ekranu oddzielającego modlących się od mniszek. Był to Andrew.

– Opat jest na końcu dróżki. – Jego oczy zaokrągliły się ze zmartwienia.

– Dziękuję, Andrew – szepnęła. – Idź, otwórz mu furkę.

Winifreda pośpieszyła przez krużganek do kuchni, gdzie pani Mildred, siwowłosa kobieta w skromnej sukni, mieszała owsiankę nad ogniem. Przybyła do klasztoru ćwierć wieku temu, po śmierci męża. Żadne z jej dzieci nie dożyło dorosłości, inni krewni również zmarli, postanowiła więc, że mniszki staną się dla niej rodziną. Gdy pani Mildred zabrakło pieniędzy i nie mogła już płacić za swoje utrzymanie, z radością podjęła się gotowania dla sióstr i dawno temu zapomniała, że kiedyś była szlachcianką.

– Potrzebujemy piwa dla opata – powiedziała Winifreda. – I czegoś do jedzenia.

– O rety, czemu przybywa? Za prędko!

Zamiast przynieść piwo, pani Mildred poszła z Winifreda do furty dla gości i obie nerwowo wyglądały opata.

– Wielebna matko! – powiedziała Mildred z nagłą radością. – Patrz! Opat niesie nam w darze parę bażantów! – Po chwili mina jej zrzedła. – Nie, to tylko jeden bażant. Jest nas jedenaście, a jeśli biskup uzna za stosowne posilić się wraz z nami...

– Proszę się nie martwić. Damy sobie radę.

Matka Winifreda śledziła wzrokiem opata jadącego na pięknym koniu przez ogród. Domyśliła się po jego minie, że jej obawy były słuszne. Opat wioził nie tylko święte księgi, ale także złe wiadomości.

Niech Bóg cię błogosławi, matko przełożona! – zakrzyknął, zsiadając z wierzchowca.

– Nawzajem, ojcze. – Matka Winifreda spojrzała na marnego bażanta. Dzisiejsza wieczerza też będzie skromna... W tej samej chwili opat dyskretnie pociągnął nosem, ale nie wyczuł żadnych kuchennych aromatów. Przypomniawszy sobie, jak to, bywało, czekał na słynny *blancmanger* Winifredy, który osobiście *przyrządzała*, z mielonego kurczaka, gotowanego ryżu, mleczka migdałowego, cukru i anyżu. Kiedyś robiła wspaniałe rybne knedle i warzywa zapiekane w cieście, na których widok ciekła ślinka. A jej placek ze śliwkami... Westchnął. Niestety, tamte czasy minęły. Teraz, gdyby postanowił zostać na posiłku, mógł się spodziewać twardego chleba, cienkiej zupy, przywędłej kapusty i fasolki, po której puszczałby wiatry przez cały tydzień.

Obojgu burczało w brzuchu. Rozmawiali o pogodzie i innych nieważnych sprawach. Przeorysza знаła opata na tyle dobrze, by wiedzieć, że odwleka nieprzyjemną rozmowę. Nie uszło jej uwagi, że gość ma na sobie nowe szaty. Jego czarny habit lśnił w słońcu jak tonsura. Spozstrzegła też, że od ostatniej wizyty jeszcze urósł mu brzuch, choć widzieli się zaledwie dwa tygodnie te-



mu.

Przede wszystkim jednak próbowała odgadnąć cel tych nieoczekiwanych odwiedzin. Domyślała się, o co chodzi: w tym roku dach również nie zostanie naprawiony. Ona i pozostałe siostry przez jeszcze jedną zimę będą musiały rozstawiać wiadra i garnki oraz spać w przemoczonych łózkach.

Może udałoby się wyciągnąć z tej fatalnej wizyty jakąś korzyść? Przynosząc tak złe wieści, opat nie mógł chyba zabronić jej pomalowania nastawy? Postanowiła odwołać się od odrobiny miłosierdzia, którą z pewnością miał w sercu.

Winifreda wierzyła w każde słowo Biblii, pozwalała sobie jednak na swobodną interpretację. Nie wątpiła, że Bóg najpierw stworzył mężczyznę, ale nie była pewna, czy dał mu więcej rozumu. Tak czy owak, złożyła śluby posłuszeństwa i zamierzała słuchać opata – w rozsądnych granicach. Jeśli nie chciał dać jej nowego dachu, musiał zgodzić się na nastawę. Zasłużyła na to. Winifreda była jedną z najstarszych kobiet w okolicy. Była nawet starsza od wielu znanych sobie mężczyzn – z pewnością od opata – i już sam wiek dawał jej szczególne przywileje.

Weszli do kapitułarza, pełnego przeciągów pomieszczenia umeblowanego krzesłami o wysokich oparciach i zdominowanego przez olbrzymi, pełen sadzy kominek. Winifreda spytała opata, czy przywiózł herbatę z kory wierzbowej.

– Nie pierwszy raz o to proszę, ojczu.

Opat usiadł na jedynym wygodnym krześle. Zastanawiał się, czy Winifreda zbyt mocno ścisnęła barbet, czy też zawsze miała taką ściągniętą twarz. Zauważył niebieskoczarne plamy na jej dłoniach i odgadł, że rankiem zbierała liście urzetu. Ten krzew o szerokich liściach doskonale zastępował importowane indyjskie indygo, używane przez mniszki do wyrobu pigmentu. Indygo było niezwykle rzadkie i kosztowne.

– Nie wolno myśleć o własnej wygodzie, matko Winifredo – pouczył ją łagodnie.

Mocno zacisnęła usta.

– Myślałam o artretyzmie siostry Agaty. Ból jest tak wielki, że ledwie trzyma pędzel. Jeśli moje mniszki nie będą mogły malować...

– Groźba zawisła w powietrzu.

– Zgoda. Wyślę zioła, gdy tylko wrócę do opactwa.

– I mięso. Moje siostry muszą jeść, by mieć siłę do pracy.

Opat wykrzywił usta. Wiedział, do czego zmierza Winifreda. Potrafiła się targować o ziemskie dobra. Nie mógł jednak ciągle odmawiać. Zapotrzebowanie na iluminacje rosło, choć opat robił co w jego mocy, by przeorysza się o tym nie dowiedziała.

Nie można powiedzieć, że opat Edman nienawidził kobiet. Po prostu nie rozumiał, po co istnieją, i zastanawiał się często, dlaczego Bóg w swej nieskończonej mądrości posłużył się tak zupełnie różnymi środkami do rozmnażania swych dzieci. Edman był przekonany, że mężczyźni

i kobiety nigdy nie nauczą się ze sobą żyć. Gdyby nie kobieta, Adam zostałby w Edenie i teraz wszyscy ludzie mieszkaliby w Raju. Niestety, Anglia nie była rajem, a ten klasztor podlegał Edmanowi jako opatowi Portminsteru, który musiał go regularnie odwiedzać. Nigdy jednak nie bawił tu zbyt długo, załatwiał sprawy i odjeżdżał na tyle szybko, na ile pozwalała mu uprzejmość.

Starął się zachowywać swobodnie w tej na wskroś żeńskiej atmosferze – dlaczego kobiety żywiły taką nieprzystojną namiętność do kwiatów? – i pomyślał o braciach zakonnych, którzy mieli kłopoty z dochowaniem ślubu czystości. Edman zachowywał celibat, choć jako kapłan nie musiał. Większość księży miała żony, czego zupełnie nie mógł zrozumieć. W 964 roku biskup Ethelwood w katedrze w Winchesterze dał żonatym księżom wybór: albo zachowają żony, albo urząd, i co do jednego wybrali małżonki. Celibat nie ciążył Edmanowi, nigdy nie pragnął cielesnego zbliżenia z kobietą. Nie pojmował, jak człowiek obdarzony rozumem mógłby tego chcieć. Urodzony w biedzie, ledwie pamiętający matkę, wcześniej osierocony przez ojca-rybaka, Edman przeżył w portowym mieście dzięki rozumowi i sprytowi. Harował jak wół roboczy u farmerek i żon rybaków. Dostawał więcej razy po głowie niż zdołałby zliczyć, co go nauczyło, że żadna kobieta nie ma w sobie współczucia ani słodyczy. Tylko życzliwość miejscowego księdza, który nauczył go czytać i pisać, uratowała Edmana przed życiem pełnym upokorzeń i rozpacz. Wstąpił do zakonu i dzięki ambicji, bystremu umysłowi i umiejętności dobierania sobie właściwych przyjaciół piął się po szczeblach kariery zakonnej, aż trafił do znamienitego opactwa i bogatego klasztoru benedyktyńskich skrybów.

Irytowały go te obowiązkowe wizyty w klasztorze Świętej Amelii. Mógł to przecież robić jego podwładny. Wysłał już kiedyś jednego ze swoich zastępców po iluminowany manuskrypt. Urażona matka Winifreda stwierdziła, iż praca nad nim nie jest jeszcze ukończona i zasugerowała, żeby następnym razem pofatygował się po niego sam opat. To stworzenie potrafiło jednocześnie być posłuszne i zbuntowane. Na pewne jednak rzeczy Edman nie zamierzał przystać – na przykład na pomalowanie nastawy – a ona dotychczas słuchała jego rozkazów. Dzięki Bogu! Opat nie mógł pozwolić jej na taką stratę czasu – wszak zapotrzebowanie na iluminacje wciąż rosło.

Mimo niechęci do wizyt w klasztorze musiał przyznać, że takie miejsca są użyteczne. Niejedna niechciana kobieta trafiała do zakonu, by przeżyć życie godnie, bezpiecznie i nie sprawiając kłopotów rodzinie. Rzecz jasna, były tu też stworzenia, które wołały towarzystwo przedstawicielek własnej płci, kobiety, które nie chciały słuchać mężczyzn, uważały się za równe mężczyznom lub od nich lepsze, i takie, które wbiły sobie do głowy, że samodzielnie mogą podejmować decyzje. Dlatego też klasztory dobrze służyły i kobietom, i mężczyznom. Opata denerwowało tylko fanatyczne podejście mniszek do czystości. Zapach potu nikomu jeszcze nie zaszkodził, a Winifredę i jej towarzyszkę zawsze czuć było – jak wszystkie dobrze urodzone damy – słodką

lawendą i wrotyczem, który rozsypywały na materacach, żeby przepłoszyć pchły.

– Jak tam wizyta w Canterbury, ojczy? – spytała matka Winifreda bez najmniejszego zainteresowania. Miała nadzieję, że odpowiedź nie będzie zbyt długa. Pełna torba opata świadczyła o tym, że siostry czeka sporo pracy, a więc przeorysza będzie musiała zająć się przygotowaniem nowych pigmentów.

Edman myślał tak intensywnie, że aż zmrużył oczy. W katedrze Canterbury był świadkiem dziwnego widowiska. Widział tam coś, co zwano sztuką: mężczyźni poprzebierani w kostiumy odgrywali jakąś historię. Tę część wielkanocnej mszy wymyślili tamtejsi mnisi. Kiedy zakonnik przebrany za diabła wszedł na scenę, przerażeni widzowie wpadli w furję, o mało nie zabili biedaka. Podobno takie przedstawienia pozwalały ludziom lepiej poznać Biblię, ale opat miał co do tego wątpliwości. Jeśli ludzie po prostu obejrzą historię, to może przestaną słuchać kazań? Albo czytać Biblię? Chyba te sztuki się nie przyjmą... On w każdym razie nie zamierzał ich wystawiać w swoim opactwie.

Czy odgrywanie scen z Biblii oznacza, że czasy się zmieniają? Dwadzieścia dwa lata temu Kościół także uważał, że wszystko się zmienia i to tak bardzo, że obwieścił koniec świata.

A millenium okazało się jednym wielkim rozczarowaniem. Takie napięcie, tyle hysterii, uczt i orgie, ludzie zbiegający się do opata na spowiedź, samobójstwa i prorocy. Wszyscy myśleli, że wraca Jezus, a świat zmierza ku końcowi. I te wieczne debaty! Czy liczymy tysiąc lat od narodzin Chrystusa, czy też od jego śmierci? Czy millenium oznacza drugie przyjście Chrystusa, czy początek panowania szatana? Czy zniszczenie świętego grobowca w Jerozolimie przez muzulmanów to znak? Ale to się zdarzyło w 1009 roku. Czy to jeszcze było millenium? Opat Edman, wtedy młody kleryk, przyłączył się do ruchu Pokój Boży, by ukrócić panoszenie się feudalnych panów. Rzecz jasna, gorączka związana z Dniem Sądu miała swoje zalety. Bogaty baron podarował swoje ziemie i majątek opactwu Portminster i wyjechał, by spędzić wigilię millenium w Watykanie, ubrany w worek pokutny i z głową posypaną popiołem. Potem nadszedł pierwszy styczeń 1000 roku. I nic. Kolejny zimny ranek pełen zwykłych dolegliwości, bólów i wzdęć.

– Podróż przebiegała bez komplikacji, Bogu niech będą dzięki.

– Opat miał nadzieję, że te bezsensowne rozmówki nie prowadzą do prośby o pomalowanie przekłetej nastawy. Co za męcząca sprawa. Tyle razy powtarzał jej, że to wykluczone. Czyżby nie wiedziała, że sprzeciwianie się woli opata to sprzeciwianie się woli Boga?

Oczywiście, że wiedziała. Ta kobieta była przykładną służką bożą, choć często wykorzystywała spowiedź, by przemycić złośliwości.

– Jestem winna grzechu głodu – szeptała przez kratę konfesjonału – i chciałabym, żeby opat dostarczał więcej jedzenia dla moich sióstr i dla mnie.

Ignorował te przycinki i nakazywał jej odmówienie trzech *Ojczy nasz* za grzech obżarstwa.

Litość łagodziła jednak zniecierpliwienie opata. Biedna Winifreda. Gdy tylko rozeszła się

wieść o nowym klasztorze i jego luksusach, że Świętej Amelii ubyło zastraszająco dużo zakonnic, gości i uczennic. Jak mogło być inaczej? Zgromadzenie nie służyło z wyszukanych potraw, Winifreda skąpiła wełny i węgla, nie pozwalała trzymać zwierząt. Rezydentki często uskarżały się opatowi na kiepskie warunki. Teraz zajęły nowe, wygodne kwatery, grzejąc się w ciepłe, stoły zaś uginały się pod ciężarem mięsów i wina. Winifreda pozostała jednak tutaj, w izbach, w których hulał wiatr, z maleńką grupką oddanych mniszek. Gdyby nie te niezwykle iluminacje, dawno już kazałby zlikwidować ten klasztor.

Pani Mildred upiekła owsiane ciastka z miodem, zdrową przekąską. W spiżarni brakowało zarówno owsa, jak i miodu, zrobiła więc dokładnie jedenaście ciastek wielkości orzecha – po jednym dla każdego. Opat należało jednak czymś poczęstować. Kucharka przyniosła od kapitułarza cały półmisek, gotowa poświęcić własne ciastko, żeby opat przekonał się o ich gościnności. Ku jej zdumieniu i zaskoczeniu matki przełożonej Edman od razu złapał trzy ciasteczka i wrzucił je do ust. Patrzyły, jak jego szczęki miażdżą chrupiący smakołyk. Przeknął i sięgnął po następne trzy. Kolacja wszystkich mieszkańców klasztoru błyskawicznie zniknęła, a Winifreda poczuła, jak budzi się w niej wściekłość.

Ojciec Edman popijał mdłe ciastka słabym piwem. Zauważył spojrzenie, które wymieniły między sobą kobiety. Nie zwrócił na nie uwagi. Nie zamierzał przeproszać za swój apetyt, wierzył, że Bóg pragnie, by jego sługi dobrze się odżywiały. Jak mógłby nawracać na chrześcijaństwo, gdyby przypominał stracha na wróble? Czy poganie nie powiedzieliby wtedy: „Ten wasz Chrystus nie jest dobry, skoro jego dzieci głodują”? A opat Edman poważnie traktował ewangelizację. Anglia wydawała się wprawdzie chrześcijańska, ale doskonale wiedział, że wielu prostych ludzi nadal czci drzewa i kamienne kręgi. Dawne przesady i pogańskie obrzędy kryły się pod cienką powłoką udawanej pobożności i walka o ludzkie dusze była niekończącą się bitwą. Opat uważał się za chrześcijańskiego wojownika, a wszyscy wiedzą, że żołnierze muszą dobrze jeść.

Wytrzeł palce o habit i przystąpił do rzeczy. Sięgnął do torby po nowe stroniczki, które należało ozdobić. Przywiózł także książkę do iluminowania. Ludzie świeccy zaczęli wykazywać zainteresowanie książkami i był to następny sygnał świadczący o tym, że świat się zmienia.

– Zamawiający pragnie, by na pierwszej stronie znalazła się jego podobizna w zbroi i na koniu, z tarczą i kopią. Portret jego damy ma widnieć na początku jednego z psalmów.

Winifreda skinęła głową. Była to typowa prośba. Dla dam zazwyczaj wybierała psalm 101. Po łacinie zaczynał się od litery „D”, która miała odpowiednie kształt i wielkość, by umieścić w niej sylwetkę człowieka. Pierwszy wers psalmu brzmiał: „Chcę opiewać sprawiedliwość i łaskę”<sup>2</sup>, co podobało się paniom.

W Anglii i Europie iluminowano teraz rozmaite woluminy, od Ewangelii i ksiąg liturgicz-

---

<sup>2</sup> Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Księga Psalmów, Ps.101,1.

nych do fragmentów ze Starego Testamentu i zbiorów dzieł dawnych pisarzy przerysowanych od karolińskich kopistów. Regionalną specjalnością ojca Edmana były psalterze ozdobione biblijnymi scenami, dzięki Winifredzie najpiękniejsze w całej Anglii. Rysunki w księgach były pełne życia, ludzkie sylwetki w zwiewnych szatach zdawały się poruszać. W młodości Winifreda uczyła się sztuki iluminacji u artysty wyćwiczonego w stylu winchesterskim, jej prace więc charakteryzowała przewaga granatu i zieleni oraz wspaniałe obramowania z liści i sylwetek zwierząt. Od siebie dodawała spiralne ozdobniki, przeplatania, ornamenty przypominające wyroby celtyckiego rzemiosła.

Trwała zaciekle rywalizacja między ośrodkami tworzącymi księgi, wszystkie opactwa i katedry dążyły do tego, by to ich książki były najpopularniejsze wśród królów i szlachty. Proces iluminowania trwał jednak długo, większość katedr i klasztorów tworzyła zaledwie dwie książki rocznie. Jeden z poprzedników Edmana wpadł na pomysł zatrudnienia przy pracy mniszek od Świętej Amelii – miały delikatniejsze ręce, lepszy wzrok i zamiłowanie do detali, mogły więc pracować nad inicjałami, podczas gdy mnisi zajmowali się tekstem. Duma nie pozwalała opatowi wyjawiać, że wielkie litery są dziełem kobiet. Sądzono powszechnie, że to mnisi z opactwa Portminster tworzą te cuda i do tego tak szybko.

– Pracują w boskim tempie – powtarzał opat.

Był jednak pewien problem: do Świętej Amelii nie trafiały nowicjuszek, a zakonnice-artystki powoli wymierały. Niedawno biskup wymyślił rozwiązanie. Zdaniem Edmana było ono znakomite, ale podejrzewał się, że Winifredzie się nie spodoba.

Musiał działać ostrożnie. Nie wiedział, jak przeorysza zareaguje na to, co miał do powiedzenia. Zaczynała się buntować. Jeśli nie załatwi sprawy tak jak trzeba, wszystko przepadnie. Edmandowi nie brakowało ambicji. Zarządzanie opactwem to spore osiągnięcie, bez wątpienia, ale on był przeznaczony do wyższych celów! W Portminsterze budowano nową katedrę. Ojciec Edman zamierzał zostać w niej biskupem. Jego sukces zależał jednak w dużej mierze od tego, czy Winifreda i mniszki nadal będą iluminowały manuskrypty...

Podczas gdy opat pożerał ciastka przeznaczone dla jedenastu osób, Winifreda zarządziła, by do kapitulacza przyniesiono ukończone dzieła. Edman przyjrzał się im uważnie. Jak zwykle barwy zapierały dech w piersiach. Przysięgłyby, że gdyby dotknął czerwieni, poczułyby bicie serca, a żółć zapachniałaby jak żonkile. Aż dziw brał, że Winifreda, sama cierpka i bezbarwna, tworzyła tak niezwykle żywe kolory.

Nie pochwalił jej prac – nigdy tego nie robił, a i ona nie oczekiwała słów uznania. Dostrzegła jednak podziw w jego oczach i poczuła dumę. Uznała, że to dobry moment, by ponowić prośbę o pomalowanie nastawy.

Cierpliwie słuchał jej wyjaśnień – „chcę ofiarować coś świętej Amelii za to, co dała mnie” – ale już wiedział, że i tym razem się nie zgodzi. Edman nie mógł pozwolić Winifredzie zająć się

pracą, która trwałaby kilka miesięcy – ten cenny czas powinna przeznaczyć na uczenie młodych zakonnice sztuki iluminacji.

Odchrząknął i udając, że głęboko zastanawia się nad jej prośbą, odparł:

– Z pewnością święta Amelia czuje, że zacnie jej służyłaś przez te wszystkie lata, matko przełożona.

– Dlaczego zatem nie mogę przestać myśleć o nastawie? Dniem i nocą mam ją przed oczami.

– Może powinnaś się pomodlić – zasugerował.

– Modliłam się, a im dłużej się modlę, tym więcej myślę o nastawie. Teraz nawet o niej śnię. Czuję, że kieruje mną ręka boża.

Opat zacisnął wargi. Co za niebezpieczne myśli! Żeby kobieta otrzymywała polecenia bezpośrednio od Boga? A gdyby wszystkie niewiasty wbiły to sobie do głowy? Wtedy żony przestałyby słuchać mężów, córki ojców i społeczeństwo ogarnąłby chaos.

– Jednak, matko przełożona, u Świętej Amelii nie będzie żadnego pożytku z nastawy.

– Jak to? – Winifreda uniosła skąpe brwi.

– Obawiam się... – znowu odchrząknął, tym razem nerwowo – ...że trzeba zamknąć klasztor.

Winifreda wpatrywała się w niego oniemiała. W kapitułarzu zapadła cisza, tylko za ciężkimi drzwiami słychać było szmer kroków.

– Co masz na myśli, ojczcze? – odezwała się w końcu przeorysza.

Opat się wyprostował.

– To, matko Winifredo, że tych starych budynków nie da się uratować, szkoda pieniędzy na naprawy. Rozmawiałem z biskupem, zgadza się, żebyś wraz z siostrami przeniosła się do klasztoru Prawdziwego Krzyża.

– Ale nasza praca... iluminacje?

– Nadal będziecie się nimi zajmować, naturalnie. Przekażecie swoje umiejętności młodszemu pokoleniu sióstr, żeby kontynuowały tradycję.

Winifreda zaniemówiła. Spodziewała się złych nowin, ale coś takiego nawet nie przyszło jej do głowy.

– A co ze Świętą Amelią?

– Dostanie własną kaplicę w nowej katedrze w Portminsterze.

O tak późnej porze kaplica była pusta i cicha, blask świecy padał na klęczącą samotną postać.

Winifreda nigdy dotąd nie czuła takiej rozpaczki. Dzień, który zaczął się od tyłu barw i obietnic, był teraz ponury jak angielska zima. Wynieść się z jedyne go domu, jaki znała! W tak późnym wieku uczyć młode dziewczęta tego, co umiała! Powiedzieć kochanym siostronom, że przenoszą się w nieznanne miejsce, gdzie będą musiały dostosować się do nowych reguł i obyczajów! Dlaczego? Czy dziesiątki lat pokornej służby już się nie liczyły?

Ale najgorsze, naprawdę najgorsze, było rozdzielenie z umiłowaną świętą.

Przez większość życia Winifreda codziennie modliła się do Amelii. Nigdy nie zaczynała ani nie kończyła dnia bez rozmowy ze świętą. Nie wyjeżdżała z klasztoru, bo nie lubiła się z nią rozstawać. To Amelia dała jej mądrość i siłę. Była nie tylko zmarłą przed tysiącem lat kobietą, ale i matką, którą Winifreda ledwie знаła, i córką, której nigdy nie urodziła, i siostrami pochowanymi na kościelnym cmentarzu. Teraz, klęcząc samotnie w kaplicy w nikłym blasku świecy, musiała się z nią pożegnać. Czuła się tak, jakby stała na krawędzi wielkiej, przerażającej otchłani.

– Ojciec – rzekła do Edmana, gdy już się otrząsnęła po usłyszeniu szokującej wieści. – Mieszkam w klasztorze od ponad czterech dziesięcioleci. Nie mam innego domu. Właśnie tutaj święta Amelia obdarowała mnie talentem malarskim. Jak mogłabym wyjechać? Rozdzielona z Amelią, stracę swój dar.

– Nonsens – odparł opat. – Twój dar pochodzi od Boga. Poza tym możesz przecież od czasu do czasu odwiedzać świętą Amelię w katedrze.

Odwiedzać od czasu do czasu. Zginę – pomyślała.

Teraz jej serce było rozdarte. Od dzieciństwa uczono ją słuchać ojca, męża, księdza, Kościoła. Czasami jednak czuła, że ma więcej rozsądku i podejmuje lepsze decyzje niż niejeden mężczyzna. Jak chociażby w millenijną noc: poprzednik ojca Edmana kazał jej udać się wraz z siostrami do opactwa Portminster – na modły i dla bezpieczeństwa. Winifreda jednak miała przeczucie, że we własnym klasztorze są bezpieczniejsze, i zlekceważyła polecenie opata. Tymczasem dzień przed Nowym Rokiem w Portminsterze wybuchła panika i kilka osób odniosło poważne rany, bo opat nie zapanował nad sytuacją. Nieprzytomny z przerażenia jeszcze bardziej nastraszył łatwowiernych ludzi. Tak to, dzięki nieposłuszeństwu Winifredy, siostry i rezydentki ocalały.

Co jednak miała począć w tej sytuacji? Skierowała wzrok na relikwiarz na ołtarzu, mający w blasku świecy. Obowiązek zajmowania się sześćdziesięcioma siostrami, rezydentkami i uczennicami, a także zaspokajanie fizycznych i duchowych potrzeb wielu pielgrzymów były niczym w porównaniu z odpowiedzialnością, przed którą stało teraz jej malejące stadko.

Winifreda czuła rozgoryczenie: tak naprawdę nie chodziło o zamknięcie wiekowego klasztoru. Niewielkie pieniądze wystarczyłyby, żeby Święta Amelia znów stała się samowystarczalna. Opat jednak chciał, aby Winifreda nauczyła młodsze siostry malowania iluminacji.

– Niech Agnes i Edith pozwolą odpocząć zmęczonym dłoniom i cieszą się spokojem u schyłku życia. Niech młode ręce przejmą od nich ten ciężar – powiedział.

Winifreda sprzeciwiła się. Siostry uwielbiają swoją pracę. Pozbawione jej tracą sens życia. Opat jednak nie chciał jej słuchać.

Przeorysza czuła się stara i zniszczona, bezużyteczna jak złamana igła. Doświadczenie nic nie znaczyło; liczyła się tylko młodość. I tak jak odgarnia się na bok zgniłe liście, żeby mogła

wyrosnąc nowa roślinność, tak i ona wraz z towarzyszkami musiała odejść.

Po raz pierwszy od dziesiątek lat Winifreda była bezsilna. Ten kochany, skromny klasztor, który przetrwał trzy wieki burz, powodzi, pożarów i nawet najazd wikingów, miał teraz zniknąć z powierzchni ziemi przez jakąś drzazgę!

Nagle ogarnął ją lęk, że bluźni – w końcu w nowym klasztorze znajdowała się nie byle jaka drzazga – złożyła więc ręce do modlitwy i zapłakała:

– Święta Amelio, nigdy cię o nic nie prosiłam. – Była to prawda. Inni przychodzili do świętej po przysługi, zdrowie i odpowiedź na pytania, ale matka Winifreda, opiekująca się świętą od czterdziestu lat, wznosiła do niej tylko modły dziękczynne. Teraz jednak miała prośbę. Nie chodziło o nic materialnego, nie szukała ucieczki przed fizycznym bólem, miłosnej porady ani męża. Zależało jej tylko na wskazówce. – Powiedz mi, co mam począć.

Zapomniała o powściągliwości i opanowaniu.

– Błagam, pomóż mi! – wykrzyknęła i zrobiła coś nieoczekiwanego: podbiegła do ołtarza i objęła srebrny relikwiarz.

Uświadomiwszy sobie z przerażeniem, co uczyniła – relikwiarza dotykano jedynie miotełką do kurzu – szybko odsunęła się od ołtarza, mamrocząc przeprosiny i raz za razem czyniąc znak krzyża. Wtem nastąpiła na rąbek habitu. Straciła równowagę i chcąc się czegoś przytrzymać, bez zastanowienia złapała za obrus leżący na ołtarzu. Przewracając się, ściągnęła wszystko – kwiaty, świece i relikwiarz.

Runęła na kamienie i uderzyła się w głowę tak mocno, że na moment ją zamroczyło. Po chwili doszła do siebie. Leżała na wznak na schodkach ołtarza i patrzyła na rusztowanie nad głową, czując straszliwy ból w czaszce. Próbowwała się poruszyć, ale jej prawą rękę przygwozdził jakiś ciężar.

Relikwiarz. Pękł i się otworzył.

Kości świętej leżały odsłonięte po raz pierwszy od niemal trzystu lat.

Winifreda zerwała się na równe nogi, szepcząc „Matko Boska”, i patrzyła z przerażeniem na zbezczeszczoną relikwię.

Jej serce biło jak oszalałe, nie wiedziała, co począć. Czy sprofanowała umiłowaną świętą? Czy istniał specjalny rytuał, który należało odprawić? Opat. Musiała natychmiast zawiadomić opata.

Coś jednak ją powstrzymało. Stłumiła impuls, który nakazywał jej ucieczkę z kaplicy, powoli uklękła i ze zdumieniem wpatrywała się w delikatne kości na schodach. Wyglądały jak muszle albo jak kamyki ze strumienia – kruche i bezbronne, tu palec, tam szczupła kość ramienia. Szkielet był cały, choć już rozsypywał się w pył. Czaszka nadal łączyła się z szyją, szyja z obojczykiem. Żebra zapadły się dawno temu, miednica była w tysiącu kawałków. Ale to szyja przyciągnęła uwagę Winifredy – pomiędzy kostkami kryło się tu coś dziwnego...



Pochylona, zmrużyła oczy w półmroku kaplicy. U podstawy czaszki, tam, gdzie łączyły się dwa kręgi...

Oczy przeoryszy rozszerzyły się ze zdumienia. Wstała i chwyciła zapaloną świecę. Wstrzymała oddech, patrząc, jak płomień oświetla blade kości, między którymi coś błysnęło.

Zmarszczyła brwi. Kości nie migoczą.

Jeszcze bardziej przybliżyła świecę i zajrzała w szczelinę między dwoma kręgami. W kaplicy hulał przeciąg, płomień tańczył. Znow coś zaśniło, niczym iskierka podczas krzesania ognia.

Co to było?

Poczuła się dziwnie, klęcząc w cichej kaplicy obok tysiącletnich kości. Przyszło jej do głowy, że nie jest już sama. Rozejrzała się wokół, ale kaplica była pusta. Mimo to Winifreda miała wrażenie, że ktoś dyszy jej w kark.

Ktoś tu był.

I wtedy wszystko stało się jasne. Nagle zrozumiała: to święta Amelia przebudziła się po długim śnie, bo ktoś zakłócił jej spokój.

– Błagam, wybac mi – wyszeptła drżącym głosem Winifreda, myśląc gorączkowo, jak pozbierać kości i włożyć je do relikwiarza. Należało to zrobić z jak największą czcią – i w tajemnicy. To wiedziała na pewno: tylko ona miała zobaczyć kości, nikt więcej. To był znak. Święta Amelia próbowała jej coś przekazać.

Płomień świecy znowu zadrżał i raz jeszcze oświetlił iskrę między kręgami szyi. Winifreda wyciągnęła drżącą rękę i ostrożnie dotknęła palcem wysuszonej, białej jak kreda kości. Kręgi rozpadły się jak połówki orzecha i odsłoniły przedmiot tak niezwykły, że przeorysza zrobiła nagły krok w tył, potknęła się i klapnęła na pośladki.

W szyi świętej Amelii znajdował się najpiękniejszy błękitny kamień, jaki kiedykolwiek widziała.

Trzymała go przy sobie, ukryty w głębokiej kieszeni habitu. Niebieski kryształ z gardła świętej Amelii. Nikomu o nim nie powiedziała, włożyła kości do relikwiarza, a relikwiarz postawiła na ołtarzu. Sama musiała zgłębić nowo odkrytą tajemnicę. Skąd się tam wziął kryształ? Jak trafił do gardła świętej? Czy był to znak od świętej Amelii? A niby co innego? Kości od wieków tkwiły w relikwiarzu, z tego, co wiedziała Winifreda, od tysiąca lat. Dlaczego wybrały właśnie ten moment, by się objawić? Odpowiedź nasuwała się sama: kiedy opat odjechał, Winifreda była zrozpaczona, gotowa uwierzyć, że słońce już nigdy nie wstanie. I wtedy Amelia przemówiła przez niebieski kryształ.

Jakie było jednak jej przesłanie? Czy miało coś wspólnego z przenosinami do nowego klasztoru? Jeśli tak, to czy Amelia kazała jej odejść, czy pozostać? Nic nigdy tak nie przygnębiło serca i umysłu przeoryszy, jak ta nowa sytuacja. Jej mniszki liczyły, że podejmie właściwą decyzję.

I były takie bezbronne! Biedna pani Odelyn, stara i chroma, czekała przy studni, by ktoś wyciągnął jej wiadro z wodą. Odelyn przybyła do Świętej Amelii dawno temu, po tym, jak wikingowie wyrznęli całą jej rodzinę. Rodowa biżuteria, ukryta w studni za rezydencją, wystarczyła na dożywotni pobyt w klasztorze. Od dnia jednak, w którym musiała opuścić kryjówkę, by wydobyć ukryte przez ojca skarby, i zobaczyła porąbane ciała rodziców i rodzeństwa, Odelyn bardzo bała się studni. Była tu też siostra Edith, tak roztargniona, że co wieczór trzeba jej było towarzyszyć do *necessarium*, bo zawsze się gubiła. I Agata, której artretyzm dokuczał niekiedy tak mocno, że wymagała pomocy podczas posiłków. Jak Winifreda miała powiedzieć tym kobietom, że oto nagle kończy się życie, które znały i ze znajomego, przyjaznego otoczenia trafią w miejsce obce i nieznanym?

Szukając odpowiedzi, skupiła się na niebieskim kryształku. Usiłowała odtworzyć jego barwy, mieszając rozmaite pigmenty. Unosiła na w górę przezroczysty kamień do światła i widziała eksplozję cyjanu, wstęgi błękitu nieba i kwiatów kukurydzy, jeziora szafiru, sadzawki akwamaryny. Kolor się zmieniał, wyglądał inaczej w świetle słonecznym i w blasku świecy, podczas burzy i o poranku. Fascynowały ją te barwy i ich rozmieszczenie. W samym środku kamienia skupiły się cząsteczki, które lśniły w słońcu. Czasem wyglądały jak białe srebro, przybierając różne kształty w zależności od kąta padania światła. Zawiesiła kryształ na cienkiej nitce i obracała go powoli. Uwieczona wewnątrz substancja zdawała się poruszać i zmieniać. Hipnotyzowała. Gdy Winifreda przyglądała się kamieniowi, gotowa była uwierzyć, że widzi kuszące ją widmo kobiety...

Chętnie namalowałyby kamień na pergaminie, ale do tego potrzebny był cud. Gdzie na ziemi mogłaby znaleźć takie odcienie niebieskiego, takie światło i przejrzystość, tak zmienne barwy?

– Nie tknęłaś śniadania, matko przełożona – powiedziała pani Mildred z troską, gdy siostry wyszły z refektarza. Oszczędna przeorysza dotąd nigdy nie zostawiała niczego na talerzu; teraz jednak nawet nie wypijała porannego napoju. Winifreda wierzyła w dawne praktyki lecznicze polegające na rozgrzewaniu krwi miksturą z siedmiu wiosennych ziół. Od czasów nowicjatu co roku odżywiała ciało, pijąc herbatę z korzenia łopianu, liści fiołka, pokrzywy, gorzycy, mniszka lekarskiego, pędów liliowca i dzikiej cebuli. Herbatka była paskudna, ale pobudzała. – Dziwnie się zachowujesz od wizyty opata.

Pani Mildred przypominała Winifredzie pieska-miniaturkę, ulubienca dam, noszone w rękawie stworzonko o wielkich oczach. Przeorysza czuła, że nic nie uchodzi uwagi starszej pani, zwłaszcza że panowała w tak ważnym dla życia klasztoru królestwie: w kuchni. Siostry przychodziły do niej z dolegliwościami i kłopotami, żeby nabrać siły, prosiły o mazidła, toniki, lekarstwa. Pani Mildred była drobną kobietą, bardziej jednak stanowczą od zażywnego opata.

– Czy to jego nowiny tak cię przygnębiły? – naciskała.

– Nie dostaniemy w tym roku nowego dachu – powiedziała wreszcie Winifreda.

Nie była to cała prawda, ale i nie kłamstwo. Jeszcze nie przekazała siostronom złej wieści,

chciała się najpierw pomodlić. Kupiła sobie trochę czasu, mówiąc opatowi, że siostry nie będą w stanie dokończyć najnowszych manuskryptów, jeśli dowiedzą się o rychłych przenosinach do nowego klasztoru, dał jej zatem dwa miesiące. Potem przeprowadzka będzie nieunikniona. Tymczasem Winifreda zastanawiała się nad cudem i tajemnicą niebieskiego kryształu, chcąc zrozumieć jego przesłanie.

Zostawiwszy panią Mildred ze sceptycznym wyrazem twarzy, udała się do skryptorium, gdzie siostry w ciszy i skupieniu tworzyły biblijne sceny o tak pięknych barwach, że wkrótce miała rozprawiać o nich cała Anglia. Tajemnica niezwykłych iluminacji kryła się w pigmentach. Jaki byłby pożytek z umiejętności artysty, gdyby używał poślednich farb? Teraz jednak kończyły im się zapasy, to, co zostało, nie było najlepszej jakości. Winifreda próbowała wydusić od opata trochę monet na zakup nowych materiałów, ale odmówił. Uznał, że przeorysza dokona cudów z tym, co ma, jak wielokrotnie w przeszłości.

Winifreda pomyślała o nowym pierścieniu, który zauważyła na dłoni ojca Edmana. Dar od patrona opactwa, bez wątpienia. Za cenę tej błyskotki zakonnice mogłyby dostać zapas pigmentów najlepszej jakości na cały rok, może nawet zdołałyby zakupić malachit, z którego tworzyły zapierające dech w piersiach zielenie. Musiały się jednak zadowolić zielenią z kruszyny i morwy albo z jagód kapryfolium i liści pokrzyku. Pewnie trzeba będzie wykorzystać też sok z kwiatów irysa, ale pozyskanie go było żmudnym procesem, wymagało cierpliwości i umiejętności. Ciemnoniebieskie kwiaty nie wyglądały na źródło zieleni, a tym bardziej fioletowawy płyn, który z nich wyciskano. Kiedy jednak zmieszało się go z alunem, wychodziła piękna, soczysta zieleń. Sekret polegał na usunięciu pyłku.

Czy to sprawiedliwe, że opat, mając tak drogocenny pierścień, zmuszał siostry do dodatkowej pracy?

Wyglądało na to, że w tym roku będą musiały spreparować żółtą barwę z kory jabłoni. Gdyby tylko mogły pozwolić sobie na szafran! Był niezbędny do imitowania złota. Odrobina suszonego barwnika i białko jaja tworzyły przepiękną, przezroczystą żółć. Winifreda z przyjemnością używała tego szklatego szafranu, by podkreślić ozdobne zawijasy wokół barwionych inicjałów, obramować złotem iluminowane elementy w książkach, nadać złoty połysk i wykończenie tekstu w kolorze czerwonym i czarnym.

Nie miały jednak szafranu, za to opat miał piękny pierścień z rubinem!

Omam nie wybuchnęła płaczem z żalu i rozpacz. Ojciec Edman oczekuje, że zrobią coś z niczego, a teraz jeszcze ma przekazać całą swą wiedzę młodym zakonnicom! Nie tylko to, jak rysować, malować i sporządzać pigmenty, ale jak zdobyć składniki i nie dać się wykiwać handlarzom. Czy opat nie wie, że młode mniszki początkowo będą tworzyły marne iluminacje? Czy nie potrafi przewidzieć, że ucierpi na tym reputacja jego ksiąg? Wiele wody upłynie, zanim nowicjuszki dorównają kunsztem siostronom, które zamierza odsunąć od pracy. Złościł ją brak wy-

obraźni przełożonego. Typowy mężczyzna, pomyślała gorzko, liczy się dla niego tylko dzień dzisiejszy. Niech kobiety martwią się o jutro.

– Matko Winifredo! – rozległ się głos pani Mildred. Wpadła do skrytorium, stukając sandałami po kamiennych płytach. – Jest cygański handlarz! Jest pan Ibn-Abu-Aziz-Jaffar!

Przeorysza natychmiast się rozpogodziła.

– Bogu niech będą dzięki! – wykrzyknęła.

Z pewnością był to kolejny znak od Boga: kiedy kończyły się im zapasy, Wszechmogący zesłał im sprzedawcę pigmentów!

– Niech cię panie Bóg błogosławi! – powiedziała, śpiesząc mu na spotkanie, a czarny welon fruwał wokół niej.

– I ciebie, droga matko przełożona! – odkrzyknął. Zdjął kapelusz z głowy i ukłonił się nisko.

Ten cudzoziemiec o oliwkowej karnacji i szpakowatej brodzie zawsze witał przeoryszę jak królową. Nosił długą szatę haftowaną w gwiazdy i księżyce oraz sztywne, ozdobione frędzlami nakrycie głowy. Był wysoki i postawny, i choć zapewne dobiegał sześćdziesiątki, trzymał się prosto. Jego stara klacz ciągnęła dziwaczny wóz, pomalowany w słońca i gwiazdy, znaki zodiaku, komety, tęcze, jednorożce i wielkie, wszystkokowidzące oczy. Handlarz słynął w całym kraju jako dostarczyciel marzeń i magii, sentymentów i nadziei. Ludzie lubili wypowiadać na głos jego tajemniczo brzmiące imię – Ibn-Abu-Aziz-Jaffar; dzieci biegly za wozem, stateczne matrony wyglądały z domków. Naprawdę nazywał się Szymon Lewita i był Żydem. Opowiadał wszystkim, że urodził się w odległej Arabii, ale w rzeczywistości przyszedł na świat w hiszpańskiej Sewilli. Dla klientów był Cyganem – chrześcijaninem, pod długą szatą nosił jednak szal z frędzlami i nocą, gdy był sam, odmawiał uroczyste *Usłysz, Izraelu*. Swoją tożsamość ukrywał nie ze względu na miejscowe uprzedzenia (prześladowania Żydów zaczęły się na dobre dopiero trzysta lat później, kiedy trzeba było kogoś obwinie za czarną śmierć – epidemię dżumy), ale dlatego, że lubił udawać egzotycznego przybysza i radowała go towarzysząca mu sława. Chętnie sprzedawał tajemnice i złudzenia, – cieszyła go radość na dziecięcych obliczach, gdy pokazywał sztuczki – Szymon był młody duchem. Przybył na wyspę Brytanię przypadkiem, kiedy statek do Brugii zoczył z kursu. U siebie w domu nie różnił się od reszty, tu okazał się jedyny w swoim rodzaju, postanowił więc zostać i czerpać korzyści ze swojej wyjątkowości. Wiódł samotne życie, cały rok krążył między Londynem a wałem Hadriana, a potem wypoczywał czas jakiś w małym domku. Klacz Seska, od piętnastu lat ciągnąca jego wóz, nabierała sił, spokojnie skubiąc trawy na pastwisku.

Pan Ibn-Abu-Aziz-Jaffar miał tylko jedną słabość, która niejednokrotnie omal nie przywiodła go do zguby: kochał kobiety. Wszystko jedno, młoda czy stara, gruba czy chuda, tępa czy bystra, w każdej napotkanej kobiecie odkrywał radość i tajemnicę. Może dlatego, że miał samych braci, i to aż siedmiu? Uważał, że niewiasta to boski dar, wbrew temu, co Tora mówiła o niefortunnym

flircie Adama z Lilith. Jaffar uwielbiał miękkość i zapach kobiet, ich żywy temperament, to, że czasem były słabsze od mężczyzny, a czasem silniejsze. Instynkt macierzyński... Zalotne uśmiechy... Długie włosy – och, długie włosy! Szymon się starzał, ale nie był aż tak wiekowy, by nie docenić jędrnych ud, pełnych piersi i dobrego serca. Nigdy nie zmuszał do niczego ani nie namawiał niewiasty; jeśli nie była chętna, on nie nalegał. Kobiety intrygowała jego egzotyczność. W głębi serca spodziewały się, że człowiek, który pochodzi z tak odległej krainy, więcej wie o sztuce miłości niż miejscowi. I miały rację.

Podróżował samotnie i rzadko był zaczepiany, bo nawet bandyci darzyli uzdrowiciela szacunkiem i sami potrzebowali czasem trefnisia lub wróżbity. Mało kto umiał czytać, ale symbole wymalowane na wozie Szymona wyraźnie mówiły o jego umiejętnościach: alchemika, wróżbity, dentysty, magika... Sprzedawał i wymieniał wszystko – guziki i szpilki, naparstki i nici, napoje i maści, butelki i łyżki – z jednym wyjątkiem: nie handlował relikwiami ani przedmiotami kultu. Szymon Lewita należał do najrzadszego rodzaju ludzi: był uczciwym handlarzem. Zostawił sprzedaż włosów, zębów i kości świętych szarlatanom i księżom. Czasem dochodził do wniosku, że nie ma między nimi żadnej różnicy. Miał także wyrobioną opinię o drzazdze z Prawdziwego Krzyża, która znajdowała się w nowym klasztorze przy drodze. Napotkał wiele takich drzazg w podróżach po Hiszpanii i Francji, i słyszał o jeszcze innych w Europie i Ziemi Świętej. Nawet idiota zdołałby obliczyć, że gdyby położyć te drzazgi jedną na drugiej, sięgnęłyby księżycą.

Zdumiewało go szaleństwo, które ogarnęło Anglię dwadzieścia dwa lata wcześniej, kiedy miało nadejść tak zwane millenium. W kalendarzu żydowskim nie było żadnej rocznicy, podobnie jak w kalendarzu muzułmanów, którzy liczyli lata od czasów Mahometa. Czy oznaczało to, że świat skończy się tylko dla jednej trzeciej ludzkości, a reszta będzie żyła jak dotąd? Pytanie okazało się bezzasadne, północ kończąca tysiąclecie minęła, a teraz księża głosili, że to następne tysiąclecie, w niewyobrażalnie odległym roku 2000, doczeka się nadejścia Jezusa i jego aniołów.

Podróżując po angielskich wsiach, Szymon udawał różne postaci, ale w klasztorze Świętej Amelii nieopodal rzeki Fenn zawsze był sobą. Podziwiał przeoryszkę. Przejrzała jego sztuczki, ale też dostrzegła i szanowała mądrość i wykształcenie. Znikał kapelusz z frędzlami, różdżka i tajemnicze gesty. Tylko szaty czarnoksiężnika nie zdejmował, uważał, że przydaje mu ona dostojności.

Minął rok, odkąd tędy przejeżdżał, i wyraźnie go zaniepokoiło zubożenie klasztoru: chylące się ku upadkowi mury, jałowe pola, brak gęsi i kur, chwasty zarastające ścieżkę wydeptaną niegdyś stopami pielgrzymów. Słyszał o rosnącej popularności nowego zgromadzenia, lecz nie sądził, że pobliskie opactwo tak zaniedba Świętą Amelię. Z pewnością tłusty opat widział, że pobożnym siostron nie dostaje jadła na stole i piwa w kielichach.

Winifreda nie spodziewała się, że tak ucieszy ją widok pana Jaffara, szczerzącego właśnie białe zęby w serdecznym uśmiechu. Wielki świat był jej obcy, urodziła się trzydzieści kilome-

trów od klasztoru i nigdy w życiu nie podróżowała dalej niż do opactwa. Znała podstawy łaciny i czytała Biblię, ale nic poza tym. Przeorysza i jej siostrzyczki tyle tylko wiedziały o świecie, ile usłyszały od pielgrzymów i podróżnych. Jedni i drudzy przestali odwiedzać klasztor, wizyty pana Ibn-Abu-Aziza-Jaffara były więc niezwykle cenne – wędrowny handlarz przywoził ze sobą nowiny i plotki.

Był dziwnym człowiekiem, aż za bardzo egzotycznym, miał jednak osobliwie pociągającą osobowość. Gdyby pozwalała sobie na takie myśli, jego męska uroda nie uszłaby jej uwagi. Winifreda podejrzewała, że pan Jaffar nie jest chrześcijaninem, ale szanował Boga. Czasem mówił rzeczy, które dawały jej do myślenia. Nie przypominał innych handlarzy. Tamci byli brudni, nieuczciwi i niewykształceni, pan Jaffar zaś czysty i pełen gracji oraz cudzoziemskiego uroku. Poza tym zawsze dotrzymywał słowa.

Zdarzało się, że handlarze pigmentami oszukiwali przeoryszę. Tani azuryt łatwo było wziąć za kosztowne lapis lazuli. Żeby odróżnić oba kamienie, należało je podgrzać do czerwoności: azuryt czerniał, lapis się nie zmieniał. Azuryt kupowano w postaci proszku, niektórzy oszuści dodawali doń piachu, żeby zwiększyć wagę, a to całkiem psuło barwę. Nieuczciwi sprzedawcy sypali też najlepszy błękit tylko na wierzch worka, a ten gorszej jakości głębiej. Ale nie pan Jaffar! On wystawiał pudło z wozu i prezentował takie bogactwo farb, iż Winifreda wpatrywała się w nie łakomie jak w suto zastawiony półmiskami stół na wystawnej uczcie.

– Dobry Bóg sprowadził cię w najlepszym momencie, panie. Siostry i ja bardzo potrzebujemy świeżych zapasów. Całkiem brak nam żółci.

Ku jej zachwytowi zaprezentował kamienie żółciowe.

Winifreda sięgnęła do kieszeni i wydobyła stamtąd wypełnioną wodą szklaną kulę. Pan Jaffar próbował kiedyś sprzedać przeoryszy nowy wynalazek z Amsterdamu – polerowane szkło powiększające – ale zrezygnowała, bo było zbyt drogie. Przyglądała się kamieniom, a Szymon myślał o jej niezwykłym talencie. Nie tylko pięknie rysowała i malowała, miała też nieprawdopodobne wyczucie koloru. Pod jej zwinnymi palcami i nieomylnym okiem najbardziej prozaiczne elementy stawały się najwspanialszymi barwami w dziele bożym. Na przykład zieleń z roślin, substytut grynszpanu, który był rzadki i kosztowny. Sok wyciskano z dojrzałych jagód kruszyny, dodawano ałun i odparowywano, aż zgęstnieje. Wychodziła z tego barwa oliwkowa, przezroczysta i piękna. Inne klasztory także opanowały sztukę jej pozyskiwania. Zazwyczaj jednak taka zieleń nie wytrzymała długo, o czym świadczyły manuskrypty kiepskiej jakości, stworzone zaledwie dekadę wcześniej. Winifreda знаła sekret trwałości barwy. Prawidłowo odparowany sok trzymała w pęcherzach w postaci gęstego syropu. Używany w manuskryptach kolor nie tylko cieszył oko, ale i był trwały.

Uważnie oglądała proszki i minerały, dzięki którym ożyją stronicie ksiąg. Szymon zauważył, że dzisiaj wygląda inaczej niż zwykle. Miała niewesoły wyraz twarzy, mroczne spojrzenie. We-

dług niego przeorysza była spokojną osobą, nieco oschłą i powściągliwą. Nie sądził, że cokolwiek może wyprowadzić ją z równowagi.

Starannie wybierała barwniki, wreszcie stwierdziła:

– W tej chwili nie mam pieniędzy. Przypuszczam, panie, że będziesz w okolicy przez kilka dni, jak zwykle?

Pogłaskał idealnie przystrzyżone wąsy i zadumał się. Było jasne, że przeoryszy nie stać na rzeczy, które wybrała. Jak zamierzała zapłacić? Tak czy owak, nie chciał jej zawstydzić, zadając to pytanie – nazbyt dobrze wiedział, jak ważne jest zachowanie godności. Gdyby tylko zechciała rozstać się z jedną czy dwiema iluminowanymi księgami! Ludzie w Londynie dopytywali się o manuskrypty z Portminsteru. Za jeden z nich dałby Winifredzie tyle pigmentów, ile by chciała. Wiedział jednak, że nie ma na co liczyć – przeorysza uważała, że księgi należą do opata.

– Dobrze, pani, zakończymy transakcję za trzy dni.

Szymonowi zdawało się, że przeorysza waha się, czy zaprosić go na piwo, a może na wino? Ku jego zdziwieniu spytała jednak, czy jako alchemik mógłby powiedzieć coś na temat dziwnego przedmiotu, który trafił do jej rąk.

Oczekiwał zebu świętej albo czterolistnej koniczyny i zdumiał się wielce, gdy wręczyła mu kryształ o barwie Morza Śródziemnego. Ze świstem wciągnął do płuc powietrze i zaklął w ojczystym języku, po czym przybliżył kamień do oka i uważnie mu się przyjrzał.

Piękno kryształu zaparło mu dech w piersiach. W epoce, w której szlifowanie kamieni uważano za fatalny błąd, bo ponoć niszczyło magiczną moc, klejnoty tak przezroczyście właściwie nie istniały. Szymon widział tylko kilka sztuk – raz nawet oszlifowany diament, ledwie mógł uwierzyć, że zmatowiały kryształ ma w sobie taki blask. Ten kamień jednak nie wydawał się szlifowany, był gładki i owalny, nieco większy od jaja drozda, ale o wyjątkowej barwie. Może był to akwamaryn? Oglądał kiedyś szmaragd z kopalni Kleopatry. Tamten też oszlifowano, zadziwił oko swym blaskiem. Jednak nie, ten kamień nie był tak zielony ani nieskazitelny jak szmaragd.

Szymon nie potrafił zidentyfikować kamienia, ale czuł, że jest to bardzo wartościowy przedmiot.

– Znam kogoś w Londynie – powiedział. – Handlarza kamieniami.

Winifreda słyszała o Londynie. Ludzie zazwyczaj niewiele wiedzieli o świecie oddalonym dalej niż kilka kilometrów od miejsca, w którym żyli; niewielu słyszało o innych krainach, cała ich wiedza dotycząca cudzoziemców sprowadzała się do tego, że wikingowie, niegdyś postrach Anglii, to zamorskie diabły. Przeorysza wiedziała jednak, że Londyn to miasto na południu, bogaty ośrodek handlowy, gdzie mieszka król.

– Tylko w Londynie można korzystnie sprzedać taki kamień – dodał pan Jaffar.

– Sprzedać?

– No tak. – Oddał jej kryształ. – Nie tego ode mnie oczekiwałaś, matko przełożona?

– Sprzedać kamień Amelii? – Powiedziała to takim tonem, jakby Szymon poprosił ją o odrąbanie ręki. Nagle odezwała się jej praktyczna natura. – A więc tyle jest wart?

– Droga matko przełożona, mógłbym zdobyć dla ciebie majątek za ten kamień. Tak rzadkie klejnoty warte są sporo złota.

Mając złoto, mogłaby naprawić dach, wzmocnić mury, kupić siostrom nowe łóżka, a może nawet zasiać zboże i nabyć kilka kóz, zatrudnić miejscowych chłopów do pomocy, sprawić, by klasztor znów był samowystarczalny, zwabić nowicjuszek i damy, za którymi szły pieniądze i wsparcie ich rodzin... W jednej chwili w oślepiającym błękitnie kryształ Winifreda ujrzała świetlaną przeszłość klasztoru. Zmarszczyła brwi.

– Muszę to omówić z opatem.

– Jakie jest jego zdanie w tej sprawie?

– Jeszcze nie wie o kamieniu.

Pan Ibn-Abu-Aziz-Jaffar pogłaskał się po brodzie.

– Hm – mruknął, a Winifreda odgadła, co miał na myśli.

– Powinam powiedzieć opatowi – rzekła bez przekonania. – Prawda?

Zapytał, jak weszła w posiadanie kamienia, a ona szczerze opisała całą historię.

– Moim zdaniem, droga matko przełożona, ten kamień był przeznaczony tylko dla ciebie – oświadczył Szymon Lewita. – To dar od twojej świętej.

Kiedy niepewnie przygryzała wargę, Szymon dodał z powagą:

– Walczysz ze sobą.

– Tak. – Pochyliła głowę w welonie.

– To walka między wiarą a posłuszeństwem.

– Czuję, że Bóg pragnie mi coś powiedzieć. Ale opatowi mówi coś wręcz przeciwnego. Co mam wybrać?

– To zależy od ciebie, pani. Musisz wsłuchać się w swoje serce i zrozumieć, co ma do powiedzenia.

– Odwołuję się do Boga, nie do serca.

A czyż to nie to samo?

Wypytywał ją o kryształ, interesowało go zwłaszcza, jak się znalazł między kręgami szyjnymi świętej. Winifreda opowiedziała, jak Amelia nakazała swojemu sercu przestać bić, zanim przyszła straż, by na torturach wydusić z niej imiona innych chrześcijan.

– Zatem wygląda na to, że kamień ma ci coś przekazać, i najwyraźniej nakazuje ci kierować się własnym rozumem – stwierdził.

Jej twarz pojaśniała.

– Tak sądziłam. – Nagle zwierzyła mu się ze swojego marzenia o pomalowaniu nastawy dla świętej Amelii.



– A najbardziej martwi cię to, pani, że jeśli zamieszkas w nowym klasztorze, stracisz tę wizję – domyślił się mądry cudzoziemiec.

– Tak – szepnęła. – Tak...

– Wysłuchaj zatem swojego serca.

– Ale Bóg przemawia przez opata.

Nic nie odpowiedział. Widząc sceptyczny wyraz jego twarzy, dodała:

– Panie, podejrzewam, że nie jesteś chrześcijaninem.

– Słusznie podejrzewasz. – Uśmiechnął się szeroko.

– Czy w twojej wierze nie ma kapłanów?

– Różnią się od waszych. Mamy rabinów, ale to raczej duchowi doradcy niż pośrednicy w rozmowie z Bogiem. Wierzimy, że Bóg nas słyszy i przemawia do nas bezpośrednio. – Chciał dodać, że ukrzyżowany Bóg Winifredy też był rabinem, ale uznał, że to nie czas ani miejsce na takie dysputy. – Przez kilka dni będę obozował nad strumieniem, odwiedzę pobliskie farmy, a potem wyruszę do Portminsteru. Nim odjadę, przekaz mi, co postanowiłaś. Modlę się, droga matko przełożona, aby to była właściwa decyzja.

Matka Winifreda postanowiła udać się do opactwa. Choć zazwyczaj mniszki podróżowały parami lub w grupach, tę podróż musiała odbyć sama. Wciąż nie przekazała siostrze złej nowiny, mimo że opat kazał im opuścić Świętą Amelię jak najszybciej. Może podporządkowałyby mu się bez wahania, gdyby nie incydent z relikwiarzem i odkrycie niebieskiego kryształu. Teraz miała niezwykle talizman świętej Amelii i mogła stawić czoło ojcu Edmanowi.

Modliła się przez całą noc i choć nie spała, czuła dziwną rzeźkość. Pewnym krokiem wyszła z klasztoru na główną drogę. Kroczyła z wysoko podniesionym czołem, bo miała ze sobą niebieski kryształ świętej Amelii.

Nie musiała podróżować samotnie. Przyłączyła się do grupy pielgrzymów zmierzających do klasztoru Prawdziwego Krzyża, którzy ominęli Świętą Amelię.

– Musimy dotrzeć na miejsce przed południem – wyjaśnił ich przywódca. – Wtedy siostry podają do stołu. Słyszałem, że dziś dostaniemy jagnięcinę i chleb. – W tej samej chwili dojrzał habit Winifredy i, choć nie był zbyt bystry, skojarzył, z kim ma do czynienia. Zarumieniony ze wstydu, powiedział bez przekonania: – Nie chcieliśmy się wam narzucać, dobre panie, straszna z nas banda łapserdaków.

I, zażenowany, uciekł na czoło grupy.

Po drodze spotkali więcej ludzi: rolników niosących swoje produkty na jarmark w Portminsterze, rycerzy podróżujących ze strażą, damy w krytych lektykach. Droga wiała się przez lasy pełne głogów, wiałów i buków, doliny obsypane dzwonkami i strumienie wpadające do ciemnych, nakrapianych słońcem stawów. Boczne ścieżki wiodły do chłopskich domostw i na

łąki, gdzie pasły się owce. Gdzieś tam natrafiali na kamienne płyty ułożone wiele lat wcześniej; to tędy przechodziły niegdyś rzymskie legiony. Wśród tych tłumów i barw wiosny, wdychając zapach leśnego powietrza, ukojona poranną pieśnią ptaków, Winifreda czuła coraz większą pewność. Postępowała właściwie, choć opat nazwałby jej zachowanie nieposłuszeństwem.

Starsi opowiadali o wikingach, rosnących żółtobrodych diabłach w czerwonych płaszczach na kolczugach, którzy walczyli z krwiożerczą zaciekłością jak wściekłe wilki. Wspomnienia o wikingach budziły szacunek. Trzydzieści lat minęło od decydującej bitwy pod Maldon, gdzie Duńczycy, z pomocą budzącego przerażenie norweskiego króla-wikinga Olafa, zwyciężyli Anglosasów i zniszczyli Anglię. Całkiem niedawno król Ethelred II został obalony przez duńskiego władcę Swena Widłobrodego, a na tronie angielskim zasiadł syn Swena, Kanut. Młodszy członek wędrownego zespołu nigdy jednak nie doświadczył grozy napaści. Nadal zdarzały się ataki wikingów, którzy nie przyjęli do wiadomości nowego pokoju z Anglią, ale nieustający strach ostatnich stu lat w końcu minął, Anglia spała spokojnie, a zdanie „od zjadłości wikingów wybaw nas, Panie” usunięto z litanii.

Doszli do znaku na drodze, ze strzałką „Portminster”, skierowaną prosto; druga, „Mayfield”, obrócona była w lewo i pokazywała wąską ścieżkę; trzecia, nowsza strzałka, prowadząca na prawo, głosiła: „Klasztor Prawdziwego Krzyża”. Winifreda nie zamierzała odwiedzać nowego zakonu, ale mimowolnie skręciła w jego kierunku wraz z pielgrzymami, którzy teraz gawędzili jedynie o tym, czym też uraczą ich mniszki.

Ujrzeni mury wśród drzew, rozległ się kobiecy śmiech. Potem Winifredę dobiegły głosy – świergotanie, nawoływanie, jakby poruszonych kwok. Zmarszczyła brwi. Jak można się skoncentrować na sprawach duchowych w takim hałasie? Na łące dwie młode kobiety w szatach nowicjuszek rzucały ze śmiechem piłkę. Ich habity nieprzystojnie zadzierały się na wietrze. Trzecia; udawała, że rzuca kość pieskowi, i chichotała za każdym razem, gdy zwierzę dało się nabrać. Siedzące na drabinach opartych o jabłonie siostry w podkaszanych spódnicach zrywały owoce i nawoływały się radośnie. Winifreda minęła furte i weszła na podwórze. Był tu istny jarmark: pielgrzymi i ludzie z miasteczka, damy z towarzystwa i mniszki. W drewnianych budkach sprzedawano świecidełka, haftowane naszywki dla pielgrzymów na dowód, że odwiedzili miejsce kultu, fiołki z wodą święconą, różańce, posążki, amulety, słodczyce i chlebki. Zakonnice zajmowały się handlem!

Matka Winifreda przeciskała się przez tłum. Ogarnął ją smutek. W tym miejscu nie było pobożności, dostojności, obyczajności. Opat zapewniał ją, że siostry od Prawdziwego Krzyża przestrzegają reguły świętego Benedykta, ale przeorysza nie dostrzegła tu skromności, pokory ani ciszy.

Weszła po schodach do kaplicy. To prawda, że pieniądź przyciąga pieniądź – pomyślała.

Każdy postronny obserwator widział, że to Święta Amelia potrzebuje pomocy, ale opactwo najwyraźniej inwestowało w nowy klasztor, założony przez bogatego barona, który też nie szczędził wydatków. Sady za murami! Winifreda przycisnęła dłoń do burczącego brzucha, jakby chciała uspokoić niesforne dziecko. Przyszło jej do głowy, że ukradnie lalka jabłek i zanieś je swoim głodnym siostrzyczkom.

Wejście do kapitułarza przypominało przedsionek domu bogacza: srebrne lichtarze, piękne meble, gobeliny na ścianach. Kiedy matka Rosamunda wyszła jej na powitanie, Winifreda po raz drugi w tym dniu przeżyła szok.

Krażyła wieść, że kiedy Kanut został królem całej Anglii, Oswald z Mercji skłonił swoich rodaków do złożenia deklaracji lojalności nowemu władcy. Za to otrzymał ziemię w hrabstwie Portminster. Kanut, pragnąc zyskać miano najbardziej chrześcijańskiego z wszystkich królów, ogłosił, że powstaną nowe klasztory, a wtedy Oswald poprosił o przywilej wybudowania jednego z nich w swojej posiadłości. Duński zdobywca wyraził zgodę. Przekonała go opowieść Oswalda o wyprawie do Glastonbury, dokąd Józef z Arymatei podobno przywiózł Świętego Graala. Tam, obozując przy drodze, pewnej nocy Oswald miał sen, w którym dowiedział się, gdzie znaleźć cenną relikwię. Głęboko w jaskini odkrył schowaną tam przez samego Józefa żelazną szkatułkę z fragmentem krzyża Chrystusa. Oswald przywiózł ją do domowej kapliczki. Tak się złożyło, że jego najstarsza córka, Rosamunda, była niesłychanie pobożna i podczas wojen między Duńczykami i Anglikami modliła się o zwycięstwo najeźdźców, gdyż czuła, że taka jest wola boża – tak przynajmniej twierdził Oswald. Modły córki i drzazga z krzyża skłoniły Kanuta do wyrażenia łaskawej zgody na założenie nowego zakonu.

Tak brzmiała oficjalna wersja. Rzeczywistość przedstawiała się nieco inaczej: Oswald z Mercji, tchórz do szpiku kości, walczył po stronie angielskiego króla Ethelreda. Kiedy ujrzał, że wojna przybiera niekorzystny obrót, zdradził Anglików. Rosamunda nie tyle była religijna, ile bardzo nie lubiła mężczyzn i, woląc towarzystwo kobiet, odmawiała zamążpójścia, nie zważając na groźby i przekupstwa ojca. Poza tym pragnęła władzy. Oswald wymyślił zatem idealne rozwiązanie: pozwolił jej stanąć na czele klasztoru. Nie mógł to jednak być zwykły klasztor, musiał mieć prestiż i znaczenie. Zapewnić je miała jakaś cenna relikwia – a czy istnieje coś ważniejszego niż krzyż, na którym skonał Jezus Chrystus? Oczywiście nie było żadnej wprawy do Glastonbury, żadnego snu, żadnej jaskini, żadnej żelaznej szkatułki z Prawdziwym Krzyżem. Relikwiarz na ołtarzu w kaplicy nowego klasztoru skrywał wyłącznie powietrze.

Winifreda stanęła teraz przed obliczem przeoryszy zakonu, który doprowadzał Świętą Amelię do ruiny. Matka Rosamunda była młoda, wstąpiła zapewne do zakonu zaledwie kilka lat wcześniej. Winifreda zaś spędziła w klasztorze ponad trzydzieści lat zanim awansowała na przeoryszkę. Zabłąkany loczek pięknych rudozłotych włosów wymknął się spod barbetu Rosamundy, a Winifreda nie mogła się oprzeć wrażeniu, że to nie przypadek. Wyobraziła sobie próżną młodą

kobietę przed lustrem, jak wpycha szpilkę pod wykrochmaloną białą tkaninę, by wyciągnąć niby to niesforny kosmyk. Najbardziej zdumiewające były jednak jej dłonie – krążyły wszędzie, niczym rozdrażnione motyle uwiązane nitkami do nadgarstków. Trzepotały w górę i w dół, w przód i w tył, a opadające rękawy odsłaniały jej ręce aż do łokci! Najwyraźniej Rosamunda nie miała pojęcia o benedyktyńskiej dyscyplinie. Czego taka matka przełożona mogła nauczyć swoje siostry?

Winifredzie ścisnęło się serce. I ona miała przekazać tym frywolnym dziewczynom sztukę iluminacji? Przecież to się nigdy nie uda! Ta propozycja to afront dla jej sióstr! Opat powinien przywrócić tu porządek. Nie obchodziło jej, jak wpływowy jest ojciec Rosamundy; ten klasztor był policzkiem wymierzonym Bogu.

– Droga matko Winifredo, musisz być zachwycona myślą o odpoczynku po długiej służbie Bogu. Zrzekniesz się obowiązków przeorowskiej i na powrót zostaniesz zwykłą siostrą.

Winifreda wpatrywała się w Rosamundę. O czym mówiła ta dziewczyna? Nagle stało się to przejrzyste jak kryształ Amelii: przecież w jednym zakonie nie mogło być dwóch matek przełożonych! Opat o tym nie wspomniał, czekał, by Winifreda sama wyciągnęła wnioski. Do tej pory jednak o tym nie pomyślała. To, że zostanie pozbawiona tytułu i zdegradowana do roli zwykłej siostry, i że będzie musiała zwracać się do dziewczyny, która mogłaby być jej wnuczką, „matko”, było niewyobrażalne.

– Co nie oznacza, że zabraknie ci obowiązków – dodała niefrasobliwie młoda kobieta. – Moje dziewczęta już nie mogą się doczekać, kiedy zaczną malować te śliczne iluminacje.

Winifredzie kręciło się w głowie. Rosamunda mówiła o malowaniu jak o dziecinnej igraszce.

– To coś więcej niż malowanie – szepnęła. – Będę musiała nauczyć je przygotowywania pigmentów, właściwego użycia...

– Ależ mój ojciec zaopatrzy nas w farby! Takie same, jakich używają w Winchesterze. Będzie je sprowadzał co miesiąc.

Winifredę przeszedł dreszcz. Miałaby używać pigmentów mieszanych przez kogoś innego?

– Ale ja zawsze kupuję surowce od pana Jaffara – powiedziała niemal błagalnym tonem.

– Nie chcemy mieć z nim nic wspólnego – stwierdziła Rosamunda z jawną pogardą. – obraził mojego ojca. Ten szubrawiec nie ma prawa wstępu na naszą ziemię!

Winifreda miała wrażenie, że podłoga kołysze się pod jej stopami. Zakręciło się jej w głowie, niemal zemdląca od szoku wywołanego rozmową. Nie będzie już przeorowską, straci kontrolę nad wytwarzaniem pigmentów, co stanowiło sens jej życia, a na dodatek nigdy nie ujrzy pana Jaffara!

Rosamunda oprowadzała gościa po nowym klasztorze, demonstrując wspaniałe udogodnienia i luksusy. Do Winifredy niewiele docierało. Czuła się tak, jakby nagle postarzała się o dwadzieścia lat.

Kiedy jednak przechodziła z pomieszczenia do pomieszczenia, przez krużganek i po wyłożo-

nych płytami ścieżkach, jej przygnębienie powoli zmieniało się w podziw. Jak mogła wzbraniać się przed przeprowadzką?

To był inny świat, cudowny świat. Każdy pokój gościnny miał własne *necessarium* – ustronne miejsce przy zewnętrznej ścianie z rurą, odprowadzająca nieczystości do wykopanego rowu. Co za luksus, nie wychodzić w niepogodę, gdy natura domaga się swoich praw! Były tu także wyjątkowe udogodnienia spotykane jedynie w domach bogatej szlachty: świece oznaczone tak, by wskazywać czas, lampy z przezroczystego rogu wołu, świeżo zamiecione podłogi nakryte plecionkami z pachnącego sitowia. Na podwórzu za kuchnią wynajęta służba gotowała pościel, szaty i bieliznę w drewnianym korycie wypełnionym popiołem drzewnym i sodą kaustyczną. Chłopcy pracowali w warzywnych ogrodach, kobiety karmiły stadka tłustych kur i gęsi. Zatrudniony przez siostrę starzec strugał kostki aromatycznego mydła.

Kuchnia była pięć razy większa od tej w Świętej Amelii, ze znakomicie zaopatrzoną spiżarnią. Wszystko było nowe, wciąż unosił się tu zapach świeżego drewna i wapna. Winifreda wybałuszyła oczy na widok obiadu: cała szynka, kawał krwistej wołowiny, wypieczony chleb, beczki piwa i wina. Rosamunda postawiła przed nią duży talerz. Winifreda powiedziała, że sporo zjadła przed podróżą, ale by nie obrazić gospodyni, zabierze ze sobą posiłek na później. Zamierzała rozdzielić go między swoje mniszki, które już od bardzo dawna nie kosztowały takich przysmaków.

Zaprowadzono ją do wielkiej kaplicy, gdzie pielgrzymi – rycerze i wieśniacy, lordowie i kler, chorzy i chromi – czekali w kolejce, by pomodlić się przed cudowną drzazgą z Prawdziwego Krzyża. W tym kościele było coś, czego nie miały w Świętej Amelii – witrażowe okna. I tyle złota! Tyle świec, białych i prostych! I wszystko to, by czcić kawałek drewna, podczas gdy kości męczennicy za wiarę spoczywały w skromnej kapliczce, oświetlonej nieforemnymi lichymi świecami. Winifreda nie czuła goryczy, jedynie smutek, i nagle zapragnęła wziąć Amelię w ramiona i wyszeptać: może i jest tu pięknie, lecz to ciebie bardziej kochają.

W nowym klasztorze była infirmeria z ośmioma łózkami, dyżurowała tam siostra – pielęgniarka. Winifreda ze zdumieniem popatrzyła na szafkę z lekarstwami: napoje i napary, maści i balsamy, pigułki i proszki... Kilka fiolek leczniczych kropli do oczu. Specyfiki na artretyzm. Syrop z dzikiej róży na kłopoty z nerkami.

Zachwycona obfitością lekarstw, marzyła o prywatnym *necessarium* dla siostry Edith, tuż przy celi, dzięki czemu nie potrzebowałaby eskorty w nocy, i o młodym mężczyźnie na podwórzu, wydobywającym wodę ze studni dla pani Odelyn...

Westchnęła. Nie mogła temu zaprzeczyć – to będzie bezpieczna przystań dla starych sióstr. Tu dobrze zjedzą, zyskają właściwą opiekę. Nieważne, że ona sama zostanie pozbawiona stanowiska. Spokój i wygoda bardziej się liczyły.

Zachęcano ją do pozostania na noc, w kwaterach dla gości, gdzie były puchowe materace, ale

Winifreda chciała wrócić do swojego klasztoru przed zmrokiem. Podziękowała matce Rosamundzie za pokazanie swojego gospodarstwa i gościnność i opuściła kapitularz, gdy tylko pozwoliło jej na to dobre wychowanie. Ruszyła ścieżką prowadzącą do głównej drogi, a po chwili przystanąła pod bukiem i upewniwszy się, że nikt jej nie obserwuje, wyciągnęła z kieszeni niebieski kryształ.

Spoczywał na jej dłoni, odbijając promienie słońca padające nań przez gałęzie. Nie był żadnym znakiem! Amelia nie próbowała jej niczego przekazać, odkrycie kamienia nic nie znaczyło. To był przypadek, zwykły przypadek. Zarówno ona, jak i jej siostry muszą tu spędzić resztę życia i jak najlepiej nauczyć nowicjuszek sztuki iluminacji, choć i tak nie osiągną one takiej doskonałości jak mniszki od Świętej Amelii. Już czuła, jak twórcza iskierka gaśnie. Dar, którym wiele lat temu obdarzyła ją święta Amelia, odchodził w zapomnienie. Od teraz Winifreda miała być przeciętną iluminatorką; uczyć przeciętne dziewczęta przeciętnej sztuki. I raz na zawsze zapomnieć o swoim głupim marzeniu związanym z pomalowaniem pięknej nastawy dla świętej Amelii.

Pan Ibn-Abu-Aziz-Jaffar wrócił po trzech dniach, jak obiecywał. Winifreda mogła mu zapłacić, bo sprzedała ostatni wartościowy przedmiot z klasztoru, piękny gobelin z jednoróżcem, wiszący nad wejściem do kapitularza – po co komu gobelin, skoro klasztor Świętej Amelii miał zostać zamknięty?

Pan Jaffar wyraził swoje ubolewanie z powodu utraty domu przez zakonnice i obiecał się modlić za ich szczęście i powodzenie w nowym miejscu. Później zrobił coś zdumiewającego: podarował przeoryszy prezent, który z pewnością mógł sprzedać za przyzwoitą cenę, kawałek kosztownego cynobru z Hiszpanii. Włożył go w poplamioną farbą, spracowaną dłoń mniszki.

Oniemiała Winifreda patrzyła na podarunek jak zaczarowana. Czerwony kamień po rozkruszeniu dawał piękną farbę, której bardzo potrzebowały.

– Dziękuję, panie – wykrztusiła w końcu.

Zaskoczył ją jeszcze bardziej, ujmując jej dłoń i trzymając w swojej. Przeoryszy od czterdziestu lat nie dotknął żaden mężczyzna! Winifreda poczuła pod palcami ciepłą skórę i po raz pierwszy w życiu ujrzała w przedstawicielu płci przeciwnej nie ojca ani brata, nie kupca ani księdza, ale mężczyznę. Popatrzyła w ciemne, bystre oczy Szymona i coś dziwnego stało się z jej sercem.

I znów dał znać o sobie dar odziedziczony po celtyckich przodkach, dzięki któremu kiedyś odnajdywała zaginione przedmioty. Tym razem było to coś zagubionego dawno temu nagle ujrzała samą siebie, jak spotyka tego mężczyznę na dzień przed pierwszą wizytą u Świętej Amelii, czterdzieści lat temu. To młody człowiek z piłeczkami do zonglowania i magiczną szkatułką. Ich spojrzenia się krzyżują, ale oboje idą w swoją stronę. Później, w kaplicy Świętej Amelii, zamiast rozglądać się po otoczeniu, czternastoletnia Winifreda myśli o przystojnym młodzieńcu napotkanym na drodze. Nie wędruje po klasztorze i nie trafia do skryptorium, ale wraca do domu z matką

i siostrami, a następnego dnia idzie na jarmark w miasteczku, gdzie znów spotyka młodego człowieka. Tym razem rozmawiają ze sobą, coś iskrzy między nimi. Mężczyzna mówi z obcym akcentem, ma cudzoziemski strój. Twierdzi, że pochodzi z Hiszpanii i chce podróżować po kraju, by dawać ludziom marzenia i radość. Obiecuje, że któregoś dnia wróci, więc Winifreda na niego czeka. Mija pięć lat, nim znowu go widzi; teraz mężczyzna stoi przy bramie ich posiadłości, ma zupełnie nowy wóz i konia, prosi ją, by mu towarzyszyła. Razem objadą świat, będą mieli gromadkę dzieci i mnóstwo przygód. Winifreda ucieka zatem z nieznajomym, nie oglądając się za siebie.

Zamrugła, biorąc głęboki oddech, i popatrzyła w ciemne oczy pana Jaffara. To mogło się zdarzyć!

- Dokąd pojedziesz, panie? – zapytała nagle. Pytanie go zaskoczyło.
  - Do opactwa, matko przełożona. Sprzedają lekarstwa mnichom.
  - Jedź w głąb kraju – powiedziała. – Najpierw do Mayfield.
  - Ale to nie po drodze, to dwa dodatkowe dni. I jeszcze trzeba wrócić, i...
  - Proszę – przerwała.
  - Powiesz mi, dlaczego, matko przełożona?
  - Mam przecucie. Musisz jechać stąd w głąb kraju, przez Las Bryer.
- Zastanowił się.
- Omówię to z Seską, pani – odparł w końcu. – Jeśli wyrazi zgodę, ruszymy okrężną trasą. Wspiął się na wóz, ujął lejce i pomachał jej na pożegnanie.

Gdzie jest siostra Agnes? Pora na nas.

Pani Mildred weszła do kapitulacza z ostatnim pakunkiem – starymi garnkami, patelniami i połamanym wałkiem do ciasta. Były to nieprzydatne przedmioty, ale darzyła je sentymentem i nie mogła ich zostawić.

– Agnes jest na cmentarzu – odparła, dysząc ciężko z wyczerpania. Nie chciała zostawić nawet łyżeczki; całą kuchnię posprzątało, a wyposażenie włożono do worków. Człowiek, który miał przewieźć siostry do nowego klasztoru, chyba nie pomieści tego wszystkiego na jednym wozie. Co za ironia: siostry złożyły wprawdzie śluby ubóstwa, ale kobiety, które chciały zamieszkać w klasztorze, czasem płaciły pieniędzmi, częściej jednak dostarczały przedmiotów służących wszystkim mieszkankom. I choć Winifreda oraz jej towarzyszki były biedne, miały mnóstwo rzeczy nagromadzonych od wielu pokoleń.

Agnes chodziła na cmentarz w każdą niedzielę od sześćdziesięciu lat. Teraz musiała się z nim pożegnać.

Przeorysza znalazła starą mniszkę klęczącą przy małym grobku pod wiązem, który ostatnio zaatakowała jakaś choroba. Szlochając, Agnes odgarniała artretycznymi palcami uschnięte liście.

Winifreda uklękła obok niej, przeżegnała się i zamknęła oczy, by odmówić modlitwę. W miniaturowym grobie spoczęły zwłoki dziecka, które żyło zaledwie kilka godzin. Sześćdziesiąt jeden lat wcześniej, podczas najazdu Skandynawów na Portminster, Agnes i jej kuzynki złaapała nad rzeką banda wikingów. Kuzynki uciekły, a Agnes została zgwałcona. Kilka tygodni później okazało się, że jest w ciąży. Przewieziono ją do klasztoru Świętej Amelii. Miała tu zostać, bo zdaniem ojca zhańbiła rodzinę. Zakonnice ją przyjęły, ale dziecko nie żyło długo, pochowano je na tutejszym cmentarzu. Agnes zamieszkała w klasztorze na stałe. Nigdy już nie zobaczyła swojej rodziny. Przyjęła święcenia i nauczyła się malować iluminacje. Przez resztę życia z miłością pielęgnowała grobek oznaczony tylko tabliczką: „John – zmarł 962 Anno Domini”.

Winifreda zmrużyła oczy. Czemu Bóg właśnie teraz dotknął drzewo chorobą? Jego liście bez przerwy opadały na grobek, za kilka godzin całkiem go przykryją. Po wyprowadzce sióstr nikt go nie posprząta.

– Wkrótce mój maleńki Johnny będzie całkiem niewidoczny i zapomniany.

Obok grobu leżała już sterta liści, którą Andrew zamierzał później spalić. Tyle że dozorca także wyjeżdżał z nimi do nowego klasztoru.

Winifreda pomogła starszycie wstać.

– Andrew mówi, że nowy klasztor jest bardzo duży – powiedziała Agnes.

– Tak, siostrze Agnes, ale także ładny i nowy. I... – zerknęła przez łąki na chory wiaź – wszystkie drzewa są zdrowe i zielone.

– Nigdy nie znajdę drogi.

Już niejedna mniszka wyrażała tę obawę. Winifreda sama nie była pewna, czy się nie zgubi w labiryncie korytarzy, drózek i budynków.

– I nigdy już nie będę malować – dodała Agnes, ocierając łzy.

– Czas odpocząć. Całe życie służyłaś Bogu, siostrze.

– Odpoczynek jest dla starych koni – stwierdziła kapryśnie Agnes. – Czy jestem aż tak bezużyteczna? Wciąż widzę. Wciąż potrafię trzymać pióro. Co ze sobą zrobię? I kto się zajmie moim maleńkim Johnnym?

– Chodźmy – powiedziała łagodnie przeorysza. – Czas na nas.

Zebrały się w kapitularku, w którym dominował ogromny kominek. Zbudowano go przed dwustu laty na polecenie przeoryszy, która była wyjątkowo wrażliwa na zimno; jej bogaty brat zapłacił za ogromne palenisko, o wiele za duże do tego pomieszczenia, ale nie dowoził drewna i węgla, kominka więc nie używano. Na masywnym gzymsie wygrawerowano słowa Chrystusa, zgodnie z którymi starały się żyć: *Mandatum novum do vobis: ut diligas invicem* – daję wam nowe prawo, abyście się wzajemnie miłowali.

Pani Mildred rozpacziała, że musi zostawić swój olbrzymi garniec na gulasz. Nie używano go od lat – dla garstki sióstr był za wielki.



– To dobry garniec – lamentowała. – Wykarcił nas niejednej ciężkiej zimy. Nie powinniśmy go zostawiać.

– Zajmuje zbyt dużo miejsca. Nie damy rady go zabrać. Może potem przyślemy kogoś.

Pani Mildred spoglądała niepewnie, a jej smutny wzrok raz za razem wędrował w stronę kuchni. Czuła się tak, jakby opuszczała własne dziecko.

Przerwały im krzyki na zewnątrz i stukot kopyt. Do kapitułarza wpadł pobladły Andrew, mamrocząc coś o ataku. Winifreda podbiegła do niego. Za nim wszedł jakiś mężczyzna, zdyszany po szybkiej jeździe. Na kolczudze miał godło opactwa i dźwigał halabardę.

– Błagam o wybaczenie – wyszeptał z trudem. Wikingowie zaatakowali, wysłano mnie, abym zabrał siostry do Portminsteru.

– Wikingowie! – Winifreda przeżegnała się, mniszki wzniosły lament.

Opowiedział im pośpiesznie, co zaszło: Skandynawowie wylądowali w Bryer's Point i wdarli się do klasztoru Prawdziwego Krzyża. Nie bardzo wiadomo, co się stało, ale chodzą słuchy, że klasztor splądrowano i podpalono. Matka Rosamunda zdołała uciec i dotrzeć do opactwa, gdzie wszczęto alarm.

– Wszystkie zakonnice schroniły się podobno w kaplicy, a te diabły je znalazły i zaszlachtowały jak gęsi. Przyjechałem po ciebie, matko przełożona, i twoje siostry. Szybko, nie ma czasu.

– Ale opactwo jest zbyt daleko! – zaprotestowała Winifreda. – Czy nie napotkamy po drodze wikingów?

– Tu z całą pewnością nie będziemy bezpieczni, matko przełożona. Prędko! Będę was eskortował. Weźmiemy wóz tego człowieka. – Wskazał na woźnicę wynajętego do przetransportowania mniszek do nowego klasztoru.

Zakonnice płakały, miotając się w panice, Winifreda próbowała się skupić. Napastnicy nie zaatakowali portu ani opactwa, wybrali niestrzeżony klasztor. Co mogłoby ich powstrzymać przed przyjazdem tutaj? Skoro tu zmierzają, żołnierz i jego bezradne podopieczne wpadną wprost na nich.

Instynkt podpowiadał jej, że bezpieczniej będzie pozostać w klasztorze. Spotkanie z wikingami na drodze to pewna śmierć. Jeśli zostaną na miejscu, dadzą czas żołnierzom Oswalda na dogonienie i rozgromienie napastników.

Winifreda namacała w kieszeni niebieski kamień. Jak dzielnie Amelia stawiała czoło losowi, nie przestraszyła się tortur! Święta Amelia nie zlekceważyła rozkazów byle opata: zbuntowała się przeciwko cesarzowi Rzymu.

– Nie – powiedziała nagle Winifreda. – Zostajemy.

Żołnierz wybałuszył na nią oczy.

– Oszalałaś, matko przełożona? Dostałem rozkaz i zamierzam go wykonać. A teraz proszę

wsiąść na wóz.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Stare mniszki i dwie damy tłoczyły się wokół przeorowskiej jak kurczęta wokół kwoki, powtarzając: „Co mamy począć?”. Winifreda przypomniała sobie zasłyszaną w dzieciństwie opowieść. Oto wikingowie najechali na wioskę położoną dalej na północ. Jej mieszkańcy zebrali się w kościele, a napastnicy podpalili budynek. Wszyscy wieśniacy zginęli. Kiedy była bardzo młoda i mieszkała jeszcze z braćmi i siostrami, też tulili się do siebie podczas przerażającej burzy. Nie wolno nam chronić się razem, wygarną nas jak pisklęta z gniazda – pomyślała.

– Wysłuchajcie mnie, drogie siostry. Pamiętajcie, jak nasza święta stanęła przed próbą gorszą niż ta, gdyż zagrażała ona nie tylko jej ciału, ale i wierze? Amelia zdołała jednak przechrzyć swoich prześladowców, i my to zrobimy.

– Ale, matko przełożona... – zaczęła pani Mildred drżącym głosem. – Jak?

– Każda z was musi na własną rękę znaleźć kryjówkę, taką, która napastnikom nie przyjdzie do głowy. Nie chowajcie się pod łóżkiem ani w szafie, bo tam sprawdzą w pierwszej kolejności.

– Nie możemy schować się razem?

– Nie – oświadczyła stanowczo Winifreda. – Najważniejsze, żebyśmy nie kryły się razem, nawet nie parami.

Nagle odezwał się żołnierz z opactwa:

– Matko przełożona, opat kazał...

– Wiem, co jest najlepsze dla moich sióstr. I ty z nami pozostań.

– Ja? – Ze zdumieniem przyłożył rękę do piersi. – Muszę wracać do opactwa.

– Zostaniesz, panie – zarządziła. – Znajdź sobie kryjówkę i tam się skryj, aż do mojego sygnału.

– Mam słuchać rozkazów...

– Młody człowieku, jesteśmy u mnie, ja tu rządę. Rób, co kazałam, i to natychmiast.

Chaotyczna bieganina w kółko trwała tylko chwilę. Każda z kobiet pobiegła do ukochanego miejsca w nadziei, że je ochroni, lub do miejsca, którego najbardziej się bała, sądząc, że przestraszy ono także wroga. Pani Mildred znalazła kryjówkę w kuchni, siostra Agnes przy grobku synka, pani Odelyn w znienawidzonej studni na podwórzu. Jedenaście mieszkańek klasztoru zniknęło na oczach oszołomionego strażnika, który myślał, że wszystko na nic i że wszystkie kobiety skończą jak owce w rzeźni.

Nie docenił jednak pomysowości matki Winifredy. Mniszki, drobniejsze od wikingów, wcisnęły się w ukrycia niedostępne wrogowi. I tak pani Mildred ostrożnie odgarnęła nagromadzone wokół brzegów olbrzymiego garnca pajęczyny, weszła do środka i nakryła się nimi. Siostra Gertruda ze zrećznością, której nikt by się po niej nie spodziewał, wślizgnęła się do komina prowadzącego z olbrzymiego paleniska w kapitularkę i niczym wystraszone nietoperze przywarła do

przewodu kominowego. Siostra Agata pobiegła do dormitorium, rozpruła szew materaca, wyciągnęła trochę słomy, wyrzuciła ją przez wąskie okno, po czym weszła do środka i przytrzymała rozpruty szew palcami. Pani Odelyn chciała opuścić się w wiadrze do znieprawionej studni, ale przyszło jej do głowy, że wiadro w studni ją zdradzi, z trudem więc zeszła, wspierając się na nierównych kamieniach. Siostra Agnes rzuciła się na grób Johnny'ego i zagarnęła na siebie opadłe liście. Siostra Edith, która z takim trudem znajdowała *necessarium*, ruszyła prosto do niego i wcisnęła się w cuchnący kącik między ubikacją a ścianą.

Kiedy Winifreda upewniła się, że wszyscy, także Andrew i strażnik z opactwa, znaleźli bezpieczne schronienie, wspięła się po rusztowaniu nad ołtarzem i tam ukryła.

Wkrótce przybyli wikingowie. Wpadli na podwórze, dziko rycząc, najwyraźniej żądni krwi. Wdarli się do kapitułarza i kaplicy, dormitoriów i refektarza, kuchni i skryptorium. Jak przewidywała Winifreda, szukali ukrytych sióstr: w konfesjonale, za ołtarzem i gobelinami, w szafkach i kredensach, pod łózkami. Pani Odelyn zobaczyła w wodzie odbicie okolonej rudymi włosami twarzy. Napastnik zajrzał do studni, ale nie dostrzegł kobiety, bo jej granatowa suknia zlewała się z cieniem. W kuchni żaden z mężczyzn nie zadał sobie trudu, by zerknąć do olbrzymiego, zasnutego pajęczyną garnca. Gertruda w materacu słyszała ciężkie kroki i wstrzymała oddech. Drzwi się otworzyły; mniszka czuła, jak para oczu lustruje pomieszczenie; po chwili kroki przeniosły się do celi obok. Przerazone kobiety kulily się w swoich kryjówkach, słyszały lub widziały, jak bandyci grabią i niszczą klasztor, klnąc z wściekłością, że nie znaleźli kobiet.

Ukryta na rusztowaniu Winifreda ścisnęła niebieski kamień. Starając się nie oddychać, patrzyła, jak dowódca wikingów uważnie rozgląda się po kaplicy. Nigdy nie widziała tak wielkiego mężczyzny, miał muskuły jak melony i włosy jak ogień. Złapał srebrny relikwiarz Amelii i otworzył go, po czym wyrzucił kości i rozgarnął je stopą. Zajrzał za i pod ołtarz, w konfesjonał, w każdy kąt, w którym mogła się ukryć kobieta, wetknął relikwiarz pod pachę i wypadł z kaplicy.

Winifreda nawet nie drgnęła. Choć w tej niewygodnej pozycji bolał ją każdy miesiąc i staw, wciąż w niej trwała, modląc się, aby najeźdźcy szybko dokończyli dzieła zniszczenia i odjechali. Czuła, jak oblewa się potem. Spływał jej po głowie, miała mokre ręce. Nagle, ku jej przerażeniu, niebieski kryształ wysliznął się z wilgotnych palców i uderzył o podłogę.

Musiła przygryźć język, by nie krzyknąć. Modliła się, by już nikt nie wszedł do kaplicy, dowódca wikingów wrócił jednak, jakby czegoś zapomniał albo wyczuł, że coś jest nie tak. Patrzyła, wylękona, jak wysoki jasnowłosy olbrzym w rogowym hełmie idzie powoli główną nawą i przystaje u stóp ołtarza. Odwrócił się, a jego stopa kopnęła kryształ.

Winifreda stłumiła okrzyk.

Duńczyk spojrział w dół, podniósł lśniący kamień, a potem rozejrzał się wokół. Przed chwilą nic tu nie leżało. Uniósł twarz i popatrzył na konstrukcję z desek, rozperek i podpór. Winifreda widziała bystre, błękitne oczy, ale nie potrafiła powiedzieć, czy ją dostrzegły.

Wtem wiking spojrział w oczy przeoryszy. Wstrzymała oddech, przywierając do gnijącego drzewa i próbując nie wzburzyć kurzu na deskach.

Chwila się przeciągała, a dzikus wpatrywał się w oniemiałą z przerażenia mniszkę.

Nagle wykrzyknął jakiś rozkaz w swoim cudzoziemskim języku. Winifreda obserwowała przez szparę, jak pozostali zbierają łupy. Do kaplicy weszło dwóch mężczyzn z pochodniami. Dowódca warknął coś i kazał im wyjść. Wybiegli, a on ponownie spojrział w górę i tym razem coś załśniło w jego oczach, a usta lekko drgnęły. Ktoś inny mógłby odczytać to spojrzenie jako wyraz uznania dla odwagi i pomysłowości; Winifreda widziała w nim jedynie cud dokonany przez świętą Amelię.

Długo czekała, zanim zeszła. Jej kości zaprotestowały, niemal spadła z rusztowania. Po wąskich schodkach pośpieszyła na szczyt dzwonnicy i wyjrzała. Z oddali dobiegł ją tupot końskich kopyt – to ludzie Oswalda podążali za uciekającymi napastnikami. Hałas ucichł, wróciła popołudniowa cisza.

Winifreda pomogła siostrom wydostać się z ciasnych kryjówek. Zgromadziły się w kaplicy na modły. Przeorysza pomyślała o rusztowaniu wzniesionym pięć lat wcześniej, o tym, jak przez cały czas je przeklinała, a ono w końcu ją ocaliło. Pomyślała o znienawidzonej przez Odelyn studni i *necessarium*, które było przekleństwem Edith, i o liściach, które zasypały grobek biednego Johnny'ego. Rusztowanie, garniec, chory więz, studnia – to wszystko wcześniej drażniło je i przeszkadzało. Nic jednak nie działo się przypadkiem. To były cuda. Ocaliły mniszki, ale to one musiały znaleźć w sobie odwagę, by ich użyć. Odwagę Amelii.

Winifreda nie żałowała niebieskiego kamienia, który podniósł wiking. Miała nadzieję, że łaska świętej Amelii podążyła za klejnotem i że pewnego dnia sprowadzi on światło do serc barbarzyńców.

Opat jechał na pięknym rumaku. Wygodniej podróżowało się z opactwa do nowego klasztoru. Niestety, został całkowicie zniszczony przez wikingów, podczas gdy ten pod wezwaniem Świętej Amelii jakimś cudem ocalał. Był teraz jedynym klaszturem w Portminsterze. Gdyby także spłonął, już nigdy by go nie odbudowano.

Skrecił i dołączył do rzeki pielgrzymów zmierzających w stronę klasztoru. Drzazga z Prawdziwego Krzyża spłonęła w pożodze, kości świętej Amelii znów były więc jedyną relikwią w okolicy. Opat słyszał o cudzie, który się tu wydarzył. Dlaczego wikingowie nie spalili i siedziby starych mniszek? Mówiono, że powstrzymała ich święta Amelia, chociaż, myśląc o nieustraszonej matce Winifredzie, wcale nie był tego taki pewien...

Od czasu cudu nastąpiły tu spore zmiany. Z kuchni dobiegały teraz wspaniałe aromaty, w olbrzymim garncu pani Mildred dusił się smakowity gulasz. Przed budynkiem młody człowiek przy studni wyciągał wodę i podawał wiadro pani Odelyn. Inny młodzik grabił liście obok małe-

go grobka. Tętniło życie, wróciły dobre czasy.

Opat nie przyjechał tu jednak, by pogratulować mniszkom. Doszły go niepokojące wieści: matka Winifreda nie uczyła nowicjuszek sztuki iluminacji, zostawiła to zadanie starszym zakonnikom. A co robiła w tym czasie przeorysza? Malowała przekłętą nastawę!

Zamierzał skończyć z tym raz na zawsze. Nie zniesie dłużej nieposłuszeństwa tej kobiety.

Spodziewał się, że Winifreda powita go przy furcie, jak kiedyś, ale tam jej nie było. Czekwała na niego siostra Rosamunda, obecnie rezydentka klasztoru Świętej Amelii, już nie przeorysza, choć to akurat zupełnie jej nie przeszkadzało. Zastępowała matkę przełożoną, dbała o komfort podróżnych, uczennic i rezydentek, zajęła się także renowacją budynków, hodowlą kóz, owiec i kur oraz doglądaniem, by na stołach nie zabrakło jadła.

Rosamunda zaprowadziła opata do nowej prywatnej komnaty, gdzie matka Winifred siedziała przy sztalugach i malowała. Opat już miał przemówić, kiedy spojrzał na deskę i całkiem oniebiał. Po chwili ujrzał coś jeszcze bardziej szokującego: matka Winifreda się uśmiechała!

Usiadł i milczał, nie przerywając jej pracy. Winifreda stworzyła niezwykłą świętą Amelię, promienną i pokorną, służącą biednym, głoszącą słowo Chrystusa. Na czwartej desce nowej nastawy Amelii w dłoni trzymała niebieski kryształ, wysoko, tuż przy gardle. Opat nic z tego nie rozumiał, ale obraz był piękny i niezwykły, wręcz zapierał dech w piersiach.

Nowicjuszka przyniosła mu piwo, wypił je z roztargnieniem. Ojciec Edman nie tylko postanowił, że pozwoli Winifredzie dokończyć nastawę, ale już rozmyślał o przyszłych obrazach, których namalowanie jej zleci, i klientach, którzy słono za nie zapłacą.

## Przejście

Gdy opat ujrzał wspianą nastawę Winifredy, przypisał sobie całą zasługę, twierdząc, że to on skłonił matkę przełożoną do malowania, a potem zlecił jej wykonanie tryptyku do swojego kościoła. Nigdy nie został biskupem, zmarł dwa lata później, zakrztusiwszy się rybią ością przy trzeciej dokładce na wielkanocnej uczcie.

Matka Winifreda żyła jeszcze trzydzieści lat, całymi dniami malując zapierające dech w piersiach obrazy, nastawy i miniatury – Madonnę, Chrystusa na krzyżu i narodziny Pana – a wszystkie oznaczała wizerunkiem niebieskiego kryształu, w tamtych czasach bowiem artyści nie podpisywali swoich dzieł.

Wkrótce po najeździe wikingów na klasztor Świętej Amelii pan Ibn-Abu-Aziz-Jaffar wrócił, by podziękować matce przełożonej za ostrzeżenie. Dzięki temu, że pojechał w głąb kraju i do Mayfield, nie spotkał na swojej drodze wikingów i uratował życie. Winifreda, zapomniawszy o darze jasnowidzenia odziedziczonym po celtyckich przodkach, przypisała całą zasługę świętej Amelii. Zaprosiła wędrownego handlarza, by odpoczywał u sióstr tak długo, jak zechce. Osiedlił

się w małym domku na terenie klasztoru. Jego wierna klacz Seska dożyła swoich dni na pastwisku. Szymon Lewita czasem pomagał w klasztorze, był lubiany przez gości i pielgrzymów, pozostał też przyjacielem i doradcą przeoryszy. Spotykali się każdego popołudnia na spokojną pogawędkę – żyd Szymon i katolicka zakonnica Winifreda – aż do jego śmierci czternaście lat później. Nigdy nie nawrócił się na chrześcijaństwo, ale ona nalegała, żeby stary przyjaciel otrzymał ostatnie namaszczenie i został pochowany w święconej ziemi.

Choć ręce i wzrok Winifredy słabły z wiekiem, nie rezygnowała z malowania. Czasem, przerywając pracę, myślała o wikingu, który zabrał niebieski kamień. Jak wykorzystał moc Amelii?

A było tak: kiedy wikingowie wrócili do portu, ich statek płonął, otoczony przez żołnierzy Oswalda z Mercji. Wszyscy Duńczycy zginęli. Przeszukując ciała, Oswald odkrył zdumiewający niebieski kamień niewyobrażalnej piękności. Kazał go umieścić w rękojeści miecza, który potem towarzyszył pechowemu uczestnikowi krucjaty do Jerozolimy. Wydłubany z rękojeści i zawieszony do Bagdadu w darze dla kalifa, przez pewien czas tkwił w jego ulubionym turbanie. W chwili słabości kalif podarował kryształ świątynnej tancerce, która nosiła go w pępku, tańcząc dla swego pana, a pewnej nocy uciekła z kochankiem. Kamień przechodził z rąk do rąk, należał do panów i pań, był sprzedawany, kupowany, czasem kradziony, aż przebył kanał La Manche wraz z żołnierzem wracającym z krucjat. Oślepiony w bitwie pod Jerozolimą, w nadziei na uzdrowienie żołnierz dołączył do grupy pielgrzymów zmierzających do Canterbury. Napadli ich bandyci, którzy sprzedali łupy na północy. Pewien młody człowiek, który chciał podbić serce damy ekstrawaganckim darem, osadził kryształ w wieku wykonanego z macicy perłowej puzderka na klejnoty. Kiedy jednak dama odrzuciła jego oświadczenia, wyniósł się do Europy, gdzie poprzysiągł odebrać sobie życie, gdy tylko znajdzie odpowiednie miejsce. Tu jednak poznał człowieka z Asyżu, Franciszka, który tworzył nowy zakon w oparciu o regułę ubóstwa. Pod wpływem impulsu przygnębiony młody człowiek wstąpił do zakonu, oddając ubogim całą swą własność, w tym przeklęte puzderko.

Wieśniak, który znalazł szkatułkę w stosie darów franciszkanów, wydłubał kamień z wieka i kupił za niego bochen chleba. Żona piekarza wymieniła klejnot na inną ciekawostkę, szklane lustro, wierząc, że przedmiot, który ukazuje jej odbicie, jest cenniejszy od kamienia pozbawionego tej właściwości.

W 1349 roku czarna śmierć wybiła jedną trzecią ludności Europy. Niebieski kryształ obwiniano o zgon siedmiorga ludzi i chwalono za sześć ozdowień, gdy przechodził od zmarłych do tych, którzy przeżyli, od pacjenta do lekarza. Niemal sto lat później, kiedy młoda dziewczyna o imieniu Joanna płonęła na stosie we Francji za herezje, jeden z gapiów w tłumie nie miał pojęcia, że ktoś mu szpera w kieszeni. Złodziej uwolnił go od dwóch złotych florenów i niebieskiego kryształu.

Latem 1480 roku tłum zebrał się na wzgórzach nieopodal Florencji. Dwudziestoosmioletni

wynalazca demonstrował swoje najnowsze dzieło zwane spadochronem. Świadkowie zakładali się, czy młody idiota skreśli kark, czy nie. Kiedy Leonardo da Vinci wylądował na łące, niebieski kryształ trafił z rąk Medyceusza do wędrownego uczonego, który zabrał kamień do Jerozolimy, w darze dla ukochanej córki. Ta jednak pod jego nieobecność zmarła podczas porodu. Tak rozpaczał nad jej śmiercią, że ukrył kamień, bo przypominał mu o utraconym dziecku. I tak oto kryształ spoczął w złotym pudełku w pięknym domu na wzgórzu wychodzącym na Kubbet es-Sachra, czekając na następnego właściciela.

## Księga szósta

### NIEMCY

Rok 1520

Gdyby ją zapytano, Katharina Bauer powiedziałaaby, że wychodzi za Hansa Rotha z miłości. Tak naprawdę jednak gorąco pragnęła wejść do licznej rodziny.

Mieć siostry, ciotki, braci i wujów, kuzynów, siostrzenice i siostrzeńców: oto było jej marzenie. Siedemnastoletnia Katharina, jedyne dziecko wdowy mieszkającej w skromnej izbie nad gospodą, najbardziej na świecie pragnęła mieć dużą, szczęśliwą rodzinę. A Hans Roth, dwudziestodwuletni chłopak o oczach błękitnych jak bławatki, pochodził właśnie z takiej rodziny.

Hans, jeden z pięciorga potomków Herr Rotha, kuflarza, i jego żony, mieszkał w dużym, przypominającym ul domu, pełnym krewnych, szwagrów, szwagierek i pociotków. Wszyscy zajmowali się wyrobem i sprzedażą ceramicznych kufli do piwa. Teraz, kiedy Katharinie pozwolono pomagać w najbardziej pracowitym okresie (choć nie dostawała za to wynagrodzenia) i zbliżyć się do rodziny Rothów, w duchu miała nadzieję, że już za rok będzie nazywała pana Rotha tatą.

To jest właśnie prawdziwa miłość, powtarzała sobie, pomagając Hansowi w suszarni. Ta cicha radość, spokój i ukontentowanie. Widziała je u starszych ludzi, będących małżeństwem od zawsze. Miała szczęście, że ona i Hans rozpoczynali właśnie w taki sposób. Czekali ich wspaniałe życie!

Co do innego aspektu małżeństwa – łóżka i dzieci – Katharina wolała się nad tym nie zastanawiać; najchętniej poprzestałaby na całowaniu Hansa. Kiedy zostawali sami w lesie lub nad rzeką i nikt ich nie widział, Hans robił się bardziej natarczywy niż zwykle, a Katharina musiała opędzać się od niego i przypominać mu, że nie są jeszcze małżeństwem. We właściwym czasie zamierzała jednak wypełniać obowiązki małżeńskie i znosić przelotne fizyczne zespolenie niezbędne do poczęcia dzieci.

Zdejmowali zdobione ostatnio kufle z półek. Przez otwarte okno wpadały cudowne aromaty – kotletów wieprzowych skwierczących na ogniu, kapusty duszącej się w garnku, pieczonych ziemniaków, świeżego chleba. Frau Roth przygotowywała solidny posiłek. Katharina nie liczyła na zaproszenie, Frau Roth nie słynęła z gościnności. Katharina zresztą i tak by z nimi nie jadła, skoro jej matka musiała zadowolić się serem i jednym jajkiem. Co pewien czas jakaś zadowolona klientka odwdzięczała się Isabelli Bauer kiełbaskami i ziemniakami, wtedy wystarczyło im jedzenia na cały tydzień. Chleba było pod dostatkiem, no i na szczęście mieszkali nad oberżą, a że jej właściciel, pan Muller, był oczarowany matką Kathariny, piwa też im nie brakowało.

– Te trafią do Italii – oznajmił Hans, gdy już włożyli wyschnięte kufle do pieca. Katharina usłyszała nabożną cześć i podziw w jego głosie, gdy wypowiadał słowo „Italia”. Hans bardzo



pragnął zwiedzić świat. Dla Kathariny światem był Badendorf, jego rynek z fontanną pośrodku, otoczony z dwóch stron przez sklepy i domy mieszkalne z muru pruskiego. Trzecią stroną rynku zajmowała gospoda, a czwartą trzystuletni ratusz z drzwiami na wysokości pierwszego piętra, do których wchodziło się po schodach, usuwanych w wypadku zagrożenia; obok był romański kościół, jeszcze z piątego wieku, jego fundamenty podobno pamiętały czasy starożytnego Rzymu. Na placu targowym odbywały się coroczne festyny, śluby, uroczystości, targi warzyw i owoców, co pewien czas wystawiano tam religijne sztuki. Tyle się tu działo, że Badendorf wystarczał Katharinie Bauer za cały świat.

Nie wiedziała, co jest za zakrętem rzeki ani na końcu drogi, ani po drugiej stronie góry, i nic ją to nie obchodziło. Nie słyszała o niedawnej koronacji Karola V w mieście o nazwie Akwizgran. Było to najważniejsze wydarzenie od wstąpienia na tron Karola Wielkiego. Nie wiedziała nawet, że augustianin Marcin Luter został nazwany przez papieża heretykiem za rozsiewanie nowych, niebezpiecznych idei, a jego tezy niczym pożar rozprzestrzeniły się wkrótce na całą Europę dzięki wynalazkowi Jana Gutenberga. Katharina Bauer znała tylko swoje miasto, las, zamek i obywateli Badendorfu, i to jej wystarczało.

Gdy Hans brał od niej kufel, ich palce się zetknęły i ujrzała rumieniec na policzkach młodzieńca. Ona się nie zaczerwieniła, bo miłość, którą Katharina czuła do Hansa, nie była, jak to nazywała, iskrząca. Dziewczyna nie do końca wierzyła, że taka miłość istnieje. Może w pieśniach, poematach i romantycznych opowieściach, ale nie w życiu. Najważniejsza była sympatia, czułość i dobre samopoczucie w obecności drugiego człowieka. Znała Hansa całe życie, ta miłość powoli rosła wraz z nimi i gdy jego rodzice wspomnieli o małżeństwie, Katharinie wydało się naturalne, że wezmą ślub. Wiedziała również, że będzie to udane małżeństwo, ona zostanie najlepszą szwaczką Badendorfu, a Hans będzie kontynuował tradycję słynnej wytwórni kufli Rotha.

Wiele wieków temu Rzymianie przybyli na te ziemie ze względu na gorące źródła. Cieplice wyschły, ale na ich miejscu pojawiła się glina idealna do wyrobu przedmiotów z kamionki. Badendorf słynął z kufli do piwa. Najpierw je ręcznie formowano, zdobiono i malowano, potem były wypalane i pokrywane glazurą. Kufle suszono w suszarni przez wiele godzin, później trafiały do pieca. Cały proces trwał kilka dni i wymagał wielkiej cierpliwości. Na tym polegał sekret kufli Rothów: im wolniej woda odparowywała z gliny, tym bardziej wytrzymałe było naczynie. Cała Europa znała ich wyroby. Oznaczało to, że pewnego dnia Hans stanie się bardzo bogatym człowiekiem. Wtedy Katharina będzie mogła kupić matce wspaniały dom i zrobić wszystko, żeby Isabella nie musiała więcej harować.

Poranna praca dobiegła końca. Katharina podążyła za Hansem do warsztatu, gdzie do ostatniej partii kufli dopasowywano wieczka ze stopu cyny z ołowiem.

Dwieście lat wcześniej medycy uznali, że muchy przenoszą zarazę. Aby zapobiec rozprze-

strzenianiu się chorób, wydano przepis zalecający nakrywanie wszystkich napojów. Zdejmowane wieczko psuło jednak przyjemność picia piwa, bo trzeba było trzymać kufel dwiema rękami. Należało wymyślić coś innego, i tak oto powstało wieczko na zawiasie, dzięki czemu ludzie mogli trzymać kufel jedną ręką i pozostawać w zgodzie z prawem. Kufle Rothów służyły z ozdobnych, pięknie dekorowanych wieczek, które zawsze pasowały do wzorów na samym kuflu.

Katharina pomagała właśnie dwójce kuzynów Rothów, mocujących się z nieporęczną belą słomy do wypełniania skrzyń z naczyniami. Hans stanął za nią i objąwszy dziewczynę w tali, wyszeptał jej coś do ucha. Katharina zachichotała i wysliznęła się z jego ramion, udając, że bawią ją te zaloty. W duchu miała nadzieję, że po ślubie Hans nie będzie jej tak często dotykał. Poza tym nie byłoby to dobrze widziane.

Już miała powiedzieć, że matka na nią czeka, kiedy nagle usłyszała krzyk. Ktoś gorączkowo powtarzał jej imię. Wychyliła się i ujrzała Manfreda, syna właściciela oberży. Biegł przez plac, wymachując ramionami.

– Katharino! – wrzeszczał. – Chodź szybko! Zdarzył się wypadek. Twoja matka...

Katharina natychmiast ruszyła przed siebie. Manfred usiłował dotrzymać jej kroku. Brakowało mu tchu.

– Stała za wozem z piwem, gdy koń się spłoszył – tłumaczył. – Beczka spadła z wozu i przygniotła twoją matkę. Jest z nią arabski medyk.

Katharina w duchu podziękowała Bogu. Stary lekarz był człowiekiem, któremu ufała najbardziej na świecie.

Doktor Mahmud uciekł z Hiszpanii dwadzieścia osiem lat wcześniej, kiedy królowa Izabella pozbywała się Maurów z ojczyzny. Przebywał na północy, gdy dosięgła go wiadomość, że całą jego rodzinę zamordowano i że jest zbyt niebezpiecznie, by wracać do Granady. Po roku tułaczki znalazł schronienie w Badendorfie, gdzie Isabella Bauer, wiedząc, co to znaczy być obcym w obcym mieście, okazała mu życzliwość i przekonała do niego pozostałych mieszkańców.

Doktor Mahmud był w izbie nad oberżą. Ubrał się w egzotyczną szatę, na siwe włosy włożył turban. Brat Pastorius, młody zakonnik, cherlawy i chromy, siedział w kącie, odprawiając modły. Na widok nieprzytomnej matki z zakrwawionym bandażem na czole Katharina podbiegła do łóżka i padła na kolana.

Isabella Bauer, najlepsza szwaczka w Badendorfie i okolicy, liczyła sobie trzydzieści osiem lat i choć nieobce jej były ubóstwo i ciężka praca, zachowała młody wygląd. Teraz, z zamkniętymi oczami, wyglądała jeszcze młodziej, z jej bladej twarzy zniknęły zmarszczki wywołane przez troski i wiek.

– Mamo? – Katharina ujęła zimną, bezwładną rękę Isabelli. – Mamo? – powtórzyła nieco głośniejszym głosem.

Popatrzyła na doktora Mahmuda; stał z ponurą miną. Katharina zamarła. Miała tylko matkę.

Niewiele wiedziała o ojcu. Była malutka, kiedy zmarł na złośliwą gorączkę, która zaatakowała ich wioskę na północy. Nawet nie mogła odwiedzać jego grobu: zmarłych palono, żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się choroby. Katharina wraz z matką uciekły na południe i zamieszkały w Badendorfie. Dziewczynka podrosła i co pewien czas zwracała spojrzenie zielonych oczu na północ, tam, gdzie rzeka znikła za zakrętem i leżał nieznaną jej świat. Wyobrażała sobie wioskę i przystojnego, uśmiechniętego mężczyznę, który był jej ojcem.

Katharina i jej matka nie należały wprawdzie do zamożnej klasy niemieckich kupców, czasem zmuszone były walczyć z przeciwnościami losu i obchodzić się smakiem (Isabella błagała swoich klientów o zaległą zapłatę), ale nie uważały się za biedaczki. Zajmowały mały pokój nad oberżą, zarabiała na życie naprawianiem sukni i butów. Czasem nie dojadły lub zmarzły w zimie, ale i tak miały poczucie, że im się w życiu powiodło. Nie były chłopkami pracującymi ponad siły i wykorzystywanymi przez szlachtę. Isabella Bauer często powtarzała córce, że choć brak im pieniędzy, mają godność.

I życie, ogólnie rzecz biorąc, było dobre. Za gospodą rozciągał się niewielki, otoczony murem ogród, gdzie brat Pastorius uczył chłopców łaciny, a doktor Mahmud przyjmował pacjentów. Tam właśnie światło było najlepsze. Katharina i jej matka szyły, stary Arab rozmawiał z pacjentami za parawanem, który przynosił ze swojego pokoju, brat Pastorius zaś wbijał podstawy łaciny w uparte głowy kupieckich synów. Codziennie, gdy Katharina i Isabella haftowały piękne wzory, poranek rozbrzmiewał śpiewem ptaków i skandowaniem uczniów braciszka: *Anima bruta, anima divina, anima humana...*

Wreszcie powieki Isabelli uniosły się lekko. Przez chwilę patrzyła nieprzytomnie, po czym poznała Katharine. Jej złote włosy tworzyły aureolę światła w słońcu, które wpadało przez okno. Isabella się uśmiechnęła. Jak pielenie wyrosła ta dziewczyna – pomyślała. Włosy Kathariny, niegdyś jasne jak wasy kukurydzy, były teraz złote. Miała cerę bez skazy i jasnozielone oczy. Isabella uniosła dłoń do gładkiego policzka córki i wyszeptala z wielkim trudem:

– Bóg zdecydował wezwać mnie do siebie, kochanie. Myślałam, że będę miała więcej czasu...

– Mamo – zaszlochala Katharina, przyciskając zimną rękę matki do swojej twarzy. – Wyzdrowiejesz. Doktor Mahmud się o to postara.

Isabella uśmiechnęła się ze smutkiem i odwróciła głowę.

– Wiem, że zostały mi zaledwie minuty. Miałam nadzieję, że będę żyła jeszcze wiele lat, ale Bóg w swej mądrości...

Katharina czekała. Doktor Mahmud patrzył bystrymi, ciemnymi oczami na pacjentkę, brat Pastorius zaś nie przerywał modłów. Tłum ciekawskich zebrał się przed drzwiami, ale pan Muller nikogo nie wpuszczał.

Po chwili Isabella odetchnęła głęboko i ponownie przemówiła:

– Jest coś, o czym musisz wiedzieć, drogie dziecko, coś, co powinnam ci zdradzić...

Łzy spływały z oczu Kathariny na poplamioną krwią pościel.

– Tam – wyszeptwała Isabella. – W komodzie. – Wskazała jedyny przyzwoity mebel w izbie: drewnianą komodę, w której przechowywały tkaniny, nici, igły i nożyczki. – Pudełko ze wstążkami. Przynieś mi je.

Katharina wróciła do łóżka z pudełkiem. Isabella mówiła dalej:

– Musisz to wiedzieć, Katharino. Bądź dzielna. Proś Boga o siłę. Czas, byś poznała prawdę.

Dziewczyna czekała. Doktor Mahmud pochylił się. Przez otwarte okno wleciała pszczoła, brzęcząc, jakby czegoś szukała, ale zaraz opuściła pokój.

– Co się stało, mamó? – delikatnie ponagliła ją Katharina.

W oczach Isabelli pojawiły się łzy.

– Nie jestem twoją prawdziwą matką. Nie jesteś moją prawdziwą córką.

Katharina gapiła się na nią, a po chwili zmarszczyła brwi. Spojrzała na doktora Mahmuda, na brata Pastoriusa, który przerwał modły. Czyżby się przesłyszała?

– To prawda, Katharino – szepnęła z wielkim wysiłkiem Isabella. – Nie wyszłaś z mojego łona. Urodziła cię inna kobieta.

– Mamó, źle się czujesz. Doktor Mahmud powiedział, że otrzymałaś silny cios w głowę.

– Jestem przy zdrowych zmysłach, Katharino. Wysłuchaj mnie, mam niewiele czasu. – Isabella z trudem wciągnęła do płuc powietrze, wypuściła je, znowu wciągnęła. – Dziewiętnaście lat temu zaraza spustoszyła moją wioskę na północy, zabierając mi męża i dwoje maleńkich dzieci. Zostałam sama. Nieliczni, którzy ocalili, rozpierzchli się po świecie. Ja wylądowałam w gospodzie, gdzie byłam pokojówką, a także trochę haftowałam. Pewnej nocy przybyła rodzina, kobieta była brzemienna. Zlecili mi wyhaftowanie szaty na chrzest dziecka. Matka zmarła jednak przy porodzie. Jej mąż szalał z bólu. Nigdy nie widziałam, żeby mężczyzna tak płakał.

Znowu z trudem odetchnęła.

– Powiedział mi, że są w podróży... że on i synowie wyjeżdżają daleko i nie mogą zabrać ze sobą noworodka. Przyszedł w środku nocy, Katharino, i płakał jak dziecko. Prosił, żebym zatrzymała niemowlę, obiecał, że po nie wróci. Tym dzieckiem byłaś ty, Katharino.

Tłum pod drzwiami szemrał, aż w końcu pan Muller uniósł ręce, by go uciszyć. Doktor Mahmud ujął Isabellę za nadgarstek i zmierzył jej puls. Ponure spojrzenie medyka podpowiedziało Katharinie, że zostało niewiele czasu.

– Wzięłam dziecko, obiecując, że zajmę się nim do jego powrotu – ciągnęła Isabella. – Później opuściłam gospodę. Nie ufałam właścicielom. Podejrzywałam, że mogą ukraść mi złote monety, które nieznajomy dał za opiekę nad tobą. Dotarłam do Badendorfu. Powiedziałam wszystkim, że zostałam wdową, co było prawdą, i że jesteś moją córką, co prawdą nie było. Myślałam, że twój ojciec mnie jednak znajdzie, nie wyjechałam zbyt daleko...

Głos Isabelli zamarł, zwilżyła językiem spierzchnięte wargi. Doktor Mahmud delikatnie wsunął jej rękę pod głowę i przystawił kubek z wodą do ust, ale nie mogła pić. Po chwili mówiła dalej:

– Ten człowiek... twój ojciec, Katharino, coś mi dał... Otwórz to pudełko i wyjmij wstążki. Dno pudełka... unieś je. Tam coś jest. Należy do ciebie.

Zdumiona Katharina zobaczyła, że pod ruchomym dnem w pudełku ze wstążkami leży przedmiot owinięty chusteczką. Odwijając ją, przez łzy ujrzała miniaturę religijną wielkości dłoni.

– To jedna z dwóch części dyptyku, takiego jak nad ołtarzem w naszym kościele. Ale o wiele mniejsza. Widzisz niebieski kamień na obrazie, córko? Widnieje również na drugiej miniaturze. Razem opowiadają pewną historię.

– Matko... – Głos Kathariny się łamał. – Nie rozumiem.

– Twój ojciec... miał dwa małe obrazki... miniaturowy dyptyk połączony zawiasem. Przełamał go... – Isabella zamknęła oczy, przypominając sobie wydarzenia sprzed siedemnastu lat. – I dał mi tę połowę, ten mały obrazek. Gdyby nie mógł wrócić po ciebie osobiście, gdyby nie mógł podróżować, jego wysłannik pokaże drugą połowę, i jeśli będą pasowały, zrozumie.

Katharina spoglądała na matkę, ze zmarszczonymi brwiami, a potem wpatrzyła się w mały obraz w jej dłoniach.

– Czy to Błogosławiona Dziewica? – Na obrazie kobieta w średniowiecznej sukni przykładająca niebieski kryształ do szyi. Dziwny gest. Kamień z pewnością był drogocenny, miał niezwykle kolor i przejrzystość.

Głos Isabelli dobiegał z oddali, jakby jej duch już przygotowywał się do odejścia.

– Pokazał mi ten drugi obrazek... Po łacinie, na górze, napisano: *Sancta Amelia, ora pro nobis*.

– Święta Amelio, módl się za nami – wymamrotała Katharina, nie mogąc oderwać oczu od miniatury, która należała do jej ojca.

– Powiedział, że... niebieski kryształ na obrazie to kamień świętej Amelii i że jest cudowny, ma niezwykłą moc, bo podarował go Amelii sam Jezus.

Katharina jak zahipnotyzowana wpatrywała się w obrazek. Nie umiałyby opisać barwy kamienia. Błękit nieba był od niej jaśniejszy, szmaragdowa barwa oceanu głębsza. Klejnot nie miał jednolitego koloru, ale wiele odcieni. Patrząc na niego, miało się wrażenie, że to nie fragment obrazu, a namacalny przedmiot. Nic dziwnego. Namalowała go przecież matka Winifreda, mistrzyni w dobieraniu kolorów, pięćset lat wcześniej.

– Twój ojciec wyglądał na bogatego człowieka – wyszeptała Isabella. – Może był szlachcicem? Zostawił woreczek złotych monet. Wydałam tylko kilka, kiedy zaczynałyśmy życie tu, w Badendorfie. Potem już nie tknęłam tych pieniędzy, to był twój posag. Każdego roku, w dniu

twoich urodzin, obiecywałam sobie, że powiem ci prawdę. Nie mogłam się na to zdobyć. Pojawiła się w moim życiu, gdy rozpaczałam po utracie własnych dzieci. Niech Bóg mi przebaczy, ale w głębi duszy liczyłam na to, że ten człowiek nigdy po ciebie nie wróci. Teraz jednak umieram, a ty masz prawo znać prawdę.

– Cicho, mamó. Oszczędzaj siły. Porozmawiamy później.

Isabella pokręciła głową, co mocno ją wyczerpało.

– Nigdy nie byłaś moja, Katharine. Miałam się tylko tobą zaopiekować aż do jego powrotu. Nie wrócił, może dlatego, że jest ranny, chory albo trafił do więzienia. Może modli się do Boga, by sprowadził cię do niego. – Wyciągnęła rękę, dotykając złotych warkoczy Kathariny. – Ma taki sam kolor włosów. Nosił piękną, jasną brodę, była jak słońce. Odwróć obrazek.

Katharina odwróciła go i przeczytała napis: Von Grünewald.

– To nazwisko twojej rodziny – wyjaśniła Isabella. – Bo widzisz... nigdy nie miałaś być moja. Twoje przeznaczenie jest inne. Znajdź ojca, Katharine. Może cierpi. Musisz go odnaleźć!

– Nie mogę cię zostawić! – wykrzyknęła Katharina.

– Dziecko, nie tak miało być. Może gdybym powiedziała ci prawdę wiele lat temu, wszystko potoczyłoby się inaczej. Przez egoizm milczałam. Teraz muszę ci to wynagrodzić. Ten nieznajomy... zasłużył na swoją córkę.

– Ale jak go odnajdę? – Katharina zaczęła szlochać.

– Powiedział, że wyrusza na poszukiwanie niebieskiego kamienia, który widnieje na miniaturze. Miał jechać do Jerozolimy, myślał, że kamień tam właśnie jest. Znajdź go... – Isabella walczyła o oddech. – Szukaj niebieskiego kamienia, a potem ojca. Kiedy odnajdziesz drugą połowę dyptyku, połączysz się z ojcem, jeśli Bóg pozwoli.

Jej krucha dłoń, która wyhaftowała tyle pięknych kwiatów, ptaków i motyli, zadrżała na policzku córki.

– Obiecay, że to zrobisz, Katharine. Znajdziesz swoje przeznaczenie tam, dokąd cię zaprowadzi niebieski kamień.

Po tych słowach wyzionęła ducha. Katharina z płaczem rzuciła się na ciało matki, a doktor Mahmud i brat Pastorius uprzejmie wyprosili zebranych na progu ludzi i pana Mullera. Isabellę Bauer pochowano na miejscowym cmentarzu. Podczas pogrzebu wielu klientów sławiło jej umiejętności, chwalać się, że mają piękne kołnierze, pościel i chusty wyszywane jej zręcznymi rękami. Składali kondolencje Katharinie; byli to ci sami ludzie, którzy niegdyś zmuszali Isabellę Bauer i jej córkę do wielogodzinnego wyczekiwania przy wejściu dla służby, którzy często nie płacili szwaczce za wiele tygodni jej pracy. Teraz, kiedy usłyszeli, że dziewczyna być może jest szlachcianką i odziedziczyła nawet niewielki majątek, traktowali ją z wielkim szacunkiem i poważaniem.

Katharina z trudem brnęła przez dni, które nastąpiły po śmierci matki, odrętwiała po tej na-

głej tragedii. Wreszcie jej rozpacz nieco przycichła. Dziewczyna zaczęła rozmyślać nad niewiarogodną historią opowiedzianą jej przez matkę. Czy to prawda? Wraz z doktorem Mahmudem i Hansem Rothem, którzy towarzyszyli jej dla bezpieczeństwa, Katharina po raz pierwszy w życiu opuściła Badendorf i wybrała się na północ, do wioski oddalonej zaledwie o piętnaście kilometrów.

Odnalazła gospodę, w której przyszła na świat. Potem odwiedziła pobliski kościół, a stary ksiądz przypomniał sobie kobietę zmarłą podczas porodu, szlachciankę, nie z jego parafii. Została pochowana na cmentarzu. Katharina odszukała nagrobek: data śmierci kobiety była też rocznicą narodzin dziewczyny. Nazwisko kobiety brzmiało von Grünewald.

Kłęcząc przy grobie, usiłowała wykrzesać w sobie uczucie do zmarłej kobiety, ale nie mogła. Rozpacała nad utratą szwaczki, to ona była jej prawdziwą matką. Tu jednak spoczywały prochy kobiety, która dała jej życie, i Katharina czuła, że budzi się w niej coś nowego. Gdy położyła dłonie na nagrobku Marii von Grünewald, zmarłej w wieku dwudziestu sześciu lat, poprzysięgła odnaleźć swojego ojca – męża tej biedaczki – i wbrew przeszkodom, które staną jej na drodze, połączyć się z rodziną.

Cały Badendorf o tym mówił. Katharina Bauer wyjeżdżała do Jerozolimy! Hans był z tego powodu bardzo nieszczęśliwy.

– Dlaczego musisz jechać? – pytał, kiedy wracali z ostatniego wspólnego spaceru po lasach otaczających Badendorf.

Oczywiście nie mogła jechać sama. Najpierw poprosiła Hansa, by jej towarzyszył, okazało się to jednak niemożliwe; był niezbędny w wytwórni kufli. Potem zaproponowała to bratu Pastoriusowi, ale biedak miał zbyt słabe zdrowie na taką podróż, choć marzył o odwiedzeniu świętego miasta. W końcu udała się po radę do doktora Mahmuda. Stwierdził, że Katherina musi poznać ojca i złożyć mu wyrazy szacunku. Dodał, że od dłuższego czasu myślał o wyjeździe do Kairu, bo tam właśnie pragnął umrzeć. Nie powinien odkładać tego na później, jest już starym człowiekiem. Zdecydowali zatem, że wyjadą razem.

– Złożyłam obietnicę, Hans. Muszę odnaleźć swoją rodzinę.

– Ja jestem twoją rodziną. Kiedy za mnie wyjdiesz... Ujęła go za rękę i ze smutnym uśmiechem powiedziała:

– Tak, wiem, Hans. Ale ojciec zamierzał po mnie wrócić. Może stało się jakieś nieszczęście, skoro tego nie zrobił. W snach – widzę, jak siedzi w więzieniu, zapomniany i samotny, albo choruje w odległej wiosce. Muszę go odnaleźć. Jestem mu to winna. I matce. Obu moim matkom. Kiedy to załatwię, wrócę do ciebie.

Pani Roth, według której żadna dziewczyna nie była dość dobra dla jej syneczka i która z niechęcią obserwowała zaręczyny przy ołtarzu, żywiła skrytą nadzieję, że Hans nigdy się nie ożeni. Wszyscy wiedzieli, że pan Roth cierpi na dolegliwości sercowe, a jego małżonka, kobieta

w pełni sił i o żelaznej woli, najprawdopodobniej przeżyje go o wiele lat. Nie miała najmniejszego zamiaru zostawać sama, a już na pewno nie na łasce przyszłej synowej – do tego córki biednej szwaczki (pani Roth ani przez moment nie wierzyła w historyjkę o bogatym szlachcicu).

– Katharina musi jechać, synu – odezwała się najmilej jak potrafiła. – Powinna być ze swoim ojcem.

– Obiecuj, że do mnie wrócisz – błagał Hans tak żarliwie, że dziewczyna poczuła się zawstydzona. – Zrób, co trzeba, znajdź ojca, pogódź się ze swoją przeszłością. A potem wróć i zostań moją żoną.

Do dwóch zatem ważnych obietnic złożonych matkom – jednej przy łożu śmierci, drugiej przy grobie – Katharina dodała trzecią: że wróci do Badendorfu i zostanie żoną Hansa Rotha.

Całe miasteczko poszło odprowadzić Katharine, gdy wraz z kupiecką wyprawą wyruszała w daleką drogę. Pani Roth pokazywała wszem i wobec woreczek pełen srebrnych talarów i fenigów, który zamierzała na pożegnanie podarować przyszłej synowej. Wszyscy zaglądali do sakiewki i chwalili hojność pani Roth. Ale kiedy nikt nie patrzył, usunęła połowę monet, ukryła je i podała dziewczynie woreczek znacznie lżejszy.

Olbrzymią kupiecką karawanę tworzyli kupcy i właściciele towaru. Wspólnymi siłami strzeżli swych dóbr: futer i bursztynu z północnego wybrzeża, które na południu zamierzali wymienić na egzotyczne owoce, oliwę i przyprawy. Karawanę ubezpieczali wynajęci żołnierze, jadący po obu stronach olbrzymich wozów ciągniętych przez masywne konie. Po drodze płacono haracz bandytom, by odstraszać innych rabusiów. Do takich karawan dołączali zwykli podróżni, bo był to jedyne w miarę bezpieczny sposób podróżowania.

Katharina i doktor Mahmud mieli wyruszyć z najnowszym transportem kufli pana Rotha. Hans podarował dziewczynie na pożegnanie wyjątkowy kufel, zrobiony i pomalowany przez samego ojca: widniał na nim górski krajobraz, a na jego tle Badendorf. Brat Pastorius, zaczerwieniony z zakłopotania, także dał Katharinie prezent: płaski skórzany woreczek na rzemyku, impregnowany olejem i woskiem, przeznaczony do noszenia pod ubraniem. Znakomicie się nadawał na miniaturę świętej Amelii.

Długa na półtora kilometra karawana z Antwerpii przez Norymbergę, finansowe centrum Europy, wreszcie wyruszyła. Podążała jedną z najbardziej popularnych tras handlowych, miała przybyć w Alpy latem, gdy górskie przełęcze będą przejezdne. Tak zwany Bursztynowy Szlak używany był na długo przed podbiciem Europy przez Rzymian, tysiące lat wcześniej. Już w epoce kamiennej ludzie z odległej północy zbierali cenny bursztyn i transportowali go znad Morza Północnego na wybrzeże Morza Śródziemnego i Adriatyku. Rzymskie legiony zbudowały drogi i mosty, co umożliwiło im przeprawę przez Alpy. Krucjaty i nagła popularność pielgrzymek w średniowieczu przyczyniły się do zwiększenia ruchu na trasie. Katharina i doktor Ma-



hmud wtopili się w tłum kupców, wędrowców, pielgrzymów, żebraków, włóczęgów, rycerzy, nawet królewskich pocztowców. Była to barwna procesja: mężczyźni grali na fletach, kobiety niosły chleb i niemowlęta, dzieci uganiały się za psami, hałaśliwe grupki ciągnęły skrzypiące wozy, furgony i platformy. Niektórzy jechali konno, większość jednak podróżowała pieszo, na rozstajach dróg jedni odchodzili, inni dołączali do karawany. Podróż opóźniały liczne postoje. Na każdej granicy należało okazać dokumenty i udowodnić, że podróżny nie cierpi na zarazę. Nocne popasy urządzano albo na otwartej przestrzeni, albo w prymitywnych oberżach, które żądały niebotycznych opłat. Na alpejskich przełęczach pomagali im miejscowi górale.

Katharina traktowała tę wędrowkę jak wspañiałą przygodę. Podobało się jej podróżowanie pod ochroną bogatych kupców, którzy wynajmowali łuczników do obrony oraz jazda krytym wozem, służącym również za sypialnię. Wieczorami przy ognisku doktor Mahmud uczył ją swego ojczystego języka – znajomość arabskiego mogła być atutem w Ziemi Świętej. Opowiadał historie z młodości, mówił o złocistym owocu z Hiszpanii, zwanym pomarańczą i o daktylu, pożywnym owocu z Egiptu. Dziewczyna nigdy nie próbowała tych specjałów.

Względnie łatwa droga na południe dobiegła końca. Katharina i doktor Mahmud musieli pożegnać towarzyszy podróży w Mediolanie, bo agencja transportowa Rotha mieściła się w Genui i tam podążyła cała karawana. Poradzono im, by nie płynęli z Genui – wydłużyłoby to podróż o kilka tygodni, poza tym mogli zostać zaatakowani przez piratów ze śródziemnomorskiego wybrzeża Afryki. Przyłączyli się zatem do karawany kupieckiej wiozącej francuskie tkaniny, by wymienić je w Wenecji na szkło, z którego słynęło to miasto, a potem szli żyzną równiną rzeki Pad, aż skręcili na północ do Padwy, a stamtąd na wybrzeże Adriatyku. Z Badendorfu do Alp podróżowali wśród przyjaciół, teraz znaleźli się między obcymi i trzymali na uboczu. Doktor Mahmud już dawno temu zrozumiał, że milczenie pomaga przeżyć. Nigdy nie zdradzał, że jest muzułmaninem, jego współwyznawcy nie byli zbyt lubiani, zwłaszcza bliżej Morza Śródziemnego, gdzie władali znieawidzeni Turcy.

Wenecja wprawiła ich w zdumienie. Po drodze mijali duże miasta, w tym zachwycającą Norymbergę, żadne jednak nie mogło się równać z Wenecją. Katharina nigdy nie widziała tak płaskiego terenu. W pobliżu nie było żadnej góry, nawet pagórka; ludzie żyli między kanałami, podróżowali w małych łodziach z dziwnie wygiętym dziobem; mieszkańcy Wenecji ubierali się bardziej strojnie niż ci z miast na północy. Szlachcianki chodziły w butach na koturnie i nie zakrywały włosów, jak w Niemczech, lecz z dumą podkreślały urodę loków i pukli za pomocą złotych siatek i wstążek. Mężczyźni też nosili długie włosy, zwłaszcza młodzi; wydawali się jej nieco zniewieściami. Nie było jednak nic kobiecego w wymownych spojrzeniach, które jej rzucali. Jej loki także wzbudzały poruszenie. Ich piękna złocista barwa w Badendorfie nie była niczym niezwykłym, na południu jednak wydawała się wyjątkowa. Widywano tu kobiety o jasnych włosach, ale farbowanych, Katharina przyciągała więc często pełne podziwu spojrzenia niezna-

mych mężczyzn. Trzymała się blisko doktora Mahmuda, pilnując dobytku. Wreszcie dotarli do portu na wielkiej lagunie.

Szli po wąskich uliczkach, pokonując kanały. W jednej z przepysznych rezydencji odbywało się właśnie wesele. Młoda para radośnie rzucała z balkonu jedzenie w tłum zgromadzony na ulicy: Katharina łakomie patrzyła na pieczone bażanty, złociste bochny chleba, kandyzowane owoce i słodkie migdały. Udało im się złapać mały krążek sera oraz kiść fioletowych winogron, które zjedli podczas wędrówki do portu. Jak się później przekonali, takie demonstracje bogactwa i przepychu nie były rzadkością w tym mieście. Okazało się również, że Wenecjanie sami wymierzają sprawiedliwość. Za rogiem doktor Mahmud i Katharina natknęli się na rozwścieczony tłum, który chwilę wcześniej pochwycił dwóch mężczyzn. Klatki piersiowe ofiar otwarto, a ich parujące serca przybito do drzwi pobliskiego kościółka. Jeden z gapiów powiedział Katharinie, że to zemsta. Ci dwaj tydzień wcześniej zamordowali seniora jednej z najpotężniejszych weneckich rodzin.

Dotarli wreszcie do portu. Tu natrafili na jeszcze bardziej zaskakujące widoki. Wśród lasu forkaszteli i masztów, żagli i olinowania na wodzie kołysały się karawele, galery, galeony, statki z osprzętem rejonowym i z żaglami łańskimi, statki kupieckie, jednostki wojenne, kajaki, bączki, szalupy, tratwy, nawet dwie zniszczone chińskie dżonki o czerwonych żaglach. Na nabrzeżu kłębiły się tłumy pielgrzymów zarówno chrześcijan, jak i muzułmanów, płynących w święte miejsca lub z nich powracających. Byli tu żeglarze wszystkich flot, kupcy, uczeni, żołnierze, skromna załoga statków i robotnicy portowi niosący na pokład bele, beczki, zwierzęta i rozmaite towary. Zewsząd dobiegały nieznane języki, unosiły się tysiące dziwnych zapachów. Katharina zobaczyła też dziwny sklep zwany księgarnią. Miała już do czynienia z drukowaną księgą – kościół w Badendorfie szczylił się tym, że jego Biblię wydrukowano na prasie drukarskiej – ale nigdy nie widziała aż tylu woluminów naraz: chyba ponad czterysta w jednym miejscu!

Dziewczyna nigdy nie śniła o podróżach i przygodach, spadło to na nią nieoczekiwanie. W jej duszy walczyły ze sobą smutek i radość. Opłakiwała utratę matki, rozstanie z miastem i Hansem, a jednocześnie nie mogła się doczekać, kiedy pozna prawdziwą rodzinę. Człowiek nie może jednocześnie spoglądać za i przed siebie, a jednak tego właśnie doświadczała.

W biurach portowych nie na wiele się zdały arabski i nieco już zapomniany hiszpański doktor Mahmuda, ale niemiecki i łacina Kathariny pozwoliły im się porozumieć. Niestety, każdy im odmawiał: jedni kapitanowie nie chcieli zabrać muzułmanina, drudzy kobiety, jeszcze inni muzułmanina i kobiety. Dla żeglarza przesady były częścią życia: jeśli poganin nie zatopi statku, na pewno uczyni to kobieta.

Dzień miał się ku końcowi, a w nich gasła nadzieja. Doktor Mahmud zasugerował, żeby znaleźli kwatery na noc, a rano spróbowali od początku.

Właśnie wtedy Katharina spostrzegła nieznanego. Różnił się od innych na nabrzeżu, nie

umiała jednak sprecyzować czym. Chyba był szlachcicem, miał na sobie biały, sztywny kaftan, niebieskie bufiaste spodnie i pończochy. Nosił dziwną starodawną białą pelerynę z niebieskim krzyżem o ośmiu wierzchołkach, jakby należał do jakiegoś zakonu. Miał starannie przystrzyżone brązowe włosy i brodę nad białą krezą, był wysoki i dobrze zbudowany. Elegancki miecz zwisał mu z pasa na lewym biodrze. Nieznajomy wyglądał na bogatego człowieka. Było coś dziwnego w jego spojrzeniu, otaczała go aura tajemnicy, a może tęsknoty, która wzbudziła zainteresowanie Kathariny. Odwrócił się nagle, a dziewczyna dostrzegła smutek w jego oczach. Prześladuje go jakieś nieszczęście – pomyślała, sama tym zdumiona. W Badendorfie nie zwracała uwagi na obcych, a już na pewno nie zastanawiała się nad ich uczuciami. Temu człowiekowi udało się jednak wzbudzić jej ciekawość, nie miała pojęcia dlaczego.

Odwróciła się do doktora Mahmuda, by spytać, co dalej. Nagle wyrosli przed nimi jacyś zbójce. Odepchnęli podróżnych i odbiegli z ich bagażem. Katharina krzyknęła, a padając, pociągnęła za sobą starszego towarzysza.

Człowiek w pelerynie natychmiast ruszył w pogoń.

– Stać, szubrawcy! – zakrzyknął, dogonił ich i złapał za kołnierze. Złodzieje porzucili łup, wyrwali się i zniknęli w tłumie.

– Jesteś ranna, pani? – spytał nieznajomy Katharine, zwracając się do niej po łacinie, w uniwersalnym języku chrześcijańskich podróżnych.

– Nic nam nie jest, dziękujemy, panie – odparła. Brakowało jej tchu, ale sprawiła to raczej bliskość nieznajomego niż atak zbójów.

– Jestem don Adriano z Aragonii, rycerz Bractwa Maryi. Czy to Turek? – Ruchem głowy wskazał na doktora Mahmuda.

Katharina wpatrywała się w nieznajomego. Z bliska robił jeszcze większe wrażenie. Nie tyle był przystojny, ile miał interesującą twarz. Bez wątpienia otaczała go aura tajemniczości.

– Doktor Mahmud pochodzi z Hiszpanii, jak ty, panie. To nie zrobiło na nim wrażenia.

– Dokąd zmierzacie?

– Do Hajfy, a potem do Jerozolimy.

Przyjrzał się uważnie dziewczynie o włosach jak czyste złoto i naiwności nowo narodzonego dziecka. Co robiła w towarzystwie starego Araba, po co zmierzała do Jerozolimy? Nic by go to nie obeszło, gdyby nie była chrześcijanką zmierzającą do Ziemi Świętej, a on poprzysiągł pomagać pielgrzymom.

– Mogę zabrać cię do Hajfy, pani – powiedział i szybko dodał: – Ale tylko ciebie. Starca nie.

– Nie zostawię doktora Mahmuda!

Don Adriano ze zdumieniem usłyszał w jej głosie pasję, ujrzał ją w przejrzystych zielonych oczach. Dziewczyna z pewnością nie była spokrewniona ze starcem, co zatem ich łączyło? To go zaintrygowało. Rodzina don Adriana walczyła, by wyrzucić Maurów z Hiszpanii. Jego ojciec

zginął w bitwie z muzułmanami. Bractwo, do którego należał, z siedzibą w fortecy na Krecie, poświęciło się odebraniu Ziemi Świętej z rąk barbarzyńskich muzułmanów i przywróceniu w niej chrześcijaństwa.

Skoro jednak ślubował wspierać wszystkich chrześcijańskich pielgrzymów... A niechże starzec wlecze się z nimi. On, Adriano, nie zamierzał brać za niego odpowiedzialności.

– Czekaście – polecił i odszedł, a jego biała peleryna z niebieskim krzyżem powiewała na wietrze. Za chwilę rozmawiał z kapitanem statku. Pertraktacje miały chyba burzliwy przebieg, bo kapitan raz po raz przecząco kręcił głową. Don Adriano, imponujący wzrostem, posturą i godnym wyglądem – bez wątpienia wszyscy się z nim liczyli – w końcu jednak postawił na swoim i kapitan niechętnie wyraził zgodę.

Hiszpan wrócił do swoich podopiecznych:

– Przekonałem kapitana, że zabranie na pokład muzułmanina może być dobrym posunięciem, gdybyśmy napotkali piratów z Afryki. Nie tkną oni żadnego ze swoich świętych mężów ani jego towarzyszy. Pomogło też to, że twój przyjaciel, pani, jest lekarzem. Załoga nie zechce jednak kobiety na pokładzie. Żeglarze to przesądny naród. W razie kłopotów ciebie obarczą winą, señorita. Jest tylko jeden sposób, żebyś mogła dostać się na pokład. Musisz się przebrać.

– Przebrać? Jak?

– Będziesz podróżowała jako wnuk starca.

Don Adriano zabrał podróżnych do małej tawerny i tam pozostawił, dając właścicielowi florena. Wkrótce powrócił, zaprowadził Katharine i doktora Mahmuda w ciemny zaułek, upewnił się, że nikt ich nie widział, i wręczył dziewczynie butlę cuchnącej czarnej pasty.

– Dzięki temu twoje włosy zbrązowieją – powiedział.

Katharina wsmarowała czernidło w skórę głowy i w długie włosy.

Doktor Mahmud poszperał w podróźnej torbie i wyciągnął dżalabiję, długą egipską szatę, która bezkształtnie wisiała na ciele. Z szala Kathariny zrobił skromny turban, by nakryć jej świeżo ufarbowane włosy, które ściągnęła na czubku głowy, upychając pojedyncze kosmyki pod materiał. Przebrała się i wyszła zza stosu beczek. Mahmud uważnie zmierzył ją wzrokiem. Piersi dziewczyny odznaczały się pod szatą, wyciągnął więc z apteczki zwój bandaży, wręczył go Katharinie i kazał jej jak najmocniej obwiązać sobie klatkę piersiową, a sam odwrócił się dyskretnie.

Wrócili na nabrzeże. Don Adriano zmierzał już w ich stronę. Spojrzał na Katharine i otworzył usta ze zdumienia. Była tak smukła i wysoka, tak dobrze było jej w męskiej egipskiej szacie, że z powodzeniem mogła uchodzić za chłopca.

Kupił butle z wodą, bochny chleba, trójkątne kawały sera, owoce i pasy suszonej wołowiny – pasażerowie sami musieli dbać o wyżywienie. Gdy wchodzili na trap – starszy muzułmanin, jego wnuk i chrześcijański rycerz – słońce zniknęło za horyzontem, a marynarze szykowali się do wyj-

ścia w morze.

Mieli płynąć portugalskim statkiem, który niedawno przywiózł kość słoniową z Afryki, a teraz zmierzał do Indii z ładunkiem sztab miedzi dla kotlarzy w Bombaju. Mieli małe opóźnienie, bo kapitan zarządził dodatkowe prace przy załadunku. Należało poprawić rozmieszczenie towaru – gdyby przesunął się podczas podróży, mógł pociągnąć statek na dno. Wreszcie było tak jak trzeba. Wyruszyli. Kapitan poprowadził modlitwę załogi. Katharina słyszała niepokój w modłach marynarzy. Podróż przez ocean była najszybsza, ale też najbardziej niebezpieczna. Teraz dwaj chłopcy zagrali na fujarce i bębnie, marynarze zaś zajęli się linami i kołowrotami. Muzyka pomagała im w pracy. W końcu wypłynęli z laguny na otwarte morze. Katharina stała na dziobie, z twarzą zwróconą do wiatru. Jej myśl poszybowała ku rodzinie w nieznanym kraju. Miasteczko, które opuściła, wraz z jego mieszkańcami wydawało się tak odległe, jakby zostało na innej planecie.

Spali, jak marynarze, w hamakach rozpiętych między belami towaru w ładowni statku. Było tam tak ciasno, że posiłki spożywano na małym stoliku wciśniętym między dwie armaty. Toteż gdy dopisywała pogoda, troje podróżnych spędzało czas na pokładzie, na świeżym powietrzu.

Katharine ciekawił ich dobroczyńca. Don Adriano bez przerwy towarzyszył jej i doktorowi Mahmudowi, dając tym samym do zrozumienia, że są pod jego opieką, ale się z nimi nie bratał. Zauważyła, że nie jada mięsa ani nie pije wina. Czyżby wymagały tego reguły jego bractwa? Modlił się, klęcząc na jednym kolanie i trzymając przed sobą miecz, którego rękojeść przypominała krzyż. Przychodziło jej wtedy do głowy, że to głęboko religijny człowiek.

I smutny.

Miał twarz pooraną zmarszczkami. Początkowo sądziła, że świadczą o mądrości i doświadczeniu, ale chyba wyłobiło je cierpienie. I ta tęsknota, z jaką don Adriano godzinami wpatrywał się w morze. Co tam dostrzegał? Czego szukał? Obserwował zachód słońca, ciemniejące niebo i wschodzące na nim gwiazdy, jakby spodziewał się wyczytać jakąś wiadomość wypisaną w przestworzach. Okrywał się zasłoną milczenia jak peleryną, którą nosił. Czy chciał się od czegoś odgradzić, czy coś ukryć? Może jedno i drugie. Dotąd Kathariny nie interesowali inni ludzie. Nie ciekawiło jej, o czym myśli Hans, nigdy nie chciała poznać jego duszy. To, co widziała na powierzchni, wystarczało jej w zupełności. Nigdy nie zastanawiała się nad tym, że każdy człowiek kryje w sobie sekrety i namiętności. Teraz jednak nie mogła przestać myśleć o tym zagadkowym nieznanym, który z dnia na dzień wydawał się coraz bardziej nie z tego świata. Wciąż krążył po nieznannej krainie swej duszy.

Te przemyślenia ją zaskoczyły. Uderzyło ją, że rozumuje mądrze i wnikliwie obserwuje otoczenie jak dojrzały człowiek. No tak, przebyła setki kilometrów, widziała rozmaite miasta i poznała różnych ludzi, a teraz płynie po bezkresnym morzu. Nagle poczuła się dorosła. Uczciła

osiemnaste urodziny na Bursztynowym Szlaku, nie uważała się już za dziewczynę, lecz za kobietę. Cieszyło ją to, wierzyła, że o życiu wie już wszystko. Tyle przeszła w tak krótkim czasie utraciła matkę, poznała prawdę dotyczącą swoich narodzin i tożsamości. Zwiedziła kawał świata. Marzyła o Jerozolimie i spotkaniu z ojcem oraz resztą rodziny, wyobrażała sobie, jak wraca do Badendorfu, gdzie witają ją jak wyjątkową osobę, bywała w świecie i niezwykle mądrą. Opisie im dokładnie Jerozolimę, jej wspaniałe kościoły, pobożnych mieszkańców mówiących po łacinie i nieustannie odprawiających modły. Będzie najbardziej światową osobą w Badendorfie, do niej więc ludzie przyjdą po niejedną radę, nawet ojciec Benedykt, który cieszył się poważaniem dzięki podróży do Rzymu. Nigdy jednak nie był w Jerozolimie, po której chodził sam Jezus.

Mijały dni, przed nimi rozciągał się horyzont. Katharina okropnie cierpiała na chorobę morską, doktor Mahmud starał się ulżyć jej cierpieniom specjalnym medykamentem z imbiru. Dziewczyna czuła niepokój, gdy załoga spoglądała na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Statek wciąż płynął, a na horyzoncie nie pojawił się nawet skrawek ziemi. Katharine ogarnęło przygnębienie. Na pocieszenie często wyciągała miniaturowy obrazek ze skórzanego woreczka od brata Pastoriusa, który nosiła pod egipską szatą. Siedząc na pokładzie z podciągniętymi kolanami i obejmując dłońmi miniaturę, wpatrywała się w niebieski kryształ. Dlaczego ojciec opuścił małą córkę, by go odnaleźć? Czy znalazł kamień, czy moc klejnotu usunęła z jego pamięci wszystkie wspomnienia? Czy zapomniał o swoim zobowiązaniu?

Żałowała, że nie może przynajmniej potrzymać kufla, подарowanego jej przez Hansa. W tym nieznanym i budzącym niepokój otoczeniu czerpałaby pociechę ze znajomego przedmiotu. Kufel jednak był zapakowany wraz z jej ubraniem, tkwił między fałdami spódnic i sukienek, szali i chust. Wiedziała, że go nie zobaczy, dopóki nie odzyska swoich rzeczy już w Jerozolimie. Może w domu ojca? Napiją się razem z kufla, a jej ojciec, niemiecki szlachcic zmuszony do życia z dala od domu, zaszlocha na widok tak pięknego naczynia.

Tydzień po wypłynięciu z Wenecji natrafili na sztorm.

Połowa żeglarzy chciała podnieść grot-żagiel, druga połowa twierdziła, że to nieodpowiedni moment, bo wiatr się nasila. Rozgorzała dyskusja; zdecydowali w końcu, że podniosą grot, ale było już za późno, płótno pękło na dwie części. Zgaszono ogień w piecu kuchennym i lampy. Zagrzmiało, błyskawica rozświetliła niebo, lunął ulewny deszcz. Wiatr się wzmaczał. Grotmaszt runął ze straszliwym skrzypieniem. Marynarze padli na kolana i zaczęli wznosić głośne modły. Gigantyczne fale wdarły się na pokład. Beczki i bele toczyły się po nim, aż w końcu wypadły za burtę. Statek zniknął na chwilę pod wodą, ale zaraz się wyłonił. I tak wielokrotnie zanurzał się i wypływał, a jego załoga oraz pasażerowie próbowali za wszelką cenę wyjść z tego z życiem.

Katharina przebudziła się na piaszczystym brzegu w przemoczonym ubraniu. We włosach miała wodorosty. Niebo było szare, ale deszcz nie padał. Ocean wyglądał jak kipiący płynny me-

tal, pokryty gdzieś białą pianą. Drewniane deski i kawałki żagla pływały na falach. Katharina ujrzała na wydmach resztki statku i ładunku. Nigdzie jednak nie widziała ludzi. Podniosła się i rozejrzała dookoła. Gdzie statek? Gdzie załoga?

– Doktorze! – krzyknęła. Odpowiedziało jej jedynie drwiące wycie wiatru. Chwiejnym krokiem, w porwanej dżalabiji, szła po plaży. Nagle natrafiła na zwłoki. To był kapitan, kraby już urządziły sobie na nim uczę. Znalazła resztki drewnianej skrzyni, prawie pustej. Z piachu wystawała biała skorupa. Był to fragment kufła podarowanego jej przez Hansa. Wciąż odrętwiała, ścisnęła w dłoni mały owal – miniaturowy obrazek przedstawiający ukryty w górach Badendorf.

Naprzeciw niej brnęła po piachu postać w rozwianej pelerynie. Don Adriano! Katharina popędziła przed siebie, wymachując rękami, wrzeszcząc w niebogłosy i potykając się o skraj podartej dżalabiji.

– Bogu niech będą dzięki! – wykrzyknął na jej widok. Szlochając, padła w jego ramiona. Owinął ją wilgotną peleryną; płakali roztrzęsieni, aż don Adriano pociągnął ją na piach i na kolanach wspólnie odmówili modlitwę dziękczynną za jej ocalenie.

– Gdzie jesteśmy? – spytała popękanymi od soli wargami. Zmrużył oczy, patrząc na ponury ocean i odległy horyzont.

– Nie mam pojęcia, señorita.

– Widziałeś doktora Mahmuda, panie?

Jego oczy pełne były smutku, gdy mówił:

– Poszedł na dno. Próbowalem go ratować, ale było za późno. Przykro mi.

Znowu wybuchnęła płaczem, siedząc na piasku i obejmując rękami kolana. Don Adriano nakrył ją peleryną i zaczął szukać suchego drewna na ogień.

Przypomniała sobie o obrazku ze świętą Amelią. Krzyknęła z radości, kiedy znalazła go w wodoodpornym woreczku na szyi. Wyciągnęła miniaturę, by przyjrzeć się jej w świetle płomieni z ogniska; poczuła nieśmiałą nadzieję na widok Amelii i niebieskiego kryształu.

Adriano zbadał okolicę. Wylądowali na maleńkiej, skalistej wysepce. Nie było tu ani roślinności, ani dzikich zwierząt. Znalazł jednak na łądzie beczułki z wodą ze statku i wystarczająco dużo suchego drewna, by ogień nie wygasł. Wspólnie szukali krabów i innych skorupiaków, które przyrządzali na gorących kamieniach i mokrych wodorostach.

Niebo pociemniało. Słońce zachodziło, a nad ocean nadpływała mgła. Don Adriano dołożył do ognia, który po chwili buchnął płomieniami. Katharina patrzyła jak zhipnotyzowana. Wciąż wyobrażała sobie doktora Mahmuda w ostatnich chwilach jego życia: z przerażeniem na twarzy potoczył się za burtę, a turban spadł mu z głowy... Myślała o ich wielotygodniowej podróży, o jego łagodnej cierpliwości, o wszystkim, czego ją nauczył. Miała nadzieję, że przekona go, by pozostał wraz z nią w Jerozolimie, zamiast jechać do Kairu. Był jej taki bliski. Znowu czuła żal po stracie matki, choć wydawało się jej, że już się z tym uporała. Nowa śmierć odnowiła jednak

dawny ból i Katharina, szlochając z twarzą ukrytą w dłoniach, opłakiwała nie tylko doktora Mahmuda, ale także Isabellę, swoją prawdziwą matkę oraz załogę i kapitana portugalskiego statku.

Przez lalka następnych dni morze wyrzucało na brzeg ciała załogi, a ocalała para urządzała im chrześcijańskie pogrzeby. Adriano coraz częściej milczał, rozpacz i żal Kathariny narastały. Pewnego ranka natrafiła na zwłoki jednego z chłopców, którzy przygrywali marynarzom przy pracy, i poczuła, że dłużej nie wytrzyma. Jej ocalenie to przypadek, powinna była pogrążyć się w odmętach wraz z doktorem Mahmudem! Weszła do wody i zanurzała się coraz głębiej, czekając, aż litościwa fala zabierze ją na dno.

Adriano popędził za nią. Szamoczącą się wyciągnął z wody i rzucił na piasek. Po chwili złapał dziewczynę za ramiona i przemówił żarliwie:

– Nie znamy boskich zamiarów. Nawet nie wolno nam się ich domyślać. Musimy tylko spełniać rozkazy Boga. Nie znam powodu, dla którego nas ocalił, señorita. Ale poddanie się rozpaczcy to sprzeciwienie się woli bożej. Dla niego musisz zostać przy życiu.

Była to najdłuższa przemowa, jaką wygłosił od wielu dni. Wypowiedzenie na głos tych słów najwyraźniej przywróciło mu siły.

Katharina długo płakała i choć nadal czuła, że powinna była utonąć wraz z doktorem Mahmudem, więcej nie próbowała się topić. Niewiele jadła i piła, wieczorami wędrowała po wąskiej plaży, myśląc, że ona i Adriano równie dobrze mogliby już nie żyć.

Spali razem, by nie marznąć. Pewnego ranka Katharina podźwignęła się i w bladym świetle poranka przyjrzała twarzy śpiącego rycerza. Piach i kryształki soli przywarły do jego gęstych brwi i starannie przystrzyżonej brody. Jakie męczące sny rozgrywały się pod tymi powiekami? Jaka namiętność pozwoliła mu przetrwać i do tego ją uratować? Wiedziała, że bez Adriana z pewnością targnęłaby się na swoje życie. Kiedyś obudziła się w nocy z krzykiem, a on ją przytulał i pocieszał. Krzyczała, bo śniła, że tonie.

Po raz pierwszy od wielu dni poranek przyniósł słońce, chmury się rozstały, a ocean lśnił. Adriano złowił kilka ryb na przybrzeżnej mieliźnie, Katharina znalazła jeszcze jedną beczkę z wodą. Jak długo przeżyją na wyspie, na której nie rośnie ani jedno drzewo?

Mieli owoce morza, ale nic więcej. Nie gnieździły tu żadne ptaki, w skalistych szczelinach nie rosła żadna roślinność. A czy to właściwe, żeby mężczyzna i kobieta żyli razem bez sakramentu małżeństwa? Czy Kościół brał pod uwagę rozbitków podczas wyliczania grzechów?

Kolejny zachód słońca przyniósł im rozczarowanie. Sztorm zepchnął statek z dala od kursu i innych przepływających jednostek. Adriano wreszcie przemówił.

– Po co zmierzasz do Jerozolimy, pani? – zapytał, rozpalając ogień. Zaplatając długie włosy, które, o dziwo, wciąż były brązowe, opowiedziała mu całą historię, kończąc słowami:



– Szukam więc swojego ojca.

– Mimo że cię porzucił?

– Na pewno tego nie chciał. Zamierzał po mnie wrócić.

– A ten młody człowiek, o którym wspomniałaś, Hans Roth? Mogłaś za niego wyjść i żyć w dostatku. Nie boisz się, że to wszystko stracisz?

Popatrzyła na niego spokojnie.

– Mój ojciec może być ranny albo wpadł w ręce okrutnych ludzi. Mam obowiązek go odnaleźć.

To mu dało do myślenia. Prawdę mówiąc, stosunek Adriana do płci odmiennej był pełen goryczy. Kochał w życiu tylko jedną kobietę, a kiedy go zdradziła, postanowił nie ufać żadnej niewieście. Został członkiem Bractwa Maryi i ślubował celibat, po czym wyrzucił kobiety ze swych myśli.

Katharina wskazała na niebieski krzyż na piersi jego białego kaftana.

– Jesteś księdzem, panie? – zapytała.

Spojrzał na nią z niepokojem, ale po chwili na jego obliczu zagościł uśmiech.

– Nie, señorita, nie jestem księdzem, tylko sługą bożym. – Umilkł i zapatrzył się na płomień. Po chwili rzekł: – Zabiłem człowieka, który nie był moim wrogiem, i zniszczyłem życie pewnej kobiety. Dniem i nocą leżałem krzyżem przed ołtarzem, prosząc Błogosławioną Dziewicę o znak. Wysłuchiła mnie. Miałem wizję. Przyszła do mnie i powiedziała o bractwie pragnącym przywrócić jej tron w Ziemi Świętej. Wstąpiłem do niego dwadzieścia lat temu, teraz służę zarówno bractwu, jak i Maryi. – Znowu popatrzył na Katharine. – Kim był starzec, którego zwiesz Mahmudem?

– Kiedy matka zmarła, zostałem moim opiekunem.

– Poganin?

– Wierzył w Boga i modlił się. Częściej niż my. Doktor Mahmud jest dobrym człowiekiem. – Jej oczy napełniły się łzami. – Był – poprawiła się cicho.

Don Adriano miał własne zdanie na temat dobrych ludzi i bezbożników, ale się z nim nie zdradzał. Jakież z niej było niewinne dziecko, skoro ruszyła w świat tylko pod opieką niedołęznego starego poganina. Don Adriano poczuł drgnienie w sercu, pierwszy raz, odkąd kobieta o imieniu Maria złamała mu życie i poprzysiągł, że nigdy więcej nie pokocha.

Upomniał sam siebie i odwrócił wzrok. Myśli o kobietach nie miały prawa pojawić się w głowie człowieka na religijnej krucjacie.

Katharina obserwowała iskry wznoszące się ku obojętnym gwiazdom. Dopadły ją wspomnienia: matka opowiadająca historie o Raszpunce i Czerwonym Kapturku. Spacer w śniegu. Wieczór, w którym Isabella odniosła klientce haft i wróciła do domu ze strudłem prosto z pieca. Jaką miały wtedy wspaniałą ucztę! Spały razem w zimne noce, a Katharina patrzyła na padający

za oknem śnieg, bezpieczna i kochana. Rozgarnęła popiół i powiedziała cicho:

– Moja matka mogła zabrać złoto i zostawić mnie w gospodzie, a dzięki tym pieniądzom znaleźć bogatego męża. Nie zrobiła tego. Wzięła mnie ze sobą, wychowała i obdarzyła miłością. Głodowała, choć miałyśmy złote monety w izbie. Poświęciła się, by oszczędzić je dla mnie, a teraz utonęły w oceanie. Zawiodłam ją.

Adriano z powagą pokiwał głową.

– Matka pierwsza nas kocha, i my kochamy ją pierwszą. Ojciec zawsze jest na drugim miejscu. – Utkwił wzrok w horyzoncie.

– Służę Bogu, ale kocham Maryję, jej poświęciłem swoje życie i duszę. – Ponownie spojrzął na Katharine. – Czuję tak samo jak ty, że zawiodłem swoją matkę. Ale opuścimy tę wyspę, señorita. Nie umrzemy tutaj.

Katharina popatrzyła na nagie skały za nimi, urwiste, ciemne i groźne. Nic tu nie rośnie, nic nie żyje, jak my mielibyśmy przetrwać? – pomyślała. Potem zerknęła na Adriana. Ten człowiek miał w sobie wiarę apostoła.

Dziewczyna spała, a Adriano czuwał. Spoglądał w czarne morze, wypatrując niebezpieczeństw, które się w nim kryły. Nie powiedział jej, że choć przeżyli katastrofę statku, wciąż mieli powody do obaw: zagrażali im piraci albo osmański statek. Czekaliby ich – bezbronną dziewczynę i chrześcijańskiego rycerza – ponury los. Tak czy owak, modlił się i czerpał nadzieję z ufności w Bogu, licząc na to, że wenecki statek przyplynie tu pierwszy.

Nie znaleźli ich piraci ani Turcy, tylko załoga greckiej karaweli, jednego z wielu statków do wynajęcia, która pływała po Morzu Śródziemnym w nadziei na znalezienie czegoś, co można przehandlować. Ten kapitan sprzedawał niewolników na dwór sułtana. Dziewictwo dziewczyny przyniesie mu z pewnością zysk, zagroził więc, że zabije każdego z załogi, kto się do niej zbliży. Postanowił też dowieźć w dobrym stanie don Adriana – Turcy lubowali się w poddawaniu chrześcijańskich rycerzy wyrafinowanym torturom.

Zamiast więc płynąć na wschód do Jerozolimy i niebieskiego kryształu świętej Amelii, Katharina zmierzała na północ, do Konstantynopola, centrum Imperium Osmańskiego.

Dokąd nas zabieracie? Błagam, muszę płynąć do Jerozolimy. Jeśli chcecie pieniędzy, mój ojciec...

Nikt nie słuchał prośb Kathariny. Spętana i sponiewierana, kuliła się, modląc, by Adriano był bezpieczny, a koszmar dobiegł końca.

Grecka karawela zatrzymywała się na nieznanach wysepkach w poszukiwaniu wody pitnej. Spętana łańcuchami, niepewna, co ją jeszcze czeka, Katharina nie wiedziała, czy dziękować Bogu za szczęśliwy obrót spraw, czy też przeklinać swój pech. W końcu nie byli już rozbitkami, za to znaleźli się na statku niewolników. Ale gdyby nie przepływała tamtędy grecka karawela, być

może Kathariny i Adriana nigdy by nie odnaleziono i umarliby w końcu na skalistej wysepce.

Cumująca w Konstantynopolu karawela była wypełniona ludźmi, od dzieci po starców, rozmaitych narodowości i języków. Jej załoga porywała, kradła i kupowała niewolników dla sułtana. Podczas podróży Katharina tkwiła pod pokładem, jak inni, w ciemnej, cuchnącej ładowni. Dostawała niewiele do jedzenia i picia, odcięto ją od świata zewnętrznego. Wciąż cierpiała na chorobę morską i była pewna, że lada chwila umrze. Nie widziała Adriana, dopóki nie wyciągnięto ich na światło dzienne w zatłoczonym porcie. Słońce ją raziło, ale zauważyła, jak skutki kajdana mi stoi w rzędzie udreńczonych mężczyzn. Adriano wyróżniał się wzrostem i postawą. Był na wpół nagi i zmaltretowany, ale trzymał głowę wysoko. Pomagał innemu nieszczęśnikowi, który się potknął. Katharina usiłowała ściągnąć na siebie uwagę rycerza, ale pogoniono ich batami w różne strony i jej opiekun zniknął w hałaśliwym, barwnym tłumie.

Słońce i świeże powietrze nie otrzeźwiły Kathariny. Jej ufarbowane włosy zmatowiały i były pełne robactwa, dżalabija poplamiona wymiocinami. Dziewczyna potykała się na kocich łbach, wlokąc się wśród szlochających i jęczących towarzyszek niedoli. Doszły do Cesarskiej Bramy, imponującego białego łuku mniej więcej trzysta metrów od hipodromu i zamienionej na meczet bazyliki Hagia Sophia. Na rozwieszony nad bramą sznur nanizano głowy przestępców, by gniły jako ostrzeżenie dla ludu. Przez to olbrzymie wejście płynęły tłumy rozmaitych ludzi, od wysokich rangą dygnitarzy do najniższych Idas – muzułmanów i chrześcijan, obywateli miasta i cudzoziemców – a wszystkich obserwowali brutalni strażnicy uzbrojeni w bułaty, włócznie i łuki.

Poganiane batami, szlochające dziewczęta i kobiety wepchnięto na mniejszy dziedziniec, strzeżony przez wielkich, czarnych mężczyzn z pikami. Tam pojmane rozebrano; drżały nagie pod błękitnym niebem. Katharina chciała zaprotestować. Zabrano jej skórzany woreczek z miniaturą świętej Amelii i skorupę z widokiem Badendorfu. To były jej Niemcy, kawałek naczynia z niemieckiej gliny, wykonany niemiecką ręką i pomalowany z niemiecką miłością. Niezależnie od tego, gdzie była, jej serce pozostało w ojczyźnie. Teraz jednak go jej zabrano, razem z obrazkiem, dzięki któremu rozpoznałby ją jej ojciec. Jak miała to odzyskać?

Nagle podeszła do nich piękna kobieta, chwiejąc się na bardzo wysokich koturnach. W dziwnym, stożkowym nakryciu głowy przerastała wszystkich wokół. Przystawała przed każdą pojmaną kobietą, pytając:

– Wierna czy niewierna?

Słuchała cichych odpowiedzi, a potem przyglądała się pobieżnie niewolnicy i rzucała krótkie słowo: „kuchnie”, „pralnia”, „koszary”, „targ niewolników”. Katharina szybko zorientowała się, że te, które podawały się za wierne, dostawały pracę w pałacu, inne zaś wysyłano na targ niewolników, lub co gorsza do pobliskich koszar, by tam służyły zaspokajaniu żądzy żołnierzy.

Zanim kobieta zdążyła zadać jej pytanie, Katharina wykrztusiła:

– *La illaha Ula Allah!* – Nie ma Boga nad Allaha. – Tej najważniejszej muzułmańskiej modlitwy nauczyła się od doktora Mahmuda.

– Jesteś muzułmanką? – Kobieta uniosła brwi.

Katharina przygryzła wargę. Doktor Mahmud nauczył ją wystarczająco dużo o islamie i Koranie, żeby mogła uchodzić za wierną. Pomyślała jednak o Adrianie i jego oddaniu Dziewicy, o tym, jak poprzysiągł pomagać chrześcijańskim podróżnym. Wiedziała, że nawet na torturach nie wyparłby się swojej wiary i nie zaparłby się Chrystusa. Pochyliła głowę i szepnęła:

– Nie, pani, jestem chrześcijanką. Umiem jednak pisać i czytać – dodała szybko, licząc na to, że uniknie losu innych kobiet. Podejrzewała, że życie w pałacowych kuchniach i palni jest krótkie i ciężkie.

Kobieta przyglądała się jej nieco dłużej niż innym, sprawdziła dłonie i zęby dziewczyny, spytała o pochodzenie, na co Katharina odparła, że jest ze szlacheckiej rodziny. W końcu cudzoziemka dała znak pomocnicy, która poprowadziła Katharine do parujących łaźni, gdzie przebywały mniej lub bardziej rozebrane kobiety i dziewczyny. Tam ją wyszorowano i sprawdzono, czy nie ma wszy, a pomocnica wymamrotała, że chrześcijanie słyną z niechęci do mycia. Katharina została zmuszona do bolesnej depilacji, która, jak się wkrótce przekonała, była obowiązkiem wszystkich muzułmanów, nakazanym przez Koran.

Dostała czyste ubranie – dziwną długą szatę, spodnie i welon do zasłonięcia twarzy – i po krótkim przesłuchaniu oraz zaprezentowaniu umiejętności hafciarskich przydzielono ją do świty Mistrzyni Kostiumu. Wkrótce przekonała się, że to stanowisko, choć poślednie i służebne, pozwala jej chodzić po całej żeńskiej części pałacu wraz z grupą szwaczek, z których każda miała inne zadanie. Obiecano jej, że jeśli dobrze się spisze, być może kiedyś awansuje na stanowisko Strażniczki Nici, której jedynym zadaniem był nadzór nad kordonkiem do haftowania. Ta informacja miała zapewne podnieść ją na duchu, ale dla Kathariny zabrzmiała niczym wyrok, oznaczała bowiem, że resztę swoich dni spędzi w tym miejscu.

I tak oto rozpoczęło się jej nowe życie w pałacu wielkiego sułtana w Konstantynopolu. Nikogo nie obchodziło, że jest Niemką szukającą ojca, że urodziła się jako wolna kobieta, że w jej żyłach być może płynie błękitna krew. Nikt nie znał nawet jej imienia – w wysokich murach pałacu sułtana żyło około tysiąca niewolników i sług, zrezygnowanych, bez cienia nadziei na wolność. Byli i tacy, którzy urządzili się całkiem nieźle, osiągnęli wysoką pozycję, zgromadzili majątek i uzyskali polityczne wpływy.

Seraj otoczony wysokim murem, kompleks pawilonów stojących wśród bujnej zieleni, mieścił się na wzgórzu górującym nad forum Teodozjusza i wspaniałymi stajniami sułtana, w których trzymano cztery tysiące koni. W tym odosobnionym, egzotycznym świecie Katharina po raz pierwszy w życiu spróbowała ryżu i przyzwyczaiła się pić kawę rano, w południe i wieczorem. Nauczyła się również padać na kolana pięć razy dziennie na wezwanie do modli-

twy. Jej serce ścisnął żal na wspomnienie doktora Mahmuda, który tak samo modlił się w ogrodzie w Badendorfie, podczas podróży Bursztynowym Szlakiem i na pokładzie nieszczęsnego portugalskiego statku. W swoich modlitwach wspominała także Adriana. Wciąż miała nadzieję, że żyje i przebywa gdzieś w pobliżu. Modliła się również za ojca, nadal zdecydowana, by udać się do Jerozolimy i go odnaleźć.

Kobiety mieszkające w sułtańskim haremie dzieliły się na dwie kategorie: konkubiny sułtana i ich sługi. Konkubiny były piękne, pewne siebie, czarujące. Służące, zarówno proste robotnice, jak i kobiety utalentowane i wykształcone, spełniały niezliczone zachcianki swoich pań. Katharina ozdabiała tkaniny – niewiarygodnie piękne i pełne przepychu. Przynajmniej nie zmuszano jej do ciężkiej pracy w kuchni ani w łaźni, przy grzaniu wody (gdzie indziej tę pracę wykonywali mężczyźni, ale nie mieli oni wstępu do seraju).

Katharina wiedziała, że w drugiej części pałacu istnieje prawdziwy świat – handlu, nauki i mężczyźni. Nad Cesarską Bramą mieścił się tajemny pokój. Z jego okien kobiety sułtana, same niezauważone, mogły obserwować parady, niezliczone procesje zagranicznych dygnitarzy, gości, ambasadorów, mężów stanu, naukowców i artystów. Był to wiek badań i odkryć, a sułtan uważał się za oświeconego władcę. Pod marmurowym łukiem konkwistadorzy prowadzili Azteków i Inków, Indian z Nowego Świata, ofiarując ich sułtanowi. Posłańcy z dworu Henryka VIII przywozili księgi o astronomii i dzieła muzyczne autorstwa samego władcy. Z Włoch przybywali pełni nowych pomysłów artyści. Widząc Europejczyków na koniach, Katharina chciała zawołać: „Tu jestem! Błagam, zabierzcie mnie stąd!”.

Ale choć prawdziwy świat leżał tuż za wysokimi murami, równie dobrze mógł istnieć wśród gwiazd, tak był niedostępny dla kobiet z sułtańskiego haremu.

Chwilami Katharina czuła, że zwariuje w tej pozłacanej klatce. Nocami płakała gorzko, ale pokornie dostosowała się do rutyny panującej w seraju. Chodziła wraz z innymi szwaczkami, haftowała, słuchała i patrzyła. Mijał dzień za dniem, a ona... wypatrywała możliwości ucieczki. Dyskretnie wypytywała o człowieka, którego pojмали wraz z nią i sprowadzili do Konstantynopola ci sami handlarze, o chrześcijańskiego rycerza z Hiszpanii. Dopytywała się też o przedmioty zabrane niewolnikom; było wśród nich coś wyjątkowego, co bardzo pragnęła go odzyskać. Nie dowiedziała się jednak niczego.

Musiła zatem odszukać na własną rękę i Adriana, i miniaturę świętej Amelii.

Seraj był więzieniem, bo nie wolno było nikomu opuszczać jego murów. Po jego terenie jednak Katharina mogła chodzić tam, dokąd zapragnęła. Mijała niekończące się korytarze, kamienne filary i fontanny, łuki i okna dziwnego kształtu, ogrody, w których wciąż grali muzycy, place, na których żonglerzy i tancerze zabawiali widzów występami, labirynty apartamentów i łaźni. Było to niezwykle bogate, od nikogo niezależne miasto, jego rozpieszczonym mieszkankom niczego

nie brakowało. Wokół unosił się zapach cytrusów, bo marmurowe kolumny i ściany codziennie myto sokiem z cytryny, żeby błyszcząły. Katharinie zabroniono jedynie zbliżyć się do przepięknej kolumnady zwanej Perłową Bramą, prowadzącej do prywatnych apartamentów sułtanki Safiji, ulubionej konkubiny sułtana. Tam wchodziło się na specjalne zaproszenie.

W pałacu zawsze coś się działo. Przy tańcach i muzyce obchodzono religijne święta, odbywało się przyjęcie z okazji urodzin któregoś z dworzan albo uroczystość ku czci sułtana z paradami, fanfarami i występami. W haremie jedynym ekscytującym wydarzeniem był wybór dziewczyny do łoża władcy. Wszystkie kobiety w pałacu, od najmarniejszej sługi do sułtanki, stanowiły osobistą własność sułtana, widywały go jednak tylko nieliczne. Dlatego właśnie w haremie mieszkało tak mało dzieci: zaledwie kilka dziewczynek, córek imperatora. Trzej chłopcy zmarli w niemowlęctwie, sułtanowi pozostał zaledwie jeden syn, potomek konkubiny, której Katharina nigdy nie widziała. Jeśli któraś z kobiet zachodziła w ciążę (zazwyczaj ze strażnikiem albo gościem, który zdołał się tu wśliznąć), skazywano ją na śmierć. Dziewczęta trafiały między te mury jako dziewice i żyły, nie znając dotyku mężczyzny. Kiedy zatem sułtan wybierał którąś do swego łoża (nie wiadomo, jak dokonywał wyboru, bo nigdy nie odwiedzał haremu), dni przygotowań były pełne radości, podniecenia, plotek i spekulacji. Po kąpeli szczęśliwą kandydatkę masowano i strojono w najpiękniejszy ubiór i biżuterię. Była traktowana jak królowa, bardziej doświadczone towarzyszkę udzielały jej wskazówek, jak zadowolić władcę. Następnego ranka podniecenie wciąż trwało, wszystkie kobiety zastanawiały się, jakie prezenty otrzyma dziewczyna, rozprawią na temat hojności sułtana, cieszyły się z radości wybranki i świętowały jej szczęście. Chciały jak najszybciej usłyszeć, jak przebiegła noc. Żadnej dziewczyny nie wzywano powtórnie do sułtańskiej sypialni, każda stawała się jednak osobą wyjątkową i miała zapewniłą wyższą pozycję w haremie.

Ulubioną rozrywką były wyścigi na małych łódkach w olbrzymim basenie i strącanie turbanów z głów eunuchów. Zwycięstwo należało do tej drużyny, która jak najdalej odrzuciła turban. Kobiety hodowały chętnie małpki, papugi i tresowane gołębie w perłowych obrączkach na nodze. Mnóstwo czasu spędzały na grze w tryktraka i szachy; niekończące się godziny na przymierzaniu sukien i welonów, pantofelków i biżuterii, a także na czesaniu włosów, eksperymentach z kosmetykami, mieszaniu pachnideł, nacieraniu ciała kremami i depilacji.

Uwielbiały także plotki. Konkubiny i ich sługi chłoneły pogłoski równie chętnie jak kandyzowane owoce: kto z kim sypia (Dżamila i Sara), kto komu złamał serce (ta wiedźma Farida biednej małej Jasmin), kto walczy o przychylność sułtanki Safiji, kto tyje, a kto się starzeje. Przez wiele tygodni głównym tematem rozmów był skandaliczny romans Mariam i jednego z afrykańskich eunuchów – kiedy ich przyłapano, oboje zostali ścięci, a ich ciała zawisły na Cearskiej Bramie jako ostrzeżenie dla innych.

Katharina zauważyła jednak, że najmiłą rozrywką jest nicnierobienie. Zazwyczaj oddawa-

no się nieróbstwu w łaźniach, podczas mycia, masażu i depilacji. Kobiety godzinami leżały w saunach, jedząc owoce, popijając i plotkując. W łaźniach nie było wanien, Turcy sądzili bowiem, że w stojącej wodzie kryją się złe dżiny, kobiety siedziały więc na marmurowych ławach, niewolnice zaś mydliły je i szorowały. Katharine zdumiewała ich nieskromność – te niewiasty niczym się nie osłaniały, leżały nago albo paradowały w tę i z powrotem, by pochwalić się jędrnymi piersiami i pośladkami. Te zmysłowe istoty rzadko kiedy trafiały w ramiona prawdziwego mężczyzny – eunuchowie raczej od nich stronili – zmuszone były więc szukać seksualnego spełnienia we własnym towarzystwie i często wdawały się w namiętne związki, co prowadziło do wybuchów dzikiej zazdrości i nienawiści.

Ta nuda i próżniactwo wzbudziły w Katharinie niejasny niepokój. Mieszkancki haremu sprowadzono tu wbrew ich woli, a jednak wydawały się zadowolone, wręcz szczęśliwe, jakby ich serca i umysły pograżyły się w bezmyślnym trwaniu. Katharina bała się, że jeśli spędzi więcej czasu w tym zaczarowanym miejscu, również podda się jego magii. Nie mogła do tego dopuścić. Przrzekła matce, że odnajdzie ojca. Poza tym musiała spłacić dług Adrianowi.

Na myśl o rycerzu Katharina czuła wyrzuty sumienia. Żyła w luksusie, a on? Każdego ranka, podczas pierwszej z pięciu modlitw, błogosławiła go za to, że na wyspie nie zostawił jej na pastwę losu. Nie mogła o tym zapomnieć, musiała go odnaleźć.

Znów był tu ten szpetny eunuch, obserwował ją. To nie przypadek. Przez tyle tygodni spotykała go w tylu najdziwniejszych miejscach, że teraz była już pewna: śledził ją.

Już osiem miesięcy spędziła Katharina w cesarskim haremie. Dzięki wrodzonemu sprytowi i bystrości nie dała się wciągnąć w niezliczone skomplikowane układy, miłości i zazdrości, politykę i spiski, konspirację i knowania, w których specjalizowały się rywalizujące ze sobą koterie. Najważniejsza była hierarchia w obrębie grupy, a ta zmieniała się niczym wydmy na piasku. Raz stało się na jej szczycie, raz spadało na dno, było ulubienicą większości albo z niewiadomych powodów traciło sympatię. Tylko sułtanka Safija, faworyta sułtana, stała ponad tymi wszystkimi rozgrywkami. Katharina nie widziała jej nawet z daleka. Próbowano wciągnąć dziewczynę do rozmaitych frakcji, ona jednak pozostała neutralna. Po pewnym czasie towarzyszyki zaczęły ją za to szanować. Wiedziały, że mogą jej zaufać i liczyć na jej uczciwość. Nie naraziła się też swym porywczym paniom – Strażniczkom Jedwabiu, Nici i Pantofelków – i choć nie znalazła w haremie przyjaciółek, nie miała wrogów.

Z eunuchami było jednak zupełnie inaczej. Nawet po ośmiu miesiącach prób przystosowania się do tego niezwykłego świata, który zupełnie nie przypominał życia za murami, wciąż nie mogła zrozumieć dziwnych istot, które strzegły kobiet.

Haremowi doglądali wyłącznie czarni eunuchowie, odrażający lub kalecy; tacy nie wzbudzali romantycznego zainteresowania kobiet. Pojmany za młodu w Afryce kastrowano po drodze, zazwyczaj na pustyni, gdzie gorący piasek stanowił jedyne remedium na częste krwotoki. Opera-

cja była bardzo rozległa: żeby eunuch trafił do cesarskiego haremu, musiał poddać się całkowitemu usunięciu penisa i jąder (dlatego oddawał mocz przez rurkę ukrywaną w turbanie). Mężczyźni ci dochodzili do wielkiej władzy i dorabiali się sług oraz niewolników; jeśli wypadło się z ich łask, potrafili być bardzo groźnymi przeciwnikami. Dlatego Katharina bała się człowieka, który najwyraźniej ją śledził. Komu zdawał raporty i dlaczego?

Wszystko wyjaśniło się pewnej nocy. Obudziła ją czyjaś dłoń znienacka zaciśnięta na jej ustach. Zdarzało się, że dziewczęta znikają z haremu i już nigdy o nich nie słyszano. Mówiło się, że naruszyły zasady, wypadły z łask, wzbudziły czyjąś zazdrość... Nikt nie wiedział, co się z nimi stało, nikt nie ośmielił się ich szukać. Katharine wyniesiono z sypialni, a pozostałe dziewczęta udawały, że śpią. Bezpieczniej było nic nie widzieć, nic nie słyszeć.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, eunuch puścił dziewczynę, gestem nakazał milczenie i skinął ręką, by za nim poszła.

Zaprowadził ją do apartamentu w skrzydle haremu przeznaczonym dla dam stojących na szczycie hierarchii. Katharine zdumiał otaczający ją przepych. To sanktuarium było wspanialsze niż wszystko, co dotąd widziała. Puszyste dywany i gobeliny, otomany pełne poduszek i przedmioty ze złota... Mieszkał tu ktoś bogaty i możny.

I wtedy zobaczyła ją – młodą kobietę, niewiele starszą od niej samej, smukłą i piękną, w błyszczącej szacie o barwie purpury i cynobru, obramowanej złotem.

– Witaj – powiedziała z uśmiechem nieznajoma. – Proszę, zdejmij zasłonę.

Katharina posłusznie zdjęła welon, odsłaniając długie włosy splecione w warkocze misternie upięte wokół głowy.

– I kapelusz. – Zabrzmiało to niemal jak rozkaz, i Katharina ściągnęła małe, przypominające pudełko nakrycie głowy z jedwabiu, które zakrywało czubek jej czaszki. Piękna pani przyglądała się jej przez moment, po czym wybuchnęła radosnym śmiechem. – Wyglądasz, jakbyś nosiła żółtą czapkę!

Katharina oblała się rumieńcem. Wszystkie dziewczęta to bawiło: uwielbiały opowieść o tym, jak przebrała się za chłopca i ufarbowała włosy, by wyglądać jak Egipcjanin. Włosy odraستاły, kilka centymetrów miało już naturalny złoty kolor, ale reszta wciąż była brązowa.

– Mój eunuch mówił, że jesteś blondynką – powiedziała młoda kobieta. Wyciągnęła rękę. – Usiądź. Rozgość się.

Gestem wskazała służącym, by nalały kawę do maleńkich filizanek. Katharina wciąż nie mogła się przekonać do tego napoju.

– Obserwowałam cię – odezwała się tajemnicza gospodyni. – Czy też raczej obserwował cię mój eunuch i zdawał mi raporty. Nie przyłączyłaś się do żadnej grupy. Ani jedna konkubina nie może się pochwalić, że, jak to mówią, ma cię w ręku. Masz charakter, bo niektóre z nich potrafią być bardzo przekonujące. Pozostałaś niezależna, a to rzadkość w haremie.



Mówiła po arabsku. Katharina po kilku miesiącach życia w haremie biegle władała tym językiem, – rozumiała gospodynię i sama potrafiła się wysłowić.

– Czego żądasz ode mnie, sułtanko? – spytała.

Osmańscy sułtani dawno przestali zawracać sobie głowę małżeństwami, od stuleci nie było w ich dynastii prawowitej żony. Ulubione konkubiny osiągały jednak wyjątkowy status, i z braku lepszego tytułu obecną faworytę tytułowano sułtanką.

– Nie jestem sułtanką – poprawiła ją dziewczyna. – Jestem drugą faworytą sułtana. Mam na imię Asmahan i sprowadziłam cię tutaj, by prosić o przysługę.

Katharina poczuła, że musi mieć się na baczności.

– O przysługę, pani?

– Osiem lat temu zostałam porwana z mojego domu w Samarkandzie. Sprzedano mnie do harem – miękki, melodyjny głos zaczął swą opowieść Asmahan. – Podobnie jak ty stałam się więźniarką i dożyję tu pewnie końca swych dni. Jednak los się do mnie uśmiechnął – wybrano mnie, bym spędziła noc z sułtanem. Jak zapewne wiesz, takie kobiety osiągały wyższą pozycję, mimo że więcej już nigdy nie widzą władcy. Ja jednak, chwała Najwyższemu, zaszłam w ciążę. Przez dziewięć miesięcy dbano o mnie, wszyscy czekali, czy urodzę chłopca, czy dziewczynkę. Gdyby na świat przyszła dziewczynka, zamieszkałaby w haremie i przygotowywano by ją do przyszłego politycznego małżeństwa. Ale chłopiec...

Katharina słyszała już, że faworyta sułtana powiła syna. Cały harem zazdrościł Asmahan.

– Sułtan musi być bardzo szczęśliwy. – Katharina zastanawiała się, czego może od niej chcieć kobieta o takiej władzy.

– Tak. Świata nie widzi poza naszym synem. Bulbul całe dni spędza w apartamentach sułtana. – Znowu napiła się mocnego naparu.

Katharina czekała.

Asmahan pochyliła się ku niej.

– Sułtanka też jest brzemienna – szepnęła. – Wiesz o tym, prawda?

Katharina pomyślała, że nawet kiedy ptak znosi jajko, tysiąc mieszkanek harem nie mówi o niczym innym.

– Słyszałam – odparła.

Sułtanka Safija, najpotężniejsza kobieta w Imperium Osmańskim, jako jedyna była wielokrotnie wzywana do łóżka władcy.

– To nie jest jej pierwsza ciąża. – Asmahan mówiła niemal bezgłośnie. Katharina wyobraziła sobie tysiące niewidocznych oczu, które je obserwują, setki uszu nasłuchujących za zasłonami. – Dotychczasowe jednak kończyły się poronieniami albo rodziła córki. Astrologowie twierdzą jednak, że na świat przyjdzie syn. Wiesz co się stało z innymi kobietami, które zapłodnił sułtan?

Katharina słyszała te opowieści. Zaledwie kilka tygodni temu pewna biedaczka w piątym

miesiącu ciąży została wezwana do apartamentów sułtanka Safiji. Potem nikt jej już nie widział. Krążyły plotki, że sułtanka kopnęła nieszczęsną w brzuch, wywołując poronienie, które zakończyło także życie matki.

– Sułtanka nie przebiera w środkach. Ja miałam szczęście... i olej w głowie. Tuż przed rozwiązaniem poprosiłam sułtana o własnego lekarza. Safija nie mogła tknąć mojego dziecka. Wiem, że go nienawidzi. Ale nawet ona nie ma odwagi go zgładzić. Kiedy jednak sama urodzi syna, usunie mojego zgodnie z prawem.

– Zabije go? – spytała Katharina.

– Zęby tylko! Mojego małego Bulbula czeka gorszy los. – Asmahan rozejrzała się wokół, chociaż były same w luksusowej komnacie.

– W tym pałacu jest pomieszczenie zwane Klatką. To bardzo mały pokój na końcu długiego korytarza. Drzwi i okna są zabite deskami, nie ma więc kontaktu ze światem zewnętrznym. Tam żyją książęta, którzy nie odziedziczą tronu. Są wychowywani przez głuchoniemych, w całkowitej izolacji od świata, i po kilku latach zazwyczaj wpadają w obłąd.

– Co za okrucieństwo! Dlaczego?

– Prawo stanowi, że syn, który dziedziczy tron, musi pozbyć się braci. Nie ma jednak mowy o rozlewie krwi. Ich wyrokiem jest dożywocie w Klatce. To czeka mojego Bulbula, jeśli Safija powije syna.

– Nie rozumiem, pani. Twój syn jest starszy.

– Ale ja pochodzę z niższej klasy niż Safija. Ona wywodzi się ze starej szlacheckiej rodziny, moja rodzina zaś to nomadzi, bogaci i poważani, ale nie w tym kraju. Safija przypomina o tym sułtanowi przy każdej okazji, już widzę, że sułtan darzy syna mniejszymi względami.

– A w jaki sposób ja mogłabym pomóc?

– Jeśli Allah pozwoli, zabierzesz Bulbula do mojej rodziny w Samarkandzie.

– W Samarkandzie! – Katharina gwałtownie wciągnęła powietrze do płuc. – Ależ pani! Dlaczego ja? Z setek kobiet w tych murach...

– Ty jednak chcesz uciec. Widzę to. Coś na ciebie czeka za tymi murami. Zazwyczaj kobiety są tutaj szczęśliwe, jak zapewne sama zauważyłaś. Wiele porwano z ubogich wiosek, gdzie czekało je ciężkie życie u boku męża despoty. Tu żyją w luksusie i, przynajmniej w obrębie tych murów, cieszą się wolnością. Te, które nie są szczęśliwe, godzą się z życiem. Wybrałam cię również dlatego.

– Uniosła ręce i zdjęła kunsztowny welon z głowy, odsłaniając złociste loki. – Masz jasną skórę i włosy, jak ja. Bulbul będzie twoim dzieckiem.

Złote pukle sułtańskiej faworyty zaskoczyły Katherinę. Włosy blond świadczyły rzekomo o słabości i braku miłostnego żaru, jasnowłose kobiety, których sporo było w haremie, zadawały sobie więc wiele trudu, by farbować je na rudo.

– Zrobiłabym to dla ciebie, pani, zwłaszcza że naprawdę marzę, żeby stąd wyjechać. Nie mogę jednak spełnić twojej prośby.

Asmahan uniosła kunsztownie pomalowane brwi.

– Dlaczego nie? Wszak chciałybyś, żebym pomogła ci w ucieczce, prawda?

– O tak, pani – odparła żarliwie Katharina. – Szukam swojej rodziny. Mnie też rozdzielono z nią przed wielu laty. Nigdy nie znałam ojca ani braci, i bardzo pragnę ich odnaleźć.

Asmahan z powagą pokiwała głową.

– Źle jest żyć z dala od krewnych. Dlatego Bulbul musi być ze swoją rodziną. Dlaczego nie chcesz mi pomóc?

– Jest pewien mężczyzna, chrześcijański rycerz, którego porwano i sprowadzono do Konstantynopola wraz ze mną. Nie mogę stąd odejść bez niego.

Asmahan zmarszczyła brwi.

– Chrześcijański rycerz nie przeżyłby zbyt długo w tureckim mieście, tak bardzo zapiekła jest nienawiść do twoich współwyznawców. Pewnie już dawno temu zginął na torturach, niech Allah ma nad nim litość.

– Nic o nim nie wiem. I nie odejdę, póki nie poznam losów Adriana. Jeśli żyje, musi opuścić Konstantynopol wraz ze mną.

Asmahan zastanawiała się przez chwilę.

– Popytam tu i tam – obiecała w końcu.

– Proszę o jeszcze jedną przysługę, pani. – Katharina kuła żelazo póki gorące. – Kiedy przyprowadzono mnie do pałacu, miałam przy sobie skórzany woreczek z pamiątkami. Odebrano mi go. Czy mogłabyś go dla mnie odnaleźć?

– Własność pojmanych nie ma wartości dla sułtana i jego świty. Trafia do ludzi, którzy przywieźli niewolników, albo do miejskiej biedoty w ramach sułtańskiego planu pomocy. Zobaczę, co się da zrobić. Wszystko zależy od Boga. Teraz mnie posłuchaj. – Ściszyła głos. – To niebezpieczna misja. Wszędzie są szpiedzy. Sułtanka mnie obserwuje. Jako moja przyjaciółka nie jesteś już bezpieczna i musisz na siebie uważać. Wróc jutro wieczorem. Przynies przybory do haftowania.

Przy następnej wizycie w apartamencie Asmahan Katharina znalazła skórzany woreczek na otomanie. Rzuciła się ku niemu. Miniaturowy obrazek przedstawiający świętą Amelię wciąż tam był, podobnie jak ceramiczny widoczek Badendorfu. Przyciskając je do piersi, zapłakała.

– Niech Bóg cię błogosławi, pani. Wróciłaś mi życie.

Asmahan milczała. Nietaktem byłoby mówić tej dziewczynie, że nikt nie chciał jej skarbów, nawet żebracy, którzy przyszli do przytułku po darmowe ubrania i kielich leczniczego wina. Rozumiała ją jednak: sama oddałaby swoje złoto i klejnoty, by poczuć pod palcami sierść owcy

z wielkiego stada swego ojca. To prawda, że, co jest perłą dla jednego, dla drugiego jest zwykłym kamykiem.

Odtąd Katharina co wieczór chodziła do komnat Asmahan, biorąc ze sobą przybory do haftowania i udając, że wyszywa coś dla sułtańskiej konkubiny. W rzeczywistości zapoznawała się z Bulbulem, pulchnym, jasnowłosym, grzecznym chłopczykiem, który wkrótce miał odejść stąd z nową matką.

Był chłodny, pochmurny poranek, w Konstantynopolu mżyło. Mistrzynie Kostiumu wpadła do Pawilonu Gołębi. Jej pomocnice szyły tu strój dla dziewczyny, która miała odwiedzić królewską sypialnię. Mistrzynie wyszarpnęła igłę i nici z dłoni Kathariny.

– Sułtanka! Przysłała po ciebie!

Serce Kathariny waliło jak młotem. Sułtanka! Czyżby dowiedziała się o tajnym planie Asmahan?

Czekał na nią eunuch, mężczyzna o wspaniałej prezencji, którego nigdy wcześniej nie widziała. Ubrany był w eleganckie szaty i przystrojony piórami turban ze złotej tkaniny. Dawno temu obcięto mu nos i zastąpiono go złotym dziobem, co upodabniało eunucha do jakiegoś mitycznego stworzenia. Nie odezwał się do Kathariny ani słowem. Przy zakazanej Perłowej Bramie zadrżała ze strachu. Ile kobiet przeszło pod tym łukowatym sklepieniem, by już nigdy nie powrócić? Jeśli sułtanka dowiedziała się o jej tajnym układzie z Asmahan, dziewczyna nie miała co liczyć na to, że żywa opuści te komnaty.

Nie wyobrażała sobie apartamentu, który mógłby być bardziej wystawny niż ten należący do Asmahan, ale zaparło jej dech w piersiach na widok prywatnych komnat sułtanki. Słyszała, że Safija darzy namiętnością perły, lecz to, co zobaczyła, przeszło jej najśmielsze oczekiwania. Ozdoby na ścianach, podnóżki, zasłony, poduszki na otomanie, nawet dywaniki przystrojono setkami różowych, białych i czarnych pereł. Na przypominającym tron krześle siedziała kobieta w szatach wyszywanych tymi kamieniami. Wyglądała, jakby znalazła się w środku śnieżnej zawiei. Katharina pierwszy raz zobaczyła tyle pereł naraz. Jak ta kobieta mogła się poruszać z takim ciężarem na sobie?

Wzrok Safiji był równie twardy jak jej ukochane klejnoty. Katharina usiłowała nie wiercić się pod tym chłodnym spojrzeniem. Sułtanka pomalowała dolne i górne powieki ciemną kredką, przez co ledwie było widać jej oczy, a na usta nałożyła tyle czerwieni, jakby zjadła słoń dzemu i zapomniała wytrzeć wargi. Nie zdołała jednak ukryć swojego wieku. Katharinie obilo się wcześniej o uszy, że Safija dobiega czterdziestki. Dziwne, że sułtan wciąż wzywał tę kobietę do swego łoża, skoro mógł wybierać spośród setek młodych dziewic. Safija była w zaawansowanej ciąży.

– Odwiedzasz Asmahan – powiedziała ostrym głosem. – Po co?

Katharina starała się opanować drżenie.

– Podobają się jej moje hafty, pani.

– Uważam, że twoje prace są mierne. Asmahan brak gustu. – Spojrzenie umalowanych na czarno oczu przewiercało ją na wskroś. Katharina czuła, jak serce podchodzi jej do gardła. – Czemu drżysz, dziewczyno?

– Jeszcze nigdy... – przejechała językiem po wyschniętych wargach – nie znalazłam się w tak wybornym towarzystwie, pani. Zupełnie jakbym patrzyła na boginię.

Nie miała pojęcia, skąd wzięły się te słowa, wywarły jednak stosowny efekt. Sułtanka najwyraźniej nieco zmiękła, – nawet kobieta tak wysoko postawiona nie była odporna na pochlebstwa.

– Masz coś dla mnie zrobić. – Nie lubiła marnować czasu, od razu przeszła do rzeczy. – Zrób to dobrze, a spełnię każde twoje życzenie.

Katharina ledwie ukryła zdziwienie.

– Czego pragniesz, pani?

– Będziesz szpiegować Asmahan. Patrz, co robi, z kim się widuje, słuchaj, co się tam mówi. Potem mi to powtórzysz. Zrozumiałas?

– Tak, pani. Czy coś w szczególności...

– Wszystko – warknęła. – Mów mi o wszystkim, co się tam dzieje. Ja zdecyduję, co jest ważne. – Przez chwilę z zadumą patrzyła na dziewczynę, po czym dodała: – Może łączy cię z Asmahan zażyłość, może czujesz się zobowiązana do lojalności wobec niej. To twoja sprawa. Niech nie stanie na przeszkodzie zadaniu, które ci zleciłam. Gdyby jednak twe serce miękło, przypomnij sobie moją obietnicę, że obdarzę cię wszystkim, czego zapragniesz, jeśli twe sprawozdanie mnie zadowoli.

Sułtanka westchnęła i położyła upierścienioną dłoń na wypukłym brzuchu.

– Noszę potomka sułtana – powiedziała niepotrzebnie. Jedno nie ulegało wątpliwości: syn Asmahan nie miał szans.

Katharina zbierała się już do odejścia, kiedy ostry głos sułtanki ostrzegł ją:

– Uważaj, dziewczyno. Kiedy ty będziesz śledziła Asmahan, ja każę śledzić ciebie. Doniosą mi o każdym twoim kroku.

Wieczorami Katharina wciąż chodziła do Asmahan pod pretekstem haftowania, teraz jednak ciążył jej nowy, straszny sekret. Bawiła się z Bulbulem, opowiadała mu bajki i śpiewała, a Asmahan patrzyła na to ze smutkiem; były to ostatnie dni spędzane z synem. Katharina głowiła się, co powie Safiji, nie wiedziała, czy ma powiadomić Asmahan o nowej sytuacji i czy kiedykolwiek odnajdzie Adriana. Wyobrażała sobie setki niewidocznych, uważnych oczu. Pałac był pełen ukrytych drzwi, tajemnych przejść i przepierzeń z judaszami. Szpiegdy donosili na szpiegów. Każdego wieczoru pytała Asmahan: „Co z don Adrianem?”, i za każdym razem słyszała:

„Nie mam nowych wieści”. Sułtanka miała większą władzę niż Asmahan. Czy jeśli powiem jej o tej intrydze, uwolni dla mnie Adriana i wypuści nas oboje? – zastanawiała się. „Spełnię każde twoje życzenie”, brzmiały słowa potężnej Safiji. Pewnego dnia Asmahan rzekła:

– Mojemu synowi zagraża coraz większe niebezpieczeństwo. Sułtanka poprzysięgła, że nie zostanie dziedzicem sułtana.

– A jeśli Safija urodzi córkę?

– Wtedy zamorduje mojego syna z zazdrości. Z każdym dniem jego życie znajduje się w coraz większym niebezpieczeństwie. Boję się. Mój eunuch znalazł strażnika, któremu możemy zaufać. Aż do dnia ucieczki ten człowiek będzie spędzał z Bulbulem każdą minutę.

– Skąd wiadomo, że można mu ufać? – odważyła się spytać Katharina.

Przecież nie możesz ufać nawet mnie! – pomyślała. Przeklęła los, który postawił ją w takiej sytuacji – musiała albo pomóc Asmahan, albo szpiegować ją i poprosić sułtankę o znalezienie Adriana.

– Znasz się na ludziach, Katharino? Może sama mi powiesz, czy to człowiek godny zaufania.

– Ashaman wskazała ręką swoje prywatne ogrody, gdzie Bulbul często puszczał łódeczki w maleńkim stawku.

Dziewczyna ruszyła w tamtym kierunku. Pod wierzbą ujrzała wysokiego mężczyznę w płaszczu – chudego i wymizerowanego, z potarganą brodą i włosami do ramion. Odwrócił się, zobaczyła zapadnięte oczy i głębokie zmarszczki wokół ust, które już od dawna się nie uśmiechały.

Patrzył na nią przez chwilę i nagle szeroko otworzył oczy.

– Bogu niech będą dzięki – wyszeptał, robiąc krok w jej kierunku. Katharina podbiegła do niego, wychudzone ramiona objęły ją mocno. Roniła łzy na piersi przyjaciela.

Adriano płakał wraz z nią. Już myślał, że więcej jej nie zobaczy.

– Jak... – zaczęła, odsuwając się i wpatrując w niego.

Otarł łzy z twarzy.

– Siedząc w tej cuchnącej ładowni na statku pełnym niewolników, myślałem o dziewczynie, którą poznałem, odważnej dziewczynie, która opuściła spokojne miasteczko, porzuciła dostatnie i bezpieczne życie, by udać się w świat na poszukiwanie ojca. Żadne niebezpieczeństwa ani trudy nie zawróciły jej z drogi, nawet katastrofa morska ani uwięzienie na małej wysepce w towarzystwie obcego mężczyzny. Słyszając determinację w jej głosie i podziwiając siłę jej ducha, postanowiłem: „Będę taki jak ta skromna niewiasta”. Wniosłem modły do Błogosławionej Dziewicy, odnowiłem przysięgę, że przywrócę jej panowanie w Jerozolimie i połączę się z moimi braćmi na Krecie. Błogosławiona Matka przyszła do mnie we śnie i powiedziała, że martwy na nic jej się nie zdam, bo męczennicy nie budują kościołów, a ona potrzebuje żywych żołnierzy. Porzuciłem zatem pelerynę na statku, zataiłem swoją tożsamość, kiedy wyciągnięto

nas z ładowni. Udawałem niemowę. Ze względu na mój wzrost i siłę posłali mnie na budowę. Praca w tym pałacu nigdy się nie kończy. Od tamtego czasu wznoszę te mury, które nas więżą.

Ujął gładkie dłonie Kathariny w swoje szorstkie, pełne odcisków ręce.

– Przy życiu trzymała mnie przysięga złożona Dziewicy, ale i myśl o tobie. Wiedziałem, że starczy ci sił i hartu ducha, by wyjść z tego cało. – Na jego wargach pojawił się cień uśmiechu. – Doszedłem do wniosku, że ja, rycerz Bractwa Maryi, muszę ci dorównać.

Do ogrodu weszła Asmahan. Popatrzyła na tę niezwykłą parę – pulchną dziewczynę w jedwabnych szatach oraz wychudzonego mężczyznę w łachmanach – i rzekła:

– Katharino, nie będziesz podróżowała sama, bo ściągnęłabyś na siebie niepotrzebną uwagę. Powinnaś wędrować z towarzyszem, który, uchodząc za twego męża, będzie strzegł ciebie i mojego syna. Mam dostatecznie dużo pieniędzy i przyjaciół, by znaleźć miejsce dla waszej dwójki i Bulbula w karawanie. Dam wam listy do swojej rodziny. Mój ojciec to szejk Ali Sayid, bogaty i wpływowy człowiek. Nagrodzi was za to, co zrobicie.

Dziewczyna popatrzyła na Asmahan oczami pełnymi łez. Nie myślała już o sułtance Safiji i szpiegowaniu. Czuła szorstkie dłonie Adriana pod palcami – i tylko to się liczyło.

– Szpiedzy donieśli mi, że karawana wyrusza do Samarkandy podczas najbliższej pełni – powiedziała Asmahan. – Tego dnia poproszę sułtana o pozwolenie na wizytę w meczecie. Powiem mu, że są urodziny mojego ojca, że pragnę oddać mu cześć. Sułtan nie odmówi. Zabiorę ze sobą dziecko, i, rzecz jasna, część dam oraz eunuchów dla bezpieczeństwa. Ty i Hiszpan znajdziecie się w mojej świecy. My, kobiety, modlimy się w meczecie za przepierzeniem, by mężczyźni nie mogli nas widzieć. Wymkniesz się niezauważona wraz z Bulbulem, a mój eunuch zaprowadzi ciebie i Adriana tam, skąd wyrusza karawana. Potem wrócę do pałacu.

Katharina w końcu odzyskała głos, choć przyszło jej to z trudem.

– Ale sułtan z pewnością zauważy brak chłopca.

– Sułtan jest teraz zajęty podbijaniem państwa Rycerzy z Rodos – wzrok Asmahan powędrował do Adriana – więc i tak rzadko widuje syna. Kiedy się dowie, że go nie ma, ty i Bulbul będziecie już w drodze. Nikt się nie zorientuje, dokąd pojechaliście.

Katharina chciała uniknąć tego pytania, ale nie mogła:

– Dlaczego ty nie pójdziesz, pani?

– Gdybym zniknęła, zostałyby to od razu zauważone, wszczęto by poszukiwania. Ludzie sułtana odnaleźliby mnie w ciągu kilku dni. Minie jednak wiele tygodni, zanim dostrzegą brak Bulbula, a wtedy będzie już za późno, by ruszyć waszym śladem. – Wręczyła Katharinie paczkę. – Najpierw udacie się do Bagdadu, który leży na skraju Imperium Osmańskiego. Przez tę pierwszą część podróży będziecie pod ochroną sułtana. Mam dokumenty, które gwarantują wam bezpieczną podróż. W Bagdadzie przyłączycie się do karawany zmierzającej do Samarkandy. Potajemnie rozmawiałam z jej ambasadorem. Przygotował niezbędne papiery. Mój ojciec jest potęż-

nym człowiekiem, jego imię wzbudza strach. Będziecie bezpieczni. Już w Samarkandzie hojnie was nagrodi za ten uczynek. A kiedy oddacie Bulbula mojej rodzinie, podążycie w swoją stronę.

Bagdad, Samarkanda... Tak daleko od Jerozolimy, w zupełnie innym kierunku! Katharina pomyślała jednak o małym Bulbulu, a potem o dziecku, które zostało porzucone przed dziewiętnastu laty, gdy jego owdowiały ojciec wyruszył na poszukiwania niebieskiego kamienia. Mały znalazł się w podobnym położeniu jak niegdyś ona sama. Poza tym jego życiu zagrażało niebezpieczeństwo.

– Pani – zaczęła. – Brak mi słów, by wyrazić wdzięczność. Za odnalezienie Adriana i...

Asmahan wyciągnęła upierścienioną dłoń.

– Robię to tylko dla mojego syna, z żadnego innego powodu. Chroń go i często opowiadaj mu o mnie.

Później Katharina nie widziała już Adriana; żaden mężczyzna nie mógł przebywać w towarzystwie kobiet. Często bawiła się z Bulbulem, jeśli akurat nie wzywano go do prywatnych apartamentów sułtana. Wciąż odwiedzała jego matkę, zabierając ze sobą jedwabie i hafty, a każdego ranka donosiła sułtance, że Asmahan obgadywała inne konkubiny i snuła intrygi w haremie. Bała się, że bystra Safija przejrzy jej podwójną grę. W swojej alkowie w sypialni dziewczyna patrzyła na wizerunek świętej Amelii i jej serce napełniało się nadzieją: wkrótce będzie wolna, znowu wyruszy na poszukiwanie niebieskiego kryształu i, jeśli Bóg pozwoli, rodziny.

Dwa dni przed wyznaczonym terminem ucieczki rozeszła się wieść, że Safija rodzi. Życie w pałacu zamarło, wszyscy niecierpliwie czekali na nowinę. Asmahan nie spuszczała oczu z Bulbula, a Katharina denerwowała się w sypialni.

W końcu wiadomość nadeszła: sułtanka powiła syna.

Zaczynało im brakować czasu. W chwili gdy noworodka położono na piersi Safii, sułtanka zażądała, by syn Asmahan trafił do Klatki. Młodą konkubinę opuścili natychmiast eunuchowie i strażnicy. Prośba o pozwolenie na wyjście do meczetu nie miała już sensu. Lada moment ludzie sułtanki mogli zjawić się po Bulbula.

Asmahan podarowała Katharinie małą drewnianą szkatułkę pełną złotych dinarów, monet używanych w Imperium Osmańskim. Uściskały się, a Asmahan po raz ostatni ucałowała syna. Adriano nadal wierzył, że wszyscy Turcy to bezbożni poganie i jego zaprzysięgli wrogowie, ale ta kobieta uratowała go i umożliwiła mu spotkanie z Kathariną, stał się więc jej obrońcą. A przynajmniej obrońcą jej syna, bo nie można było ocalić Asmahan. Z pomocą jej wiernego eunucha Adriano wdrapał się na mur ogrodu z Bulbulem przywiązany do pleców – dziecko spało, bo podano mu mleko z sokiem z maku – i zszedł po murze, a potem pomógł pokonać przeszkodę Katharinie. Pod osłoną nocy pomknęli za eunuchem przez labirynt zewnętrznych murów



i alejek otaczających pałac, aż w końcu wpadli w zaułki miasta i podążyli za eunuchem do olbrzymiego obozowiska karawany. Asmahan zaś czekał taki sam los jak wszystkie kobiety z haremu, które pogwałciły obowiązujące zasady: trafi do worka wraz z kotem i wężem, i zostanie wrzucona w wody Bosforu.

Karawana wyruszyła o świcie. Tysiące wielbłądów dźwigały pachnidła i kosmetyki z Egiptu. Po drodze miała jeszcze zabrać kolorowe szkło z Syrii i futra z euroazjatyckich stepów. Kupcy zmierzali do Chin, gdzie taki towar cieszył się powodzeniem. Wymieniano go na jedwab i nefryt, przedmioty pożądania ludzi na zachodzie. Po drodze napotkali artystów zmierzających do Chin – zonglerów, akrobatów, muzyków, magików – i wędrujących ze wschodu do Europy mnichów, uczonych i badaczy. Choć na szlaku nie brakowało zwierzyny, Katharina i Adriano wzięli ze sobą zapasy chleba, suszonych owoców i twardego sera, a także mnóstwo wody. Dobrze im było we trójkę: Adriano opiekował się nimi i ich ochraniał, Katharina dbała, żeby nie byli głodni, a Bulbul uchodził za ich syna. Konstantynopol i jego niebezpieczeństwa pozostały za nimi, podróżowali w słońcu i na świeżym powietrzu, zdrowo jedząc i śmiejąc się przy każdej okazji. Życie na powrót wstąpiło w Adriana. Odzyskał dawną formę, jego oczy błyszcząły. Katharina powiedziała mu, że może teraz jechać do Jerozolimy, nie musi towarzyszyć jej aż do Samarkandy, ale poprzysiągł, że będzie trwał u jej boku, aż wypełnią obietnicę daną Asmahan. Potem razem wrócą do Jerozolimy.

Karawana podążała na wschód. Dziewczyna, która kiedyś, na Adriatyku, była pewna, że widziała już cały świat – po raz pierwszy znalazła się na pustyni, w samym środku burzy piaskowej, znienacka atakującej niczego niepodjęzrewających podróżnych. Katharina i Adriano wkrótce nauczyli się obserwować wielbłądy; jeśli zwierzęta nagle zaczynały zbijać się w ciasną gromadę i chować pyski w piasku, oznaczało to, że nadchodzi burza piaskowa. Należało natychmiast owinać tkaniną nosy i usta, nie dając się zwieść pięknej pogodzie.

Najczęściej obozowali na otwartej przestrzeni, pod gwiazdami, w oazach i na rozstajach dróg, czasem jednak zatrzymywali się w garnizonach i karawanserajach, gdzie było jadło i porządne łóżka, muzycy i inne rozrywki. Przemierzali złote piaski pod intensywnie błękitnym niebem i białymi chmurami, w cieniu szmaragdowych palm, a Katharina z Bulbuliem w ramionach, niemal usypiając na wielbłądzie, traciła poczucie rzeczywistości. Spoglądała na Adriana, który jechał przed nimi. Był to człowiek głębokiej wiary, ale i pełen tajemnic.

Nie potrafiła powiedzieć, w którym momencie go pokochała. Może już dawno temu, jeszcze na nabrzeżu w Wenecji. Albo gdy odmawiał modlitwy na pokładzie portugalskiego statku. Albo gdy spali objęci na bezludnej wyspie, czując się jak dwójka ostatnich ludzi na ziemi. Gdziekolwiek i kiedykolwiek zaczęła się ta miłość, Katharina trzymała ją w tajemnicy. Adriano powinien podążyć własną drogą, podobnie jak ona. Nie zamierzała zdradzać się ze swym uczuciem, ale pielęgnowała tę miłość w sercu, wraz z miłością do matki, ojca, a od niedawna do nieszczęsnej

konkubiny Asmahan, która ocaliła im życie.

To dziwne, ale uczucie do Hansa Rotha było zupełnie inne, chłodne i beznamienne. I pomyśleć, że kiedyś nie wierzyła w romantyczną miłość. Teraz drżała pod wpływem każdego spojrzenia i słowa Adriana. Jej pożądanie tego mężczyzny było silniejsze niż głód czy pragnienie, myślała o nim dniem i nocą. To uczucie musiało znaleźć ujście, Katharina zaczęła więc wyszywać nową pelerynę dla Adriana. Na targu w Ankarze w sekrecie nabyła nową białą opończę oraz jedwabną nić i igły. Ciężko pracowała każdego wieczoru, gdy on szedł z innymi polować albo zbierać drewno na opał. Adriano nosił w sobie głęboki ból, głębszy niż blizny na jego biednym umęczonym ciele, ból, który dostrzegła w zmarszczkach wyżłobionych na jego twarzy i usłyszała w głosie, gdy na tamtej opuszczonej wyspie mówił o byłej ukochanej. Wiedziała, że nigdy nie zdoła go uśmierzyć, ale modliła się, by nowa peleryna pomogła przynajmniej przywrócić mu dawną godność.

Współtowarzysz zajmował jej myśli także z innego powodu. Powiedział, że wstępując do bractwa, ślubował czystość i ascezę, i że te śluby to kara za zabicie człowieka. Teraz, gdy dniem i nocą spędzali w swoim towarzystwie, dzieląc jadło i miejsce do spania, udając rodziców uroczego chłopczyka, Katharina zdawała sobie sprawę z powagi tych przyrzeczeń. Na portugalskim statku i małej wyspie nie miała okazji obserwować rycerza. Tu jednak, na niezmierzonej pustyni pod rozciągającym się w nieskończoność niebem, Katharina bacznie przyglądała się Adrianowi. Według niej te śluby czystości i ubóstwa przekraczały granice zdrowego rozsądku: on nie tylko odmawiał sobie mięsa i wina, ale również wystarczającej ilości pożywienia. Niemal się głodził i, by ukarać ciało, dodawał sobie obowiązków. Pracował, chodził na polowania i rąbał drewno jeszcze długo po tym, jak inni mężczyźni szli odpocząć w obozowiskach. Zbrodnia, którą popełnił (wcale nie była pewna, czy to zbrodnia, bo czyż walka o ukochaną kobietę nie jest walką o swoje prawa?), miała miejsce ponad dwadzieścia lat temu. Czy nie dość już pokutował? A może – i te podejrzenia narastały z każdym mijanym kilometrem – w tej historii kryło się drugie dno?

Katharina uświadomiła sobie, że namiętność przesłania najważniejszy cel jej życia: odnalezienie ojca. Coraz częściej patrzyła na portret świętej Amelii. Jak człowiek w kościele, który pragnie żarliwie się pomodlić, ale wciąż wygląda przez witrażowe okna na łąki pełne stokrotek, tak i ona musiała coraz częściej się upominać, by nie tracić z oczu celu. Każdej nocy wyjmowała miniaturę i w blasku ognia wpatrywała się w niebieski kryształ, w duchu powtarzając sobie: „Tam jest moje przeznaczenie”.

Postanowiła, że gdy tylko Bulbul trafi do swojej rodziny, ona obróci się na pięcie i podąży do Jerozolimy szukać kamienia oraz ojca.

Adriano zaś pójdzie swoją drogą.

Karawana wędrowała na wschód. Jedni odchodzili, inni do niej dołączali, całymi klanami lub pojedynczo. Tłum ludzi, wozów i zwierząt kurczył się i rozwijał jak wąż, sunąc przez pustynie, łąki i wzgórza. Bezpieczni, wciąż dalej i dalej od Konstantynopola i jego zasadzek, Katharina i Adriano zawierali przyjaźnie z nowo przybyłymi, siadywali przy wspólnym ognisku, dzielili się żywnością i żegnali ich po drodze, po chwili witając innych.

Coraz trudniej przychodziło im porozumiewanie się z mieszkańcami mijanych terenów. Arabski Kathariny i greka Adriana były coraz mniej przydatne. Łacina docierała wprawdzie na wschód od wielu setek lat, ale zmieniała się i przekształcała, w każdym regionie inaczej. Za to doskonale rozumieli się nawzajem; niepotrzebne im były słowa, wystarczały gesty, miny i znaczące spojrzenia. Najlepiej czuli się w swoim towarzystwie.

W północnej Persji karawana zatrzymała się w małej dolinie pomiędzy dwoma łańcuchami górskimi. Tam właśnie znaleźli niezwykły strumień: na jego brzegach nie rosła żadna roślinność, wszystko było jałowe i skaliste, ale woda ciepła, i, ku zdumieniu wszystkich, jasnozielona. Przewodnik karawany wyjaśnił, że to złoża minerałów u źródeł strumienia nadają jej ten szmaragdowy połysk. Nadawała się jednak do picia, niektórzy twierdzili nawet, że jest zdrowa. Rozbito zatem obóz na brzegu zielonego strumienia.

Katharina wreszcie mogła porządnie umyć włosy. Myła je już kilkakrotnie, wciąż jednak brakowało wody. Stosowała więc sztuczkę podpatrzoną u Beduinów: ich kobiety wcierały we włosy mieszankę popiołu i sody, a potem godzinami je czesały. Dzięki temu ciemna farba, której dziewczyna użyła jeszcze w Wenecji, by upodobnić się do młodego Araba, spłowieła do barwy jasnego kasztana, a odrośnięte włosy tworzyły jasną czapkę. Teraz Katharina mydliła, tarła, masowała i splukiwała głowę – raz, a potem drugi. Włosy jej niczym złota grzywa powiewały na wietrze. Nie było w obozowisku człowieka, który by nie przystanął na taki widok.

Adriano nie spuszczał z niej wzroku.

Tej nocy, w jasnym świetle księżyca, Katharina wręczyła rycerzowi nową pelerynę. Ze wzruszenia nie mógł wykrztusić słowa. Na szacie widniał ciemnoniebieski krzyż o ośmiu wierzchołkach, który stanowił sens życia Adriana. Znowu mógł pokazać światu swoje oddanie Błogosławionej Dziewicy.

Opowiedział wreszcie Katharinie swoją historię.

Dwadzieścia lat temu z okładem, jeszcze w Aragonii, namiętnie kochał dziewczynę o imieniu Maria. Chciał się z nią ożenić, ale ona wyznała, że miłuje innego. Adriano wpadł w szal, wyzwiał tamtego mężczyznę na pojedynek i zabił. Maria wstąpiła do zakonu, gdzie zapewne żyje po dziś dzień. Tyle Katharina wiedziała. Teraz, nad szmaragdowym strumieniem szumiącym łagodnie w kamiennym łożu, Adriano zwierzył się z cierpienia, które zatruwało każdy dzień jego życia.

– Wiedziałem w głębi serca, że Maria nie darzy mnie uczuciem – zaczął cicho, owijając się peleryną. – Zaślepiły mnie duma i pycha. Wierzyłem, że z czasem mnie pokocha. Ale ten drugi... gdyby był to ktoś inny, może nie przejąłbym się i czekał, aż Maria sama do mnie przyjdzie. Rywal był jednak moim bratem, i ta myśl nie daje mi spokoju. – Popatrzył udręczonymi oczami na Katharine. – Tak, zabiłem brata. Zamordowałem go ze ślepej zazdrości. Nigdy nie zrobił mi nic złego. Nie mam prawa do szczęścia, Katharino. Nie mam prawa cię kochać ani być przez ciebie kochany.

Zaszlochał, a ona objęła go czule. Ukrył twarz w puszystych, złotych włosach Kathariny, poczuł jej ciepłe usta na swoich policzkach i szyi. Łzy dziewczyny mieszały się z jego łzami, aż w końcu ich wargi przywarły do siebie i oboje legli pod rycerską peleryną, w końcu znajdując ukojenie w miłości.

Gdy się przebudzili, Adriano wstał i ujął Katharine za rękę. Zaprowadził ją na brzeg szmaragdowego strumienia i wbił w ziemię swój miecz, broń o złotej rękojeści подарowaną przez Asmahan. Uklękli jak przed krzyżem i mężczyzna rzekł:

– Jesteśmy z dala od księży i kościołów, ale widzi nas Bóg, Błogosławiona Dziewica i wszyscy święci. Biorę ich na świadków, ukochana Katharino, i oświadczam, że jesteś moją żoną, ja zaś twoim mężem, i ślubuję ci duszę i ciało, miłość i poświęcenie, przez resztę życia, aż do śmierci i spotkania w niebie.

Katharina złożyła taką samą przysięgę, pewna, że niezależnie od tego, co ich spotka, już na zawsze będą razem.

Cały świat przestał dla nich istnieć. Nie mogli uwierzyć w swoje szczęście, obiecali Bogu dobre uczynki w zamian za tę radość. Pewnego poranka wyszli z namiotu, by wykapać się w strumieniu. Katharina dołączyła do kobiet i dzieci. Baraszkowała w wodzie z Bulbulem. Jak każdego dnia zapewniała go, że wkrótce dołączy do dziadka i krewnych. Zapytał, jak zawsze, czy będzie tam mama. Odpowiedziała:

– Nie wiem, może – i dodała: – Mama chce, żebyś mieszkał z dziadkiem, on nauczy cię jeździć konno.

Po raz pierwszy zrobiło się jej smutno, że musi oddać chłopca jego rodzinie. Przez te wszystkie tygodnie od opuszczenia Konstantynopola szczerze pokochała dziecko.

Wycierała Bulbula, gdy dobiegł ją pierwszy krzyk. Odwróciła się. Po obozowisku galopowali na koniach mężczyźni uzbrojeni w olbrzymie miecze.

Katharina chwyciła chłopca i pobiegła. Dotarła do tej części strumienia, gdzie kąpali się mężczyźni z karawany. Dali się zaskoczyć. W całym zamieszaniu dostrzegła Adriana w pelerynie, oślepiająco białej w porannym słońcu. Zawołała go w chwili, gdy miecz zanurzał się w jego plecach, dokładnie pośrodku krzyża. Patrzyła z przerażeniem, jak Adriano szeroko rozło-

żył ręce i runął na kolana, a potem na twarz. Z pleców rycerza sączyła się krew. Wysoko wzniesiony miecz opadł na jego szyję. Katherina zdążyła zakryć Bulbulowi oczy, zanim głowa jej ukochanego wpadła do strumienia.

Porwała chłopca w ramiona i rzuciła się do ucieczki, ale jeźdźcy ją dogonili. Wyrwano jej chłopca z rąk. Maleńki Bulbul wyleciał w powietrze niczym leciutki ptaszek, a potem spadł głową na skałę. Czaszka dziecka pękła jak melon.

Katharina poczuła w głowie przenikliwy ból i zaraz potem otoczyła ją ciemność.

Odzyskała przytomność. Wokół niej były jakieś kobiety. Niektóre płakały, inne złorzeczyły, kilka siedziało na uboczu. Nic nie pamiętała. Czuła łupanie w głowie i mdliło ją.

Gdzie była? Przetarła oczy i rozejrzała się wokół. Znajdowały się w prowizorycznej zagrodzie, otaczał je płot z kozich skór. Słońce prażyło niemiłosiernie, nie miały gdzie się schronić – rosło tu tylko bezlistne drzewo o wątych gałęziach. Na krańcach zagrody stały prymitywne namioty, dym unosił się z ogniska. Słyszała krzyki, kłótnie i tętent kopyt.

Powoli zaczęło jej się rozjaśniać w głowie, mdłości minęły, ale pamięć jeszcze nie powróciła. Nagle do zagrody weszli mężczyźni. Kazali dziewczętom zdjąć ubranie i przyglądali się każdej uważnie. Najwyraźniej jednak nie mieli zamiaru ich wykorzystywać. Katharine olśniło; to na pewno handlarze niewolników! Grecka karawela! Pałac sułtana! Znowu? Za nic w świecie!

Cofała się powoli, wtem straciła równowagę i oparła się o pień uschniętego drzewa. Przyłożyła rękę do piersi, pod suknią poczuła twardy przedmiot. Ze zdumieniem wyciągnęła skórzany woreczek na rzemyku. Coś jej przypominał, był chyba ważny... Pośpiesznie zdjęła go z szyi i wrzuciła do otworu w pniu, upewniwszy się najpierw, że nikt jej nie widzi.

Po chwili otoczyli ją mężczyźni. Jej włosy wywołały poruszenie. Nie rozumiała, co mówią, ale z gestów domyśliła się, że przedstawia dla nich jakąś wartość. Rozebrali ją i obejrzeliby dokładnie. Wreszcie zebrali ubrania kobiet i ich cały dobytek, a potem rozdali im szorstkie suknie z taniej wełny. Słońce już zachodziło, kiedy zostawiono pojmane samym sobie. Nieszczęsne zbiły się w grupki, lamentując i szlochając, Katharina zaś podeszła do drzewa i wyjąwszy dyskretnie ukryty w nim woreczek, zawiesiła go na szyi pod suknią.

Wszystko wróciło do niej nocą. Śniła o Adrianie i Bulbulu i obudziła się z krzykiem. Kiedy uświadomiła sobie, co się stało, jaki los ją czeka, rozszlochała się gorzko i rozpaczliwie, a pozostałe kobiety nawet nie próbowały jej pocieszać.

Potem żyła jak we śnie. Nieświadoma życzliwości towarzyszek niedoli, nie odpowiadała na pytania, piła wodę jedynie wtedy, gdy przystawiono jej naczynie do ust, ale odmawiała przyjmowania pokarmów. Siedząc, wpatrywała się w horyzont.

Adriano, martwy, z mieczem między łopatkami.

Bulbul, jego mózg wypływający na skałę.

A ona żyła, i znów była niewolnicą.

Katharina nie protestowała, kiedy jedna z plemiennych kobiet umyła jej włosy, a gdy wyschły, uczesała złote loki i zawołała do zagrody sąsiadki, by i one popatrzyły na piękne pukle koloru słońca.

Następnego dnia wróciła z mydłem i ostrym nożem. Tym razem starannie ogoliła głowę Kathariny, zbierając jej włosy do kosza. Dziewczyna obojętnie patrzyła na ciągnącą się aż po horyzont pustynię.

Tydzień później ujrzała niewiastę – wniosując z liczby monet, które nosiła zamiast ozdób, zapewne najważniejszą żonę przywódcy – jak dumnie paraduje w prymitywnej peruce. Mimo odrętwienia Katharina zaczęła się zastanawiać, po co tym kobietom peruki, skoro cały czas zasłaniają głowy. Tej nocy usłyszała jęki rozkoszy dobiegające z namiotu przywódcy. Adriano uwielbiał przeczesać palcami jej włosy – to wspomnienie sprawiło jej ból.

Rankiem do zagrody wpadł rozwścieczony mężczyzna. Złapał Katharine za głowę i obejrzał ją uważnie. Potem zaczął wrzeszczeć na kobietę, która ją ogoliła. Katharina nie miała pojęcia, o co się kłóca, ale wciąż padało słowo Zhandu, a mężczyzna ze złością wskazywał rękami wschód.

Dziewczyna dowiedziała się od innych pojmanych, że ludzie ci pochodzą z plemienia Koshów i są słynnymi w tym regionie handlarzami niewolników. Dumni i pyszni, upierali się, że bogowie stworzyli ich na samym początku, wszystkie inne rasy zatem istnieją tylko po to, by im służyć. Była to społeczność wojowniczych nomadów, nie mieszała się z innymi ludami, uważanymi przez nich za poślednie. Koshowie mieli okrągłe twarze, skośne oczy i płomiennorude włosy. Jeździli na dzikich koniach o wełnistej sierści i potarganych grzywach.

Wreszcie zwinęli obóz i podążyli na wschód, a Katharina znowu nie protestowała ani nie pytała, jaki los ją czeka. Przeszli wiele kilometrów, zatrzymując się w rozmaitych osadach i sprzedając swoich więźniów. Ją jednak prowadzili dalej. Widocznie czekali, aż odrosną jej włosy, a potem zamierzali zabrać ją do miejsca o nazwie Zhandu.

Szła obok ich koni i dwugarbnych wielbłądów, nie zwracając uwagi na palący piasek pod boscymi stopami, na zmęczenie ani głód. Myślała tylko o Adrianie: gdzie teraz była jego dusza? Czy wróciła do Hiszpanii, do ukochanej Aragonii? A może pofrunęła do Jerozolimy i kryje się w cieniach małego kościoła pod wezwaniem Błogosławionej Maryi? Albo krąży nad głowami swoich towarzyszy z bractwa na Krecie, milcząco wspierając ich w walce z niewiernymi? Czasem, późną nocą, gdy wiatr zawodził, a ona patrzyła w gwiazdy, niemal widziała Adriana przy swoim boku, czuła, że jego duch pragnie wziąć ją w ramiona.

Pewnej nocy przybył jakiś mężczyzna, by ją obejrzyć. Targował się zajadle z jej opiekunką. Katharina rozumiała już podstawowe słowa w języku Koshów. Kobieta zażądała za nią niewiarygodnie wysokiej ceny. Dlaczego? – dziwił się kupujący, a ona dźgnęła zaokrąglony brzuch dziewczyny palcem i oświadczyła:

– Tu jest dziecko.

Katharina natychmiast otrząsnęła się z odrętwienia.

Popatrzyła ze zdumieniem na swój brzuch. Kobieta miała rację! Pogrążona w rozpacz nie zauważyła, że nie nękają jej comiesięczne przypadłości ani że, choć mało je, jej brzuch rośnie.

Dziecko Adriana.

Wyjęła skórzany woreczek spod szorstkiej szaty. Na widok pejzażu z Badendorfu i miniatury ze świętą Amelią i niebieskim kryształem zapłakała. Teraz jednak oprócz żalu była w niej isierka nadziei – Adriano wciąż żył w swym dziecku.

Wielka karawana Koshów szła na wschód, zatrzymując się tylko po to, by sprzedać niewolników i uzupełnić zapasy. Wkraczali w obce rejony, coraz dalej od świata znanego Katharinie. Dostawała tylko tyle stawy, by nie umrzeć z głodu, a teraz bardzo chciała żyć. Walczyła o resztki jedzenia i kradła je innym, by utrzymać przy życiu rosnące w niej dziecko. Uważała Koshów za bezbożne, dzikie plemię, brutalne i okrutne. Kiedy ścinano głowę przestępcy, całe plemię grało nią w piłkę. Śluby były prymitywne: przyszła panna młoda wskakiwała na konia i ruszała galopem, a zalotnicy jechali za nią. Ten który ją złapał i powalił na ziemię, zostawał jej mężem. Koshowie zamęczali swoich niewolników na śmierć, a ciała zostawiali bez pochówku. Często się jednak śmiali, tańczyli i śpiewali, i pili piwo tak mocne, że od samych oparów Katharinie kręciło się w głowie. Dziewczyna obserwowała swoich prześladowców i przyswajała ich język, tak jak niegdyś nauczyła się łaciny i arabskiego; to mogło pomóc przetrwać jej i nienarodzonemu maleństwu.

Koshowie spędzali zimę na płaskowyżu pośród starożytnych ruin budowli wzniesionych przez inne plemię. Tu Katharina urodziła jasnowęsłą córeczkę. Jej pierwszy krzyk rozbił mur wokół serca matki. Nadała dziewczynce imię Adriana, na cześć jej ojca. Mijały dni i tygodnie, a ona, karmiąc dziecko piersią, kołysząc i niańczyąc, czuła, jak jej smutek przemija i ogarnia ją radość, jakiej nigdy już nie spodziewała się doświadczyć. Dziecko jednak urodziło się wątłe i było bardzo słabe. Katharina szybko straciła pokarm i wkrótce znów musiała walczyć o jedzenie.

Kiedy przywódca i jego najważniejsza żona ujrzeli złote włosy niemowlaka, z satysfakcją pokiwali głowami. Katharina znowu usłyszała słowo Zhandu. Widocznie jej i Adrianie szykowali odmienny los niż innym niewolnikom.

W Górach Bólogłowych Koshowie obozowali na wysokiej przełęczy otoczonej ośnieżonymi szczytami. Pewnej nocy usłyszeli dźwięk podobny do grzmotu, który zaniepokoił Katharine, a poruszył jej porywaczy. O świcie ruszyli pieszo przed siebie, aż znaleźli ślady nocnej lawiny. Gorączkowo rozgarniali śnieg, wszyscy, także jeńcy. Ich wysiłek wkrótce został nagrodzony. Handlarze krzyczeli z radości, wyciągając ciała ludzi i towary należące do nieszczęsnej karawany, którą zagarnęła lawina. Katharina początkowo sądziła, że szukają żywych, ale myliła się – kiedy znaleźli oddychającą jeszcze ofiarę, zasztyletowali ją: interesowały ich wyłącznie łupy. Słysząc było stłumione jęki, gdy Koshowie pozbawiali umarłych i umierających ubrań oraz biżuterii. Bardzo się tego dnia wzbogacili, była to bowiem karawana z Chin, z transportem złota i jedwabiu. Musieli jednak szukać innej drogi: przełęcz była niedostępna aż do wiosny, kiedy śnieg się rozpuści i zmyje ciała ludzi i zwierząt.

Podczas tej podróży Katharina podziwiała wspaniałe widoki. Obserwowała je, jakby była jednocześnie dwiema osobami: jedną, którą zdumiewa różnorodność świata, i drugą, która, ci-chutko szlochając, myśli tylko o dziecku Adriana.

Tylko raz spróbowała ucieczki. Na rozstaju dróg mijali wielkie obozowisko. Setki koni, wielbłądów i kucyków piły wodę z rzeki, a dym z tysiąca ognisk unosił się w niebo. Kiedy rudowłosi handlarze rozbili obóz, mniej więcej piętnaście kilometrów od rozstaju dróg, Katharina poczekała, aż wszyscy zasną, po czym wyśliznęła się z namiotu, odwiązała konia i, z Adriana przy piersi, odjechała.

Złapali ją kilka metrów od granicy obozowiska, ściągnęli z konia i spuścili potężne lanie na oczach zgromadzonej gawiedzi. Odtąd, gdy karawana zbliżała się do innych podróźnych albo osad, ktoś zabierał Katharinie dziecko i trzymał je, dopóki znowu nie wyruszyli w drogę. To był najlepszy sposób, żeby zaniechała ucieczek.

Minęli złotoczerwone ruchome piaski przeklętej Takla Makan, gdzie miraż i niezwykle dźwięki wabiły nieostrożnych podróźników, gotując im śmierć. Tu piaski wędrowały tak szybko i nieprzewidywalnie, że łatwo można było zgubić szlak. Przechodzący tędy ludzie wznosili wieże ze zwierzęcych kości, by wskazać drogę innym. Plemię Koshów budowało wieże z kości ludzkich. Karawana wiła się wzdłuż mglistych rzecznych wąwozów i mijała wysokie pastwiska. Podczas upalnego lata podróżowali tylko nocą; zimą walczyli ze śniegiem i lodowcami.

W końcu Koshowie dotarli do celu, położonego wysoko w górach, z dala od Jedwabnego Szlaku. W tym dziwnym miejscu strażnicy pełnili wartę w kamiennych wieżach. Kiedy handlarze dojechali do ostatniego przystanku na swojej drodze, u stóp tajemniczego, zakrytego chmurami płaskowyżu, na który podobno nie miał wstępu nikt obcy, Katharina była w niewoli już od czterech lat. Jej włosy odrosły, miała dwadzieścia trzy lata, a mała Adriana trzy.



Droga do Zhandu wiodła przez stromą i wąską górską przełęcz, bardzo trudną do pokonania. Musieli iść gęsiego, po obu stronach wznosiły się olbrzymie szare góry. Na końcu tego niebezpiecznego szlaku stała drewniana brama, gruba na kilka łokci, zwieńczona kolcami. Przed nią stali mężczyźni uzbrojeni we włócznie. Na płaskowyż można się było dostać tylko tą bramą, i tylko za zgodą Niebiańskiego Władcy. Zhandu funkcjonowało tak od wielu wieków, bez kontaktu z resztą świata.

Karawana Koshów szła dalej, przeszła przez bramę i podążała aż do Boskiego Mostu, marmurowo-granitowego arcydzieła inżynierii, osadzonego na masywnych pylonach, wśród których szalała rzeka, szmaragdowa i biała od piany, wezbrana po niedawnych roztopach. Za nią widniał płaskowyż, na którym człowiek czuł się jak na czubku świata. Były tu zielone drzewa i żyzne pola. Oczy Kathariny rozszerzyły się ze zdumienia na widok owoców, kwiatów i traw; nigdy dotąd nie widziała miejsca tak podobnego do rajskiego ogrodu. Pośrodku płaskowyżu wyrastało miasto pełne kopuł, iglic i białych murów, które zdawały się falować w blasku słońca.

Plemię rozbiło obozowisko w cieniu niezwykłych turkusowych kopuł i kryształowych wież za wysokimi murami Zhandu. Nie każdego wpuszczano: tysiące ludzi obozowały na płaskowyżu i mogły tylko spoglądać z zachwytem na miasto. Wyglądało, jakby płynęło wśród chmur.

Na spotkanie wyjechał przedstawiciel władz miasta. Katharina była ciekawa, czego Koshowie i wszyscy inni handlarze obozujący nieopodal chcą od mieszkańców Zhandu. Dlaczego odbywają tak długą i niebezpieczną wędrówkę do tego miejsca na końcu świata? Dowiedziała się, że obywatele Zhandu mają tyle bogactw, że nie wiedzą, co z nimi począć. Płacili, ile się od nich zażądało, bez targów. Rzeczywiście. Za nią zapłacono belami cudownego białego futra, pod którymi jaki aż się ugięły. Futra te, zwane gronostajami, w Konstantynopolu, a nawet w Europie uważano za niezwykle cenne. Tu traktowano je niczym zwykłe bochny chleba. Jej porywacze nie kłamali. Mieszkańcy Zhandu nie liczyli się z groszem.

Katharine posadzono na mule, Adrianę na jej kolanach, a zwierzę przywiązano do dwugarbnego wielbłąda człowieka, który wyjechał im na spotkanie. Teraz wracał do miasta w szczelnie zasłoniętej lektyce, by nikt nie mógł go zobaczyć. Towarzyszyła im setka strażników w idealnie dopasowanych mundurach, złożonych z niebieskich pantalonów, szkarłatnych kamizelek i jasnożółtych turbanów. Gdy ta dziwna procesja minęła masywne bramy Zhandu, Katharina spojrzała za siebie. Koshowie wyruszali właśnie w drogę, chcąc jak najszybciej wrócić do cywilizacji i zarobić na futrach.

Katharina i Adriana nie dojechały do centrum miasta; niemal natychmiast zdjęła je z muła gromada sług w niebieskich i czerwonych strojach i w dziwnych pantoflach z zadartym noskiem. U wrót w murze przekazano je odźwiernemu w przepięknych szatach, który bez słowa popędził je długim korytarzem, po trzech kondygnacjach krętych schodów, później znowu korytarzami, pod łukowatym sklepieniem i przez drzwi o wiele wyższe od człowieka, a potem bez słowa zo-

stawił w ogrodzie pełnym najbardziej niezwykłych ptaków, jakie widziała Katharina: olbrzymich jaskraworóżowych stworzeń, stojących na jednej nodze.

Nagle nie wiadomo skąd pojawiła się niezwykła kobieta, spowita w morze jedwabiu. Miała okrągłą płaską twarz i skośne migdałowe oczy Koshów, brakowało jej jednego zęba. Jej fryzura wprawiała w osłupienie: długie rude włosy ułożono na kształt dwóch olbrzymich kół po obu stronach głowy, wpleciono w nie kolorowe wstążki i ozdoby ze srebra, złota i pereł. Hafty na jej jedwabnej sukni były niewiarygodnie piękne, nawet dla Kathariny, która widziała wiele wspaniałych haftów w pałacu sułtana. Turkusowo-złoty paw na szacie kobiety wyglądał tak, jakby lada chwila zamierzał rozpostrzeć ogon i zejść z tkaniny.

Na twarzy przybyłej malowały się radość i nadzieja, ale jej uśmiech zamarł na widok nowego nabytku. Zmarszczyła brwi, gdy ujrzała długie jasne włosy dziewczyny, a potem popatrzyła jej w oczy.

– Fu! – prychnęła i odwróciła się, by wyjść.

– Błagam, pani – odezwała się Katharina w języku Koshów. Kobieta znieruchomiała ze zdumioną miną.

– Mówisz naszym językiem? – spytała.

– Żyłam wśród waszych ludzi przez cztery lata. – Sądząc po rysach twarzy, kobieta pochodziła z tego samego plemienia. – Dokąd mamy się udać, ja i moja córka?

Kobieta popatrzyła na Katharine jak na umysłowo chorą, znów niecierpliwie machnęła ręką i wyszła z komnaty.

Dziewczyna zwróciła się do odźwiernego, mężczyzny w długiej szkarłatnej szacie z jedwabiu i małym, czarnym nakryciu głowy:

– Muszę odejść. Nie możecie mnie tu więzić.

Spojrzał na nią tak samo jak nieznajoma kobieta i odparł obojętnie:

– Możecie odejść. Najwyższa Siostra was nie chce. – On też mówił w języku Koshów, ale dialektem, i Katharina zrozumiała go dopiero po chwili. Zamrugnęła.

– Mogę odejść? Mogę odejść z Zhandu? Razem z córką? Nie jesteśmy więźniarkami?

– Musicie odejść. Nie trzymamy więźniów i nie lubimy gości. – Zmarszczył nos, jakby wyczuł jakiś odór. – Strażnicy odprowadzą was do bramy.

– Teraz? Przecież nie mamy pieniędzy ani jedzenia.

– To nie nasza sprawa.

– Po co nas tu w ogóle sprowadzono? Lekceważąco machnął ręką.

– Nastąpiła pomyłka – mruknął tylko. – Idź już.

Katharina patrzyła, jak się oddalał, i usiłowała protestować, gdy mężczyźni w kolorowych pantalonach i kamizelkach z jedwabiu wyprowadzali ją z ogrodu. Nie byli brutalni jak strażnicy i eunuchowie w pałacu sułtana, zdradzali jedynie oznaki znecierpliwienia ludzi, którym spieszo

na posiłek. Próbowała opisać im swoją sytuację.

– Ci, którzy mnie tu przyprowadzili, plemię Koshów, już odeszli. Nigdy ich nie dogonię. Co mamy począć, ja i moja córka?

Nie odpowiedzieli. Złapała Adrianę na ręce i puściła się pędem krętym labiryntem korytarzy. Wreszcie obejrzała się za siebie. Strażnicy zniknęli.

Ogarnęła ją rozpacz. Co miały zrobić? Nie mogły opuścić miasta ani nie mogły w nim pozostać!

– Mamo! – wyszeptała dziewczynka i oparła głowę na ramieniu matki. Biedna, mała Adriana, ta wyprawa tak ją zmęczyła! Była drobniutka jak na swój wiek, trudno i ubogo żyło się jej wśród Koshów. Handlarze nie nakarmili ich tego ranka. Po co marnować pożywienie, skoro obie miały zostać sprzedane do Zhandu? Mała była jeszcze słabsza niż zwykle. Trzeba było koniecznie znaleźć jakieś schronienie na noc, a rankiem zastanowić się, co dalej.

Błądząc niekończącymi się korytarzami, Katharina odkryła, że pałac w Zhandu przypomina ul, a elegancy dworzanie co pewien czas pojawiają się i znikają. Były wśród nich kobiety, inaczej niż w Konstantynopolu. Wszyscy mieli azjatyckie rysy i rude włosy Koshów. Mężczyźni nosili dziwaczne nakrycia głowy wielkości koła od wozu, z rondem obszytym futrem i wysokim, spiczastym wierzchołkiem. Kobiety układały włosy w kunsztowne fryzury, jedna bardziej wymyślna od drugiej. Wszyscy zdawali się podążać w jakimś celu, każdy trzymał papiery albo książki, instrument albo talerz z jedzeniem, i nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na ubraną w łachmany kobietę z wyczerpanym dzieckiem.

Starając się unikać strażników i każdego, kto mógłby wyprowadzić je z miasta, Katharina krążyła po korytarzach z polerowanego marmuru, aż dotarła do skrzydła, które wydawało się opuszczone. Tu znalazła drzwi zasnutę pajęczyną na nadprożu. Popchnęła je i weszła do środka.

Światło wpadało przez wysokie, wąskie okna, oświetlając okrągłą kamienną wieżę wypełnioną od podłogi aż po sufit bronią wszelkiego rodzaju: były tu miecze i włócznie, siekiery i oszczepy, łuki i strzały oraz wiele rodzajów kolczug i zbroi. Najwyraźniej trafiła do arsenału, coś się jednak nie zgadzało – wszystko pokrywał gruby kurz i ogromne pajęczyny, jakby nie używano tego sprzętu od wielu dziesiątków lat.

Katharina podeszła do okna i wyjrzała. Od podstawy kamiennego muru urwisty uskok opadał kilkaset metrów do równiny rozciągającej się aż po horyzont. Po obu stronach strome góry przesywały niebo wiecznie ośnieżonymi wierzchołkami. Jediną drogą do Zhandu była wąska przełęcz. Żaden wróg nie mógł najechać tego górskiego królestwa, zapewne nawet nie próbował już od wielu pokoleń. Mieszkańcy wspaniałego miasta od setek lat nie mieli do czynienia z najeźdźcami ani z wojną.

Znalazła w komodzie wełniane płaszcze oraz stare skórzane hełmy, które, owinięte wełną, mogły służyć za poduszki. Zostawiła Adrianę w komnacie, zakazawszy córce dotykać czegokol-

wiek, po czym ruszyła korytarzem tam, gdzie widziała wcześniej pomieszczenie przypominające kaplicę bogini. Posąg w niszy przedstawiał smukłą, wielkooką kobietę ze współczującym uśmiechem; u jej stóp stało jadalno i płonęły świece. Zauważywszy podobieństwo posągu do Błogosławionej Dziewicy, Katharina odmówiła modlitwę i wzięła trochę jedzenia oraz jedną świecę. Wiedziała, że bogini zrozumie.

Pożywiły się figami i ciastem i wypili dzbanek płynu, który smakował jak ciepły owocowy sok. Katharina odprawiła teraz nocny rytuał, jak zawsze od chwili narodzin Adriany: wyciągnęła obrazek ze świętą Amelią oraz ceramiczny widoczek Badendorfu i opowiedziała córce historię swego życia. Mówiła o Hansie Rocie i Isabelli Bauer, i innych ludziach z miasteczka, a także o rodzinie, która czeka na nie tam, gdzie jest niebieski kryształ – o dziadku Adriany i wielu kuzynach; Isabella wspominała, że szlachcic miał synów, którzy na pewno zdążyli się ożenić i dochować własnych dzieci.

– Jak się nazywasz? – każdego wieczoru pytała córkę. I każdego wieczoru dziewczynka odpowiadała:

– Jestem Adriana von Grünewald.

Mała ziewnęła. Przyszedł czas na bajkę, która pomoże dziecku zasnąć. Adriana często budziła się nocą po koszmarach widzianych u Koshów.

– Dawno, dawno temu... – zaczęła Katharina.

Nauczyła córkę języka porywaczy – kiedyś mogło uratować im to życie – i dziś w języku Koshów opowiedziała jej historię Amelii i niebieskiego kryształu. Była to wymyślona historia, do dnia śmierci matki Katharina nigdy nie słyszała o tej świętej.

– Była sobie dobra i miła pani imieniem Amelia, mieszkała w lasach nieopodal Badendorfu. Była bardzo biedna, miała tylko jeden bezcenny skarb: przepiękny niebieski kryształ, który dostała od Jezusa. Pewnego dnia Jezus spacerował po lesie i zgłodniał, a ona dała mu chleba i kiełbasek. W zamku, wysoko na górze, mieszkał zły król, który zapragnął niebieskiego kryształu...

Ukryte w dawnym arsenale uciekinierki nie wiedziały, że po korytarzach chodzi stary człowiek w białych pantoflach i długiej białej szacie. Słyszac glosy, z ciekawosci zblizył się do drzwi i przycisnął do nich ucho. Katharina zakończyła bajkę słowami: „I tak Amelia i przystojny książę żyli długo i szczęśliwie”, a wtedy popchnął wrota i zaklaskał w dłonie.

Kobieta popatrzyła na niego z niepokojem.

– Opowiedz coś jeszcze – poprosił w tutejszym dialekcie i ze skrzyżowanymi nogami usiadł na podłodze.

Katharina wpatrywała się w nieznanego. Był bardzo stary i miał idealnie okrągłą głowę, jak pomarańcza, całkiem łysą, poza kosmykiem siwych włosów. Jego oczy były skośne, jak oczy Koshów, i wyglądał, jakby się nieustannie uśmiechał. Wszystko w nim wydawało się okrągłe:

okrągły brzuch pod białą szatą, okrągły czubek nosa, okrągłe policzki. Sprawiał nieco dziwne wrażenie, a może był niespełna rozumu?

– Inną opowieść! – powtórzył, tym razem bardziej stanowczo.

Katharina zerknęła na Adrianę, która wpatrywała się w dziwnego gościa. W swoim krótkim życiu wśród Koshów nauczyła się milczeć w towarzystwie nieznajomych i nie zwracać na siebie uwagi.

Najwyraźniej mały człowieczek nie zamierzał odejść, dopóki nie usłyszy nowej bajki. Katharina postanowiła opowiedzieć mu o Czerwonym Kapturku, bo bajka była niedługa.

Kiedy jednak dobiegła końca i myśliwy zabił wilka, starzec zaklaskał w dłonie i w uśmiechu pokazał bezzębne dziąsła, po czym kazał opowiedzieć coś jeszcze. Katharina zaprotestowała. Adriana ledwo patrzyła na oczy. Starzec się zdenerwował. Poprosiła, żeby wrócił jutro, ale on zaczął krzyczeć i nagle przybiegli strażnicy.

Katharina zerwała się na równe nogi z Adriana w ramionach i cofnęła przed włóczyniami o złotych grotach. Staruszek wykrzykiwał coś tak bełkotliwie, że nie mogła go zrozumieć. Teraz przybyła kolejna osoba. Widocznie wszyscy szukali starca.

Była to kobieta z ogrodu, nazwana przez strażnika Najwyższą Siostrą. Przystroiła się w szatę ozdobioną kwiatami tak oszalałymi, że mogłyby zwabić pszczoły.

– Czemu wciąż tu jesteś i czemu denerwujesz mojego brata? – spytała kobieta.

– Nie miałyśmy dokąd pójść...

Warknęła coś do strażników, którzy zrobili krok w stronę Kathariny.

– Błagam, pani – powiedziała. – Pozwól nam tu trochę zostać. Moja córeczka nie najlepiej się czuje.

– To nie moja sprawa – rzuciła kobieta.

– Ależ tak! Przyprawdzili mnie tu ludzie z plemienia Koshów. Sprzedali mnie.

– Tak, ale nie jesteś nam potrzebna. Musisz odejść.

– Nie mogę odejść! Moje dziecko źle się czuje! Migdałowe oczy popatrzyły na Adrianę.

– Co jej jest?

– Koshowie marnie nas karmili. Dawali nam ochłapy, których nie chciały jeść nawet psy. Jako niemowlę za mało jadła. Musi odpocząć.

– Koshowie to świnie – prychnęła kobieta. – Mimo to musisz odejść.

– Ależ mogę zarobić na swoje utrzymanie – powiedziała z rozpaczą Katharina. – Potrafię haftować. Jestem w tym bardzo dobra.

– Ba! Tu mnóstwo kobiet potrafi haftować. Ja także, i to lepiej, niż mogłoby się wydawać. – Najwyższa Siostra zbierała się do odejścia, ale starzec ją zatrzymał. Pociągnął kobietę za rękaw i wyszeptał jej coś do ucha. Odwróciła głowę i zmrużyła oczy. – Mój brat twierdzi, że potrafisz opowiadać historie. Jakie historie?

Czyżby opowiadanie bajek było w tym mieście przestępstwem?

– To tylko dziecięce historyjki, nie chciałam zrobić nic złego.

– Opowiedz mi coś.

Cóż to byli za ludzie, bali się bajeczek?

– Ależ to zwykle bajki. Całkiem nieszkodliwe, pani.

– Chcę coś usłyszeć. – Ku zdumieniu Kathariny kobieta skrzyżowała nogi i usiadła na podłodze, jak przedtem jej brat.

Katharina usiłowała przypomnieć sobie najbardziej niewinną bajkę, jaką знаła, na wypadek, gdyby jej słowa mogły niechcący kogoś obrazić. Zdecydowała się na Raszpunkę i natychmiast zyskała oddanych słuchaczy w osobach swojej córki, staruszka, jego siostry i strażników. Kiedy dotarła do końca i opowiedziała, jak Raszpunka przechytrzyła czarownicę, wszyscy śmiali się, klaszcząc z radości, od Adriany do najsroźszego ze strażników.

Zachowanie kobiety od razu się zmieniło.

– To była dobra opowieść – stwierdziła z promiennym uśmiechem. – Jeszcze jedną.

– Ależ, pani, moje dziecko jest zmęczone i słabe, obie jesteście wyczerpane.

– Jeszcze jedną i pójdiesz spać.

Zanim Katharina dotarła do połowy bajki o żółwiu i zającu, Adriana spała już w jej ramionach. Dziwne audytorium wciąż jednak słuchało z przejęciem, nie mrugnawszy okiem i ledwie oddychając podczas opowieści. Na koniec wszyscy się cieszyli i gratulowali żółwiowi.

Katharine zdumiała reakcja tych ludzi na zwykłe opowiadki, znane, jak sądziła, wszystkim. W domu ciekawiły jedynie najmłodsze dzieci, które słyszały je po raz pierwszy, inna publiczność nudziła się szybko i żądała czegoś nowego. Czyżby dobrowolna izolacja Zhandu od świata spowodowała, że znudziły ich już ich własne opowieści, pragnęli więc nowych mitów i legend, jak inni złota i wina? Najwyższa Siostra podniosła się z miejsca.

– Możesz zostać. Będziesz nam opowiadała historie. Katharina poczuła przyływ nadziei.

– Dostaniemy własną komnatę?

– Jeśli przystaniesz na moją propozycję.

– I jedzenie dla dziecka?

Kobieta zmrużyła oczy i zmarszczyła nos:

– Jest drobniutka. Musi przybrać na wadze. Opowiadaj nam piękne historie, a dostaniesz piękną komnatę, piękne szaty i wyborne jedzenie. Mój brat jest szczęśliwy. – Poklepała starca po ramieniu.

– Dopilnuje, byś i ty była szczęśliwa. – I dodała: – Zamieszkaż z nami na zawsze.

Ulga Kathariny przerodziła się w panikę.

– Ale muszę jechać do Jerozolimy – wyjąkała.

– Co? A gdzie to jest?

Katharinie odjęto mowę. Przecież wszyscy w świecie słyszeli o Jerozolimie!

- To miasto... – zaczęła, ale przerwał jej pełen zniecierpliwienia gest.
- Kiedy już opowiesz wszystkie historie, udasz się w swoją drogę.
- Będę potrzebowała pieniędzy na podróż.
- Mamy mnóstwo pieniędzy. – Kobieta wzruszyła ramionami.
- Opowiadaj historie, a odejdiesz stąd bogata.

I tak Katharina dowiedziała się, że ma opowiadać bajki Niebiańskiemu Władcy, królowi Zhandu, i Letniej Róży, jego siostrze.

Pierwszego wieczoru, gdy wraz z Adriana zostały pod eskortą zaprowadzone do królewskich apartamentów, Katharina przeżyła wstrząs. Zamiast przed królem i królową, stanęła przed widownią złożoną z kilkuset osób.

Nie speszzyła się jednak. Opowiadanie bajki jednemu dziecku albo trzystu dorosłym sprowadzało się do tego samego: należało zainteresować słuchacza, przedstawić mu bohatera, sprawić, by z zapartym tchem śledził rozwój wypadków i nagrodzić go satysfakcjonującym zakończeniem. Gdy mówiła, skrybowie siedzieli przy misternie zdobionych stolikach, ze zwojami, piórami i atramentem, i zapisywali opowieści Kathariny zawiłymi znakami alfabetu Zhandu. Zwoje miały zostać skopiowane i rozprowadzone po królestwie, by inni gawędziarze czytali je mieszkańcom dalekich stron.

Opowiadała Niebiańskiemu Władcy i jego dworzanom baśnie z lasów swej ojczyzny – o księciu przemienionym w żabę, Królownie Śnieżce i dwunastu tańczących księżniczkach. Kiedy skończyły się jej niemieckie legendy, przeszła do opowieści o życiu Jezusa i świętych, a potem o Mahomecie, o którym wiele słyszała w Konstantynopolu. Ulubione baśnie dworu roiły się od dziwnych stworzeń, takich jak gadające żaby, tańczące osły, konie, które potrafiły latać, i ogary czające się pod mostami, by łapać nieświadomych podróżnych. Często zdarzały się w nich cuda i dziwy. Każdego wieczoru zabawiała rosnącą widownię i codziennie nagradzano ją obiecany monetami ze złota, mnóstwem jadła i wolnością w obrębie miasta. Katharina przekonała się, że ludzie wszędzie są tacy sami – wieśniacy na farmie w Niemczech i mędrzy z górskiego królestwa. Mieszkańcy Zhandu śmiali się, gdy myszy przechytrzyły kota, płakali, gdy umierały piękne heroiny, i wznosili radosne okrzyki na cześć przystojnych bohaterów. Jęcze-li z przerażenia, że zła królowa naprawdę zje serce Królowny Śnieżki, wykrzykiwali: „Uważaj!”, kiedy Czerwony Kapturek spotkał w lesie wilka; drżeli, gdy Katharina opisywała im wielkie mroczne lasy, pełne złych żab i ogrów, szydzili z lisa, który twierdził, że winogrona muszą być kwaśne; klaskali w dłonie Zygrydowi, gdy odebrał magiczny skarb Nibelungom. Najbardziej jednak lubili historię o dziewczynie, której umierająca matka nakazała odnaleźć ojca i która napotkała wiele przeszkód na pełnej przygód drodze. Katharina nie dokończyła opowieści, zapytali

więc, czy dziewczyna znalazła ojca, a ona wyjaśniła im, że to jej historia. Klaskali i orzekli, że ta opowieść była najlepsza ze wszystkich.

Po raz pierwszy od czasów obozowiska nad szmaragdowym strumieniem Katharina poznała, co to szczęście. Zhandu było cudowną krainą ośnieżonych górskich szczytów i porośniętych mchem dolin, złotych kopuł i iglic z kości słoniowej. Wszystkie budowle nosiły wspaniałe nazwy: Nefrytowa Brama, Pałac Niebiańskiego Szczęścia, Gmach Radosnej Kontemplacji. Nielicznych gości przybyłych tu ze świata ustawiano przed Lustrem Ukrytej Prawdy, a czarnoksiężnik – nazywany Wu, co w języku tego ludu oznaczało mędrca – przyglądał się ich odbiciom, by osądzić uczciwość danej osoby. Każdej nocy armia szefów kuchni tworzyła cuda: wieże z waty cukrowej, marcepan w kształcie kwiatów i zwierząt, wielokolorowe ciastka, które rozpląwały się w ustach. Rzadkie i kosztowne ryby, sprowadzane przez pracowitych podróżnych z dalekiej północy, układano na delikatnych chlebach i ciastach. Wino chłodzono w śniegu znoszonym z gór.

Kiedy Katharina przybyła tu z Koshami, zdumiała ją liczba gronostajowych futer oferowana za nią handlarzom. Zastanawiała się, czy ludzie z Zhandu są tak bogaci, że nie zależy im na pieniądzu. Przekonała się jednak, że świat zewnętrzny nie ma im nic do zaoferowania: ludzie stąd przez okrągły rok jedli owoce i orzechy ze swoich drzew, – mieli całe akry zbóż i warzyw; pod dostatkiem dzikiej zwierzyny w lasach, pełne miodu ule i świeżą, zdrową wodę z mineralnych źródeł. Wpuszczano niewielu gości, jeszcze mniej handlarzy. Wysłannicy miasta po inspekcji towarów za bramą zazwyczaj wracali z pustymi rękami. W Zhandu było wystarczająco dużo jedwabiu, klejnotów, wyborowej strawy, wina i luksusowych przedmiotów.

Brakowało tylko opowieści. Po raz pierwszy od wielu pokoleń człowiek z zewnątrz wniósł tu coś nowego.

Katharina i jej córka otrzymały wspaniałe komnaty, olbrzymie łoża nakryte atłasowymi narzutami, nowe stroje, klejnoty i tyle strawy, ile chciały, a także wolność – musiały tylko każdego wieczoru wracać do pałacu na opowieść dla Niebiańskiego Władcy. Przystosowały się do panujących w Zhandu zwyczajów. Katharina odkryła sekret niewiarygodnych fryzur dam: fryzjerki układały je na bardzo cienkim nefrycie, który najpierw przymocowywano do czaszki, potem oplatano na nim długie włosy, zasłaniając nefryt pasmami i warkoczami, co wyglądało jakby włosy stały, a całość przytrzymywały przypominające druty długie szpilki z kości słoniowej. Matka i córka nosiły długie suknie z jedwabiu i pantofle o zadartych noskach, a każdej nocy Katharina liczyła monety ułożone w rosnący powoli stosik i myślała o dniu, w którym opuszczą miasto i wyruszą w drogę.

Przywykły do życia w tym niezwykłym królestwie. Koszmary Adriany stały się coraz rzadsze: zapomniała o mężczyźnie podpalonym przez Koshów dla rozrywki, o walce z psami o jedzenie oraz rozstaniach z matką za karę. Urosła i nabrała sił. Nadworny medyk zbadał dziecko i orzekł, że ma słabą krew z powodu niedożywienia jeszcze w łonie matki, przepisał więc spe-



cialną herbatkę, która, wraz z wodą, zdanem Letniej Róży magiczną, i czystym powietrzem, miała lecznicze właściwości.

Medyk ostrzegł Katharine, że opuszczenie miasta może być dla dziewczynki groźne. Wzięła sobie te słowa do serca, zwłaszcza że po życiu pełnym trudów i niewygód, kiedy myślała już, że jej dziecko tego nie wytrzyma, tu w Zhandu były nareszcie bezpieczne. Adriana po raz pierwszy miała spokojny dom, tak jak matka wiele lat temu, z Isabella Bauer w Badendorfie. Czy mogła jej to odebrać?

Nocami, gdy Adriana zapadała w sen, a w pałacu robiło się cicho jak makiem zasiał, Katharina siadywała przy lampie, patrząc na portret świętej Amelii z niebieskim kryształem. Jeruzolima wydawała się taka odległa, jakby w ogóle nie istniała; minęło już prawie ćwierć wieku, odkąd jej ojciec zostawił niemowlę pod opieką biednej szwaczki. Czy jeszcze żył?

Mieszkały w Zhandu już ponad rok. Kobieta wciąż przeliczała złote monety, zastanawiając się, czy wystarczy ich, żeby opuścić miasto, aż pewnego dnia przyszła do niej Letnia Róża.

– Chodź ze mną – powiedziała.

Katharina automatycznie wyciągnęła rękę do Adriany, ale Letnia Róża pokręciła głową.

– Zostaw dziecko. Tylko się przestraszy.

Ona jednak nigdzie nie chodziła bez córki, więc i Adriana powędrowała nieznanym korytarzem do części pałacu, w której nigdy wcześniej nie były. Przy zamkniętych i strzeżonych drzwiach Letnia Róża przystanąła i powiedziała uroczyście:

– Na początku poczujesz niepokój, ale on nie zrobi ci krzywdy.

– Z kim mam się spotkać, pani?

– To mój syn, księżę Zhandu.

Katharina była wstrząśnięta. Nigdy nie słyszała o księciu ani następcy tronu. Minęła następne dwie pary zamkniętych i strzeżonych drzwi, a potem weszła do najdziwniejszej komnaty, jaką kiedykolwiek widziała.

W ścianach brakowało okien, do wnętrza nie wpadał ani jeden promień słońca. Z wysokich sufitów zwieszały się setki lamp, płomienie tańczyły w kinkietach na ścianach. Olbrzymią komnatę wieńczyła wysoka kopuła pomalowana na niebiesko, z białymi chmurami; w podłodze lśnił staw pełen złotych rybek, piękna biała czapla przechadzała się pośród trzciny. Drzewa rosły w wielkich donicach, krzewy i najrozmaitsze kwiaty kwitły nad stawem. Odnosiło się wrażenie, że to ogromny ogród, choć nad głową nie było prawdziwego nieba. Kępy trawy wystawały pomiędzy kamiennych płyt. Idąc za Letnią Różą, matka i córka dotarły do pięknego pawilonu, jak te w parkach, jaskrawo oświetlonego lampami. Katharina nie mogła uwierzyć własnym oczom: wśród krzewów pasły się gazy, nad jej głową przeleciał ptak. Wyglądało to tak, jakby z niezrozumiałych powodów ktoś przeniósł ogród do pomieszczenia.

– Bądź spokojna – poradziła jej Letnia Róża. – Na początku przeraża ludzi. Zapewniam cię

jednak, że jest nieszkodliwy.

Katharina zastanawiała się, czy to jakieś więzienie, gdzie trzymają następcę tronu, z dala od światła i wzroku poddanych. Była ciekawa, jaką zbrodnię popełnił. Mocniej ścisnęła Adrianę za rękę i poniewczasie pożałowała, że przyprowadziła tu dziecko.

Nazywał się Lo-Tan, czyli Dziki Smok. Każdego wieczoru, gdy opowiadała historie dworzanom Zhandu, książę słuchał ukryty za przepierzeniem. Teraz zapragnął osobiście poznać gawędziarkę.

To właśnie z jego powodu Katharine sprowadzono do Zhandu. Niebiański Władca wydał odezwę, żądając kobiety o określonych cechach, która miała zostać żoną jego następcy. Kiedy pojawił się Lo-Tan, Katharina od razu zrozumiała, dlaczego Letnia Róża odprawiła ją z kwitkiem: była blada i jasnowłosa, ale nie aż tak jak ten młody człowiek, całkiem pozbawiony barw. Katharina słyszała o albinosach i tak właśnie ich sobie wyobrażała.

Czy nadano mu imię w nadziei, że wyrośnie na dzikiego smoka? Lo-Tan wyglądał jak gołąbek, biały gołąbek bez skazy, delikatny i łagodny. Jej uwagę przykuły oczy młodzieńca – czerwone źrenice w różowych tęczęwkach. Lo-Tan patrzył na nią pewnie i spokojnie, miał uśmiech przyjacielski i rozbijający.

Zanim Katharina zdążyła odpowiedzieć na jego ciche powitanie, Adriana wyrwała się z uścisku matki i nie uciekła, jak obawiała się Letnia Róża, ale podbiegła do księcia. Szarpiąc go za żółte pantalone z jedwabiu, zapytała:

– Jesteś królikiem?

– Adriano! – upomniała ją matka.

Książę jednak tylko się roześmiał. Klękając na jedno kolano, powiedział do dziewczynki:

– A wyglądam jak królik?

– No, nie masz uszu. – Adriana zmarszczyła brwi.

– To dlatego, że nie noszę ich przez cały czas.

– Naprawdę? – Jej twarz się rozjaśniła. – A gdzie je trzymasz?

Lo-Tan wstał i spytał Katharine głosem miękkiem jak chmury:

– Czy młoda dama uczyni mi łaskę i opowie historię? Ona zarumieniła się i odparła:

– To dla mnie zaszczyt.

Letnia Róża uśmiechnęła się przez łzy, z ulgą i wdzięcznością w oczach.

Katharina i Adriana spędzały popołudnia w urzekającym wewnętrznym ogrodzie, odkrywając sadzawki i wodospady, swobodnie krążące ptaki, oswojoną zwierzynę. Królewscy medycy ostrzegali, że pobyt na słońcu może osłabić albo nawet zabić księcia, Lo-Tan nigdy więc nie opuszczał tych murów. Katharinie to nie przeszkadzało, w jego obecności czuła spokój, a Adriana, którą książę przezywał Szczęśliwą Pchełką, uwielbiała bawić się w tej krainie cudów.

Dziki Smok nieśmiało wyznał młodej kobiecie, że uważa jej imię za nieodpowiednie i trudne do wymówienia i nadał jej nowe: Wei-Ming, co oznaczało Złoty Lotos. Kiedy zatem Letnia Róża pewnego popołudnia przyszła do Kathariny, do Ogrodu Spokojnych Myśli, zwróciła się do niej nowym imieniem.

– Myślisz o tym, by nas opuścić – powiedziała poważnie.

Katharina ujrzała smutek na okrągłej twarzy starszej kobiety.

Uświadomiła sobie, że bardzo lubi Letnią Różę i że będzie za nią tęsknić.

– Tak – odparła. – Mam dość pieniędzy, by kupić nam miejsca w karawanie do Jerozolimy.

– Zabierzesz córkę?

Nie odpowiedziała od razu. Wciąż jeszcze nie podjęła decyzji. Adriana miała teraz prawie pięć lat, była szczęśliwym dzieckiem, zaprzyjaźnionym z wieloma osobami, najbardziej z Dzikim Smokiem. Radośnie biegała po pałacu w maleńkich jedwabnych szatkach, ze złotymi włosami uczesanymi w spiczaste wieżyczki. Mówiła w języku Koshów tak dobrze, jakby był jej ojczystą mową. Wszyscy ją uwielbiali. Katharina jednak od początku jej powtarzała, że nadejdzie dzień, w którym będą musiały opuścić Zhandu.

– Pozwól, że złożę ci propozycję – rzekła Letnia Róża łagodnie. Rozumiała rozterki młodej kobiety. Która matka spokojnie zostawi dziecko i ruszy w długą, nieznaną podróż? – Ta Jerozolima, o której mówisz, leży bardzo daleko. Zanim tam dotrzesz, wiele się może wydarzyć. Już dwukrotnie byłaś porywana i sprzedawana... Szczęśliwa Pchełka może stać się sierotą, jeśli ją tu zostawisz. Jeśli zaś ją zabierzesz, może zginąć, trafić do niewoli, znowu zachorować z dala od Zhandu.

Katharina skinęła głową. Letnia Róża nie mówiła nic nowego. Wyglądało na to, że nie ma odpowiedniego rozwiązania: musiała odejść, nie mogła jednak ani zabrać ze sobą dziecka, ani go tutaj zostawić.

I wtedy Letnia Róża powiedziała coś, co sprawiło, że po raz pierwszy w życiu dziewczynie odebrało mowę:

– Jeśli poślubisz mojego syna, ja znajdę twojego ojca. – Nie słysząc odpowiedzi, dodała pośpiesznie: – Nasza dynastia potrzebuje zdrowych następców. Widzisz, mój brat nie ma potomstwa, wszyscy umarli, a Lo-Tan jest moim jedynym synem. Ma już dwadzieścia siedem lat. Piętnaście lat temu kazaliśmy poszukać podobnej doń kobiety. Myśleliśmy, że tak trzeba, teraz jednak sądzę, że nigdy nie znajdziemy takiej niewiasty.

Katharina w końcu odzyskała głos.

– Ale... ale ja go nie kocham.

Letnia Róża patrzyła na nią, nic nie rozumiejąc.

– A co ma do tego miłość? Ja też nie kochałam ojca Lo-Tana.

– Poza tym już jestem mężatką – przypomniała jej cicho.

Letnia Róża poklepała ją po ramieniu.

– Drogie dziecko, mężczyzna twego serca nie żyje. Ty zaś musisz żyć. Jestem pewna, że pragnąłby tego. A czy przynajmniej lubisz mojego syna?

– O tak. – Mówiła prawdę. Darzyła łagodnego Lo-Tana wielką sympatią. Nigdy dotąd nie widziała miłszego i skromniejszego człowieka, poza tym był bardzo dobry dla Adriany.

– Jeśli za niego wyjdiesz – ciągnęła Letnia Róża – możesz pozostać w Zhandu, a my wydamy odezwę, jak kiedyś, gdy szukaliśmy albinoski. Widziałaś, jak daleko sięgają nasze wpływy. Wyłowiono cię z głębi Persji, prawda? Do Jerozolimy też dotrzemy. Wszystkie karawany się tu zatrzymują, a ich przywódcy wiedzą o bogactwach, które na nich czekają, jeśli przyniosą nam to, czego pragniemy. W ten sposób, Złoty Lotosie, nie będziesz musiała rozdzielać się z córką i narażać na trudy długiej i niebezpiecznej podróży, a mimo to znajdziesz ojca!

– Muszę się nad tym zastanowić – oparła Katharina.

Tej nocy modliła się do świętej Amelii o wskazówkę, trzymając w dłoniach maleńki obrazek, który miał gdzieś w świecie swój odpowiednik – inny obraz przedstawiający świętą i jej niebieski kamień. Najprawdopodobniej znajdował się on w posiadaniu europejskiego szlachcica z brodą niczym złote promienie słońca, czekającego na swoją córkę. Modliła się także za duszę don Adriana, którego będzie kochać do końca życia, a potem za maleńką śpiącą córeczkę, Szczęśliwą Pchełkę, wreszcie zdrową i wolną od koszmarów.

Następnego ranka promienie słońca wpadły przez atlasowe zasłony ich sypialni i Katharina usłyszała szepty dworzan, szmer fontann i przepiękne ptasie pieśni. Nad czym tu się zastanawiać? – pomyślała. Letnia Róża mówiła bardzo mądrze: odezwy Zhandu rzeczywiście mogły dotrzeć do krańca Ziemi i jeśli ktokolwiek znajdzie jej ojca, to tylko wysłannicy tego górskiego królestwa.

A poza tym lubiła Lo-Tana.

Zgodziła się. W piękny letni dzień wszyscy mieszkańcy Zhandu zebrali się na wielkiej ceremonii. Katharina Bauer von Grünewald z Badendorfu w Niemczech, matka córki rycerza Bractwa Maryi, don Adriana z Aragonii w Hiszpanii, poślubiła albinoskiego siostrzeńca Niebiańskiego Władcy i syna Letniej Róży, księcia Lo-Tana, i stała się księżną Wei-Ming ze Zhandu.

Jak obiecano, Niebiański Władca wysłał swoich ludzi na poszukiwanie błękitnego kamienia i ojca Kathariny: gończy i emisariusze nieśli w świat odezwę obiecującą wspaniałe nagrody każdemu, kto wie cokolwiek o niebieskim kamieniu albo złotowłosym cudzoziemcu.

Nowina szybko się rozeszła. Rozpowszechniali ją jeźdźcy na wielbłądach i jakach, ludzie marzący o bogactwach Zhandu, – powtarzano ją w garnizonach, w oberżach i na rozstajach dróg. Gdy dwaj podróżni spotykali się przy ogniu, rozmawiali o Zhandu i jasnobrodym nieznanym. Jak wiatr szepczący na wydmach odezwa podążała przed siebie, aż po roku zaczęła przynosić

rezultaty: na płaskowyżu u stóp Zhandu znoszono niebieskie kamienie, niektóre wielkie jak melony, inne małe jak fasolki; kamienie turkusowe i błękitne, czasem zielonkawe, niekiedy niemal czarne. Strażnicy codziennie zbierali kamienie i zanosili je Katharinie, ale jak dotąd nikomu nie wypłacono nagrody.

Później Niebiański Władca kazał królewskim artystom skopiować na grubym papierze obrazek ze świętą Amelią. Były to bardzo dobre kopie, tylko że nie zdołały uchwycić niebieskiego odcienia kryształu, poza tym święta miała nieco azjatyckie rysy. Obrazy wyjechały ze Zhandu w formie zwojów, a wypisano na nich obietnicę nagrody: w języku Koshów, po łacinie, arabsku i niemiecku.

Mijały lata. Choć miłość Kathariny do Lo-Tana w niczym nie przypominała namiętności, którą dziewczyna niegdyś żywiła do Adriana, Wei-Ming czuła wielką sympatię do męża. Mieszkała wraz z nim w pozbawionym słońca świecie, a Adriana rosła zdrowa i doczekała się dwóch braci i siostry. Gdy podrosła, poszła do szkoły wraz z dworską młodzieżą, by uczyć się dodawać i odejmować na urządzeniu zwanym liczydłem i kaligrafować najprostsze litery i słowa. Nie miała wprawdzie pojęcia o geografii, bo lud Zhandu uważał, że Ziemia jest płaska, a ich państwo leży w samym jej centrum, ale uczyła się astronomii i matematyki, poezji oraz malarstwa.

Niebieskie kamienie nadal trafiały do Zhandu – duże i małe, przejrzyste i matowe, jasnobłękitne i o barwie granatu – a oprócz nich także opowieści o żółtobrodych mężczyznach. Katharina słuchała wszystkich z taką samą uwagą, z jaką oglądała kamienie, ale żadna nie dotyczyła niemieckiego szlachcica, który wyruszył do Jerozolimy na poszukiwanie magicznego niebieskiego kryształu.

Dziesięć lat po pierwszej odezwie Katharina, chociaż szczęśliwa z Lo-Tanem i dziećmi, zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna jednak sama wyruszyć w podróż. Wtedy właśnie nadeszła wieść, że handlarze znaleźli człowieka, który poszukiwał niebieskiego kamienia. Katharina, jak zawsze pełna nadziei i zarazem wątpliwości, zapytała:

– Znaleźliście mojego ojca?

– Przyprowadzimy go!

Sprowadzono cudzoziemca do Ogrodu Wiecznej Rozkoszy, gdzie królewska rodzina czekała z niecierpliwością. Serce kobiety biło szybko, a w jej głowie kłębiły się pytania: „Co sobie powiemy? Jak mam się do niego zwracać? Czy są z nim moi bracia?”.

Mężczyzna przeszedł pod łukiem i stanął przed nią. Katharina krzyknęła. Najpierw ujrzała pelerynę. Choć znoszona i pełna łąt, i nie tak biała jak nad szmaragdowym strumieniem, nadal wzbudzała szacunek. Skóra Adriana pociemniała od słońca, kontrastując z jego długimi do ramion, białymi włosami. Posiwał, ale wciąż miał oczy pełne blasku i twarz podróżnika, a nie starca.

Katharina rzuciła mu się w ramiona. Adriano wyjaśnił jej, że przebywał w Taszkencie, gdy spotkał człowieka pokazującego ten obrazek. Zrozumiał wtedy, że ją odnalazł.

Nie mogła oderwać od niego oczu. Dotykała rąk rycerza i w duchu dziękowała Bogu za ten cud.

– Wszak zginąłeś przy szmaragdowym strumieniu! Widziałam!

Adriano wpatrywał się w nią jak oczarowany. Była jego Kathariną, a zarazem obcą osobą w jedwabnych szatach i ze złotymi włosami ułożonymi na głowie niczym egzotyczna klatka dla ptaków.

– W naszej karawanie był człowiek, który zazdrościł mi peleryny, a kiedy się kąpałem, po prostu mi ją skradł. Miał pecha, że właśnie wtedy zaatakowali Koshowie. Byłem ranny, omal nie utonąłem w strumieniu. Znaleźli mnie jednak nomadzi, zabrali do swoich namiotów i pomogli mi wrócić do zdrowia.

Niebiański Władca, Letnia Róża, Lo-Tan i dzieci podeszli bliżej. Zaraz usłyszą ciekawą historię!

– Gdy doszedłem do siebie – ciągnął Adriano – pożegnałem się ze swoimi dobroczyńcami i zacząłem cię szukać, Katharine Nie znalazłem jednak żadnego śladu, nie miałem pojęcia, w jakim kierunku się udałaś, nawet nie wiedziałem, czy jeszcze żyjesz. Podążyłem zatem do Jerozolimy, bo uznałem, że jeśli gdzieś cię odnajdę, to właśnie tam. Szukałem niebieskiego kamienia, ale już nie było go w mieście. Pewien człowiek opowiedział mi o saksońskim szlachcicu, baronie von Grünwald, który także trafił do Jerozolimy w poszukiwaniu tego klejnotu. Spóźniłem się o piętnaście lat, Katharine Ten człowiek twierdził, że szlachcic pojechał później do Bagdadu, ruszyłem więc tam i ja. Przez wszystkie te lata szukałem twojego ojca w nadziei, że zaprowadzi mnie do ciebie.

– Ale go nie odnalazłeś?

– Nie, ale odnalazłem ciebie – powiedział z uśmiechem.

– Ale co z Kretą? Z twoim bractwem? Nie powinieneś do nich wrócić?

– W Jerozolimie słyszałem wieści o Turkach, którzy najechali na Kretę i wybili wszystkich członków mojego bractwa. – Przerwał i popatrzył na zgromadzonych z miną człowieka, który chowa w zanadrzu jakiś wspaniały sekret. – A teraz najważniejsza nowina... nie odnalazłem twojego ojca, ale wiem, gdzie jest. W ogrodzie rozległ się zbiorowy jęk – wszyscy znali już jej historię.

– Mów szybko – zażądała.

– W Taszkencie opowiedziano mi o ojcu i trzech synach, Niemcach, którzy mieli obrazek taki jak twój. Poszukiwali niebieskiego kamienia. Podobno sprzedano go mnichom wędrującym na wschód do Chin. Zmierzali na dwór cesarza. Tam właśnie podążył twój ojciec, Katharino, do Chin, i najpewniej jest tam do dzisiaj.

Przyniesiono jedzenie i wino. Ludzie w jaskrawych szatach skakali wokół rycerza jak egzotyczne ptaki. Mimo że siwy i znużony, Adriano górował wzrostem nad ludźmi Zhandu. Śmiał się z zainteresowania, które wzbudzał. Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, czego oczekiwać, gdy trafił do tego królestwa pod samym niebem.

Gdy jednak przed jego oblicze przyprowadzono młodą dziewczynę, a ona skłoniła się z szacunkiem, tytułując go ojcem, śmiech uwiązał mu w gardle. W ogrodzie zapadła cisza, wydawało się, że ucichły nawet ptaki i szmer fontann. To była nowina, której się nie spodziewał. Miał córkę.

Minęło kilka chwil, zanim stłumionym ze wzruszenia głosem zdołał przemówić.

– W naszym domu w Aragonii widziałem portret swojej matki, gdy była w twoim wieku. Można by cię z nią pomylić, Adriano, podobieństwo jest niezwykłe.

Ojciec i córka rzucili się sobie w ramiona, a wszyscy zapłakali – najgłośniej Niebiański Władca, który szlochał jak dziecko i wycierał twarz w nieskazitelnie białe rękawy.

Tej nocy, gdy Katharina leżała w objęciach Lo-Tana, mąż wyszeptał do niej:

– Jeśli pragniesz wrócić do Adriana jako żona, zrozumieć i zwolnię cię ze słowa, to przecież twój pierwszy mąż. Jeśli zdecydujesz się jechać do Chin w poszukiwaniu ojca, dam ci swoje błogosławieństwo. Ale modlę się do Kannon, mój ukochany Złoty Lotosie, żebyś na zawsze zachowała mnie w sercu.

– Adriano i ja nigdy nie byliśmy prawdziwym małżeństwem – odparła. – Nie w obliczu naszego prawa. Ty jesteś moim mężem, Lo-Tan, i zawsze będziesz. – I z ciężkim sercem dodała: – Niebieski kamień znaczył dla mojego ojca więcej niż córka. Nie zostawił mnie pod opieką nieznaną, tylko porzucił. Jeśli teraz za nim podążę, też porzucę własne dzieci. Jestem inna niż on, dzieci znaczą dla mnie więcej niż nieuchwytny niebieski kamień. Nie będę go szukała. Moje miejsce jest tutaj, z tobą, z rodziną.

Następnego ranka spotkała się z Adrianem, który podziwiał piękno i bogactwa Zhandu. Wzięła jego szorstkie ręce w swoje dłonie i powiedziała:

– Nie wyruszę do Chin na poszukiwanie ojca. Niebieski kryształ stał się jego obsesją, podobnie jak moja. Gdzieś po drodze straciłam z oczu prawdziwy cel, tak samo jak on. Mój ojciec wybrał swoją drogę, Adriano, a ja swoją. Zostanę tutaj. Sprawiałbyś mi jednak wielką radość, gdybyś zakończył swą podróż i osiedlił się właśnie w Zhandu. Czy zechciałbyś zostać jako... mój drogi przyjaciel? – dodała. Między nimi stało jej małżeństwo z Lo-Tanem i oboje wiedzieli, że już nigdy nie połączy ich dawne uczucie.

– Kiedy mnie poznałaś, Katharino, byłem bardzo nietolerancyjny – odparł Adriano. – Nosiłem w sercu nienawiść do wszystkich ludzi innego wyznania. Posługiwałem się religią jako instrumentem do mierzenia wartości człowieka. Pycha kazała mi wierzyć, że moim przeznaczeniem jest zaprowadzenie wszystkich ludzi do prawdziwego Boga, słowem albo mieczem. Po rze-

zi nad szmaragdowym strumieniem znalazłem się wśród czcicieli ognia. Byłem bliski śmierci, a oni się mną zajęli, wyleczyli i dobrze traktowali. Dawniej nazwałbym ich wyznawcami demonów, ale żyjąc między nimi, przekonałem się, że to zwykli ludzie, jakich wielu, czują strach i nadzieję, i czczą moce, w które wierzą. Z chęcią tu pozostanę i opowiem ludziom ze Zhandu o Jezusie, Katharino. Będę szczęśliwy, jeśli go przyjmą. Wiem jednak, że nie wolno rozłupywać czaszek, żeby przekonać ludzi do prawdziwej wiary, bo czy na pewno istnieje tylko jedna wiara?

Adriano dodał, że nie miał prawa żenić się z nią wiele lat temu. To, co nastąpiło nad szmaragdowym strumieniem, było według niego karą za złamanie ślubów. Przez ostatnich dziesięć lat pokutował za swój grzech, szukając niebieskiego kamienia i ojca Kathariny, i oczywiście zachowując wstrzemięźliwość.

Ona przyznała mu rację, kiedy jednak zauważyła, jak damy dworu wpatrują się w krzepkiego gościa, chichoczą i szepczą za wachlarzami, przyszło jej do głowy, że Adriano być może nie wytrwa długo w celibacie.

Swoją drogą, jak dziwną sprawą jest przeznaczenie. A gdyby tak jej matka, Isabella Bauer, umarła, zanim Katharina zdążyła z nią porozmawiać? Gdyby nie zdążyła wyjawić sekretu o jej pochodzeniu? Ona wyszłaby za Hansa Rotha i wprowadziła się do domu za wytwórnią kufli. I żyłaby do końca swych dni, wierząc, że Badendorf to cały świat.

Zwróciła się do Adriana:

– Udawałam młodzieńca i mieszkałam w tureckim haremie; przeżyłam katastrofę statku; porwana, trafiłam do niewoli; byłam chrześcijanką, muzułmanką i czcicielką bogini; kochałam mężczyznę, utraciłam go i ponownie odnalazłam; zaznałam rozkoszy i bólu, spełnienia i straty. Mówiłam po niemiecku, arabsku, łacinie i w języku Zhandu; podróżowałam na krańce świata i widziałam nieopisane cuda. A mimo to moim domem pozostał Badendorf. I nadal nim jest, ze swoim kolorowym placem targowym i znajomym ratuszem, rzeką, lasami i zamkiem. Ale Zhandu to także mój dom. I choć wątpię, czy kiedykolwiek znajdę prawdziwego ojca, mam ojca w Niebiańskim Władcy. W tobie mam brata, Adriano, siostrę i trzecią matkę zaś w Letniej Róży. Do tego nieprzebrane rzesze kuzynów, ciotek i wujów, i rodzinę o wiele liczniejszą niż familia Rothów z Badendorfu. Mam też Adrianę, Lo-Tana i dzieci. Przez wszystkie te lata szukałam rodziny, a dopiero teraz zrozumiałam, że cały czas była przy mnie. Szukałam niebieskiego kamienia, a i on był cały czas przy mnie, na portrecie świętej Amelii. Zostanę więc w Zhandu, bo tu jest moje miejsce.

## Przejście

Katharina dożyła swych dni w górskim królestwie na końcu świata. Patrzyła, jak dorastają jej dzieci. Zasiadła na tronie u boku Lo-Tana, gdy po śmierci wuja został on Niebiańskim Władcą.



Później zmarła Letnia Róża, a ona na nowo rozpaczła nad śmiercią wszystkich swoich matek. Po śmierci Adriana, który odszedł w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat, płakało całe królestwo, jego mieszkańcy uwielbiali bowiem opowieści rycerza.

Jeszcze dwa pokolenia powtarzały historie Kathariny von Grünewald, aż w końcu Zhandu zostało zniszczone, nie przez najeźdźców, ale przez samą przyrodę – trzęsienie ziemi tak potężne, że zburzyło mury, kopuły i iglice baśniowego miasta, grzebiąc pod gruzami wszystkich jego mieszkańców. Potem nadeszły burze – deszczowe, śnieżne i piaskowe, a błoto, głązy i wszechobecny pył przysłoniły ruiny Zhandu. Minęły dziesiątki, potem setki lat, klimat się zmienił i pustynne piaski nakryły czubek ostatniej iglicy. Dopiero w dwudziestym wieku archeolodzy natrafili na ruiny i próbowali wyobrazić sobie miasto, które tu niegdyś wzniesiono.

Baron Johann von Grünewald rzeczywiście pojechał z synami do Chin, dowiedziawszy się od kupca w Taszkencie, że niebieski kryształ towarzyszy mnichom, którzy zamierzali nawracać na wiarę chrześcijańską dwóm cesarza. Nigdy nie zapomniał, że w Niemczech zostawił córkę pod opieką narciarki, i święcie wierzył, że pewnego dnia wróci po dziecko. Baron był jednak człowiekiem czynu, musiał mieć cel. Jak święty Graal wabił ludzi o szlachetnych umysłach, tak jego wabił niebieski kamień. Kiedy go w końcu odnalazł wśród rzeczy królewskiej kurtyzany, biegnącej w sztuce miłości, i dotknął palcami przedmiotu, którego szukał tyle lat, stracił sens życia. Wciąż przekonany, że wróci do domu po córkę, Johann von Grünewald zmarł w dalekich Chinach. Nigdy już nie zobaczył ukochanej Europy.

Z Chin niebieski kryształ trafił na statku wiozącym przyprawę do holenderskich Indii. Tu nikt nie wiedział, że należał do chrześcijańskiej świętej. Nazwano go teraz Gwiazdą Chin. Miano to nadał kamieniowi pewien romantyczny kapitan, który wierzył, że kryształ ma w sobie miłosną moc i skłoni pewną młodą damę z Amsterdamu do zamążpójścia.

Statek odbił od brzegów Indii, ale nie dopłynął do celu. Kapitan trafił do niewoli, Gwiazda Chin zaś do świątyni w Bombaju, gdzie umocowano ją w posągu boga i odtąd znana była jako Oko Kryszny. Podczas religijnej wojny świątynię złupiono, a niebieski kryształ znowu popłynął do Amsterdamu. Kapitan holenderskiego statku sprzedał go jubilerowi Hendrichowi Kloppmanowi. Trzeba trafu, że wiele lat wcześniej kapitan statku z przyprawami pisał do cechu jubilerów listy z prośbą o oszacowanie wartości kamienia. Kloppman rozpoznał w nim Gwiazdę Chin i wywnioskował, że zakochany kapitan zamierzał obdarować klejnotem pewną panią mieszkającą przy ulicy Keisergracht. Jako człowiek honoru jubiler odszukał damę i ofiarował jej kryształ. Już niemłoda i daleka od jakiegokolwiek myśli o zamążpójściu, przyjęła kamień obojętnie. Ledwie pamiętała pechowego kapitana. Natychmiast odsprzedała klejnot Kloppmanowi za sumę, która pozwoliła jej otworzyć własny sklep z tekstyliami i raz na zawsze uniezależnić się od mężczyzn. Jubiler wyjechał do Paryża. Liczył na dziesięciokrotne przebicie ceny kamienia. Trzeba było tylko umiejętnie go zareklamować. A cóż lepiej się do tego nadaje niż romantyczna historia? Wy-

myślał więc opowieść o rezydującym na cesarskim dworze Chin czarnoksiężniku, który stworzył kryształ z północnych lodowców i kości smoka, krwi feniksa i serca dziewicy.

Znaleźli się w Paryżu tacy, którzy mu uwierzyli.

*Księga siódma*

*Martynika*

Rok 1720

Brigitte Beliefontaine miała sekret.

Dotyczył zakazanej miłości do ciemnookiego drania. Siedziała właśnie przy toalecie, czesząc włosy i zmywając makijaż. Czuła się coraz bardziej winna. Wiele by dała, żeby to grzeszne uczucie nigdy nie zagościło w jej sercu.

Nieprzyjemny dźwięk wyrwał ją z zamyślenia. Spojrzała w lustro. Za sobą zobaczyła męża. Henri leżał na łóżku i chrapał. Znowu pijany.

Brigitte westchnęła. Nie ma nic gorszego od Francuza, który pije zbyt dużo wina.

A przecież obiecał. Dziś powiedział, że po wyjściu gości spędzą wyjątkowy wieczór pod gwiazdami.

– Jak dawniej, *ma chérie*, za czasów naszej młodości.

Potem jednak przyszli goście, przyjęcie nabrało rumieńców, wino lało się strumieniami. Teraz Henri leżał na plecach, w przekrzywionej peruce i kamizelce poplamionej jedzeniem: smażonym w cieście dorszem i naleśnikami ociekającymi rozpuszczoną czekoladą.

Odkładając szczotkę, ze smutkiem spojrzała na klejnot, który założyła na przyjęcie: niezwykle kłłą broszę z białego złota z niebieskim kryształem w otoczeniu diamentów i szafirów. Była to Gwiazda Chin, romantyczna pamiątka z młodości Brigitte.

Gwiazda Chin miała wnosić miłość w życie właściciela. Czyż nie tak mówiła Cyganka? I wniosła... na jakiś czas. W noc poślubną Henri (człowiek, który teraz chrapał na łóżku) okazał się cudownym kochankiem, siedemnastoletnia Brigitte myślała, że umarła i znalazła się w niebie. Teraz jednak, dwadzieścia lat później, po siedmiu ciężach, już nie wierzyła, że jeszcze kiedykolwiek zazna prawdziwej namiętności. Henri był dobrym człowiekiem, ale już nie miał w sobie ognia. A Brigitte pragnęła ognia.

Zbyt niespokojna, by spać, wstała i podeszła do drzwi balkonowych. Wychodząc w tropikalną noc, pachnącą uroczynem i mimozą, zamknęła oczy i wyobraziła go sobie – nie Henriego, ale nieznanego o ciemnych oczach. Ten znakomity szermierz i namiętny kochanek był wysoki i szlachetny, o arystokratycznych rysach i pochodzeniu, ubrany bez zarzutu. Przychodził nagle, nieoczekiwanie, kiedy była w ogrodzie albo podziwiała egzotyczne ryby na lagunie, pojawiał się jak burzowe chmury w parny dzień, które błyskawicznie napływały nad wyspę, zalewały Martynikę potokami deszczu, a po chwili pozostawało po nich jedynie wspomnienie. Miłość z nim była niczym tropikalna ulewa – gwałtowna, gorąca, żywiołowa. Na samą myśl o tym Brigitte przenikał dreszcz.

Niestety, nie istniał.

Brigitte pomyślała, że zwariuje, jeśli już nigdy nie zazna namiętności. Co jednak jej pozostało? Przecież nie mogła wdać się z w romans z którymś z okolicznych kolonistów. Miała dobrą opinię oraz męża. Stworzyła więc w myślach diabolicznego dżentelmena, którego imię zmieniało się w zależności od jej kaprysu. Zazwyczaj bywał Francuzem, miał na imię Pierre albo Jacques. Pewnego dnia przybył na wyspę i zabrał Brigitte do grotty, gdzie namiętnie kochali się przez całe popołudnie, a potem odpłynął, ale obiecał, że powróci.

Dzięki tym fantazjom w życiu kobiety znowu zagościła miłość. Przywracały jej młodość – w nich znowu była smukła i piękna, znowu przyciągała męskie spojrzenia. Niestety, choć owe myśli sprawiały jej wiele rozkoszy, napełniały ją również poczuciem winy. Brigitte była gorliwą katoliczką i wierzyła, jak nauczali księży, że grzeszny uczynek popełniony w sercu jest równie zły jak ten dokonany w rzeczywistości. Lubieżne myśli niedotyczące małżonka były grzechem. Gdyby wyobrażała sobie miłość z jednym z kolonistów, popełniłaby cudzołóstwo. Ale czy cudzołożyła, skoro jej kochanek nie istniał?

Wbiła wzrok w daleki horyzont. Nad sobą miała błyszczące od gwiazd niebo, u stóp ciemny, ponury ocean. A za nim... Paryż. Osiem tysięcy kilometrów dalej. Jej przyjaciele, rodzina i dzieci mieszkali w świecie tak różnym od Indii Zachodnich, że równie dobrze mogliby przebywać na Księżycu.

Żałowała, że nie mogła wyjechać wraz z dziećmi. Nie tęskniła za chłodem i ścisaniem Paryża, ale za życiem kulturalnym i towarzyskim. Urodzona w szlacheckiej rodzinie, obracała się wśród królów, królowych i śmietanki towarzyskiej Francji. Tęskniła do sztuk Moliera i Racine'a, do spektaklów teatru La Comedie Francaise w tych wspaniałych czasach, gdy Król-Słońce sypał pieniędzmi na sztukę. Jakie przedstawienia teraz wystawiano? Kto był najnowszym ulubieńcem tłumu? Co nosiły damy na dworze? Koloniści na Martynice czerpali informacje wyłącznie z listów, a te często nie dochodziły, zatrzymane przez kaprysy morza i pogody albo piratów. Trzy lata temu dowiedzieli się, że ich wielki król, Ludwik XIV, nie żyje, i to już od 1715 roku! Teraz na francuskim tronie zasiadał Ludwik XV, jego dziesięcioletni prawnuk.

Powiała nocna bryza, poruszając liśćmi palm i bananowców, a także muślinowymi fałdami peniuaru Brigitte. Musnęła jej nagą skórę jak westchnienie kochanka. Kobieta poczuła jeszcze głębszą tęsknotę. Była słaba i bezbronna. Koloniści zwyczajowo wysyłali dzieci do Europy, żeby wyrosły na damy i dżentelmenów, zatem i Brigitte wyekspediowała swoje niesforne stadko do siostry w Paryżu. Tam miały nauczyć się zasad dobrego wychowania i etykiety. Teraz jednak bardzo jej ich brakowało. W skwarze tropikalnego słońca, wśród zmysłowych zapachów i łagodnych pasatów nie wiedziała, co zrobić z czasem. Henri wciąż tkwił na plantacji trzciny cukrowej, w rafinerii i gorzelni. Dzieci wyjechały, o wszystko dbała służba: czym mogła się zająć dama na tych wyspach? Brigitte bardzo lubiła książki, ale ostatnio nawet ta namiętność odzwierciedlała jej rosnące niezadowolenie: najchętniej czytała o tragicznych kochankach – Helo-

izie i Abelardzie, Francuzach, jak ona sama, młodych, ale tragicznych Włochach – Romeo i Julii, żyjących dawno temu Anglikach – Tristanie i Izoldzie oraz o rzymskim żołnierzu i egipskiej królowej, Marku Antoniuszu i Kleopatrze. Chłonęła te smutne, romantyczne opowieści jak jej przyjaciele pochłaniali soczyste owoce i rum. Nie ma lepszego smutku niż smutek podszyty słodyczą, myślała. W jej fantazjach ona i kochanek byli zmuszeni do rozstania, a słodki ból sączący się w jej serce sprawiał, że wzdychała tęsknie w te parne popołudnia.

Usiłowała przekonać samą siebie, że marzenia są ciekawsze, a przede wszystkim bezpieczniejsze od rzeczywistości. Martynika była tropikalnym rajem, nie brakowało tu zagrożeń – nagłe burze, niszczące wszystko na swej drodze, wulkan Pelee, który w każdej chwili mógł wybuchnąć, gorączki i egzotyczne choroby, i najgorsze ze wszystkiego: piraci. Nawet dziś, podczas kolacji, kiedy wyczerpano już temat cen rumu i niewolników, rozmowa zeszała na nich, przede wszystkim na angielskiego szubrawca, Christophera Kenta. Jeden z gości, właściciel plantacji ananasów, parę dni temu poniósł znaczne szkody, gdy szkuner Kenta, „Mężny tropiciel”, zaatakował jego statek. Korsarze weszli na pokład, wyrzucili załogę za burtę i odpłynęli ze złotymi monetami. Nikt nie wiedział, jak wygląda ów Kent, choć nieliczni, którzy uszli z życiem, twierdzili, że jest bardzo wysoki i przypomina diabła.

Noc nagle eksplodowała okrzykami dochodzącymi z kwater niewolników – mężczyźni obstawiali walki mangust i węży. To także działało na zmysły Brigitte, jak szept pasatów i szelest palm. Przywodziło na myśl rdzennych mieszkańców tej wyspy, nagich Indian walących w bębny, żyjących, jak ich Pan Bóg stworzył, jak Adam i Ewa. Ich dusze wciąż tu były – w drzewach, strumieniach i na okrytych mgłą górskich szczytach. Teraz pojawili się także dzicy z Afryki: więcej nagusów, którzy nocą wybijali na bębnach prymitywne rytmy, śpiewając i tańcząc przy ogniskach.

Powietrze wydawało się ciężkie. Nadchodziła pora huraganów. Brigitte wróciła do sypialni, zamknęła za sobą drzwi i podeszła do toaletki, by schować Gwiazdę Chin do zamykanej na kluczyk szkatułki. Po latach niebieski kryształ stał się dla niej symbolem szmaragdowych mórz, które ją otaczały, i błękitnego nieba nad jej głową. Gdy spoglądała w jego otoczone diamentową chmurą serce, widziała ogień i namiętność. Swoją namiętność. Uwięzioną, próbującą wydostać się na wolność.

Podeszła do łóżka i ściągnęła buty ze stóp męża. Henri uśmiechnął się przez sen. Westchnęła. Nie był złym człowiekiem, jedynie nieświadomym pewnych spraw. Wśliznęła się pod kołdrę, zamknęła oczy, i choć sekretne fantazje napełniały ją poczuciem winy, raz jeszcze wyobraziła sobie kochanka. Zasnęła z jego obrazem pod powiekami.

Henri Beliefontaine widział, że żona nie jest szczęśliwa; od wyjazdu dzieci nie miała się czym zająć. On z kolei musiał dbać o plantację. Uprawiał trzcinę cukrową i eksportował rum,

przy okazji zajmował się też uprawą i eksportem cynamonu, goździków i gałki muskatołowej, bardzo pożądanych w Europie ze względu na zastosowanie w kuchni, w produkcji perfum i lekarstw. Henri Bellefontaine był zatem bardzo bogatym człowiekiem, ale i bardzo zajęтым. Co jednak miała Brigitte? Jako kochający i dobry mąż, za jakiego się uważał, postanowił jej pomóc, błędnie jednak zinterpretował powód częstych westchnień i niepokoju żony – myślał, że tęskni za krajem i dziećmi. Wpadł na znakomity, jego zdaniem, pomysł.

Kupił jej lunetę.

Urządzenie stanęło na specjalnej platformie na dachu. Była to mała, mosiężna luneta sprowadzona z Holandii, osadzona na statywie.

Ogarniała zasięgiem całą wyspę i jej najbliższą okolicę. Henri był zachwycony swoją błyskotliwością. Brigitte nie będzie już się czuła taka osamotniona, dzięki lunecie świat znajdzie się w zasięgu jej wzroku; horyzont, razem z Francją – i ich dziećmi – tuż za nim; wyspy – plamy szmaragdowej zieleni na hiacyntowym błękitcie, – porty i osady na nabrzeżu, wpływające i wypływające statki; wały nadmorskie i blanki, wąskie uliczki i alejki, dachy, warstwami układające się na wzgórzach.

Ten gest wzruszył Brigitte. Jej Henri był dobrym człowiekiem i miał serce we właściwym miejscu. Poza tym nie wywiózł jej w jakieś zapomniane przez Boga miejsce, w końcu Martynika była centrum kulturalnym francuskich Antyli, bogatą, arystokratyczną wyspą słynącą z wytwornych mieszkańców oraz bujnej tropikalnej roślinności, głębokich wąwozów i urwistych klifów. Bellefontaine'owie mieszkali na wspaniałej plantacji nieopodal stoku wulkanu Pelee, który co pewien czas buchał dymem przy akompaniamencie pomruków ziemi, przypominając ludziom o ich śmiertelności. Dom zaprojektowano w typowo kreolskim stylu, pomieszczenia reprezentacyjne znajdowały się na parterze, sypialnie na górze. Otaczały go zielone trawniki podobne do puszystych dywanów, wzdłuż nich rosły palmy, których liście szeleściły na wietrze. Brigitte uwielbiała swój tropikalny dom i Martynikę. Nikt nie wiedział, dlaczego wyspa nosi taką nazwę. Niektórzy twierdzili, że pochodzi ona od indiańskiego słowa oznaczającego kwiaty, inni, że od świętego Marcina. Brigitte Bellefontaine, prawdziwa romantyczka, wierzyła, że kiedy Kolumb odkrył tę niezwykle piękną wyspę, nazwał ją na cześć kobiety, którą skrycie kochał.

Kobieta codziennie teraz wspinała się o zachodzie słońca na taras. To była jej ulubiona pora dnia. Praca ustawała, był czas na wieczorny odpoczynek. Wtedy też zmieniały się Karaiby: niebo czerniało, gwiazdy migotały na firmamencie.

Brigitte wydała niewolnikom w kuchni dyspozycje w sprawie kolacji, a potem długo i leniwie zażywała kąpieli. Włożyła bieliznę i halkę, na to przezroczysty peniuar, i weszła na dach, by obserwować widowisko kończącego się dnia.

Ze szklaneczką rumu w dłoni patrzyła przez lunetę na morze i zatokę, góry i chmury, maleńkie wioski rybackie... Myślała o nadchodzącym wieczorze. Dziś nie spodziewali się gości, była

niedziela. Mieli być sami, ona i Henri. Zostanie z nią, czy też zwabi go wyspa i jej podniety, czyli hazard w Saint-Pierre? Rankiem obudził się z potężnymi wyrzutami sumienia – wcale nie zamierzał zasnąć przed wypełnieniem obietnicy.

– *Ma cherie! Ma puce!*<sup>3</sup> Nie jestem ciebie wart! – lamentował.

Potem cmoknął ją w policzek i, przebrany w strój do konnej jazdy, udał się na objazd pół trzciny cukrowej.

Brigitte widziała szkarłatne niebo, światła w porcie, pootwierane zapraszająco drzwi tawern, małe łodzie przywożące zgłodniałych gości ze statków stojących na kotwicy. Wydawało jej się, że słyszy muzykę i śmiech, czuje aromat gotowanych potraw, widzi radość na twarzach ludzi.

Skierowała instrument w inną stronę. Patrzyła teraz na górskie szczyty oraz pasma wznoszące się i opadające jak fale na oceanie, tropikalne dżungle we wszystkich odcieniach zieleni znanych ludzkiemu oku. A na wschodzie, po spokojnej stronie wyspy o dziewiczych plażach, żółtozielonych lagunach i ukrytych zatoczkach...

Znieruchomiała. Maszty? Zwinięte żagle?

Nastawiła ostrość i uważnie przyjrzała się statkowi. Z pewnością był to amerykański szkuner, sądząc po dwóch masztach i wąskim kadłubie, poza tym musiał mieć małe zanurzenie, żeby płynąć po płycznach i dotrzeć do tak maleńkiej zatoczki.

Brigitte zmarszczyła brwi. Dlaczego tam kotwiczył?

Przesuwała lunetę wzdłuż głównego masztu, po drzewcach i olinowaniu, aż ujrzała flagę.

Statek piratów! Nie było mowy o pomyłce, ujrzała to, co Francuzi nazywali *joli rouge* – ładną czerwienią – a Anglicy Jolly (wesołym) Rogerem. Zazwyczaj na takiej fladze widniała czaszka i skrzyżowane kości; na tej był kord ociekający krwią.

– *Mon Dieu!* – wyszeptała Brigitte. Wiedziała, co to za statek: „Mężny tropiciel”. Należał do krwiożerczego Christophera Kenta. Nie dostrzegła na pokładzie nikogo z załogi.

Bała się. Gdzie byli? Słyszała już o metodach Kenta – uderzał szybko i brutalnie. Atakował, poskramiał i znikał, zanim ofiary zdążyły przygotować się do obrony.

Gorączkowo patrzyła w lunetę, przyglądała się wzgórzom między zatoką a odległą o trzy kilometry plantacją. Gdzieś w tej zieleni był Henri ze swoim ludźmi, nadzorował zbiory trzciny, ale go nie widziała.

Christopher Kent był utrapieniem wszystkich kolonistów, łajdakiem, którzy nie ograniczał się do atakowania statków, napadał także na łodzie. Wszyscy właściciele plantacji ukrywali majątek gdzieś na terenie swoich posiadłości. Tylko tak mogli zabezpieczyć fortunę. Kent o tym wiedział. Przybywał nocą, zaskakiwał swoje ofiary i zmuszał je do wskazania, gdzie jest złoto. Często stosował tortury.

---

<sup>3</sup> *Puce* (franc.) – pchełka.

– Błagam, Boże – wyszeptwała pobladłymi nagle wargami. – Niech tu nie trafiają.

Właśnie wtedy ich dostrzegła. Piraci wspinali się po wzgórzu, pędząc przed sobą nadzorców i niewolników przez pole trzciny cukrowej. Henri, strącony z konia...

– Colette, przynieś muszkiet! – Z tej odległości na pewno nikogo nie trafi, ale przynajmniej ostrzeże innych. Ciekawe, czy żołnierze w twierdzy wiedzą o piratach. Raczej nie – myślała. Dzwony w kościele biłyby na alarm, strzelałyby działa. Kent podpłynął z zawietrznej strony wyspy i zacumował w małej zatoczce. Dwa pasma górskie kryły płaskowyż, na którym leżała plantacja. Piraci atakują szybko, niepostrzeżenie, podchodzą niczym duchy, pozostawiając po sobie trupy i zgliszcza. Minie co najmniej dzień, zanim żołnierze zorientują się w sytuacji, a statek Kenta będzie już daleko na morzu.

– Co się stało, madame? – spytała bez tchu młoda czarna kobieta, wbiegając po wąskich schodach z długim, nieporęcznym muszkietem w rękach. Colette urodziła się na Martynice, jak jej matka, ale babka została sprowadzona z Afryki, wraz z tysiącami innych, by pracować na plantacjach trzciny cukrowej i tytoniu dla francuskich kolonistów.

– Wyślij Hercules'a do twierdzy – powiedziała Brigitte, usiłując zlokalizować piratów bez pomocy lunety. Słońce jednak schowało się już za horyzont, robiło się coraz ciemniej. – Powiedz mu, żeby biegł, Colette! Powiedz, że piraci...

I wtedy go zobaczyła. To był Christopher Kent, wysoki mężczyzna ubrany na czarno. Miał na sobie bufiaste spodnie i długi płaszcz, twarz zasłaniało mu szerokie rondo trójgraniastego kapelusza, którego białe pióra powiewały na wietrze. Przez moment widziała jego oblicze. O zgrozo! Pirat przypominał jej widmowego kochanka ze snów.

Umysł Brigitte pracował szybko. Twierdza znajdowała się piętnaście kilometrów dalej, w górach. Wkrótce zapadnie noc, pogrążając dżunglę i szlaki w ciemności, zanim Hercules zdoła przebyć choć część drogi. Piraci rozpalili pochodnie, które migotały teraz w półmroku.

Po raz ostatni zerknęła na Kenta – był ledwie widoczny w szybko zapadającym mroku.

– Mniejsza z tym – powiedziała i odłożyła muszkiet.

– Ależ pani! – krzyknęła Colette. – To piraci! Musimy ostrzec innych.

– Cicho. – Brigitte zeszła po schodach do sypialni. – Nikomu nie mów, Colette!

Trzeba było działać inaczej. Ale to wymagało rozwagi. Miała piękną jedwabną suknię, której jeszcze nigdy nie włożyła. Przywiozła ją z Francji, dwadzieścia lat temu. Była wyjątkowa, Brigitte planowała włożyć ją na uroczystość z okazji urodzin króla. Podczas podróży na Martynikę zaszła jednak w ciążę, a po narodzinach pierwszego dziecka suknia okazała się za ciasna. Potem znowu była w ciąży, i znowu, aż całkiem zrezygnowała z noszenia pięknej szaty. Zresztą teraz panował nowy król, którego w ogóle nie знаła.

Strojna ponad miarę suknia była różowa, przód miała haftowany szkarłatną i purpurową nicią i halkę w kolorze słońca. Taka niegdyś panowała moda: strój powinien olśniewać, dobierano



więc kolory jaskrawe i kontrastujące ze sobą. Suknia kojarzyła się z tropikalnym zmierzchem: złotym słońcem na czerwieniejącym niebie. Po narodzinach siódmego dziecka Brigitte poszerzyła talię, sprawiła sobie ciasny gorset i jakoś wbiła się w to чудо, ale suknia tymczasem całkiem wyszła z mody. Takie stroje przeminęły wraz z Ludwikiem XIV. I tak oto różowo-złota kreacja stała się symbolem minionej młodości i straconych okazji, i tylko przypominała Brigitte o młodzieńczych namiętnościach i pocałunkach kradzionych w letnich ogrodach.

Jej serce biło mocno, gdy wyjęła suknię ze skrzyni i oddała się w ręce bardzo zdenerwowanej Colette. Gorset, spódnica i tiurniura, wszystkie koronki i haftki – pośpiech był niewskazany przy tym skomplikowanym stroju, a Colette tak się bała, że mogła lada chwila zemdleć. Brigitte także paraliżował strach, ale wciąż miała przed oczami ciemną, groźną sylwetkę Kenta. Gdy niewolnica zapinała ostatnią haftkę, jej pani, wstrzymując oddech, obliczyła w myślach, że piraci dochodzą już do gorzelnii. Czyli są niespełna kilometr od domu.

Spojrzała w lustro i zmarszczyła brwi. Suknia była olśniewająca, ale ona wciąż wygląda staro i tłusto. Kent nawet nie zechce na nią spojrzeć. Ale przecież ma Gwiazdę Chin! Drżącymi palcami przypięła broszkę do wycięcia w sukni. Brylanty i szafiry lśniły, klejnot sprawiał wrażenie motyla, który przysiadł na jej odsłoniętym dekolcie.

Przemiana była natychmiastowa. W lustrze stała całkiem inna kobieta. Kryształ rzeczywiście miał magiczną moc! Brigitte Bellefontaine znowu była młoda, smukła i piękna.

Nim zeszła na dół, mocno ujęła Colette za rękę i powiedziała:

– Posłuchaj mnie. Będziemy miały nieoczekiwanych gości. Nie bój się. Nie próbuj uciekać.

– Ależ, pani...

– Colette! Słuchaj mnie uważnie, musisz zrobić dokładnie to, co mówię...

Po raz ostatni spojrzała w lustro i uśmiechnęła się z ponurą aprobatą. Zerknęła na muszkiet oparty o ścianę. Czasem suknia jest skuteczniejsza od broni – pomyślała.

Na plantacji pracowało ponad stu niewolników – na polach, w rafinerii cukru i gorzelnii – ale wystarczyła garstka ludzi, uzbrojona w pistolety i muszkiety, by wszystkich wystraszyć i zmusić do posłuszeństwa. Gdy Brigitte szła przez salon, słyszała tupot, rozkazy i od czasu do czasu świst bata. Niewolnice, które pracowały w domu, ogrodach i przy kurach, przybiegły widząc swoich mężczyzn zaganianych na największe podwórze, i natychmiast podniosły lament. Służba domowa stała w oknach, w wielkich czarnych oczach czał się strach.

Brigitte przystanąła, by opanować nerwy. Ledwie mogła oddychać. Na zewnątrz słyszała krzyki i strzały. Tkwiła jednak za zamkniętymi drzwiami, skupiona, jak aktorka czekająca na swoje wielkie wejście. Walczyła z instynktem, który kazał jej uciekać. Wreszcie sięgnęła za kłamkę i powoli otworzyła drzwi.

Uzbrojeni po zęby piraci stanowili przerażający widok: mieli muszkiety, garłacze, sztylety,

kordy i pistolety, niektórzy wymachiwali toporami przeznaczonymi do rąbania sieci i olinowania. Brigitte oszacowała, że jest ich około pięćdziesięciu. Ubrani byli w szmaty i łachmany, nosili długie, brudne włosy i buty nie do pary. W świetle pochodni przypominali armię szatana.

Henri był związany, zmuszono go, by uklęknął. Brigitte w ostatniej chwili zdołała się opamiętać i nie podbiegła do męża.

Werandę oplatały pnącza, kwitnące we wszystkich kolorach tęczy, wokół kolumn wiła się winorośl. Zapach był ciężki i uderzał do głowy, kilka ostatnich pszczoł pracowicie uwijało się w kwiatach. Brigitte stała w milczeniu, jak na scenie teatru, a mężczyźni jeden za drugim milkli i tylko na nią patrzyli.

Kapitan Kent dotarł do stóp schodów, kiedy uświadomił sobie, że zapadła cisza. Spojrzał w górę. Teraz Brigitte lepiej widziała jego rysy, ostre i wyraziste. Miał na sobie długi obszerny płaszcz, sięgający mu niemal do kostek, bogato zdobiony jedwabiem i złotą nicią; guziki też błyskały złotem. Ubrany był w czarne bufiaste spodnie i nieskazitelnie białe pończochy oraz lśniące buty o złotych sprzączkach. Biała kryza zdobiła jego kołnierz i nadgarstki. Pod trójgraniastym kapeluszem o szerokim rondzie nie miał peruki, nosił włosy związane z tyłu, z puklami po bokach, zgodnie z najnowszą modą. Dżentelmen w każdym calu, pomyślała Brigitte. Zupełnie jakby przybył do opery, a nie grabić i rabować.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Błysnęło wspomnienie.

...Namiot w ogrodach Wersalu, wielka uroczystość z okazji urodzin króla, wszędzie aktorzy, zonglerzy, i karnawał... Stara Cyganka mówi do szesnastoletniej Brigitte: „Ten niebieski kamień ma w sobie niezwykły ogień. Widzisz? Uwiąż w środku. Pewnego dnia ten ogień się uwolni i cię strawi. W miłości. W namiętności. W ramionach mężczyzny, który będzie się z tobą kochał tak, że niemal umrzesz z rozkoszy”...

Splatając dłonie, kobieta podeszła na skraj werandy, wdzięcznie i bez strachu, i powiedziała cicho:

– Witam w moich progach, monsieur.

Patrzył na nią i po chwili się uśmiechnął. Oszacował ją spojrzeniem – jeszcze przed godziną nie spoglądałby na nią w ten sposób. Teraz jednak była piękna, dzięki magii zawartej w niebieskim kryształ. Rzucił na nią urok.

– Milady! – Kent zdjął kapelusz i złożył Brigitte wytworny ukłon.

Mówiła prawie szeptem, ale w panującej ciszy słycać ją było doskonale.

– Ofiarowujemy ci gościnę w naszym domu.

Brigitte w duchu dziękowała Bogu, że ona i jej siostry miały w dzieciństwie angielskiego guwernera. Ojciec zapewnił im wszechstronną edukację. Siostra jej wyszła za angielskiego barona i wyjechała do Anglii, więc od dwudziestu lat pisała listy do siostrzeńców i siostrzenic po angielsku – i chwala Najwyższemu. Nie posługiwała się tym językiem biegle, można ją jednak było

zrozumieć.

– Gościnę? – Kent uniósł brwi. – Nie zabawimy tu długo, pani. Przyszliśmy po złoto, zaraz nas tu nie będzie.

Jej mąż, nadal na kolanach, wykrzyknął:

– Ratuj się, Brigitte!

Zwilżyła wagi.

– Nie wypada odrzucać gościny, monsieur. Słyszałam, że jesteś dżentelmenem.

– Zatem wiesz, pani, kim jestem. – Uśmiechnął się.

– Kapitan Christopher Kent.

– Nie boisz się, pani?

– Boję się – odparła rzeczowym tonem, choć jej serce galopowało jak szalone. – Niezależnie jednak od tego, kim jesteś i jakie są twoje intencje, zwyczaje mojej klasy nakazują zaoferować gościnę przybyszom...

Roześmiał się, krótko i kąśliwie.

– Myślisz, pani, że kilka przysmaków uratuje twoje złoto?

– Źle mnie zrozumiałeś. – Dumnie uniosła brodę. – Możesz zabrać złoto, nie zdołam cię powstrzymać. Myślałam jednak, że nieobce ci są dobre maniery.

Jego ciemne oczy błysnęły. Dotknęła chyba czulej struny. Pirat Christopher Kent w głębi ducha uważał się za dżentelmena. Niby dlaczego tak się stroił, skoro reszta jego załogi chodziła w łachmanach?

– Mam sześć prosiąt, gotowych do upieczenia – dodała. Mężczyzna oparł ręce na biodrach.

– To jakaś nowa sztuczka! – stwierdził ze śmiechem.

Kilku towarzyszy mu zawtórowało, a jeden z nich, starszy od Kenta, z długimi, siwymi włosami związanymi w warkoczyki i rakowatą naroślą na nosie, wystąpił i zapytał:

– Przepraszam, pani, jak przygotowujesz te prosiaki?

Brigitte nawet na niego nie popatrzyła. Nie spuszczała wzroku z Kenta.

– Przyrządzam je z goździkami i czosnkiem, kaparami i oregano, podaję z gorącym chlebem w sosie czosnkowym, z kozim serem z ziołami i imbirową zupą na zimno. Na deser ciastka z mango w sosie czekoladowym.

– A do picia? – dopytywał się.

– Francuskie wino i brandy.

Pirat potarł zdrową stronę nosa.

– To chyba niezły pomysł, kapitanie – mruknął do Kenta. – Bóg wie, kiedy ostatnio jedliśmy porządny posiłek.

– A żołnierze zaskoczą nas, gdy będziemy ucztować? Nie widzisz, że to podstęp, panie Phipps?

– Nie sądzę, by żołnierze wiedzieli, że tu jesteśmy, Chris. Ale sprawdzę. – I dodał łagodniej:  
– To chyba nie podstęp. Ta dama się targuje, i tyle. Myśli, że okażemy litość.

Kent zastanawiał się przez chwilę. Brigitte odetchnęła głęboko, brosza na jej dekolcie zamigotała. Klejnot przyciągnął uwagę mężczyzny, zgodnie z jej planem. Pirat tylko spojrział na białą pierś kobiety i dał znak Phippsowi, który wysłał dwóch ludzi na wzgórze, by pełnili tam wartę. Potem tłum ruszył przed siebie, minął panią domu i wpadł do domu.

Nie zwracała uwagi na odgłosy grabieży i niszczenia. W tym momencie dom nic dla niej nie znaczył: ani cenne meble, ani ceramika, ani zasłony, ani klejnoty. Piraci mogli je sobie zabierać.

Po chwili wrócił pan Phipps.

– Czujki donoszą, że wszędzie spokój, nikt nie wszczynał alarmu, w porcie normalna sytuacja. Co z tą uczcią, Chris?

Kent wszedł po schodkach i zbliżył się do Brigitte. Ledwie mogła oddychać.

– Skąd mam wiedzieć, czy nas nie otrujesz, pani? – powiedział. – Już kiedyś oszukała mnie piękna kobieta.

Nazwał ją piękną!

– Zrozumiała ostrożność, monsieur. Niech więc twoi ludzie zabijają zwierzęta, niech doglądają przygotowania sosów i faszzerowania mięsa, niech moi niewolnicy popróbują wszystkich potraw.

Widziała ciemne chmury w jego oczach.

– Nie masz mnie chyba za głupca, pani – szepnął.

Ich oczy się spotkały. Brigitte wstrzymała oddech. To był decydujący moment. Nagle Kent się odprężył i uśmiechnął.

– No dobrze, zjemy!

Jego ludzie wzniesli radosny okrzyk, a pirat pochylił się ku Brigitte.

– Przejdźmy do interesów. Mów, gdzie złoto, pani, bo wydusimy to z twojego męża.

Wiele słyszała o Kencie, o tym, jak jego ludzie wieszali właścicieli plantacji za nadgarstki w palącym słońcu, aż nieszczęśnicy zdradzili, gdzie jest fortuna.

– Proszę nie robić krzywdy mojemu mężowi. Jeśli obiecacie go nie krzywdzić, zaprowadzę was do skarbu – obiecała.

Sprawdziła, czy niewolnicy zrozumieli polecenia i przygotowują jadło. Zapewniła ich, że dopóki będą robili co trzeba, nic się nikomu nie stanie. Potem powiodła Kenta wraz z garstką mężczyzn przez główne podwórze po wyłożonej płytami ścieżce, jednej z wielu w tym tropikalnym raj. Prowadziły do ogrodów i domków, a także do rafinerii cukru i gorzelnii, i do wybudowanych nieco dalej kwater niewolników. Brigitte szła na czele korsarzy wdzięcznym krokiem wyuczonym we wczesnej młodości, a jej obszerna żółto-różowa suknia płynęła po ścieżce, jakby

niesiona własną mocą. Ten krok doskonaliła w Wersalu, by zwrócić na siebie uwagę młodych mężczyzn; teraz prowadziła złodziei do skarbu.

Dotarli do polany pośród gęstej zieleni i ujrzeli przed sobą widok, który wprawił w zachwyt nawet tych twardych wilków morskich. Biała, lśniąca altana wyglądała na utkaną ze światła gwiazd. Brigitte odsunęła się na bok, jakby zamierzała podać herbatę.

– Tam. – Wskazała na posadzkę altany. – Pod tymi deskami.

Porzuciwszy pochodnie, mężczyźni ruszyli przed siebie i kilkoma ciosami toporów rozłupali deski. Spod podłogi wyciągnęli ukryte skrzynie. Brigitte patrzyła bez słowa, jak piraci niosą łupy do ogniska, które, jak zauważyła, podsycano meblami z jej domu. W blasku płomieni napastnicy otworzyli skrzynie i aż krzyknęli z radości na widok złotych monet: to one właśnie według korsarzy stanowiły najcenniejszy łup.

Teraz mogli zacząć świętować. Napastnicy wdarli się do gorzelni i wytoczyli z niej olbrzymie dębowe beczki z rumem. Niewolnice z kielichami i butelkami wina nerwowo krążyły wśród gromady mężczyzn, a po drugiej stronie płomienie już lizały prosięta nadziane na rożny. Brigitte widziała męża i niewolników w zagrodzie dla świń. Wepchnięto ich w błoto, a prześladowcy zarykiwali się ze śmiechu.

Gdzieś po drodze z pół trzciny cukrowej Henri zgubił swoją wspaniałą perukę. Była gęsta i czarna jak smoła, ze starannie ułożonymi lokami, które spływały na plecy i ramiona. Goście z wielkiego świata twierdzili, że takie peruki są niemodne, ale Henri nie dbał o to. Hołdował starym tradycjom, które nakazywały, żeby dżentelmen w każdej sytuacji wyglądał jak najlepiej. Stracono mu ją jednak z głowy i teraz jego siwiejące włosy sterczały w żałosnych kępkach, a rozbawieni piraci poszturchiwali go i kopali.

Brigitte wbiła paznokcie w dłonie, próbując się opanować. Chciała złapać płonąca pochodnię i wbiec w tłum łajdaków, okładając ich pod drodze. Zauważyła jednak, że Kent na nią patrzy, i przypomniała sobie o swoim postanowieniu. Ta noc była jej jedyną szansą.

– Hm – mruknął, wpatrując się w nią w migotliwym blasku pochodni. – Zastanawiam się, dlaczego nie czujesz strachu, pani.

Czyżby nie widział żyły pulsującej na jej szyi, przerażenia w oczach, drżenia rąk?

– Czuję – odparła, i mówiła prawdę. Powód był jednak zupełnie inny, niż mógłby przypuszczać pirat.

– Nie wydawałaś się zdumiona naszym widokiem. Zupełnie jakbyśmy byli oczekiwanymi gośćmi.

Wskazała na dach domu.

– Na tym tarasie jest luneta. Patrzyłam, jak idziecie plażą. Wpatrywał się w dach z wielkim zainteresowaniem.

– Chciałbym obejrzeć ten instrument.

Skinęła głową i ruszyła przed siebie. Przeszli przez podwórze, gdzie prosiaki obracały się na rożnach z gałęzi, a ludzie Kenta radośnie opróżniali beczułki z rumem. Z wierzchołków dwóch wysokich palm piraci z lunetkami spoglądali na fortecę i miasteczko Saint-Pierre. Mieli dać znać, gdyby zauważyli wśród żołnierzy najłżejsze choćby poruszenie, wtedy Kent i jego ludzie natychmiast by odjechali. Brigitte modliła się żarliwie, żeby nic takiego nie nastąpiło.

Cały dom był zniszczony, porozbijane naczynia zaśmiecały drewniane podłogi, meble porzucono, złoto i srebro leżały na stercie obok drzwi, gotowe do wyniesienia. Brigitte bez słów poprowadziła Kenta przez ogród z tyłu, wśród bogactwa kwiatów: fioletowych orchidei i pomarańczowych bugenwilli, szkarłatnych hibiskusów i jasnoróżowych oleandrów. Wchodziła wąskimi schodami, wyprostowana, z wysoko uniesioną głową, jakby oprowadzała po posiadłości członka rodziny królewskiej. Nie zapominała jednak o ostrym kordzie, rewolwerze i sztylcie u pasa Kenta. Bała się, jakby stąpało za nią dzikie zwierzę, takie jak czarna pantera, którą gubernator trzymał w klatce w swoim domu.

Weszli na dziwną platformę z niską poręczą. Na niebie ukazał się właśnie księżyc w pełni. Mieli dobry widok na podwórze, gdzie przerażeni niewolnicy Brigitte przygotowywali posiłek pod uważnym spojrzeniem ludzi Kenta, próbując wszystkiego, nawet tłuszczu, którym polewali prosiaki.

Słyszając skoczną gigę wygrywaną na flecie, kobieta ze zdumieniem popatrzyła na Kenta. Uśmiechnęła się.

– Są wśród nas muzycy. Każdy piracki statek powinien mieć przynajmniej flecistę i skrzypka. – Pokiwał głową, wychylając się przez poręcz. – Ja mam dobrą załogę.

Phipps, człowiek z siwymi warkoczami, był kwatermistrzem – szefem statku, księgowym i sędzią w sprawach mniejszej wagi. Odpowiadał także za wybór i podział łupów. Na statku pływał też Jeremy, doświadczony żeglarz i nawigator jednostki, a także bosman Mulligan, artylerzysta Jack, żaglomistrz Obadiah i stolarz Luke. Mieli nawet chirurga, mało użytecznego na wodach tropiku, gdzie główną przyczyną śmierci były nieuleczalne choroby – żółta febra, malaria i dezynteria, chyba że konieczna okazała się amputacja.

Brigitte pokazała Kentowi lunetę. Musiał się bardzo schylić, żeby przez nią spojrzeć, taki był wysoki. Wyczuwała jego wielką siłę. Francuscy koloniści, wyręczający się niewolnikami i nadużywający jadła i picia, byli słabi, zapomnieli już o pojedynkach i konnej jeździe. Christopher Kent mięśnie miał jak z żelaza.

Korsarz popatrzył w lunetę i, zadowolony, że z odległej twierdzy nie zmierzają ku nim żołnierze, wyprostował się. Jego wzrok powędrował do broszy na piersi dziwnej gospodyni.

– To dopiero klejnot – zauważył.

– Ten słynny kamień, monsieur, zwą Gwiazdą Chin. Tam właśnie powstał, stworzył go czar-

noksiężnik, który, jak głosi legenda, chciał podbić serce pewnej damy. Ma przynosić miłość właścicielowi.

Uśmiechnął się i sięgnął po broszę. Brigitte nakryła kamień dłonią. Nie mogła mu go teraz oddać! Musiała być piękna, jeszcze tylko przez chwilę. Gdyby go zabrał, zniknęłaby jej uroda i plan by się nie powiódł.

– Podaruję ci go na pożegnanie.

Roześmiał się, a jego spojrzenie zawisło na jej dłoni, która zasłaniała nie tylko klejnot, ale i pierś.

– Co podarujesz mi na pożegnanie, pani? Broszę czy skarb ukryty pod nią?

Zmusiła się, by nie spuścić wzroku, tylko śmiało spoglądać mu w oczy.

– Tak się traktuje kobiety na wyspie, na której mieszkasz, panie?

Zapatrzył się na daleki horyzont. Najwyraźniej zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Nie mieszkam na wyspie – rzekł w końcu. – Mam plantację w amerykańskiej kolonii o nazwie Wirginia.

– Wśród cywilizowanych ludzi? – Była zdumiona.

– To właśnie ci tak zwani cywilizowani ludzie nakłaniają mnie do piractwa – odparł z krzywym uśmiechem. – W końcu grabież opłaca się tylko wtedy jeśli można sprzedać towar. Gdyby nie było kupców, piractwo nie miałoby sensu.

– Nie rozumiem.

– Handluję z Amerykanami. W Anglii piratów traktuje się bez litości, ale w Ameryce mamy wstęp wolny do wszystkich portów, jesteście wręcz mile widziani. To Amerykanie zaopatrują mój statek i znajdują kupców na moje towary, za prowizję, rzecz jasna. I bogacą się wraz ze mną.

– To niewyobrażalne. – Zmarszczyła brwi.

– To polityka. Popierając korsarzy, Amerykanie sprzeciwiają się angielskiemu prawu, ta walka ciągle się nasila. Anglicy stworzyli ustawę nawigacyjną, która stwierdza, że nie wolno importować do angielskich kolonii niczego poza towarami przewiezionymi na angielskich statkach z angielską załogą. Amerykanie uważają to za niesprawiedliwe, na każdym więc kroku obchodzą prawo.

– I moje piękne świeczniki, i porcelana matki...

– Najprawdopodobniej ozdobią kominek w Bostonie. Kiedy zaczął rozmontowywać lunetę, Brigitte zawołała:

– Ależ to prezent od mojego męża!

Kent zaśmiał się, ważąc w dłoni mosiężne urządzenie.

– Sentymentalny człowiek z twego męża, pani.

– Nic nie rozumiesz, monsieur – odparła z oburzeniem.

– Rozumiem, że kobiety pragną pięknych i romantycznych prezentów, ale luneta?

– To nie jest zwykła luneta, monsieur. To urządzenie daje władzę.

– Niby jak?

– Widziałam was, prawda? A wy mnie nie.

– Tak – mówił powoli. – To prawda. Widziałas, jak nadchodzimy, a my byliśmy nieświadomi twojej obecności. Nie wszczęłaś jednak alarmu. Zagadkowe.

Dał znak do powrotu. Ku zdumieniu Brigitte w salonie Kent zdjął kapelusz i zażądał czegoś do picia. Miał kruczoczarne włosy, bez śladu siwizny, ale twarz poraną zmarszczkami. Bliżej mu chyba było do czterdziestki niż do trzydziestki.

Nie tknął otwartej już butelki wina, zażądał przyniesienia nowej, zakorkowanej. Wyszedł na werandę i przez chwilę rozmawiał z panem Phippsem. Wrócił do salonu, mówiąc:

– Nadal nic nie dzieje się w mieście ani w twierdzy. Wciąż nas nie wykryto.

Przez przezroczystą taflę okna widziała okrągłą tarczę księżycą. Ludzie Kenta robili mnóstwo hałasu i zaczepiali co młodsze niewolnice. Jeszcze nie zaczęli jeść, ale dym i smakowite zapachy wypełniły ogród.

Kent spojrzął na portret nad kominkiem. Sielska scenka przedstawiała Henriego i Brigitte Bellefontaine'ów wraz z dziećmi pod rozłożystym dębem. Korsarz zauważył, że młodzi Bellefontaine'owie przypominają z wyglądu matkę, nie ojca.

– Są dla mnie najważniejsi na świecie. Oddałabym za nich życie.

– A jednak je odesłałaś, pani.

– I bardzo tego żałuję. – Przyniosła tacę z dwiema szklankami brandy. Kent kazał jej spróbować z obu, zanim wybrał naczynie.

– Obrażasz mnie, panie – wyszeptwała.

– Milady, są tysiące sposobów, by zabić człowieka, ale trucizna to specjalność kobiet. Napalimy w kominku? Robi się zimno.

Brigitte zawołała jednego z niewolników. Po chwili potężny cień Christophera Kenta zakłuśsał się na ścianie.

Korsarz upił odrobinę brandy, przyglądając się Brigitte znad krawędzi szklanki.

– Więc mąż zaciągnął cię, pani, w to zapomniane przez Boga miejsce, gdzie nie ma jak wychowywać dzieci?

– Mój mąż wcale mnie tu nie zaciągnął. Bellefontaine'owie to stara szlachta, ale poprzednie pokolenia roztrwożyły fortunę i mój mąż nie odziedziczył ziemi. Przyjął propozycję króla, by zorganizować tu kolonię. W zamian otrzymaliśmy ziemię. Tu jest nasz prawdziwy dom, monsieur, który stworzyliśmy dla swoich dzieci. One wrócą na Martynikę! Przebywają w Paryżu jedynie chwilowo, by zdobyć wykształcenie. I dlatego błagam, byś nie zabijał mego męża – dodała bez tchu. – Dzieci potrzebują ojca.



Kent wyjrzał przez okno. Pan Phipps właśnie obserwował kobietę, której kazał spróbować kawałek chleba, zanim sam wziął go do ust. Wszystko było pod kontrolą, nie mogło się zdarzyć nic nieprzewidzianego.

– Ludziom takim jak twój mąż, pani, należy się nauczka – korsarz powiedział to z nieoczekiwaną złością. Popadł w ponure milczenie. Wyraz jego twarzy był gniewny i nieprzenikniony, gdy patrzył na mężczyzn tańczących wokół ognia. Potem się odwrócił, jakby nagle przypomniał sobie, gdzie jest, i dodał lekkim tonem: – Tak czy owak, los twego męża jest w rękach moich ludzi.

– Z pewnością możesz im nakazać...

– Najwyraźniej nie rozumiesz praw obowiązujących na morzu, milady. Mogę być kapitanem, ale panuje u nas demokracja, jak wśród wszystkich piratów. Co zdecydują moi ludzie, to ich sprawa. Nie wydaję rozkazów, a oni ich nie przyjmują. Nie odpowiadam za to, co się stanie.

Podszedł do otwartych na oścież drzwi wychodzących na ogród i wdychając nocne powietrze, zapytał:

– Co to za aromat?

Była to uderzająca do głowy mieszanka jaśminu, konwalii, fioletowej i różowej frezji, bzu i kapryfolium.

– A czy jakiś pirat odpowiada za swoje uczynki? – Stała tuż za nim.

Kent odwrócił się ku niej.

– Madame, nic nie wiesz ani o mnie, ani o świecie, idę o zakład. Możesz myśleć, co zechcesz. Cóż mnie to obchodzi?

– Obwiniasz świat za swoje złe uczynki, panie?

– A co świat dla mnie zrobił?

– I zabijasz z zemsty, tak? Nawet niewinnych?

– To prawo natury. Tak jak jastrzęb zabija węża, wąż szczura. Przetrwają najsilniejsi, tyle się nauczyłem.

– Czemu jednak atakujesz właśnie Francuzów?

– Atakuję każdego. Nie robię różnicy między Anglikiem, Francuzem, Hiszpanem czy Arabem. Jestem wolnym księciem, madame, i mam takie samo prawo wojować przeciw światu, jak ten, kto kieruje statki na morze i armię na ląd.

Odwróciła się bez słowa. Widziała kwiaty w ogrodzie tak wyraźnie jak za dnia, słyszała czarowne pieśni nocnych ptaków. Wyspa pogrzyła się we śnie. Z twierdzy nie dobiegał odgłos strzałów. Nie było widać statków ani pochodni na zboczu góry, wartownicy na palmach też nie krzyczeli na alarm. Powietrze wypełniały gęsty dym i kuchenne zapachy, pijackie pieśni i głośna melodia na flecie, przerwana wybuchem wysokiego kobiecego śmiechu.

Kent milczał, najwyraźniej wycofał się do swojego świata.

– Dziwne – mruknął po pewnym czasie. – Byłem już na tych wszystkich wyspach, chodziłem po nich, piłem ze strumieni, kotwiczyłem na tych wodach, jadłem tutejsze owoce. Nigdy jednak tak naprawdę nie widziałem żadnej z nich.

Czekała, a noc wraz z nią. Było tak, jakby wszystkie rajskie ptaki o kolorowym upierzeniu, egzotyczne kwiaty o soczystych liściach i płatkach, lśniące gwiazdy i tłusty księżyc o barwie kości słoniowej, nawet białe fale przybojowe na odległej plaży, jakby cały wszechświat się zatrzymał.

– A teraz je widzę – podjął Kent. – Przynajmniej Martynikę. Jaka magiczna moc kryje się w tym miejscu? – Jego spojrzenie powędrowało do niebieskiego kamienia na piersi Brigitte. – To zagadkowy kamień. Nigdy dotąd nie widziałem niczego podobnego. To nie brylant ani nie szafir. Wygląda jak niebieski topaz, ale odcień jest głębszy, mniej przejrzysty. Co się znajduje w jego sercu? Najwyraźniej skupisko gwiazd. – Unosząc wzrok, powiedział cicho: – Z pewnością jest tu magia, ale czy to magia wyspy? A może twoja, pani? Jakie zaklęcie na mnie rzuciłaś? – Zmarszczył brwi, czymś zaniepokojony. – Powinniśmy ruszać w drogę – stwierdził stanowczo. – Czuję się zagrożony, pozostając zbyt długo w jednym miejscu. Niepotrzebnie daliśmy się skusić.

Jej serce zabiło gwałtownie. Nie mógł teraz odpłynąć!

– Twoi ludzie jeszcze się nie posilili, panie.

– Mogą zabrać ze sobą jedzenie.

– Prosięta nie są gotowe. A niektórzy... – Zawiesiła głos i rozejrzała się wokół. Kent zrozumiał: i on zauważył, jak część mężczyzn kryje się w listowiu wraz z niewolnicami.

Rzucił jej przeciągłe, zaciekawione spojrzenie.

– Dlaczego się nas nie boisz, pani?

– Ależ boję się.

– Już to mówiłaś, ale ci nie uwierzę. Żadna kobieta się tak nie zachowywała. Przywykłem do krzyków, ucieczek, omdleń albo chowania się za mężczyznę. Ciebie ulepiono z innej gliny. – Jego spojrzenie przeniosło się na jej ramiona, nagie i białe w świetle księżyca. – Drżysz, pani. Zrobiło się zimno.

– Na tej wysokości temperatury w nocy gwałtownie spadają, nawet gdy dni są ciepłe.

– I jak się rozgrzewacie? – W jego oczach zamigotały iskierki rozbawienia.

– Są na Martynice ciepłe miejsca.

Ujrzał wyzwanie w jej wzroku. Kiedy się poruszyła, na jej dekolcie błysnął niebieski płomień.

– Pokaż mi je, pani – powiedział cicho.

Szli przez zadymiony ogród. Ludzie Kenta coś do niego wołali, rzucali sprośne uwagi pod adresem jego towarzyski. Jedli chleb, rozcinali ananasy i orzechy kokosowe. Brigitte zauważyła,

że posługują się swoimi sztyletami, nie używają noży przyniesionych z kuchni przez niewolników. Spostrzegła również, że pan Phipps znalazł skrzynię cynowych kielichów, które niedawno nadeszły z Francji i jeszcze ich nie rozpakowano. Z nich właśnie pili piraci, by uniknąć otrucia. Przewornie dopilnowali, by każdej cebuli, każdej szczypty pieprzu, która trafiła do potraw, najpierw spróbował niewolnik. Gdy prosiaki były gotowe, mężczyźni pokroili mięso własnymi sztyletami.

Przynajmniej jedli i pili, i na to właśnie liczyła Brigitte. Podała im jadło, by opóźnić ich odpłynięcie. Tylko teraz mogła być z Kentem sam na sam.

Z dumnie uniesioną głową, nie patrząc w kierunku męża, poprowadziła kapitana przez rozbawiony tłum, obok nieskazitelnego trawnika, wprost w chłodną dżunglę.

Wśród gęstych liści otoczyła ich dziwna cisza. Idący za nią Kent wyciągnął kord z pochwy. Dróżkę ledwie było widać w świetle księżyca. Jakies niewidoczne stworzenia szeleściły w podszyciu, złociste oczy mrugały w ciemności. W końcu dotarli do skraju zieleni. Przed sobą słyszeli dziwny szmer.

Kent znieruchomiał i cicho zaklął. Rozpościerał się przed nimi niewiarygodny widok.

Nie dalej niż trzydzieści metrów od nich leżała laguna. Otaczały ją duże, gładkie głazy, mielizny pełne trzciny, porośnięte trawą wydmy i niewielka piaszczysta plaża. Księżyc w pełni wyglądał jak złota moneta na powierzchni wody. Jej taflę marszczyły koncentryczne fale, wzbudzone przez zdumiewający wodospad. Tryskał on z gejzera, który kipiał między wysokimi skałami, opadając białą pianą i gorącym strumieniem. Kent, już spokojny, schował kord do pochwy i znowu zaklął.

– Pierwszy raz w życiu widzę coś takiego! To jak łaźnia! Dlaczego ta woda jest taka gorąca?

– Podgrzewają ją wulkaniczne źródła głęboko pod ziemią. – Brigitte zauważyła pot na czole pirata. W tym parnym klimacie rosło mnóstwo orchidei, winorośli, wiele odmian hibiskusa i mięsiste kaktusy o nabrzmiąłych łodygach.

Kent podszedł do wody i z rękami wspartymi na biodrach wpatrywał się we wspaniały widok, [ego włosy skrzyły się pod wpływem ciepła i wilgoci, nad górną wargą wykwitły krople potu. Zdjął kapelusz, a potem długi czarny płaszcz. Brigitte widziała, jak biała koszula przywiera do ciała pirata, a pod nią rysują się potężne muskuły.

Korsarz z zakłopotaniem otarł czoło. Gorąca para i zapach kwiatów mąciły mu rozum, nie pozwalały logicznie myśleć. Nie spotkał się jeszcze z tak przemożną pokusą. Wpatrywał się w swą czarującą towarzyszkę, błysk niebieskiego klejnotu na jej piersi ponownie przykuł jego uwagę. Czy to kryształ rzucał urok, czy ta kobieta? Może oboje?

Ujął ją za ramiona i powiedział stłumionym głosem:

– Od chwili, w której tu przybyłem, czułem, że chcesz nas tu zatrzymać. Wietrzyłem podstęp. Myślałem, że posłałaś kogoś do twierdzy. Żołnierze jednak z pewnością już by tu byli,

a moi wartownicy musieliby ich zauważyć. Nie wysłałaś gońca, prawda, pani?

Pokręciła przecząco głową.

– Chciałaś, żebym został.

Przytaknęła.

– Przysięgnij. Przysięgnij na wszystko, co jest ci drogie. Przysięgnij, że chciałaś, żebym został.

– Przysięgam – wyszeptała. – Przysięgam na życie moich dzieci, że chciałam, abys został.

I była to najszczerza prawda.

Pochylił się nad nią i pocałował. Oderwali się od siebie tylko na moment, by pośpiesznie zaczerpnąć oddechu, a potem znów wziął ją w ramiona. Wodospad szumiał i parował, księżyc patrzył na nich obojętnie. Brigitte poddawała się pocałunkom Kenta. Cyganka miała rację! Gwiazda Chin obdarzała miłością i namiętnością. Bez niej tej nocy by nie było.

Wyczerpani legli w wilgotnej trawie. Wcześniej pływali w ciepłej lagunie i tulili się do siebie pod wodospadem.

– Jesteś niezwykła, jak ten niebieski klejnot, i równie piękna – wyszeptał Christopher. – Odpuśćmy razem, Brigitte. Zamieszkać ze mną na plantacji w Wirginii. Zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa.

Opowiadał jej o swoim domu w Ameryce, a później zasnął. Brigitte leżała w jego ramionach, spoglądając na tropikalny księżyc, który niestrudzenie wędrował ku horyzontowi na zachodzie.

Kenta obudził śpiew ptaków. Niebo wciąż było jeszcze czarne, ale księżyc już zniknął, nadchodził świt. Korsarz ujrzał Brigitte na brzegu wody, odzianą nieco niedbale – nie mogła liczyć na pomoc pokojówki.

On także ubrał się w milczeniu, wciąż zdumiony tym, co niedawno zaszło. Wracali na plantację i do rzeczywistości, a on wiedział dwie rzeczy: że pragnie zatrzymać tę kobietę na zawsze i że jest głodny jak wilk.

Większość jego ludzi leżała wokół dogasających ognisk, chrapiąc z otwartymi ustami. Kilku się zataczało, jęcząc i wymiotując. Kobiety zniknęły. Nagle wyrosła przed nimi Colette, zupełnie jakby czekała na swoją panią, z półmiskiem gorącego mięsiwa i kubkiem rumu.

– Zostało trochę dla ciebie – powiedziała Brigitte do Kenta. Wręczyła mu półmisek. – Całą resztę zjedli i wypili.

Korsarz z uśmiechem usiadł na trawie. Mięso było soczyste, doskonale przyrządzone. Jego ludzie na długo zapamiętają kuchnię Brigitte.

Popatrzył na wschód, gdzie już niebo pobladło, i rzekł:

– Wkrótce wyruszamy. Mój statek jest dobrze ukryty, ale wciąż grozi nam niebezpieczeń-

stwo.

Brigitte spojrzała na zagrody dla zwierząt, gdzie uwięziono mężczyzn. Większość spała po wypiciu rumu, który przyniosły kobiety. Nie dostali jednak jedzenia, zakazała tego Colette, wypełniając rozkazy swej pani. Brigitte zobaczyła Henriego, wciąż był przykuty łańcuchem do kurnika. Wyglądał nędznie i żałośnie.

– Weź ze sobą, co chcesz, byle szybko – powiedział Kent, gdy już zjadł soczystą wieprzowinę i popił ją rumem. – Niewiele potrzebujesz, skarbie, kupię ci wszystkie suknie i klejnoty, jakich tylko zapragniesz.

Brigitte zerknęła na Colette. Młoda niewolnica skrzyżowała ramiona i patrzyła przed siebie z powagą, jakby wydarzenia nocy jej nie dotyczyły.

Było coraz jaśniej, z lasów wokół domu dobiegał małpi skrzek i hałaśliwy śpiew ptaków. Ostatni piraci padli na ziemię, ale Kent tego nie zauważył. Wylał resztki sosu skórką chleba.

– Nie jesteś głodna, ukochana? – spytał z pełnymi ustami. Uklękła obok niego, a jej suknia przypominała teraz wschód słońca, złocisty na różowym niebie.

– Martynika słynie ze swych kwiatów, monsieur – odparła. – Mimo to wielu z nas przywozi ulubione rośliny z domu. Słyszałeś o oleandrze?

Wskazała wysokie liściaste krzewy o różowych pąkach. Tam, gdzie wcześniej odcięto gałęzie, widniały białe krążki. Kent wyssał ostatnią kość i zmiądzzył zębami chrupiącą skórkę.

– Poczekaj, aż zobaczysz kwiaty w Ameryce, moja droga.

– Usmażyliśmy prosięta na tych gałęziach. – Wskazała różny porzucane obok palenisk. – Kazałam Colette dopilnować, żeby usunięto korę, zanim nadzialiśmy na nie prosięta.

Pociągnął rum z kubka i rzucił jej zdumione spojrzenie.

– Po co mi to mówisz?

– Oleander jest trujący. Cały krzew. Wpatrywał się w nią tępo.

– Twoi ludzie nie śpią, monsieur, oni nie żyją. – Colette jak na komendę ruszyła przed siebie. Biegała od mężczyzny do mężczyzny, do wszystkich ciał rozciągniętych na podwórzu, przykładając każdemu rękę do szyi, a potem przechodziła do następnego pirata. Odchodząc od ostatniego uśmiechnęła się triumfująco do swojej pani.

– Nie żyją. – Kent zamrugnął. – Co ty mówisz? – I nagle zrozumiał. Dopiero teraz zauważył to, czego nie widział w półmroku mijającej nocy: że jego ludzie leżą w nienaturalnych pozach i że już nie wydają z siebie żadnych odgłosów.

Zerwał się na równe nogi, rzucając talerz i kubek.

– Nie wierzę ci. Doglądano każdego etapu gotowania, próbowano każdego składnika.

– Myślisz tylko o truciznie, którą można dodać do pokarmu, a nie o takiej, która sączy się z wewnątrz. Podczas gotowania sok z oleandra przeniknął do mięsa.

– Nie wierzę ci.

– Proszę, popatrz na swoich ludzi.

Odwrócił się powoli w kierunku ciał rozciągniętych na trawniku w bladym świetle poranka. Jej głos docierał do niego jakby przez dym z ogniska:

– Mówiłeś, panie, że istnieje tysiąc sposobów na otrucie człowieka. Myliłeś się, monsieur. Istnieje tysiąc i jeden sposób. Nie wiedziałeś o oleandrze.

Jeszcze nie wierzył.

– Kiedy to wymyśliłeś?

– W chwili, kiedy ujrzałam was w lunecie. Zanim dotarliście do plantacji. Miałeś rację, monsieur. To była pułapka. Dotarliście za blisko, żebym zdążyła wysłać niewolnika do twierdzy. Otrucie was wszystkich to była nasza jedyna nadzieja. Ale musieliście tu zostać. Mogłam was zatrzymać, jedynie uwodząc ciebie, monsieur.

– Na Boga, kobieto, nie uwiodłaś mnie! To ja uwiodłem ciebie!

Pokazała mu porozrzucane rożny.

– Były przygotowane, zanim doszliście do plantacji – przypomniała. – Nie zastanowiłeś się, panie, czemu nie wysłałam posłańca do twierdzy, skoro wiedziałam o waszej obecności? Prawda, żołnierze nie przybyliby tu na czas, ale nie wydawało ci się dziwne, że nawet nie próbowałam?

Nie odpowiedział, przejechał dłońmi po spoconej twarzy. Straszliwie pobladł.

– Nie zrobiłam tego, bo spostrzeżlibyście żołnierzy i uciekli. Żeby mój plan zadziałał, musiałam nakłonić was do pozostania i zjedzenia prosiąt. Zaryzykowałam.

Kent wpadł we wściekłość.

– Czy to, co nas połączyło w grocie, nic da ciebie nie znaczy?

– Owszem, znaczy, monsieur. To, że uratowałam męża. I dziedzictwo swoich dzieci. – Wskazała skrzynię złotych monet, którą jego ludzie wydobyli spod altany. – To złoto należy do nas. Mój mąż zgromadził fortunę, by przekazać ją naszym synom i córkom. Myślałeś, panie, że pozwolę ci to zabrać?

Kent nagle złapał się za głowę.

– Nie czuję się dobrze.

– Powinno szybko zadziałać. W przeciwieństwie do swoich ludzi, niewiele jadłeś, tylko mięso. I niewiele piłeś.

– Chyba nie zamierzasz tu stać i patrzeć, jak umieram?

– Sam tego chciałeś – odparła bez śladu żalu w głosie.

– Jak możesz to mówić... po tym, co przeżyliśmy? Podobało ci się.

– Udawałam, monsieur. Twój dotyk był mi wstrętny.

– Więc jesteś zwykłą dziwką.

– Nie, monsieur, jestem kobietą, która zrobi wszystko, by uratować rodzinę. Nawet prześpi się z gadem.

Z jego czoła ściekał pot.

– Popełniłem błąd, biorąc cię za damę.

– Popełniłeś błąd, nie doceniając determinacji kobiety, która pragnie chronić swoją rodzinę.

– Na rany Boga! – wykrzyknął, chwytając się za brzuch.

Spojrzała na niego z zimną obojętnością, jakby był na przykład garnkiem, w którym zaraz zagotuje się woda. Oblicze Kenta spopielało, a na szyję wypełził dziwny fioletowy rumieniec. Powiedziała:

– Moi niewolnicy już dochodzą do twierdzy. Niedługo nadciągnie wojsko, ale ty będziesz już martwy.

Wyciągnął ku niej rękę. Brigitte cofnęła się, a Kent, padając, zacisnął palce na broszy. Runął na ziemię. Niebieski kryształ tkwił w jego pięści, a magiczne, czarowne odcienie błękitu lśniły pomiędzy palcami trupa we wschodzącym słońcu.

*Ma chou,*<sup>4</sup> całe Antyle mówią o tobie. Zostałaś bohaterką!

Przygotowywali się do snu. Wieczorem mieli gości, ale Henri nie pił prawie wcale. Wpatrywał się w żonę z miłością i pożądaniem w oczach.

– Czy to nie dziwne, Henri? Gdybym zdradziła ci prawdziwy powód mojego niezadowolenia, nigdy nie kupiłbyś mi lunety, a bez niej ta noc mogłaby wyglądać całkiem inaczej.

– Zatem Bogu niech będą dzięki za moją tępotę.

Brigitte zdmuchnęła świecę i weszła pod kołdrę.

– Henri, chcę sprowadzić dzieci z Paryża. Wiem, że tak się nie robi. Koloniści nie wychowują dzieci na wyspach. Ale my będziemy pierwsi. Ściągniemy guwernerów, nauczycieli jazdy konnej i damy do towarzystwa, by uczyły ich etykiety i dobrych manier. Może założę szkołę. Tak, to właśnie zrobię.

– Dobrze, *ma chou*. – Gotów był zgodzić się na każdy kaprys żony, taka była czarująca.

Chciał ją przytulić, ale się odsunęła.

– O co chodzi, *ma chou*?

– Zakochałeś się we mnie, bo byłam ładna. A potem znowu zauważyłeś moją urodę tamtej nocy. To jednak zasługa Gwiazdy Chin. To ona podarowała mi piękno i dzięki temu udało mi się zatrzymać kapitana Kenta.

Henri taktownie nie pytał, co zaszło na lagunie. Brigitte ubrana była wprawdzie nad ranem nieco niedbale, ale najwyraźniej walczyła z łajdakiem i zdołała obronić swoją cześć. Na pewno jego żona, mądra jak nikt i bystra rozmówczyni, jedynie rozmawiała przez całą noc z Anglikiem. Brigitte, rzecz jasna, nie zamierzała wyprowadzać go z błędu.

---

<sup>4</sup> *Ma chou* (franc, pot. pieszcz.) – mój kotku.

– Przecież jesteś piękna – zaprotestował. – Żaden kamień nie ma tu nic do rzeczy. – Zastanawiał się przez chwilę i dodał: – W porządku.

Wyszedł z łóżka, a po chwili poczuła jego palce na gorsie swojej nocnej koszuli.

– Co robisz?

– Bądź jeszcze piękniejsza. Masz. To twój niebieski kryształ.

Natychmiast poczuła, jak działa magia. Gwiazda Chin znów ją odmieniła. Brigitte z rozkoszą poddała się uściskom Henriego, pewna swojej urody – to, co podziałało na pirata, mogło równie dobrze podziałać na męża. A kiedy zaspokoili namiętność i uznała, że Martynika to jednak raj, Henri zapalił świecę, by pokazać żonie kameę z kości słoniowej, którą przypiął do jej koszuli. Niebieski kryształ wciąż spoczywał w szkatułce. Roześmiała się cicho i wzięła Henriego w ramiona.

### Przejście

Po śmierci Christophera Kenta korsarze nie najeżdżali już Martyniki, a tak zwana złota era piractwa dobiegła końca, kiedy wszystkie floty świata zwały szeregi, by morza uczynić bezpiecznymi. Henri i Brigitte dożyli dojrzałego wieku – on zmarł mając sześćdziesiąt lat, ona sześćdziesiąt trzy – i zostawili dzieciom w spadku bogactwo oraz dobre imię. Plantacja Bellefontaine przetrwała trzęsienia ziemi, huragany i olbrzymią erupcję wulkanu Pelee. Obecnie jest atrakcją turystyczną, a przewodnicy opowiadają zwiedzającym, jak państwo Bellefontaine, uzbrojeni jedynie w lunetę i muszkiet, zdołali pokonać bandę krwiożerczych piratów w ciągu zaledwie jednej nocy.

W 1760 roku syn Brigitte, wówczas rozwiążył starzec cierpiący na podagrę i chorobę weneryczną, grał w pokera z Jamesem Hamiltonem. Bellefontaine'owi pozostał tylko niebieski kryształ, który należał niegdyś do jego matki. Nie miał pojęcia o jego wartości, wiedział jedynie, że kamień znany jest jako Gwiazda Chin. Przegrał i kryształ przeszedł w ręce Jamesa Hamiltona, który ofiarował go swojej ukochanej Rachel, matce Alexandra i Jamesa, jego dwóch nieślubnych synów mieszkającej wraz z nimi na wyspie Nevis w Indiach Zachodnich. Tuż po przeprowadzce rodziny na wyspę Saint Croix James Hamilton porzucił Rachel. Pod zastaw niebieskiego kryształu otrzymała pożyczkę i otworzyła niewielki sklepik w największym mieście na wyspie. James został czeladnikiem stolarskim, a jedenastoletni wówczas Alexander pracował jako ekspedient za ladą. Dobrze im szło i Rachel odkupiła niebieski kamień, do którego była bardzo przywiązana.

Kiedy jej młodszy syn skończył siedemnaście lat, z pomocą miejscowego duchownego zebrał środki na wyjazd na nauki do Nowego Jorku. Podczas studiów w Kings College Alexander zakochał się w Molly Prentice, córce pastora metodystów. Poprzysiął jej wieczną miłość, a przypieczetował tę obietnicę, ofiarowując dziewczynie niebieski kryształ, który matka dała mu



na pożegnanie, gdy opuszczał Indie Zachodnie. Ojciec Molly jednak nie pochwalał związku córki z niezamożnym młodym człowiekiem o wątpliwej proweniencji i wysłał ją do krewnych w Bostonie, gdzie zakochała się w Cyrusie Jardingu, wyszła za niego za mąż i urodziła ośmioro dzieci. Nigdy więcej nie zobaczyła Hamiltona, ale zatrzymała kryształ na wspomnienie pierwszej miłości. Dawny ukochany zginął w pojedynku z niejakim Aaronem Burrem, a Molly podarowała klejnot w prezencie ślubnym swojej córce, Hannah, dziewczynie o mistycznych skłonnościach, która twierdziła, że komunikuje się ze zmarłymi. Hannah uważała, że kryształ wydatnie jej w tym pomaga.

Księga ósma  
*Droga na zachód*  
Ameryka, rok 1848

*Z południa, północy, zachodu i wschodu*  
*Skąd zew mnie przywoła?*  
*Muszę gnać do przodu.*

Odmówiwszy w duchu to zaklęcie, Matthew Lively jeszcze przez chwilę nie otwierał oczu. Spojrzał dopiero, gdy wirujący kryształ znieruchomiał. Matthew właśnie tak podejmował wszystkie ważne decyzje – w porozumieniu z Kamieniem Przeznaczenia.

Kamień wskazywał zachód.

Przeszył go dreszcz podniecenia. Chciał jechać na zachód, zobaczyć nowy kraj po drugiej stronie Gór Skalistych, może nawet osiedlić się tam na stałe. Gdyby jednak Kamień Przeznaczenia wskazał mu wschód, popłynąłby do Europy; jeśli południe, udałby się na Florydę; na północy były dzikie lasy Kanady.

Klejnot wybrał jednak słowo „zachód”, które Matthew wypisał drukowanymi literami na dużym prostokącie papieru, razem ze słowami „południe”, „wschód” i „północ”, ułożonymi za pomocą kompasu tak, by wskazywały kierunki świata. Na środku położył gładki kryształ, nazwany przez matkę Kamieniem Przeznaczenia, i nim zakreślił. Kryształ wyraźnie prowadził go na zachód.

Matthew ledwie skrywał radość. Zmiał papier, włożył kamień do wyściełanego aksamitem pudełka i pobiegł na dół, by poinformować matkę o swoich planach, ale zatrzymał się u stóp schodów. Zasłony w drzwiach saloniku były zaciągnięte, co oznaczało, że seans trwa i nie należy przeszkadzać Hannah.

Matthew nieszczęśliwie się tym przejął. Był głodny, postanowił więc uczcić wybór ciastem i mlekiem w kuchni, i poczekać, aż spragnieni towarzystwa duchów klienci sobie pójdą.

Odkroił spory kawał czekoladowego ciasta. W duchu liczył na to, że tego popołudnia matka ma dobry kontakt ze zmarłymi; nie był w nastroju na słowne potyczki, nie zniósłby zakazu. Matthew musiał jechać; umarłby tu, w Bostonie, gdyby tego nie zrobił.

Wszystko z powodu Honorii. O mało go nie zabiła, odrzucając jego oświadczenia. Miał złamane serce, żadne medykamenty nie mogły go uleczyć. Nie chodziło tylko o odmowę, także o sposób, w jaki to zrobiła. Powiedziała przerażonym tonem: „Nie mogłabym żyć z człowiekiem, który codziennie ma do czynienia z trupami”. Matthew nie żywił do niej urazy. Honoria była bardzo delikatna, połowę czasu spędzała na leżance, przyjmując gości. On też nie był typem bohatera. Matthew Lively zdawał sobie sprawę z tego, co widzą ludzie, gdy na niego patrzą: blade-

go, nerwowego dwudziestopięcioletniego młodzieńca, który się jąka i mimo wykształcenia jest ogromnie nieśmiały.

Matthew Lively czuł się zraniony i wypiwszy szklanek mleka, postanowił, że na zawsze kończy z kobietami.

Hannah Lively, córka Molly Prentice, niegdyś ukochanej Alexandra Hamiltona, weszła do kuchni. Była nieładna, a suknia z krepy i koronkowy czepek nie dodawały jej uroku.

– Jak poszło, mamó? – spytał Matthew. To, że matka jest jedną z najpopularniejszych spirytystek na Wschodnim Wybrzeżu, napawało go dumą.

– Dziś duchy były bardzo rozmowne. Nawet bez pomocy kamienia. – Popatrzyła na niego pytająco.

– Mamó, kamień wskazał zachód. Z powagą pokiwała głową.

– Duch w kryształ wie, gdzie leży twoje przeznaczenie. Sześćdziesięcioletnia Hannah, uważana przez przyjaciół i sąsiadów za prawdziwą prorokinię, wierzyła bez zastrzeżeń w moc kryształu, Matthew nie uznał więc za stosowne mówić jej, że zakręcił nim jedenaście razy, zanim kamień w końcu wskazał zachód. Młody człowiek doszedł do wniosku, że kryształ potrzebuje rozgrzewki.

– Muszę jak najszybciej ruszać do Independence – oznajmił z podnieceniem. – Mówią, że nie należy wyjeżdżać po pierwszym maja. Wozy, które pojedą później, nie znajdą trawy na szlaku, a poza tym najważniejsze to dotrzeć do gór Kalifornii przed pierwszym śniegiem... – Urwał, bo uświadomił sobie, z czym właśnie się zdradził: że od samego początku planował jechać na zachód.

Jego matka nie miała nic przeciwko temu. Skoro kryształ usankcjonował ten wybór, jej syn mógł jechać, dokąd mu się żywnie podobało.

Usłyszeli skrzypnięcie drzwi wejściowych i kroki w holu. Wrócił ojciec Matthew, właśnie strząsał krople deszczu z kapelusza. Był to wysoki, dystygowany dżentelmen o siwych włosach.

– Syn Simsonów zmarł – oświadczył z powagą. – To było zapalenie płuc, nie miał szans.

Po tych słowach Jacob Lively przeszedł do biblioteki. Usiadł za biurkiem i, jak miał w zwyczaju, od razu zabrał się za sprawę zawodowe. Jako skrupulatny archiwariusz, starszy pan Lively wyciągnął formularz aktu zgonu, zanurzył pióro w atramencie i starannie wypisał szczegóły, wyjmując zegarek, by ustalić czas śmierci: spacer z domu Simsonów do siedziby rodziny Livelych trwał dokładnie sześć minut.

Po dopełnieniu formalności wstał z uśmiechem.

– Czy dobrze zgaduję z miny swego syna, że decyzja została podjęta?

– Jadę na zachód, ojczy!

Jacob objął syna i powiedział z nietypowym dla siebie przejęciem:

– Będę za tobą tęsknił, Matthew, Bóg mi świadkiem. Ale urodziłeś się po to, by zapuścić ko-

rzenie w dalekiej krainie. Zawsze to wiedzieliśmy, twoja matka i ja. – Lively’owie dostrzegali rosnący niepokój młodszego syna i rozumieli, że chce wyjechać tam, gdzie będzie potrzebny. Czuli, że na zachodzie nie zabraknie miejsc, w których przydadzą się jego umiejętności. – Teraz, gdy nadeszła pora, synu, jedź z Bogiem!

Dali mu prezent: czarną torbę z inicjałami wytłoczonymi w złocie. W środku znajdowały się skalpele, nożyczki, igły do szycia tkanek i skóry, nici z jedwabiu i katgut, opatrunki i bandaże, strzykawki i cewniki. Oczy Matthew rozszerzyły się szeroko na widok cennego instrumentu.

– To stetoskop! – wykrzyknął.

– Prosto z Francji – oznajmił z dumą jego ojciec. Było bardzo niewiele takich urządzeń po tej stronie Atlantyku.

Długą drewnianą rurę z szerszym końcem, który przykładano się do klatki piersiowej chorego, wynaleziono zaledwie kilka lat wcześniej. Pierwowzór był o wiele krótszy, ale dzięki przedłużeniu tuby lekarze unikali pcheł pacjenta.

Przed odjazdem matka postanowiła urządzić jeszcze jeden seans. Zamierzała dać synowi Kamień Przeznaczenia – w liczącej prawie pięć tysięcy kilometrów trasie między Bostonem a Oregonem Matthew będzie bardziej potrzebował kryształu niż ona.

Podczas gdy matka konsultowała się na osobności z magicznym klejnotem, Matthew spacerował po salonie. Nadchodząca przygoda cieszyła go, ale i przerażała. Po raz pierwszy w życiu robił coś na własną rękę. Od dzieciństwa tylko naśladował innych. Poszedł w ślady starszych braci i wybrał ten sam zawód co ojciec (jeśli nawet przyszło mu do głowy inne zajęcie, odpędził te myśli; taka śmiała inicjatywa nie leżała w jego naturze).

Po konsultacji z duchem kamienia Hannah wsunęła kryształ w rękę Matthew, zaciskając na nim jego palce.

– Posłuchaj mnie, synu – oznajmiła z powagą. – Czeka cię wielkie wyzwanie. Musisz stawić mu czoło z siłą, odwagą i mądrością.

– Wiem, mamó – odparł cicho. – Podróż do Oregonu jest długa i niebezpieczna.

– Nie, synu, nie mówię o podróży. Tak, będzie ciężka, ale która droga nie jest taka? Mówię o czymś innym: o punkcie zwrotnym tej podróży. O czymś strasznym i ponurym. – Na jej obliczu pojawiła się troska. To go zaniepokoiło.

– Mogę tego uniknąć?

Pokręciła przecząco głową.

– Stańło na twojej drodze, takie jest twoje przeznaczenie. To będzie sprawdzian. Niech kryształ cię prowadzi, synu, dzięki niemu trafisz do światła i życia.

I wreszcie nadszedł czas odjazdu. Miał przed sobą długą drogę – pieszo, konno, dylizansem, łodzią i pociągiem – z Bostonu do Independence, gdzie zaczynało się jego przeznaczenie.

Przecież już mówiłem! – niemal krzyknął przewodnik. – Nie biorę samotnych kobiet i koniec gadania!

Emmeline Fitzsimmons z oburzeniem spojrzała na Amosa Tice'a. Ostatnie dwa tygodnie spędziła w Independence, punkcie wyjścia dla Szlaku Oregońskiego, w ogromnym obozowisku nad Missouri, skąd rodziny wyruszały na zachód, a wciąż nie znalazła przewodnika, który by ją zabrał. To było niesprawiedliwe. Wielu samotnych mężczyzn znajdowało miejsca na wozach. Ale samotna kobieta...

Miała ochotę krzyknąć.

Kapitan Amos Tice pochodził z gór, świadczył o tym jego wygląd: długa, zdobiona frędzlami kurtka z kozłej skóry, spodnie w paski, wysokie buty, flanelowa koszula i nabijany paciorkami indiański pas, z którego zwisał długi nóż. Poplamiony potem kapelusz o szerokim rondzie ocieśniał ogorzałą od słońca twarz i siwą brodę. Nikt właściwie nie wiedział, czego jest kapitanem, ale mówiono, że to uczciwy człowiek i dowozi emigrantów tam, dokąd chcą jechać. Tice zmierzył wzrokiem zuchwałą dziewczynę: Emmeline Fitzsimmons właściwie nie była piękna, nie zachwycały go jej rozwiane rude włosy i piegi, ale miała miłą buzię i pełną, krzepką sylwetkę. Na pierwszy rzut oka widać było, że sprawia kłopoty mężczyznom.

– Przykro mi, panienko – powiedział ponownie. – Takie są zasady. Nie pozwalamy niezamężnym paniom na samotne podróże.

Emmeline była załamana. Odmawiał jej siódmy przewodnik, miała coraz mniejsze szanse na podróż. Pierwsze wozy już wyruszyły za dwa tygodnie nikt już nie będzie jechał na zachód ze względu na śniegi w górach.

– Przecież mogłabym się przydać. Jestem akuszerką. – Wskazała dłonią tłumek kobiet i dzieci. – Patrząc na niektóre z tych pań, mogę stwierdzić, że wkrótce będę potrzebowały moich usług.

Tice z oburzeniem zmarszczył brwi. Żadna dama nie powinna mówić o tak delikatnej sprawie jak odmienny stan kobiety. Wątpił, czy faktycznie jest akuszerką. Wydawała się zbyt młoda, zbyt dystygowana. I niezamężna. Z tych, które powodują najgorsze kłopoty. Do Oregonu było ponad trzy tysiące kilometrów, z boską pomocą podróż miała potrwać cztery miesiące. Zbyt długa droga i zbyt wiele nocy, by mieć przy sobie taką kobietę. Odwrócił się, demonstrując jej szerokie plecy.

– A jeśli kogoś znajdę? – zapytała szybko. – Jeśli znajdę rodzinę, która zgodzi się mnie zabrać, pozwoli mi pan podróżować w pana grupie?

Podrapał się po brodzie i strzyknął śliną na błoto.

– Dobrze, ale najpierw muszę przyjąć tę rodzinę.

Independence było ruchliwym przygranicznym miastem, gdzie mieszały się rozmaite rodzaje ludzi: kanadyjscy traperzy w futrach; meksykańscy poganiacze mułów w jasnoniebieskich kur-

tach i białych spodniach; ubrani w łachmany Indianie Kanza na kucykach; Jankesi handlujący wszystkim, co można sobie wyobrazić, i tysiące pełnych nadziei emigrantów z wozami. Wiosenne powietrze rozbrzmiewało stukaniem kowalskich młotów, krzykami hazardzistów na zabłoczonych ulicach i muzyką z saloonów. Niecierpliwi podróżni krążyli wokół, wstępowali do sklepów wypełnionych towarami, a Indianie wystawiali na ulicach, by sprzedawać swoje wyroby.

Emmeline stanęła naprzeciwko zatłoczonego sklepu z suszoną żywnością, zastanawiając się, co dalej, i usłyszała, jak jakiś mężczyzna mówi do swojego towarzysza:

– Taaak, słyszałem to od brata. Podobno w Oregonie świnie biegają samopas, bez właścicieli, tłuste i już ugotowane, i wystają z nich widelce i noże, wystarczy więc tylko odkroić sobie plasterk, kiedy zgłodniejesz.

W tym momencie zauważyła młodego lekarza, który wchodził do apteki po drugiej stronie ulicy.

Wiedziona nagłym impulsem, przebiegła przez ulicę i wpadła do apteki. Zatrzymała się przy drzwiach, by przyzwyczać oczy do półmroku, oglądając reklamy żółciowych pastylek Windhama, balsamu z Gileadu doktora Salomona i maści Hollowaya. Półki za kontuarem były zastawione tonikami i proszkami, które leczyły podobno wszystko, od podagry po raka, i to z doskonałym skutkiem. Emmeline wzięła do ręki butelkę uspokajającego syropu dla dzieci. Na etykietce napisano, że zawiera morfinę i alkohol. Wskazana dawka – „aż dziecko się uspokoi”.

Młody lekarz rozmawiał z aptekarzem.

Poznała, że to medyk, po czarnej torbie, identycznej jak te, które jej ojciec i wujowie zawsze zabierali na wizyty domowe. Młody człowiek był chudy i blady, miał na sobie źle dopasowany garnitur. Wyglądał na nerwowego. Minęła klientów i podeszła do niego w chwili, gdy młodzieniec otworzył torbę i wyjął z niej butelkę, którą wręczył właścicielowi apteki. Emmeline dostrzegła gazę i bandażę, opatrunki i nożyczki.

– Przepraszam, panie doktorze... Czy mógłby mi pan pomóc?

Odwrócił się ku niej, zaniepokojony.

– Mówi pani do mnie? – Na jego policzkach wykwitł rumieniec.

Dziewczynę wychowano tak, by nigdy nie zaczepiała nieznajomych, którzy nie zostali jej przedstawieni. Okoliczności jednak były wyjątkowe, poza tym znajdowali się na granicy.

– Nazywam się Emmeline Fitzsimmons i zamierzam jechać na zachód – powiedziała śmiało.

– Jako że podróżuję samotnie, przewodnicy nie chcą mnie przyjąć. Proszę pozwolić mi sobie towarzyszyć, panie doktorze. Mogę zostać pana asystentką. Jestem wykwalifikowaną akuszerką.

– Wyciągnęła przed siebie skórzany tornister na instrumenty i leki. – Ale nie tylko – dodała pośpiesznie, podczas gdy on wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami. – Mój ojciec był lekarzem, pomagałam mu przy pracy. Też chciałam zostać lekarką, ale nie przyjęto mnie na studia. Tylko mężczyźni mogą być lekarzami – stwierdziła z goryczą. Po chwili uśmiechnęła się szeroko.

ko. – Mogłabym się panu bardzo przydać.

Matthew nie miał pojęcia, co zrobić z tą zuchwałą kobietą. Jego ukochana Honoria była smukła i delikatna, panna Fitzsimmons – pulchna i obdarzona obfitym biustem. Miała wydatne, czerwone usta i długie rzęsy, od jej perfum kręciło mu się w głowie. Przełknął ślinę. Krzycząca kobiecość nieznajomej budziła w nim niepokój. Jak mogła zaproponować coś tak niestosownego? Dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, miałyby wspólnie podróżować?

– Ja... przepraszam – wyjąkał.

– Proszę spojrzeć. – Otworzyła torbę i wyciągnęła niezapisane akty zgonu. – Widziałam takie same w pana torbie. Czy nie oznacza to, że do siebie pasujemy? Dla mnie to znak!

Ale Matthew tylko wymamrotał przeprosiny, zabrał napełnioną butelkę od aptekarza i wypadł na ulicę.

Nie przyjmując porażki do wiadomości, Emmeline powróciła do wielkiego obozowiska nad rzeką i jeszcze raz rozejrzała się po okolicy. Większość wozów z osadnikami już odjechała, lalka pozostała. Emmeline bardzo pragnęła dołączyć do pasażerów Tice'a, którzy mieli wyruszyć rano. W przeciwieństwie do większości przewodników Tice był już w Oregonie, znał drogę i Indian. Dlatego żądał więcej pieniędzy niż inni; jej jednak nie chciał zabrać za żadną cenę.

Zatrzymała się nieopodal sztywnego młodzieńca w koszuli w kratkę i meloniku. Tłum patrzył, jak mężczyzna ustawia aparat na statywie. Napis na jego wozie brzmiał: „Silas Winslow, dagerotypista. Tylko korzystne zdjęcia”.

Ten wynalazek był ostatnim krzykiem mody. Emmeline także pozowała do portretu przed wyjazdem z Illinois, dla sióstr. Niestety, ich nie stać było na podobne zdjęcia, Emmeline musiała więc zdać się wyłącznie na swoją dobrą pamięć.

Szła wśród wozów. Mężczyźni sprawdzali zapasy i oliwili koła, kobiety nadzorowały załadunek mebli, skrzyń i pościeli. W końcu dziewczyna natrafiła na nowo przybyłą rodzinę: kobieta w zaawansowanej ciąży próbowała poradzić sobie z dziećmi, kurczakami i wozem. Podeszła do niej i przedstawiła się radośnie:

– Jestem wykwalifikowaną akuszerką i na pewno się przydam, gdy nadejdzie rozwiązanie, czyli z całą pewnością w trasie.

Kobieta nazywała się Ida Threadgood. Podziękowała za pomoc:

– Byłabym wdzięczna Najwyższemu, gdyby zechciała pani z nami podróżować, panno Fitzsimmons. To błogosławieństwo. Tak jak ten człowiek – Ida z chmurnym wyrazem twarzy obserwowała męża, który zaprzęgał wołu – jest przekleństwem.

W piękny wiosenny poranek 12 maja 1848 roku podróżni przebrali się w odświętne stroje, panie włożyły gorsety, kwieciste kapelusze i rękawiczki, wzięły do rąk parasolki i wachlarze, panowie zgolili zarost i nasmarowali włosy brylantyną, ustroili się w nowe szelki lub wypolero-

wali sprzączki u pasa. Łącznie w Independence poprzedniego wieczoru były zatłoczone, bo wszyscy emigranci postanowili wziąć porządną kąpiel przed wyruszeniem w drogę. Orkiestra grała *Yankee Doodle* i *The Star Spangled Banner*, puszczano fajerwerki, a pan Silas Winslow zrobił grupowe zdjęcia tym, którzy mieli pieniądze, by za nie zapłacić. Rodziny i przyjaciele ocierali łzy, żegnając się z najbliższymi, którzy zmierzali w nieznane.

Emigranci mieli pokonać ponad trzy tysiące kilometrów z prędkością trzech kilometrów na godzinę. Wyruszyli w wąskich, krytych brezentem, ciągniętych przez woły wozach, które nazywano szkunerami prerii; w wysokiej trawie przypominały statki pod żaglami, mknące przez zielone morze. Grupa składała się z siedemdziesięciu dwóch wozów, stu trzydziestu sześciu mężczyzn, sześćdziesięciu pięciu kobiet, stu dwadzieściorga pięciorga dzieci i siedmiuset sztuk bydła i koni. Na każdym wozie jechały osobiste rzeczy i meble, a także zapasy zakupione w Independence: sto kilogramów mąki, pięćdziesiąt kilo bekonu, pięć kilo kawy, dziesięć cukru, pięć soli. Zabrano jeszcze ryż, herbatę, fasolę, suszone owoce, ocet, pikle i musztardę. Emigranci mieli też towary na wymianę: bele bawełny dla spotkanych po drodze Indian, – koronkę i jedwab dla Hiszpanów, – książki i narzędzia dla Jankesów już mieszkających na zachodzie. Kobiety zabrały obrusy, porcelanę i rodzinne Biblie, mężczyźni broń, pługi i łopaty. Towarzyszyły im liczne psy, kury i gęsi.

Droga wiodła na zachód od Independence, przez krainę Indian Szawni, wzdłuż rzeki Kansas, którą Indianie pomogli im pokonać na barkach (żądali siedemdziesięciu pięciu centów od wozu, co emigranci uznali za rozbój w biały dzień). Mężczyźni jechali na koniach, a większość kobiet szła obok wozów, podobnie jak poganiacze wołów. Na wozach jechali tylko starcy i dzieci. Pod koniec pierwszego dnia zbiorowisko wozów, wołów, koni, mułów i bydła zatrzymało się, by zjeść kolację, pospać, wypaść zwierzęta i następnego ranka ponownie ruszyć w drogę. I tak miało to wyglądać przez następne cztery miesiące: jak wielka, ruchoma wioska. Po drodze spotykali ludzi zmierzających do Kalifornii, która została zaanektowana przez Stany Zjednoczone i nie walczyła już z Meksykiem. Emigranci jadący do Oregonu nie widzieli jednak sensu w podróży do Kalifornii, którą opisywano jako bezwartościową pustynię, zamieszkaną jedynie przez Meksykanów i Indian. Jakiś człowiek na koniu wspomniał coś o znalezionym tam złocie, ale wszyscy wyśmiali łatwowiernego idiotę.

Rozciągała się przed nimi preria, płaska, porośnięta trawą i błotnista tam, gdzie padało. Emigranci nie spuszczaali wzroku z horyzontu, idąc obok wozów i koni. Byli wśród nich Tim i Rebecca O’Rossowie oraz ich dzieci z poprzednich małżeństw; Charlie Benbow i jego żona Florine, hodowcy kurczaków; Sean Flaherty, śpiewający Irlandczyk, i jego przyjazna czarna suczka, Daisy; czterej bracia Schummanowie z Niemiec, których wóz wypełniały żelazne pługi i inny sprzęt rolniczy (Schummanowie prawie wcale nie mówili po angielsku i przez dłuższy czas sądzili, że „muł” znaczy „przeklęty”).



Emigranci wyruszyli jako obcy sobie ludzie, ale wkrótce zaczęli nawiązywać znajomości. Kapitan Amos Tice do niczego się nie wtrącał, dbał tylko, by człowiek płacił za podróż i współpracował z innymi w wypełnianiu obowiązków, polowaniu i obronie przed Indianami. Poznawanie się pozostawało w gestii samych pasażerów. Niebawem wiadano już, kto jest z Ohio, Illinois czy Nowego Jorku, kto ma jaki zawód, kto owdowiał, ożenił się ponownie i ile razy. Pewnego popołudnia Jeb, poganiacz z Kentucky, podszedł do Matthew Lively'ego i rzekł:

– Podobno panna Fitzsimmons powiedziała pani Threadgood, że jest pan lekarzem. Może pan wyrwać ząb?

Jeb pocierał spuchniętą szczękę, jego twarz przybrała niezdrową barwę. Matthew poinformował go, że on wprawdzie nie zajmuje się stomatologią, ale chyba Osgood Aahrens z ostatniego wozu jest cyrulikiem.

Dla Idy i Barnabasa Threadgoodów, jak dla większości par małżeńskich wśród osadników, nie był to pierwszy związek. Ida miała wcześniej dwóch mężów, Barnabas trzy żony. Oboje owdowieli, towarzyszyła im cała gromada dzieci. Ida była wdzięczna pannie Emmeline, która pomagała jej gotować, robić przepierki i doglądać dzieci w zamian za miejsce w wozie i opiekę rodziny (choć szybko się rozeszło, że w grupie podróżuje samotna dama i mężczyźni zaczęli ciągnąć do niej jak pszczoły do miodu). Nie umknęło to uwagi Albertiny Hopkins, która oświadczyła:

– Ta dziewczyna narobi zamieszania wśród wolnych mężczyzn. Wspomnicie moje słowa, panna Emmeline Fitzsimmons będzie przyczyną wielu sporów.

Inne kobiety przytaknęły jej, bo od dawna podejrzliwie traktowały młodą kobietę podróżującą na własną rękę, zwłaszcza że nic sobie nie robiła ze swego wolnego stanu. Panna Fitzsimmons nie była wstydliva ani subtelna, swobodnie przekomarzała się z mężczyznami, co budziło niepokój pań. Przewracając bekon na patelni, Albertina powiedziała głośno, by usłyszeli ją wszyscy, nawet Emmeline:

– Żadna przyzwoita kobieta nie gania z odkrytą głową i rozpuszczonymi włosami. Wszyscy wiemy, co się przydarzyło Jezebel w Biblii.

Albertina była równie pewna siebie w innych kwestiach. Kiedy natrafili na murzyńską rodzinę, która chciała dotrzeć na zachód własnymi trzema wozami, urządzono głosowanie w sprawie ich prośby o przyłączenie się do grupy Tice'a. Emmeline, Silas Winslow, Matthew Lively, Ida i jej mąż głosowali za, wszyscy inni byli przeciw. I tak, Amos Tice musiał wyjaśnić byłym niewolnikom z Alabamy, żeby lepiej udali się do Kalifornii, gdzie czarni są mile widziani.

– W Oregonie nie chcą Murzynów – wyjaśnił, i była to prawda.

Emigranci zostawili na prerii trzy skromne wozy, sześć wołów, dwa konie, krowę i rodzinę złożoną z pięciorga dorosłych i siedmiorga dzieci, a Albertina Hopkins oświadczyła:

– Skoro kolorowi chcą jechać na zachód, nie widzę przeszkód. Nie mam nic przeciwko tym

ludziom. Po prostu uważam, że lepiej im będzie podróżować we własnym towarzystwie. A dlaczego ktoś pragnie jechać tam, gdzie go nie chcą, to już dla mnie całkiem niezrozumiałe.

Albertina była krzepką kobietą o twarzy buldoga i głosie pasującym do postury. Równie chętnie jak o wątpliwym prowadzeniu się panny Emmeline Fitzsimmons mówiła o swojej pobożności i nawet nazwała swoje dzieci na cześć dwóch aramejskich zdań w Biblii – córka nosiła imię Talitha Cumi, co oznaczało: Wstań, dziewczynko, a syn Maranatha, czyli Pan przybywa. Wiecznie opowiadała o swoich dobrych uczynkach – może dlatego, że nikt inny tego nie robił – i wierzyła, że została wybrana, by podążyć na zachód i krzewić słowo boże i cywilizację wśród pogan (choć nie bardzo wiedziała, kim są ci poganie w Oregonie).

Pan Hopkins z kolei był cichym mężczyzną, miłym i zgodnym. Oboje owdowieli, więc i on wniósł swoje dzieci do tego małżeństwa. Żona miała troje potomków, wspólnie dochowali się jeszcze dwójki pociech. Cała ta gromada nieznośnych bachorów biegła samopas, kradła innym dzieciom jedzenie i dręczyła zwierzęta, Albertina udawała jednak, że tego nie widzi, i głośno mówiła, jakie z nich aniołki. Wszyscy mężczyźni litowali się nad cichym panem Hopkinsem. Nie mieli pojęcia, jak on to wszystko znosi, aż pewnej nocy, kilka dni po opuszczeniu Fortu Laramie, bracia Schummanowie znaleźli go za topolą, gdzie w tajemnicy pociągał whisky.

Czwartego wieczoru w obozie Albertina oznajmiła znad gorących ciasteczek:

– Ta Emmeline Fitzsimmons powiedziała mi, że ma dwadzieścia pięć lat. Możecie to sobie wyobrazić? – Napomknęła coś o staropanieństwie i sianiu rutki. – Uważam, że to bardzo nieodpowiednie, żeby niezamężna kobieta asystowała przy narodzinach. Nie obchodzi mnie, czy zna się na akuszerstwie. Dziewczyna, która wciąż jest dziewicą, nie rozumie takich spraw. – I dodała z westchnieniem: – Biedna Ida Threadgood.

Inne panie się z nią zgodziły.

Chcąc nie chcąc, usłyszał to Matthew; Albertina miała wyjątkowo donośny głos. Czuł, że pani Hopkins myli się w kwestii staropanieństwa panny Fitzsimmons. Podczas pierwszych dni na szlaku wielokrotnie widywał młodą osobę o potarganych rudych włosach, bo wóz Threadgoodów znajdował się zaledwie trzy miejsca przed jego własnym. Matthew podejrzewał, że panna Fitzsimmons nie czeka, aż mężczyźni wybiorą, tylko sama wybiera, a jeśli jest starą panną, to na pewno nie z braku okazji do wyjścia za mąż.

Nie wiedział, dlaczego panna ta budzi jego zainteresowanie. Nieszczerólnie mu się podobała. Była mało kobieca, a jej iście męski apetyt budził w nim niechęć. Jego ukochana Honoria jadła jak ptaszek. Była tak szczupła, że wystawały jej kości policzkowe i obojczyki, i tak słaba, że ledwie mogła unieść wachlarz, by się ochłodzić. Nic dziwnego, że rozkochała w sobie połowę młodych ludzi w Bostonie. W pannie Fitzsimmons było jednak coś godnego uwagi. Podejrzewał, że zmierzała na zachód w tym samym celu co on – żeby znaleźć miejsce, gdzie jej umiejętności okażą się pożyteczne.

Wozy z osadnikami toczyły się przez płaską równinę Kansas, gdy Ida Threadgood przycisnęła dłoń do obrzmiałego brzucha i powiedziała do Emmeline:

– Dzięki Bogu, że pani tu jest. To nie był mój pomysł. Ten pozbawiony mózgu dureń, mój mąż, sprzedał farmę, nawet mnie o tym nie informując. I tak muszę podróżować z piątką dzieci i jeszcze jednym w drodze.

Emmeline z trudem ukryła zdziwienie. Dotąd w jej obecności żadna kobieta nigdy nie wyrażała się równie lekceważąco o swoim mężu. Szybko jednak wyszło na jaw, że Ida nie jest wyjątkiem. Wiele kobiet zabrano tu wbrew ich woli, podążały za mężem albo ojcem na zachód, bo nie miały innego wyjścia. Skarżyły się cicho nad ogniskiem albo balią z praniem, z dala od męskich uszu. Mężczyznom taka podróż wydawała się przygodą, ale kobiety potrzebowały korzeni, stałego miejsca, zwłaszcza po przyjściu na świat dzieci. Ponieważ jednak nic nie mogły na to poradzić, pocieszały się myślą, że ciężką pracą dzisiaj zasłużą na lepsze życie jutro.

Dwieście czterdzieści kilometrów za Independence, kiedy towarzystwo wędrowało już od dwunastu dni, pani Biggs zaczęła rodzić. Emmeline przybiegła jej na pomoc, lecz Albertina Hopkins przepchnęła się przed nią, niemal przewracając akuszerkę, i zablokowała wejście do wozu. Emmeline miała ochotę przyłożyć dewotce, ale przywołała się do porządku ze względu na biedną, cierpiącą panią Biggs.

Następnego dnia niebo na horyzoncie pociemniało. Zanim nadeszła burza, grupa ustawiła wozy w ogromnym kręgu i przywiązała bydło i konie. Drżeli pod łopoczącym brezentem, gdy błyskawice przecinały niebo, a pioruny dudniły im w uszach. Złapana przez ulewę podczas wypręgania wołów Threadgoodów Emmeline poszukała schronienia w najbliższym wozie, który należał do Matthew Lively'ego. Siedzieli obok siebie w pełnej respektu ciszy. Burza szalała, zagrażając życiu zwierząt i bezpieczeństwu ludzi. Kobiety zawodziły, dzieci płakały. Nagle, tak szybko jak się pojawiła, burza zniknęła, pozostawiawszy po sobie niezwykłą tęczę. Albertina Hopkins zeszła z wozu i przegoniła z błota swoją niesubordynowaną gromadkę dzieci. Wystawiając twarz do szczeliny w chmurach, powiedziała:

– O, słońce wyszło. – W jej głosie brzmiała duma, jakby to była jej zasługa.

Emmeline czuła coraz większą ciekawość. Z tą swoją pociągłą twarzą młodzieniec wyglądał tak, jakby zbyt często uczestniczył w pogrzebach. Czyżby stracił wielu pacjentów? – zastanawiała się. Nie przyszło jej do głowy, że właśnie teraz Matthew myśli: „Dlaczego panna Fitzsimmons wciąż się uśmiecha? Skąd bierze energię? Czy nikt jej nie mówił, że nie wypada, żeby dziewczyna tyle gadała?”

Dwudziestego dziewiątego marca, po przeszło dwóch tygodniach podróży, przyszli osadnicy dotarli do brzegów rzeki Big Blue, która wpływała do Kansas od północy. Przez obfite deszcze poziom wody podniósł się tak wysoko, że nie dało się jej pokonać. Grupa osadników była zmu-

szona do postoju. Emigranci mieli wreszcie okazję zrobić pierwsze pranie i wziąć pierwszą kąpiel od wyjazdu z Independence. Energicznie wyszorowali się mydłem łojowym. Uprano brudne koszule, suknie, prześcieradła, płaszcze i „niewymowne”. Tego wieczoru pod sierpem księżycy ludzie zabawiali się muzykowaniem, opowiadaniem historii i niewinnymi flirtami przy ognisku. Silas Winslow, kawaler z dobrym zawodem, był przedmiotem zainteresowania matek niezamężnych dziewcząt, podobnie jak Matthew Lively, gdy się rozeszło, że to lekarz.

Winslowa bawiło, że jest traktowany jak książę, pożerał placki i pozwalał paniom prac i cerować swoje ubrania; Matthew Lively był speszony sytuacją. Wstydlivy z natury i nietowarzyski, nigdy dotąd nie znalazł się w centrum zainteresowania pań. Poza tym w jego sercu wciąż królowała krucha Honoria i nadal cierpiał z powodu jej odmowy. Zatem chętne młode córki farmerów i osadników, na gwałt poszukujące mężów, tylko go płoszyły. Wyjątek stanowiła niezwykła panna Emmeline Fitzsimmons. Kiedyś słyszał, jak mówi, że nie wierzy w małżeństwo. Tłumaczyła pani Idzie Threadgood, że to sztuczny twór, wymyślony przez mężczyzn w celu podporządkowania sobie kobiet. Nie atakowała go tak jak inne panny, plackami i uśmiechami, ale i tak się jej wstydził.

Wreszcie można było pokonać rzekę, osadnicy potrzebowali jednak tratw, by przetransportować wozy. Ścinano wielkie topole na tratwy zdolne pomieścić szkunery prerii. Praca była ciężka ze względu na silny prąd; zmuszenie koni i bydła do przepłynięcia rzeki okazało się niemal niemożliwe. Emigranci pracowali przez dwa dni w ulewnym deszczu; wybuchały kłótnie, dwóch poganiaczy niemal zakłuło się nożami.

Ubłocone i wyczerpane towarzystwo usiłowało zaprząć woły, konie i bydło, a także rozpalic ogień, by przyrządzić posiłek, kiedy Barnabas Threadgood nagle krzyknął i osunął się na ziemię.

Wszyscy otoczyli nieprzytomnego mężczyznę, a Emmeline pobiegła po Matthew Lively'ego. Ida stanęła nad mężem i oparła dłonie na kolanach.

– Nigdy mu się to nie zdarzało – powiedziała.

Matthew przepchnął się przez tłum, przyklęknął i dotknął szyi Barnabasa. Gapie stali w milczeniu, a medyk otworzył czarną torbę i wyciągnął z niej stetoskop. Nikt jeszcze nie widział takiego instrumentu. Otworzyli szeroko oczy, gdy Matthew przyłożył koniec rury do piersi mężczyzny i zaczął nasłuchiwać. Po chwili uniósł wzrok i rzekł ze smutkiem w głosie:

– Pani mąż nie żyje.

– Na pewno? – zapytała Ida.

Przez chwilę wpatrywała się w oblicze zmarłego małżonka, a potem, kierując spojrzenie na zachód, znowu nad czymś rozmyślała. Nagle znieruchomiała.

– Po pogrzebie wracam do Missouri – oznajmiła.

Ku zdumieniu Emmeline cztery inne żony dołączyły do Idy, wraz z dziećmi i sześcioma poganiaczami. Jeśli ich mężowie protestowali, to raczej niegłośno. Teraz jednak Emmeline nie mia-

ła z kim jechać, a znalazła się dwieście pięćdziesiąt kilometrów za Independence. Amos Tice nakazał jej wracać razem z Idą, ale dziewczyna zaparła się, że pojedzie do Oregonu. To, co zaśzło chwilę później, zdumiało nawet doświadczonego Tice'a: czterej poganiacze, dwaj wdowcy, fotograf Silas Winslow i patykowaty nastolatek na wypródki wykrzykiwali, że będą eskortować pannę Fitzsimmons do Oregonu. Widząc, że zaraz wybuchnie walka o prawo do opieki nad młodą damą, Matthew wrócił do wozu i w tajemnicy wyciągnął Kamień Przeznaczenia.

Trzymając go w dłoniach, zastanawiał się nad tym, co wyprawia. Decyzja, co począć z panną Fitzsimmons, należała do Amosa Tice'a i do samej dziewczyny, z pewnością nie była to sprawa Matthew. Coś w nim jednak, coś nieznanego i niepokojącego, uparło się, żeby przejął inicjatywę. Sumienie wzywało go do podjęcia decyzji, a do tego Matthew nie przywykł.

Nie chciał jednak brać na siebie całej odpowiedzialności. Postanowił zrobić to, co nakaże mu Kamień Przeznaczenia.

Miał zwyczaj spoglądać na kryształ każdej nocy, nim położył się spać, i każdego ranka, tuż po przebudzeniu. Nie mógł zapomnieć o przerażającej przepowiedni matki, że stanie przed próbą, że zdarzy się coś strasznego i ponurego. Liczył, że zdoła tego uniknąć, ale Duchowy Przewodnik nie zamierzał mu niczego wyjaśniać. Teraz jednak miał inne pytanie do niebieskiego kamienia. Wyjął szkolną tabliczkę, której używał do zadawania pytań kryształowi, i kredę. W jednym rogu tabliczki napisał „tak”, w drugim „nie”.

– Czy powinienem zabrać pannę Fitzsimmons do Oregonu? – spytał głośno i zakręcił kryształem.

Kamień wskazał „tak”. Matthew zakręcił nim ponownie. I jeszcze raz. Kiedy wciąż wychodziło „tak”, uznał, że nie warto pytać Duchowego Przewodnika, bo może popaść w tarapaty. Wrócił zatem do miejsca zamieszania, które niechcący spowodowała dziewczyna. Tice usiłował właśnie rozdzielić dwóch skaczących sobie do oczu mężczyzn. Matthew, z galopującym sercem i spoconymi dłońmi – śmiałość nie leżała w jego naturze – zaproponował Emmeline miejsce w swoim wozie.

Natychmiast wyraziła zgodę.

Pochowali Barnabasa Threadgooda na skraju szlaku, odmówili pośpieszne modlitwy i wsiedli do wozów, by ruszyć w drogę. Zostawili za sobą Idę Threadgood i jej trzódkę, a także trzy inne wozy z kobietami i dziećmi i tych poganiaczy, którzy zmienili zdanie. Wszyscy oni wracali do cywilizacji.

Zmierzające do Oregonu wozy ruszyły. Albertina Hopkins dała do zrozumienia, że nie pochwała wspólnej podróży dwóch osób wolnego stanu i różnej płci.

– To nie jej sprawa – prychnęła Emmeline, wspinając się na kozioł, by podróżować u boku Matthew.

Matthew milczał. W duchu zgadzał się z panią Hopkins.

Albertina wciąż z furią protestowała przeciwko temu układowi, przy każdej okazji informując o tym kapitana Tice'a. Przyłączyło się do niej kilka innych kobiet, ale większość nie miała żadnych zastrzeżeń i poprosiła Tice'a, aby dał spokój dwojgu medykom.

– Mogą być nam potrzebni – stwierdziła Florine Benbow, nie wiedząc nawet, jak prorocze okażą się jej słowa.

Gdy mijali rozległe, ciągnące się w nieskończoność, porośnięte trawą prerie wschodniego Kansas i Nebraska, Emmeline i Matthew postanowili, że wszystko między nimi będzie przyzwyczajone i jawne.

Emmeline spała w wozie, Matthew zaś na macie, którą rozkładał na ziemi. Zachowywali się bez zarzutu, razem jedli, zajmowali się wołami, sprząтали wóz i przynosili wodę. Przywykli do rutyny. Rankiem dźwięk trąbki budził obóz, ludzie, którzy nocą dozorowali zwierzęta, sprowadzali bydło i konie, podczas gdy kobiety rozpałały ogień, przygotowując śniadanie złożone z chleba, bekonu i kawy. Gdy wszyscy już zjedli, zwinęli namioty i załadowali rzeczy na wozy, zaprzęgano woły. Wyruszyli o siódmej rano, by w chłodzie poranka pokonać jak największy dystans. W południe odpoczywali godzinę przed kolejnym pięciogodzinnym marszem. Na sygnał kapitana Tice'a do wieczornego odpoczynku rozlegały się jęki ulgi i kilka słabych okrzyków radości. Ustawione w koło wozy wiązano łańcuchami na wypadek ataku czerwonoskórych, choć Indianie zazwyczaj napadali osadników podczas wędrówki. Zwierzęta się pały, kobiety przyrządzały kolację. Czas po posiłku był najprzyjemniejszą porą dnia, ludzie składali sobie wizyty, czasem grano i tańczono, po obozowisku krążyły plotki i interesujące historie.

To wszystko wydawało się nierealne ludziom nawykłym do życia na farmach i domach: tu dni były ciężkie, ale noce spokojne, obozowisko przypominało piknik, ludzie zaprzyjaźniali się ze sobą, dzieci biegały samopas, wszyscy dzielili się jedzeniem. Jeszcze nie pojawiła się zazdrość ani zawiść, do namiotu Amosa Tice'a nie docierały żadne skargi. Wkrótce, już bardzo niedługo, sytuacja miała ulec pogorszeniu, a kapitana, jak wszystkich przewodników, oskarżono o niesprawiedliwość i faworyzowanie pewnych osób.

Miał niewdzięczną pracę. To on regulował życie podróżnych i porządek wozów, przydzielał dyżury: zbieranie drzewa na opał, przynoszenie wody, warty, wypas zwierząt. Ci z końca kolumny zaczęli narzekać, że wdychają kurz wzbijany przez wozy przed nimi, i choć Tice zmieniał kolejność, nikt nie był usatysfakcjonowany.

Musiał także wymierzać sprawiedliwość. Kiedy pies Seana Flaherty'ego wpadł między kury Benbowa i zagryzł sześć, zanim go złapano, Benbowowie zażądali zastrzelenia Daisy. Sean przytulał do siebie suczkę i ze łzami w oczach tłumaczył, że jest ona wszystkim, co ma. Grupa postanowiła zagłosować i zwierzak ocalał, pan Flaherty zaś zapłacił panu Benbowowi godziwą sumkę za zabite ptactwo.

Były też smutne chwile. Poganiacz Jeb z Kentucky w końcu wyzionął ducha, bo w jego szczęce wytworzył się ropień po tym jak Osgood Aahrens wyrwał mu chory ząb. Pochowali go na skraju szlaku i znów ruszyli przed siebie. Zostawiali więcej grobów: dzieci umierały na odrę, mężczyźni ginęli pod kołami wozów, noworodki żyły tylko po kilka godzin, czasem chowano je wraz z matkami. Widywali też dawne mogiły, wykopane przed emigrantów, którzy szli tędy przed nimi. W następnych dziesięcioleciach Szlak Oregoński został usiany tysiącami krzyży i nagrobków.

Matthew powoził, a Emmeline siedziała obok niego, wystawiając twarz do słońca, i myśląc o ziemi obiecanej, gdzie mężczyźni i kobiety są sobie równi. Mężczyzna, trzymając lejce i zachowując stosowną odległość od wozu jadącego przed nim, by nie wdychać kurzu, podziwiał okoliczne równiny, tak różne od ciemnych salonów, w których bostońscy spirytyści urządzali seanse. Tam wszystko obracało się wokół śmierci, tu wokół żywych – pasącego się bydła, latających jastrzębi, ruchliwych, roześmianych dzieci, Daisy szczekającej na króliki i indyki, zbyt głupie, by wzbić się w powietrze.

Niewiele ze sobą rozmawiali, córka lekarza z Illinois i młody człowiek z Bostonu. Jadąc tak obok siebie, patrzyli w horyzont. Nie wyobrażali sobie wcześniej, że ziemia jest tak ogromna, niebo takie bezkresne. Czuli, jak ich dusze rosną z każdym pokonanym kilometrem, jakby przeżyli młodość w skrzyni na strychu, a teraz wydostali się na świeże powietrze. Horyzont wciąż był daleko, wóz się kołysał i Emmeline uznała, że to dobry moment na rozmowę. Interesował ją niebieski kamień, który co pewien czas wyjmował doktor Lively.

– To Kamień Przeznaczenia. – Zmrużył oczy przed słońcem. – Moja matka dostała go w dniu ślubu. Twierdzi, że jest bardzo stary, może tak stary jak sam świat, i posiada moc wszystkich swoich właścicieli. Moja matka zawsze prosiła kamień o wskazówki, ja również to robię. – Nie zamierzał mówić, że za pomocą kryształu jego matka kontaktowała się ze zmarłymi. Nie powiedział też Emmeline o ponurej przepowiedni. Może zresztą już było po wszystkim: może ten test miał coś wspólnego z zabraniami dziewczyny, co nie przysporzyło mu popularności wśród pozostałych, zarówno mężczyzn, jak i kobiet.

– I ten kamień naprawę pana prowadzi? – Wyraźnie się zainteresowała.

– Bez niego byłbym zagubiony. Czasem myślę, że jestem urodzonym tchórzem – dodał ze wstydem. – Jakoś nie potrafię samodzielnie podejmować decyzji.

– Jest pan po prostu ostrożny, doktorze Lively – stwierdziła. – Ja z kolei jestem zbyt śmiała. Nic mnie nie przeraża. Często pakuję się przez to w kłopoty. – Zdjęła czepek i potrząsnęła włosami. – Nie wie pan, jakie to szczęście być mężczyzną. Może pan wybrać zawód bez żadnych przeszkód. Ja chciałam zostać lekarką, ale nie pozwolono mi na to, bo jestem kobietą. To niesprawiedliwe. Dlatego jadę na zachód. Tam panuje tolerancja, jest demokracja. To prawdziwie

wolny kraj. W naród wstąpił nowy duch, kobiety zaczynają się budzić. Byłam na wspaniałym zjeździe w Seneca Falls, gdzie sporządzono Deklarację Poglądów, wyszczególniając szesnaście przejawów dyskryminacji kobiet, w tym brak prawa głosu, nierówne zarobki za równą pracę, kontrolę nas i naszych dzieci. Kobiety zaczynają się mobilizować, doktorze Lively.

Matthew drgnął niespokojnie. Zdążył zapoznać się z radykalnymi poglądami panny Fitzsimmons. Choć całkiem niedawno wyjechali z Independence, ona już zaczęła otrzymywać propozycje matrymonialne – od wszystkich czterech braci Schummanów (pan Hopkins posłużył za tłumacza), od Seana Flaherty’ego, który zapowiedział, że będzie miał największą farmę ziemniaków w całym Oregonie, i od młodego Dickiego O’Rossa, któremu głos łamał się podczas oświadczyń. Emmeline odrzuciła wszystkich zalotników – podobno nie ze względu na ich braki, ale dlatego że postanowiła nigdy nie wychodzić za mąż. Wyjaśniała każdemu, kto chciał słuchać, że nie ma ochoty tkwić w nienaturalnym układzie zniewalającym kobiety. Jeśli będzie miała dzieci, to na własną rękę, niepotrzebny jej do tego mąż.

Żony osadników, proste farmerki albo wieśniaczki, które nigdy nie słyszały o tak radykalnych ideach ani nie czytały książki *Obrona praw kobiet*, autorstwa Mary Shelley, sądziły, że albo Emmeline jest zbyt młoda, by wiedzieć, co dla niej dobre, albo ma coś nie tak z głową (choć niektóre zazdrościły jej duchowej niezależności i trzymały za nią kciuki). Matthew spotykał w Bostonie panie pokroju Emmeline Fitzsimmons: nazywały siebie sufrażystkami i budziły jego niepokój. Jakże tęsknił za cichą, bladą, delikatną Honorią, która rzadko się odzywała i z pewnością żadne polityczne myśli nie powstały w jej głowie. Każdej nocy, gdy obóz spał, a Matthew usiłował konsultować się z Kamieniem Przeznaczenia, by ujrzeć Duchowego Przewodnika, którego widywała jego matka (jakoś mu to nie wychodziło), wyciągał także dagerotyp Honorii, szczupłej, o tak podkrążonych oczach, że przypominała ducha. Rzadko coś jadła, więc suknie na niej wisiały. Nadgarstki miała kruche jak ptasie kości, zapadnięte policzki nadawały jej eteryczny wygląd; piękna, wychudzona Ligę ja Edgara Allana Poe’go.

– Co pan myśli o środkach znieczulających? – spytała nagle Emmeline, zmieniając temat tak szybko, że całkiem go zaskoczyła. – Chloroform, eter! – zakrzyknęła, nim zdążył odpowiedzieć. – To zrewolucjonizuje chirurgię. Mój ojciec asystował przy usuwaniu guza piersi. Kobieta przez cały czas spała. Następna rewolucja przyjdzie, gdy pozwolą kobietom studiować medycynę. Na wschodzie jest zbyt dużo uprzedzeń. Na zachodzie będzie całkiem inaczej. – Zamilkła na moment. – Doktorze, musi się pan częściej uśmiechać.

A pani musi mniej gadać – pomyślał.

Znaleźli się na terenie Paunisów. Mężczyźni trzymali przy sobie strzelby gotowe do strzału, flinty i fuzje, naładowane i z półnapiętym kurkiem. Ale Indianie przychodzili jedynie z ciekawości i w nadziei na jałmużnę.

Robiło się coraz duszniej i bardziej parno, cierpliwość ludzi była na wyczerpaniu. Z trudem



zachowywali spokój, choć kobiety robiły, co mogły, by poprawić atmosferę. Wiele nosiło jeszcze gorsety, ale część po cichu spakowała niewygodne stroje. Przystrojone kwiatami kapelusze trzymano w skrzyniach, zastąpiły je o wiele praktyczniejsze perkalowe czepki. Obrusy zniknęły, dobra porcelana (która przetrwała wiele przepraw przez niebezpieczne rzeki) została schowana, kobiety jednak nadal zmuszały dzieci i mężczyzn do mycia rąk przed posiłkami i odmawiania pacierza. Kiedy natrafili na mężczyznę wiszącego na topoli – nie żył od jakichś trzech dni, co oznaczało, że był członkiem grupy podążającej przed nimi – z tabliczką na szyi, na której napisano: „Oszukiwał w karty”, zatrzymali się, by zbić mu trumnę i wyprawić przyzwoity pogrzeb.

Zatrzymali się na obozowisko nad rzeką Little Blue. Victoria Correll zaczęła rodzić. Albertina Hopkins, samozwańcza akuszerka, panoszyła się w wozie, mimo że dwie inne mężatki oferowały pomoc. Słychać było jej dudniący głos, gdy fukała na wrzeszczącą panią Correll.

– Cicho! Co za głupie zachowanie! Czy Biblia nie mówi, że Bóg stworzył kobietę, by rodziła w bólach? Te krzyki to obraza dla uszu Wszzechmogącego.

Kiedy Albertina wyszła z wozu, by odwiedzić damską latrynę, która mieściła się w gaju topoli, Emmeline pobiegła do biednej Victorii i, odkorkowując butelkę, którą ze sobą przyniosła, powiedziała:

– Bóg dał nam ból, ale i środki, by go uśmierzyć. To ziołowy eliksir, który mój ojciec zawsze podawał rodzącym. Ulży pani, a i dziecko łatwiej przyjdzie na świat.

Albertina była wściekła. Po tym incydencie kobiety zaczęły przychodzić do Emmeline z damskimi kłopotami, bo miała ze sobą zapas lekarstw na bóle, nerwy i ogólnie złe samopoczucie.

Dotarli do wschodniego krańca terytorium Czejenów i znów stanęli przed wezbraną rzeką o bystrym prądzie. W innych okolicznościach rozbiliby obóz, czekając, aż woda opadnie, ale mężczyźni woleli być jak najdalej od wrogo nastawionych Indian i nalegali, żeby przepłynąć przez rzekę już teraz. Zlekceważono protesty Albertiny Hopkins, która twierdziła, że jest niedziela i nie powinni podejmować się takiej pracy w dzień święty. Po południu wóz Corellów się przewrócił, a pani Correll i jej nowo narodzone dziecko utonęli. Triumfujące spojrzenie Albertiny głosiło: „A nie mówiłam?”.

Emmeline i Florine Benbow zajęły się zwłokami, ubrały je, ułożyły włosy pani Correll i otuliły maleństwo w najładniejszy kocyk, jaki znalazły. Silas Winslow zrobił zdjęcie, za darmo, na pamiątkę dla pana Corrella, który ze smutkiem przyjął konia od braci Schummanów i podążył ku Missouri. Nigdy go już nie widzieli.

Wozy ruszyły przed siebie.

Silas Winslow, jadący w wozie grzechoczącym od miedzianych płyt i butli z chemikaliami, sporo zarabiał na dagerotypowych odbitkach zmarłych, coraz więcej nieszczęść bowiem zaczęło nękać osadników: zapalenie płuc, czerwonka, dzieci spadały z wozów i ginęły pod kołami. Nie

winiono doktora Matthew Lively'ego za to, że nikogo nie uratował. Wszyscy wiedzieli, że niewiele można zrobić w wypadku nieuleczalnej choroby albo rozległych obrażeń. Pomagał jednak zbijać trumny i wypełniał akty zgonu, które rodzina zabierała ze sobą jako kolejną pamiątkę.

Dziewiątego czerwca emigranci dotarli do Platte, szerokiej, płytkiej rzeki płynącej czterysta osiemdziesiąt kilometrów za Independence. Zakończył się pierwszy etap podróży. Odtąd mieli przemierzać inną krainę, ziemię porośniętą niską trawą, bylicami, kaktusami, i coraz bardziej suchą. Tu po raz pierwszy natrafili na dziwną formę porozumiewania się: zbielałe czaszki bizonów na skraju szlaku, z wypisanym na nich przesłaniem, wiadomością od osadników jadących przed nimi. Na jednej z czaszek widniało ostrzeżenie, że czekają ich kłopoty z Paunisami i mnóstwo błota.

Podróż stała się uciążliwa. Letni upał dokuczał i wywoływał mdłości. Wozy się psuły. Drzewa i rośliny występowały rzadko, podsycali więc ogień bizonim nawozem. Kiedy nie mogli go znaleźć, czołgali się w chmurach kurzu pod wozami, żeby powrywać chwasty. Kobiety zbierały jagody i wyrabiały ciasto, po czym piekły placki na gorących kamieniach, by nieco urozmaić posiłki, złożone głównie z fasoli i kawy. Co pewien czas mężczyźni udawali się na łowy i wracali z łosiem, ale najczęściej niczego nie przynosili i musieli oddawać Indianom koszule w zamian za łosiosia i suszone mięso bizona. Po drodze napotkali sporo świeżych grobów, ale wcale ich to nie zraziło. Nawet kiedy Ślepy Billy, nocny zwiadowca (który ledwie widział za dnia, za to nocą lepiej niż ktokolwiek, miał więc za zadanie pilnować stada, gdy wszyscy spali), rankiem został znaleziony ze strzałą w plecach i bez konia, emigranci nie wpadli w panikę, tylko zostawili na czaszce bizona informację dla wozów jadących za nimi.

Przez wszystkie połamane wozy, ucieczki wołów, zatrucia pokarmowe i rany po ugryzieniach psów i węży, odrę, czerwone i gorączkę, śmierć przy porodzie i po bójkach na noże – zapas bandaży i opatrunków Matthew stopniowo malał. Emmeline także miała co robić, bo wiele kobiet wolało prosić o pomoc podczas porodu pannę Fitzsimmons zamiast Albertiny Hopkins. Jak przewidziała Florine Benbow, „para medyków” okazała się niezastąpiona.

I, wbrew sobie, Emmeline i Matthew zaczęli stanowić parę także pod innym względem.

Większość ludzi wcześniej kładła się spać, ale niektórzy długo siedzieli wieczorami, zwłaszcza młodzi. Matthew wykorzystywał tę nocną ciszę w obozie na czytanie przy lampie, najczęściej poezji, czasem Biblii. Emmeline z kolei lubiła wpatrywać się w gwiazdy.

– Skąd wiadomo, że podążamy we właściwym kierunku? – zapytała kiedyś.

Odłożył książkę i wskazał na nocne niebo.

– Widzi pani Wielką Niedźwiedzicę? Te gwiazdy tam, w kształcie wielkiego rondla? Widzi pani te dwie gwiazdy na końcu uchwytu? Wskazują Gwiazdę Polarną, a Gwiazda Polarna zawsze znajduje się w odległości jednego stopnia od rzeczywistej północy.

Emmeline popatrzyła na niego z podziwem.

– A niech to, wykształcony z pana człowiek – stwierdziła.

Dwa dni później Matthew usiłował przyszyć guzik do koszuli za pomocą zakrzywionej igły opatrunkowej i jedwabnej nici chirurgicznej. Szło mu beznadziejnie. Podniósł wzrok i ujrzał, że Emmeline na niego patrzy. Na pewno zaraz go wyśmiej! Mylił się jednak. Ku jego zaskoczeniu podeszła z małym zestawem do szycia, wzięła koszulę i siadając obok niego, powiedziała taktownie:

– Sama jestem niezdarą, jeśli chodzi o szycie, ale chyba mam trochę więcej doświadczenia.

Poradziła sobie znakomicie.

W drodze, w upalne dni, pełne kurzu i pcheł, i noce wypełnione wyciem wilków i zawodzeniem wiatru, Matthew zmienił zdanie o panie Fitzsimmons, która ani razu nie uskarżała się, że musi wykonywać męską robotę. Kiedy potoki wezbrały i wozy utknęły, Emmeline bez zastanowienia wskoczyła do wody i z całej siły pchała wóz, by uwolnić koła z błota. Poganiała woły wraz z mężczyznami, prała, naprawiała osie, odzierała bawoły ze skóry i wprawną ręką zszywała płótno. Dni mijały, a Matthew odczuwał dla niej coraz większy podziw. Rzadko spoglądał na dagerotyp Honorii. Jak długo by wytrzymała podczas tej podróży? Z pewnością byłaby ciężarem, a nie pomocą.

Matthew zmieniał się również pod innymi względami. Pod jego koszulą przeżyły się mięśnie, w lustrze widział coraz bardziej opaloną twarz. Ciemne salony zastąpiło świeże powietrze, słońce, upał, kurz i burze. Na dłoniach mężczyzny wykwitły odciski, gdy pracował ramieniem z Emmeline Fitzsimmons.

Pewnej nocy suczka Seana Flaherty'ego, Daisy, ukradła kotlet pani O'Ross. Widok zwierzęcia biegającego po obozie z wielkim plackiem w pysku i maleńkiej pani Rebeki ścigającej go z wałkiem do ciasta rozbawił wszystkich do łez – Matthew śmiał się wraz z innymi. W pewnej chwili spojrzął na Emmeline. Dziewczyna płakała ze śmiechu. Uderzyło go wtedy, że wszystko robi z prawdziwą pasją, nie tylko je i wygłasza opinie na temat praw kobiet. Emmeline Fitzsimmons przyjmowała życie z całym entuzjazmem, jaki podarował jej Bóg. W następnej chwili przyszło mu do głowy, że musi być namiętna w miłości.

Poczuł, że się rumieni i nagle oddech uwiązał mu gardle. Popatrzyła w jego stronę, ich spojrzenia się skrzyżowały, a jemu serce zabiło szybciej.

Dwudziestego szóstego czerwca osadnicy rozbili obóz nieopodal Fortu Laramie. Grupy Siuksów, gotujące się do wojny z sąsiednim plemieniem Crow, odwiedziły obóz. Czerwonoskórzy zjedli z emigrantami śniadanie złożone z chleba i mięsa, za które odwdzięczyli się paciorkami i piórami. Rozstali się w przyjaznych nastrojach i strach Amerykanów przed rdzennymi mieszkańcami tej ziemi nieco zmalął. Kiedy jednak francuski traper, Jean Baptiste, dołączył na jeden

dzień do grupy i ostrzegł ją przed wczesnym śniegiem, pojawiło się nowe zagrożenie – wszyscy słyszeli o emigrantach, którzy uwięźli w zaśnieżonych górach i poumierali z głodu. Amos Tice postanowił, że muszą nieco przyspieszyć.

Czwartego lipca emigranci piwem, fajerwerkami, patriotyczną mową i modlitwą uczcili siedemdziesiątą drugą rocznicę powstania państwa. Jadąca na bitwę z Indianami Crow armia dwóch tysięcy wojowników z plemienia Siuksów, odzianych w skóry bizonów przybrane paciorkami i piórami, przystanęła, by popatrzeć na dziwaczną uroczystość białych ludzi. Matthew Lively, przyjąwszy od pana Hopkinsa szklaneczkę brandy, którą spokojny mąż pani Albertiny oszczędzał właśnie na tę okazję, tak jak wszyscy wspominał wschód oraz rodzinę i przyjaciół, którzy tam zostali. Myślał o matce i jej seansach, a Emmeline Fitzsimmons, pociągając co i raz z kubka wino Charliego Benbowa (z beczułki, która przetrwała przeprawę przez rzekę) – o swoich rodzicach. Spoczywali w grobie na farmie, którą odziedziczyła, a następnie sprzedała. Sean Flaherty wznosił toast za Irlandię; Tim O’Ross myślał o pewnej rudowłosej kobiecie w Nowym Jorku; Schummanowie o rodzinie w Bawarii. Wszyscy wzniesli toast za dom, który zostawili, a potem zwrócili się ku zachodowi, popijając za nowe życie.

Siedemnastego lipca obozowali na wierzchołku Południowej Przełęczy, szerokiego szlaku przez Góry Skaliste. Nadszedł czas na drobne naprawy, remonty i prowizoryczne poprawki, a także na chwilę refleksji. Południowa Przełęcz znajdowała się dokładnie w połowie drogi: po wschodniej stronie wielkiej przepaści rzeki wpływały do Missisipi, po zachodniej do Pacyfiku. Wyciągnięto warcaby i karty, harmonijka i flet wygrywały skoczną melodię. Pan Hopkins w milczeniu popijał whisky, jego władcza żona przewodziła swojemu dworowi, ich dzieci biegały po obozie.

Emmeline zszywała spódnice przy świetle lampy, którą przyniosła jej najstarsza córka pana Hopkinsa. Była ona dzieckiem jego pierwszej żony i okropnie bała się macochy Albertiny. Dlatego właśnie swój głęboko skrywany sekret wyznała nie jej, a akuszerce. Już po pierwszych, z trudem wypowiedzianych słowach wstydlivej spowiedzi medyczka zorientowała się w sytuacji – dziewczyna spędzała sporo czasu sam na sam z jednym z poganiaczy i doszło do nieuchronnego.

– Obawiam się, że to prawda – powiedziała łagodnie Emmeline, głaszcząc przestraszoną dziewczynę po ręce. – Kiedy miesiączka zanika, to pierwszy znak, że dziecko jest w drodze.

Dziewczyna rozszlochała się żałością, przede wszystkim ze strachu przed macochą. Emmeline jak zwykle wykazała się zdrowym rozsądkiem.

– Słyszałam, że w jednym wozów przed nami jedzie kaznodzieja. Poproszę doktora Lively’ego, żeby tam podjechał i go sprowadził. Weźmiecie ślub i wszyscy będą zadowoleni.

Kaznodzieja, który uczestniczył w większej liczbie pogrzebów, niż się kiedykolwiek spo-

dziewał, z radością zawrócił, by udzielić ślubu parze z grupy Tice'a. Przybyło z nim kilka rodzin, wietrząc rozrywkę. Córka Hopkinsa i poganiacz wypowiedzieli słowa małżeńskiej przysięgi pod okiem władczej Albertiny, która zresztą świetnie orientowała się w sytuacji. A potem odbyło się prawdziwe wesele z muzyką i tańcami pod rozgwieżdżonym niebem, a Silas Winslow zrobił zdjęcie szczęśliwej młodej parze.

Jedząc skromny tort bez dekoracji i popijając ciepły cydr, Emmeline przyglądała się Matthew w świetle ogniska. Nabrał pewności siebie – pomyślała. – To już nie jest ten nerwowy młodzieniec sprzed trzech miesięcy. I do twarzy mu z opalenizną.

Co takiego było w doktorze Livelym, że wydawał się jej wyjątkowy wśród tylu mężczyzn, na ogół silniejszych i twardszych? Może to jego niespotykana uprzejmość. W każdych okolicznościach, nawet w bardzo poważnej sytuacji można było liczyć na to, że Matthew, nieproszony, zaoferuje pomoc; chętnie dzielił się jedzeniem i miejscem w wozie, często podwoził wyczerpane kobiety, obojętnie traktowane przez mężów; pytał o zdrowie i samopoczucie towarzyszy podróży – inni byli zbyt zmęczeni, by się tym interesować.

Emmeline dochodziła właśnie do wniosku, że doktor Lively wcale nie jest taki brzydki, właściwie można by go nazwać przystojnym, a Matthew myślał o Emmeline. Jego myśli nie wybiegały jednak tak daleko. Skoncentrował się na sprawie niezbyt skomplikowanej: jak się tak nad tym dobrze zastanowić, zaokrąglona sylwetka panny Fitzsimmons była całkiem pociągająca.

Fort Bridger, nazwany tak na cześć jego założyciela, Jima Bridgera, przez ostatnich pięć lat służył za ośrodek handlowy – w osadzie pomiędzy prymitywnymi budynkami można było spotkać Indian w kurtach z kozłej skóry, traperów, drwali i emigrantów zmierzających na zachód. Zbliżając się do fortu, grupa Tice'a mijala osadników jadących na wschód, rozczarowanych emigrantów, którzy zdecydowali się na powrót do domu. Najczęściej to śmierć kogoś bliskiego skłoniła ich do rezygnacji z marzenia. W dwudziestu wozach podróżowały głównie kobiety i dzieci oraz kilku starców. Grupa Tice'a również zmalala o dwanaście wozów i trzydzieści dwie osoby. Po prawie trzech miesiącach w trasie nikt nie przypominał już elegantów, którzy opuszczali Independence. Dzieci biegały boso, mężczyznom wyrosły długie brody, ubrania były brudne i podarte. Nawet Silas Winslow, dandys z krwi i kości, miał plamy na kamizelce w kratę i ślady smaru na kosztownym ubraniu, których nie usunęła soda z popiołem. Opuścił ich również dobry nastrój, w jakim wyruszyli na szlak; pojawiła się zazdrość i nienawiść, sprzeczki i bójki, niechęć i rywalizacja. Niegdyśiejsi przyjaciele byli obecnie wrogami. Wszystkich jednak cieszyło, że dotarli do miejsca, które uważali za punkt wyjścia do ostatniego etapu podróży.

To tutaj niektórzy podjęli decyzję, która okazała się dla nich wyrokiem śmierci.

Do fortu dotarł właśnie człowiek, który pokonał całą drogę na zachód, a teraz wracał na wschód. Ostrzegał każdego, kto chciał słuchać, żeby za wszelką cenę unikać nowego skrót.

– Jedźcie zwykłą trasą i nigdy z niej nie zbaczajcie – poradził Amosowi Tice’owi i innym przewodnikom. – Droga na skrót może się okazać śmiertelnie niebezpieczna.

– Jeśli istnieje skrót, wybór dłuższej trasy byłby głupotą – sprzeciwił się Tice.

Mówił tak, jakby troszczył się o przyszłych osadników, ale coś się zmieniło na ostatnich kilometrach przed Fort Bridger – Amos Tice miał teraz zupełnie inne zamiary, choć nikt z podróżujących z nim ludzi o tym nie wiedział. Jean Baptiste, francuski traper, który przez jeden dzień towarzyszył osadnikom, miał przy sobie nie tylko futra, ale i plakat przywieziony z Kalifornii, z miejscowości o nazwie Sutter’s Sawmill. Tice słono za niego zapłacił, żeby tylko Francuz nie pokazał go pozostałym członkom grupy ani grup podążających za nimi. W głębi serca Tice był pazerny na pieniądze. Wiódł ludzi do Oregonu wyłącznie dlatego, że chciał zbić fortunę na marzeniach i nadziejach osadników. Wszystko się jednak zmieniło, kiedy ujrzał plakat francuskiego trapera. Napisano na nim o odkryciu złota w Kalifornii.

Tice kupił plakat, a Francuz odjechał. Amos zatrzymał nowinę dla siebie. Przez całą drogę do Fort Bridger myślał tylko o tym. Jak dostać się do Kalifornii? Gdyby po prostu porzucił osadników, musiałby podróżować samotnie, a to było zbyt ryzykowne. Podróż w grupie gwarantowała bezpieczeństwo. Wobec tego Tice postanowił poprowadzić ludzi do Kalifornii. Tam zamierzał zostawić ich własnemu losowi i zająć się zbijaniem majątku. Ale jak przekonać podróżnych do zmiany trasy? O dziwo, niechcący pomógł mu człowiek z gór, który ostrzegał wszystkich przed niebezpiecznym skrótem do Oregonu.

Tice opowiadał wszem wobec, że słyszał o innym szlaku, nie tylko krótszym, ale i łatwiejszym, który pozwoli osadnikom uniknąć trudów i niebezpieczeństw, jakie zagrażały ich poprzednikom. Potem sprokurował mapę. Dobrze się prezentowała – pracował nad nią przez całą dobę, w sekrecie, dokładając starań, by wyglądała na używaną, podniszczoną i solidną. Sprawdził też, że droga, którą zamierzał ich poprowadzić, jest wolna od mormonów: zaledwie przed rokiem osiedlili się na tamtych terenach. Amos Tice był wśród tych członków straży ochotniczej, którzy trzy lata wcześniej aresztowali i wtrącili do więzienia, a potem zamordowali, choć Tice nie brał już w tym udziału) Josepha Smitha, kapitan i Święci Dnia Ostatniego nie pałali więc do siebie szczególną sympatią. Tice zaprezentował swój nowy plan i „oryginalną” mapę towarzystwu w obozie nieopodal Fort Bridger. Entuzjazm i podniecenie w jego głosie nie były udawane, już widział w marzeniach strumienie pełne złotych samorodków.

– To jasne jak słońce – powiedział, rozkładając mapę, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć. – Szlak Oregoński wiedzie przez niebezpieczne góry, a potem czeka nas długa i trudna droga rzeką, na tratwach. Wielu ludzi już tam zginęło. Proponuję ten szlak. Patrzcie, prowadzi przez otwartą równinę, a potem przez górską przełęcz. W Kalifornii skęcimy na północ i pojedziemy płaską, przyjemną drogą, gdzie wieją morskie bryzy i wszędzie rosną drzewa owocowe.

– Ale czy ta droga nie jest dłuższa? – spytał Charlie Benbow.

– W kilometrach i owszem, ale jeśli chodzi o czas, nieszczęścia i zagrożenie – o wiele krótsza. Pamiętacie Południową Przełęcz w Górach Skalistych? Jaka była łatwa i przyjemna? No cóż, te góry nie przypominają Gór Skalistych. To nie będzie przechadzka po parku!

Uwierzyli mu.

Tak czy owak jednak, zamierzali to przemyśleć. W końcu było to ostatnie cywilizowane miejsce, dalej rozciągał się nieznany teren. Ludzie Tice'a postanowili poświęcić kilka dni na odpoczynek, naprawę wozów i uprzęży, dokarmianie koni i bydła oraz zgromadzenie zapasów na dalszą drogę. Byli w dobrych nastrojach. Raj znajdował się już za następnym górskim pasmem. Czuli już niemal łagodny wiatr znad Pacyfiku na twarzach.

Byli jednak i tacy, którzy mieli wątpliwości. Matthew nie podobał się nowy plan Tice'a, wołał poradzić się Duchowego Przewodnika w Kamieniu Przeznaczenia (przeczuć podpowiadało mu, że sierót to nie jest dobry pomysł). Wraz z Emmeline, której już wcześniej pokazał kamień i wyjaśnił, jak działa, usiedli na tylnej klapie wozu, w świetle lampy. Matthew wyciągnął tabliczkę z napisami „Tak” i „Nie”. Cicho zapytał: „Czy powinniśmy pojechać nowym skrótem?”. Emmeline wpatrywała się w wirujący kryształ, który wskazał słowo: „Tak”.

Matthew zmarszczył brwi. Nie wątpił w mądrość kryształu, ale coś mu mówiło, że powinni jechać starym szlakiem na północ. Emmeline była tego samego zdania. Miała naturę odkrywcy i lubiła wyzwania, ale opuszczenie przetartego szlaku wydawało jej się głupotą, niezależnie od okoliczności.

– Proszę zakręcić jeszcze raz – poprosiła.

„Tak”, brzmiała odpowiedź.

Mężczyzna potarł brodę.

– Kamień Przeznaczenia radzi nam, żebyśmy podążyli za Amosem Tice'em.

– A co pan o tym sądzi?

Matthew był w rozterce. Nigdy w życiu nie podjął decyzji na własną rękę. Matka też zawsze radziła się kamienia.

– Moja matka mówiła, że duchy nas poprowadzą i że powinniśmy brać pod uwagę ich zdanie.

– Nawet jeśli intuicja podpowiada panu coś innego?

– Wstyd mi to przyznać, ale intuicję zawsze miałem słabą. W dzieciństwie bracia rozstawiali mnie po kątach. Kiedy byłem starszy, naśladowałem rówieśników. Obawiam się, że jestem zwykłym pionkiem, panno Fitzsimmons, i pójdę tam, gdzie poprowadzą przewodnicy tacy jak Amos Tice albo Kamień Przeznaczenia.

Przyglądał się jej w złotym świetle latarni i zauważył, jakie ma piękne, bursztynowe oczy.

– A co pani by zrobiła? – zapytał, czując ucisk w gardle, bo bał się jej odpowiedzi. Właśnie w tej chwili uświadomił sobie, że żywi głębokie uczucie do panny Emmeline.

– Przyjemnie się podróżuje w pańskim towarzystwie, doktorze Lively – odparła cicho – i uważam, że dobrze razem pracujemy.

Jeśli teraz się rozstaniemy, ciężko mi będzie znaleźć kogoś równie miłego, kto pozwoli mi ze sobą jechać. I dlatego zamierzam panu towarzyszyć, doktorze Lively. Matthew czuł, jak galopuje mu serce. Przełknął ślinę i oblizał usta.

– Panno Fitzsimmons – powiedział szybko – powinna pani wiedzieć coś jeszcze...

– Posłuchajcie – rozległ się głos w ciemności. Podszedł do nich Silas Winslow pewnym krokiem, w meloniku nasuniętym na czoło. – Nie jadę z Tice’em, panno Fitzsimmons – powiedział, ignorując Matthew, swojego rywala w walce o uczucia Emmeline. – Wybieram się na północ z nową grupą pod przywództwem Stephena Collingswortha. Jeśli nie ma pani z kim jechać, z przyjemnością będę panią eskortował do Oregonu. – Położył rękę na piersi. – I zapewniam panią, droga panno Fitzsimmons, że nic pani nie będzie groziło pod moją opieką.

Emmeline zamrugła i już otworzyła usta, kiedy nagle usłyszeli krzyki.

– Doktorze Lively! – rozległ się okrzyk z obozu. – Doktorze Lively! Joe Strickland jest ranny!

Poganiacz jęczał obok swego wozu, nieprzytomny z bólu. Złośliwy wół, który nie chciał dać nałożyć sobie jarzma, nastąpił mu na stopę. Nawet niewprawne oko zauważyłoby, że Joe odniósł poważne obrażenia. Kość przebiła skórę i choć krwotok ustawał, palce przybrały okropny fioletowy kolor. Z pomocą Emmeline Matthew przemył ranę, nałożył balsam i owinał stopę czystym bandażem. Kiedy próbował nastawić kość, Joe krzyknął i znowu stracił przytomność. Był przeraźliwie blady, obficie się pocił. Joe podróżował samotnie, Emmeline zaproponowała więc, że się nim zajmie.

Tej nocy podjęto decyzje. Towarzystwo się rozdzieliło, część pojechała z Collingsworthem północnym szlakiem, reszta postanowiła dołączyć do Tice’a i jechać skrótem. Silas Winslow, zauroczony panną Fitzsimmons, także znalazł się w grupie Amosa.

Pożegnali się z dotychczasowymi towarzyszami podróży, obiecując sobie spotkanie w Oregonie. Mimo że do grupy dołączyli nowi ludzie, grupa Tice’a była obecnie mniejsza, liczyła sobie trzydzieści pięć wozów, sześćdziesięciu dziewięciu mężczyzn, trzydzieści dwie kobiety, siedemdziesięcioro jedno dziecko i trzysta sztuk bydła i koni.

W dobrym nastroju wyruszyli wzdłuż strumieni pełnych pstrągów, pól pokrytych dzikimi kwiatami, gajów osiki i wierzby. Towarzystwo czuło się pewniej, gdy dostało zastrzyk świeżej krwi; nowi towarzysze podróży byli silni i zdrowi. Jednak Matthew Lively miał złe przeczucia; coś było nie tak, ale nie potrafił sprecyzować co. Czy to wina przepowiedni matki? Zachował jednak wątpliwości dla siebie. Wszyscy inni najwyraźniej uważali, że Tice miał doskonały pomysł.

Idylla nie trwała długo.



Po kilku dniach podróży osadnicy dotarli do łańcucha górskiego Wasatch, pasma wysokich, pokrytych śniegiem szczytów i głębokich kanionów. Na ich zboczach rosły wierzby, krzewy jagód, grube topole, klony jesionolistne i olchy, koryto rzeki było wąskie i pełne głazów. Wszyscy sprawni mężczyźni musieli oczyszczać teren.

Uzbrojeni w topory i siekiery, łańcuchy i łopaty, wyrąbywali drogę wśród drzew. Każdej nocy padali wyczerpani na posłania, kobiety zaś smarowały rany i odciski mężów, braci i synów, szepcząc słowa pociechy. Tice zauważył, że przynajmniej mają wodę i trawę do wypasania zwierząt, dokuczały im jednak chmary komarów i innych insektów.

Pokonywali osiem kilometrów dziennie, musieli podwoić liczbę wołów w zaprzęgach, żeby przeciągnąć wozy przez góry Wasatch. A teraz rozciągała się przed nimi nieoczekiwana przeszkoda: Wielka Pustynia Słona.

Teraz nocami w obozach nie było już tak wesoło, panowała cisza. Za dnia podróżowano powoli, ze względu na wysokie temperatury na pustyni. Wypadki w górach Wasatch spowolniły podróż – mniej osób mogło zaprzęgać i rozprzęgać woły, trzeba było często urządzać postoje. Kobiety martwiły się o swoich mężczyzn. Noga Joego zaczęła gnić, mimo że Emmeline robiła co w jej mocy. Amos Tice miał inny problem: zaczynali się spóźniać. Przed nimi leżały góry, lada chwila mógł spaść śnieg.

Brnęli przez wyschnięte jeziora, a słońce piekło bezlitośnie. Było coraz goręcej, emigrantom zdawało się, że trafili do piekła. Zwilżali języki zwierząt mokrymi ręcznikami – rejon był tak suchy i pozbawiony wilgoci, że bali się, iż woły i bydło oszaleją z pragnienia. Na tej ziemi jałowej nie widzieli żadnych żywych istot. Wozy z przodu wydawały się olbrzymie, rozgrzane powietrze optycznie powiększało przedmioty. Odległe góry zdawały się płynąć w powietrzu. Wczesnym popołudniem żar był nie do wytrzymania. Kuźnia Wulkana, myśleli lepiej wykształceni spośród podróżnych. O zachodzie słońca cienie się wydłużały, nocne powietrze jak zimne szczypcy wpełzało pod pościel. Dzieci płakały, bydło ryczało. Powierzchnia równiny była tak zbita, że kopyta zwierząt prawie nie zostawiały śladów na twardej soli i skorupie alkalicznej. Ale gdy wozy dotarły do centrum pustyni, podróżnicy natrafili na płytkie jezioro, które zmieniło alkaliczną ziemię w maź. Teraz czuli się tak, jakby brnęli przez gigantyczną owsiankę. Każdy krok wymagał niezwykłego wysiłku. Kleiste błoto okrywało ich stopy jak beton, oblepiało koła wozów i kopyta zwierząt.

Musieli jednak iść naprzód, spieczeni słońcem, pocąc się w upale. Stan nogi Joego wciąż ulegał pogorszeniu. Ciało biedaka toczyła infekcja, nękała go wysoka gorączka. Emmeline jechała w wozie Hammersmithów z głową Joego na kolanach. Inni członkowie grupy także niedomagali, ale wiedzieli, że muszą iść przed siebie. Pozostanie w tym miejscu oznaczało śmierć.

Postanowiono, że kilku mężczyzn wyruszy po pomoc do mormonów (choć nikt dobrze nie wiedział, gdzie dokładnie osiedlili się ludzie Brigham Younga), ale kapitan, świadom swojej

złej reputacji wśród Świętych Dnia Ostatniego, stwierdził autorytatywnie, że próba odszukania ich byłaby samobójstwem.

I tak wędrowali przez upał dnia i przejmujący chłód nocy. Mieli spierzchnięte, krwawiące usta, z pragnienia puchły im języki. Woły braci Schummanów w końcu się poddały, pewnego dnia runęły na kolana i więcej nie wstały. Czterej Niemcy zakopali pługi i sprzęt w piachu, mając zamiar wrócić po nie w przyszłości.

Dziecko Biggsów, trzymiesięczne niemowlę odebrane przez Albertinę Hopkins, nie wytrzymało upałów. Kurczaki Benbowów padały z pragnienia, i nawet Daisy wlokła się smętnie obok wozu Seana Flaherty'ego.

Czy Wielka Pustynia Słona nie ma końca? – myśleli.

W końcu jednak przyszedł kres udręki i zmęczeniu ludzie dotarli do pierwszego wodopoju u stóp wzgórza. Skwarny dzień ustąpił chłodnemu wieczorowi. Bydło pocwałowało do wody, ledwie uniknęli śmierci pod kopytami spragnionych zwierząt. Matthew Lively uznał, że właśnie przeszedł straszną i ponurą próbę przepowiedzianą przez matkę.

– Joe Strickland ma gangrenę – usłyszał głos Emmeline. – Trzeba mu amputować stopę.

Matthew poczuł się tak, jakby dźwigał na barkach ciężar całego świata. Osunął się na ziemię obok ogniska i pokręcił głową:

– Nie mogę go operować – jęknął.

Emmeline usiadła obok i położyła mu rękę na ramieniu. Podobnie jak jej towarzysz, jak wszyscy podróżni, miała czerwoną, pokrytą pęcherzami twarz, przekrwione oczy, a ubranie sztywne od potu i brudu.

– Pomogę panu – powiedziała. – Raz asystowałam ojcu przy amputacji nogi. Nie jestem przewrażliwiona, doktorze Lively.

Popatrzył na nią. Miał ochotę się rozplakać.

– Panno Fitzsimmons, nie jestem lekarzem – wykrztusił. Wpatrywała się w niego z osłupieniem.

– Jak to?

– Nie jestem medykiem. Założyła to pani w Independence, a ja nie wyprowadziłem pani z błędu.

– No to kim pan jest? – zmarszczyła brwi.

– Przedsiębiorcą pogrzebowym – odparł cicho zmęczonym głosem. Zamrugła, zmarszczka na jej czole się pogłębiła.

– Przedsiębiorcą pogrzebowym?

– Właśnie tak.

– Ale pańska torba...

– Narzędzia człowieka, który leczy ciało, niczym się nie różnią od tych, za pomocą których wysyła się je na wieczny odpoczynek. Zwłaszcza gdy zejście spowodowały ciężkie obrażenia. Musimy szyć i bandażować tak samo jak każdy lekarz. A co do stetoskopu... tak właśnie upewniamy się, że człowiek nie żyje, zanim złożymy go do grobu.

– Ale widziałam, jak kupował pan lek w aptece!

– Dla siebie. Zimą mam problemy z płucami.

Emmeline była tak osłupiała, że ledwie mogła mówić.

– Czemu nie wyprowadził mnie pan z błędu? – zapytała. – Dlaczego pozwolił pan innym wierzyć, że jest lekarzem?

Rzucił jej zbolące spojrzenie.

– Gdyby ktoś uważał, że od pani zależy, czy przetrwa, przyznałaby się pani, że jest przedsiębiorcą pogrzebowym? Panno Fitzsimmons, narzekała pani na uprzedzenia i piętno, które ciąży na pani z racji płci. Ja mam do czynienia z tym samym, ze względu na swój zawód.

Emmeline patrzyła na niego z zadumą.

– Tak – powiedziała po chwili. – Chyba wiem, o co panu chodzi.

– Ludzie źle się czują w moim towarzystwie – ciągnął ze smutkiem. – Przypominam im o tym, czego raczej woleliby nie pamiętać. Ale to nasz rodzinny interes! Mój ojciec jest przedsiębiorcą pogrzebowym, także moi dwaj bracia. Nie miałem wyjścia, musiałem pójść w ich ślady.

– Drogi Matthew. – Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu. – Nie wstydź się zawodu, którego nauczył cię ojciec. Nie ma w nim nic wstydliwego. To szlachetna profesja, niezbędna, wszyscy potrzebują takich jak ty, ludzi, którzy szanują zmarłych i rozpaczają po ich odejściu. Widziałam, jak się zachowujesz, gdy ktoś umiera. Mój ojciec i wujowie opowiadali mi o przedsiębiorcach pogrzebowych okradających zwłoki i oszukujących rodziny, o naciągaczach, którzy sprzedają najdroższe trumny, żerując na żalu i poczuciu winy krewnych. Ty jesteś inny, Matthew, i pełnisz bardzo ważną rolę, bo pojawiaasz się w jednym z najcięższych i najgorszych momentów w życiu człowieka.

Patrzył na nią bez słowa. Przypomniał sobie słowa Honorii, które wypowiedziała po jego oświadczeniach: „Nie mogłabym żyć z człowiekiem, który codziennie ma do czynienia z trupami”.

– Czyli mój zawód ci nie przeszkadza?

– Byłabym najgorszą hipokrytką, gdyby mi przeszkadzał. Podjęłam decyzję o wyjeździe na zachód, gdy zauważyłam, w jakich uprzedzeniach i staroświeckich tradycjach pogrążony jest wschód. Ludzi wciska się w formy i oczekuje od nich, że tam pozostaną. Chciałam zostać lekarzką, ale wszyscy mi powtarzali, że kobieta powinna być żoną i matką. Postanowiłam zatem, że pojedę tam, gdzie można myśleć co się chce i ludziom to nie przeszkadza. Jaka by ze mnie była sufrażystka, gdybym żądała otwartości umysłów od innych, ale sama postępowała inaczej?

– Ale czy nie sądzisz... – Odchrząknął. Jego policzki poczerwieniały. – Nie sądzisz, że będzie problem z moim nazwiskiem?<sup>5</sup> Wolałbym go nie zmieniać.

Patrzyła na niego przez moment, zanim zrozumiała.

– Och! – Zasłoniła usta ręką.

– Jak widzisz, będę nie tylko pariasem, ale i obiektem żartów.

– Nazwisko nie przeszkadzało twojemu ojcu, prawda? – uśmiechnęła się. – Zatem nie powinno przeszkadzać i tobie.

– To co innego – odparł bezradnie. – W Bostonie rodzina Livelych to przedsiębiorcy pogrzebowi od wielu pokoleń. Od czasów pierwszych kolonistów. Nikt nie zastanawiał się nad nazwiskiem. Ale tutaj? Czy przedsiębiorca pogrzebowy o nazwisku Lively może liczyć na szacunek?

Emmeline przyznała, że to pewien kłopot, ale teraz należało zająć się innymi sprawami – przede wszystkim Joem Stricklandem.

Powędrowali do wozu Hammersmithów. Joe od dwóch dni był nieprzytomny, ale teraz otworzył oczy w jednej z tych chwil absolutnej przytomności, które czasem przytrafiają się ludziom na skraju śmierci, i powiedział:

– Doceniam to, co pan dla mnie zrobił, doktorze, ale choć wiem, że chce mi pan pomóc, nie pozwolę obciąć sobie nogi. Poganiałem bydło, odkąd zeskoczyłem z kolan matki. To wszystko, co potrafię. Nie ma nic mniej użytecznego niż jednonogi poganiacz. Chciałbym się teraz z wami pożegnać, jeśli pozwolicie.

Joe zmarł tej nocy, ale nikt nie miał pretensji do Matthew – powiedzieli, że zrobił, co w jego mocy. Emmeline podziwiała go: ukrywał wprawdzie swoją profesję, ale przede wszystkim ze względu na uczucia pozostałych. Dochowała tajemnicy i nadal nazywała go doktorem Livelym.

A Matthew? Często wracał myślami do tamtego wieczoru. To właśnie wtedy zakochał się na śmierć i życie.

Coraz więcej wołów padało na solnych równinach, część się rozbiegła w poszukiwaniu wody. Pozostawiono jeszcze cztery wozy, ludzie zakopali rzeczy, których nie mogli zabrać ze sobą – kiedyś na pewno po nie wrócą. Przysypano piachem skrzynie pełne ubrań i pamiątek, rodzinne skarby, kołdry, maselnice i patelnie. Emigranci przechowywali pieniądze w rozmaitych miejscach. Jedni po prostu zapakowali je do skrzyń, niektórzy jednak wydrążyli dziury w wozach i tam ukryli monety. Silas Winslow miał specjalną puszkę z napisem: „Żrące chemikalia! Otwarcie grozi natychmiastowym poparzeniem oczu i skóry!”. Tam schował wszystkie swoje oszczędności. Zmuszony opuścić wóz i nieporęczny sprzęt fotograficzny, przywiązał ciężką puszkę do pleców.

---

<sup>5</sup> *Lively* (ang.) – pełen życia, dziarski.

Zapanował niepokój. Zmarnowali sporo czasu na bezowocne poszukiwanie zagubionego bydła, lato miało się ku końcowi, śnieg pokrywał pobliskie szczyty, zapasów ubywało, a oni musieli pokonać jeszcze setki kilometrów pustyni.

Za pustkowiec Utah rozciągał się górzysty kraj. Z wysokiej przełęczy widzieli kolejną pustynną dolinę, a za nią następne górskie pasmo, i jeszcze jedną dolinę. Właśnie taki był krajobraz Nevady: na przemian dolina i góry, dolina i góry, solne pustynie i urwiste szczyty. Każda dolina była pustynią, każde górskie pasmo murem nie do przebycia. Emigranci szli przed siebie w nadziei, że ostatnie z wołów podołają trudom wędrowni.

W końcu znaleźli się na terytorium Indian Pajuta, którzy żyli z grabieży. Czerwonoskórzy kradli bydło w nocy, konie za dnia. Nieszczęśliwi wędrowcy musieli zostawić kolejne wozy. Teraz większość grupy szła piechotą, pozbywszy się mnóstwa rzeczy. Młodzi jechali dwójkami na koniach, resztki zapasów zgromadzono na ostatnich wozach.

Prawie wszystkie kurczaki Charliego Benbowa zdechły, nadal jednak miał trochę inwentarza, strzegł go dniem i nocą. Córka Hopkinsa, która wyszła za mąż na Południowej Przełęczy, odwiedziła Emmeline, narzekając na bóle. Była w czwartym miesiącu ciąży i medyczka zaniepokoiła się. Dała dziewczynie lekarstwo łagodzące bóle. Sean Flaherty miał coraz mniej ziemniaków na rozkręcenie farmy w Oregonie. Osgood Aahrens stracił wszystkie narzędzia w bagnie. W końcu dotarli do krętej rzeki Truckee. Bydło, które im pozostało, całkiem wymizierowane, potykało się na kamieniach, ludzie byli niedożywieni i słabi, a zapasy topniały w zastraszającym tempie. Kiedy ujrzeni Sierra Nevada, góry były przysłonięte ciemnymi, złowróżbnymi chmurami.

W trzecim tygodniu października wyczerpani ludzie doszli do szerokiej górskiej doliny. Tu rozbili prowizoryczny obóz, żeby trochę odpocząć. Następnego ranka spadł lekki śnieg. Nie było czasu na odpoczynek. Należało czym prędzej uciekać z gór. Za nimi leżała Kalifornia.

Pięć dni później dotarli do górskiego jeziora, za którym była przełęcz. Próbowali nią pójść, ale śnieg pokrzyżował im szlaki, musieli wrócić na brzeg jeziora. Tam było drewno na ogniska, tam można było zapolować. Zbudowali prowizoryczne schronienia z namiotów, kołder, skór bizonów i gałęzi. Sto pięćdziesięcioro dziewięcioro ludzi kuliło się w prymitywnych szałasach w nadziei, że kiedy wczesny śnieg się rozpuści, zdołają pokonać przełęcz. Podliczyli, co im zostało: kilka wozów, parę sztuk bydła i koni, a także trochę zapasów: fasola, mąka, kawa i cukier. Zdecydowano, że wszystko trafi do wspólnej puli, w tym kurczaki Benbowa i ziemniaki Seana Flaherty'ego.

Tej nocy, gdy Albertina Hopkins upierała się, żeby niezamężne dziewczęta – jej wzrok powędrował ku Emmeline Fitzsimmons – spały w oddzielnym namiocie, mąż despotki powiedział cicho:

– Zamknij się, kobieto.

O dziwo, posłuchała.

Matthew nie mógł spać. Zimny wiatr wdzierał się przez szczeliny w namiocie. Dręczyła go pewna myśl, przeczucie, że coś jest nie tak, które nie opuszczało go przez tych dziesięć tygodni od opuszczenia Fort Bridger.

Ominął śpiących i potrząsnął Amosem Tice'em. Przewodnik wyszedł na zewnątrz. Jasny księżyc na pogodnym niebie oświetlał okolicę. Z nietypową dla siebie stanowczością Matthew nalegał, żeby Tice dał mu zerknąć na swoją mapę. Upierał się, że nie idą łatwą trasą, którą ten obiecywał.

Amos mruzczał coś pod nosem, ale przyniósł mapę. Miał nadzieję, że Matthew nie zdoła jej dobrze obejrzeć w ciemnościach. Chociaż papier rozpadał się w jego rękach, a para z ust utrudniała widzenie, dostrzegł to, co chciał. Jak to się stało, że nie zauważył tego w Fort Bridger? Mapa była bardzo niedokładna i nie trzymała się skali.

– Skąd ją masz, Amos? – spytał podejrzliwie.

– Dostałem w Fort Bridger. – Tice nie patrzył mu w oczy.

– Czyli tam, gdzie ten stary człowiek z gór ostrzegał, żeby nie słuchać plotek o skrócie? Widziałeś tę mapę i w nią uwierzyłeś? To podrobka, Amos! Od razu widać!

Coś zamigotało w oczach Tice'a. Roześmiał się i powiedział:

– To już chyba nie ma żadnego znaczenia.

Sięgnął do kurtki z kozłej skóry i wyciągnął gruby zniszczony rulon – plakat informujący o odkryciu złota w Sutter's Sawmill. Matthew z przerażeniem wpatrywał się w plakat.

– Powinieneś spytać, czy chcemy szukać złota! – wykrzyknął.

Tice znów się roześmiał i wrócił do namiotu. Następnego ranka przewodnik i pięciu innych mężczyzn zniknęło. Emigranci zostali sami.

Zwinęli obóz, załadowali pozostałe wozy i ruszyli przed siebie, zdecydowani pokonać góry. Natrafili jednak na jeszcze więcej śniegu, robiło się coraz chłodniej, ciężkie chmury wisiały nisko nad sosnami. Ubrania emigrantów były wilgotne, drżeli z zimna, ledwie panując nad paniką i rozpaczą. Wszyscy modlili się w duchu, żeby pogoda się nie załamała.

Nagle lunął ulewny deszcz. Niektórzy twierdzili, że to dobry znak, ale Matthew pamiętał, co mówili w forcie: deszcz w dolinie oznacza śnieg na przełęczy.

Po raz pierwszy w życiu odczuwał strach. W swym krótkim życiu miał do czynienia z wieloma zmarłymi, zarówno w kostnicy ojca, jak i podczas seansów matki, ale dotąd nigdy nie stanął w obliczu własnej śmierci. To go przerażało. Czuł się taki mężny, siedząc na wozie, gdy wyjeżdżał z Independence w Missouri, wśród dzielnych ludzi wyruszających na podbój dzikiej krainy! Teraz widział, że to wcale nie była odwaga. Wyobrażali sobie życie na szlaku jako wesołą przygodę z piknikiem w tle.

Nikt nie przewidział, co ich może spotkać.

Rozbili nowy obóz złożony z prowizorycznych szałasów. Ponurzy emigranci błagali Boga, by deszcz rozpuścił zasy śniegu, ale następnego ranka były jeszcze głębsze.

Góra przed nimi przerażała, musieli jednak iść dalej. Woły były słabe, jadły tylko sosnowe gałęzie. Podróżni załadowali to, co im pozostało, na ostatnie wozy, a resztę nieśli sami, wszyscy, nawet dzieci.

Śnieg miał prawie metr wysokości.

Ostatni górski szczyt wznosił się przed nimi jak biały mur. Zniechęceni i wyczerpani ludzie nie mieli już sił iść dalej. Wycofali się nad niewielkie jezioro. Kolejną burzę śnieżną przeczekali w kryjówkach z drewna z wozów, brezentu oraz kołder i skór bizonów. W środku rozpalili ogniska, ale szybko pokonały ich dymy i opary. Musieli wyczołgać się na zewnątrz, kaszląc i dysząc, i wyciąć w skórach otwory wentylacyjne, przez które chłód dostawał się do środka. Polowania nie udawały się. Matthew zdołał złapać we wnyki kojota. Dołożono sowę i ugotowano rosół, który dostali chorzy i dzieci. Zwierzyny nie było, jelenie zeszyły niżej. Fasolę i mąkę podzielono na porcje i rozdawano po odrobinie. Ostatnie kury Benbowów trafiły pod nóż, zjedzono też wszystkie ziemniaki Seana Flaherty'ego. Mimo to osadnicy wciąż odmawiali modlitwę przed każdym skromnym posiłkiem.

Na wysokości ponad dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza rozpalenie i utrzymanie ognia graniczyło z cudem. Słabsi członkowie grupy z trudem oddychali na tej wysokości. Biedna córka Hopkinsa, w piątym miesiącu ciąży, o mało nie straciła życia podczas poronienia. Płodowi urządzono chrześcijański pogrzeb, a Albertina Hopkins, teraz o wiele szczuplejsza i znacznie cichsza, w ponurym nastroju pielęgnowała pasierbicę.

Po siedmiu dniach śniegu wyszło słońce i pokrzepieni na duchu emigranci postanowili wysłać zwiadowców na przełęcz. Może uda im się ją pokonać i sprowadzić z Sutter's Sawmill ratowników? Wybrano ośmiu najsilniejszych mężczyzn. Matthew Lively też zgłosił się na ochotnika, ale wszyscy uznali, że lekarz powinien zostać z kobietami i chorymi. Zwiadowców ubrano w najcieplejsze stroje i zaopatrzone w suszoną wołowinę. Żegnano ich serdecznie.

Wrócili o zachodzie słońca. Przejścia nie było. Śnieg zasypał wszystkie drogi.

Około piątego grudnia emigranci zaczęli zarzynać bydło, ale wiele zwierząt oddaliło się podczas burzy i zginęło pod śniegiem. Mężczyznom tak bardzo nie szło polowanie, że przed podróżnymi stanęło nowe, przerażające niebezpieczeństwo: jeśli utkną tu na zimę, nie wystarczy im pożywienia.

Florine, żona Charliego Benbowa, zamarzła we śnie. Ziemia była zbyt twarda, by wykopać grób, więc owinęli ciało w całun, ułożyli między dwiema deskami i nakryli kamieniami.

Raz jeszcze próbowali szukać ratunku. Tym razem poszły kobiety, ale zawróciła je burza śnieżna. Tkwili w prymitywnych szałasach, zmarznięci, z odmrożeniami, usiłując rozgrzać się przy ogniskach, coraz mniejszych, bo trudno było znaleźć suche drewno. Biblie, dotychczas duchowe podpory, wrzucano do ognia, by ulżyły ciału zamiast duszy, podobnie jak wszystko, co nie nadawało się na okrycie ani do jedzenia. Patrzyli w ponurej rozpacz, jak idą z dymem Psalmu, Pieśń nad Pieśniami, Ewangelie i Listy Świętego Pawła. Dzieci dostały najgrubsze koce i spały przytulone do tych kilku psów, które ocalały. Świeży śnieg w nocy przykrył zapas mięsa i przez cały dzień za pomocą długich kijów szukali wołowiny. Następnego dnia mięso i tak zniknęło, prowadziły do niego ślady wilczych łap.

W porywie bohaterstwa, wynikłym przede wszystkim z głodu, Silas Winslow postanowił samotnie wyruszyć na wierzchołek góry, zdecydowany sprowadzić pomoc. Znaleźli go dwa dni później. Wciąż żył, ale cierpiał na ślepotę śnieżną. Zawinęli mu oczy perkalem, by uchronić je przed postępowaniem choroby. Nie tracąc dobrego humoru, żartował, że to minie, bo jaki pożytek ze ślepego fotografa?

Emmeline za wszelką cenę starała się rozweselić towarzystwo. Nuciała pieśni, opowiadała historie, wypytywała każdego, co zamierza robić w Oregonie. Początkowo to pomagało, ale gdy robiło się coraz zimniej i wszyscy, mimo ogniska i koców, szcękali zębami, tracili ochotę na rozmowy.

Matthew bał się, jak wszyscy. Coś strasznego wisiało w powietrzu. Krajobraz – lasy, sosny i małe jezioro – był biały jak okiem sięgnąć. Nigdzie żadnego ptaka, ryby ani choćby orzecha. Zapasy się kończyły, trzeba było pomyśleć o innych źródłach pożywienia. Zjedzono już ostatnie psy, nasiona jabłek Schummanów i gotowaną skórę.

Matthew dniem i nocą ścisnął niebieski kryształ, patrząc na wygłodniałych towarzyszy. Widmo głodowej śmierci zaglądało im w oczy, cierpieli na odmrożenia. Kiedy zjedli Daisy, ostatniego psa, Sean Flaherty wybiegł z kryjówki i z żalu usiłował powiesić się na drzewie. Zamarznięta gałąź pękła, zanieśli go do szałasów.

Kamień Przeznaczenia nie udzielał żadnych wskazówek. Jego właściciel nie czuł duchowej mocy, którą kryształ rzekomo posiadał, nie słyszał odpowiedzi wyszeptanych widmowym oddechem.

Coraz więcej ludzi cierpiało na gorączkę i zapalenie płuc. Dwóch młodzików, Freddy Hastings i Abe Waterford, których matki niecierpliwie czekały na listy z Oregonu, utopiło się, usiłując wyciąć przeręb. Inni byli zbyt słabi, by wyciągnąć trupy, pozostały tam aż do wiosennej odwilży. Bracia Schummanowie upolowali myszy i upiekli je na gorących kamieniach. Ludzie zwarli się w bezwzględnej walce o jedzenie, kości, ogony, cokolwiek. O dziwo, Osgood Aahrens zdołał skłonić towarzyszy do odmówienia modlitwy, zanim rzucili się na odrażający posiłek.



W końcu nie zostało już nic. Gotowali skórę i jedli kleisty osad, który gromadził się na dnie garnka. Piekli skórzane sznurówki wśród popiołów i też je zjadali. Już nie modlili się.

Byli coraz słabsi. Śnili o jedzeniu. Jeden z mężczyzn, oszalały z głodu, w końcu wybiegł z przemoczonego namiotu, ciało znaleźli wiele godzin później w śniegu. Zostawili je tam. Charlie Benbow zaczął prowadzić rozmowy ze zmarłą żoną.

Matthew i Emmeline spali w swoich ramionach. Nie w głowie im były romanse ani fizyczne zbliżenie, pragnęli jedynie ciepła i pociechy.

Ranek Bożego Narodzenia przyniósł nową zadymkę. Wiatr atakował namioty jak miecz i był niczym cierpiące upiory. W oczach ludzi była pustka. Z trudem rozpalali ogniska, przetrząsali rzeczy, szukając czegokolwiek do jedzenia. Wyrzucili złoto i pieniądze, teraz nie miały żadnej wartości ani znaczenia. Już od dwóch tygodni żywili się jedynie rozpuszczonym śniegiem.

Rebecca O’Ross, niezbyt silna, była pierwszą dorosłą osobą, która zmarła z głodu. Jej mąż Tim omal nie zwariował z żalu, czterech mężczyzn musiało odciągać go od ciała, inaczej zamarzłby przy nim. Jego syn Dickie zwinął się w kącie namiotu i płakał, aż umilkł i niewidzącymi oczami wpatrywał się przed siebie.

Tydzień później jeden z braci Schummanów zmarł na zapalenie płuc. Wtedy po raz pierwszy rozbitkowie zawahali się przed pogrzebem. Nikt nic nie mówił i ludzie nie patrzyli sobie w oczy, ale ta straszna, niewypowiedziana myśl zawisła między nimi, równie nieznośna jak wycie wiatru, który nie przestawał ich dręczyć.

Tu, w osobie Helmuta Schummana, leżało świeże mięso.

– Mój Boże, nie! – wykrzyknął Matthew, kiedy dotarło do niego znaczenie tej wymownej ciszy. – Nie jesteśmy zwierzętami.

– Ależ jesteśmy – stwierdził ze smutkiem pan Hopkins. – Może i ludźmi, i dziećmi bożymi, ale mimo to zwierzętami, musimy jeść.

Jego żona, Albertina, szlochała z twarzą ukrytą w dłoniach. Nikt nie rozpoznałby w tej wychudzonej osobie w luźnej sukni władczej kobiety, która osiem miesięcy wcześniej wyjeżdżała z Independence. Załamała się po śmierci dwojga swoich dzieci.

– Ale co ze mną? – zawył Manfred Schumman. – Nie mogę zjeść własnego brata.

Wymowna cisza odpowiedziała mu na pytanie: Helmut był pierwszy, za nim przyjdą inni.

Matthew wypadł z szałas, potykając się w śniegu. Łzy spływały mu po policzkach. Osunął się na kolana i głośno zapłakał. Emmeline uklękła przy nim i wzięła go w ramiona. Pod wieloma warstwami odzieży i koca służącego za płaszcz czuł jej skórę i kości. Nie była już krzepką, radosną kobietą. W jej oczach jednak wciąż iskrzyło życie, gdy z bólem i współczuciem patrzyły na Matthew. Życie było także w jej wargach, gdy całowały jego usta.

– Nie możemy tego zrobić – zaszlochał. – Nie możemy się do tego zniżyć!

– A czy mamy jakiś wybór? Czy powinniśmy umrzeć? Matthew, uwięźliśmy tutaj. I tak będzie aż do wiosny. Nie ma jedzenia. Nie ma... – Nagle i ona wybuchnęła płaczem. Ich rozpaczliwy szloch wzbijał się w lodowate, obojętne niebo.

Wreszcie załamane minęło. Emmeline pomogła Matthew wstać i powiedziała:

– Potrzebują przywódcy. Potrzebują kogoś, kto podtrzyma ich na ciele i na duszy. Szanują cię.

– Nie jestem przywódcą. To ty jesteś dzielna, Emmeline. Od samego początku, jeszcze w Independence, kiedy postanowiłaś podróżować na własną rękę.

– Nie jestem dzielna, Matthew. – Popatrzyła na niego zmęczonym wzrokiem. – Już nie. Przeróżnie się boję. Cała ta odwaga to była pusta gadanina. Teraz, kiedy stanęłam w obliczu sytuacji wymagającej prawdziwego męstwa, okazało się, że mi go brakuje. – I dodała: – Ty możesz mówić o szczęściu, masz Kamień Przeznaczenia za przewodnika. Ja zaś mam tylko siebie, i kiepski ze mnie doradca.

Wyjął kryształ z kieszeni i usiłował dojrzeć w nim Duchowego Przewodnika, którego zawsze widziała jego matka. Nagle cała nadzieja i udawana wiara w kamień ustąpiły miejsca głodowi i rozpaczy.

– To oszustwo! Błaga! – krzyknął i z całej siły odrzucił kamień od siebie.

– Nie! – zawołała Emmeline, bo choć sama nie wierzyła w magię kryształu, wiedziała, że Matthew mimo wszystko pokłada w niej nadzieję. Potykając się w śniegu, zaczęła gorączkowo szukać kamienia.

– Czekaj – szepnął Matthew i poszedł za nią.

Kiedy znaleźli klejnot i Emmeline pochyliła się, by go podnieść, Matthew zobaczył coś w śniegu. Zmarszczył brwi i mrużąc powieki, przykucnął. Przetarł oczy i spojrzał jeszcze raz. Nie mylił się: to były ślady niedźwiedzia.

– Co takiego? – spytała dziewczyna na widok jego miny.

Matthew wyprostował się powoli i rozejrzał dookoła. Wszędzie widział tylko oślepiającą biel. Czekał na jakiś ruch. Nagle zmarszczył nos.

– Czujesz?

Emmeline pociągnęła nosem.

– Co to za straszliwy smród?

– Myślę, że wiem, co to takiego. – Zaczął brnąć przez głęboki śnieg, a Emmeline za nim.

Nagle natrafili na kopczyk niedźwiedziego nawozu. Wciąż parował, był zupełnie świeży. Niedźwiedź był w pobliżu.

– Musimy powiedzieć innym! – krzyknęła Emmeline. – Zabijemy go. Będzie jedzenie...

– Nie! Wystraszą zwierzę, nigdy go nie znajdziemy. Jeśli zdołałbym go podejść ze strzelbą...

– Matthew, nie jesteś myśliwym.

Musiał to zrobić sam, i to szybko. Ze strachu serce biło mu coraz szybciej. Wpadł do szałas, złapał strzelbę Charliego Benbowa. Byli zbyt niemrawi i senni, by zauważyć brak broni. Nie miał serca rozbudzać ich nadziei. Powiedział Emmeline, by poczekała w szałasie, gdzie było ciepłej. I żeby modliła się za niego.

Wiedział, że szaleństwem było samotne polowanie na niedźwiedzia z tą prymitywną strzelbą, ale teraz nie kierował się rozumem. Odciągnął kurek i schował jedyną zapasową kulę do rękawiczki. Z wielkim wysiłkiem ruszył po śladach, oślepił go śnieg. Każdy oddech kłuł w płuca, brakowało mu czucia w nogach. Zatrzymywał się często, by nasłuchiwać, ale śnieżnobiały las milczał.

Matthew czuł coraz większą desperację. Musiał odnaleźć zwierzę i powstrzymać innych od niewyobrażalnej zbrodni. Tak, zbrodni. Wychowano go w poszanowaniu zmarłych. Bezczeszczenie zwłok było czymś strasznym. Zmarli nie mogli się bronić; to żywi mieli ich strzec.

Ludzie w obozie prawie nie przypominali już jednak żywych istot, raczej chodzące trupy.

Nagle zamarł. Był tam, jakieś sto metrów przed nim, olbrzymi grizzly, grzebał w śniegu. Matthew powoli szedł przed siebie, potem przycupnął za drzewem, wycelował i strzelił.

Niedźwiedź zawył i stanął na tylnych nogach. Na widok człowieka ruszył do ataku. Myśliwy w pośpiechu nasypał prochu do strzelby i wcisnął do lufy drugą kulę. Znowu strzelił. Zwierzę ryknęło i zachwiało się, po czym opadło na cztery nogi i rzuciło się do ucieczki.

– Czekaj – powiedział słabo Matthew. Tak niewiele brakowało! – Proszę cię!

Zaczął płakać. Tyle jedzenia. Mógł wszystkich ocalić i chybił. Zawiodł.

Popędził do obozu, potykając się i przewracając w śniegu. Zastał kilku mężczyzn zgromadzonych wokół ciała Helmuta Schummana.

Pan Benbow trzymał w ręce rzeźnicki nóż. Kobiety przycupnęły wokół ogniska, szlochając.

– Przestańcie! – krzyknął Matthew.

Zasapany opowiadał im o niedźwiedziu. Był ranny, trzeba go gonić! Nie wszyscy się zgodzili.

– Ranny niedźwiedź jest zbyt niebezpieczny – oświadczył cyrulik Aahrens.

– Widziałem, co ranny grizzly może zrobić z człowiekiem – dodał Charlie Benbow. – To samobójstwo, doktorze.

– Proszę za nim iść – powiedział Bert Hammersmith. – Niech pan go znajdzie, a potem przyjdzie po nas.

Matthew spojrzał w puste oczy i wymizerowane twarze. Ci bliscy obłędu ludzie nie zamierzają czekać, aż wróci z informacją o niedźwiedziu, tylko chcą się go pozbyć.

– Jestem słaby – odparł, i była to prawda. – Nie dam rady przebrnąć przez śnieg i wrócić. Proszę, chodźcie ze mną. Trafiłem to zwierzę. Nie pożyczę długu. Kiedy go znajdziemy, będziemy mieli jedzenie. I przetrwamy. Tu – rozejrzał się dookoła, patrząc na piekło, w które wpadli – na-

wet jeśli przeżyją nasze ciała, umrą dusze.

Ale i Emmeline bała się opuszczać obóz. Ujął jej zmarzniętą dłoń.

– Musisz mieć teraz odwagę. Dla innych. Jeśli ty pójdziesz, ruszą za tobą.

– Boję się.

– Nic nam się nie stanie. Nie martw się, kochana.

W końcu poszli za nim: wygłodniali ludzie, wczepieni jeden w drugiego, brnęli przez zadymkę, na wpół przytomni z głodu. Nieśli zaledwie kilka rzeczy – koce i kołdry, garnki i starannie zabezpieczony żar z ogniska. Kilka razy chcieli zawrócić, sądząc, że na dobre się zagubili w oślepiającej białej pustce. Ale Matthew znalazł kilka kropli szkarłatnej krwi w śniegu i zmusił wynędzniałą grupę do marszu, obiecując im ucztę z pieczonego mięsa. Opisywał tłuszcz skwierczący na patelni, aż niemal go poczuli i popłynęła im ślinka.

Emmeline pomagała Matthew, jak mogła, biorąc ludzi pod rękę, podnosząc z kolan, kłamiąc, że widziała rannego niedźwiedzia i że z pewnością już padł. Jeszcze kilka metrów... kilka kroków... jeden krok... nie, nie zatrzymuj się, nie upadaj, weź mnie pod ramię...

Ruth Hammersmith zatonąła w śniegu i leżała tam jak trup. Jej mąż osunął się na kolana i kazał innym iść dalej. Wpatrywał się w nich podkrążonymi oczami.

Ludzie szli przed siebie, bezmyślnie pokonywali śnieżną pustkę. Nie czuli rąk ani nóg, ich twarze były trupioblade od nieprawdopodobnego mrozu.

Padało ich coraz więcej, z dziećmi w ramionach. Emmeline usiłowała ich podnosić, ale była zbyt słaba, wystarczyło jej sił tylko na to, by podążać za Matthew.

Kiedy nawet i oni zaczęli myśleć, że cała ta wyprawa nie ma sensu, znaleźli jaskinię. Do środka prowadziły krwawe ślady.

Czekali w bezpiecznej odległości, a Matthew i Manfred Schumman ostrożnie weszli do jaskini, nasłuchując i pociągając nosami. Trzymali w rękach odbezpieczoną broń. W środku znaleźli niedźwiedzia, był martwy.

Manfred i Osgood Aahrens resztkami sił zatopili noże w brzuchu zwierzęcia. Na widok surowych wnętrzności wylewających się na podłogę pozostali wpadli do jaskini, ślizgając się na krwi. Pożerali ciepłe surowe mięso, chleptali krew, a po chwili, nieco pokrzepieni, ruszyli po tych, którzy upadli po drodze. Oboje Hammersmithowie zmarli, ale sprowadzono wszystkich innych. Jaskinia wypełniała się ludzkim ciepłem, żołądki podróżnych mięsem grizzly.

Tej nocy spali wyczerpani blisko trupa, kilkoro dzieci wpełzło do brzucha niedźwiedzia, by się ogrzać. Rano rozpalili ogień, wnieśli dziękczynne modły do Boga i zaczęli ćwiartować zwierzę. Odkrojone kawałki smażyli, ale również odcinali długie cienkie paski mięsa i wieszali je nad dymem, żeby się uwędziły. To miał być zapas na następne tygodnie. Zakopali kości i czaszkę, żeby nie zwabić wilków, a sztywną skórę ułożyli na ziemi.

Mimo jedzenia i ciepła zmarło jeszcze sześć osób. Lively przeliczył grupę: zostało pięćdzie-

sięciu pięciu mężczyzn, dwadzieścia cztery kobiety i pięćdziesięcioro troje dzieci. Czterdzieści osób mniej niż we Front Bridger.

Gdy po raz pierwszy zaświeciło słońce i rozpuściło śnieg obok strumienia, Matthew ujął twarz Emmeline w ręce i powiedział:

– Uwielbiam dźwięk twojego głosu. Nigdy nie przestawaj mówić. Kiedy zaczynaliśmy tę podróż, byłem ponury i o wiele za poważny. Uważałem, że zbyt często się uśmiechasz. Ale tylko dzięki twojej pogodzie ducha nie zginąłem. Dorastałem wśród zmarłych i ciemności, a ty wniosłaś światło i radość w moje życie.

– A ja jestem lekkomyślna i zbyt pewna siebie. Dzięki tobie nie odlatuję zbyt wysoko w przestworza, Matthew. Ty jesteś moim oparciem.

Ratownicy z Sutter's Sawmill pojawili się w połowie marca. Prowadził ich jeden z ludzi, którzy uciekli wraz z Amosem Tice'em. Nękały go wyrzuty sumienia i opowiedział władzom o emigrantach uwięzionych na ostatniej przełęczy. Natychmiast zgłosili się ochotnicy wyposażeni w broń i zapasy. Pokonali drogę w rekordowo krótkim czasie.

Ze stu siedemdziesięciu dwóch osób, które opuściły Fort Bridger, przeżyło niespełna sto dwadzieścia.

Mówili, że uratował ich doktor Lively, że żyją dzięki jego odwadze, mądrości i umiejętności podejmowania właściwych decyzji.

Nikt nie wspomniał o incydencie nad ciałem Helmuta Schummana.

Dotarli wreszcie do Sutter's Sawmill. To miejsce doskonale nadawało się na nowy początek, a wszędzie trwała gorączka złota. Matthew po raz ostatni wyjął z kieszeni Kamień Przeznaczenia.

– Nie widzę go – oświadczył stanowczo.

– Kogo?

– Duchowego Przewodnika. Popatrz na to zmętnienie w jądrze kryształu. Wygląda jak diamentowy pył. Zmienia kształt, gdy wystawisz kamień do światła. Moja matka twierdzi, że to duch, ale ja widzę tylko osady mineralne. – Wręczył kryształ Emmeline. – A ty?

Zajrzała w serce kryształu i odparła:

– Dolinę. Żywną zieloną dolinę, gdzie się osiedlimy i zaczniemy nowe życie. – Oddała mu kamień.

– Ciekawe – zadumał się, próbując zobaczyć dolinę w Kamieniu Przeznaczenia. – Przez cały czas sądziłem, że to kryształ mówi mi, co mam robić. A może to ja, właśnie ja, podejmowałem decyzje, nie kamień? Chciałem jechać na zachód, więc zakręciłem kryształem jedenaście razy, aż wreszcie wskazał właściwy kierunek. Potem Ida Threadgood zostawiła cię nad rzeką i musiałaś znaleźć kogoś, z kim pojedziesz. – Uśmiechnął się. – Już wcześniej podjąłem decyzję, że zapro-

ponuję ci, abyś do mnie dołączyła. Gdybym tego nie chciał, na pewno nie pytałbym kamienia o zdanie. Zabrakło mi jednak wiary w siebie, kryształ był moją podporą. Już go nie potrzebuję.

– Nie tak szybko. A cud nad górskim jeziorem? To Kamień Przeznaczenia naprowadził nas na ślad niedźwiedzia. Bez niego z pewnością bylibyśmy już martwi.

Pokiwał głową, zastanowił się chwilę, po czym powiedział:

– Pomyślałem, Emmeline, że Lively to dziwne nazwisko dla przedsiębiorcy pogrzebowego, ale idealne dla akuszerki. – I dodał z powagą: – Wiem, że ślubowałaś nie wychodzić za mąż, ale...

Położyła mu palec na ustach.

– Oczywiście, że za ciebie wyjdę, kochany Matthew, tworzymy idealną parę, akuszerka i przedsiębiorca pogrzebowy. – Uśmiechnęła się. – Pomagam ludziom przyjść na świat, a ty ich z niego odprowadzasz.

Wzięła od niego Kamień Przeznaczenia i wyciągnęła go ku słońcu.

– Myślę o wszystkich ludziach, którzy trzymali ten kamień i patrzyli na niego, szukając wskazówek, ochrony albo szczęścia. Zastanawiam się, czy tak jak ty, Matthew, nie znali swojej siły i przypisywali wszelkie zasługi temu nieożywionemu minerałowi. Ty już wierzysz w swoją moc, w siłę, która jest w nas wszystkich i która pozwala pokonać przeciwności. Ludzie są silni, Matthew, teraz to wiem. Możemy stawiać czoło wszelkim próbom, które pojawią się na naszej drodze, i wyjść z nich zwycięsko.

– Masz rację, nam nie będzie już potrzebny. – Wsunął kamień do kieszeni. – Ale może kiedyś pomoże komuś odnaleźć wewnętrzną siłę i mądrość.

Matthew pocałował Emmeline, a potem chwycił lejce i ruszyli ku swojej przyszłości w zielonej dolinie, ku nowej nadziei.

## Przejście

Rodzina Livelych kupiła ziemię, zainwestowała w kopalnię złota oraz drogi i zbiła majątek. Matthew został przywódcą lokalnej społeczności, później ubiegał się o fotel kongresmana, był znaczącą i wpływową postacią. Zapytany, jaką dałby radę przyszłym emigrantom zmierzającym do Oregonu i Kalifornii, powiedział:

– Nie idźcie na skróty.

Oboje, on i Emmeline, żyli długo, pochowano ich w Livelysville w Kalifornii.

Kamień Przeznaczenia odziedziczył ich najstarszy syn Peter, który przekazał go swojej córce Mildred, gdy skończyła akademię medyczną. Doktor Lively zawiozła kryształ do Afryki, gdzie przez trzydzieści lat pracowała w misji medycznej, zanim wróciła do Stanów Zjednoczonych, by wyleczyć się z rzadkiej choroby, która dopadła ją podczas safari w Ugandzie. Mildred Lively nie

miała dzieci, zostawiła więc klejnot kobiecie, która troskliwie opiekowała się nią w ostatnich miesiącach, Amerykance japońskiego pochodzenia, Told Yoshinaga.

Toki i jej rodzina zostali usunięci ze swojego domu w San Francisco po zbombardowaniu przez Japończyków Pearl Harbor i wysłani do miejscowości o nazwie Manzanar. Po wojnie musieli sprzedać wszystkie wartościowe przedmioty, by stanąć na nogi. Za niebieski kryształ dostali sto dolarów, całkiem sporą sumę jak na owe czasy.

Kupcem był księgowy o nazwisku Homer, który interesował się gemmologią. Zbadał nowy nabytek. Czegoś takiego jeszcze nie widział. Pierwsza naukowa analiza od 1698 roku, kiedy to Holender Kloppman obejrzał kamień w Amsterdamie, wykazała, że jest to minerał twardy, osiągający 8,2 punktu w skali Mohsa, odznaczający się szklistym połyskiem oraz bardzo słabą łupliwością. Niebieska barwa kojarzyła się z odmianą topazu i turmalinu, ale w środku kamień miał „gwiazdę”, jak czasem szafiry. Podekscytowany Homer zapakował go i zabrał na zjazd gemmologów w Albuquerque w Nowym Meksyku, gdzie chciał potwierdzić odkrycie i być może nazwać minerał na swoją cześć – „homeryt” brzmiało nie najgorzej. Na zjeździe poznał młodą damę, wyjątkowo zainteresowaną drogocennymi kamieniami. Nalegała, pozwolił jej więc obejrzeć swoją kolekcję w hotelu. Niestety, naiwny księgowy źle zrozumiał zamiary atrakcyjnej osóbkę; spodziewając się seksualnych ekscesów, zmarł na rozległy atak serca.

Kolekcja Homera leżała w garażu, aż wdowa po księgowym postanowiła przenieść się do miasteczka emerytów na Florydzie i sprzedała „śmiecie” wolnemu duchowi o imieniu Sunbeam, który wyrabiał biżuterię z paciorków oraz kontrowersyjne, wymierzone przeciwko pospolitym gustom drobiazgi dla największych sklepów w Hollywood Boulevard. W 1969 roku Kamień Przeznaczenia wylądował w miejscowości o nazwie Woodstock, przymocowany drutem do uchwyty fajki na marihuanę należącej do hipisa imieniem Argyle. Po śmierci Argyle’a, który poległ na wojnie w południowo-wschodniej Azji, jego siostra przeszukała rzeczy brata i znalazła fajkę. Pocięła druciki, żeby wydobyć niebieski kamień. Myśląc, że to zwykłe szkiełko, dała je swojej ośmioletniej córce, a ta ozdobiła nim papierową koronę dla jednej ze swoich lalek.

Dziewczynka dorosła, poszła do college’u i wyprowadziła się z domu, a wszystkie zabawki oddała Armii Zbawienia. Niebieski kryształ kupiła kobieta regularnie odwiedzająca sklepy i wyprzedaje z używanymi rzeczami w poszukiwaniu wartościowych – przynajmniej jej zdaniem – przedmiotów, przegapionych przez mniej bystre oczy. Wyznawała filozofię New Age, dostrzegła więc w kryształach nieodgadnione możliwości. Twierdziła, że ściskając go, czuje boskie wibracje.

I tak niebieski kamień, szybujący przez galaktyki i mgławice, by wylądować na pierwotnej Ziemi – kosmiczny kryształ, który dał mądrość prakobiecie o imieniu Wysoka i pomógł jej uratować swoje plemię, który pocieszył Laliari, oświecił Awrama i obdarzył panią Amelię wiarą, a matkę Winifredę odwagą, Katharine zaś nadzieją na odszukanie ojca; dzięki któremu ziściło się

pragnienie Brigitte Beliefontaine, a Matthew Lively stał się panem swojego przeznaczenia – spoczął w małym sklepie w Kalifornii. Leży na wystawie w otoczeniu uzdrawiających kryształów, kart do tarota i kadzidełek. Jeśli nie miniesz go zbyt szybko, jeśli nie będziesz zbyt zajęty swoim palmtopem, gazetą czy telefonem komórkowym, z pewnością go zobaczysz.

A gdybyś poczuł, że potrzebna jest ci wewnętrzna siła, odwaga lub mądrość, wejdź do sklepu, popatrz na kamień, weź go do ręki i przekonaj się, co ci powie. Właściciel chętnie sprzeda go za rozsądną cenę... odpowiedniej osobie.



## Podziękowania

Całym sercem jestem wdzięczna wyjątkowym ludziom: Jennifer Enderlin, mojej redaktorce; Harveyowi Klingerowi, mojemu agentowi; i dwójce drogich przyjaciół, Sharon Stewart i Carlosowi Balarezo.

Co ja bym bez was zrobiła?